

DEIRDRE PURCELL

KRAINA DZIECIŃSTWA

PROLOG

Dziesięć minut później Rose zatrzymała się przed bramą cmentarza. Stał tam zaparkowany jego samochód, ale drzwiczki od strony kierowcy były szeroko otwarte, a wewnątrz paliła się lampka. Dostrzegła też uniesioną klapę bagażnika. Powiodła dokoła wzrokiem, nie zauważyła go jednak nigdzie.

Zamknęła drzwiczki, tak aby lampka zgasła, weszła przez półkolistą bramę na teren cmentarza i przystanęła na moment, żeby wziąć się w garść. Czuła ogarniający ją niepokój. Miejsce było tak ciche, oświetlone białym, niesamowitym blaskiem niepełnej tarczy księżyca, a powietrze tak ostre i nieprzyjazne, że strach ścisnął ją za gardło; wyraźny, niemal namacalny, fizyczny lęk. Wiedziała jednak, że nie może teraz zawrócić; zabrnęła już za daleko, a sprawa, która ją tu przywiodła, była zbyt ważna, aby dać za wygraną.

Cmentarz zajmował zbocza niewielkiego wzgórza; kamienne ogrodzenie zarosły krzewy jeżyn i splątane pnącza głogu, na szczycie ogołocone z liści cierniste drzewo wznosiło się ku rozgwieżdżonemu niebu niczym zniekształcona ręka. W tym miejscu od stuleci grzebano zmarłych katolików z okolicy. Co krok widniały stare, przekrzywione już kamienne płyty i krzyże celtyckie, gdzieniegdzie okrywała je gęsta płatanina bluszczu, pokrzyw i drzewiastego podszycia. Wkoło roznosił się słodkawy, ostry zapach cmentarny, w którym czuło się woń ziemi, przegniłych roślin - i jeszcze czegoś, o czym Rose wołała teraz nie myśleć. Wzdrygnęła się i skierowała w stronę nowszej części cmentarza, gdzie nadal odbywały się pochówki i gdzie sama stała tak niedawno. Wysoka trawa tłumiała odgłos jej kroków.

Przed nią rozciągał się teren bardziej uporządkowany, zadbane, marmurowe nagrobki błyszcząły zimno i bezlitośnie. W miejscu gdzie kończyła się stara część cmentarza, a zaczynała nowa, na poduszce z pnączy jeżyn leżała omszała figurka Jezusa, która spadła z cokołu; ramiona postaci, już na zawsze bezsilne, wznosiły się ku górze jakby z niemym błaganiem, a kamienne, niewidzące oczy zdawały się wypatrywać chwili zmartwychwstania.

Blask księżyca zmaćił się nagle, Rose zaś odniosła wrażenie, jakby to Jezus spojrział na nią przenikliwym wzrokiem. Jednocześnie wszystko na cmentarzu stało się większe i bardziej złowieszcze. Jakaś figurka anioła z rozpostartymi skrzydłami, stojąca na grobie, zdawała się szybować w jej stronę; leżące na ziemi sztuczne kwiaty, sine w srebrzystej poświacie, wyciągały ku niej swoje podobne do macek łodygi, jakby chciały opleść ją nimi i przyciągnąć do siebie; czarna ziemia i żwir na pobliskich grobach nie wyglądały już teraz tak

solidnie, aby spoczywające pod nimi ciała mogły się czuć bezpiecznie.

Nie mogła tego dłużej znieść. Nie, poczeka na niego na zewnątrz, obok auta. Jeżeli on tu jest, wyjdzie z cmentarza wcześniej lub później.

Nagle dobiegł ją jakiś odgłos, pojedynczy brzęk, tak jakby ktoś uderzył lekko łyżeczką o porcelanową filiżankę.

Przystanąła i poczęła nasłuchiwać. Znowu to samo.

I jeszcze raz, i jeszcze - miarowy, jednostajny stukot, dochodzący z przeciwległego zbocza.

Ostrożnie, niepewnie, czując, jak mocno bije jej serce, wspięła się na wzgórze i stanęła pod ciernistym krzewem, skąd mogła ogarnąć wzrokiem cały teren cmentarza. Dostrzegła go natychmiast; siedział w kucki przy grobie, jego jasne włosy odcinały się wyraźnie od ciemnego nagrobka. Chciała go zawołać, ale krzyk uwiązł w zaschniętym gardle. Ruszyła w tamtą stronę, mając nadzieję, że usłyszy ją i podniesie na nią wzrok, on jednak był zanadto zaabsorbowany swoją czynnością.

Dopiero teraz dostrzegła, co robi: skuwał z nagrobka napis.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Za każdym razem, kiedy jego brat - bliźniak był chory, John Flynn znosił prawdziwe męki.

Siedział przygnębiony w kącie kuchni w stróżówce, podczas gdy matka wymachiwała ścierką, kierując parę z dwóch ustawionych na kuchence garnków w stronę krzesła, na którym Derek, opatulony kocami, krztusił się flegmą i z trudem łapał oddech.

Mary Flynn była czerwona z wysiłku oraz od gorąca i pary. Wreszcie opadła wyczerpana na krzesło, niby wróbel szukający chwili wytchnienia. Szczupła, wymizerowana twarz kazała szacować jej wiek na znacznie więcej niż czterdzieści dziewięć lat, a John uświadomił sobie znowu, że dałby wiele, aby matka nie wyglądała tak jak teraz. Wiedział doskonale, że to nie ma nic wspólnego z nim samym, ale czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za jej ciężkie życie i wczesne wdowieństwo.

- Czy mogę ci w czymś pomóc, mamó? - zapytał.

Mary otarła ścierką pot z twarzy, wstała z widocznym trudem i podeszła do tylnych drzwi, po czym uniosła pokrywę stojącej tam bańki na mleko.

- Przydałaby się odrobina wody - powiedziała.

Przed domem ustawiono dwie beczki, w których zbierała się deszczówka, ale wodę pitną trzeba było przynosić z drogi publicznej, gdzie zainstalowano pompę.

John z ulgą wykorzystał pretekst, aby wymknąć się z kuchni. Wiedział, że ataki choroby brata wyglądają zawsze na groźniejsze, niż są, ale odkąd matka wysłała go na pocztę, aby zatelefonował po lekarza, upłynęło już wiele czasu, co najmniej godzina. Dlaczego tamtego nie ma tak długo? Wyciągnął spod zlewu dwa ocynkowane wiadra i przeszedł na podwórko za domem; na odgłos kroków koza, którą trzymali dla mleka, przydreptała i poczęła ocierać się pyskiem o jego dłoń.

Ciepłe czerwcowe powietrze było rześkie i świeże; John wdychał je z przyjemnością zwłaszcza teraz, kiedy nie przebywał już w dusznej, zaparowanej kuchni. Lekka bryza poruszała gałązkami tarniny, tworzącej żywoplot za domem, a zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie stał John, przysiadł kos. Przechyliwszy na bok łepki, spojrział intruzowi prosto w oczy, następnie odfrunął przezornie na drzewo. Koza ponownie trąciła pyskiem rękę chłopca. John otworzył stojącą pod szczytową ścianą domu skrzynię z warzywami, wyjął z niej marchew i podał zwierzęciu, które wzięło ją od niego delikatnie, z wdziękiem, niczym dama z towarzystwa.

Zrobił za ledwie kilkadziesiąt kroków, kiedy usłyszał warkot silnika, a po chwili zatrzymał się przy nim czarny prefekt. Doktor siedzący w aucie opuścił szybę.

- Witaj, chłopcze! - zawołał. - Przyjechałem do twego brata.

- Wiem - odparł John. - To ja poprosiłem na poczcie, aby zadzwonili do pana.

- No cóż, zaraz postawimy Dereka na nogi. Jadę!

John stał na drodze, odprowadzając samochód wzrokiem. To właśnie doktor Markey zawiózł wcześniej Dereka do sanatorium. Wtedy jeździł nie prefektem, lecz dużym morrisem cowleyem. Bracia ukończyli akurat dwanaście lat, a matka pozwoliła Johnowi zostać tego dnia w domu; mógł nie iść do szkoły, aby pożegnać się z bratem. Jednakże, kiedy ta chwila już nadeszła, nie mógł wykrztusić choćby jednego słowa. Również Derek zachował milczenie. Po prostu podniósł swoją płócienną torbę i tylnymi drzwiami wyszedł na podwórze. Za nim podążała matka, nie kryjąc łez. John nie płakał. Pozostał w tyle i patrzył na brata, który blady i wylękniony dreptał za lekarzem w stronę samochodu. Sanatorium znajdowało się gdzieś w pobliżu Dublina; wydawało się, że od Drumbooli dzieli je niesamowicie wielki szmat drogi, ale w rzeczywistości było to tylko trochę więcej niż pięćdziesiąt mil.

Tamtego dnia John po raz pierwszy w życiu zniknął z domu. Długo błąkał się po polach i łąkach, aż wreszcie późnym popołudniem odkrył strumyk, który wdzierał się w głąb lasu, na niewielką polankę porośłą paprociami. John wybrał sobie zaciszne miejsce pod sosną, wymościł je zwiędłymi liśćmi i trawą, a potem leżał w ciemnościach, czując, jak spadają na niego z góry sosnowe igły niczym łagodne krople deszczu. W duchu przebywał cały czas z bratem, który z pewnością jechał jeszcze do Dublina - i czuł, jak z każdą milą narasta w Dereku paniczny lęk.

Kiedy wrócił do domu, matka odchodziła już od zmysłów z niepokoju. Ulga, jaką poczuła na jego widok, uczyniła ją brutalną. Ze stoickim spokojem, ofiarowując Bogu w ofierze swój ból jako ofiarę za pomyślny powrót Dereka, John przyjął bez szemrania policzek, który mu wymierzyła. Dopiero potem, już leżąc, dał upust łzom. Dotąd dzielił zawsze z bratem podwójne łóżko, a tej nocy po raz pierwszy miał spać w nim sam. Sfatygowany materac wypchany końskim włosiem miał dwa podłużne wgłębienia; John przesunął się na to, które zdążył odcisnąć Derek, i spał po tej stronie łóżka co noc przez jedenaście miesięcy, aż do dnia, kiedy jego bliźniaczy brat wrócił do domu.

Dziś stał w miejscu, czekając cierpliwie, aż umilknie warkot silnika. Potem ruszył dalej, w stronę pompy zainstalowanej na niewielkim betonowym cokole przy drodze i okolonej gęstym dywanem z wrzośca. Z wysiłkiem uniósł ciężką, masywną dźwignię i naparł

na nią; potem jeszcze parę razy podrywał ją do góry i opuszczał, dopóki z wylotu pompy nie trysnął pierwszy strumień rdzawej wody, rozpryskując się o betonową płytę. John pompował dalej niezmordowanie, a kiedy wreszcie zaczęła płynąć czysta woda, napełnił wiadra. Następnie, gdy strumień zmalował do cienkiej strużki, podstawił złączone dłonie, po czym przytknął je do ust.

Pijąc, zdał sobie sprawę z otaczającej go ciszy. Ptaki, jeszcze tak hałaśliwe przed miesiącem, straciły jakby głos. Ich obecność od czasu do czasu zdradzał jedynie pojedynczy skrzek lub świergot. Ustał także wiatr. Na drzewach wisiały nieruchome liście. Bydło na łąkach pasło się w milczeniu, ucichły nawet psy w okolicznych zagrodach. John otarł sobie usta rękawem koszuli, dźwignął oba wiadra i ruszył do domu. Do tej pory kłopoty Dereka z oddychaniem musiały już minąć. Martwił się o brata, ale bliska więź, którą odczuwali dawniej, nie przetrwała rozłąki.

Tamten dzień, kiedy Derek wrócił z sanatorium, był upalny i duszny. John ściągnął koszulę i właśnie przycinał żywopłot okalający warzywnik, kiedy z dala dobiegł go warkot samochodu doktora. Rzucił sekator i czym prędzej pobiegł do kuchni, aby powiadomić matkę, ona zaś zerwała z siebie fartuszek i przed lustrem zawieszonym na ścianie poczęła gorączkowo poprawiać sobie włosy. Zanim oboje otworzyli tylne drzwi, samochód wjeżdżał już przed dom.

John od razu dostrzegł za szybą auta twarz Dereka, ale nagle poczuł się zażenowany. Nie mógł się doczekać tej chwili, teraz jednak, gdy już nadeszła, nie wiedział, jak się zachować ani co powiedzieć. Bał się, że wybuchnie płaczem. Zerknął bezradnie na matkę, ale ona także robiła wrażenie sparaliżowanej.

Doktor wysiadł z samochodu.

- Chodź tu, chłopcze! - zawołał. - Na co czekasz?

Matka podbiegła już do Dereka, zamknęła go w ramionach - i ten widok wyrwał Johna z odrętwienia. Jeszcze chwila i cała trójka złączyła się w gorącym uścisku. Ale niemal natychmiast John zorientował się, że coś jest nie w porządku; Derek uniósł rękę i łokciem osłonił sobie oczy, jakby chciał się odgrodzić od matki i brata. Nawet gdy tulili go do siebie, John czuł jego opór.

Potem, już w domu, nie spuszczał ze swojego bliźniaka wzroku. Derek, chociaż wychudzony, wyglądał zdrowo, ale z jednym ramieniem niższym niż drugie robił wrażenie jakby kalekiego.

- Co się stało z twoim ramieniem? - Pytanie padło, zanim jeszcze John zdążył się zreflektować i powstrzymać je.

Derek poczerwieniał aż po uszy.

- A co się miało stać? Lepiej patrz na siebie!

Dopiero później, kiedy Derek poszedł do ustępu, matka wyjaśniła, że to drobne zniekształcenie nie jest dla niej niespodzianką. Mimo zabiegów fizykoterapeutycznych po operacji usunięcie płuca zrobiło swoje; ramię po pustej stronie piersi pozostało trochę bardziej opuszczone niż drugie.

Przez resztę wieczoru John próbował sobie wmówić, że ta dziwna, nie znana mu dotąd obcość pomiędzy nim i Derekiem nie potrwa długo, że z czasem dzieląca ich bariera zniknie. I rzeczywiście: tej nocy obaj spali znowu w jednym łóżku, jak dawniej, a przed zaśnięciem pogawędzili trochę szeptem. Ale potem, kiedy Derek zasnął, John długo jeszcze leżał z otwartymi oczyma, targany rozpaczą, wpatrzony w cienie na ścianach i suficie, usiłując rozwikłać wątpliwości, które nie dawały mu spokoju.

Coś się zmieniło, był tego pewien.

Pozornie życie wróciło do normy. Trwały właśnie letnie wakacje, bracia nie chodzili więc do szkoły, a po uporaniu się ze swoimi obowiązkami szli na pola, gdzie chwyтали króliki albo też łowili ryby w strumieniu. Te wakacje różniły się od innych stosunkiem matki do Dereka: w deszczowe i chłodne dni nie wolno mu było wychodzić na dwór. Również John pozostawał wtedy w domu i chociaż to poświęcenie nie było duże, rodziło w duszy chłopca żal do brata.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny pewnego deszczowego popołudnia, jakieś pięć tygodni po powrocie Dereka. Obaj przeczytali już wszystkie pożyczone książki i John uświadomił sobie, że skończyły mu się pomysły na zabicie czasu. Matka poszła odwiedzić sąsiadkę, a John stanął przy oknie i podniósł wzrok na niebo.

- Wygląda na to, że się trochę rozpogodzi - mruknął bez większego przekonania.

- Po co w ogóle tu sterczysz? Nie musisz siedzieć ze mną w domu, możesz wyjść, jeśli chcesz. Myślisz, że jesteś tu komuś potrzebny? Idź sobie i zostaw mnie w spokoju! - Twarz Dereka była wykrzywiona ze złości, wybuch jego furii był tak nagły i gwałtowny, tak nieoczekiwany i szokujący, że osłupiały John odwrócił się i wolnym krokiem przeszedł z kuchni do sypialni. Derek dogonił go w progu. - Przepraszam, John, wcale tak nie myślałem, naprawdę!

Ale John był stuprocentowo pewien, że jego brat mimo woli zdradził się ze swoimi odczuciami.

- Już dobrze - mruknął. - Nie przejmuj się tym. - Odwrócił się i poprawił ułożoną równiutko poduszkę na łóżku.

- Och, daj spokój! - Derek wybiegł z powrotem do kuchni.

W ciągu paru najbliższych lat John oswoił się z nowym charakterem stosunków łączących go z bratem. Rozpieszczany przez matkę, która przyrządzała mu grzane piwo z jajkiem na śniadanie i pół kufła mocnego porteru co wieczór, Derek miewał teraz kłopoty z oddechem coraz rzadziej, ale kiedy tylko następowało zaostrzenie jego choroby, tak jak dziś, Johna ogarniało natychmiast poczucie olbrzymiej straty.

Pełne wiadra ciążyły coraz bardziej. Odstawił je i ponad krawędzią żywopłotu powiódł wzrokiem po Dębowym Polu.

Olbrzymie drzewo, któremu pole zawdzięczało swoją nazwę, trafił i rozszczepił piorun dawno temu, zanim jeszcze John i Derek przyszli na świat, ale - nie wiadomo dlaczego - nigdy nie zostało ścięte. Sterczało teraz na pagórku, w samym środku pola, a jego sękaty, zachęcający dzieci, do zabawy pień, stanowił miniaturowy obraz dzikiej przyrody. Patrząc na nie, John widział zamiast owadów, ptaków i innych jego lokatorów siebie oraz Dereka znowu jako trzyletnich brzdąców, siedzących w rozwidleniu konarów starego dębu i zanoszących się tak żywiołowym śmiechem, że omal nie spadli na ziemię.

Był typowy letni wieczór, pełen pszczoł i motyli krzątających się wokół pierwiosnków i goździków, oraz much, które obsiadły krowie placki. Ale John widział jeszcze kogoś: ojca. Stał pod drzewem z rękami na biodrach i głową odrzuconą do tyłu. Taki właśnie obraz Matty'ego Flynna John zdołał zachować w pamięci. Podczas spaceru Matty zaprowadził synów na pole, podsadził jednego po drugim, umieszczając ich na drzewie, a potem cofnął się trochę, aby ogarnąć obu spojrzeniem.

- Dwie podpórki! - zawołał i roześmiał się radośnie. - Moje dwie podpórki!

Ani John, ani Derek nie mieli pojęcia, o jakie podpórki ojcu chodzi, ale zarażeni jego dobrym humorem, zawtórowali mu głośnym śmiechem, i śmiali się tak we trzech, dopóki ojciec nie zdjął ich z gałęzi i nie posadził sobie na ramionach; jednego na lewym, drugiego na prawym. Następnie ruszył dziarskim krokiem przez pole, podrzucając synów tak energicznie, że John i Derek odruchowo objęli go za szyję.

Po śmierci ojca obaj bracia przychodzili co jakiś czas na Dębowe Pole i bawili się na drzewie lub nad strumieniem, który przecinał odległy kraniec łąki. W strumieniu były kielbie, widoczne dopiero, kiedy chłopcy nachylali się nisko i wpatrywali z natężeniem w brunatną wodę. Stali wtedy bez ruchu, nie odzywając się do siebie, i wbijali palce nóg w muliste dno, przekonani, że jeśli nie drgnie im nawet mięsień, ryba przepłynie tuż - tuż, ocierając się o ich łydki. Teraz, tkwiąc na piaszczystej drodze, John chciwie łowił nosem zapach ciepłej ziemi i żałował, że tamte dawne, proste radości życia należą już do przeszłości.

Westchnął ciężko i ponownie dźwignął wiadra. Życie zmieniło się tak bardzo! Kiedy byli jeszcze mali, wszystko wydawało się nieskomplikowane. Teraz czekały ich dramatyczne przemiany. W sierpniu kończyli siedemnaście lat, a ponieważ matce brakowało już pieniędzy, aby w dalszym ciągu opłacać szkołę, musieli iść do pracy. Jakiegokolwiek pracy. Przed laty zapewniano ich, że będą pracować w majątku, ale dziś przestali na to liczyć: od O'Beirne Moffata, który był właścicielem posiadłości, szczęście odwróciło się bezpowrotnie.

Droga wiła się wzdłuż żywopłotu okalającego posiadłość, a kiedy John doszedł do zakrętu, ujrzał dach stróżówki. Gdyby sprawy potoczyły się jeszcze gorzej, on lub Derek, a może nawet obaj musieliby opuścić to miejsce. Przyszło mu do głowy, że taka konieczność mogłaby oznaczać ich rozstanie już na zawsze - i ta perspektywa, mimo wszystkich obecnych kłopotów, napełniła go rozpaczą. A co się stanie z matką?

* * *

Rose O'Beirne Moffat zdecydowała w ostatniej chwili, że jednak pojedzie z ojcem do Carrick.

- Tato, poczekaj chwilę! - zawołała, zbiegając na dół po trzy stopnie naraz.

- A więc zmieniłaś zdanie? - Gus O'Beirne Moffat zacisnął dłonie na lejcach i uśmiechnął się do córki, która przystanęła zadyszana przed dwukołowym powozem. Miał nieskazitelne zęby, a uśmiech, niczym płomień świecy, rozjaśniał i łagodził rysy jego rumianej twarzy.

- Zmieniłam, a co, nie mogę? - odparła Rose. Wspięła się po stopniach, zajęła miejsce obok ojca i zamknęła za sobą drzwiczki powozu. - Nie mam co robić. - Zabezpieczyła drzwiczki przed otwarciem ozdobnym sznurkiem i usiadła wygodniej.

- Nie będzie ci zimno?

Gus miał na szyi szalik, a miękki tweedowy kapelusz naciągnął głęboko na uszy. Spojrzał z powątpiewaniem na jej lnianą sukienkę bez rękawów, ale Rose machnęła tylko ręką.

- Skądże, tato! Nic mi się nie stanie. Jest bardzo ciepło. - Spojrzała na ołowianoszare niebo. - I na pewno nie będzie deszczu. Nigdy nie pada, kiedy powietrze jest tak wilgotne.

- Hmm... - mruknął Gus. - Nie wiem, czego was uczą w tej szkole na lekcjach geografii. Jesteś pewna, że nie zmarzniesz?

- Och, tato, daj spokój! - Złożyła ręce na kolanach.

- Na twoją odpowiedzialność! - oświadczył Gus. Uderzył lekko lejcami o tłusty zad kuca i zwierzę natychmiast ruszyło klusem. Rose zachwiała się na siedzeniu, tracąc rów-

nowagę.

- On zrobił to umyślnie, tato! - zawołała oburzona, poprawiając sukienkę. Wiodącą do bramy frontowej alejkę, która nawet w lecie rzadko wysychała całkowicie, ocieniał baldachim z gęsto ze sobą splecionych gałęzi kasztanów. Rose zadrżała z zimna, ale ukryła to przed ojcem; dopiero przed chwilą zapewniała go przecież, że jest jej gorąco, musiała więc grać dzielnie swoją rolę. Wychyliła się nawet, aby zerwać kwiatek z krzewu rododendronu, ale właśnie w tej chwili powóz zakołysał się gwałtownie na wyboju i Rose ponownie straciła równowagę. - Co za okropna jazda! - zawołała. - Kiedy wreszcie naprawimy ten cholerny samochód, tato?

- Rose! - W głosie Gusa zabrzmiała wyraźna dezaprobata. - Nie wyrażaj się!

- Przepraszam. - Westchnęła i spojrzała za siebie, na drzewa Sundarbans, miejsca, gdzie przyszła na świat i gdzie przeżyła już niemal szesnaście lat. Wbrew swojej nazwie, nawiązującej do słońca, posiadłość tonęła w cieniu. Dom został wzniesiony w połowie osiemnastego wieku przez antenata, który - choć zwolniony ze służby w armii hinduskiej ze względu na stan zdrowia - całym sercem pozostał już na zawsze na tamtym subkontynencie. Kolejne pokolenia rodu Moffatów usiłowały utrzymać jakoś swój dworek w przyzwoitym stanie, ale ich starania nie dały rezultatu; dach i okna pozostawiały dziś wiele do życzenia, kamienna fasada była upstrzona rysami i zaciekami, wokół kominów wiły się łodygi dziko rozkrzewionych roślin. Rose odczuwała często pragnienie, aby podobnie jak większość jej koleżanek szkolnych z Dublina, móc zamieszkać w czystym i ciepłym domu z centralnym ogrzewaniem i sprawnie funkcjonującą kanalizacją. Jej uwagi nie uszła teraz rynna, która uwolniła się z uchwytu i sterczała ukośnie, odchylona od ściany; przyszło dziewczynie na myśl, że w każdej chwili rynna może runąć na ziemię, pociągając za sobą cały dom.

Zerknęła ukradkiem na ojca. Kiedy przyjechała na wakacje do domu, przeżyła niemały szok. Jeszcze niedawno Gus sprawiał wrażenie człowieka zdrowego i w pełni sił, chociaż wyglądał dość staro; odkąd sięgała pamięcią, był łysy. Ale tym razem coś z nim było nie w porządku. Wydawał się bardziej roztargniony niż zazwyczaj, a okres dwóch i pół miesięcy - tyle bowiem czasu upłynęło od ostatnich ferii wielkanocnych - jakby wyssał z niego całą moc i wigor, czyniąc go bezsilnym.

Zdawała sobie doskonale sprawę z klęski, jaką ojciec poniósł w walce o zapewnienie swojej niewielkiej rodzinie w miarę godziwych warunków życia. Nigdy nie narzekał, ale ona i tak wiedziała, jak znaczący uszczerbek w malejącym budżecie oznaczają choćby opłaty za jej naukę.

- Zastanawiam się, tato - powiedziała, kiedy wjechali na główną drogę - czy nie

byłoby lepiej, gdybym zrezygnowała z internatu i zaczęła chodzić do miejscowej szkoły. Na pewno ktoś by mnie zawsze podwiózł...

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Gus uniósł jasne brwi wysoko, aż zniknęły pod kresą kapelusza.

- Nie wiem... Po prostu to wszystko, czego uczę się tam, mogę poznawać również tutaj. Do końca został mi już tylko rok. Znam dobrze program nauczania, nie miałabym problemu z uzyskaniem świadectwa...

- Rose - przerwał jej Gus - wybij to sobie z głowy. Sama powiedziałaś, że został ci tylko rok. Damy sobie radę. Uśmiechnął się blado i strzepnął lejcami, ale kuc uparcie stąpał nadal w tempie, jakie mu odpowiadało. - To samochód doktora Markeya - dodał Moffat, kiedy mijali stróżówkę mieszczącą się tuż za żelazną bramą; jej skrzydła, stale otwarte na oścież, wisiały krzywo w zardzewiałych zawiasach. - Z pewnością młody Flynn czuje się znowu gorzej.

- Tak myślisz? - Głos Rose nie zdradzał większego zainteresowania. Żałowała już, że nie ubrała się cieplej. Dzień nie był wprawdzie chłodny, ale podczas całej przejażdżki siedziała w przeciągu i na ramionach miała gęsią skórę. Za zakrętem drogi dostrzegła drugiego z braci Flynnów; szedł jej skrajem, tuż przy trawie, dźwigając dwa wiadra z wodą.

- Witaj! - zawołał Gus, kiedy go mijali. Dopiero teraz Rose zauważyła, jak bardzo John urósł, odkąd widziała go ostatni raz, ale nie uznała tego faktu za istotny. Droga była tak samo wyboista jak podjazd przed domem i całą swoją uwagę Rose skupiła na utrzymaniu równowagi. - Miły chłopiec - mruknął po chwili Gus. - Kiedy będziemy wracać, zajrzemy do nich. Zobaczymy, czy wszystko w porządku.

- Dobrze - odparła bez entuzjazmu. Nie przepadała za tymi sztywnymi, krępującymi wizytami u robotników i dawnych dzierżawców, którzy nadal mieszkali na terenie ich posiadłości, gdyż nie wiedziała, jak ma się wobec nich zachowywać. Nie cierpiała wszelkich oznak służalczości ani urazy, jaką czasem wyczuwała. W stróżówce Flynnów nie była już od lat, ale wiedziała, że tamci przeżyli naprawdę ciężkie chwile. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w pewnym sensie los Flynnów stanowi wyrzut wobec jej stylu życia i z tego względu czuła się winna.

Na przestrzeni kilku mil nie minął ich żaden inny pojazd. Był już rok 1953, ale ta część Irlandii, od dawna zacofana, wyjątkowo powoli wracała do równowagi po latach wojny, a samochody i potrzebna do nich benzyna były rzadko spotykanym luksusem. Wielu ludzi, nawet zamożnych, nadal używało koni. Ale o tej porze dnia, wczesnym popołudniem, na drogach i tak nie było ruchu. Rose z trudem utrzymywała równowagę, trzymając się oburącz

boków powozu. Co jakiś czas wodziła wzrokiem, obserwując mijany krajobraz: ziemie leżące odłogiem, niewysokie wzgórza, ogrodzone pastwiska, na których poza drobnymi stadami nie było zbyt wiele bydła.

Spędzając w Dublinie większą część roku, często myślała z tęsknotą o rodzinnych stronach, ale tę porę, początek lata, kochała najbardziej. Po ciepłym, wilgotnym maju wszystko budziło się do życia, a łagodne jeszcze promienie słońca pogłębiały odcienie barw. Łąki były pełne jaskrów i srebrzystobiałych pięciorników i chociaż późne wiosny oraz głóg obumierały już, zaczynały za to rozkwitać dzikie róże, powój i krwawnik. Bujne, wysokie na stopę trawy wylęgały beztrusko na drogę, zielone i lśniące zdrowiem i wilgocią. Niżej położone tereny bagniste upstrzone były białymi i purpurowymi irysami, pomiędzy jarzębiną i głógiem ukazywało się już bladłososiowe kapryfolium. Mikroskopijne jeziora, niewiele większe od oczek wodnych na trzęsawiskach i rozrzucone bezładnie tu i ówdzie, okupowały chmary kaczek, pardw i innych przedstawicieli dzikiego ptactwa.

Niskie niebo skupiało pod sobą wszystkie zapachy, destylując je tak skutecznie, że wonie gnoju i gliny, wody i trawy, kwiatów i zwierząt tworzyły jeden wyrazisty aromat, który Rose określała zawsze jako „lato w Monaghan”.

- Czy mogę powozić, tato? - zapytała podniecona, kiedy od miasta dzieliła ich już zaledwie mila.

- Naturalnie, proszę bardzo - odparł Gus, podając jej lejce. - Musisz tylko być stanowcza wobec kuca, to wszystko.

Zanim dotarli do przedmieścia, minęły ich jedynie trzy samochody. Rose zastanawiała się przez chwilę, co mogłaby czuć, prowadząc auto, doszła jednak do przekonania, że zapewne nie dałoby to jej tyle satysfakcji, co kontakt z żywym stworzeniem i dotyk ciepłej skóry lejców. Wjechali już do miasta i Rose zwolniła, zmuszając kuca, aby szedł dalej stępą. Na głównej ulicy niemal wszyscy przechodnie pozdrawiali ich słowami lub choćby gestem dłoni. Moffat był zubożałym ziemianinem, ale w okolicy cieszył się opinią „przyzwoitego” człowieka i nikt, poza paroma fanatykami, nie kwestionował statusu społecznego jego rodziny. Sundarbans stanowiło teraz zaledwie pięćdziesiątą część dawnego obszaru, od dawna pozbawione dzierżawców, nadal jednak należało do dużych posiadłości, a fakt, że Moffat był katolikiem - dzięki przyjęciu tej wiary przez jednego z jego odległych przodków - poczytywano mu w całej okolicy za ogromny plus.

Gus przyjechał do miasta, aby odebrać paczki wysłane z Dublina, ale Rose, lawirując ostrożnie pomiędzy niedbale zostawionymi na ulicy wozami konnymi, ciężarówkami i rowerami, zorientowała się, że autobusu jeszcze nie ma. Zatrzymała powóz, zeskoczyła na

ziemię i owinęła lejce wokół latarni. Gus stanął obok niej i spojrzał na zegarek.

- Za dziesięć trzecia - mruknął. - Trochę za wcześnie. Wiesz *co*, kochanie? Wstąpię na moment do pani McCaig po gazetę, dobrze?

- W porządku - skinęła głową. - Przyjdę tam po ciebie, tato.

Upewniła się, czy kuc jest porządnie uwiązany do latarni, po czym przeszła na drugą stronę ulicy, gdzie grupa wędrownych handlarzy prezentowała swoje towary na dwóch długich, skleconych z desek stołach. Wolnym krokiem przechadzała się wzdłuż nich jakiś czas, oglądając i odkładając z powrotem oferowane przedmioty, garnki i czajniki, gumowe botki, ozdoby z porcelany i komplety śniadaniowe, tary do prania, świece, piecyki naftowe, dętki i opony rowerowe, nici oraz uprząż końską. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie kupić metalowego serca Jezusa, potem zwróciła uwagę na trzy stare mosiężne figurki koni. Ponieważ nic innego nie zdołało jej zainteresować, wydostała się z tłumu i skierowała do sklepiku z gazetami.

Pchnęła drzwi, wprawiając w ruch zawieszony nad nimi dzwonek. Jak zwykle, z lubością wciągnęła intensywny zapach tytoniu zmieszany z wonią czegoś, co kojarzyło jej się z wczesnym dzieciństwem: twardych cukierków w celofanowych papierkach. Właścicielka sklepu, która robiła coś na drutach, podniosła na nią wzrok.

- Witaj, Rose! - powiedziała. - Wróciłeś do domu na lato?

- Wróciłam, pani McCaig - odparła Rose. - Piękny mamy dzień, nieprawdaż? Myślałam, że znajdę tu tatę.

- Owszem, dzień jest piękny. Miejmy nadzieję, że nie będzie deszczu. Twój ojciec był tu przed chwilą, ale już poszedł. Powiedział, że czeka na autobus.

- Dziękuję - kiwnęła głową Rose i w tej samej chwili ujrzała w oknie witryny ciemną sylwetkę autobusu przejeżdżającego ulicą. - O, już jest. - Wyszła na zewnątrz. Autobus podobny do zielonego hipopotama z zadartym nosem, z dachem załadowanym rowerami, walizami i paczkami, zatrzymał się na przystanku. Kierowca opuścił kabinę i wszedł po drabince na dach, skąd zaczął podawać bagaż ludziom czekającym na trotuarze. Rose zbliżyła się do ojca. Swoje paczki, duże, ciężkie i niekształtne, otrzymał na końcu. - Co to takiego? - zapytała, kiedy przenosili je do powozu.

- Części samochodowe - odparł Gus. - Mam nadzieję, że wreszcie uruchomię tego grata.

- Byłoby wspaniale - ucieszyła się Rose. - Czy zdążysz naprawić go na jutro?

- Czyżby jutro był jakiś szczególny dzień? - zapytał Gus z niewinną miną.

- Tato! - zawołała Rose. Wciągała właśnie jedną z paczek do powozu i

znieruchomiła na ułamek sekundy. - Przecież wiesz bardzo dobrze, jaki to dzień!

- Tak, słusznie, chyba twoje urodziny?
- No więc, jak będzie?
- Z czym? Jak będzie z czym?
- Czy auto zostanie naprawione?
- Zobaczymy.

W połowie drogi do domu ujrzeli samochód doktora i zatrzymali się na krótką pogawędkę.

- Witaj, Rose, miło cię widzieć - powitał ją Markey. - Nie widzieliśmy się jeszcze tego lata. Na długo przyjechałaś?

- Jestem w domu dopiero od paru dni, doktorze - odparła.
- Doskonale, doskonale - mruknął. - A więc spędzisz tu całe lato?
- Tak.
- Musisz nas odwiedzić, dziewczęta się ucieszą.
- Dziękuję, chętnie się z nimi zobaczę.

Markey miał sześć córek, w wieku od czternastu do dwudziestu sześciu lat, cała rodzina mieszkała pod jednym dachem. Dziewczęta były miłe, choć nieco niesforne i Rose lubiła je, jakkolwiek przyzwyczajona do ciszy panującej stale w Sundarbans, czuła się zazwyczaj nieco znużona zgiełkiem, jaki witał ją zawsze w domu doktora.

- Cóż tam w stróżówce? Mam nadzieję, że nic poważnego? - zapytał Gus.

- Nie jest źle - odparł doktor. - Chodziło znowu o Dereka. Zwykłe przeziębienie. Nic mu nie będzie. Tak naprawdę nie ma się już czym przejmować: chłopiec jest teraz w lepszym stanie niż większość tutejszych mieszkańców.

- To dobrze - mruknął z ulgą Gus. Ojciec bliźniaków pełnił u niego funkcję zarządcy farmy, zanim jeszcze posiadłość podupadła. Po śmierci Flynn'a Gus pozwolił jego rodzinie pozostać w stróżówce. - Muszę ich odwiedzić któregoś dnia.

- Tak, proszę to zrobić, pułkowniku. - Markey przyśpieszył nieco obroty silnika. - Na mnie już czas. Do zobaczenia, Rose! - zawołał, ruszając.

- Do zobaczenia - odparła machinalnie. Kiedy podjeżdżali do bramy, chwyciła ojca za rękaw. - Tato! Nie idźmy dziś do Flynnów, dobrze?

- Dlaczego?

- Po prostu zmarłam. Miałaś rację, powinnam była ubrać się cieplej. Teraz marzę tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu i włożyć grubego sweter.

Wzruszył ramionami.

- Dobrze, Rose, jak sobie życzysz. Zresztą mogę wpaść do nich później sam...

Tego wieczoru, już po kolacji, Rose usiadła przy oknie w swoim pokoju, usiłując zebrać w sobie dość entuzjazmu, aby dokonać kolejnego wpisu do dziennika. Zachodzące słońce igrało na jej twarzy.

Jedyną częścią ogrodu w Sundarbans, o jaką jeszcze trochę dbano, był rozległy trawnik przed domem; zbyt zachwaszczony i dziki, aby móc go nazwać wypielegnowaną murawą, ale jednak zielony i ładny. Rose patrzyła rozmarzona na trawę i hasające po niej dwa psy, dalmatyńczyka oraz mieszańca, krzyżówkę boksera z labradorem, które walczyły zaciekle o rozerwaną już gumową piłkę. Wigor, z jaką się zmagaly, kompensował w pewnym sensie panującą wokół ciszę; ta sielankowa scena oraz ciepłe promienie słońca budziły w Rose rozkoszne uczucie rozleniwienia.

Dom wznosił się na szczycie niewielkiego wzgórza, trawnik opadał w dół w stronę lasu i słabo widocznego stąd jeziora, którego lśniąca tafla migotała odbłaskami słońca w drobnych lukach pośród odległej zieleni. Rose siedziała bez ruchu, pozwalając przez chwilę błądzić oczom i myślom. Kiedyś, podczas pobytu w Dublinie w okresie Bożego Narodzenia, wybrała się na „Giselle”. Romantyczny, pełen patosu charakter przedstawienia poruszył ją do głębi. Teraz, mimo iż było jeszcze widno, wyobraziła sobie nagle, że jest willidą, otwiera okno i leci, unoszona przez ciepłe powietrze, nad trawnikiem i drzewami, aż dociera nad jezioro. Ale czegoś w tym obrazie brakowało. A raczej kogoś. JEGO. Kto zostanie jej Albertem?

Bycie jedynaczką zawsze stanowiło dla niej problem, teraz jednak, jako nastolatka wysłuchująca opowieści szkolnych koleżanek o przyjaciółach ich braci, tym bardziej uświadamiała sobie głębię własnej samotności. Westchnęła ciężko. Letnie wakacje rozciągały się przed nią niczym beznadziejnie monotonna i pusta, bezkresna pustynia. Jedyną nadzieję pokładała w wystawie koni w Dublinie, ale ta impreza miała odbyć się dopiero w sierpniu.

Opuściła wzrok na dziennik, który trzymała na kolanach. Miał lichą miedzianą klamerkę i był otwarty na ostatnim wpisie z pierwszego czerwca, dnia poprzedzającego jej przyjazd na wakacje do domu. Teraz był już dziewiąty, jej zaś brakowało energii i nastroju, aby zanotować cokolwiek. Dostała ten brulion w prezencie na poprzednie Boże Narodzenie, ale szczerze wątpiła, czy zdoła go kiedykolwiek zapełnić. Był przewidziany na pięć lat, tempo jednak, w jakim go prowadziła, nasuwało przypuszczenie, że bieżący rok będzie ostatni.

Czy wydarzyło się coś szczególnego, odkąd przebywała w domu? Raczej nie. Dwa wyjazdy do Carrick, parę razy przejażdżka na kucu wokół posiadłości. Prócz konia zaprzęganego do powozu Gus miał jeszcze dwa inne konie: myśliwskiego, który był niemal tak stary

jak kuc, oraz pięcioletnią siwą klacz Connemare, kupioną w zeszłym roku dla Rose na targu końskim w Ballinasloe. Rose lubiła jeździć konno, a klacz przypadła jej do gustu, marzyła jednak z całego serca, aby móc odbywać te przejażdżki z kimś, nie samotnie.

Jeszcze raz przeczytała notatkę z pierwszego czerwca:

Na śniadanie marmolada i znowu jajko na twardo. Trudno, w domu jedzenie będzie lepsze.

Ciekawe, co mnie czeka tego lata? Może poznam wreszcie JEGO? Dałabym wiele, aby wiedzieć już, kto to będzie... Na pewno nikt z Drumbooli. Mam już prawie szesnaście lat i jeszcze nigdy nie całowałam się tak naprawdę. Może w tym roku? Gemma T. przysięga, że zrobiła to w ostatnie święta na tylnym siedzeniu samochodu. Kłamczucha!

I w ten sposób, drogi pamiętniku, minął kolejny rok w szkole. A w przyszłym roku tak gorąco upragnione zakończenie! Ciekawe, czy zostanę starościaną klasową??????

Następny wpis zrobię już w Sundarbans.

Rose musiała przyznać w duchu, że brak jej inspiracji. Lubiła czytać książki sióstr Bronte i Jane Austen, czuła, że ma równie romantyczną duszę jak ich bohaterki; pod tym względem mogła się z nimi identyfikować. Kiedy zaczęła prowadzić dziennik, przyszło jej do głowy, że może właśnie ona stworzy podwaliny wielkiej literatury. W końcu jej życie rodzinne mogło dostarczyć nie mniej pasjonujących tematów literackich niż losy postaci z tamtych powieści. Kartkując zeszyt, cofnęła się do początku roku. Zaczęło się nieźle, ale potem notatki stawały się coraz rzadsze i krótsze. Odstępy pomiędzy poszczególnymi wpisami wydłużyły się do co najmniej tygodnia. Była teraz zła na siebie za tę opieszałość.

Za oknem psy walczyły na trawniku o ułamaną gałąź. Po chwili namysłu Rose podjęła decyzję: tego lata musi poprawić swój styl. Każdego wieczoru, bez względu na to, co jeszcze będzie miała do roboty i jak bardzo będzie zmęczona, zapisze całą stronę pamiętnika, wypełniając ją słowami, myślami i uczuciami. Skoncentruje się na przyrodzie, która otacza ją w Sundarbans. A poza tym są jeszcze chłopcy i inne ważne tematy.

Chłopcy jednak nie odgrywali w jej życiu żadnej szczególnej roli. Trudno, trzeba się z tym pogodzić i skupić na czymś ważnym. Postanowiła, że zacznie słuchać codziennie wiadomości radiowych o wpół do pierwszej. W ten sposób jej dziennik, podobnie jak dziennik Anny Frank, nabierze charakteru bardziej autentycznego i historycznego. Tak, zacznie od razu. Ujęła pióro i poczęła intensywnie myśleć.

Ale tego dnia nie zdarzyło się nic zasługującego na uwagę, jeśli nie liczyć podróży do

Carrickmacross.

Zamknęła brulion i położyła go na nocnym stoliku razem z piórem. Zacznie od jutra, tym razem nieodwołalnie. A tego pięknego wieczoru nie zmarnuje, o nie! Pójdzie na spacer i przy okazji podejrzy trochę przyrodę.

Z tym mocnym postanowieniem wyszła z pokoju. Omijając sfatygowany chodnik, który pokrywał środek szerokich schodów, umyślnie kroczyła głośniejszym krokiem, niż musiała. Stukot jej obcasów po marmurowej posadzce odbijał się wielokrotnym echem od ścian obszernego holu, wyłożonych dębową boazerią.

Nikt jednak się nie zjawił, nie zapytał, dokąd wychodzi: gospodyni nie sypiała już tutaj, o tej porze była z pewnością u siebie w domu; Gus robił coś w stajni albo wyszedł z psami; babcia leżała w łóżku, nie czując nawet, że książka wysuwa jej się z rąk, a dwa wiekowe pekińczyki drzemały w najlepsze na kołdrze staruszki.

Była jeszcze matka. Prawdopodobnie siedzi teraz w małym pokoiku obok salonu i oddaje się jakiejś zbożnej lub pożytecznej czynności; Rose była tego pewna. Daphne O'Beirne Moffat była angielską neofitką, która gorliwie zwracała się ku wszystkiemu, co się wiązało z Kościołem katolickim, łącznie z instytucjami charytatywnymi i kółkami religijnymi. Wiele czasu spędzała na działalności ochotniczej, ostatnio na przykład zajmowała się dekorowaniem ołtarza dla diecezji. Rose wyobrażała ją sobie, jak siedzi z koszykiem do robótek u stóp, a krzesło tonie w zwojach sztywnego brokatu i lśniącego jedwabiu. Na palcach przeszła przez hol, idąc korytarzem minęła drzwi kuchni, zbliżyła się do tylnego wejścia i przystanęła, aby musnąć dłonią twardego, nieco już wytartego łeba jelenia, umieszczony na ścianie na wysokości oczu. Jako mała dziewczynka nazwała zwierzę Roger i jeszcze teraz - mimo iż przybyło jej trochę lat - nigdy nie mijała go bez jakiegoś przyjaznego gestu. Poróż zachowało się tylko po jednej stronie i ta asymetria sprawiała, że w wyglądzie jelenia było coś zabawnie zuchowatego. Rose upewniła się, że nikt jej nie słyszy, a potem spojrzała prosto w jedno ze szklanych oczu.

- Dobry wieczór, Roger - szepnęła pogodnie. - Idę tylko na wieczorny spacer, jak zwykle...

Otworzyła drzwi, które od lat nie widziały świeżej farby, i zawahała się. Dzień był ciepły i suchy, ale wiedziała, że brzeg jeziora, bo tam zamierzała się przejść, jest zapewne błotnisty. Zdjęła lekkie pantofle, ze stosu obuwia w kącie za drzwiami wybrała wysokie kalosze. Były czarne, ani za duże, ani za małe, ale nie stanowiły pary - jeden z nich miał obcas ozdobiony czerwoną, zniszczoną już obwódką. Włożyła je i zmierzyła krytycznym wzrokiem. Przyszło jej na myśl, że nie pasują zbyt do lnianej sukienki bez rękawów.

- Co z tego? Kto mnie teraz zobaczy? - powiedziała na głos, po czym pchnęła drzwi i wyszła przed dom, w zapadający dopiero zmrok.

Ruszyła na przełaj przez trawnik, gwizdnęła na psy, które podbiegły do niej natychmiast, a potem swawoliły przed nią cały czas, gdy schodziła po zboczu w stronę zaniedbanego gąszczu zieleni, nazywanego nadal przez rodzinę ogrodem. Nazwali go tak dawno temu, kiedy jeszcze zachwycał klombami róż, trawiastymi gazonikami i starannie przystrzyżonym żywopłotem. Rose pamiętała mgliście, jak dwaj ogrodnicy, ojciec i syn, podnieśli ją wysoko, aby mogła popatrzeć na zegar słoneczny. Zegar miał już teraz nowego właściciela, klomby róż zarosły chwastami, przywodząc na myśl dzikie chaszczce, a dawny ogród przypominała jedynie popękana, bezręka kamienna figura, którą pokrywały zielone, śliskie algi.

W leśnym zagajniku panowała głucha cisza; przerywały ją w tej chwili tylko pomykające przed Rose psy. Przystanąła na chwilę, pozwalając, aby trochę się oddaliły, i poczęła wsłuchiwać się w odgłosy przyrody. Wierna swemu postanowieniu związanemu z prowadzeniem dziennika, wyężyła słuch i próbowała odnaleźć słowa, które mogłyby oddać to wszystko, co tu widziała, słyszała i czuła.

Rozproszony blask wieczornego słońca. Przenikać. Rozproszony blask wieczornego słońca przenikał dach zieleni. Tuż przy ziemi rozbrzmiewały pojedyncze szeleszczące dźwięki...

Nie, nie tak. Lepiej byłoby: *Pojedyncze szeleszczące dźwięki rozbrzmiewały tuż przy ziemi.*

Zadowolona z siebie uniosła głowę i odetchnęła głęboko. Czysta i świeża woń. Sosnowa woń. Nie, to brzmi zupełnie, jakby opisywała zapach w łazience, jakieś krople lecznicze w domowej apteczce. *Woń świeżej zieleni.* Właśnie, tak jest dobrze. *Woń świeżej zieleni.*

Mogłaby nawet pokusić się o napisanie poematu: *Świeża zieleń igliwia w blasku wieczornego słońca...*

Podniesiona na duchu ruszyła dalej.

Była tak podniecona jak dawniej, gdy będąc małą dziewczynką, zaczynała się pasjonować kolejnym hobby. Za każdym razem miała wrażenie, że znalazła wreszcie to, co jej naprawdę odpowiada, obiecywała więc sobie w duchu, iż będzie się tym zajmować do końca życia. Czy chodziło o zbieranie znaczków, widokówek lub muszli, o robienie na drutach bądź też rysowanie, na początku Rose widziała siebie zawsze jako miłą, siwowłosą starszą panią, siedzącą przy kominku w domku pełnym kwiatów; robiła na drutach albo

rysowała coś ładnego i opowiadała wnukom o swoim uroczym, długoletnim hobby.

Jak dotąd jednak, żadne z tych zajęć nie zdołało zainteresować jej na dłużej niż parę tygodni. W konsekwencji Rose dręczyły stale wyrzuty sumienia; czuła się winna z powodu własnego braku dyscypliny i niestałości, a przekonanie to potęgowały krytyczne uwagi czynione przez zakonnice w internacie.

Ale pisanie, myślała Rose podążając za psami, byłoby czymś zupełnie innym. Doszła już prawie nad jezioro, widziała nawet tafłę wody, gładką, oddaloną zaledwie o parę jardów.

- Muffin, Charlie, do nogi! - zawołała, psy jednak nie wracały.

Krzyknęła na nie ponownie, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie ciche szczeknięcie Muffin, kundelki. Zdumiona tym nieposłuszeństwem, wyszła zza drzew na trawiasty brzeg jeziora i spojrzała w stronę, z której dobiegł ją przed chwilą głos Muffin. Oba psy znajdowały się teraz o jakieś sto jardów na zachód od niej, na skalistym cyplu, który wrzynał się w wodę i służył zawsze jej rodzinie jako zapasowe moło. Prawdziwe moło, zbudowane sto jardów dalej, było z drewna. Zdążyło już zbutwieć i zapaść się pod wodę. Psy, merdając ogonami, łąsiły się do wysokiego chłopca z wędką w ręce, który spoglądał w jej stronę.

Zachodzące słońce świeciło Rose prosto w oczy, osłoniła je więc dłonią, aby zobaczyć jego twarz. Kimkolwiek był, znalazł się na terenie stanowiącym własność prywatną.

Zawahała się. Nie lubiła się zachowywać zaczepnie lub arogancko, ale ojciec już kilkakrotnie narzekał na kłusowników, uznała więc, że musi jakoś zareagować. Ruszyła w stronę cypla, ale chłopiec nie odchodził, a ona, w miarę jak podchodziła bliżej, uświadamiała sobie coraz bardziej, jak dziwacznie musi wyglądać w sfatygowanych kaloszach i płóciennej sukience. Słońce oslepiło ją w dalszym ciągu, zdołała jednak otworzyć szerzej oczy i zapytać ostrym, stanowczym tonem:

- Kim jesteś? Co tu robisz? - Zatrzymała się dwadzieścia jardów przed nim i ujęła pod boki gestem, jaki podpatrzyła u matki.

- Dzień dobry, panno Rose - powiedział chłopiec.

- John! - Zmieszana faktem, że go nie poznała, ponownie osłoniła oczy dłonią. - Przepraszam - dodała i podeszła bliżej. - Nie poznałam cię z daleka. Nie przeszkadzaj sobie, oczywiście możesz tu robić, co chcesz. - Wiedziała, że Flynnowie nie mają prawa wchodzić na teren posiadłości Sundarbans, podobnie jak inni, ale była także świadoma, że Gus patrzy przez palce na fakt, iż Flynnowie, tak ciężko doświadczeni przez los, złowią niekiedy pstrąga lub schwytają bażanta.

- W porządku, panno Rose - odparł John, zwijając wędkę. - I tak właśnie kończyłem łowić, dziś ryby nie biorą.

Był zupełnie spokojny, nie śpieszył się i Rose, zbita z tropu, zawahała się, nie znajdując stosownych słów. Nie wiedziała nawet, czy powinna zostać, czy pójść dalej. Psy, które siedziały między nimi, czekając cierpliwie na jakieś polecenie, dyszały szybko, i ten odgłos rozbrzmiewał głośno w jej uszach.

Aby ukryć zakłopotanie, nachyliła się i pogłaskała Charliego. Nigdy jeszcze nie spotkała się z żadnym z braci Flynnów na gruncie towarzyskim, poza ich kuchnią. Dawniej, gdy żył ojciec chłopców, co roku odwiedzała wraz z rodzicami stróżówkę przynosząc prezenty na Boże Narodzenie - funt masła, funt herbaty, funt wędlin oraz półkoronówkę. Wyszorowane do połysku bliźniaki, wówczas małe dzieci jak i ona, były poddawane dokładnym oględzinom, a potem z głębokim ukłonem mówiły: „Dobry wieczór, panno Rose”, „Dobry wieczór, panie pułkowniku” i „Dobry wieczór pani”. Po śmierci ojca chłopców Rose miała okazję rozmawiać z obu bliźniakami jedynie parę razy - a i to nigdy, gdy była sama.

- Co u ciebie słychać, John? - zapytała teraz. Miała nadzieję, że nie zachowuje się jak dama z dworu, a jednocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, iż tak właśnie wygląda. - Widziałam cię dzisiaj na drodze, zdawało mi się, że masz się dobrze.

- Tak, u mnie wszystko w porządku, dziękuję - odparł John. Wziął w rękę haczyk i zaczepił go o jedno z uszek wędki.

- A twój brat? - pytała dalej. Zaryzykowała wreszcie dokładne spojrzenie; pierwsze, na jakie się odważyła. Dopiero teraz dostrzegła, że chłopak ma jasne kręcone włosy i szare oczy.

- U niego też wszystko w porządku... no, może niezupełnie. Derek miał jeden z tych swoich ataków, po południu był u niego doktor.

- Och, bardzo mi przykro. A doktora spotkaliśmy na drodze. - Rose gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć nazwę choroby, na którą cierpiał brat Johna, ale bez skutku. - Mam nadzieję, że atak nie był zbyt ciężki.

Podniósł z ziemi starą płócienną torbę.

- Nie, panno Rose, to tylko przeziębienie. - Stał przed nią grzecznie, jakby czekał na pozwolenie, aby odejść.

- No cóż... - powiedziała Rose. - Przekaż mu, proszę, ode mnie najlepsze życzenia... żeby wyzdrowiał jak najszybciej.

- Przekażę, dziękuję bardzo - odparł.

Rose przyszła już nieco do siebie. John był całkiem przystojnym młodzieńcem. Wprawdzie nie wyobrażała sobie, aby to on mógł się okazać NIM, ale z drugiej strony człowiek powinien być otwarty na każdą możliwość. Naprawdę prezentuje się nieźle. Szare,

głęboko osadzone i szeroko rozstawione oczy, lekko uniesione ku górze w zewnętrznych kącikach, ładne zęby, nie takie jak u większości młodych Irlandczyków.

- Jakie to uczucie być bliźniakiem? - zapytała impulsywnie. - Czy ludzie myślą was, biorą jednego za drugiego?

Roześmiał się wesoło.

- Raczej nie. Jesteśmy do siebie podobni, ale nie identyczni. Zresztą Derek ma inne ramię... - Widząc pytający wyraz jej twarzy, wyjaśnił: - Usunięto mu płuco i od tej pory ma jedno ramię trochę niższe od drugiego.

- Ach, tak - mruknęła. Zamilkła na chwilę, a potem poprosiła: - Wiesz, nie bardzo mam tu co robić... Może byś mnie nauczył łowić ryby?

Zareagował tak, jakby zaproponowała mu wspólny lot na Księżyc.

- Co takiego? - zawołał z niepokojem w głosie.

- Chciałabym, John, abyś nauczył mnie łowić ryby - powtórzyła, przechylając głowę na bok i obdarzając go swoim najczarowniejszym uśmiechem.

Przezeszał sobie dłonią włosy, ona zaś pomyślała z lękiem, że John zgodzi się w przekonaniu, iż musi spełnić prośbę panny ze dworu.

- Oczywiście, jeśli nie będzie to dla ciebie zbyt duży kłopot, ale może jesteś zanadto zajęty... - dodała i nagle umilkła. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej na tym zależy, aby jednak ją uczył. - Ja... zamierzam pisać o łowieniu ryb - szepnęła.

- Pisać książkę? - zapytał z widocznym podziwem.

- Może kiedyś powstanie z tego książka, na razie robię tylko notatki - zmyśliła na poczekaniu.

Patrzył na nią z wahaniem.

- Nigdy przedtem panienka nie łowiła ryb? - zapytał w końcu.

Pokręciła głową przecząco.

- Cóż, jest wiele sposobów. Nie wiem, o jaki panience chodzi...

- Wszystko jedno - odparła. - A jaki byś proponował? - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zaciska dłoń na obroży Charliego. Puściła psa, on zaś natychmiast pomknął w stronę cypla. Oboje obserwowali przez moment, jak chłepcze wodę, uderzając leniwie o brzeg. - Lubisz psy? - przerwała wreszcie milczenie Rose.

- Raczej tak, to miłe stworzenia. - Umilkł, po czym dodał: - Nawet chciałbym mieć jakiegoś.

- To dlaczego nie masz?

- Nie stać by nas było na wyżywienie psa - wyjaśnił cicho.

- Wystarczyłoby dawać mu resztki - odparła bez zastanowienia i w tej samej chwili ugryzła się w język. To przecież oczywiste, że u nich w domu jada się tak skromnie, iż na stole nie pozostają żadne resztki. - Może kiedyś będziesz miał psa - próbowała naprawić gafę, ale było już za późno. Poznała to po jego minie.

- Co do ryb... - zmienił temat. - W tym jeziorze są pstrągi, leszcze i małe szczupaki. Każde z nich łowi się inaczej. Mogę nawet pokazać, gdzie się kryją łososie.

- Och! - skrzywiła się. - Nie znoszę widoku szczupaków! - Nigdy jeszcze nie widziała szczupaka żywego, ale w holu frontowym w Sundarbans stały dwa akwaria z dużymi okazami tej ryby; miały żalosalne szklane oczy i rozwarte szczęki. - A mógłbyś mnie nauczyć łowić pstrągi?

- Nie ma nic trudniejszego niż łowienie pstrągów, panno Rose...

- Jeśli masz mnie uczyć wędkowania, nie możesz zwracać się do mnie „panno Rose”, nie uważasz?

Przesunął dłonią po włosach.

- Może... Ale w takim razie jak miałbym mówić?

- Po prostu: Rose.

- Nie sędzę, abym mógł się na to zdobyć.

- Spróbuj choć raz... Śmiało! - Rose odzyskała już równowagę po tamtej gafie i teraz znowu panowała nad sytuacją.

- Może trochę później, kiedy się lepiej poznamy. - Uśmiechnął się.

W uśmiechu pokazał zęby. Były bardzo białe, nieco drobniejsze pośrodku, po bokach zaś duże, niemal jak u wilka. Jest naprawdę bardzo przystojny, uznała w duchu i pomyślała, że dobrze, iż ma na sobie tę ładną lnianą sukienkę. Potem przypomniała sobie nieszczęsne gumowe botki.

- Przepraszam za te kalosze - powiedziała. Słowa wymknęły jej się, zanim zdążyła pomyśleć. Poczwała się upokorzona.

Opuścił wzrok na jej nogi.

- Za co panienka przeprasza? Cóż innego można włożyć, kiedy się idzie nad jezioro? - On sam, jak zauważyła, był boso. Miał duże stopy, opalone, o długich palcach. Uśmiechnął się ponownie. - Czy zaczniemy naukę od razu?

- Mówiłeś chyba przedtem, że dziś ryby nie biorą?

- Zgadza się. A więc kiedy zaczniemy? - Przerzucił sobie torbę przez ramię.

- Sama nie wiem. Bardzo jesteś zajęty w ciągu najbliższych dni?

Roześmiał się.

- Wcale nie jestem zajęty. - Nagle spowaźniał. - Chociaż chciałbym być, naprawdę. Szukam pracy. My... ja przerwałem naukę.

- Twój brat też szuka pracy?

- Tak. Ale tu w okolicy, z tego, co się zorientowałem, nie ma najmniejszej szansy na znalezienie czegokolwiek.

Wolnym krokiem ruszyli wzdłuż brzegu. Domyśliła się, że tam, gdzie go przedtem ujrzała, musiał stać w jakimś zagłębieniu skalnym, gdyż teraz, kiedy szli ramię w ramię, John był od niej wyższy przynajmniej o sześć cali. W głowie czuła całkowity zamęt. Jej doświadczenie z chłopcami było równe zeru. Przed dwoma laty, podczas pobytu w Dublinie, gdzie odbywała się wystawa koni, Gus nakłonił ją, aby poszła na prywatkę organizowaną w domu jednego z przyjaciół rodziny. Było to jej pierwsze zetknięcie z chłopcami na gruncie towarzyskim, tak więc natychmiast sparaliżowała ją trema. Ktoś z obecnych zaproponował zabawę „w butelkę”, butelka obracając się wskazała na nią i w ten sposób Rose otrzymała swój pierwszy pocałunek. Przyjemność, jaką wtedy odczuła, jakkolwiek krótkotrwała i żenująca, okazała się dla niej prawdziwym szokiem. Potem przez długie tygodnie, przebywając już w swoim bezpiecznym internacie, leżała nocami, nie mogąc zasnąć, i gorączkowo przyciskała sobie dwa palce do ust, usiłując odtworzyć choćby cień tamtego doznania.

Teraz, spacerując u boku Johna, mimo woli zaczęła rozmyślać, jakby to było poczuć na ustach wargi Johna Flynna. Sama myśl o tym sprawiła, że przeszedł ją nagły dreszcz. Aby nie dostrzegł niczego, nachyliła się, udając zainteresowanie jakimś kamykiem. Kamyk był pospolity, gładki i szary, ale ona podniosła go do oczu, tak jakby znała się na okruchach skalnych, a ten stanowił wyjątkowo cenny okaz. Potem wsunęła kamyk do kieszonki sukni i ruszyła dalej.

- Wiesz, chcę zostać pisarką. - To rezolutne oświadczenie zabrzmiało w jej uszach tak, jakby wypowiedział je ktoś inny.

- Naprawdę? - Najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie. - Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto chciałby zostać pisarzem.

- Och! - Skinęła głową jak człowiek dojrzały i mądry. - Powiedziałam, że chcę zostać pisarką, a nie, że nią jestem. To wielka różnica, chcieć a być.

- A jednak... - zaczął z namysłem - to wspaniałe wiedzieć, czego się chce.

Poczuła lęk. Może John zacznie wypytywać ją szczegółowo i odkryje, że jej rozbudzona dopiero co ambicja to tylko pozory?

- A ty, John? - zapytała. - Kim będziesz w przyszłości? To znaczy: kim chciałbyś być?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Zresztą to, kim chciałbym być, nie ma najmniejszego znaczenia. Przede wszystkim muszę znaleźć jakąś pracę.

Skierował wzrok na jezioro, a Rose odniosła wrażenie, że to oznacza koniec ich rozmowy. Szli dalej w milczeniu, którego on nie zamierzał chyba przerywać, ona zaś myślała intensywnie, usiłując za wszelką cenę znaleźć jakiś temat.

- Jutro są moje urodziny - powiedziała wreszcie, nie mogąc wymyślić nic lepszego.

- O, w takim razie wszystkiego najlepszego - uśmiechnął się znowu.

Usta miał szerokie i wygięte w ładny łuk. Rose poczuła, że dostaje gęziej skórki. Jednocześnie ogarniała ją lekka irytacja. Przecież to on powinien być zakłopotany, nie ona! Ostatecznie wszedł na teren prywatny, czyż nie?

- Co słychać u twojej mamy? - zapytała, naśladowując protekcjonalny ton, jaki dosłyszała kilkakrotnie w głosie swojej matki, gdy ta rozmawiała z dostawcami na temat rachunków.

Ale John najwidoczniej nie zwrócił na to uwagi.

- Mama przeżywa to wszystko bardzo ciężko - odparł. - I nie wiem, jak sobie da radę, gdybyśmy my stąd wyjechali. Z jednej strony tak byłoby dla niej lepiej, to znaczy taniej, gdyby nie musiała już nas utrzymywać. Ale kto by jej narąbał drewna, kto by przynosił wodę i w ogóle... - Ostatnie słowa wymamrotał pod nosem, tak jakby zdał sobie sprawę, że powiedział już za dużo.

- Wyjedziecie stąd? - zapytała cicho.

- Nie wiem - odparł. - Będziemy musieli, jeśli nie dostaniemy tu pracy.

- I dokąd się udacie? - zapytała Rose. - A co do matki... Czy nie mogłaby pojechać razem z wami?

- Nie, raczej nie. Spędziła tu całe swoje życie. Ale niedaleko stąd, pod Carrickasedge, mieszkają jej siostra i brat. Może przeniosłaby się do nich?

Od jakiegoś czasu jedynym tematem rozmów w Sundarbans stały się pieniądze, a ściślej mówiąc, ich brak. Ale bez względu na kryzys finansowy, jaki dotknął ją i jej rodzinę, Rose już dawno temu zrozumiała, że ubóstwo jest rzeczą względną. Ze ona może przynajmniej iść przez życie, dokonując jakiegoś wyboru. A jeśli już będzie musiała zarabiać na własne utrzymanie, to - tak jak stale powtarzały jej zakonnice w internacie - ze świadectwem ukończenia szkoły w rękę może ubiegać się o posadę w urzędzie lub w banku. Albo też - jak nieraz marzyła w duchu - zostać stewardesą w powstałych niedawno irlandzkich liniach lotniczych Aer Lingus. Jednej z absolwentek szkoły Świętego Ludwika w Carrickmacross udało się zdobyć taką właśnie posadę, a jej zdjęcie zamieszczono potem na pierwszej stronie w piśmie „Argus”.

Doszli już do miejsca, gdzie brzeg jeziora pokrywał nieprzebyty gęszcz rododendronów. Musieli teraz albo skręcić i oddalić się od wody, albo wrócić tą samą drogą, którą tu dotarli. Rose zawołała psy, ale bez skutku. Widocznie pognały wcześniej do domu.

- Posiedźmy tu trochę - zaproponowała, zaskoczona znowu własną śmiałością.

Zawahał się.

- Nie jestem pewien...

- Och, daj spokój! Nikt nas tu nie zobaczy! - nalegała Rose.

Przeszła parę kroków dalej, tam gdzie trawiasty brzeg tworzył półkolistą wnękę, wygodną do siedzenia. Po chwili namysłu John odłożył na bok wędkę i zbliżył się do Rose, ale nie zajął miejsca obok niej, tylko usiadł w przyzwoitej odległości, twarzą do jeziora. Zebrał garść kamyków i zaczął ciskać je na wodę, jeden po drugim.

Patrzyli w milczeniu na kręgi, które rozchodziły się po jeziorze coraz dalej i dalej, aż zniknęły z pola widzenia, a powierzchnia wody znieruchomiła ponownie, przywodząc na myśl gładkie lustro. O pięćdziesiąt stóp od nich na lewo, gdzie linia brzegowa tworzyła zakręt, wśród trzciny stała bez ruchu czapla. Nisko nad wodą kłębiły się chmary owadów, poza tym jednak nie dostrzegli nigdzie innych oznak życia. Woda obmywająca kamienie na brzegu szemrała ledwie słyszalnie, z daleka dobiegał przytłumiony warkot silnika, tak cichy, że Rose nie potrafiła ocenić, czy to odgłos traktora, czy piły łańcuchowej.

Czas płynął. W odległości dziesięciu jardów od brzegu jakaś ryba plusnęła w wodzie i John spojrział w tę stronę.

- Pstrąg - szepnął. Rose kiwnęła głową.

- Nauczysz mnie?

- To będzie prezent urodzinowy - odparł.

ROZDZIAŁ 2

Derek Flynn wypatrywał brata dłużej niż godzinę. Zgodnie z zaleceniami doktora, który „na wszelki wypadek” kazał mu zostać w łóżku, leżał posłusznie, choć atak już minął. Czuł się teraz dużo lepiej, był tylko straszliwie znudzony.

Żywopłot z tarniny rosnący pod oknem przesłaniał dużą część nieba, ale ten prostokątny skrawek, który był widoczny z łóżka, przybrał już barwę zwiastującą rychły zachód słońca. Derek słyszał, jak matka krząta się po kuchni, a niebawem miarowy odgłos zdradził mu, że zagniała ciasto.

- Która godzina, mamó? - zawołał.

Dobiegły go jej kroki; z pewnością podeszła do kominka i podniosła z jego obramowania tani zegarek, który zawsze leżał tam tarczą do dołu.

- Właśnie minęło wpół do dziewiątej! - odrzyknęła. Powróciła do poprzedniej czynności.

- O której miał wrócić John? - zawołał znowu.

- Zależy od tego, jak ryby będą brały - odparła. - Wziął ze sobą wędkę, poszedł chyba nad Łabędzie Jezioro.

- To nie w porządku - uzalił się nad sobą Derek.

- Co nie w porządku?

- Nie w porządku i już.

Nie odpowiedziała. Derek leżał bez ruchu, czuł, jak się poci; częściowo sprawiały to leki, częściowo pogoda. Szorstkie płócienne prześcieradło drażniło skórę nóg, zniecierpliwiony odgarnął je i leżał odkryty wśród rozrzuconej pościeli. Obserwował pokój. Kwiecista papierowa tapeta na ścianach wyblakła już ze starości, w górze, pod sufitem, ciemniały plamy wilgoci. W sypialni mieściło się akurat podwójne żelazne łóżko, dwa krzesła i niezbyt umiejętnie sklecone półki, których dolna część była okryta zasłonką z materiału: leżały tam koszule chłopców i ich bielizna. Na drzwiach pokoju znajdowały się drewniane wieszaki, na których wisiały spodnie i kurtki braci. Odślonięta część półek prezentowała ich skromny dobytek i eklektyczny, bardzo przypadkowy księgozbiór Dereka; większość książek pochodziła z dworku. Na ścianach widniały dwa oprawione obrazy: błądy wizerunek Chrystusa Dobrego Pasterza, tuż nad łóżkiem, a naprzeciw okna - Najświętszej Panny, nad której głową błyszczała złocista korona. Derek miał dość tego widoku. Usiadł w łóżku.

- Czy mogę już wstać, mamó? - zawołał. - Czuję się dobrze, naprawdę.

Czekał na odpowiedź, ale matka wyszła z kuchni i stanę - ław progu.

- Okryj się - poleciła. - Jeszcze się zaziębisz.

- Na miłość boską, mamó, przecież jest lato! I nie masz do czynienia z małym dzieckiem!

- Natychmiast się okryj!

Podeszła bliżej i wyjęła mu spod głowy poduszkę, aby ją strzepnąć. Natychmiast posypało się z niej na wszystkie strony pierze. Derek kichnął, gdy jedno piórko musnęło mu nos.

- Widzisz? - mruknęła z wyrzutem matka. - Mówiłam, że się przeziębisz. - Położyła poduszkę. - Rano wezmę ją i zszyję porządnie. - Wyszła z sypialni, a w chwilę później usłyszał, jak wysypuje popiół z kuchenki. Zamknął oczy, ale sen nie nadchodził.

Upłynęła godzina. Prostokąt widoczny za oknem nad żywopłotem przybrał jasnozłocisty kolor, kiedy do stróżówki wszedł John. Derek ponownie usiadł w łóżku.

- John! - zawołał.

Jego brat stanął natychmiast w progu sypialni.

- Gdzie byłeś? - zapytał Derek.

- Na dworze.

- Tak, ale gdzie?

- Nad jeziorem.

- Tyle czasu?

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał cierpliwie John.

- O nic.

John odwrócił się i przeszedł do kuchni, a Derek znów padł plackiem na łóżko.

- Mamó! - zawołał. - Możesz mi przynieść coś do jedzenia?

- Zaraz dostaniesz kolację! - odkrzyknęła, ale dziesięć minut później nie ona, lecz John zaniósł do sypialni kubek herbaty i kromkę chleba grubo posmarowaną smalcem. Podał kolację bratu i usiadł na brzegu łóżka.

Derek wyczuł, że coś nurtuje jego bliźniaka.

- Złowiłeś jakąś rybę? - zapytał z pełnymi ustami. John pokręcił głową.

- Ani jednej sztuki.

- Widziałeś coś ciekawego? - Jako mali chłopcy obaj spędzali całe godziny bez ruchu, ukryci w krzakach, aby móc podglądać borsuki i rude wiewiórki.

John jeszcze raz pokręcił głową. Spoglądał za okno.

- Poczekaj - mruknął po chwili. - Przyniosę sobie kubek herbaty i pogadamy trochę. -

Wyszedł, a po chwili Derek usłyszał, jak brzęczy naczyniami w kuchni i życzy matce dobrej nocy. Kiedy wrócił, w sypialni było już ciemno. John zamknął za sobą drzwi, zapalił świecę i rozebrał się, po czym usiadł na łóżku. - Możesz zgadywać - powiedział w końcu, sadowiąc się wygodnie z kubkiem w dłoni.

- Co mam zgadywać?

- Zgadnij, kogo dziś spotkałem.

- No, kogo? - Zgadnij!

- Nie mam pojęcia, poddaję się.

- Rose O'Beirne Moffat.

- Och! - mruknął Derek. - Coś podobnego! Pannę Zarozumialską we własnej osobie!

- Nie - zaprzeczył John. - Ona wcale nie jest taka, trzeba ją tylko lepiej poznać.

Pogadaliśmy sobie.

- O czym?

- O tym i owym... No, wiesz...

- Niby skąd mam wiedzieć? - Derek dopił herbatę i odstawił pusty kubek na podłogę.

Dziewczęta stanowiły dla niego nie rozwiązana zagadkę, wielką niewiadomą. Swoje pierwsze nauki bracia pobierali w małej szkole publicznej dla chłopców i dziewcząt, jakkolwiek zasada koedukacji nie była tu stosowana jako norma. Umieszczenie w jednej ławce ucznia z uczennicą traktowano jako dotkliwą i upokarzającą karę. Przez trzy ostatnie lata Derek i John uczęszczali do średniej szkoły męskiej. Chłopcy rozmawiali z dziewczętami ze szkoły żeńskiej na ulicach Carrickmacross, ale kontakty te ograniczały się właściwie do wzajemnego przekrzykiwania się z jednej strony ulicy na drugą.

John i Derek mieli kilka kuzynek w okolicach Drumbooli, fakt ten jednak nie zmieniał w niczym ich sytuacji. W obecności przedstawicieli płci przeciwnej kuzynki stawały się tak samo milczące jak oni sami. Już dawno temu bracia doszli wspólnie do przekonania, że o żadnej z nich nie warto myśleć nawet przez chwilę.

Derek poprawił się na łóżku.

- Opowiedz mi o niej - poprosił. - Dawno jej nie widziałem. Jak teraz wygląda? W dalszym ciągu ma taki śmieszny akcent, kiedy coś mówi? - dodał, nawiązując do wytwornej wymowy Rose.

John uśmiechnął się.

- Trudno ją opisać - odparł powoli. - Wydoroślała, ma w sobie coś dziewczęcego ... i jednocześnie dojrzałego.

- Ale jak teraz wygląda?

Płomyk świecy zamigotał, jego miękki blask przesunął się po łóżku, tworząc intymny nastrój. John upił trochę herbaty.

- Jest wysoka - zaczął. - Tak, raczej wysoka, w każdym razie wyższa od wielu innych w jej wieku. Ma długie włosy, nosi w nich wstążkę... taką, jaką ma Alicja w krainie czarów na obrazkach w twojej książce - dodał. Dopił herbatę i odstawił kubek na podłogę, następnie wsunął się pod kołdrę i ułożył na wznak, splatając dłonie pod głową.

- Mów dalej - ponaglał go Derek. - O czym rozmawialiście? Jak to się stało, że ją spotkałeś?

- Byłem nad jeziorem. Ryby nie brały i chciałem już dać za wygraną, ale pomyślałem, że spróbuję jeszcze raz i dopiero wtedy pójde. I wtedy nadbiegły dwa psy, a potem zobaczyłem ją. Była zaskoczona, że tam jestem. Nie poznała mnie od razu.

- Co powiedziała?

- Z początku zachowywała się tak, jakby uważała, że nie mam prawa tam się kręcić. Potem, kiedy się już zorientowała, kim jestem, chyba zrobiło jej się przykro.

- I co potem?

- Pospacerowaliśmy trochę.

- Tak od razu? Poszliście od razu na spacer? Tak po prostu? Powiedziałeś jej: „Chodźmy na spacer” czy coś w tym rodzaju?

- Nie, tak jakoś samo wyszło. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, spacerowaliśmy brzegiem jeziora.

- W którą stronę?

- W stronę czarnej dziury. - Jeszcze jako mali chłopcy nazwali tak miejsce, gdzie dno jeziora opadało gwałtownie. Miejscowa legenda głosiła, że na tym odcinku jezioro w ogóle nie ma dna. Tam właśnie od dawna kończyły żywot nie chciane kocięta i szczeniaki, które w tym celu wkładano do worków po mące i obciążano kamieniami.

- Czy ona coś wie o czarnej dziurze?

- Nie mam pojęcia. Nie rozmawialiśmy o tym.

- A o czym? Coście w ogóle robili?

- Posiedzieliśmy trochę nad wodą.

Derek wyczuł w głosie brata rezerwę.

- No, opowiadaj - próbował go zachęcić do zwierzeń. - Mów dalej.

- Nie ma o czym, naprawdę. Po prostu siedzieliśmy jakiś czas i patrzyliśmy na wodę.

- I nie rozmawialiście już?

- Jasne, że rozmawialiśmy, ale o niczym ważnym. Ona opowiadała trochę o swojej

szkole w Dublinie.

- A ty?

- Mówiłem na przykład, że szukamy pracy.

- Że my szukamy pracy? - Zawahał się. - A panna Rose pytała w ogóle o mnie?

- Tak było.

- Zapytała prosto z mostu: „Jak się miewa Derek?”

- Coś w tym rodzaju. - I nic więcej?

- Chyba nic. - John przechylił się w łóżku, zdmuchnął świecę. - Zobaczą się z nią znowu - mruknął, siląc się na obojętny ton.

Derek odczekał chwilę, aby oswoić wzrok z ciemnością. Wpatrywał się uporczywie w obraz Najświętszej Panny, której korona pochwyliła resztki światła wpadającego przez okno, i z trudem ukrywał nieznośne uczucie zazdrości.

- Naprawdę? - zapytał.

- Mhm - przytaknął John, układając się do snu. - Poprosiła, abym nauczył ją łowić ryby.

Dzień, na który przypadły urodziny Rose, wstał ciepły i pogodny. Okna jej sypialni, mieszczącej się w narożnej części domu, wychodziły na dwie różne strony; kiedy Rose otworzyła rano oczy, promienie słońca wpadały przez okno wschodnie. Nie czuła się zaskoczona piękną pogodą w swoje urodziny. Była wprawdzie skłonna przyznać, że ma pamięć selektywną, ukierunkowaną tylko na to, co miłe, ale rzeczywiście nie pamiętała, aby kiedykolwiek w przeszłości ranek dziesiątego czerwca nie był słoneczny. Spojrzała na zegarek: za piętnaście szósta.

Odrzuciła na bok kołdrę, wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna wychodzącego na południe. Wierzchołki drzew błyszcząły w promieniach wczesnego słońca, nad trawą unosiły się obłoczki mgły.

Zachwycona dostrzegła pośrodku placu, pomiędzy dwiema araukariami, trzy zające. Podgryzały trawę, stojąc tak, jakby chciały jej pozować. Kątem oka złowiła nagle jakieś drobne poruszenie wśród drzew. Zanim zdążyła się zorientować, kto się kryje w tym gąszczu, na otwartą przestrzeń wyszedł jelen. Wietrząc przezornie, z pyskiem zadartym do góry, znieruchomiał na moment. Rose, stojąca w oknie, poruszyła się, aby lepiej widzieć, jelen jednak wyczuł to zapewne, gdyż odwrócił się w jej stronę, czujny, gotów w każdej chwili do ucieczki. Zamarła, wstrzymując nawet oddech, a zwierzę, nieco uspokojone, opuściło łeb i

zajął się trawą.

Rose chciwie chłonęła ten widok. Prawie przez dziesięć minut obserwowała nieoczekiwanych gości, dopóki jeleń nie oddalił się, znikając między drzewami. Dopiero wtedy odeszła od okna i wróciła do ciepłego łóżka, przestępując stos ubrania rzuconego pośrodku podłogi. Zamierzała utrzymać w pokoju porządek, ale sypialnia była tak wysoka i obszerna, że ten drobny bałagan nie wpadał znanadto w oko; przynajmniej w jej opinii. Dziennik i pióro, leżące od wczoraj na nocnym stoliku, zdawały się prosić o uwagę, ona jednak zignorowała je. Przecież to jej urodziny! W taki dzień należy się człowiekowi trochę luzu, czyż nie? Zresztą było jeszcze za wcześnie, aby zająć się czymkolwiek czy choćby wstać. Pani McKenna, gospodyni, nie przychodziła nigdy przed ósmą i dom dopiero wtedy budził się do życia.

Rose ułożyła się wygodnie na miękkiej puchowej pościeli, rozmarzona napawała się obrazem Johna Flynna, którego oczyma duszy widziała prawie nieprzerwanie od ostatniego wieczoru.

Kto by pomyślał, że będzie to akurat John Flynn? Jeszcze do wczoraj nie potrafiłaby go opisać. Obu młodych Flynnów pamiętała wyłącznie jako dwóch małych chłopców, którzy zdawali się rozpląwać w powietrzu, gdy tylko spotykali ją na terenie posiadłości. Kiedy jechała w powozie, autem lub konno, zawsze otwierali przed nią skrzydła bramy, ten zwyczaj jednak zanikł bezpowrotnie tuż po śmierci ich ojca.

Rose wiedziała o kryzysie finansowym, jaki dotknął jej rodzinę, ale to, co działo się na terenie posiadłości i farmy, stanowiło dla niej tajemnicę, zwłaszcza że ojciec powtarzał stale, aby nie zaprzętała sobie głowy takimi sprawami. Wiedziała jednak, że na ich terenie prócz piętrowego domu, który przejął obecny zarządca farmy i zarazem gajowy, zamieszkała jest jedynie stróżówka Flynnów. Dwie pozostałe stały opuszczone, czwartą wynajmował jakiś angielski artysta, a inne zabudowania należące do jej ojca od dawna były puste i stopniowo, lecz systematycznie niszczały.

Rose poruszyła palcami u nóg, kryjąc je głęboko pod pierzyną. Co by powiedziała matka, gdyby dowiedziała się o wczorajszym spotkaniu? Natychmiast odegnała od siebie tę myśl. Czy jest coś złego w tym, że John Flynn nauczy ją łowić ryby w jej własnym jeziorze?

Aby odwdziżyć się za tę naukę, obiecała mu, że nauczy go jeździć konno. Nie dostrzegła tu żadnego problemu. Gus mówił wiele razy, że jego koń ma mało ruchu i za bardzo przytył. Stare zwierzę było spokojne i bezpieczne jak bujany fotel, nadawało się doskonale do lekcji jazdy. Rose cieszyła się już teraz na samą myśl o tym, że będzie prowadziła na lonży konia z Johnem w siodle. Znowu zamknęła oczy, aby ujrzeć jego twarz,

szerokie i pełne usta. Tak jak to czyniła od wczorajszego dnia co najmniej kilkanaście razy, znów zaczęła sobie wyobrażać, jakby to było poczuć je na swoich wargach. Poczuć je twarde i zarazem łagodne. Zadrżała w rozkosznym przeczuciu i niemal natychmiast zachichotała w poduszkę, gdy przypomniała sobie przestrogi zakonnice w internacie na temat nieczystych myśli. Z pewnością jej opiekunki byłyby zaskoczone, gdyby wiedziały, jak cudownie nieczyste myśli kłębią jej się w głowie i jak bardzo ona to lubi!

Zdrzemnęła się na najbliższą godzinę, może nawet trochę więcej, budząc się raz po raz i znowu zapadając w łagodny bezwład snu, dopóki nie usłyszała odgłosu opon roweru pani McKenna na żwirowanym podjeździe. Czym prędzej wyskoczyła z łóżka i narzuciła na siebie ubranie, wybierając je pośpiesznie ze stosu pośrodku pokoju. Następnie zasłała łóżko powierzchownie, tak aby na pierwszy rzut oka sprawiało porządne wrażenie.

Ojca spotkała na pierwszym półpiętrze. Nieco zaskoczona spostrzegła, że ubrał się starannie niż zazwyczaj: miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, miękki krawat i swój najlepszy garnitur (marynarkę trzymał przewieszoną przez ramię), a buty błyszcząły jak lustro.

- Dzień dobry, tatusiu! - zawołała rozpromieniona. - Wyglądasz, jakbyś się wybierał do kościoła.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie - odparł. Objął ją w pól i razem zeszli na dół. - Chciałbym, aby to chodziło o kościół. Niestety, będę musiał wyjść po śniadaniu. Jestem umówiony z dyrektorem banku.

- Przykro mi - szepnęła ze współczuciem Rose. - Ale może nie będzie tak źle.

- Przeważnie jest źle - mruknął posępnym tonem, ale jego twarz natychmiast pojaśniała. - Mam dla ciebie prezent.

- Huraaa! - Ujęła go pod ramię i razem przeszli w stronę kuchni, skąd rozchodził się już zapach smażonego bekonu. Rose nigdy nie potrafiła pojąć, w jaki sposób pani McKenna przyrządza posiłek w tak szybkim tempie. Cała rodzina ostatnio jadała stale w kuchni, poza takimi dniami jak święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy lub podczas rzadkich okazji, gdy mieli gości. Pokój stołowy był dla nich zbyt obszerny i za bardzo oddalony od kuchni; to ostatnie przeszkadzało zwłaszcza pani McKenna, która posuwała się w latach i stawiała się coraz mniej sprawna.

Gospodyni, jeszcze w toczku na głowie, przerzucała na drugą stronę plastry bekonu na patelni, stała więc tyłem do drzwi, kiedy oboje weszli do kuchni.

- Dzień dobry, pani McKenna! - zawołał Gus.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - odparła gospodyni, nie odwracając się do nich. Wbiła na bekon pół tuzina jaj i podniosła nieco głos, aby przekrzyczeć skwierczenie: -

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panno Rose.

- Dziękuję, pani McKenna. - Dopiero teraz dziewczyna zauważyła, że przy jej krześle nie ma jeszcze nakrycia, ale za to tam, gdzie powinny leżeć widelec i nóż, ktoś umieścił paczuszkę. Podbiegła i zdjęła ją ze stołu.

- Przepraszam za to nieładne opakowanie - mruknął Gus, nie spuszczać z niej oka. - Powinienem był kupić wczoraj jakiś ozdobny papier w Carrick, ale zapomniałem. Taki już ze mnie gapa.

- Nie szkodzi, tato! - zawołała Rose, potrząsając paczuszką przy uchu. - Co to takiego?

- Otwórz i zobacz.

Rozerwała brunatne opakowanie i wydobyła małe płaskie pudełko, obciążone nieco wytartym czerwonym aksamitem. Wstrzymała oddech i otworzyła miedzianą klamerkę.

- O Boże! - szepnęła, kiedy uniosła wieczko.

Na poduszeczce z czerwonego aksamitu błyszcząły jak krople czystej wody naszyjnik, bransoletka i kolczyki ze szlachetnymi kamieniami oprawionymi w złoto. Odłożyła szkatułkę i wyjęła z niej naszyjnik. Był ciężki, a kiedy uniosła go pod światło w oknie, ujrzała, że kamienie mieniały się purpurowofioletowym blaskiem, jak wrzos.

- To ametysty - odpowiedział Gus.

Podbiegła do ojca i zamknęła go w uścisku. - Och, tatusiu, dziękuję! Musiały kosztować majątek! Uwolnił się z jej objęć.

- Nie, Rose - szepnął. - Należały do Lizzie. Od chwili jej śmierci leżały zdeponowane w sejfie. Nie mogłem zdobyć się na to, aby je sprzedać. Przyrzekłem sobie w duchu, że jeśli będę miał córkę, dam jej te rzeczy, gdy skończy szesnaście lat. Wiem, że Lizzie chciałyby, żebyś je nosiła. Trochę przyblakły. Miałem zamiar je oddać do odświeżenia, ale tak jakoś...

- Och, tatusiu! - przerwała mu Rose. - Właśnie takie są prześliczne! Dobrze, że nie pozwoliłeś ich nikomu dotknąć! - Elizabeth O'Beirne Moffat była jedyną siostrą ojca. Umarła na gruźlicę dawno temu, w wieku dwudziestu ośmiu lat, kiedy jeszcze tę chorobę zwano suchotami. Rose знаła ciotkę jedynie z niezbyt wyraźnych zdjęć wklejonych do starego albumu. - Będą teraz w dobrych rękach, tatusiu, przyrzekam ci to.

- Ja też mam prezent, panno Rose - odezwała się nieśmiało pani McKenna. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej paczuszkę.

- Och, doprawdy, to zbyteczne, bardzo dziękuję - wyszeptała Rose. Zdjęła opakowanie i znalazła w pudełku zestaw upominkowy: mydełko konwaliowe i talk. - Dziękuję bardzo!

- Jajecznica będzie za bardzo ścięta - mruknęła gospodyni zadowolona z siebie i zajęła się znowu patelnią.

Niebawem udała się na górę z tacą śniadaniową dla babci Rose, do kuchni natomiast weszła matka solenizantki. W przeciwieństwie do córki Daphne O'Beirne była ubrana bez zarzutu: miała na sobie tweedowa spódnicę, wełniany bliźniak oraz perły.

- Wszystkiego najlepszego, Rose - powiedziała. Podeszła bliżej i musnęła twarz córki policzkiem, który pachniał pudrem Ponda. - Na górze mam prezent dla ciebie - dodała. - Dam ci go później.

- Widziałas, co dostałam od taty? - zapytała Rose, wskazując na szkatułkę.

- Owszem, widziałam - mruknęła Daphne. - Powinnaś teraz umieścić te klejnoty jak najszybciej w sejfie bankowym. Tam jest ich miejsce. Nigdy nie wiadomo, co by się mogło z nimi stać, gdybyś trzymała je w domu albo nosiła. Są zbyt kosztowne!

Rose postanowiła, że nie da się wciągnąć w dyskusję, która zapewne tylko popsułaby jej radość z prezentu od ojca. Zmieniła temat.

- Coś mi się zdaje, że Muf fin jest znowu szczenna - oznajmiła. Wiedziała doskonale, jaki efekt wywołają jej słowa.

- Rose! - zawołała natychmiast matka, krzywiąc się z odrazą. - Bardzo proszę, tylko nie przy stole!

Dziewczyna z pasją przekroiła nożem swoją porcję bekonu, a Daphne podeszła do kuchenki, nałożyła sobie na talerz jajecznicy, po czym usiadła przy stole. Gestem pełnym czci skłoniła głowę i złożyła ręce do modlitwy, przeżegnała się i zaczęła jeść.

Rose uporała się ze śniadaniem tak szybko, jak to było możliwe, następnie wstawiła do zlewu swój talerz, sztućce i filiżankę.

- Życzę ci szczęścia w banku, tatusiu! - zawołała. Wzięła ze stołu szkatułkę i podeszła do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytała matka.

- Och, mam dziś milion rzeczy do załatwienia - skłamała Rose.

- Na przykład jakich?

- No wiesz... - Dziewczyna uczyniła nieokreślony ruch ręką. - Mam masę spraw na głowie. Muszę popisać... dla szkoły - dodała. - Wiesz, jak to jest, wrażenia z wakacji i takie tam...

- To dobrze - uznała Daphne. - Cieszę się, że nabrałaś rozumu i nie odkładasz zadanych lekcji na ostatni dzień, jak to było w twoim zwyczaju. Nie zapomnij, że mam dla ciebie prezent.

Rose wiedziała doskonale, że prezent od matki jest z pewnością z gatunku praktycznych.

- Dziękuję, mamó - powiedziała, starając się, aby w jej głosie zabrzmiało choć trochę entuzjazmu. - Nie zapomnę. Ale teraz chcę obejrzeć te rzeczy. Zobaczymy się później.

- Baw się dobrze! - zawołał za nią Gus. Wchodząc po schodach na górę, wyjęła bransoletkę i włożyła ją sobie na rękę. Kamienie odcinały się wyraźnie od ciała, tworząc na nim niewielkie fioletowe krople.

* * *

Pięć godzin później John Flynn kończył spieszenie obiad, czując, jak mocno bije mu serce. Wstał z krzesła, resztki ziemniaków i kapusty z talerza wrzucił do wiadra, gdzie zbierano pokarm dla kozy.

- Czy jest jeszcze coś do zrobienia, mamó? - zapytał. Matka stała przy piecu, napełniając czajniczek wrzątkiem.

- A wody jest dosyć?

John uchylił pokrywę bańki na mleko; była pełna do połowy, nawet bardziej.

- Aż nadto - odparł i zamknął bańkę z powrotem.

- Co ci tak pilno? - mruknął Derek, ścigając widelcem po talerzu kawałek słonego bekonu.

- Wcale mi niepilno!

- John idzie na ryby, mamó - powiedział Derek.

Jeśli nawet dosłyszała sarkazm w jego głosie, nie dała tego po sobie poznać.

- To dobrze - odparła.

- Dlaczego nie zapytasz go, dokąd właściwie idzie? Spojrzała na niego zaskoczona.

- O co ci chodzi? Dlaczego miałabym o to pytać?

- Zapytaj.

- Idę nad jezioro - odezwał się John. Matka wodziła po nich wzrokiem.

- John, o co chodzi?

- O nic takiego, mamó - mruknął John. Zanim jego brat zdołał coś dodać, chwycił wędkę i torbę, po czym wyszedł na zewnątrz, płosząc kury, które zebrały się przed progiem.

Był wściekły na brata. Wprawdzie matka i tak nie zabroniłaby mu iść nad jezioro, wiedział jednak, że sprzeciwiłaby się ze wszystkich sił jakimkolwiek kontaktom towarzyskim z lokatorami dworku. Mary Flynn, podobnie jak ogół mieszkańców tego regionu, miała sztywne zasady dotyczące podziału na poszczególne warstwy społeczne i pilnowania tak

zwanego swojego miejsca.

Wiedział, że jest jeszcze za wcześnie, ale mimo to wyruszył w drogę. W domu uporał się już z tym, co miał zrobić, tym bardziej więc nie zamierzał tam dłużej siedzieć, narażając się na uszczypliwe uwagi Dereka. W ciągu piętnastu minut dotarł do cypla, gdzie wędkował poprzedniego dnia. Ponieważ do umówionej pory została jeszcze co najmniej godzina, zdjął koszulę i położył się na rozgrzanej od słońca skale. Leżał z otwartymi oczyma, wpatrując się w bezchmurne niebo. Po chwili zaczął odnosić dziwne wrażenie, jak gdyby całe jego ciało wirowało powoli, zanurzając się w niebieską głębię bez dna. Zakręciło mu się w głowie i czym prędzej zamknął oczy, aby pozbyć się niemiłego uczucia.

* * *

Rose wybrała się wcześniej na naukę wędkowania, a wy - szłaby jeszcze wcześniej, gdyby nie przymierzała po kolei sześciu sukienek, zanim w końcu zdecydowała się na białą bawełnianą z bufiastymi rękawami, zapinaną od góry do dołu i ściągniętą w talii szerokim białym paskiem z imitacji lakierowanej skóry. Włożyła też białe lekkie sandałki, odpowiednie raczej na spotkanie towarzyskie niż na przechadzkę po kamienistym wybrzeżu, ale podkreślające za to zgrabną linię jej długich nóg i wąskich stóp.

Dostrzegła go, kiedy od cypla dzieliło ją jeszcze pięćdziesiąt jardów. Miękka trawa tłumiła odgłos kroków, tak więc John nie usłyszał jej, ona zaś, podchodząc bliżej, miała czas przyjrzeć mu się dokładniej. Leżał wyciągnięty na skale, z głową odwróconą na bok i ręką spoczywającą bezwładnie na brzuchu. Przystanęła na moment, zastanawiając się, czy John śpi, ponieważ jednak nie uczynił najmniejszego ruchu, przykucnęła w pobliżu, zaledwie o metr od niego. Z tej odległości widziała wyraźnie złociste koniuszki drobnych włosków, które tworzyły na jego torsie podłużną linię, ciągnącą się aż po pasek od spodni.

Z trudem zwalczyła przemożne pragnienie, aby wyciągnąć rękę i dotknąć lekko tych włosków.

Nieoczekiwanie John otworzył oczy. Początkowo sprawiał wrażenie zupełnie zdezorientowanego, kiedy jednak uświadomił sobie, kto przy nim siedzi, zerwał się gwałtownie i sięgnął po koszulę.

- Przyszłam trochę wcześniej - szepnęła Rose. - Nie chciałam cię budzić, spałeś tak smacznie.

- Wcale nie spałem. Długo tu siedzisz? - Najwyraźniej był zakłopotany.

- Nie, minutę, może dwie. Uważaj, żeby się nie spalić na słońcu - dodała. - Bardzo mocno dziś grzeje.

Zapinał gorączkowo koszulę, a ona pomyślała z satysfakcją, że ma nad nim przewagę, czuje się pewniej niż on.

- Jak widzę, wzięłeś wędkę - powiedziała.

- Tak. - Stanął nad nią, zasłaniając sobą tarczę słońca. - Możemy iść?

- Możemy. - Ona również zerwała się na nogi.

- A więc chodźmy. - Podniósł ze skały starą płócienną torbę, leżącą obok wędki, wyjął małe metalowe pudełko i otworzył je.

Patrzyła zaskoczona i zachwycona: sztuczne muszki, niektóre drobne, inne duże jak pszczoły, połyskiwały niczym klejnoty dla lalek. Ponieważ Gus nie był na tyle cierpliwy, aby zajmować się wędkowaniem, nie miała do tej pory okazji obejrzenia zbioru sztucznych muszek.

- Są naprawdę wspaniałe, John! - zawołała i dotknęła jednej z tych skrzydlatych zabaweczek czubkiem palca.

- Tak, rzeczywiście są ładne - przyznał, zadowolony z jej reakcji. - Dostałem je od wuja. Wuj nie żyje.

- Przykro mi - szepnęła.

- Och, umarł już dawno temu, w parę lat po moim ojcu.

Ostrożnie wyjął z pudełka jedną muszkę, którą - jak wyznał - nazywał Bibio, i podczas gdy przewlekał żyłkę przez oczka wędki oraz zaczepiał muszkę na końcu żyłki, wymieniał imiona pozostałych much. Oboje siedzieli na skale, niemal stykając się głowami, wpatrzeni w wędkę, i chociaż Rose starała się skoncentrować na tym, co wyjaśniał jej John, przede wszystkim czuła ciepły, słodkawy zapach jego włosów i widziała długie, szczupłe i zwinne palce, od których nie mogła oderwać wzroku. Uświadomiła sobie, że ich szybkie ruchy wprawiają ją w trans, że ogarnia ją osobliwe odrętwienie. Nie chcąc, by to uczucie minęło, wskazała palcem na szczególnie ładny okaz w pudełku.

- Jak się nazywa ta mucha?

- Zielona Mary - odparł.

- Przecież ona nie jest wcale zielona - zaprotestowała Rose.

- Ale tak ją nazwałem.

- W porządku - powiedziała ugodowym tonem. - A ta Bibio... Jesteś pewien, że coś na nią złowimy?

Uśmiechnął się.

- Posłuchaj - zaczął wyjaśniać. - Jest trzecia, upalne czerwcowe popołudnie, na niebie ani jednej chmurki. Nie jest to najkorzystniejsza pora na łowienie ryb. Obawiam się nawet, że

nie ma gorszej niż ta.

- A może byłoby lepiej wypłynąć łodzią na środek jeziora? - zapytała Rose. W jego oczach dostrzegła zielonkawę cętki. - Jedną z naszych łodzi. - Prawie natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy to aby rzeczywiście dobry pomysł. Nie była pewna, w jakim stanie znajdują się łodzie. Rodzice mieli dwie, zwykłe wiosłowe, zacumowane przy brzegu, nieco dalej stąd, ale od lat nikt się do nich nie zbliżał.

John zawahał się. Spojrzał w górę, na niebo, przeniósł wzrok na wodę, a Rose, która nigdy dotąd nie przebywała tak długo w towarzystwie chłopca, i do tego tak blisko niego, zauważyła teraz, że im bardziej John unosi głowę, tym większa wydaje się jego grdyka.

- Nikt nie będzie miał nic przeciw temu? - zapytał cicho, a Rose natychmiast pojęła sens tego pytania. Nie chodziło mu o łodzie.

- Oczywiście że nie - odparła zdecydowanym tonem. - Zresztą dziś są moje urodziny, a w taki dzień mogę robić, co chcę.

- Dobrze więc, wypłyniemy na jezioro, tam szanse będą większe, ale i tak nie mogę niczego gwarantować. - Wstał. - Najpierw jednak musisz się nauczyć zarzucać wędkę.

To zadanie okazało się trudniejsze, niż sądziła. John nie od razu dał jej wędkę, lecz najpierw ułamał gałąź z pobliskiego drzewa, oczyścił ją z liści i odrostów, i dopiero wtedy zaczął pokazywać, jak się zarzuca wędkę: podrzut, zamach, zamach, wyrzut, podrzut, zamach, zamach, wyrzut...

- Teraz ty spróbuj.

Ujęła gałąź, niepewnie poderwała ją do góry, aż za głowę.

- Nie - powiedział i chwycił wędkę. - Musisz to robić rytmicznie: raz, dwa, trzy i cztery! O tak! - Mucha ze świstem pomknęła nad wodą, ciągnąc za sobą żyłkę.

Rose ponownie poderwała swoją gałąź.

- Raz, dwa, trzy, cztery...

- Nieźle - mruknął z uznaniem John. - Spróbuj jeszcze parę razy, wtedy dam ci wędkę.

Podniesiona na duchu tą pochwałą, Rose ćwiczyła sumiennie, ale gdy wreszcie wzięła do ręki prawdziwą wędkę, wydała jej się zbyt długa i źle wyważona; przy najmniejszym drgnięciu dłoni jej koniec kołysał się na wszystkie strony.

- Na razie nic nie rób - pouczył ją John. - Musisz najpierw dobrze wyczuć ciężar wędki.

Rose przyznała teraz w duchu, że decydując się dziś na takie właśnie ubranie, nie dokonała rozsądnego wyboru. Obcisła sukienka z paskiem krępowała jej ruchy, a kiedy unosiła ramiona, czuła, jak mocno piersi napierają na materiał. Zerknęła na Johna,

zastanawiając się, czy zwrócił na to uwagę, on jednak zachował nieprzeniknioną minę. Aby ukryć zakłopotanie, trzymała wędkę nisko, udając, że bada jej wagę.

W pewnej chwili postanowiła się popisać.

- Teraz już chyba wiem, jak to robić. - Poderwała wędkę do góry, ale kij był ponad trzy razy dłuższy od gałęzi, z którą przedtem ćwiczyła, a ruch jej ręki zbyt gwałtowny; koniec wędki poszybował nisko za jej głowę, ciągnąc linkę z muchą, która zaczepiła się o liście w górnej partii rododendronu. Rose, wystraszona, odrzuciła wędkę, jakby ta ją parzyła.

John parsknął śmiechem.

- Nie przejmuj się, coś takiego może się przytrafić każdemu. - Podszedł do drzewa i pociągnął za żyłkę, ale bezskutecznie; muszka tkwiła uparcie gdzieś między gałęziami. Zaczął szarpać żyłką na prawo i lewo, jego wysiłki jednak nie dawały żadnego rezultatu. - Muszę wejść na drzewo - mruknął wreszcie zrezygnowany. - Nie chcę stracić tej muchy.

Rose obserwowała go, jak wspina się na górę i ciągnie za haczyk. Zastanawiała się gorączkowo, czy to jest miłość: ten nieustający zamęt w głowie, osobliwe podniecenie, które ogarnia ją na widok Johna przywartego całym ciałem do pnia zielonego ukwieconego drzewa... Miał na sobie białą koszulę i ciemnoszare spodnie. Koszula - bez kołnierzyka - była dla niego trochę za duża. Zadarła się nieco, odsłaniając plecy, kiedy John odczepił haczyk i zaczął schodzić z drzewa. Podwinięte rękawy pozwalały widzieć długie, muskularne przedramiona.

Rose poczuła, że z wrażenia traci oddech. Odwróciła się od niego, udając, że spogląda na jezioro.

- Ciekawe, dlaczego nikt nie używa jego prawdziwej nazwy - rzuciła przez ramię.

- Masz na myśli Łabędzie Jezioro?

- Mnie podoba się bardziej ta prawdziwa nazwa, Allabawn.

- To oznacza to samo. Ale nikt tak nie mówi.

- Wiem. A jednak właściwa nazwa brzmi Lough Allabawn.

Usłyszała za sobą głuchy stuk, kiedy John zeskoczył na ziemię. Stał przy niej i podniósł wędkę, którą przedtem rzuciła. - *Allabawn* znaczy „biały łabędź” - powiedział, zwi-
jając żyłkę. - Więc co za różnica?

Żałowała już, że w ogóle poruszyła ten temat. To było niemądre.

- Tak tylko się zastanawiałam - mruknęła. - Nie ma o czym mówić. Popłyniemy tą łodzią?

- Według mnie powinnaś jeszcze poćwiczyć z wędką na brzegu. Nie chcę, żebyś się utopiła albo wrzuciła nas do wody.

W ciągu dziesięciu następnych minut starała się, jak mogła. Mimo iż to zajęcie tylko w połowie absorbowало jej uwagę, zdołała kilka razy zarzucić wędkę poprawnie, nie zaczepiając jej o gałęzie, i wreszcie John pozwolił jej spróbować szczęścia na jeziorze.

Ruszyli brzegiem, a Rose modliła się w duchu, aby szopa, w której trzymali łodzie, nie okazała się zamknięta. Przypomniała sobie, że parę lat wcześniej rozeszły się pogłoski, iż wzdłuż granicy z Irlandią Północną ma się uaktywnić IRA. Gus nie brał tych wieści na serio, ale Daphne nalegała, aby zabezpieczyć wszystkie drzwi w zabudowaniach, nawet w stajni. Rose miała nadzieję, że matka zapomniała wówczas o szopie.

Byli już blisko i Rose ogarnął smutek. Widok nie był przyjemny. Farba na ścianach szopy wyblakła i odpadała całymi płatami, jedyne okno było czarne od brudu. Dziko rosnące od frontu jeżyny podrapały jej nogi, kiedy podchodzili pod drzwi, musieli też przeciskać się ostrożnie między wysokimi na ponad pół metra pokrzywami, które zajmowały niemal całą szerokość omszałej, niegdyś wybetonowanej ścieżki, wiodącej do podwójnych drzwi. Dostrzegła z ulgą, że masywna kłódka, otwarta i aż ciemna od rdzy, leży w trawie. Odsunęła ją na bok nogą i zaczęła napierać na drzwi.

- Jesteś pewna, że nie robimy nic złego? - zapytał John stojący tuż za nią.

- Oczywiście. Mówiłam ci już, że w dzień moich urodzin mogę sobie pozwolić na wszystko.

Postąpił krok naprzód i z całej siły pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Wnętrze szopy prezentowało się jeszcze gorzej niż jej ściany na zewnątrz. Łodzie ginęły za szarą, gęstą kotarą z pajęczyn, grubych jak kłęb bawełny, które rozciągały się od ściany do ściany. Coś pisnęło w kącie, za - szurało i Rose wzdrygnęła się odruchowo. Nie bała się myszy, ale odczuwała wstręt do szczurów.

- Nikt nie wchodził tu od wielu lat - szepnęła. - Bóg jeden wie, na co się możemy natknąć.

- W każdym razie z pewnością na łodzie - odparł wesołym głosem. Uniósł dłoń i jednym szarpnięciem rozerwał pajęczynę. Rose mimo woli odskoczyła, ale John pochylił się i ruszył naprzód. Rose, nadal wypatrując bojaźliwie szczurów, nie odważyła się pójść za nim. Na szczęście John wracał już. Wlókł za sobą mniejszą z łodzi i po chwili wy - taszczył ją na słońce.

- Wygląda całkiem nieźle - orzekł, przechylając łódź najpierw na jeden bok, a potem na drugi, aby obejrzyć stępkę.

- Nie jestem wcale pewna - mruknęła Rose.

- Ależ tak, wystarczy posłuchać, jaki wydaje odgłos - powiedział i mocno kopnął

drewniane węgry. - Spojrzał znowu na Rose. - Najgorszy ten brud. Co z twoją białą sukienką?

Kichnęła głośno.

- To żaden problem - odparła. - I tak po jednym razie wszystko zawsze idzie do prania. - Kichnęła ponownie. - Przepraszam... - wykrztusiła. - To przez ten kurz.

- Poczekaj chwilę, zaraz spuszczę ją na wodę. - Wszedł z powrotem do szopy, znalazł wiosła i dulki, po czym wrzucił je do łodzi, którą następnie zepchnął z brzegu na jezioro. Wskoczył do środka, ale kiedy Rose chciała uczynić to samo, powstrzymał ją. - Jeszcze chwilę. - Spod siedzenia wyciągnął starą puszkę, służącą zapewne do wyczerpywania wody z łodzi, a potem kilkakrotnie zanurzał ją w jeziorze i polewał drewnianą ławkę. - Na tym słońcu wyschnie raz, dwa - zawołał. - Postój jeszcze parę minut, a ja w tym czasie sprawdzę wszystko. - Zamocował dulki i począł wiosłować, robiąc łodzią niewielkie koła.

Rose nie wątpiła, że zapamięta tę chwilę do końca życia. Miała wrażenie, jakby jej umysł przekształcił się w aparat fotograficzny i rejestrował na wyrazistych zdjęciach krótkie migawki z tego, co dzieje się wokół niej. Plusk wiosła uderzającego o spokojną wodę, śpiew skowronka wysoko nad ich głowami, odległe szczekanie psa, zapachy szopy i rozdeptanego zielska, rozedrgany blask słońca na falach tworzonych przez wiosła, ruchy rąk Johna, kiedy wiosłował, sposób, w jaki opuścił jedno wiosło, aby zerknąć na nią przez ramię. Uświadomiła sobie nagle, że coś do niej powiedział.

- Słucham? - zawołała.

- Mówiłem, że ławeczka już prawie wyschła - odparł. - Wracam po ciebie. Weź wędkę i torbę, dobrze?

Podpłynął do brzegu, odebrał od niej swoje rzeczy, następnie pomógł jej wejść do łodzi. Pewnym szokiem była dla niej świadomość, że dotknęli się po raz pierwszy. Puściła jego rękę, mając nadzieję, że John nie zauważył, jak gwałtownie to zrobiła.

* * *

Panna Rose i on... John nadal nie mógł uwierzyć w to, co się działo.

Fizycznie koncentrował się na wiosłowaniu, tak jakby miał przebyć bezkresny ocean, ale cały czas, płynąc na środek jeziora, czuł w głowie zamęt. Rose siedziała sztywna, z dłońmi złożonymi na kolanach, patrząc na wodę. Jego doświadczenia z płcią przeciwną były niezwykle skąpe, uważał jednak, że nigdy jeszcze nie widział ładniejszej dziewczyny niż ona. Nie była opalona, ale poprzez kontrast z białą sukienką jej ciało zdawało się nabierać złocistego połysku, a długie czarne włosy, związane tą samą wstążką co poprzedniego dnia, lśniły w blasku słońca niczym miedź.

Przedtem, kiedy stał obok niej na skale i zajmował się wędką, czuł zapach dziewczyny podobny do woni miodu, kiedy zaś pomagał Rose wejść do łodzi i podał jej rękę, spoconą nieco od wysiłku, jej dłoń sprawiała wrażenie chłodnej i niezwykle kruchej. W pewnej chwili Rose osłoniła sobie oczy przed słońcem, a wtedy John ujrzał na jej przegubie bransoletkę z fioletowymi kamieniami. Zaryzykował ukradkowe spojrzenie na twarz dziewczyny, aby przekonać się, czy kolor kamieni pasuje do barwy jej oczu, ale ona spoglądała właśnie w inną stronę.

Aby wziąć się w garść, skupił się znowu na wiosłowaniu. Czuł pod palcami nagrzane już drewno wiosła. Wiosłowanie zawsze sprawiało mu przyjemność; jak wszystko, co wiązało się z określonym rytmem. Kiedyś jego nauczyciel tańca w szkole publicznej powiedział mu, że byłby z niego doskonały dobosz. Lubił tańczyć, zdobywał w przeszłości nagrody w wielu kategoriach tańców irlandzkich; na odpustach i weselach rozchwytywano go zawsze, kiedy rozbrzmiewały dźwięki staroświeckich walców. Teraz usiłował sobie wyobrazić, jakby to było zatańczyć z Rose, trzymać ją w ramionach. Z pewnością okazałoby się, że jest lekka jak ptaszek. Znowu zerknął na nią z ukosa. Siedziała przechylona nieco na bok, dłonią sunęła po wodzie, włosy opadły jej na policzek niczym delikatna zasłona.

- Nie złożyłem ci jeszcze życzeń urodzinowych - odezwał się, aby powiedzieć cokolwiek.

- A więc zrób to. Złóż je.

- Wszystkiego najlepszego!

- Dziękuję. Czy teraz zaczniesz mnie uczyć łowienia ryb?

Coś w jej głosie sprawiło, że przeszył go prąd. Aby wziąć się w garść, wciągnął wiosła do łodzi i podniósł wędkę.

- Myślę, że nie musimy szukać lepszego miejsca - mruknął. - Ale powtarzam: nie miej zbyt wielkich nadziei. - Zaczął mocować muchę, jednakże pod wpływem spojrzenia Rose ręce drżały mu jak nigdy przedtem, więc prosta czynność zajęła więcej czasu niż zazwyczaj.

- A jak nazywasz tę muchę? - zapytała. Nachyliła się w jego stronę, dłonie wsunęła sobie pod uda.

- Gaska. - Zakończył już operację.

- Biedna Gaska - szepnęła i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech. Cała ta sceneria, pełna słońca i gładkiej, uśpionej wody, wydawała się nierealna jak sen. Świat rzeczywisty reprezentowały jedynie wędkę, cichy świst, z którym linka mknęła nad wodą, oraz kształt litery V, jaki powstawał na powierzchni jeziora, kiedy John ściągał żyłkę.

Przez pół godziny usiłowali coś złowić i ten czas wystarczył, aby John oswoił się z

obecnością Rose i odprężył trochę. Wydawało się, że tu, na wodzie, dziewczyna zarzuca wędkę z większą swobodą i wprawą. Dwukrotnie zrobiła to bez zarzutu. W pewnym momencie odebrał Rose wędkę i pokazał jej, jak się łąwi na przepływanke. Mucha poszybowała po tafli wody, jakby żyła.

- Cudownie! - zawołała Rose. - Ale dla mnie to za trudne!

- Spróbuj - zachęcił ją, podając wędkę w taki sposób, aby nie dotknąć dziewczyny nawet na ułamek sekundy. Ale łowienie na przepływanke rzeczywiście okazało się za trudne i po chwili dziewczyna przyznała, że jest zmęczona. Zaproponował więc, że nauczy ją tego następnym razem.

Płynęli wolno, bez wiosł, oddalając się coraz bardziej od przystani i zbliżając do przeciwległego brzegu jeziora. John rozejrzał się, dostrzegł kępę wierzb tuż przy wodzie.

- Możemy posiedzieć tam pod drzewami - powiedział. - W cieniu będzie przyjemnie.

- Dobrze - zgodziła się.

Skierował łódź w tamtą stronę. Na lewo od wierzb jakaś czapla - może ta sama co wczoraj - stała wśród trzcin na jednej nodze. Kiedy podплыnęli bliżej, wyciągnęła szyję i rozpostarła skrzydła, wzbijała się nieco w górę, przefrunęła parę metrów, po czym opadła leniwie i przybrała poprzednią pozę, zamierając w bezruchu jakieś dwadzieścia jardów dalej. I znowu Rose i John byli jedynymi istotami poruszającymi się w tej chwili na tym jeziorze; zazwyczaj pokazywały się tu również łabędzie, łyski i dzikie kaczki, ale dzisiejszy upał sprawiał, że wszystkie istoty mające choć trochę rozumu skryły się w cieniu.

John znów wciągnął wiosła, czekając cierpliwie, aż płynąca rozpędem łódź zaszura cicho stępką o piaszczyste dno. Chciał właśnie skierować ją ku wierzbom, kiedy Rose przerwała ciszę:

- John? - Tak?

- Jak tu gorąco! Popłynmy tak trochę.

- Dobrze. - Poczł się trochę niezręcznie. Pozostawiona samej sobie łódź po chwili oddaliła się znowu od brzegu na południe, obracając się powoli, i wreszcie zaczęła sunąć rufą do przodu. Niebawem okrył ich cień drzew, przynosząc ulgę.

- Może posiedzimy tam trochę? - Rose wskazała na miejsce, gdzie kępa wierzb tworzyła wgłębienie w kształcie jaskini pomiędzy listowiem i częścią brzegu porośłą trawą.

- Jasne. - Chwyając się mijanych gałęzi, John wciągnął łódź pod osłonę z drzew. Promienie słońca przenikały gdzieś tam dach z listowia nad ich głowami, tworząc grę światła i cieni. John zauważył, że włosy Rose lśnią częściowo jasnym blaskiem, a częściowo połyskują czarno, jak skrzydło kruk. I co teraz? Nie wiedział zupełnie, co dalej.

- To miejsce może posłużyć jako kryjówka - szepnęła dziewczyna. Zerwała z najbliższej gałęzi spory liść i obrysowała palcem jego główną żyłkę.

- Tak, rzeczywiście - mruknął niepewnie. Czuł się jak aktor na scenie, który nie zna swojej roli.

- I nikt by tu nas nie znalazł.

Teraz jego kolej.

- Masz rację.

Z głową lekko przechyloną na bok spojrzała na niego, na jej twarzy widniał osobliwy wyraz. Nie dowierzając samemu sobie, wychylił się z łodzi, udając, że interesują go w tej chwili wyłącznie chrząszcze wodne i drobne rybki, kłębiące się w płytkiej wodzie przy mulistym brzegu. Cisza panująca pod liściastym baldachimem była tak głęboka, że Rose mogła dosłyszeć niemal bezgłośny plusk wody, kiedy uderzały o nią owady. Napięcie rosło wraz z upływem sekund, aż do chwili kiedy wśród gałęzi nad nimi rozległ się nagle furkot skrzydeł jakiegoś ptaka. Oboje jednocześnie podnieśli głowy do góry.

Nieoczekiwanie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, John nachylił się i pocałował uniesioną twarz dziewczyny. Nie trafił w jej usta, wargi zsunęły się gdzieś na podbródek. Zanim jeszcze minęła tysięczna część sekundy, odskoczył jak oparzony do tyłu.

- Przepraszam, wybacz mi!

- Za co przepraszasz? - szepnęła. - Mnie to się spodobało.

Ośmielony nachylił się ku niej, łódź zaskrzypiała głośno. Pocałował ją ponownie, tym razem w usta, ale nie dotykając reszty ciała. Jej wargi odpowiedziały. Były ciepłe i miękkie, on zaś znowu poczuł ten sam zapach co przedtem, jakby woń miodu.

* * *

W głębi duszy pragnęła, aby pocałunek trwał wiecznie, ale gdy John uczynił gest, jakby chciał go przerwać, natychmiast oderwała się od niego. Nie chciała, aby uznał ją za zbyt śmiałą. Nie patrzyli teraz na siebie, oboje wpatrywali się w wodę.

Była zadowolona, że na twarz opadły jej długie włosy; dzięki temu on nie mógł dostrzec jej miny, ona natomiast widziała go cały czas. Głowę odwrócił lekko w bok, na szyi, gdzie kończyła się koszula, pulsowała żyła - tak mocno, że wprawiała w drżenie górny guzik. Także ona czuła swój szybki, gorączkowy puls, była oszołomiona, nie posiadała się z radości, a jednocześnie dławił ją lęk. Pocałunek był wspaniały, o wiele cudowniejszy niż tamto ulotne wrażenie podczas gry w butelkę, jakiego doznała na prywatce dawno temu. Dotyk jego ust był taki, jak to sobie wcześniej wyobrażała. Nie, nawet przyjemniejszy.

Pragnęła gorąco, aby John pocałował ją jeszcze raz, ale będąc dziewczyną, nie mogła oczywiście przejąć inicjatywy. Musi uzbroić się w cierpliwość, zaczekać. Ale co to? John sięga po wiosła. A więc chce wypłynąć na otwarte jezioro...

Zrozumiała, że nie może do tego dopuścić.

- John? - powiedziała cicho.

- Tak? - Jedno z wiosła wysunęło się z dulki, a on zdawał się być całkowicie pochłonięty umieszczaniem go na właściwym miejscu.

- Wracamy już?

- A co chciałabyś, żebyśmy robili?

- Chciałabym, żebyś pocałował mnie jeszcze raz. - Jakby z daleka usłyszała własny nerwowy śmiech. - Przepraszam...

Przez chwilę pochłaniał ją wzrokiem, a potem ostrożnie, aby nie rozkołysać łodzi, przeszedł do niej. Usiadł tuż obok, ujął twarz Rose w obie dłonie, które wydały jej się niezwykle chłodne, a potem łagodnie przywarł wargami do jej ust.

Zamknęła oczy. Miała wrażenie, jakby płynąc, zapadała się w głębokie odmęty wody. Poczula nagle jego wargi i czubek języka, wdzierający się w jej usta, ogarnął ją lęk i czym prędzej oderwała się od Johna. To był francuski pocałunek. Grzech.

Ale John nie puścił jej głowy. Odczekał chwilę, a potem znowu nakrył jej usta swoimi. Tym razem rozchyliła wargi, pozwoliła, aby język wtargnął głębiej. Wrażenie, początkowo nadzwyczaj silne i niesamowite, sprawiło już po krótkiej chwili, że jej całe ciało zbudziło się nagle do własnego, samoistnego życia. Zarzuciła Johnowi ręce na szyję, przylgnęła do niego zachłannie, a kiedy łódź zakołysała się niebezpiecznie, odruchowo wyciągnęła ręce, aby utrzymać równowagę.

John roześmiał się. Zawtórowała mu, po czym oboje spoważnieli. Rose nie mogła jeszcze złapać tchu. Z bliska patrzyła na jego szyję, gdzie na podobieństwo małego młoteczka pulsowała tuż pod skórą żyła.

- Powinniśmy już chyba wracać - usłyszała jego głos.

- Chyba tak. - Dotknęła czubkiem palca tego miejsca na jego szyi, a on nakrył jej dłoń swoją.

- Jesteś piękna, Rose - szepnął. - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. - Pocałował ją znowu, tak szybko, że nawet nie zdążyła zareagować. W następnej chwili odsunął się od niej i chwycił za wiosła.

Po chłodzie, jaki panował w cieniu wierzb, nieznośny żar uderzył w nią natychmiast, gdy wypłynęli na otwarte jezioro, a błyski promieni słońca na wodzie omal jej nie oślepiły.

Na tej rozległej przestrzeni poczuła się nagle odsłonięta, zdemaskowana, tak jakby pojawił się na niej olbrzymi napis informujący o tym, co robili pod drzewami. Nieoczekiwanie napłynęły szeroką falą wątpliwości: chyba nie powinna była do tego dopuścić, bo on może jej teraz nie szanować. A jeśli matka się dowie... Rose wyobrażała sobie aż za dobrze, co pomyślałaby o niej matka.

Najgorsze zaś jest to, że popełniła ciężki grzech, z którego trzeba się wyspowiadać. Całować się w taki sposób, jak oni to robili, jest śmiertelnym grzechem.

Spojrzała na poważną twarz Johna i uświadomiła sobie, że to ona chciałaby teraz wiosłować. W ten sposób rozładowałaby choćby część owego nadmiaru napięcia i energii, jaki jej ciążył. Ciekawe, o czym myśli teraz John. Czy chłopcy też czują wstyd i zmieszanie, kiedy zdarzy im się coś takiego? Ale to przecież ona poprosiła go, żeby ją pocałował, nieprawdaż? Nie zmuszał jej do niczego. Z drugiej zaś strony, on pierwszy jej dotknął. Och, jakie to wszystko skomplikowane, trudno się w tym wyznać!

W połowie drogi John postanowił odpocząć. Odłożył na chwilę wiosła, pozwalając łodzi dryfować z prądem. Rose znowu ogarnął lęk; wracają do domu, wszystko dobiegnie końca! John nie zechce już nigdy więcej się z nią spotkać! A ona, teraz zdała sobie z tego jasno sprawę, nie pragnie niczego innego jak właśnie spotykać się z nim. W tej chwili nie liczyło się dla niej nic poza tym. Ani matka, ani zakonnice, ani spowiedź. Pragnęła nade wszystko, aby ją znowu pocałował. Aby całował ją bez końca.

Łódź znieruchomiła na wodzie i Rose wzięła głęboki oddech. Nadeszła decydująca chwila: teraz albo nigdy! Nachyliła się i położyła dłoń na jego udzie. Pod szorstkim materiałem spodni poczuła zdumiewająco twarde ciało.

Do tej pory spoglądał gdzieś w dal, teraz jednak gwałtownie obrócił ku niej głowę. Z wrażenia przełknęła ślinę, nie cofnęła jednak ręki.

- O czym myślisz? - zapytała cicho.

- O niczym. A ty? - Przeszywał ją wzrokiem, jego oczy zdawały się bardziej skośne niż zwykle.

Zebrała całą swoją odwagę i wyznała zgodnie z prawdą:

- O naszym pocałunku. - Jej głos drżał. Opuścił głowę i mruknął coś, czego nie dosłyszała.

- Słucham?

- Myślę o tym samym - powtórzył głośniejszym głosem. Znowu odwrócił wzrok.

Jakby szukając pomocy, Rose spojrzała tam, gdzie przedtem stała czapla, ale ptak już zniknął. Podobnie jak przed chwilą, znowu nabrała głęboko tchu. Musi to powiedzieć. I tak

nie ma już nic do stracenia.

- Będziemy się spotykać? - zapytała.

- Masz na myśli: chodzić ze sobą?

Z trudem zachowała spokojny ton głosu.

- A chciałbyś, żebyśmy ze sobą chodzili?

- A ty? - Wpatrywał się uparcie w dno łodzi.

- Jeśli ty chcesz, to i ja.

- Tak, chcę - przyznał cicho. - Bardzo tego chcę. Najchętniej krzyknęłaby teraz z radości, ale postanowiła dostosować się do jego poważnego, niskiego głosu.

- A więc dobrze - powiedziała, tak jakby omówili właśnie szczegóły dotyczące pogrzebu.

Na jego twarzy pojawił się ten szeroki, wilczy uśmiech.

- W twoim domu na pewno nie ucieszą się z tego powodu ani nie zaczną tańczyć z radości... to znaczy, jeśli się dowiedzą...

Odwzajemniła uśmiech. Tego dnia uśmiechała się tyle razy, że przyszło jej nagle do głowy, iż będzie się już uśmiechała zawsze, do końca życia.

- A w jaki sposób mieliby się o tym dowiedzieć? - zapytała. - Przecież nie zawiadomię o tym redakcji „Irish Timesa” „Argusa” czy też „Democrata”. Ty chyba też nie, prawda? - Rozpierała ją radość, miała wrażenie, że jeszcze żadna szesnastolatka nie miała tak radosnych urodzin jak ona. Całowała się, tak naprawdę, i ma chłopca, z którym będzie chodzić!

- Musimy być ostrożni. - Poprawił sobie koszulę pod szyją, jej zaś przyszło na myśl, że jest to najbardziej podniecający gest, jaki kiedykolwiek widziała.

- Oczywiście że będę ostrożna. - Nie chciała teraz myśleć o ewentualnych kłopotach. Może zacznie zastanawiać się nad nimi jutro.

Starannie wytarł dłonie o spodnie i oficjalnym gestem wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją zdumiona.

- Nie zostaliśmy jeszcze sobie przedstawieni - powiedział. - Dzień dobry, panno O'Beirne Moffat. Jestem John Flynn, jeden z pani dzierżawców.

Zachichotała niepewnie.

- Dzień dobry, panie Flynn. Miło mi pana poznać. Mieszka pan w stróżówce, czyż nie?

- W samej rzeczy, panno Moffat.

- A co, proszę mi powiedzieć, robi pan dla O'Beirne Moffatów?

- Jestem całkowicie do pani usług, panienko, pod każdym względem...

Podniósł do ust jej dłoń i musnął ją wargami, a potem powoli obrócił wierzchem do dołu i pocałował tak gwałtownie, że poczuła jego zęby. Rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, potem ukląkł na dnie łodzi i przyciągnął ją do siebie. Ucałował jej oczy, szyję, wreszcie jego wargi spoczęły na jej ustach. Rozchyliła je skwapliwie, on jednak przyłożył do nich dwa palce i odchylił się do tyłu.

- To na szczęście, Rose - wyszeptał.

Podczas gdy wiosłował w stronę przystani, miała wrażenie, jakby unosiła się w siódmym niebie. Żar kładł się na niej obezwładniającą falą, co chwila nabierała dłonią trochę wody i obmywała sobie twarz.

- Jeszcze nigdy nie miałam tak wspaniałych urodzin - wyznała. - A kiedy ty masz swoje, John?

- Pod koniec sierpnia, dwudziestego piątego. Wtedy właśnie się okaże, czy wyjadę stąd, czy nie.

- Jak to: czy wyjedziesz? - Nie próbowała nawet ukryć, jak bardzo jest przerażona. - Dokąd miałbyś wyjechać?

- Może będę musiał wyemigrować. Jeszcze nie wiem.

- Wyemigrować? - Wiedziała doskonale, że emigracja jest nieodłączną częścią życia w Irlandii, ale do tej pory traktowała to zjawisko jako coś odległego i dotyczącego zupełnie obcych ludzi, jako coś, o czym pisze się w książkach. - A dokąd?

- Prawdopodobnie do Kanady, na Wyspę Księcia Edwarda.

- Nigdy o takiej nie słyszałam. - Rozpaczliwie próbowała ukryć przed nim to, co w tej chwili czuła. - Ale nazwa brzmi bardzo romantycznie. - Postanowiła nie okazywać rozczarowania.

- Czy jest pełna śniegu i Eskimosów?

- Prawdę mówiąc, wiem o niej tyle co nic. Mam tam jakichś dalekich kuzynów.

- A nie mógłbyś rozejrzeć się za pracą tutaj? - zapytała spieszenie. - I w ogóle... co z twoją szkołą?

- Na znalezienie pracy w Irlandii nie mam co liczyć - mruknął. - Ja... to znaczy my, Derek i ja... zrezygnowaliśmy ze szkoły. Nie mieliśmy innego wyjścia.

Skarciła siebie w duchu. No tak, wykazała wyjątkowy . brak taktu! Najwidoczniej pani Flynn nie mogła dłużej opłacać chesnego.

- Rozumiem - szepnęła, zastanawiając się gorączkowo, co może teraz powiedzieć. - Robi się coraz goręcej – dodała po chwili, zdając sobie sprawę, jak banalnie zabrzmiały jej słowa. - Nie ma nawet czym oddychać.

- Zaraz dopłyniemy na miejsce - odparł.

Zanurzyła rękę w wodzie. Miała wrażenie, jakby świat wokół niej pociemniał trochę. Dlaczego po każdej szczęśliwej chwili napływają chmury, pomyślała.

Wolała nie zastanawiać się teraz nad sytuacją, w której musieliby się rozstać. Najważniejsze, że dziś jest przy niej, że są razem, a wakacje dopiero się zaczęły. Mają przed sobą prawie trzy letnie miesiące. A potem... Wszystko może się zdarzyć. Zanim skończy się lato, on przestanie się jej podobać. Albo ona jemu! Zerknęła na Johna. Jego włosy błyszczały w słońcu jak dojrzałe zboże. O Boże, pomyślała wstrząśnięta i zarazem zrozpaczona. Jaki on cudowny...

Łódź przybiła do brzegu, a John pomógł Rose wysiąść. Kiedy dotknęła jego ręki, ogarnęło ją zakłopotanie, on jednak puścił ją dopiero wtedy, gdy stała pewnie na lądzie. Nie ruszając się z miejsca, wziął ją w ramiona i znowu pocałował.

Od strony szopy dobiegł jakiś odgłos. Przekonana, że to szczur, pisnęła przerażona. Oboje odwrócili głowy.

- Dzień dobry - odezwał się Derek, wychodząc z cienia.

- Śledziłeś mnie! - zawołał John. Zdjął rękę z ramion Rose i postąpił krok w stronę brata.

Derek patrzył na niego z niewinną miną.

- Wcale nie - odparł. - Wyszedłem na spacer. Tak jak ty. Chciałem znaleźć sobie jakieś spokojne miejsce, poczytać trochę. - Dopiero teraz Rose zauważyła w jego dłoni książkę. Uniósł ją i uśmiechnął się lekko. - Doszedłem do szopy i zobaczyłem otwarte drzwi, dlatego postanowiłem się trochę rozejrzeć.

- Jeszcze nigdy dotąd nie wybrałeś się na dłuższy spacer!

- Skąd miałbyś wiedzieć, jak spędzam czas? John zacisnął pięści.

- Na pewno podglądałeś nas z brzegu...

- Podglądałem was? Skąd ci to przyszło do głowy? A w ogóle... czy było co podglądać? - Przeniósł wzrok z brata na dziewczynę. - Nie przedstawisz nas sobie?

- Ukryłeś się tu, żeby nas szpiegować!

- Niby co miałbym szpiegować? Prosiłem, żebyś nas sobie przedstawił. - Nie czekając na reakcję brata, podszedł do Rose i wyciągnął rękę. - Dzień dobry, panno Moffat. Jestem Derek, jego brat - bliźniak.

Podawała mu rękę. Czowała się straszliwie zakłopotana, że ktoś widział, jak całowała się z Johnem.

- Bardzo mi miło - powiedziała.

- Mnie również - odparł. Ton jego głosu pogłębił jej skrepowanie. Zauważyła, że jest podobny do Johna, ma takie same oczy, usta, a nawet zęby. Kiedy jednak stali obok siebie, uwydatniała się różnica w ich wzroście; Derek był trochę niższy. Dostrzegła również obniżone ramię, o którym wspomniał John. Derek nie spuszczał z niej wzroku, **ona** zaś wyobraziła sobie, jak sama wygląda: policzki zarumienione od słońca i zmieszania, włosy w nieładzie, pognieciona sukienka.

- John uczył mnie łowić ryby - wyjaśniła. - Dziś są moje urodziny, wiesz?

- Ach tak.

Postanowiła przejść do ofensywy.

- To moje urodziny. Dlaczego nie składasz mi życzeń?

- Wszystkiego najlepszego, panno Moffat. - Ton jego głosu sprawił, że w jednej chwili znienawidziła własne nazwisko.

- Pomóż mi wciągnąć łódź - odezwał się John, zwracając się do brata. - Naturalnie, jeśli nie czujesz się dziś zbyt słaby.

- Czuję się świetnie, absolutnie doskonale - odparł beztrąsko Derek, ignorując sarkastyczny ton Johna. - Obaj podeszli z dwóch stron do łodzi, wyciągnęli ją na brzeg, a potem zawlekli do szopy. - Przytulnie tu - mruknął Derek, odgarniając dłonią strzępy pajęczyny, która opadła mu na twarz.

Rose miała wrażenie, jakby ktoś przygwoździł ją do wy - cementowanej alejki. Radość z tego wyjątkowego dnia ulotniła się gdzieś. Nie dość że byli podglądani, to na dodatek musiała być świadkiem nieprzyjemnej sceny między braćmi. Przygnębiona zaczęła rozmyślać, czy nie powinna po prostu odejść stąd, zostawić ich samych z przykrym problemem.

Z szopy wyszedł John i zamknął jedno skrzydło drzwi.

- Przepraszam - mruknął do brata, który stał oparty o drugie. Derek z udanym przestrawieniem odskoczył na bok, a John zamknął drugie skrzydło. - Czy mam założyć kłódkę, Rose? - zapytał.

Nie ulegało wątpliwości, że umyślnie ignoruje Dereka. Rose spojrzała na starą zardzewiałą kłódkę.

- Nie wiem, czy ona się jeszcze w ogóle da zamknąć - powiedziała. - A zresztą nie mam pojęcia, gdzie jest klucz.

- W takim razie... idziemy?

- Mogę pójść z wami? - odezwał się z uśmiechem Derek.

- A dokąd? - rzucił niechętnie John. - Nigdzie się nie wybieramy. Odprowadzę tylko

Rose.

- Aż pod drzwi Wielkiego Domu?

- Zamknij się, Derek! - zawołał John. Jego twarz pociemniała.

- Jasne - mruknął Derek. Odwrócił się do Rose. - Proszę mi wybaczyć, panno Moffat.

John chwycił wędkę i torbę, następnie szybkim krokiem ruszył przed siebie. Po chwili wahania Rose, nie chcąc zostać w tyle, pobiegła za nim. Za sobą słyszała stąpanie Dereka.

Szli brzegiem, aż dotarli do cypla, gdzie Rose po raz pierwszy spotkała się z Johnem. Tam John przystanął i odwrócił się do brata.

- Derek - powiedział ponad ramieniem Rose - zobaczymy się potem w domu.

Ironicznym gestem mającym wyrazić kapitulację Derek uniósł ręce do góry.

- W porządku. Zobaczymy się w domu. - Spojrzał na Rose i złożył jej niski ukłon. - Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, panno Moffat.

- Mów mi Rose - szepnęła zrezygnowana.

- Wszystkiego najlepszego, Rose. - Wsunął ręce do kieszeni i oddalił się wolnym krokiem. W milczeniu odprowadzali go wzrokiem. Kiedy doszedł do zagajnika, zerwał gałązkę kasztanowca i ruszył dalej, wachlując się nią.

- Przepraszam cię za to wszystko - odezwał się John, kiedy stracili go z oczu.

- Co mu się stało? Macie ze sobą na pieńku?

- Prawdę mówiąc, nie wiem - odparł. - Ostatnio wydaje - się, jakby coś go gryzło.

- Zawsze myślałam, że bracia, a zwłaszcza bliźniacy, trzymają ze sobą. Że są sobie bliscy.

- I tak jest. To znaczy... tak było. I w pewnym sensie pozostało.

- A kiedy jego coś boli, ty też odczuwasz ból?

- Nie - pokręcił głową. Zastanawiał się przez chwilę. - Chociaż... tak, właściwie tak - przyznał. - Powiedziałem odruchowo „nie”, bo czasem mam tego dość. Wszyscy mnie o to pytają. Tak, odczuwam jego ból... nie zawsze, czasem. Ale zawsze wiem, kiedy jest nieszczęśliwy.

- A on? Czy czuje to, co ty?

- Nie wiem. - Ton jego głosu zdradził Rose, że John uznał ten temat za zamknięty.

Ujął jej dłoń. - Naprawdę jest mi bardzo przykro, że musiałaś tego wysłuchać - powtórzył.

- W porządku, John.

Nie puszczał ręki dziewczyny. Przez chwilę myślała, że chce ją znowu pocałować. Jej serce zabiło mocniej, ale John natychmiast cofnął się o krok.

- Powinienem już wracać do domu.

- Dobrze.

Umówili się na następny dzień.

- Na jeszcze jedną lekcję wędkowania? - zapytał John. Był już w nieco lepszym humorze; w jego lekko skośnych oczach dostrzegła wesołe iskierki.

- Nie tylko na to - odparła.

Pocałował ją w policzek i odszedł szybkim krokiem. Na skraju zagajnika odwrócił się, aby pomachać jej wędką na pożegnanie.

* * *

Rose udało się przejść przez kuchnię i korytarz, a potem wbiec po schodach do swojej sypialni, nie wpadając na nikogo z domowników. Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła sukienkę i cisnęła ją na stos ubrań pośrodku pokoju. Potem opadła na łóżko i, leżąc na wznak, wpatrywała się w popękany, wyblakły tynk na suficie. Zachowała ten zwyczaj jeszcze z czasów dzieciństwa; jak dotąd, zawsze koił jej nerwy. Dziś naprawdę potrzebowała czegoś kojącego. Jej romans z Johnem Flynnem dopiero się zaczął, a już wyłoniły się problemy. John chce wyjechać...

Była jednak podniecona do tego stopnia, że nic nie mogło zepsuć jej humoru na dłużej. Przewróciła się na brzuch i zamknęła oczy, usiłując odtworzyć fizyczne odczucia, jakie wywołały w niej pocałunki Johna. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ktoś puka do drzwi.

- Kto tam? - zapytała.

- Czy mogę wejść, Rose? - usłyszała głos matki.

- Jedną chwilkę! - zawołała. Zerwała się z łóżka i ściągnęła z krzesła szlafrok. Narzuciła go na siebie, idąc w stronę drzwi, ale zanim jeszcze je otworzyła, zgarnęła z podłogi całe naręcz ubrań i cisnęła je w kąt.

Daphne, nieskazitelna jak zawsze, trzymała w dłoni niedużą paczuszkę - miękką, jak zauważyła Rose, a to oznaczało, że zawiera raczej coś zrobionego przez matkę własnoręcznie w domu.

- Wejdz, mamó, proszę - powiedziała, przytrzymując drzwi.

Nastawiła się już na wysłuchanie kazania o nieporządku w pokoju, ale tym razem matka powstrzymała się od słów krytyki, podała jej natomiast paczuszkę.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, kochanie.

- Dziękuję, mamó. - Rose wzięła od niej prezent i cmoknęła ją w policzek. Głos udało jej się zabarwić entuzjazmem, co w obecnym stanie euforii nie było trudne. - Mogę otworzyć?

- Oczywiście.

Zdjęła opakowanie i ujrzała puszysty jak płatki śniegu sweterek z angory w pięknym, delikatnym odcieniu błękitu, ozdobiony ażurową koronką. Znała się trochę na robótkach ręcznych, zorientowała się więc natychmiast, że ta misterna praca musiała zająć matce wiele tygodni, może nawet miesięcy. Przyłożyła sweterek do siebie.

- Och, mammo! - zawołała ze szczerym zachwytem. – Jest śliczny! Nie widziałam jeszcze nic tak ładnego! Dziękuję! - Zarzuciła matce ramiona na szyję, zanim ta zdołała ją powstrzymać, i przytuliła się do niej.

- Rose, proszę cię! - zaprotestowała Daphne. Śmiała się jednak i Rose ponownie przyłgnęła do niej całym ciałem. Taki moment kontaktu między nimi zdarzał się nadzwyczaj rzadko; Rose poczuła nieoczekiwanie, że do oczu cisną jej się łzy, wiedziała jednak, że matka nie lubi podobnych scen, wzięła się więc w garść.

Podziękowała jeszcze raz, odsunęła się, po czym ułożyła sweterek na łóżku.

- Włożę go dziś wieczorem, do kolacji.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedziała Daphne. - Ale gdzie, na Boga, podziewałaś się całe popołudnie? Przeszukałam cały dom!

- Ja... wzięłam psy i poszłam z nimi na spacer - skłamała Rose. - Byłam nad jeziorem.

Matka, puszczając jej słowa mimo uszu, rozglądała się już po pokoju.

- Rose, musisz wreszcie zrobić tu porządek. To wstyd mieć taki bałagan! Dziś są twoje urodziny, więc nie będę ci teraz prawić morałów, ale muszę powiedzieć, że jestem zaskoczona. Spodziewałam się, że ze szkoły wyniesiesz lepsze obyczaje. Chyba nie tolerują tam rozrzucania rzeczy po całym pokoju?

Rose przypomniała sobie małą izdebkę w internacie, o powierzchni niewiele większej niż sześć stóp na cztery. Tam właśnie sypiała.

- Mammo, w internacie nie mamy tyle miejsca, aby móc bałaganić. Nie martw się, przed kolacją zrobię tu porządek. Przyrzekam.

- Ale dlaczego kręcisz się w biały dzień w szlafroku? Czyżbyś spała o tej porze?

- Nie, mammo, akurat się przebierałam, kiedy zapukałaś. Daphne odchrząknęła.

- No cóż, życzę ci jeszcze raz wszystkiego najlepszego. I cieszę się, że sweter przypadł ci do gustu.

- Jest śliczny.

- A więc spotkamy się przy kolacji, nieprawdaż? Pani McKenna przyrządziła z pewnością coś specjalnego.

- Doskonale. Do zobaczenia. - Rose otworzyła przed matką drzwi i zamknęła je za nią,

pełna ulgi. Zaczynała bowiem czuć się winna. Upłynął dopiero pierwszy dzień ich znajomości, a ona już ukrywa prawdę o Johnie Flynnie i karmi matkę kłamstwami.

* * *

Kiedy John wrócił do stróżówki, nie zastał Dereka. Matka siedziała na krześle przy tylnym wyjściu, szatkując kapustę i wrzucając ją do miski, która stała u jej stóp.

- I jak tam, John? - zapytała na jego widok. - Złowiłeś coś?

- Nie, mam, niestety, ani jednej sztuki - odparł. - A gdzie Derek?

Pokręciła głową.

- Nie jestem pewna. Chyba poszedł zobaczyć się z Jerem Hennessym. - Jer Hennessy był szkolnym kolegą Dereka.

- Nie, nie sądzę, aby go odwiedził - odparł John. - Derek poszedł za mną nad jezioro. Spotkałem go tam.

Mary Flynn podniosła kolejną główkę kapusty i ostrym nożem rozcięła ją wzdłuż głąba.

- Tego chłopca coś gryzie - mruknęła.

- Wiem, mam. Ale wolałbym, aby nie wyładowywał się na mnie. Ja jestem wobec niego w porządku.

Wierzchem dłoni otarła sobie pot z czoła, w jej oczach dostrzegł głęboką troskę.

- Nie martw się - dodał spiesznie. - Na pewno dojdę z nim do ładu.

ROZDZIAŁ 3

Nie ma nic żałośniejszego niż ociekająca wodą araukaria, myślała Rose. Lato umknęło w przerażającym tempie, a ona, siedząc teraz przy oknie swojej sypialni, spoglądała apatycznie na rześisty deszcz, który siąpił monotonnie, mocząc ściany Sundarbans, przygniatając rośliny do ziemi i tworząc kałuże w zagłębieniach na nierównym trawniku. Deszcz zdawał się także tłumić barwy perkalu na krzesłach i podniszczonych dywanów na podłodze. Rose, drżąc na całym ciele, kartkowała dziennik, który prowadziła sumiennie każdego dnia, odkąd spotkała Johna Flynnna.

Do końca sierpnia pozostało mniej niż dwanaście godzin, a pierwszego września John miał wyjechać daleko stąd, na Wyspę Księcia Edwarda.

Równie dobrze mógłby się przenieść na inną planetę. Krewni Rose przebywali gdzieś na terenach obecnych i dawnych egzotycznych kolonii lub w samej Anglii, część rodzin jej koleżanek szkolnych wyjechała swego czasu do Ameryki, „zwykli” ludzie jednak, jak uświadomił ją John, nie emigrowali do Bostonu, Bronksu czy Chicago, lecz do tej niewielkiej prowincji kanadyjskiej. Ów zwyczaj narodził się w połowie ubiegłego stulecia, jeszcze przed falą głodu, kiedy przeniósł się tam tutejszy ksiądz, a potem dołączyła do niego gromadka wiernych.

Szukając w swoich podręcznikach szkolnych informacji na temat tego miejsca, znalazła w nich jedynie krótką wzmiankę na temat przyłączenia się Wyspy Księcia Edwarda do Dominium.

Rose przywarła policzkiem do chłodnej szyby okiennej. To typowe dla Boga, pomyślała, zesłać deszcz w mój ostatni wspólny dzień z Johnem. Nie będziemy nawet mogli odbyć przejażdżki konnej, a to właśnie lubimy najbardziej. Do jej oczu napłynęły łzy. John trzymał się w siodle tak doskonale, jakby miał z końmi do czynienia od chwili przyjścia na świat, oboje więc spędzili większość lata, tego najszcześniejszego lata w jej życiu, podziwiając okolice Monaghan z perspektywy końskich grzbietów.

John i Derek próbowali znaleźć pracę w miejscowych sklepach i warsztatach, w Carrickmacross, Clones i Monaghan, nawet w Butlersbridge i Enniskillen po drugiej stronie granicy. Ale Irlandia Północna przeżywała taki sam kryzys ekonomiczny jak Republika i żaden z wielkich farmerów nie zatrudniał u siebie nowych ludzi. Nie pozostało im więc nic innego, wyjaśnił niedawno John, jak tylko wyemigrować. Martwił się, że zostawią tu matkę samą, mieli jednak wysłać jej pieniądze i pomagać przynajmniej w ten sposób.

- A może nawet - dodał w rozmowie z Rose - okaże się, że i nam wyjdzie to na dobre. Może za parę lat zostanę milionerem i wtedy tu wrócę.

Rose wiedziała, że w jego sytuacji - miał pracować na farmie ziemniaczanej - szanse na zostanie milionerem są raczej nikłe.

- Nigdy cię już nie zobaczę - łkała na jego piersi.

Usiłował ją pocieszyć.

- Będę tu przyjeżdżał na święta - obiecał, ale ona zareagowała na to jeszcze głośniejszym płaczem.

Domyślała się, że nawet jeśli to prawda, na taką podróż będzie mógł sobie pozwolić nie wcześniej niż za parę lat. A zresztą John może poznać kogoś innego, może się zmienić. Nic nie będzie już takie, jakie było do tej pory, a wyjazd Johna z Drumbooli to koniec jej życia, tak uważała.

Kochała go z całego serca, aż do bólu. Nawet w tych najszcześniejszych chwilach, a ściślej mówiąc: zwłaszcza w najszcześniejszych chwilach, do jej oczu nieoczekiwanie napływały łzy. Najgorszy był tamten dzień, kiedy i on się rozplakał, siedząc ze spuszczoną głową.

- Nie chcę wyjeżdżać, Rose - wyznał wtedy szeptem. Objęła ukochanego, próbując go jakoś pocieszyć, ale bezskutecznie. I wreszcie sama wybuchnęła płaczem.

A teraz dzień, którego lękali się oboje, nadchodził. Spojrzała na zegarek. Wpół do pierwszej. John obiecał, że spotka się z nią jak najwcześniej, około drugiej.

Rose wstała i gwałtownie zamknęła dziennik. Nie zamierzała siedzieć tu beczynn timer i płakać jak małe dziecko. Chciała być użyteczna. Pójdzie do stajni i oporządzi konie. Jeśli nie uda im się dziś wybrać na wspólną przejażdżkę, to przynajmniej nie z jej winy.

Wydychała nos i zeszła na dół. Jedną nogą była już za progiem, kiedy nagle z małego saloniku ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła się i wróciła. Przy sekretarzyku pod oknem siedziała babcia, trzymając na kolanach pekińczyka. Drugi leżał u jej stóp.

- Wołałaś mnie, babciu? - zapytała Rose.

- Owszem, moja droga. Przepraszam, że zwracam ci głowę, ale czy mogłabyś mi przynieść z mojego pokoju butelkę atramentu? Jak widzisz, kałamarz jest już pusty.

Rose kiwnęła głową. Kochała swoją babcie i zawsze chętnie robiła dla niej, co tylko mogła, dwa razy dziennie wyprowadzała nawet na spacer po ogrodzie jej pekińczyki. Matka Gusa była drobną, miłą kobietą, zawsze ubraną bez zarzutu, ze sznurem pereł na szyi. Większość czasu spędzała w swoim pokoju, prowadząc obszerną korespondencję ze starymi przyjacielami na całym świecie. Dla Gusa i Daphne obecność Nancy O'Beirne Moffat w domu

była niczym obłok mgły: widoczna, lecz bez znaczenia. Dla Rose natomiast babcia była wspaniałą i kochaną powiernicą.

Aż do tegorocznego lata, kiedy to w życiu Rose pojawił się John Flynn.

Z tego nie mogła się zwierzyć nikomu, nawet swojej najdroższej babci.

Wbiegła po schodach na górę, do pokoju Nancy, przesyconego jak zwykle zapachem wody kolońskiej. Butelka granatowego atramentu, niemal pusta, stała na imponującym palisandrowym biurku; większym meblem od niego było tu jedynie ogromne łóżko. Rose zawsze lubiła to biurko, przywiezione ponad sto lat temu z Afryki Południowej przez babcię Nancy. Wzięła butelkę z atramentem i zbiegła z powrotem na dół.

- Dziękuję ci, skarbie - powiedziała babcia. Pekińczyk na jej kolanach obwąchał starannie butelkę i skulił się na powrót, tworząc puszysty kłębuszek. Nancy odstawiła butelkę i pogłaskała psa. - Paskudny dzień - mruknęła do wnuczki. - Może zagramy potem w kanastę?

W jej cichym głosie Rose wyczuła znużenie samotnej kobiety i natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Tego lata po raz pierwszy zaniedbała swoje obowiązki wobec babci. Ale John Flynn wypełnił jej życie bez reszty, a dziś, zwłaszcza dziś, nie liczył się nikt poza nim.

- Jutro, babciu - zaproponowała, wycofując się z saloniku. - Dziś jestem bardzo zajęta. Muszę zająć się końmi, żeby miały trochę ruchu.

- W taką pogodę?

- Och, niedługo się przejaśni. Tak przynajmniej zapowiadali. - Rose nie słyszała dziś w ogóle prognozy pogody. - Zresztą konie nie boją się deszczu.

Babcia nie przestawała głaskać psa.

- Dobrze, kochanie, poczekamy z tym do jutra.

Deszcz spływał szarymi strugami po nieprzemakalnym płaszczu Rose, kiedy biegła w stronę stajni. Nie pomyślała nawet o tym, żeby włożyć coś na głowę lub choćby wziąć parasol, i w ciągu paru chwil mokre włosy przykleiły jej się do głowy i twarzy. Nie szkodzi, pomyślała. Co za różnica, jak dziś wyglądam?

Ogarnęło ją przewrotne pragnienie, aby poczuć się jeszcze gorzej, zepsuć sobie humor do reszty. Podniosła wzrok na wklęsłą linię dachu. Tego lata Sundarbans pozbawiono większości jego wysokich kominów; ich waga mogłaby okazać się zębna dla słabego już dachu i całego domu. Sundarbans, pomyślała Rose, delektując się teraz swym smutkiem, rozłazi się w szwach niczym stara suknia balowa, zapomniana przez wszystkich.

Ze względu na ukształtowanie terenu tylna ściana domu była znacznie wyższa niż jego fronton. Zabudowania gospodarcze - magazyny i nie używana mleczarnia - otaczały z trzech stron wybrukowany kocimi łbami plac, zamknięty z czwartej strony wysokim kamiennym

murkiem. Zwłaszcza dziś, podczas ulewy, podwórze przywodziło na myśl dziedziniec więzienny w znacznie większym stopniu niż w tamte piękne słoneczne dni, kiedy zaczęto usuwać kominy, a ona nie myślała o niczym innym, jak tylko o nie znanej jej dotąd miłości. Pośrodku placu ujrzała wtedy ojca. Stał, obserwując robotników pracujących na dachu.

Tamtego dnia czekało ją trzecie spotkanie z Johnem i to miało dla niej największe znaczenie. Zdawała sobie jednak sprawę z problemów, jakimi gryzł się jej ojciec.

- Tato? - odezwała się w końcu, starając się nie okazywać, jak bardzo jest podniecona.
- Mówisz zawsze, że Olbrzym przytył za bardzo i potrzebuje więcej ruchu.

- Zgadza się. - Gus nie odrywał wzroku od dachu.

- Co ty na to, gdybym zorganizowała mu przejażdżki?

- Masz już i tak wiele roboty z Tartanem. - Tak nazywał się jej kuc.

- Nie chodzi o mnie. To znaczy... ja jeździłabym dalej na Tartanie. Ale wczoraj spotkałam Johna Flynną, wiesz, tego ze stróżówki. Okazuje się, że chciałby uczyć się jeździć konno. Pomyślałam sobie, że możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Nie mam tu wiele do roboty i chętnie udzielę mu paru lekcji, jeśli nie masz nic przeciw temu. - Stukanie młotków na dachu odbijało się na dziedzińcu donośnym echem i Rose musiała podnieść głos, bojąc się, że ojciec jej nie usłyszy. - Co o tym myślisz, tato? - zapytała, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Skierował na nią przelotne spojrzenie, a potem spojrział znowu na dach.

- Pieniądze, pieniądze - mruknął, pocierając dłonią kark.

- I jak, tato? - Pociągnęła go za rękaw. - Możemy wziąć Olbrzyma?

Nadal pocierał kark, ale zerknął na nią z ukosa.

- Niech będzie. Ale bądźcie ostrożni. I uważajcie na uprzęż, żeby nic nie zginęło.

- Dziękuję, tato. Dopilnuję wszystkiego. Kiedy odchodziła, krzyknął za nią:

- I nie mów o tym matce, dobrze?

Tego samego popołudnia zaczęła uczyć Johna jeździć konno.

Dochodząc teraz do stajni, przypomniawszy sobie przestrożę ojca i uśmiechnęła się przelotnie. Kontynuowanie romansu, nawet pod bystrym okiem matki, nie było rzeczą trudną. Dopóki robiła to, co do niej należało - pomagała babci, siedziała w domu po zapadnięciu zmroku i zachowywała się grzecznie - Daphne akceptowała fakt, że jej córka spędza większą część wakacji na przejażdżkach konnych i spacerach z psami. Jeszcze nigdy Muffin i Charlie nie wy - hasały się tak jak ostatnio, pomyślała Rose...

Podwórze przed stajnią pozostawiało wiele do życzenia nawet w słoneczne, piękne dni. Dziś strugi wody, które wypływały z pękniętych rynien, wypełniały szpary między

kamieniami bruku, tak śliskimi, że Rose z trudem utrzymywała równowagę. Odpływ pośrodku podwórza był zapchany. Rose, nie myśląc nawet o tym, że zabrudzi sobie ręce, weszła w miniaturową sadzawkę powiększającą się z każdą chwilą i poczęła odrzucać na bok liście i grudki mokrego siana, które zatkały otwór. Poczekwała, aż woda spłynie swobodnie rynsztokiem, następnie rozejrzała się dokoła. Nie zauważyła nigdzie Clickera, kuca, do którego zaprzęgano zwykle powóz, ale Tartan i Olbrzym strzygły już uszami, obserwując ją ze swoich boksów w stajni.

Gus wspominał często czasy, kiedy w stajni trzymał sześć, siedem, osiem, a nawet dziesięć koni, a opiekowali się nimi stajenni mieszkający w izbach nad boksami. Teraz, prócz Rose i Gusa, jedyną osobą opiekującą się trzema pozostałymi jeszcze końmi był Fergie McKenna, syn gospodyni. Przychodził codziennie na godzinę lub dwie i wykonywał przy zwierzętach najcięższą robotę.

Podeszła do Olbrzyma, który od dnia, kiedy zaczął odbywać regularne spacerzy, wyraźnie się ożywił, pogłaskała jego ciepłe, miękkie, aksamitne chrapy.

- I co teraz zrobimy? - wyszeptała.

Trącił ją pyskiem, dopominając się o cukier.

Aby sprawiedliwości stało się zadość, pogłaskała również Tartana, a potem weszła do boksu Clickera. Drzemał, zwrócony zadem do drzwiczek, ale gdy usłyszał Rose, otworzył oczy i obejrzał się na nią.

- Ty też - szepnęła, przesuwając dłonią po jego grzbiecie - zateśknisz za nim, ty też. - Wzięła z siatki garść siana i podała mu. Kuc chwycił pokarm ostrożnie, samymi wargami.

Rose oparła się o ciepły grzbiet konia. Czuła jego specyficzny, zwierzęcy zapach, słyszała bębnienie deszczu, monotony odgłos przeżuwania siana przez Clickera - i to wszystko sprawiało, że zaczął spływać na nią spokój.

U wejścia zamajaczyła ciemna sylwetka.

- Bardzo zmokłaś?

Przeżona zerwała się na równe nogi.

- Och!

Niemal jednocześnie zawołała:

- Och, John, to ty... - i wyciągnęła do niego ręce. Nagle ujrzała jedno opuszczone trochę ramię i uświadomiła sobie, że to nie John, lecz Derek. Jego twarz znajdowała się w cieniu, w przeciwnym razie rozpoznałaby go od razu. - Witaj, Derek - mruknęła zbita z tropu.

- Przepraszam - odparł. - Przepraszam, że to ja. - Nawet szum deszczu nie zagłuszył gorczy i ironii w jego głosie.

- Nie masz za co przeproszać, Derek - szepnęła zrezygnowana. Jego blond włosy pociemniały od wilgoci, ubranie ociekało wodą.

- Jesteś cały mokry - szepnęła. Otworzyła drugie skrzydło drzwi. - Wejdz, nie stój tak na deszczu.

- Dziękuję.

Postąpił parę kroków w mrok stajni. Clicker, zniecierpliwiony przerwą w karmieniu, parsknął głośno i odwrócił się od nich, aby samemu zadbać o kolejną wiązkę siana.

- Szukasz Johna? - zapytała Rose. - Powinien zaraz tu być. Powiedział, że postara się przyjść jak najwcześniej.

- Właśnie dlatego tu jestem - oświadczył Derek. - Mam dla ciebie wiadomość. John nie będzie mógł przyjść dzisiaj po południu. Pojechał z matką do miasta zobaczyć się z księdzem.

- Co takiego?

- John nie może przyjść dzisiaj po południu, pojechał...

- Już to słyszałam - przerwała mu Rose. - Mam rozumieć, że nie przyjdzie dziś w ogóle?

- Taką właśnie przynoszę wiadomość. Nie może dziś przyjść - powtórzył Derek.

- Ale czy przyjdzie później, kiedy już załatwi sprawę u księdza? Po co w ogóle się z nim spotyka?

- Tego nie wiem.

- Na miłość boską, musisz się przynajmniej czegoś domyślać... - Rose czuła, że ogarnia ją furia.

- Powiedziałem wszystko, co wiem. Jestem tylko posłańcem.

- Tak, ale na pewno się domyślasz, po co John pojechał do księdza.

- Matka chciała, żebym ja też pojechał, ale udało mi się zawrzeć z Johnem układ. Obiecałem mu, że przekażę ci wiadomość, jeśli on pomoże mi przekonać matkę, iż ja nie muszę spotykać się z księdzem. Ostatecznie byłem tydzień temu u spowiedzi i komunii.

- A on nie był?

- Już od tygodni nie chodził na msze.

Powiedział to wymownym tonem, a Rose spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wiedziałam o tym - mruknęła. - Dziękuję za wiadomość. - Nigdy nie rozmawiali na temat mszy. A może on jest przekonany, że całując się z nią, popełnił śmiertelny grzech?

- Matka się obawia, czy nie zbliżymy się zanadto do tamtejszych protestantów - dodał Derek. - To znaczy, do protestantek - sprostował.

Wiedziała, że tylko się z nią drażni. Ale to nic, nie pozwoli mu się sprowokować.

- Dziękuję ci, Derek - powtórzyła.

- Nie ma za co. - Nadal stał na swoim miejscu. - Myślę, że on potem przyjdzie - mruknął. - Kiedy już wróci z miasta. Pojechali godzinę temu.

Upór, z jakim sterczał przed nią, zbijał ją z tropu.

- A... co u ciebie? - zapytała. - Jak płuco?

- Dobrze. Doktor mówi, że nie ma się o co martwić. Muszę się tylko oszczędzać i unikać przeziębień.

- To wspaniale! - zawołała. Ponieważ nadal nie ruszał się z miejsca, zaczęła gorączkowo poszukiwać kolejnego tematu do rozmowy. - Chciałbyś może, abym oprowadziła cię po podwórku, wokół stajni? - Nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Wiedziała, że to dziwaczny pomysł, zwłaszcza w tak deszczowy dzień jak dziś, czuła jednak, że musi wyjść z tego mrocznego pomieszczenia na zewnątrz, gdzie będzie choć trochę światła.

- Tak, chętnie.

Wychodząc z nim, rozmyślała intensywnie. Nigdy przedtem nie przebywała z chłopakiem sam na sam. Co robić? Derek najwyraźniej nie śpieszył się z odejściem.

- Widzisz? - zapytała i zatoczyła ręką szerokie półkole. Czuła się niezręcznie. - To nasze podwórze.

- Tak. - Znowu stał bez ruchu. Deszcz nieprzerwanie bębnił o bruk; duże krople ściekały po głowie Dereka do oczu i uszu, on jednak sprawiał wrażenie, jakby tego nie czuł. Nie miał na sobie płaszcza jak ona, lecz po prostu kurtkę, pociemniałą już od wilgoci. Teraz, kiedy wyszli na zewnątrz, Rose odzyskała pewność siebie i zdolność trzeźwego myślenia. Przyszło jej do głowy, że zachowała się jak sobek; martwiła się jedynie o siebie i Johna, zapomniała natomiast o cierpieniu Dereka. Próbowała teraz wyobrazić sobie, co on czuje: oto w tak młodym wieku jedzie na drugi kraniec świata, bez pieniędzy i perspektyw.

- Chciałbyś obejrzeć nasze powozy i przyczepy? - zapytała. - Ojciec ma całą kolekcję, same stare okazy, zabytki. - Kiwnął głową, a ona pociągnęła za ciężkie drzwi. - Och, Derek! - zawołała impulsywnie. - To okropne, że ty i John musicie wyjechać!

Jego twarz sprawiała przez chwilę wrażenie, jakby miała się rozsypać się na tysiące cząsteczek, potem ukrył ją w dłoniach i zaszlochał jak małe dziecko.

Strwożona zamarła w bezruchu, z dłonią na skoblu, dopóki jego rozpacz nie udzieliła się również jej samej. Zaczęła płakać razem z nim.

- Wejdz przynajmniej do środka - wyjąkała. - To niemądre, że tak tu stoimy... jak... jak... - Ujęła go za rękę i wprowadziła pod dach. Bezwolny, nie stawiał oporu. Wiedziała, że

ten gest jest bez sensu, a jednak pogłaskała go po ramieniu. - Derek, proszę cię, przestań płakać... Proszę, przestań, nie mogę na to patrzeć....

Gwałtownie uwolnił ramię, chwycił oburącz za żelazne koło stojącej najbliżej przyczepy i szarpnął ze wszystkich sił. Pojazd zachybotał się na prawo i lewo, resory zazgrzytały donośnie. Rose stanęła za Derekiem, tak blisko, że poczuła wilgotny zapach wełnianej kurtki. Teraz, kiedy przestał płakać, zapragnęła podświadomie wyciągnąć rękę i objąć go, dodać otuchy, nie starczyło jej jednak na to odwagi.

- Och, Derek... - szepnęła przygnębiona. - Chciałabym...

- Czego byś chciała? - Odwrócił się do niej, a ona zdała sobie w tej chwili sprawę z tego, że nie wie, co zamierzała powiedzieć. Gestem pełnym skruchy wzruszyła ramionami.

Nieoczekiwanie chwycił ją za ręce, przyciągnął do siebie. Zachwiała się i odruchowo, nie chcąc utracić równowagi, przylgnęła do niego, a on momentalnie pocałował ją, brutalnie i gorączkowo, usiłując wtargnąć w jej usta językiem.

Wydała stłumiony okrzyk, ale Derek już przerwał pocałunek - tak samo nagle, jak go zaczął. Z szeroko otwartymi oczami, jak u spłoszonego zająca, cofnął się, aż stanął znowu na deszczu. Wyglądał tak młodo i bezradnie, że mimo woli ruszyła ku niemu, on jednak odwrócił się i pobiegł przed siebie. Zniknął jej z oczu, zanim zdążyła go zawołać.

Oszołomiona poczuła, że nogi uginają jej się w kolanach. Przykucnęła obok jednego z powozów i oparła oń głowę, czując zapach starego lakieru. Mniej więcej po minucie uświadomiła sobie zaskoczona, że chociaż usta nadal ją pieką od tego wymuszonego pocałunku, a serce wali jak oszalałe, jest mniej oburzona, niż powinna być. Twarz Dereka, tak bardzo podobna do twarzy Johna, choć blada i pełna smutku, wzbudziła w niej tyle współczucia, że nie mogła się na niego gniewać.

Wstała i wyszła na podwórze. Obydwa wierzchowce powiodły za nią wzrokiem, łudząc się nadzieją na przejażdżkę, ona jednak, zamiast podejść do nich, weszła znowu do boksu Clickera. Czasem ogarniało ją pragnienie, aby być zwierzęciem. Zwierzęta przychodzą na świat, jedzą, pracują, śpią, pracują, śpią i wreszcie umierają. Ich życie jest takie proste!

Dostrzegła rzuconą w kąt boksu twardą szczotkę. Podniosła ją i zaczęła czyścić Clickera, rozczesując mu splątaną sierść na grzbiecie i bokach. Co mam zrobić? Co mam zrobić? Powtarzała to pytanie w duchu raz po raz, szczotkując konia miarowymi ruchami.

* * *

Upływające minuty tego ostatniego dnia napełniały Johna uczuciem głębokiej frustracji. Nie okazywał jednak tego po sobie, nie chcąc martwić matki.

Wizyta u księdza okazała się krótka i bezbolesna; skończyło się na błogosławieństwie i paru frazesach o „czystości katolickiej” i potrzebie „zachowania wiary”. Potem odbyli obchód po sklepach w Carrick, obchód mający charakter powolnych tortur, jako że każdy sklepikarz, jeden po drugim, żegnał się z nim uroczyście, wręczając mu drobny upominek. John nie mógł tego znieść: z jednej strony, bolał go widok cierpienia na twarzy matki, a w tym samym czasie marzył tylko o tym, aby znaleźć się jak najprędzej w Drumbooli, u boku Rose. Ostatnią wizytę złożyli w sklepie tekstylnym, gdzie kupili dwie białe koszule. McCann, właściciel sklepu, mężczyzna rumiany i o wydatnym brzuszku, uparł się, że obsłuży ich osobiście. Nie chciał też słyszeć nic o zapłacie za koszule.

- Nie, nie, pani Flynn, z pewnością nie należała pani przez te wszystkie lata do moich najlepszych klientów, ale ten młodzieniec dopiero przystąpił do komunii, a teraz już nas opuszcza! Opuszcza nas, czyż nie? Wybiera się za ocean, do Nowego Świata!

Z widoczną wprawą zapakował koszule w brązowy papier, obwiązał paczuszkę ozdobnym sznurkiem, po czym, nie bacząc na ich protesty, odprowadził Johna oraz jego matkę do wyjścia. W sklepie byli jeszcze inni klienci i John poczuł, że się rumieni z powodu całego tego zamieszania, jakie wywołał. Wiedział, że McCann to człowiek o złotym sercu i życzy im dobrze, ale z trudem ukrywał zniecierpliwienie, kiedy sklepikarz, potrząsając jego ręką, powtarzał wylewnie:

- Uważaj na siebie, dobrze? Dbaj o swój los i rób wszystko, abyśmy tutaj, twoja matka i my wszyscy w Carrick, mogli być z ciebie dumni. - Nie wypuszczając jego dłoni z mocnego uścisku, zwrócił się do matki Johna: - Dorobią się milionowej fortuny, pani Flynn, on i Derek, a my będziemy im zazdrościć, nieprawdaż? Tak będzie i nie ma w tym nic złego. Na tym polega prawidłowość w życiu: młodzi rozkwitają, podczas gdy starzy więdną.

W końcu wsiedli z powrotem do samochodu Neda Sherlinga, a w drodze John czuł, jak z każdą chwilą narasta w nim rozpacz. Nie chciał stąd wyjeżdżać, nie chciał opuszczać tych pięknych stron ani matki, nie potrafił sobie zwłaszcza wyobrazić, że opuszcza Rose. Odwrócił się i spojrzął na matkę, która przygnębiona siedziała sztywno na tylnym siedzeniu. Nie, dla jej dobra nie wolno mu okazywać, jak bardzo cierpi.

Ostatnie dni były najcięższe w całym jego życiu. Niezależnie od tego, że rozstawał się z Rose, wyjazd oznaczał także emigrację na drugi koniec świata, rozłąkę z bliskimi. Podróż samolotem była dla zwykłych ludzi za kosztowna, dlatego też, kiedy emigrant wyjeżdżał tak daleko, nikt nie potrafił zagwarantować, że ktokolwiek w dotychczasowej ojczyźnie ujrzy go jeszcze kiedyś. Przeważnie pozostawał jedynie kontakt listowny, a emigrant przybywał do kraju wyłącznie na pogrzeb kogoś z rodziny - a i to tylko wtedy, jeśli mógł sobie na to

pozwolić.

Smutek, jaki ogarniał Johna z powodu wyjazdu z domu, łączył się z poczuciem winy za to, co robili on i Rose. Ale oni byli przynajmniej młodzi, a jeśli chodzi o matkę, może widzi ją żywą po raz ostatni...

- Wyrzucić mnie tutaj, Ned - poprosił sąsiada, kiedy samochód, który od paru chwil jechał wzdłuż ogrodzenia Sundarbans, zbliżył się do jednej z opuszczonych stróżówek. Furtka w tym miejscu była zamknięta, ale John wiedział, jak dostać się do środka przez lukę w gęstych zwojach bluszczu.

- Nie masz nic przeciw temu, mamie? - zapytał. Nigdy jeszcze nie rozmawiał z nią o swoim związku z córką właścicieli Wielkiego Domu, domyślał się jednak, że matka i tak wie o wszystkim. A na wszelkie subtelności i mówienie ogródkami nie było już czasu.

Pokręciła głową. Kurczowo zaciskała dłonie na rączkach torebki i uchwytach opakowań, które zawierały rzeczy przywiezione z miasta.

- Na pewno? - Dręczyło go poczucie winy. - Zostanę z tobą, jeśli chcesz...

Jeszcze raz pokręciła głową, a on przyjął ten gest z ulgą - i zarazem nowymi wyrzutami sumienia z powodu tego, że odczuwa ulgę. Następnie wysiadł z auta, pożegnał się z sąsiadem i podbiegł do tajemnego przejścia w ogrodzeniu.

Deszcz ustał wreszcie, ale ścieżka wiodąca do domu, nie porządkowana od lat, pokryta była zielskiem i błotem. W ciągu paru chwil John ubabrał sobie całe buty. Była to najbardziej zaniedbana i najbardziej ogołocona z drzew część posiadłości, gdyż O'Beirne Moffat usiłował związać koniec z końcem, sprzedając drewno. Ale natura sama zaczęła już leczyć swoje rany; John dostrzegł teraz niewielkie młode drzewka, dzikie potomstwo wytrzebionych rodziców, i chociaż cały ten teren przedstawiał żałosny widok, wystawiając się bez żadnej osłony na kaprysy szarego nieba, tu i ówdzie pomiędzy kikutami dawnych drzew widniały już paprocie, bluszcz i jeżyny. Mimo woli zaczął się zastanawiać, ile czasu upłynie, zanim ta ziemia leżąca odłogiem pokryje się na nowo zielenią, ale po chwili uświadomił sobie, że to nie powinno go obchodzić, gdyż prawdopodobnie nie ujrzy tych okolic nigdy więcej.

Tak jak się tego spodziewał, zastał Rose w stajni. Siedziała na wiązce siana w kącie boksu swojego kuca. Koń był osiodłany, ale bez uprząży. Kiedy John uchylił jedno skrzydło drzwi, dziewczyna zerwała się na równe nogi.

- Bałam się już, że nie przyjdiesz...

- Czyżby Derek nie przekazał ci wiadomości? Musiałem pojechać z matką do Carrick...

- Najważniejsze, że przyszedłeś - przerwała mu.

Dostrzegł, że jest bliska łez.

- Nie płacz, Rose - poprosił, lękając się własnych uczuć. - Proszę cię, nie płacz. Nie mamy już wiele czasu.

- Tak, wiem! - łkała. - John, ja tego nie zniosę!

- Wybierzemy się na przejażdżkę? - zapytał.

Jego pytanie jeszcze pogorszyło wszystko. Opadła z powrotem na siano.

- Jaki to teraz ma sens?

- Nie jest jeszcze tak późno... a deszcz ustał.

- Wiem. Ale czy w tej sytuacji cokolwiek ma jeszcze znaczenie?

- Proszę cię, Rose... - Zdjął z haka na ścianie uprząż Tartana i założył wędzidło na pysk kuca. - Czy Olbrzym już gotowy?

Szlochała jeszcze, ale skinęła głową.

- Chodźmy - powiedział i wyprowadził kuca na podwórze. - Popatrz, jakie piękne słońce. - Czuł się dziwnie, miał wrażenie, jakby przemawiał do małego dziecka.

Rose wstała wreszcie i wyszła do niego. Podał jej cugle Tartana, a następnie wrócił do stajni po Olbrzyma.

Po chwili dosiedli koni i wyjechali przez bramę na rozległe pięcioakrowe pole. Tam mogli popuścić im cugli. Po deszczu powietrze było zaskakująco ciepłe i John, który wyprzedzał Rose, zdał się na intuicję zwierzęcia. Jechali na zachód, a kiedy odwracał głowę lekko w lewo, czuł na twarzy żar słońca. Będzie mi tego brakowało, pomyślał, tego ciepła i ruchu, przyjemnego uczucia, że mam kontrolę nad pędzącym koniem. Zmuszał się, aby nie rozpamiętywać tego, co czeka go jutro, nie chciał zdręzczać się świadomością, że jemu i Rose zostało już tak niewiele czasu.

Zwolnili trochę przed ścianą lasu, jechali teraz stępą. Dróżka pomiędzy drzewami była tak wąska, że musieli posuwać się gęsiego. Rose ruszyła przodem. Tę część posiadłości Moffatow porastały zimozielone drzewa i chociaż w górze rozbrzmiewał śpiew ptaków, ożywionych po deszczu, tętent kopyt ginął zupełnie w gęstym i grubym dywanie z opadłych igieł. John patrzył na wyprostowane plecy Rose, na jej długie włosy, jeszcze sklezione w bezładne, nierówne pasma, ale schnące szybko w rozgrzanym powietrzu. Po raz nie wiadomo który poczuł, że dławi go w gardle. Co pocznie bez niej?

Dotarli do niewielkiej polany, którą zdążyli już uznać za swoją, i tam zeskoczyli na ziemię. Uwiązali konie do niewysokiej leszczyny, po czym spojrzeli sobie w oczy, świadomi oboje wyjątkowego charakteru tej chwili.

W pewnym sensie, pomyślał John, czuję się tak, jakbyśmy już teraz przebywali z dala od siebie. Wziął ją w ramiona i chociaż początkowo Rose była sztywna jak kij, w ciągu paru sekund poddała mu się całkowicie. Przytuleni do siebie opadli na leśną ziemię.

* * *

Tego wieczoru Rose zapukała lekko do pokoju babci i otworzyła drzwi, nie czekając na zaproszenie.

Nancy, podparta poduszkami, pólężała na swoim olbrzymim łóżku, jej wątle ramiona okrywał szlafrok. Rozpromieniła się na widok wnuczki.

- Rose! - zawołała. - Co za miła niespodzianka!

Dziewczyna podbiegła do łoża, opadła na kolana, i tuląc głowę do kołdry, nieoczekiwanie zalała się łzami.

Obydwa pekińczyki, które leżały skulone u boku swojej pani, zeskoczyły z łóżka i podreptały do koszy. Nancy, zaniepokojona, nachyliła się do wnuczki, na jej drobnej twarzy odmalowała się głęboka troska.

- Kochanie, co się stało? Powiedz, moja droga, o co chodzi? - Kojącym gestem głaskała Rose po głowie. - Skarbie, przecież mnie możesz powiedzieć...

Rose nie przestawała szlochać w fałdy pościeli.

- Och, babciu, to już koniec, to koniec...

- Koniec czego? Powiedz mi, kochanie, co się stało? Ale Rose powtarzała w kółko:

- To koniec, babciu, już po wszystkim...

- No, skarbie, daj spokój - pocieszała ją Nancy. - Cokolwiek się stało, możesz mi wszystko opowiedzieć, a ja spróbuję ci pomóc. Uspokój się, moja maleńka, nie płacz, kochanie... Weź się w garść, wstań i usiądź koło mnie.

Wreszcie Rose przestała szlochać. Wstała z klęczek, wsunęła się pod kołdrę i wtuliła twarz w ramię babci.

- Nie gniewaj się, ale ja naprawdę...

Wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem po raz drugi. Nancy wiedziała, że nie może do tego dopuścić.

- Rose, kochanie, musisz się opanować. Przynajmniej na tyle, żeby powiedzieć mi...

Rose przełknęła ślinę.

- Ja go kocham, babciu, a on teraz wyjeżdża i nigdy go już nie zobaczę!

- Kogo kochasz, skarbie?

- Johna. Johna Flynną.

- Johna Flynnna? Przykro mi, kochanie, nie znam nikogo o takim nazwisku. Czy widziałam go kiedyś?

- Z pewnością, babciu. Musisz go znać... to syn pani Flynn ze stróżówki, ma brata - bliźniaka imieniem Derek.

Nawet jeśli Nancy była zaskoczona wyznaniem wnuczki, nie dała tego poznać po sobie.

- Oczywiście, kochanie! Ależ ze mnie gapa! Oczywiście, że znam Flynnów. Po prostu nie widziałam ich już od długiego czasu. - Pogłaskała ciemne włosy Rose. - I powiadasz, że on wyjeżdża?

- Tak, babciu. Do Kanady. Na drugi koniec świata! - Znowu zaszlochała rozpaczliwie. - Nigdy... nigdy go już nie zobaczę!

- Ależ, kochanie... Takie sprawy często wydają się bardziej tragiczne, niż naprawdę są. Oczywiście, że jeszcze go zobaczysz. Świat bardzo się skurczył. Mamy teraz rok 1953, to nie średniowiecze. Istnieją linie lotnicze, a samolotem możesz dotrzeć do Nowego Jorku w niecałe trzysta godzin.

- Ale on nie będzie miał dość pieniędzy, żeby wykupić bilet! Ja też ich nie mam i dlatego nie będę mogła go odwiedzić.

- Rose, kochanie, pieniądze to najmniejszy kłopot, pamiętaj o tym. Pieniądze to tylko kawałki papieru albo krążki metalu. Jeśli naprawdę go kochasz i on kocha ciebie, znajdziecie oboje jakiś sposób, żeby się spotkać. Prawdziwe uczucie może pokonać wiele przeszkód. Zresztą jesteście jeszcze bardzo młodzi, kochanie...

Rose odsunęła się na bok.

- Och, wiedziałam, że to powiesz. Wiedziałam, że wszyscy będą tak uważać: jesteśmy jeszcze za młodzi, żeby się kochać. Ale to nieprawda. My... bardzo się kochamy, babciu.

- Nie powiedziałam, że jesteście za młodzi, skarbie, tylko że jesteście młodzi. I wcale nie uważam, że młodzi ludzie nie potrafią się zakochać; wiedz, że moim ulubionym dramatem Szekspira był zawsze „Romeo i Julia”. Nigdy nie widziałam w tym nic zdrożnego, że ci dwoje zakochali się w sobie.

Wsluchując się w łagodny głos babci, Rose czuła, że wraca do niej spokój.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała. - On wyjeżdża jutro rano, a ja okazałam się taka głupia! Nawet nie pożegnałam się z nim jak należy, bo byłam zbyt zdenerwowana.

- Widziałaś się z nim dzisiaj?

- Tak, wybraliśmy się na przejażdżkę konną po lesie.

- I co się stało, kochanie?

- Nie mogę ci powiedzieć, babciu, to zbyt okropne... - Rose ukryła twarz w poduszce.

- Może poczułabyś się lepiej, gdybyś mi jednak powiedziała?

Rose wodziła palcem po wyhaftowanej na poduszce niezapominajce.

- Naprawdę nie ma o czym, babciu - wyszeptwała. - To znaczy... nie ma słów, które by mogły wyrazić, jak bardzo byłam głupia.

- A jednak spróbuj, kochanie.

- No więc... jeździliśmy po lesie... uczyłam go jeździć przez całe lato... i... i wiedziałam, że dziś to nasz ostatni raz. Jest tam taka mała polana... - Rose zerknęła na babcię ze skruszoną miną. - W każdym razie zsiadliśmy z koni, jak zwykle, i ... och, babciu! - Umilkła, nie mogąc mówić dalej.

- Już dobrze, skarbie, uspokój się. - Nancy wyciągnęła rękę i z szuflady nocnej szafki stojącej przy łóżku wyjęła chusteczkę. Podała ją wnuczce.

- Będę się streszczała - mruknęła Rose. Wydmuchała nos. - Niedługo potem... no wiesz... pocałowaliśmy się... i nagle odskoczyłam od niego, wskoczyłam na Tartana i pogalopowałam w stronę domu. Nawet nie obejrzałam się za siebie.

Nancy odchrząknęła.

- Rozumiem - szepnęła.

Rose, chociaż zaaferowana własnymi słowami, dosłyszała w jej głosie jakąś nową nutę i spojrzała na babcię podejrzliwie.

- Co rozumiesz?

- Nic, kochanie. Tak sobie tylko pomyślałam... Obawiałam się...

- Czego, babciu?

- Nic, nic, kochanie, już dobrze. - Nancy przyłożyła jej palce do ust, następnie wzięła z nocnej szafki szczotkę i poczęła przesuwając ją delikatnie po włosach Rose. - Może tak właśnie trzeba było i tak jest dla ciebie lepiej, skarbie...

- Jak to? - Rose, która poddała się już kojącym ruchom dłoni babci, uniosła na powrót głowę. - Przecież ja go tam zostawiłam! Nawet się nie pożegnałam! To takie egoistyczne z mojej strony!

- Mamy dopiero ósmą - zastanawiała się na głos Nancy. - Jeśli nie jest to dla ciebie zbyt kłopotliwe, mogłabyś spotkać się z nim dziś jeszcze raz.

- To by było rzeczywiście trochę kłopotliwe - przyznała Rose. - Przede wszystkim dlatego, że oni urządzają dziś u siebie amerykańskie czuwanie.

- A więc może pójdziemy tam razem? - zapaliła się natychmiast Nancy, która nie miała jeszcze nigdy okazji uczestniczyć w takiej imprezie; jej nazwa wzięła się stąd, że każdy

emigrant zapraszał w przeddzień wyjazdu do Ameryki swoich bliskich, przyjaciół i sąsiadów, urządzając w domu spotkanie podobne do czuwania przy zwłokach.

- Nie, babciu - pokręciła głową Rose. - Nie pójdę tam dzisiaj. Nie wiem, czy mogłabym to znieść, a poza tym nie wydaje mi się, aby John czuł się dobrze w takiej sytuacji razem ze mną. - Ukryła twarz w dłoniach. - Wiem, że już po wszystkim, ale to tak strasznie boli!

Babcia nadal szcztokowała jej włosy.

- Moje biedne maleństwo... Tak szybko dojrzałaś, wydorostałaś... Jak powiedziałaś? Dokąd on wyjeżdża?

- Na Wyspę Księcia Edwarda w Kanadzie.

- Ach tak. No cóż, postaraj się dostrzec w tym plusy, kochanie. Przede wszystkim Kanada nie znajduje się tak daleko jak Australia. Gdyby chodziło o Australię, przyznałabym ci rację, że mamy powód do zmartwienia. Ale Kanada? Przecież wystarczyłby jeden sus, jeden przelot. - Nancy zebrała włosy wnuczki w gruby pęk i zaczęła splatać z nich warkocz.

- Och, babciu, teraz żałuję, że nie porozmawiałam z tobą o tym wszystkim wcześniej. Powinnam było wiedzieć, że mnie zrozumiesz. To takie okropne zadreć się czymś samemu. Byłam tak strasznie przybita, a teraz... - Po twarzy pociekły jej nowe łzy.

- Już dobrze, kochanie. Możesz się wyplakać do woli, to ci przyniesie ulgę. Jestem przy tobie. Zresztą naprawdę sprawy nie mają się tak źle, jak myślisz.

- Matka by mnie nie zrozumiała.

- Może jej postawa byłaby zbyt nieprzejednana, ale wszystko zależy od ciebie. Jednym z wątpliwych przywilejów okresu dorastania jest konieczność dokonania wyboru: komu zaufać?

- Ja ufam tobie, babciu. Naprawdę. Przepraszam za tę scenę, ale nie mogłam się powstrzymać od płaczu. Nigdy przedtem nie płakałam tak wiele jak ostatnio.

- Łzy mają zbawienny wpływ na duszę, kochanie. Zwierzęta nie płaczą, tylko ludzie, wiesz? Ludzie tego potrzebują, muszą się nieraz wyplakać.

Rose zdobyła się na błady uśmiech.

- Może masz rację, a może nie. Jestem pewna, że widziałam, jak płaczą konie.

- Czekala cierpliwie, aż babcia splecie warkocz do końca. Jeden z pekińczyków, najwidoczniej zadowolony, że wszystko wraca do normy, wskoczył z powrotem na łóżko i ułożył się obok swojej pani. W chwilę potem wziął z niego przykład drugi pies.

Cała czwórka, delektując się błogim spokojem, leżała w kręgu światła nocnej lampki. Jeden z pekińczyków za - chrapał cichutko. Rose wyciągnęła rękę i pogłaskała jego puszysty

łebek.

* * *

Tego wieczoru stróżówka była odmieniona nie do poznania. Pośród dymu z papierosów i fajek rozbrzmiewały głośnie rozmowy, dźwięki muzyki i szczęk szkła, a skromne umeblowanie Flynnów uzupełniono krzesłami pożyczonymi od sąsiadów.

Mimo iż salonik, nie używany w normalnych okolicznościach, zachęcał ogniem w kominku i lśniąca podłoga, goście stłoczyli się w kuchni. Znajomi, którzy widywali się codziennie, a przynajmniej raz w tygodniu na mszy, rozprawiali teraz ze sobą z takim ożywieniem, jakby od ich ostatniego spotkania upłynęło wiele lat.

John był zmęczony jak nigdy przedtem. Obszedł już wszystkich, częstując gości ciastem owocowym, plackiem posypanym nasionami anyżu oraz kanapkami, które przygotował razem z matką, dopilnował też, aby każdy dostał coś do picia, a teraz korzystał z krótkiej chwili wytchnienia. Rozglądając się dokoła, pomyślał ze smutkiem, że koszty tego przyjęcia matka będzie odczuwała jeszcze przez długie miesiące. Wiedział jednak, że mimo to nie przyszedłoby jej nawet do głowy zrezygnować z urządzenia zwyczajowej imprezy.

Ogień w kominku płonął nisko, i mimo że tylne drzwi zostawiono otwarte, było duszno; John poczuł, że rozboleła go głowa. Zapragnął nagle wymknąć się na świeże powietrze, choćby na chwilę, i powiódł dokoła wzrokiem, aby zorientować się, czy goście zauważyliby jego nieobecność. Dostrzegł przy okazji, że jego brat znalazł się niby w pułapce między starym mężczyzną o żółtych bokobrodach a jego bezzębną siostrą, postanowił więc pośpieszyć mu na ratunek.

- Derek, mógłbyś wyjść ze mną i pomóc mi? - zawołał, przekrzykując gwar. Na twarzy brata pojawił się wyraz ulgi. - Jeszcze trochę wody mineralnej? - zapytał John stojących obok mężczyzn, o których wiedział, że są abstynentami. Wziął od nich szklanki i wyszedł za bratem na podwórze, gdzie przy tylnych drzwiach stały skrzynki z butelkami.

- Jezu, co za męka! - szepnął Derek. - Chcesz papierosa?

- Jeszcze tylko parę godzin - odparł cicho John. - Nie, nie chcę żadnego papierosa. A ty uważaj, żeby mama nie nakryła cię z tym świństwem.

Przeszli trochę dalej i oparli się plecami o ścianę domu. Przez okno John ujrzał matkę; stała przy kuchennym stole, szykując kolejne kanapki. W świetle lamp naftowych jej twarz sprawiała wrażenie nienaturalnie zarumienionej.

- Martwię się o mamę - mruknął do Dereka. - Myślisz, że da sobie radę?

- A chcesz może skończyć jak oni? - Derek wskazał kciukiem za siebie, na dom, gdzie

zostawili gości. Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa, który ukrywał w dłoni. - Jeśli mam być szczerzy, nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie wyjadę z tej dziury.

- Wczoraj mówiłeś, że nie chcesz wyjeżdżać.

- To było wczoraj.

- A dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Tak, bez powodu.

- Coś jednak musiało się wydarzyć.

- Nic się nie wydarzyło. Przestań mnie męczyć!

John spojrział na niego przenikliwie, ale twarz brata tonęła w cieniu. Podniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo i jasny księżyc. Z wnętrza stróżówki dobiegała skoczna muzyka, tak jakby świętowano coś radosnego, a nie rozstanie.

- Dla matki będzie to ciężkie przeżycie - powtórzył po chwili.

- Wiem - odparł Derek. - Ale to chyba nie nasza wina, prawda?

- Nie mam pojęcia, czyja to wina - mruknął John. - W każdym razie nie jej, to pewne.

I wiem, że ja wcale nie chcę wyjeżdżać.

Stali tak chwilę w milczeniu, ramię w ramię. Derek znów zaciągnął się głęboko, koniec papierosa rozżarzył się w mroku czerwoną plamką.

- Jak tam będzie, co o tym myślisz? - zapytał, kiedy wypuścił dym z ust.

- Wiem tyle co i ty.

Z domu wyszedł jeden z gości. Na ich widok machnął przyjaźnie ręką i skierował się w stronę wygodki ubawionej przy żywopłocie.

- Będziesz do niej pisał? - odezwał się znowu Derek, kopiąc zawzięcie jakiś chwast, a John zorientował się natychmiast, że brat nie ma wcale na myśli matki.

- Obiecaliśmy sobie, że tak.

- Wielcy pisarze! Wielcy ko - res - pon - den - ci! - Wycedził to słowo tonem wzgardliwym, jadowitym.

- Przestań, Derek! - Zwłaszcza teraz John nie chciał dopuścić do kłótni. - Wracam do domu. Podasz tamtym butelkę lemoniady?

- Mam to w dupie!

John należał do ludzi cierpliwych. Jak dotąd, stracił panowanie nad sobą dopiero cztery razy w życiu. Teraz poczuł, że niewiele brakuje, a spotka go to samo po raz piąty. Wyciągnął ze skrzynki butelkę czerwonej lemoniady i zerwał z niej nakrętkę. Zrobił to zbyt gwałtownie; musujący płyn chlusnął mu na dłonie. John odskoczył w tył, aby lemoniada nie poplamiała mu spodni, udało się, ale kilka kropel spadło na buty.

Strzepnął je, wrócił do kuchni i napełnił dwie szklanki lemoniadą. Podając je obu mężczyznom, czuł na sobie wzrok matki; śledziła każdy jego ruch. Gwar w kuchni przybrał na sile. Była to zasługa trunków, które rozwiązywały języki, oraz muzyki, którą każdy starał się przekrzyczeć. John patrzył na to wszystko niechętnie, nie był w odpowiednim nastroju. W uszach rozbrzmiewały mu nadal słowa Dereka: „To nie nasza wina”.

Ale ktoś ponosił za to winę.

Czuł, jak narasta w nim gniew. Musi czym prędzej wydostać się stąd, uciec jak najdalej od tej dusznej kuchni, jak najdalej od smutku matki. Podając gościom napój, zmusił się do uśmiechu, ale cofnął się natychmiast, w obawie, że tamci wciągną go do rozmowy. Kątem oka dostrzegł brata, który kręcił się już wśród gości, częstując ich kanapkami. Teraz nadeszła sposobna chwila dla niego.

Dźwięki skrzypiec umilkły, wydając na zakończenie piskliwy akord, jeden z mężczyzn poprosił o trochę ciszy. Gwar przycichł nieco, a kiedy zabrzmiała znowu muzyka, tym razem bardziej dyskretna i mniej skoczna, John wymknął się na dwór tylnymi drzwiami, tak jakby znowu zamierzał przynieść coś do picia.

Wychodząc, popełnił poważny błąd: zerknął za siebie i napotkał wzrok matki. Nawet z tej odległości dotknęło go jej cierpienie, potęgując gniew. Przed domem próbował odzyskać panowanie nad sobą, wdychając łapczywie rześkie powietrze, ale adrenalina napływała nadal gwałtownymi falami, on zaś poczuł, że pragnie przede wszystkim tłuc teraz i młócić na oślep, byle tylko powalić każdego, kto jest jego wrogiem.

Tak szybko, jak tylko mógł, pobiegł przed siebie, wpadł na pole rozciągające się za domem i gnał dalej, rozbryzgując grząską ziemię, nie załując nowych butów ani spodni, a nawet marząc o tym, aby się zniszczyły. Dysząc ciężko, biegł parę minut bez określonego celu, nie wymijając kałuż pozostawionych przez poranny deszcz.

Kiedy dotarł do skraju pola, tam gdzie zaczynał się las, nie tracił czasu na odnalezienie ścieżki, lecz wpadł między drzewa, z trzaskiem rozgarniając gałęzie i rozdeptując poszycie. Zaczepił marynarką o jakiś cień i z furią szarpnął za materiał, rozdzierając kieszeń. Niemal w tej samej chwili jakaś zbutwiała gałąź pękła, kiedy uderzył w nią całym ciałem, a wtedy chwycił ją i zaczął nią chłostać pobliskie drzewa i liście, dopóki gałąź nie roztrzaskała się do końca. Odrzucił jej resztki ostatkiem siły i, nie bacząc na kłujące igły, przywarł na parę chwil całym ciałem do wysokiego świerku. Stał tak, próbując odzyskać oddech, który świszczwał mu w krtani, aż wreszcie nagromadzona w nim furia uleciała gdzieś, pozostawiając po sobie pustkę, o której wiedział, że nie będzie jej mógł zapełnić.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak daleko odbiegł od domu. Zaledwie o parę jardów

dalej połyskiwały w świetle pełni jasnego księżyca srebrzystoszare wody jeziora.

Żałował już, że uciekł z własnego przyjęcia. To nie był mądry postępek i tylko pogorszy wszystko, bo matka z pewnością zacznie go szukać. Ale w tej samej chwili przypomniał sobie duszną, pełną gości kuchnię, jak również gwar i wesołą wrzawę, tak nie pasujące do jego nastroju. Nie, nie może tam wrócić. Jeszcze nie teraz. Odszedł od drzewa i zbliżył się powoli do brzegu, a wtedy zorientował się, że znalazł się w miejscu, gdzie niezbędna jest łódź. Tu zaczynało się trzęsawisko, teren porastały zdradliwe trzciny. Dalszy spacer mógłby skończyć się dla niego źle.

Na tym odcinku woda podmyła brzeg, odsłaniając dziwacznie poskręcane, splątane korzenie drzew. John usiadł na ziemi, odetchnął głęboko i skupił całą swoją uwagę na cichych odgłosach nocy: szumie drzew, szeleście trzciny i niemal bezgłośnym chlupocie fal uderzających o ziemię zaledwie o parę centymetrów od jego stóp. Jakaś ryba plusnęła nagle o wodę, wytrącając go z zadumy. Pod bladą, senną tarczą księżyca wszystko tu tętniło utajonym życiem, najrozmaitsze stworzenia wiodły nieprzerwanie swój żywot, kończyły go i mogły dać życie wielu następnym pokoleniom, zanim on zdoła ujrzeć to miejsce ponownie - jeśli je w ogóle kiedykolwiek ujrzy. Ta myśl spłynęła na niego niczym czarny, zimny całun.

A Rose?

John nie znał nikogo ze świata dorosłych, komu mógłby się zwierzyć ze swojego uczucia do Rose, ale nawet gdyby znał kogoś takiego, wiedział, że nie uzyskałby jego akceptacji; żaden dorosły człowiek nie uwierzyłby, że siedemnastolatek może kochać tak gorąco i szczerze. On tymczasem był przekonany, że tak właśnie jest w jego wypadku. Kocha Rose gorąco i szczerze, z całego serca.

A za niecałe dwanaście godzin opuści ją.

I nawet się nie pożegnali.

W górze zahuczała cicho sowa. Rozejrzał się, szukając jej wzrokiem, ale dopiero po chwili, nieco na lewo, dostrzegł kątem oka jakieś poruszenie. Powoli obrócił głowę i wypatrzył dużą, szarą gęś, która wyciągnęła długą, smukłą szyję i energicznie kręciła głową na lewo i prawo, jakby chciała odegnąć od siebie nieprzyjemny sen. Jak na zimowych tułaczy, przybyła tu dość wcześnie. Nie opodał, zaledwie o kilkanaście metrów dalej, kryło się w trzcinach całe stado. Gęsi musiały zjawić się w ciągu ostatniej doby; w przeciwnym razie John zauważyłby je już poprzedniego dnia.

Księżyc przesunął się wyżej, rzucał na powierzchnię jeziora bliżej przeciwległego brzegu odbłask w kształcie białego, świetlistego owalu. Po ostatnim przypiływie energii i furii John czuł się wyczerpany z sił, znużony i zziębnięty. Tu, nad wodą, zaczęło się wszystko

między nim i Rose, tu się także kończyło.

Zerwał się na równe nogi. Nie, nie może tego tak zostawić. Musi zobaczyć się z Rose.

Zdawał sobie sprawę, że o tej porze nie odważy się zapukać do jej domu, a jednak czuł, że spotkanie jest konieczne. Nie wiedząc jeszcze nawet, co zrobi, kiedy znajdzie się już na miejscu, ruszył pędem w stronę Sundarbans.

* * *

Rose, ubrana jak za dnia, leżała nieruchomo na łóżku, rozpamiętując całą masę „gdyby”, które uporczywie kołatały jej w głowie. Gdyby nie zachowała się po południu tak głupio... Gdyby on jednak został... Gdyby oboje byli trochę starsi, ona mogłaby pojechać razem z nim... Gdyby on nie był synem biednej wdowy... Gdyby go wtedy nie spotkała, zaoszczędziłyby sobie teraz wielu cierpień...

Powinna zająć się znowu swoim dziennikiem: teraz ma przynajmniej jakiś poważny temat, może pisać o sprawach ludzi dorosłych. Ale jeśli to właśnie przeżywają dorośli, to ona, gdyby mogła, wolałaby zostać na zawsze małą dziewczynką. Wzięła z szafki brulion, a następnie cisnęła go w kąt pokoju.

Jeszcze nie teraz. Nie będzie pisała, dopóki on nadal przebywa w Irlandii, zaledwie kilkaset metrów od niej, na tym samym kawałku ziemi.

Próbowała wyobrazić go sobie na przyjęciu pożegnalnym. Na pewno włożył swoje nowe ubranie, wygodną i solidną marynarkę oraz rozszerzane u dołu spodnie z brązowego tweedu, które pochwaliła, gdy przyszedł się jej pokazać.

Może udałoby się sprzedać biżuterię? Miałaby wtedy pieniądze na podróż, aby go odwiedzić... Podniecona wyskoczyła z łóżka i podbiegła do toaletki, na której honorowe miejsce zajmowała czerwona aksamitna szkatułka, następnie usiadła na taborecie, wyjęła naszyjnik, pieszczotliwie przesunęła dłonią po lśniących kamieniach, włożyła na rękę bransoletkę i podsunęła ją pod światło, tak aby w ametystach zapaliły się błyski.

Szyba jednego z okien wydała nagle osobliwy dźwięk. Dopiero kiedy to się powtórzyło, uświadomiła sobie, że ktoś rzuca żwirem. Z bijącym niespokojnie sercem podeszła do okna, odsunęła zasłony i w blasku księżyca ujrzała ciemną postać z uniesioną ręką.

To on! John!

Szarpnęła za okno, aby odsunąć je w górę, ale bez skutku; od dawna nie otwierane, stawiało nadzwyczaj silny opór. Gorączkowo pomachała do Johna ręką, dając mu znak, aby nie ruszał się z miejsca i poczekał na nią, po czym opuściła pokój. Nie troszcząc się o to, czy

ktos ją usłyszy, zbiegła szybko po schodach i skierowała się do wyjścia. Mijając Rogera, poglaskała go jak zwykle, choć tym razem nie przystanąła przy nim, i już w chwilę później znalazła się na tylnym podwórzu.

Jeszcze nigdy dom nie wydał jej się tak olbrzymi jak teraz, gdy biegła przez podwórze, furtkę i wzdłuż bocznej ściany, aby jak najszybciej znaleźć się na dziedzińcu frontowym. Serce biło jej z trwogi na samą myśl o tym, że John mógłby w tym czasie odejść.

On jednak stał nadal tam, gdzie widziała go przed chwilą, z głową zadartą do góry, jakby się spodziewał, że Rose wyjdzie do niego przez okno.

- John! - zawołała, biegnąc co sił.

Odwrócił się do niej i przyłożył palec do ust, ale ona, nie starając się nawet zachować ostrożności, rzuciła mu się na szyję.

- Och, John! - Ukryła twarz na jego ramieniu i wtedy poczuła zapach tytoniu. Zaskoczona odsunęła się trochę. - John! Palisz?

- Nie, to z przyjęcia, pełno tam dymu. Chodźmy - dodał szeptem. - Chodźmy stąd!

- Dokąd pójdziemy?

- Wszystko jedno, tylko nie stójmy tu przed domem. - Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą zwirowaną alejką, a potem przez trawnik. Kiedy znaleźli się między drzewami, odwrócił się do niej. - Jedna ważna zasada - pouczył ją. Nadal mówił szeptem, chociaż oddalili się od domu na tyle, że nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Jaka zasada? - zapytała, mimo woli ścisząc głos.

- Nie będziemy płakać. Mamy mało czasu. Nie marnujmy go.

- Nie mogę tego zagwarantować.

- Ani ja. Ale spróbujmy, dobrze?

- Zgoda.

Znów zarzuciła mu rękę na szyję, chciała go pocałować.

- Nie, jeszcze nie teraz - powstrzymał ją. - Chciałbym, żebyśmy poszli nad jezioro.

- Nad jezioro?

- Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Mam pewne plany.

- Dobrze. - Z nim poszłaby nawet na koniec świata.

Szli przez las, trzymając się za ręce. Drogę znali tak dobrze, że mogliby iść z zamkniętymi oczyma. Chociaż Rose wychowała się tutaj, w kontakcie z przyrodą, lękała się rozmaitych stworzeń, zwłaszcza nocnych - takich jak szczury czy nietoperze - ale obecność Johna dodawała jej odwagi. Przy nim czuła się pewnie i bezpiecznie. Była teraz tak szczęśliwa, że ogarnęło ją pragnienie, aby się pomodlić.

Znaleźli się nad jeziorem i ruszyli wzdłuż niego, aż doszli do cypla, przy którym spotkali się na początku lata. John odwrócił się i objął ją.

- Teraz - szepnął.

Uradowana odwzajemniła pocałunek, a potem powiodła ustami po jego twarzy i szyi, do uszu i z powrotem do warg. W pewnej chwili odsunął ją lekko od siebie.

- Rose, mogę popatrzeć na twoje piersi?

Ostatnio, chociaż wiedziała, że to grzech, pozwalała mu pieścić piersi, ale wyłącznie pod bluzką lub sweterkiem. Teraz zawahała się, uświadomiła sobie jednak natychmiast, że może nie ujrzy go nigdy więcej.

W tej chwili zgodziłaby mu się nawet pokazać cała nago.

Powoli, nie spuszczać wzroku z jego twarzy, którą widziała wyraźnie w jasnej poświacie księżycy, podniosła ręce i rozpięła kołnierzyk bluzki. Że też musiałam dziś włożyć akurat ją, pomyślała gniewnie. Biała bawełniana bluzka z wysokim kołnierzykiem i bufiastymi rękawami była zapinana z przodu na dwadzieścia drobnych guziczków; uporanie się z nimi zawsze zabierało sporo czasu.

Odpinała je jeden po drugim, dopóki nie zaczepiła którymś z nich o nitkę. Pociągnęła parę razy, ale bezskutecznie.

John pośpieszył jej z pomocą. Przez chwilę walczył z oporną nitką, a ona poczuła, jak bardzo drżą mu dłonie. Zauważyła, że odgarnia nic samymi koniuszkami palców, tak aby nie dotknąć jej ciała pod bluzką, i przypomniała sobie dzień, kiedy obserwowała jego palce mocujące muszkę do żyłki.

Wreszcie ustąpił ostatni guzik. Rose, która dygotała teraz tak samo silnie jak on, stała z wysoko uniesioną głową i rozchyłoną bluzką, podczas gdy on, wygięty nad nią w łuk, męczył się ze sprzączką stanika na plecach. Niebawem uporał się i z tą przeszkodą, po czym z nabożną czcią, jakby miał do czynienia z kruchą porcelaną, zsunął z ciała dziewczyny koronkowy staniczek, obnażając piersi. Dopiero wtedy cofnął się o krok.

Rose nadal trzymała rozchyłoną bluzkę. Dygocąc jak w gorączce, ofiarowała mu widok, którego pragnął, a John powoli wyciągnął ręce, delikatnie objął jej piersi od spodu i, tak jakby uczestniczył w niezwykle uroczystej ceremonii, nachylił się, po czym ucałował każdą z nich. Myślała, że teraz opuści ręce, on jednak pozostawił je tam, gdzie były. Ich ciepły dotyk sprawiał jej przyjemność, stała więc bez ruchu, nie zakrywając piersi.

John znowu przywarł do nich ustami, ale tym razem nie ograniczył się do krótkich pocałunków. Jego wargi poczęły błędzić pieszczotliwie tam i z powrotem, a Rose, czując, że pogrąża się w upojnym bezwładzie, zamknęła oczy i zachwiała się lekko. Najwidoczniej

zrozumiał jej reakcję opacznie, gdyż oderwał się od niej i opuścił ręce, ale ona natychmiast wyszeptała bezwiednie:

- Nie, proszę, nie przestawaj! Proszę!

- Na pewno?

Kiwnęła głową. Objął ją wpół i przywarł wargami do jej ust. Rose pozwoliła, aby bluzka zsunęła się na ziemię, przytuliła się do niego całym ciałem, czuła na nagich piersiach szorstki dotyk marynarki. Pocałunek zdawał się nie mieć końca, a ona zapragnęła nagle, aby John znowu pocałował jej piersi, nie starczyło jej jednak odwagi, aby mu to powiedzieć.

Widocznie odgadł jej pragnienie, gdyż w chwilę potem uczynił to, czego chciała. Tym razem jego wargi były inne, bardziej natarczywe, ssące, poczuła też jego zęby i język. John wygiął ją do tyłu, obejmując teraz jedną ręką jej talię, podczas gdy druga powróciła na pierś. Raz po raz dłoń zastępowały usta. Rose wiedziała, że powinna powiedzieć mu, aby przestał, ale nie mogła się na to zdobyć. Przecież on wyjeżdża już jutro... Jutro wyjeżdża... Te słowa rozbrzmiewały w jej umyśle jak natrętny refren piosenki, a kiedy usta Johna przeniosły się na drugą pierś, zaofiarowała mu ją skwapliwie usługowym gestem. Tak bardzo go kochała!

- Nie powinniśmy, John - wyszeptała. - Nie powinniśmy... - Ale mówiła to bez przekonania i zdawała sobie z tego doskonale sprawę.

- Wiem - odparł. - Och, Rose!

Ścisnęła oburącz piersi, aby przyjść mu z pomocą, podsuwała mu je niczym dojrzałe owoce, a kiedy zaczęła wodzić ustami po jego karku, usłyszała głos, nie rozróżniła jednak słów.

- Co mówiłeś, John? - zapytała.

- Chciałbym wypłynąć z tobą na jezioro.

- Co takiego? Teraz? W środku nocy?

- A czemu nie?

- Przecież nie jesteśmy odpowiednio ubrani!

Absurdalność tego stwierdzenia zaskoczyła ich oboje i nieoczekiwanie parsknęli śmiechem.

- Jak widzę, nie jesteś zbyt romantyczna - mruknął wreszcie. - Jeśli nie chcesz popływać nago w blasku księżyca, to trudno!

- A nie zamarzniemy?

- Może tego właśnie potrzebujemy. To się nazywa umartwianie ciała. Zresztą mamy jeszcze sierpień, lato.

Roześmiali się ponownie, ale Rose ogarnęły nagle wątpliwości.

- A jeśli ktoś nas zauważy? - zapytała, chociaż w duchu podjęła już decyzję. Wykąpać się nago. Tak zabawiali się jedynie ci najśmielsi. Miała chęć na taką kąpiel z Johnem, jak na nic innego. Ale gdy nadeszła ta chwila, nie odważyła się stanąć przed nim naga. - Rozbierz się pierwszy - poprosiła.

Zrzucił marynarkę, rozpiął koszulę, zdjął buty, następnie odwrócił się do niej plecami i zanim jeszcze Rose zorientowała się, co zamierza zrobić, pozbył się spodni, slipów i skarpet, po czym wskoczył do wody. Nie miała nawet czasu ocenić, jakie wrażenie robi na niej nagie męskie ciało; było na to zbyt ciemno. Zdażyła jedynie dostrzec krótki błysk jasnych pośladków.

- Boże, jaka zimna! - zawołał.

Zawahała się. Z jednej strony, była zadowolona z pretekstu, który zdawał się podsuwać, aby umożliwić jej odwrót, ale ciemna sylwetka na tle srebrzystej wody zafascynowała ją do tego stopnia, że postanowiła pójść za jego przykładem.

- Nie patrz! - zawołała.

- Ja miałbym patrzeć? - Spojrzał na nią z niewinną miną. - Ja?

- No, już, odwróć się!

Usłuchał jej.

- Bardzo tu głęboko? - zapytała, zdejmując pasek z podwiązkami i pończochy.

- Metr, może trochę więcej - odparł. - Wcale nie jest głęboko. Jesteś już gotowa? Zaraz dostanę skrętu szyi!

- Jeszcze sekundę! - zawołała. Zdjęła już spódnice i zsunęła figi. - Ale możesz na mnie spojrzeć dopiero, kiedy wejdę do wody! Aż po szyję - dodała.

- Jak pani sobie życzy, *madame!* - zawołał.

W przeciwieństwie do niego nie wskoczyła do jeziora, lecz omijając kamienie, podeszła ostrożnie do wody i zanurzyła w niej czubek stopy.

- O Boże! - krzyknęła mimo woli. - To lód!

Odwrócił się do niej, a ona pisnęła, daremnie usiłując osłonić się dłońmi.

- Miałeś nie patrzeć!

- Przepraszam - odparł. - Ale skąd miałem wiedzieć, że jeszcze nie stoisz po szyję w wodzie?

- Powiem ci kiedy.

- Dobrze, ale pośpiesz się!

Ostrożnie, krok po kroku, wchodziła coraz głębiej do zimnej wody. Dno opadało gwałtownie, po kilku sekundach woda sięgała jej ramion.

- Już! - oznajmiła.

- Dzięki Bogu!

Zaczęła płynąć w kółko, przyzwyczajając się do tego dziwnego wrażenia, jakie wywoływała woda obmywająca jej nagie ciało. Teraz chłód przestał jej już dokuczać. John płynął tuż obok. Zorientowała się, że chłopak, podobnie jak ona sama, nie wie, co dalej robić.

Stanąła na dnie, uginając nogi w kolanach, tak aby skryć się w wodzie. Pod stopami czuła ustępliwy piach, ale nie bała się już, że się poślizgnie lub wpadnie głębiej. Woda była przejrzysta, Rose, płynąc obok Johna, widziała jego ciało podobne do wiotkiej, długiej, jasnej ryby.

- John - powiedziała.

- Tak?

- Kocham cię. - Wymówiła te słowa po raz pierwszy. Żadne z nich nie odważyło się na to przedtem.

- I ja cię kocham, Rose.

- Co teraz zrobimy?

- Tylko bez łez!

- Wiem. Ale co zrobimy?

- To. - Woda sięgnęła mu do połowy torsu, kiedy podobnie jak Rose stanął na dnie. Nachylił się, ujął dziewczynę pod pachy i poderwał wyżej, tak że jej piersi wyłoniły się z wody, tuż nad powierzchnię jeziora. Pocałował je, przytulił się do Rose całym ciałem, następnie pocałował ją w usta.

Poczuła na brzuchu jego rosnącą erekcję i wydała cichy okrzyk.

- To nic, Rose - zapewnił ją natychmiast. - To nic. Nie zrobimy tego, jeśli nie będziesz chciała.

Jego ochryply głos wzbudził w niej dreszcz podniecenia. Przeszyła ją myśl o grożącym jej potępieniu. Z pewnością był to najcięższy grzech, jakiego mogłaby się dopuścić, ale w głębi duszy wiedziała, że tak trzeba i że nie ma w tym nic złego. Jutro i w ciągu następnych lat będzie miała dość czasu na rozmyślanie o grzechu i pokucie. Ale jego od jutra już przy niej nie będzie.

Odwzajemniła pocałunek i przywarła do Johna zachłannie. Jego ciało, chłodne z wierzchu i prężne, zdawało się emanować od wewnątrz niezwykłym żarem. Uniósł nogę, zginając ją w kolanie, a ona poczuła, jak TO napiera na nią. Zabrakło jej odwagi, aby opuścić wzrok.

- Och, Rose, jesteś taka piękna! - szepnął John. – Połóż się na wznak, chcę ujrzeć cię

całą!

Postuchała i opadła plecami na wodę. - Mogę to zdjąć? - zapytał, wskazując wstążkę w jej włosach.

- Tak. - Wyręczając go, sama ją rozwiązała i wrzuciła do wody.

Podłożył dłoń pod plecy Rose, utrzymując ją na powierzchni. Drugą ręką rozplótł warkocz, dzieło babci, a woda utworzyła z włosów aureolę wokół głowy. Cierpliwie układał je tak, jak to sobie wymarzył, rozczesując delikatnie palcami wilgotne pasma, a ona zamknęła oczy, ulegając całkowicie ruchom wody i jego rąk.

- Jesteś piękna jak żadna inna - wyszeptał. Ręka, którą ją podtrzymywał, przesunęła się nieco wyżej, podczas gdy druga poczęła błądzić po jej ciele.

Również dla niego był to pierwszy raz, wiedziała o tym, wszedł w nią jednak bez najmniejszego trudu. W internacie słyszała kilkakrotnie sekretne, ciche wyznania o bólu, krwi i poczuciu wstydu, ale w jej wypadku nic takiego nie miało miejsca. Wszystko odbyło się delikatnie, niby czuła pieszczota, i w sposób jak najbardziej naturalny. Może pomogła tu kojąca łagodność wody, pomyślała Rose, gdy uszczęśliwiona przywarła do Johna ponownie, całując jego mokrą szyję.

ROZDZIAŁ 4

Było jeszcze ciemno, kiedy John obudził się i otworzył oczy. Jego pierwszym wrażeniem był dotyk głowy Rose, która spała na jego ramieniu; drugim - uczucie przenikliwego zimna.

Kiedy wyszli z wody, szcękając z chłodu zębami, położyli się pod lipą na posłaniu z liści, ciasno przytuleni do siebie, i okryli się marynarką Johna, aby znaleźć choć trochę ciepła. Już po chwili John począł sunąć dłonią po smukłych, gładkich plecach Rose, pocałował ją, ona odwzajemniła pocałunek i w ciągu paru sekund ich namiętność zapłonęła na nowo.

To drugie zbliżenie odbyło się w sposób mniej zaskakujący, ale o wiele bardziej emocjonalny dla Johna niż pierwsze: owładnięty ogromem miłości i poczuciem niezmiernej straty, zaszlochał w chwili najwyższej rozkoszy, kryjąc twarz na szyi dziewczyny i napelniając Rose całym sobą, także swym sercem i duszą. Również ona zapłakała, przytulona do niego mocno.

- John, John, mój kochany, najdroższy...

Nie miał pojęcia, która godzina, ale domyślał się, że niedługo zacznie świtać. Poprzez gałęzie przenikał jeszcze bladły księżyc, ale las był całkowicie uspiomy; jedynie w górze ledwie słyszalnie szumiały liście. John nie chciał budzić Rose, było jednak ważne, aby jak najszybciej wrócić do domu. Nie unosząc głowy, zerknął na jej twarz, rejestrując ją w pamięci. Dziewczyna spała smacznie i spokojnie, jasny policzek połykiwał w nikłej poświacie tak delikatnie, że budzenie jej wydawało się naprawdę brutalnym aktem. Musiał jednak to zrobić. Choćby ze względu na matkę.

Kiedy minęła już fala miłosnego uniesienia, położyli się i okryli jego marynarką, która teraz zsunęła się z jej ramienia. Delikatnie, aby nie przerywać zbyt szybko tej czarownej chwili, okrył nią Rose ponownie, ale ruch jego ręki wystarczył, aby ją zbudzić. Zamarł natychmiast i mimo panujących nadal ciemności dostrzegł uczucia, które kolejno odmalowały się na jej twarzy, kiedy już otworzyła oczy: najpierw zakłopotanie i nieme pytanie, a potem zrozumienie, lęk i wreszcie rozpacz.

- Och, John! - zawołała i rzuciła mu się na szyję.

Musiał teraz odegrać rolę silniejszego z nich dwojga.

- Rose - wyszeptał w jej włosy. - Musimy już iść. Moja matka...

- Tak, wiem. Wiem.

- Pamiętaj, co sobie obiecaliśmy: żadnych łez...

- Nic na to nie mogę poradzić.

- Rose, na pewno znajdziemy jakiś sposób, ja go znajdę, bądź pewna, że coś wymyślę.

Odsunęła się trochę, w jej wzroku dojrzał rozpaczliwe pragnienie, aby móc uwierzyć w jego słowa.

- Obiecujesz, John? Bez ciebie umrę!

- Rose, jesteśmy bardzo młodzi. Wszystko jeszcze przed nami, przecież wiesz o tym.

- Tak, ale...

- Ufasz mi?

- Oczywiście. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Zwłaszcza teraz, kiedy... no, wiesz... - Spojrzała mu odważnie w oczy.

Przez chwilę milczeli, leżąc bez ruchu. Potem pocałował ją czule, ale świadomość, że muszą wracać, stłumiła jego rodzące się na nowo pragnienie. Zanim wstał, Rose położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jeszcze jedno, John.

- Tak? - Uświadomił sobie, że oboje mówią szeptem, chociaż wcale nie ma takiej potrzeby.

- Czy znasz historię o królowej Elżbiecie i lordzie Esseksie?

- Nie! - odparł zaskoczony.

- No więc... byli kochankami... - zaczęła z niezwykłym pośpiechem, wyrzucając z siebie słowa dwa razy szybciej niż zwykle. - Nie pamiętam już, może to był sir Walter Raleigh, ale w każdym razie jeden z nich... i...

- I co z nimi?

- Królowa Elżbieta kazała osadzić któregoś z nich... jednego lub drugiego...w twierdzy Tower w Londynie. Miał tam spędzić za zdradę wiele miesięcy, może nawet lata... Ale przedtem, kiedy jeszcze byli kochankami, dała mu pierścień i powiedziała, że jeśli kiedykolwiek w przyszłości, niezależnie od tego, jak ułoży się między nimi, on prześle jej ten pierścień, ona spełni każdą jego prośbę. Rozumiesz? Każdą!

John słuchał jej nieuważnie; oczyma wyobraźni widział teraz wyłącznie bladą twarz matki. Nie chciał jednak ranić Rose. Delikatnie wysunął dłoń spod jej głowy.

- I co?

- Kiedy lord Essex miał zostać stracony - mówiła dalej gorączkowym, ochryłym szeptem - królowa Elżbieta czekała na ten pierścień, ale Essex nie przysłał go jej. I wreszcie, w przeddzień egzekucji, królowa kazała dostarczyć mu kartkę z pytaniem: „Gdzie pierścień?”, a może „Dlaczego nie przysyłasz mi pierścienia?” czy coś w tym rodzaju. Essex

jednak nadal nie odzywał się i wreszcie zginął.

John usiadł i pociągnął Rose, tak aby usiadła przy nim.

- I co z tego? - zapytał łagodnie. - Co ta historia ma wspólnego z nami?

Zamiast odpowiedzieć, zdjęła z ręki bransoletkę wysadzaną ametystami i podała mu ją.

- Co robisz?

- To będzie nasz pierścion.

- Rose! Nie mogę tego przyjąć! To prezent od twojego ojca. Bardzo kosztowny prezent.

- Właśnie dlatego - szepnęła. - Czuję, że może nam pomóc. Proszę cię, John, przyjmij ode mnie tę bransoletkę!

- Chodzi ci o to, żebym ją odesłał w odpowiedniej chwili?

- Zrobisz, co zechcesz. Tak żeby nam pomóc.

- To znaczy: sprzedać ją albo zastawić, to masz na myśli?

- Niekoniecznie. Ale jeśli uznasz, że tak trzeba, proszę bardzo. Zrób cokolwiek, żebyśmy mogli znowu być razem. Cokolwiek!

- Rose, zrozum, nie wolno mi jej przyjąć!

- Dlaczego? To moja biżuteria i mogę z nią robić, na co mam ochotę. Błagam cię, John, weź ją. Umrę, jeśli tego nie zrobisz! Muszę czerpać skądś nadzieję!

- No dobrze. - Z wyraźną niechęcią wziął do ręki bransoletkę, jeszcze ciepłą od ciała Rose. - Dziękuję. Na pewno wymyślę coś, aby przydała się nam obojgu. A teraz chodźmy już, Rose, proszę. Naprawdę muszę wracać. - Wstał i wyciągnął do niej rękę, aby jej pomóc, następnie włożył marynarkę i wsunął bransoletkę do kieszeni.

Spojrzał na Rose, wziął ją w ramiona i pocałował.

- Nie płacz, dobrze? Chcesz, żebym cię odprowadził? Pokręciła głową.

- Nie, idź już. Pójdę sama.

- Będziesz pisać? - John starał się mówić spokojnie, chociaż teraz, kiedy nadszedł już nieodwołalnie moment rozstania, miał wrażenie, jakby ktoś rozrywał mu wnętrzności. Rose skinęła głową i cofnęła się o krok. Nie widział jej oczu, ale kiedy dotknął jej twarzy, poczuł, że jest mokra od łez. - Kocham cię - powiedział.

- Ja też cię kocham... - szepnęła niemal bezgłośnie, a on odszedł szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na grząską ziemię pod stopami ani na liście, które raz po raz opadały z gałęzi na jego twarz.

Zanim dotarł do stróżówki, odzyskał pełną kontrolę nad sobą. ale nagle zatrzymał się

w pół kroku, owładnięty znowu wyrzutami sumienia; w oknach paliło się światło.

A czegoś się spodziewał, zapytał siebie w duchu. Że matka przyjmie do wiadomości twoją nieobecność w domu i po prostu pójdzie spać? Odetchnął głęboko, otrzepał się trochę, garścią trawy wytarł buty z błota, a potem przeczesał dłońmi włosy. Dopiero wtedy obszedł stróżówkę dokoła i wszedł tylnymi drzwiami.

Na kominku płonęła jedna lampa naftowa, rzucając na ścianę jasnozłocisty blask. Matka i Derek siedzieli na skrytej w cieniu ławie, krzesło naprzeciw nich zajmował Ned Sherling, sąsiad. W kuchni panował już idealny porządek: zniknęły półmiski z jedzeniem, stół stał na swoim miejscu, a pożyczone krzesła ustawiono pod ścianą. John podszedł do matki.

- Przepraszam, mamó. Naprawdę bardzo mi przykro. Twarz miała napuchniętą, zaczerwienioną.

- Gdzie byłeś?

Widział, jak taksuje go baczным wzrokiem, patrzy na ślady błota na butach i na zniszczoną marynarkę.

- Poszedłem nad jezioro. - I byłeś tam do tej pory?

- Tak.

Przez parę sekund wpatrywali się w siebie.

- Rozumiem - wyszeptła w końcu. Odwróciła się do Dereka. - Dołóż do ognia, dobrze? I nastaw czajnik.

Derek nie ruszył się z miejsca i chociaż John nie patrzył na brata, wiedział doskonale, jakie uczucia malują się teraz na jego twarzy.

- Derek! - Głos matki zabrzmiał już nieco ostrzej.

- Muszę przynieść trochę drewna - mruknął niechętnie Derek. Wyszedł z domu, a matka spojrzała na sąsiada. - Dziękuję, że przyszedłeś, Ned. Napijesz się jeszcze herbaty przed wyjściem?

- Nie, dzięki, Mary. Na mnie już czas. Muszę jeszcze wydoić krowę.

Matka wstała razem z nim.

- Przepraszam za kłopot, Ned. I jeszcze raz dziękuję za wszystko.

- Nie gniewaj się za bardzo na chłopaka. Niedługo wyjedzie, jeszcze za nim zatęsknimy.

- Wiem - szepnęła, a John poczuł, że pęka mu serce. - Mamó... - zaczęła, kiedy zamknęła za Nędem drzwi i wróciła, ale ona uciszyła go gestem dłoni.

- Daj spokój, John. Nie chcę o niczym wiedzieć. Teraz nic już nie mogę zrobić. Staralam się, jak mogłam, ale na tym koniec.

Zrezygowany oparł się plecami o ścianę kuchni i wyjrzał przez okno. Gwiazdy gasły na niebie. Za kilka godzin opuści Irlandię.

Matka podeszła do kominka, w tej chwili zdawała się interesować wyłącznie poziomem nafty w lampie. Z dworu wrócił Derek, dźwigając całe naręczce drewna. Złożył je w kącie, uchylił drzwiczki pieca i wrzucił do środka trzy spore szczapy, jedną po drugiej, tak gwałtownie, jakby zamierzał przebić nimi tylną ścianę pieca.

- Połóżcie się chociaż na trochę. - Mary przestała się zajmować lampą. - Zaraz będzie świtać. Ned powiedział, że przyjedzie po was o jedenastej. Zostało tylko parę godzin.

- Dobranoc, mamó. - Derek zamknął drzwiczki pieca, podszedł do Mary, objął ją niedbale, po czym odwrócił się i szybkim krokiem, prawie biegiem, udał się do sypialni.

- Ty też idź spać, John.

Czuł, że musi coś powiedzieć, cokolwiek, spróbować wyjaśnić jakoś to wszystko.

- Mamó...

- Idź już, John!

Jednym susem znalazł się przy niej.

- Mamó, nie płacz. Proszę cię, nie płacz!

- Przepraszam, nie chciałam. - Mówiąc to, szlochała w dalszym ciągu, on zaś stał tuż obok, patrząc na nią bezradnie. W końcu wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Poglaskała go po dłoni. - Zdejmij tę marynarkę. Spróbuję coś z nią zrobić, żeby wyglądała po ludzku.

Zdjął marynarkę i podał ją matce, a ona wsunęła rękę do rozerwanej kieszeni, aby ocenić szkodę.

- Co to? Co tam masz?

Przejęty nadchodzącym rozstaniem zapomniał o tym, co dała mu Rose.

- To...bransoletka.

- Widzę. Ale co ona robi w twojej kieszeni?

- Mamó, proszę, oddaj mi ją. To był... to jest... coś w rodzaju prezentu.

- Damska bransoletka?

- Tak.

- Dostałeś ją od panny Rose?

Jak dziwnie to imię zabrzmiało w ustach matki! Musiał odczekać chwilę, aby otrząsnąć się z wrażenia.

- Tak, mamó - odparł w końcu. - Dostałem ją od Rose.

Otarła sobie twarz wierzchem dłoni.

- To bardzo kosztowna rzecz. Prawdziwe złoto.

- Wiem - szepnął. - I prawdziwe kamienie szlachetne.

Oddała mu bransoletkę, odwróciła się do niego plecami i uniosła marynarkę pod światło, oglądając rozerwaną kieszeń.

- Idź już do łóżka, John. Zostaw tu spodnie i buty, doprowadzę je jakoś do porządku. Obudzę was o dziesiątej, żebyście zdążyli zjeść śniadanie.

Jej wątle plecy były przygarbione ze zmęczenia. John zapragnął nagle, aby upodobniły się do pleców młodej dziewczyny, chciał powiedzieć matce, jak bardzo ją kocha, zwierzyć się ze wszystkiego, co dotyczy Rose. Schylił się, zdejmując buty i spodnie.

- Mamo?

- Tak? - Spojrzała na niego przez ramię.

- Nie, już nic. Wszystko w porządku. Dobranoc.

- Dobranoc, synu.

Starannie przewiesił spodnie przez poręcz krzesła i wszedł do sypialni. Derek, skulony pod kołdrą w kłębek, szlochał rozpaczliwie, łóżko dygotało od jego płaczu. Nie zdejmując nawet koszuli, John położył się obok niego. Derek znieruchomiał natychmiast, a potem odsunął się jak najdalej, na drugą stronę łóżka.

- Ty świni! - syknął. - Czemuś to zrobił? Świnia!

John odwrócił się do niego tyłem, skierował wzrok na niebo za oknem. Wiedział, że nie zdoła teraz zasnąć. Nie zamykał nawet oczu. Leżał tak, obserwując wstający świt, coraz wyraźniej rysującą się linię żywopłotu. Kos, który przez całe lato śpiewał w gęstwinie żywopłotu, odezwał się znowu, jak za dawnych dobrych dni. John niemal nabrał przekonania, że za chwilę ktoś zbudzi go ze snu, a wtedy się okaże, iż nic się nie zmieniło, on wcale nie jedzie na drugi kraniec świata, a na twarzy matki nie maluje się lęk. Znowu będzie mógł się spotykać z Rose, zaledwie o milę stąd, będzie mógł się z nią kochać zawsze, gdy przyjdzie im na to ochota, każdego dnia i każdej nocy.

Zaskoczony uświadomił sobie, że nie dręczy go wcale wstyd czy poczucie winy za to, co wydarzyło się między nim i Rose. To było prawidłowe i naturalne. Po tym pierwszym razie, jeszcze w wodzie, zachwycony roześmiał się na głos, a ona otworzyła wtedy oczy i zawtórowała mu, nie odrywając się od niego, nie odsuwając ani na milimetr.

- A więc zrobiliśmy to, John?

- Chyba tak! - odparł i, tkwiąc w niej nadal, odwrócił się na wznak. Przeturlali się kilkakrotnie.

Wreszcie oderwała się od niego.

- Zimno mi.

Objął ją i pocałował, następnie pomógł jej wstać i razem wyszli na brzeg.

Ten drugi raz, pod lipą, różnił się od pierwszego intensywnością przeżycia; John pomyślał nawet, że nie zniesie tego, rozplynie się w nicość. Załkał wtedy jak małe dziecko, ale teraz nie odczuwał wstydu z tego powodu; chłonał wzrokiem różowiejące niebo za oknem i koncentrował się na wspomnieniu twarzy śpiącej Rose.

Kiedy odszedł od niej, myślał jedynie o tym, aby jak najszybciej dostać się do domu, i to dodawało mu sił. Jednakże zmęczenie fizyczne i emocje zrobiły wreszcie swoje. Czuł, że chce mu się pić, choćby zwykłej wody. Upewnił się, że Derek śpi, a potem ostrożnie, aby go nie zbudzić, wysliznął się z łóżka i przeszedł do kuchni.

Matka zszywała właśnie kieszeń w jego marynarce. Kiedy wszedł, podniosła na niego wzrok.

- John?

- Nie mogłem zasnąć, mamó.

- Dlaczego chodzisz boso? Jeszcze się przeziębisz! Okryj się. - Z haczyka na drzwiach zdjęła stary tweedowy płaszcz, który należał kiedyś do ojca i który sama wkładała zimą, gdy musiała popracować na dworze.

Narzucił płaszcz na siebie, czując emanujący z niego zapach wielu deszczy, jak również wczorajszego przyjęcia. Matka wróciła na swoje miejsce przy stole.

- Niedługo skończę. Marynarka będzie jak nowa.

Wydało mu się, że zegarek na kominku tyka głośniejsze niż zwykle. Czas, który pozostał jemu i matce, dobiegał końca, upływał nieubłagane wraz z każdym tyknięciem. Tik - tak, tik - tak. Dlaczego nie może się zdobyć na wyznanie, że ją kocha? Ma przecież te słowa na końcu języka, a jednak tak trudno je wypowiedzieć!

- Czy Dan na pewno będzie czekał na nas w porcie, mamó? - zapytał.

- Oczywiście. Przecież obiecał to w liście.

Tik - tak, tik - tak.

Ani on, ani matka nie widzieli nigdy Dana, kuzyna obu braci ze strony ojca. Dan urodził się już na Wyspie Księcia Edwarda i jego noga nigdy dotąd nie postąpiła na irlandzkiej ziemi. John jeszcze raz podjął rozpaczliwą próbę zebrania się na odwagę, aby powiedzieć matce nie tylko, jak bardzo ją kocha, ale również, jak gorąco będzie za nią tęsknił. Zapragnął objąć ją, przytulić się do niej...

- Masz ochotę na herbatę? - zapytał.

- Nie odmówię - powiedziała, odgryzając nitkę i wiążąc supełek.

Wstał i podszedł do pieca.

- Mamo?

- Tak?

- Ja... my... tak naprawdę wcale nie chcemy wyjeżdżać, wiesz?

- Tak, synku, wiem.

- Jeszcze nie jest za późno. Moglibyśmy to odwołać.

- Kochanie, czy myślisz, że chcę waszego wyjazdu? - Krzesło skrzypnęło, kiedy odsunęła je od stołu. - Ale przecież nie możesz tkwić wiecznie w tej dziurze i być przez całe życie nikim. Zaslugujesz na coś lepszego. Obaj zasługujecie na coś lepszego. Tylko że tu nie macie na to żadnych szans. Zresztą... - urwała, odwróciła wzrok. - Może dla ciebie będzie korzystniej, jeśli wyjedziesz.

- Co...

Machnęła ręką, nie pozwalając mu dojść do słowa.

- Nie musisz mi mówić o tym, co się tu działo tego lata - szepnęła łagodnie. - Wiem wszystko o tobie i o Rose O'Beirne Moffat.

Tik - tak, tik - tak.

- To nie dla takich jak my, John.

Za domem znowu odezwał się kos. Aby zrobić cokolwiek, John podszedł do stołu i zdmuchnął płomyk lampy.

- Mamo, ja ją kocham.

- Wiem. - Obeszła stół, stanęła przed synem i położyła mu dłoń na ramieniu. - Ale ta sprawa nie ma przyszłości. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. - Patrzyła mu prosto w oczy, a wyraz jej twarzy świadczył wyraźnie, że rozumie, co on czuje.

Czajnik zaśpiewał na piecu.

- Herbata gotowa - powiedział John.

Podeszła do okna i otworzyła je, podciągając wysoko. Trele kosa wypełniły teraz całą kuchnię.

- Znosi się na ładny dzień, dzięki Bogu - mruknęła.

John uświadomił sobie nagle, że wszystkie stare, zniszczone już i dobrze mu znane przedmioty w tym pomieszczeniu nabrały dla niego nowego znaczenia: zabytkowy budzik, poobijana puszka na herbatę z wyblakłym wizerunkiem chińskiego ogrodu, cerata okrywająca gzyms kominka. Skupił się na parzeniu herbaty.

- Tam, dokąd jedziemy, zrobię wszystko, abyś mogła być ze mnie dumna, mamo. Obaj postaramy się o to, zobaczysz. I zaopiekuję się Derekiem, przyrzekam.

- To dobrze.

- I... jestem ci za wszystko bardzo wdzięczny. - Te słowa, wypowiedziane pośpiesznie, nie znaczyły może wiele, ale jednak padły. Lepsze to niż nic, pomyślał.

- Już dobrze, John. Już dobrze - szepnęła cicho Mary. On zaś poczuł, że nie panuje nad sobą. Łzy napływały mu do oczu, nie pozwalały widzieć tego, co robił. Trochę liści herbaty rozsypał wokół czajnika.

* * *

Przepowiednia matki dotycząca pogody okazała się trafna. Kiedy sapiący dychawicznie samochód Neda Sherlinga wtoczył się przez bramę na ich podwórko, karoseria zaślniła w promieniach słońca. Mary Flynn nie wybierała się z nimi do Dublina. Do Carrickmacross mieli przybyć w samą porę, aby złapać autobus o dwunastej, ten natomiast przyjeżdżał do Dublina wystarczająco wcześniej, żeby zdążyli na statek odpływający o ósmej do Liverpoolu. To i owo pozostawili rozmyślnie na ostatnią chwilę. Mieli jeszcze poutykać w walizkach różne rzeczy, które na razie leżały pod łózkami lub w kącie pokoju; ale nie wcześniej, niż wtedy gdy usłyszą nadjeżdżający samochód.

Kiedy wreszcie przed otwartymi drzwiami rozległ się znajomy warkot silnika, a przy żywopłocie stanął Ned, rozpoczęła się pośpieszna, beładna bieganina od domu do auta i z powrotem. Niebawem cały bagaż znalazł się w samochodzie, a John wszedł do kuchni, gdzie stała matka. Spojrzała na niego.

- Pożegnaj się jeszcze z Biddy - powiedział, aby zyskać trochę na czasie.

Na jego widok Biddy przydreptała bliżej, napinając sznurek, którym była przywiązana do palika. John podszedł do wiadra z przeznaczonym dla niej pokarmem, wyciągnął główkę kapusty oraz marchew, po czym zaczął karmić zwierzę.

- Grzeczna kózka, grzeczna Biddy... - Stał przy niej, głaszcząc jej głowę i uszy, dopóki jadła. Wreszcie poklepał ją pieszczotliwie na pożegnanie i odwrócił się, nie bacząc już na to, że koza trąca go pyskiem, jakby prosiła o dokładkę.

Na podwórzu przed domem ujrzał Dereka, który przytulony do matki, szlochał jak małe dziecko. Poruszony do głębi, on również objął jej wątłe ramiona, pocałował ją w policzek i, dopiero gdy odzyskał głos, wyszeptał:

- Nie martw się, mamó, nie martw się o nas. Damy sobie radę. I będziesz z nas dumna, przyrzekam. Będę pisał często i przysyłał ci pieniądze. Postaram się zaoszczędzić tyle, żebyś mogła kupić bilet na statek i nas odwiedzić. Może nawet już w przyszłym roku. My też odwiedzimy cię jak najprędzej.

Kiwnęła głową i zdobyła się na uśmiech.

- Niech wam Bóg błogosławi.

John odwrócił się do brata, który szlochał żałośnie, wsparty głową o karoserię samochodu. Pochwycił go za rękę i wepchnął do środka, na tylne siedzenie, a sam zajął miejsce z przodu.

- Lepiej już jedźmy, Ned.

Ich sąsiad spojrział na Mary Flynn i przytknął palce do czapki, a ona natychmiast weszła z powrotem do domu. Pożegnanie dobiegło końca.

* * *

Na przystanku zjawili się sporo przed godziną odjazdu, a potem, podczas gdy autobus zdążał do Dublina, przystając co jakiś czas po drodze, w każdej wiosce i miejscowości, aby zabrać lub wysadzić pasażerów, John doszedł do przekonania, że - o ile to możliwe - powinien pogodzić się wreszcie z zaistniałą sytuacją. Jest już za późno na odwrót, ani on, ani Derek nie mogą teraz zrezygnować z wyjazdu. W duchu przyznawał matce rację; rzeczywiście on i Rose należą do dwóch odmiennych światów, ale kluczem jest tu nie pochodzenie, lecz posiadanie pieniędzy. Dlatego jego jedyna szansa znajduje się daleko stąd, nie w Drumbooli. I powinien wykorzystać ją jak najlepiej.

Kiedy minęli Ardee, wyciągnął rękę do brata.

- Rozejm?

Derek spojrział na niego poprzez dym z papierosa, którego trzymał w dłoni.

- Jaki rozejm?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. - John nie cofał dłoni. - Będziemy sobie nawzajem potrzebni.

Derek skierował wzrok za okno autobusu. Po chwili, nie śpiesząc się, upuścił niedopałek papierosa na podłogę i rozgniół go obcasem buta.

- W porządku.

Siedzieli w milczeniu, dopóki autobus nie zaczął wspinać się mozolnie pod górę tuż za Collon.

- Wyobraź sobie - zaczął John - prawdziwe białe Boże Narodzenie.

Ich kuzyn wspomniał kiedyś w liście, że w zimie pada u niego zawsze śnieg. W Monaghan śnieg, jeśli już nawet poproszył, tworzył co najwyżej skromną, ciekłą warstewkę, która w ciągu paru godzin zamieniała się w paskudną, błotnistą breję.

Derek, zaciągając się kolejnym papierosem, mruknął coś pod nosem, ale prawie natychmiast, pamiętając o zawartym rozejmie, rozpromienił się.

- Ciekawe, czy mają tam sanki?

- Chyba tak - odparł John. - Inaczej nie mogliby się w ogóle poruszać.

- A konie? - zastanowił się Derek. - Jasne, tobie w to graj, może nie? Konie to teraz coś w sam raz dla ciebie. Już widzę, jak jedziesz na jakimś.

Był to jedyny zgrzyt między nimi w czasie jazdy i John postanowił puścić słowa brata mimo uszu. Zanim autobus dojechał na osłonięty ozdobnym kamiennym daszkiem przystanek w Dublinie, ogarnął go nastrój spokoju, a nawet optymizmu. Do tej pory byli w stolicy tylko dwa razy, i to w jednym miejscu: wraz z matką robili wtedy zakupy w olbrzymim domu towarowym Clery'ego. Dziś nie musieli się jednak obawiać, że zabłądzą. Dysponowali przecież dokładnym opisem drogi z przystanku autobusowego do terminalu brytyjskiego i irlandzkiego Steampacket Company przy North Wall.

Był wczesny wieczór, z gmachu Urzędu Celnego wychodzili właśnie urzędnicy, kobiety w jasnych bawełnianych sukienkach i lekkich sandałkach, mężczyźni w samych koszulach; marynarki mieli przerzucone przez ramię. John poczuł napływającą falę zazdrości. Ci ludzie sprawiali wrażenie beztroskich i szczęśliwych. Wracali do domów, może wybierali się gdzieś na przyjęcie. Mieli odpowiednie wykształcenie i dobre posady. Gdzieś czekała na nich ukochana dziewczyna lub ukochany mężczyzna. Żadnych problemów z pieniędzmi lub pozycją społeczną - ani nawet z niepewną przyszłością.

Wieczne zapachy miasta nie sprawiały mu przykrości, czuł jakieś ciepłe opary, woń smoły i gumy, śmieci i ulicznego kurzu, a także specyficzny aromat rzeki, której powierzchnia połyskiwała w promieniach wrześniego słońca.

- To z pewnością nasz - odezwał się Derek, wskazując na wysoką, zieloną burtę zacumowanego po ich stronie nabrzeża statku.

- Potrafisz może odczytać stąd jego nazwę? - zapytał John.

- „Munster”.

Terminal dla pasażerów klasy B i pierwszej przywodził na myśl szopę. Statek odpływał dopiero za półtorej godziny, ale już teraz przed wejściem do terminalu zatrzymywał się sznur taksówek, z których wysiadali pasażerowie. Tłum powiększał się z każdą chwilą. John wodził wzrokiem po obcych twarzach i czuł, że zalewa go fala samotności. Nastrój optymizmu, jaki czuł w sobie parę minut wcześniej, ulotnił się, ustępując miejsca przygnębieniu.

* * *

To Derek poruszył pierwszy sprawę Rose.

O wpół do dziewiątej przepłynęli obok latarni morskiej w Kish. Wieczór był cichy, a oni wraz z innymi pasażerami tłoczyli się na rufie i obserwowali fale, które toczyły się od burty w stronę malejącego brzegu. Żaden z braci nie był jeszcze nigdy na morzu ani w jego pobliżu i John, mimo smutku z powodu rozłąki, zafascynowany chłonał wzrokiem bezmiar wód, które mroczniały w miarę zbliżania się tarczy słońca do poszarpanej linii fioletowych gór na południe od Zatoki Dublińskiej.

Potem, kiedy siedzieli już w jednej z obskurnych, zatłoczonych świetlic dla pasażerów i popijali sokiem pomarańczowym zapakowane przez matkę kanapki z szynką, zwrócili uwagę na jasnowłosą dziewczynę, mniej więcej w ich wieku lub nieznacznie starszą. Miała na sobie brązowy tweedowy kostium: prostą spódnicę i zapinany na guziki, dopasowany w talii żakiet, a kiedy minęła ich, kierując się do baru, spojrzeli z uznaniem na jej zgrabne nogi i kształtne kostki.

- Niezła - mruknął Derek.

- Rzeczywiście - przyznał John, chociaż nie podzielał w tej chwili zdania brata. Od niedawna wszystkie dziewczęta porównywał z Rose.

- Ale daleko jej do panny O'Beirne Moffat, czy tak? - Derek z niewinną miną odgryzł kęs kanapki i upił łyk soku.

- Zgadza się. - John również zajął się kanapką.

- Zakochałeś się w niej, czy co?

John nie dał się zwieść obojętnej nucie w głosie brata; w tym momencie postanowił wyznać prawdę.

- Tak, kocham ją.

- A ona? Czy kocha ciebie?

- Powiedziała, że tak.

- Wyznaliście sobie wzajemnie miłość?

- Tak.

Jasnowłosa dziewczyna wracała już od baru z dwiema butelkami napoju pomarańczowego. Po chwili usiadła obok nieco starszej od siebie, lecz podobnej do niej kobiety, zapewne siostry. John i Derek przyglądali się im ze swoich miejsc.

- Nie miałbym nic przeciw temu, gdyby chodziło o nią - mruknął Derek.

- Wiem, co masz na myśli - odparł machinalnie John.

- Wy oboje już to zrobiliście, może nie?

Te słowa zabrzmiały raczej jak stwierdzenie, nie pytanie. John nie odpowiedział wprost.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Po prostu wiem i tyle.

- Skąd miałbyś wiedzieć? Znowu nas szpiegowałeś?

- Ach! A więc jednak to zrobiliście!

- Wcale tego nie powiedziałem! - zaproponował John, zbity z tropu. Odniósł nagle wrażenie, że nie zachowuje się lojalnie wobec Rose.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz robić, co chcesz - zapewnił go Derek. - To wolny kraj. John poczuł coś w rodzaju ulgi; nie lubił mieć tajemnic.

- Już dobrze.

- Jak było?

- Nie chcę o tym mówić.

- Twoja sprawa. Idę po jeszcze jedną butelkę soku. Przynieść też dla ciebie?

- Nie mamy tyle pieniędzy.

Podczas gdy Derek stał przy barku, John zbierał myśli. Kochał Dereka, co do tego nie było żadnych wątpliwości, ale nawet świętego zmęczyłyby te jego zmienne humory. Z drugiej strony, mieli teraz tylko siebie i przez kilka najbliższych miesięcy mogli polegać tylko na sobie. Musieli robić wszystko, aby dało to rezultaty. Co, pomyślał John z przekąsem, oznacza, że powodzenie naszych wzajemnych kontaktów zależy ode mnie, od mojej cierpliwości.

Rozmawiać z Derekiem o Rose to znowu zupełnie coś innego. Ale jeśli nie może mówić o najważniejszej teraz sprawie w swoim życiu z bratem, to z kim? Statek coraz gwałtowniej kołysał się na falach i John poczuł, że żołądek zaczyna podjeżdżać mu do gardła. Ogarnął go lęk. Chyba nie rozchoruje się na oczach tych wszystkich ludzi?

Derek wrócił z dwiema butelkami soku, usiadł obok niego.

- Skoro już o tym mowa, mam nadzieję, że nie zrobiłeś jej dziecka...

John, w pierwszej chwili oszołomiony brutalnym sensem tych słów, opanował się niebawem na tyle, aby wyjąkać:

- Nie można... za pierwszym razem nie można... zrobić dziecka... - Do tej pory nie zastanawiał się nad tym, ale ze strzępów informacji na tematy seksualne, które zdobył, wnioskował, że jest dokładnie tak, jak mówi. - Nie można - powtórzył zdecydowanym tonem - zrobić dziecka za pierwszym razem.

- Kto ci tak powiedział?

- Wszyscy o tym wiedzą.

- No cóż, mam nadzieję, że ci wszyscy, kimkolwiek są, mają rację.

Kołysanie statku przybrało na sile, John nie czuł się na siłach kontynuować tej

dyskusji.

- Muszę się położyć - mruknął.

Piętrowe koje w kajutach dla mężczyzn były umocowane po trzy w jednym rzędzie, większość z nich zajęli już inni pasażerowie, zanim John i Derek zeszli na dół. Bracia postawili swoje walizki w progu i rozejrzeli się dokoła. Tu i ówdzie grano w karty, a w odległym kącie dwaj mężczyźni i chłopiec, mniej więcej trzynastoletki, urządzili sobie wieczór piosenek. Ściślej mówiąc, śpiewali mężczyźni, chłopiec natomiast siedział w milczeniu i szeroko otwartymi oczyma spoglądał to na nich, to na opróżnione butelki, które toczyły się po podłodze raz w tę stronę, raz w drugą, w zależności od przechyłu statku.

W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, który John zidentyfikował jako mieszaninę odoru alkoholu i potu, jak również jeszcze czegoś: wymiocin, tworzących kałużę obok koi człowieka leżącego bezwładnie pod oknem. Mężczyzna chrapał donośnie, jego głowa obracała się wraz z ruchem statku na obie strony. John, zde gustowany, odwrócił się od niego i przestąpił ostrożnie cuchnącą kałużę, unosząc swoją walizkę jak najwyżej.

Jakieś osiem rzędów dalej od chrapiącego pijaka znaleźli dwie wolne koje. Tu pod pryczą Johna umieścili swój bagaż. Koje były twarde, niewygodne i miały nieprzyjemny zapach. Poprawiając posłanie, John odkrył przyczynę tego zapachu: prycza, sklecona z drewnianych listew, była przykryta gumowanym prześcieradłem.

Przełożył swój bagaż za głowę i ramieniem osłonił sobie oczy przed światłem. Starając się ignorować smród, pijackie śpiewy, chrapanie, głośne rozmowy i wybuchy śmiechu, zaczął rozważać myśli i wrażenia z ostatniej doby. Nadal dokuczał mu żołądek, ale nie miało to teraz większego znaczenia: wszystko przesłaniała kochana, śliczna twarz Rose. Przypomniała mu się bransoletka z ametystami, ukryta bezpiecznie wśród przyborów toaletowych. Może powinien powiedzieć o niej Derekowi? Ale po co? Z drugiej strony, bransoletka może pomóc im obu opuścić nowe miejsce w Kanadzie, jeśli życie na Wyspie Księcia Edwarda okaże się nie do zniesienia.

Ale gdyby użył jej, aby móc wrócić do domu, to co wtedy? W takiej sytuacji wróciłby jako nędzarz bez grosza przy duszy i bez widoków na przyszłość - tak jak wyglądał przed wyjazdem. Co mógłby wtedy zaoferować Rose? Usłyszał znowu słowa matki o nim i Rose: „To nie dla takich jak my...” Nawet on dostrzegwał teraz bezsens proponowania Rose O'Beirne Moffat wspólnego życia. Och, Rose, pomyślał i jego oczy pod tweedowym rękawem marynarki napełniły się łzami.

* * *

Daphne O'Beirne Moffat wydeła usta.

- A więc dobrze, moja panno, zostaniesz tu, dopóki nie nabierzesz choć trochę rozumu.

Rose nie drgnęła nawet powieka, tak jakby nie słyszała w ogóle głosu matki. Leżała na łóżku, z twarzą wtuloną w poduszkę.

- Zrozumiałaś, co powiedziałam? - Daphne podniosła głos. - Odpowiedz, Rose! - Nie doczekawszy się odpowiedzi, skierowała wzrok na męża. - Porozmawiaj z nią, Gus. Ostatecznie jesteś jej ojcem!

Gus stał za nią z nieszczęśliwą miną: nie cierpiał podniesionych głosów, kłótni, a nawet gwałtowniejszych dyskusji. Nie sprzeciwił się jednak poleceniu Daphne, która cofnęła się nieco i gestem dłoni dała do zrozumienia, że teraz jego kolej.

- Rose? - powiedział łagodnie i podszedł do łóżka. - Rose? - powtórzył. Ponieważ córka nadal zachowywała się tak, jakby go nie słyszała, dodał: - Rose, zrozum, musisz coś zjeść, musisz zejść od czasu do czasu na dół. Siedzisz tu na górze od rana, a teraz... - zerknął na zegarek - ... mamy już dziesiątą. Nie jesteś głodna?

- Nie o to chodzi! - burknęła Daphne. - Musimy się dowiedzieć, gdzie była ostatniej nocy... gdzie spędziła całą noc! Domyślam się wszystkiego, ale chcę usłyszeć to z jej ust!

- Mówiłaś, zdaje się, że jestem jej ojcem! - Ostry ton, jakim Gus zwrócił się do żony, zdumiał Rose do tego stopnia, iż drgnęła gwałtownie i uniosła się na łokciu. Zauważyła, że również ojciec jest zaskoczony własną reakcją. Zanim Daphne zdołała coś powiedzieć, złagodził wymowę swoich słów: - Już dobrze, Daphne, zajmę się całą sprawą. Chyba będzie lepiej, jeśli zostawisz ją mnie. Zawołam cię, jeśli to będzie konieczne.

Daphne parsknęła wzgardliwie, ale odwróciła się na pięcie i wyszła z sypialni, stukając obcasami. Gus odczekał chwilę, a kiedy drzwi zamknęły się za żoną, przeniósł wzrok na córkę i dotknął delikatnie jej ramienia.

- Teraz, skarbie, powiedz mi, co się stało. Mnie możesz chyba zaufać.

Gwałtownie rzuciła mu się na szyję.

- Och, tatku! Nie mogę ci powiedzieć! Po prostu nie mogę! To takie okropne...

- Dlaczego nie możesz, Rose?

- Bo z pewnością byś nie zrozumiał!

Gus odchrząknął.

- Ja... eee... a może bym jednak zrozumiał? Byłabyś zdumiona... - Rose machinalnie mięła chusteczkę w dłoni. - To chyba nie chodzi o... to znaczy... ta sprawa nie ma chyba nic wspólnego z owym młodzieńcem ze stróżówki... no wiesz, tym, którego uczyłaś jeździć na

Olbrzymie?

Mina Rose była zapewne aż nadto wymowna, gdyż zaczerwieniona twarz Gusa pociemniała jeszcze bardziej.

- Tak... rozumiem... - szepnął. - Już wcześniej wydawało mi się, że wy oboje... eee... przyjaźnicie się, byłem chyba jednak za bardzo zaprzątnięty własnymi sprawami, aby przewidzieć, jak to się potoczy dalej. Nie miej mi tego za złe, Rose, ale wiesz, ile mam na głowie... Posiadłość, bank... i w ogóle... - Gestem pełnym ubolewania wzruszył ramionami.

Rose przycisnęła chusteczkę do ust. Nie chciała być powodem tego całego zamieszania, ale obawiała się, że jeśli ojciec zostanie tu dłużej, powie mu więcej, niż zamierzała.

- Ja go kocham, tatku! - zawołała stłumionym głosem. - A on wyjechał na zawsze... - Po jej twarzy pociekły łzy.

- Mam... - Gus odchrząknął, tym razem jeszcze głośniejszym niż poprzednio. - Mam wrażenie, że to z nim właśnie spędziłaś dzisiejszą noc? To znaczy... odwiedziłaś go?

Niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Gus ciągnął z wysiłkiem:

- Kochanie, nie musisz mi odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale jestem jednak twoim ojcem i troszczymy się o ciebie, twoja matka i ja. Rozumiesz chyba? Po prostu odwiedziłaś tego młodzieńca, czy tak? - Jego głos wyrażał teraz błagalną prośbę.

- Oczywiście, tatku. Odwiedziłam go, musieliśmy się spotkać. To była jego ostatnia noc w domu. Przyszedł po zapadnięciu zmroku. Powiedzieliśmy sobie „do widzenia”, ale nie było to prawdziwe pożegnanie... Wiesz, co mam na myśli? W każdym razie poszliśmy... poszliśmy na długi spacer po lesie.

- I chodziliście całą noc?

- Nie mogliśmy znieść myśli, że to naprawdę rozstanie. Usnęliśmy na trochę...

Gus wstał, podszedł do okna.

- Jest jedna sprawa, Rose, ale nie denerwuj się, jestem pewien, że wystarczy proste wyjaśnienie z twojej strony. Matka twierdzi, że kiedy zobaczyła cię rano, jak wchodzisz do domu, miałaś bardzo pogniecione ubranie... bardzo pogniecione.

- Powiedziałaś ci już, że położyłam się i usnęłam na trochę.

- Tak, ale matka mówi, że miałaś ubranie bardzo pogniecione. Nie znam się na tym, to oczywiste, ale ona twierdzi, że twoja bawełniana bluzka wyglądała okropnie, że była mokra czy coś w tym rodzaju...

- A więc mogę cię zapewnić... a ty możesz zapewnić matkę, tatku, że moja bluzka wcale nie była mokra! - Ostatnie słowa Rose wypowiedziała z przesadnym oburzeniem, na

jakie zdobywa się zazwyczaj tylko ktoś niesłusznie oskarżony.

Gus odwrócił się.

- A więc sprawa wyjaśniona. Powiem o tym matce. Na pewno odetchnie z ulgą.

- Tato, ona nie cierpi Johna Flynna.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Twoja matka jest dobrą kobietą! - W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta i Rose zreflektowała się trochę.

- Tak, tak, wiem o tym, tatku. Oczywiście że matka jest dobrą kobietą... Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiła... i wiem, że mnie kocha, ale... Tatku, spójrz na to bezstronnie. Czy naprawdę wierzysz, że matka zaakceptuje moją miłość do syna gajowego? Biedny John nie ma nawet grosza przy duszy... - Rose znowu załapała się łzami.

- Rose, przecież Kanada to nie koniec świata! On tu kiedyś wróci, a ty poznasz jeszcze innych sympatycznych młodych ludzi...

- Och, tatku, dobrze wiedziałam, że usłyszę takie słowa. Wiedziałam, że nikt mnie nie zrozumie! Nigdy już nie spotkam kogoś takiego jak John, nigdy, nigdy! - Zeskoczyła z łóżka.

- Przepraszam, tato, muszę iść do łazienki.

Postąpił parę kroków w jej stronę, chcąc ją zatrzymać, ale ona okazała się szybsza: w jednej chwili znalazła się w drugim końcu pokoju i zniknęła za drzwiami, zanim zdążył wyciągnąć do niej rękę.

Gus stał parę sekund, wpatrzony w drzwi łazienki, a potem ostrożnie, aby nie zakłócić panującej ciszy, wyszedł z sypialni.

* * *

- Mamo, już trzecia po południu! Jak to możliwe, że nie siedzisz jeszcze przy stoliku brydżowym? - W kajucie parowca „Biała Cesarzowa” Karen Lindstrom skakała po łóżku, jakby chciała sprawdzić jego sprężyny. - Uwielbiam statki! - zawołała uszczęśliwiona. Perkalowe zasłony w iluminatorach drżały lekko pod wpływem jej skoków, a ona patrzyła na to z uśmiechem. Jasne włosy miała Karen po ojcu, odziedziczyła za to krępa budowę ciała matki, co sprawiało, że sprężyny łóżka jęczały teraz przeraźliwie.

- Na miłość boską, Karen! - zawołała matka przez otwarte drzwi przyległej kajuty. - Uspokój się, bo oszaleję! - Stała w progu, w ręku trzymała kryształowy wazon z kwiatami. - Spędzimy tu tyle czasu, że powinnaś sobie znaleźć jakieś zajęcie. Poczytaj książkę, przejrzyj żurnale albo coś w tym rodzaju.

- Nic z tego. - Karen zeskoczyła z łóżka i okręciła się pośrodku kajuty jak w tańcu. - To za nudne. Och, jaka szkoda, że nie ma z nami ojca. „Cesarzowa” to jego ulubiony statek! -

Z koszyka na stole wzięła dwie pomarańcze i poczęła nimi zonglować, podrzucając owoce zręcznie do góry.

Jej matka westchnęła.

- Karen, błagam, zachowuj się jak dorosła panna! Będziemy mieszkać tu razem przez pięć i pół dnia. Nie utrudniaj tego, daj nam szansę, dobrze? - Pochodziła z Glasgow, co zdradzał jej akcent, a teraz wraz z córką wracała z wizyty u mieszkających tam nadal krewnych.

Karen pochwyciła obie pomarańcze i wrzuciła je z powrotem do koszyka.

- Mamo, na miłość boską, przecież nie musimy trzymać się cały czas razem i deptać sobie po piętach! Na pewno znajdziesz jak zawsze własne towarzystwo i od rana do wieczora będziesz grała w brydża, a ja... już coś dla siebie wymyślę. - Uśmiechnęła się, zmieniła taktykę. - Chyba że wolisz, abym kręciła się przy tobie ponura jak chmura gradowa?

- Nie, pięknie dziękuję! - Matka odwzajemniła uśmiech. - Oczywiście że nie chcę, abyś chodziła cały czas przygnębiona. Cieszę się, gdy jesteś szczęśliwa, ale... czy mogłabyś chwilowo poskromić choć trochę swoje wybuchy radości?

- Jasne, mamo. - Karen chwyciła kurtkę i ruszyła do wyjścia. - Tak jak sobie życzyłaś, będziesz miała spokój. Idę się przejść.

- Uważaj na siebie! - zawołała za nią matka, ale Karen była już za daleko, aby usłyszeć ostatnie słowa. Włożyła kurtkę i rozpoczęła obchód statku, chociaż znała go bardzo dobrze; był to już jej czwarty rejs na pokładzie „Białej Cesarzowej”. Tym razem zamierzała wykorzystać podróż jak najlepiej, gdyż mogły to być jej ostatnie wakacje na statku. Rosnące obowiązki w firmie nie pozwalały ojcu dłużej na luksus długich, kilkudniowych rejsów to w jedną, to w drugą stronę, tak więc zdecydował, że następną podróż do Europy odbędą samolotem.

Decyzja ojca nie zachwyciła Karen. Już po raz dwunasty przemierzała ocean i jak zwykle rozkoszowała się możliwością obcowania z nieznanymi. Za każdym razem, gdy statek odbijał od przystani, odnosiła wrażenie, jakby otwierała się przed nią cała gama możliwości. Mimo iż okręty Kanadyjskich Linii Atlantyckich przewoziły w klasie turystycznej liczne rzesze imigrantów, a co za tym idzie, mniejszą liczbę pasażerów zaliczanych do śmietanki towarzyskiej, sytuacja w pierwszej klasie przedstawiała się inaczej. Wyobraźnia Karen podsuwała jej rozmaite podniecające sceny: pasażerowie z sąsiednich kajut mogli się okazać amerykańskimi gwiazdami filmowymi, magnatami naftowymi, członkami angielskiej lub innej rodziny królewskiej albo też - i w tym tkwiło sedno sprawy - jej potencjalnymi przyjaciółmi. Będąc zdrową siedemnastoletnią dziewczyną, Karen patrzyła na

każdego mężczyznę w wieku poniżej dwudziestu dwóch lat jak na swego ewentualnego przyjaciela.

Inaczej, oczywiście, miała się rzecz z młodzieńcami z Charlottetown, gdzie jej ojciec posiadał największy i najelegantszy sklep wielobranżowy na wyspie. W oczach Karen Charlottetown nie było odpowiednim miastem na nawiązanie romansu. Żaden z miejscowych kawalerów nie odpowiadał jej wyobrażeniom o wymagowanym kochanku.

Wyszedłszy na pokład, poczuła uderzenie zimnego wiatru i czym prędzej otuliła się szczelniej kurtką. Wybrała ją sobie w sklepie ojca, w dziale z odzieżą męską.

Nie przejmowała się swoją figurą, ale czasem, w przyływie szczerości wobec siebie samej, przychodziło jej na myśl, że może ciężkawa sylwetka i w ogóle powierzchowność stanowią decydującą przeszkodę w kontaktach z mężczyznami w Charlottetown. Część z tych, których znała, zdawała się odczuwać przed nią lęk. Ale trudno. Świat nie kończył się na Charlottetown i Karen pragnęła wyrwać się stamtąd jak najprędzej. Rodzice, kochający ją i przejawiający wobec niej nadmierną opiekuńczość, nie wiedzieli jeszcze o tym, ale Karen, która miała przed sobą ostatni rok szkoły, nie zamierzała już długo pozostać pod ich dachem. Chciała w ogóle opuścić Kanadę. Uczyła się dobrze i pragnęła rozpocząć studia w jakiejś wspaniałej stolicy europejskiej, na przykład w Paryżu, Rzymie lub Londynie, a przynajmniej - gdyby **nie** z tego nie wyszło - w którejś nowoczesnej uczelni kalifornijskiej albo też w Nowej Anglii.

Opuściła pokład spacerowy i szerokimi schodami weszła wyżej, na pokład sportowy, gdzie mieścił się kort tenisowy o przepisowych wymiarach. Mimo iż jej kurtka była ocieplana, a kort osłaniała wysoka ścianka, Karen drżała z zimna, kiedy zajmowała miejsce na widowni od strony portu. Nabrzeże portowe w Liverpoolu mieści się w samym sercu centrum handlowego, ona jednak była tu już tyle razy, że potrafiła rozróżnić każdy dach, nie traciła więc teraz czasu na obserwację miasta, lecz oparła się o nadburcie okalające siedzenia, aby popatrzeć na zatłoczoną przystań kilkanaście metrów niżej.

„Biała Cesarzowa” była przycumowana tuż za większym od siebie statkiem transatlantyckim pod flagą niemiecką. Obie grupy pasażerów, którym towarzyszyły osoby żegnające, tragarze i sztauerzy, ustawiały się wśród ogłuszającego zgiełku w kolejkach, zajmując przy tym całe nabrzeże szerokie na dziesięć metrów i odgródzone od reszty terenu rzędem sklepów.

Karen nuciła cicho melodię hymnu, który kapela Armii Zbawienia grała z werwą, nie pozwalając się zagłuszyć przez cały ten chaotyczny harmider. Dziewczyna uświadomiła sobie, że nie chciałaby teraz być gdziekolwiek indziej. Gładkie, zimne pręty nadburcia, na

których zaciskała dłonie, przekazywały coraz szybsze obroty silników statku. Spojrzała za siebie w górę: na maszcie „Białej Cesarzowej” powiewał już błękitny proporzec sygnałowy, a to oznaczało, że statek szykuje się do odbicia. Jeden z kominów wypuszczał cienki słup dymu prosto w stado pierzastych mew, które krążyły na tle pochmurnego nieba.

Karen raz jeszcze przeniosła wzrok na ludzi stojących w kolejkach. Wejście do pierwszej klasy nie było obleżone, największy tłum kłębił się przed wejściem do sekcji turystycznej. Karen zwróciła uwagę na kobietę i mężczyznę z małym dzieckiem i niemowlęciem.

W odległości dwóch metrów od rampy dziecko rozplakało się nagle, a rodzice, zajęci uspokajaniem go, nie zauważyli, że ich druga pociecha podeszła co krawędzi nabrzeża. Karen chciała już krzyknąć, ostrzec ich przed groźącym niebezpieczeństwem, ale w tej same chwili z kolejki wybiegł młody człowiek, pochwycił zaskoczonego berbecia za rękę i odprowadził do rodziców. Następnie, po krótkiej rozmowie z nimi, wrócił na poprzednie miejsce, stając obok swojego rówieśnika.

Karen spojrzała na obu ze zdwojonej uwagą. Cóż, ci dwaj młodzieńcy najwidoczniej podróżują sami i - o ile mogła to ocenić z tej odległości - nawet nieźle się prezentują. Jedyne problemy to to, że stoją w kolejce do pierwszej klasy turystycznej. Nic nie szkodzi, pomyślała, nie jest to przeszkoda do pokonania. Wprawdzie służba porządkowa na statku dbała o to, aby pasażerowie pierwszej klasy nie przechodzili do drugiej, ale zazwyczaj nie sprzeciwiała się, jeśli pasażer pierwszej klasy chciał się udać z wózem do kogoś w drugiej klasie. Karen nie spuszczała wzroku z obu młodzieńców, którzy cierpliwie czekali na nabrzeżu wraz z innymi. Nie wynajęli tragarza, lecz dźwigali swój bagaż sami. Wyglądali na jej rówieśników, a może byli nieco starsi od niej, mieli krawaty, ich garnitury jednak były ciemne i wymięte. Z pewnością to nie Amerykanie ani Kanadyjczycy, pomyślała, pochodzą raczej z Europy Wschodniej.

Może uciekinierzy? Przepelnione romantyzmem serce Karen zabiło mocniej. Może kuzyni albo bracia, którzy osieroceni w wyniku straszliwej wojny, postanowili teraz rozejrzeć się za lepszym życiem w Nowym Świecie...

Powiodła wzrokiem po reszcie kolejki. Z wyjątkiem dwóch rodzin z dziećmi stały tam głównie pary, a te nie interesowały jej w ogóle. Znowu skierowała uwagę na młodzieńców; obserwowała ich do chwili, kiedy weszli na pokład i zniknęli jej z oczu.

* * *

Na widok pomieszczenia, które miało stanowić ich dom przez pięć nocy i sześć dni, John wstrzymał z wrażenia oddech. Kupili najtańsze z oferowanych biletów i zgodzili się na

kajutę bez okien i „innych wygód”, teraz jednak okazało się, że rzeczywistość okazała się dla nich łaskawa. Kiedy poprzedniej nocy odbywali swój pierwszy rejs, płynąc z Dublina do Liverpoolu, warunki podróży były tak surowe i niekorzystne, że postanowili odtąd nie oczekiwać zbyt wiele. Tu jednak, w porównaniu z tamtym statkiem, zakwaterowanie wydało im się wspaniałe, niczym w pałacu. Seledynowe ściany obwieszane były sepiową grafiką, przedstawiającą żeglugę morską, w kajucie stała toaleta z lustrem, podłogę wyłożono dywanem, w kącie za drzwiami zainstalowano małą umywalkę i dwie szafy wnękowe, John zwrócił jednak przede wszystkim uwagę na porządną pościel i śnieżnobiałe poduszki. W kajucie były cztery koje. John zastanawiał się chwilę, kto będzie z nimi podróżował, czuł się jednak zbyt zmęczony, aby łamać sobie nad tym głowę właśnie teraz.

Derek, stojący za nim, zagwizdał z uznaniem.

- Boże! - szepnął. - Jak tu wspaniale!

- Położę się. - John wsunął bagaż do szafy i zrzucił buty. Właśnie układał się na jednym z niższych łóżek, kiedy dostrzegł pod kocem małą, złożoną kartkę z rysunkiem słomkowych kapeluszy i kieliszkami szampana na różowo - zielonkawym tle na wierzchu. Po rozłożeniu kartki znalazł na niej parę słów powitania oraz prośbę o przyniesienie paszportów do płatnika, jak również wykaz usług oferowanych na statku i rozkład imprez na następny dzień. - Popatrz tylko! - zawołał do brata. - Można tu pograć w wista, jest nawet kino... i biblioteka!

Derek, który wybrał dla siebie koję na górze, znalazł na niej identyczną kartę.

- Są też tańce! - zawołał z entuzjazmem, czytając ją dokładnie. - Boże, John, mają nawet basen! Możemy korzystać z basenu! Jest także barek...

- Nie będziemy pić, obiecaliśmy mamie.

- Mów za siebie.

- Derek!

- Pójdę się przejść, umieram z głodu. - Derek oparł swoją walizkę o ścianę kajuty. W przeciwieństwie do Johna, okazał się pasażerem dobrze znoszącym podróż statkiem i przespał spokojnie całą poprzednią noc. Nic dziwnego, że nie był tak senny jak brat. - Zobaczymy się później! - zawołał i zamknął za sobą drzwi kajuty.

John wszedł, a raczej wczołgał się na swoją koję. Nie starczyło mu nawet sił na to, aby odchylić koc, położył się więc na pościeli. Z ulgą wtulił głowę w miękką, czystą poduszkę, czuł wibrowanie całej kajuty, dudnienie maszynierii. To dygotanie nie było nieprzyjemne, a nawet przeciwnie: działało jak kołysanka. W ciągu paru sekund odgłosy dochodzące zza drzwi jakby przycichły i oddaliły się od niego, on zaś zapadł w głęboki, zbawienny sen.

* * *

Derek przechadzał się po pokładzie, obserwował ostatnich pasażerów wchodzących na statek, rozkoszował się krzątanią, która oznaczała, że niebawem statek wyruszy w rejs.

Wielu pasażerów, z których część płakała, machało na pożegnanie i wykrzykiwało coś do ludzi, być może krewnych lub przyjaciół, zgromadzonych na nabrzeżu. Derek przypomniał sobie własne piekące łzy, kiedy żegnał się z matką wczoraj (czy to możliwe, że od tamtej chwili upłynął dopiero jeden dzień?) i poczuł, że znowu zbiera mu się na płacz. Ostatkiem sił wziął się w garść. Nie, nie będzie już beksą.

Nie wciągnięto jeszcze trapów na pokład, tak więc nadal pozostało trochę czasu. Derek nie przesadził, mówiąc bratu, że jest bardzo głodny; czuł, jak burczy mu w brzuchu, postanowił więc rozejrzeć się za barem, gdzie mógłby coś zjeść naprędce. Urzędnik z biura podróży w Carrick powiedział im, że na statku będą mogli wymienić irlandzkie pieniądze. Ale gdzie tu jest bank?

Rozejrzał się po pokładzie i zauważył jakiegoś młodego mężczyznę, może nawet swego rówieśnika, w uniformie.

- Przepraszam bardzo... - zagadnął go.

Młodzieniec, którego czapka tylko częściowo zakrywała rude jak marchew włosy, przystanął i spojrzał na niego.

- Słucham, sir? - Widząc, że ma przed sobą kogoś młodego, w swoim wieku, odprężył się. - O co chodzi, kolego?

- Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie na statku znajdę bank? Chciałbym wymienić trochę pieniędzy. - Derek nadal mówił oficjalnym tonem, sądząc, że tak właśnie pasażerowie powinni zwracać się do członków załogi.

- Pieniądze? - powtórzył tamten z obojętną miną. - Nie mamy tu banku, *sir*. Ale gdy tylko odbijemy od brzegu, płatnik otworzy swoje biuro i właśnie u niego można będzie wymienić pieniądze. - Umilkł na chwilę, zmrużył oczy. - Irlandzkie pieniądze, czy tak, sir? Ja sam urodziłem się w Liverpoolu - dodał. - Ale moi rodzice pochodzą z Arklow w hrabstwie Wicklow. Jeżdżę do nich na święta. Rodzice mieszkają tam nadal z moim młodszym rodzeństwem.

- Ach tak... A czym pan się tu zajmuje?

- Jestem majtkiem - odparł młodzieniec z widoczną dumą. - Rozejrzał się bacznie dokoła, jakby się bał, że ktoś go może podsłuchać. - Właściwie nie powinienem rozmawiać z pasażerami... ale skoro pan odezwał się pierwszy i jest Irlandczykiem, jak ja...

Uśmiechnął się, Derek odwzajemnił uśmiech.

- Dziękuję. A więc: biuro płatnika?

- Tak. Powinno zostać otwarte w jakieś pół godziny od chwili, gdy odbijemy od brzegu.

- Boże, nie wiem, czy wytrzymam tak długo. Jestem strasznie głodny, kiszki grają mi już marsza!

- Proszę... - Majtek sięgnął do kieszeni munduru. - Mam tylko kawałek czekolady. - Wyciągnął spłaszczony baton z orzechami i wsunął go Derekowi do ręki.

Derek czuł, że czekolada rozpułynie się za chwilę do reszty.

- Bardzo dziękuję - mruknął. - Oddam pieniądze, jak tylko je wymienię.

- Nie, nie ma o czym mówić. I tak jadam za dużo słodczy. Przy okazji: na imię mam Andy.

- Derek Flynn.

- Andy Farrell. - Podali sobie ręce.

- Muszę już iść. Zobaczymy się potem, co? - Andy odszedł szybkim krokiem, a Derek osłonił twarz przed ostrym wiatrem, rozwinął baton i odgryzł połowę.

Oparł się łokciami o nadburcie: na nabrzeżu robiło się coraz spokojniej. Kiedy zjadł pierwszy kęs, wsunął do ust resztę i wtedy usłyszał dziewczęcy głos:

- A dla mnie?

Rozejrzał się dokoła, ale nie dostrzegł nikogo.

- Trochę wyżej - poinformował go ten sam głos.

Podniósł oczy i między dwiema szalupami zauważył głowę i ramiona jasnowłosej dziewczyny, przechylonej przez reling górnego pokładu.

- Cześć - powiedziała, odgarniając włosy, które wiatr zwiewał jej na twarz.

Zażenowany, jako że nieznajoma była świadkiem jego łakomstwa, odparł niepewnie:

- Cześć.

- Na pewno było smaczne, prawda? - powiedziała dziewczyna, znów odgarniając włosy z twarzy. - Masz jeszcze trochę?

Z ubolewaniem pokazał jej puste dłonie i wzruszył ramionami.

- Przykro mi.

- Widziałam, jak wchodziliście na statek, ty i twój przyjaciel.

- Tak? A ty też płyniesz tym statkiem? - W duchu wyzwał się od idiotów. To chyba jasne, bo w przeciwnym razie nie stałaby teraz na pokładzie.

Ale dziewczyna nie wyglądała na ubawioną jego pytaniem.

- Skąd jesteście, chłopcy?
 - Z Irlandii - odparł. - A ten drugi nie jest moim przyjacielem, lecz bratem.
 - Brat może być również przyjacielem - zauważyła.
 - Tak, oczywiście. Zależy od tego, jaki to brat.
 - To prawda. - Uśmiechnęła się i nawet z tej odległości Derek dostrzegł jej idealnie białe zęby. - Irlandczyk, no proszę! Umiesz mówić po celtycku?
 - Trochę - przyznał Derek.
 - Część mojej rodziny ze strony matki zna celtycki, oni pochodzą ze Szkocji.
- Derek zawahał się.
- A ty jesteś Amerykanką czy jak?
 - Kanadyjką. Ale częściowo jestem Szkotką, po matce, jak już mówiłam. W drugiej połowie jestem Szwedką.
 - Sądząc po twojej wymowie, myślałem, że jesteś Amerykanką. - Derek nie spotkał jeszcze nigdy Kanadyjczyka, ale każdego lata widywał w Drumbooli Amerykanów, którzy zjawiali się tam regularnie jak wędrowne ptaki. Nauczył się już odróżniać wymowę z tamtego kontynentu.
 - Na twoim miejscu nie mówiłabym tego nikomu - pouczyła go dziewczyna. - Kanadyjczycy nie cierpią, gdy bierze się ich za Amerykanów.
 - Och, przepraszam, zapamiętam to sobie. Z jakiej części Kanady pochodzisz?
 - Z małej dziury, o której na pewno nigdy nie słyszałeś - odparła. - Nazywa się Charlottetown, leży na Wyspie Księcia Edwarda, ale nie...
 - Nie do wiary! - zawołał Derek. - Tam właśnie płyniemy! No, może niezupełnie do Charlottetown, lecz do Kelly's Cross... Wiesz, gdzie to jest?
 - Jasne! - zawołała. - Kto by to pomyślał? A więc będziemy sąsiadami!
 - Czy to daleko od Charlottetown?
 - Jakieś czterdzieści minut.
 - To wspaniale! - Derek nie mógł wyjść z podziwu: co za niesłychany zbieg okoliczności!
 - Tak, rzeczywiście wspaniale. Ale ty zaraz złamiesz sobie kark, jeśli nie przestaniesz zadzierać głowy do góry. Może zejść do ciebie na dół?
 - Proszę bardzo. - Nie mógł uwierzyć we własne szczęście.
 - Tylko nie odchodź stamtąd. - Głowa zniknęła i niemal natychmiast pojawiła się ponownie. - A przy okazji... jak się nazywasz?
 - Derek. Derek Flynn.

- Aha, Derek. A ja jestem Karen Lindstrom. Bardzo mi przyjemnie. - Głowa okolona jasnymi włosami zniknęła po raz drugi z pola widzenia. Lękając się, że usta ma umazane czekoladą, Derek otarł je gorączkowo wierzchem dłoni. O czym ma z nią rozmawiać, kiedy do niego podejdzie? Blondynka. I chyba ładna, jeśli go wzrok nie myli. Poczł nagły lęk.

Gdy po chwili stanęła przed nim, z wrażenia zaniemówił. Była jeszcze bardziej atrakcyjna, niż przypuszczał. Wysoka, jego wzrostu, miała duże zęby, szerokie usta, duże oczy i jeszcze coś, na widok czego mimo woli przełknął ślinę: Karen Lindstrom miała bardzo obfite piersi.

Dopiero po chwili przyszedł do siebie i wyciągnął rękę.

- Witaj.

Pochwyciła jego dłoń i ścisnęła z zaskakującą siłą.

- Cześć! - odparła. - To doprawdy niezwykły przypadek. Ale właściwie taki zbieg okoliczności nie powinien dziwić. Ostatecznie płyniemy statkiem kanadyjskim do Kanady. Co innego, gdybyś mi powiedział, że płyniesz do Honolulu. - Roześmiała się; był to piskliwy chichot, nie bardzo pasujący do jej powierzchowności.

Derek odpowiedział uśmiechem i zmusił się do wytrzymania jej otwartego wzroku.

- Jaka pogoda bywa przeważnie na Wyspie Księcia Edwarda? - zapytał i natychmiast zganił siebie w duchu. Stoję tu ze śliczną dziewczyną, pomyślał, a jedyny temat rozmowy, jaki przychodzi mi do głowy, to pogoda. Wstyd! Odetchnął z ulgą, kiedy się zorientował, że ona wcale nie podziela tej opinii.

- Pogoda nie jest zła - odparła. - Trochę jak w Szkocji, tyle że zimą jest o wiele mroźniej. A skoro mowa o pogodzie... czy dobrze znosisz podróże morskie?

- Chodzi ci o to, czy nie choruję? Naprawdę nie wiem, bo jeszcze nigdy nie byłem na Atlantyku. Wczoraj, kiedy płynęliśmy tu z Irlandii, czułem się bardzo dobrze.

- Taki rejs może nie być zbyt przyjemny, ale o tej porze roku pogoda zazwyczaj dopisuje. Wiesz co? Chodźmy stąd - dodała z ożywieniem. - Po co tak marznąć? Możemy się przejść, a ja opowiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć o Wyspie Księcia Edwarda. - Poprowadziła go przez labirynt korytarzy, aż wreszcie znaleźli się na otwartym pokładzie, zatłoczonym pasażerami. Wiał przenikliwy wiatr i Derek mimo woli zadrżał na całym ciele. Karen zauważyła to. - Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą coś cieplejszego prócz tej marynarki. Na północnym Atlantyku bywa piekielnie zimno.

- Mam jeszcze płaszcz.

- To dobrze. A gdzie zostawiłaś brata?

- Jest teraz w kajucie, pewnie śpi. Ostatniej nocy nie spał zbyt wiele.

- Jak on ma na imię?

- John.

- John i Derek... To chyba nie są typowe irlandzkie imiona? W Charlottetown znamy wielu Irlandczyków, ale nazywają się przeważnie Sean, Michael, Patrick...

- Moja matka ma krewnych niedaleko, na północy Irlandii, ale także w Szkocji, podobnie jak cała masa naszych sąsiadów. My obaj otrzymaliśmy imiona po naszych wujach, którzy też tam mieszkają.

- Popatrz, popatrz! A więc jeszcze jedno, co nas łączy! Ale gdzie w Szkocji?

- Nie mam pojęcia, zdaje się, że gdzieś w górach.

- Ach tak! - Uśmiechnęła się i podniosła wzrok na niebo. Wykorzystując okazję, obrzucił ją baczny spojrzeniem. Stała odchylona nieco do tyłu i ta poza jeszcze bar? dziej uwydatniała jej imponujące piersi, sprawiła też, że po dłoniach przeszły mu nagle mrówki. Co teraz? Co jej powiedzieć? Nigdy jeszcze nie czuł się aż tak niezdolny do prowadzenia rozmowy, jak w tej chwili. Na szczęście przyszła mu z pomocą. - Chodźmy! - rzuciła i poprowadziła go z powrotem tą samą drogą, którą przyszli.

Tłum przy nadburciu zgęstniał do tego stopnia, że Karen z trudem znalazła w nim niewielką lukę. Derek wcisnął się tuż obok niej, aby zobaczyć, co się dzieje. W dole dwaj marynarze manipulowali coś przy linach, którymi „Biała Cesarzowa” była przycumowana do nabrzeża. Derek gorączkowo usiłował sformułować w myślach jakąś mądrą uwagę, którą mógłby zaimponować dziewczynie. Widząc, że wciągają właśnie schodnię, oznajmił:

- Chyba zaraz ruszamy - i w tej samej chwili drgnął gwałtownie, przerażony nagłym dźwiękiem syreny.

Karen ujęła go pod rękę.

- Wszystko w porządku, Derek, to nic takiego. Uważaj, zaraz odezwie się jeszcze raz.

I rzeczywiście, syrena zawyła ponownie, jemu zaś serce zabiło mocniej. Żeby tylko ona tego nie poczuła, pomyślał spłoszony.

- Jesteś tu na statku z rodzicami? - zapytał.

- Tylko z matką - odparła. - Tata nie mógł tym razem wybrać się z nami. Interesy.

- Czym się zajmuje twój ojciec? - zapytał. Uświadomił sobie, że kiedy na nią nie patrzy, łatwiej mu mówić. Cumy, uwolnione już, trzymało trzech marynarzy, odgłos silników przybrał na sile.

- Mamy w Charlottetown sklep - odparła Karen. Derek czuł pod stopami narastające dygotanie pokładu.

- Jakiś duży sklep? Czy handlujecie?

- To dom towarowy. Można w nim kupić wszystko. – Ona również obserwowała ruch na nabrzeżu. Syrena zawyła po raz trzeci. — Och, uwielbiam to, uwielbiam! - Karen odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się radośnie. Jej włosy oplótły mu twarz, dostały się do ust; wydało mu się, że czuje smak świeżego pieczywa. - Przepraszam. - Roześmiała się znowu, odgarnęła niesforne kosmyki, po czym wepchnęła je za kołnierz kurtki i zaciągnęła wysoko zamek błyskawiczny.

Ludzie stojący na przystani poczęli machać na pożegnanie, „Biała Cesarzowa” drgnęła, odsunęła się od nabrzeża, tworząc odstęp, który poszerzał się teraz stopniowo, lecz niepowstrzymanie. Derek, oparty o nadburcie, spoglądał na brudną, mieniającą się różnymi odcieniami wodę, pełną śmieci, papierków i kawałków drewna. A więc klamka zapadła, teraz naprawdę nie ma już odwrotu. Poruszony tą myślą, zapomniał nawet na krótką chwilę o stojącej przy nim dziewczynie.

Kiedy jednak zerknął po chwili na jej ładną twarz, przyszło mu do głowy, że ten wyjazd z Irlandii ma w sobie jeden niezaprzeczalny plus: jeśli on i John dojdą dzięki temu do czegoś, może ich czekać jeszcze wiele miłych niespodzianek. Należy tylko postępować rozsądnie.

Oboje stali przy relingu, podczas gdy statek wpływał powoli na wody Mersey, kierując się w stronę dźwigów i statków w stoczni North Gladstone. Liverpool przesunął się w tył, a kiedy zbliżyli się do ujścia rzeki, tworzył za nimi już tylko szary, mglisty zarys. Derek w swoim lekkim ubraniu dygotał z zimna, starał się jednak tego nie okazywać. Karen ulitowała się nad nim.

- Może już stąd pójdziemy? - zaproponowała.

Zeszli niżej, a na pokładzie, gdzie przedtem zamienili pierwsze słowa, Derek ujrzał drzwi z napisem: „Tylko dla pasażerów pierwszej klasy”. Poczł się nieswojo.

- Nie mogę iść dalej - mruknął.

- Nie w tej chwili - odparła tajemniczo. - Ale na mnie już czas, bo mama pomyśli jeszcze, że wypadłam za burtę.

- Tak, oczywiście. - Dałby dużo, aby móc ją teraz zapytać, kiedy spotkają się znowu.

- W porządku! - zawołała. - Zobaczymy się potem.

- Mam nadzieję - odparł z zapałem.

- Możesz być tego pewien. Zwłaszcza że już wiem, gdzie cię szukać. - Otworzyła drzwi i przestąpiła próg. Potem odwróciła się i, przechylając głowę na bok, pożegnała go słowami:

- Podobasz mi się. - Trzask drzwi, które zamknęła za sobą, zdawał się podkreślać

wymowę tego oświadczenia.

* * *

John ulegał narastającej w nim panice. Nie wiedział, gdzie się znajduje, a niepewność i lęk potęgował tajemniczy hałas; jakiś stukot i dudnienie, które rozsadzały mu głowę. Otworzył oczy. Obce pomieszczenie nie pomogło mu się zorientować, co to za miejsce, a hałas wzrastał się coraz bardziej. Wszystko wokół niego zdawało się ruszać i dygotać. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że widzi nad sobą twarz brata; Derek potrząsał nim gwałtownie.

- John, obudź się, wstawaj! Czas na obiad!

Dźwignął się na łokciu.

- Gdzie mama? - Rozejrzał się wokół siebie, zmarszczył brwi. - Gdzie... - Dopiero teraz przypomniał sobie: są na statku, w drodze do Kanady. Czuł, jak ogarnia go rozpacz. - Zostaw mnie, Derek - mruknął. - Chce mi się spać.

- Będziesz potem żałował, jeśli przegapisz obiad. - Derek nadal potrząsał nim z całej siły. - To wspomniały statek, naprawdę, John, wstawaj! Musisz coś zjeść! Możesz poprosić nawet o stek, jeśli chcesz! Stek!

Wzmianka o jedzeniu przyprawiła Johna o mdłości.

- Nie mów mi teraz nic o mięsie! W tej chwili nie zjadłbym nawet jajka. Proszę cię, Derek, daj mi spokój!

- Jeśli masz ochotę, możesz dostać jajka. Co tylko chcesz, wszystko, czego sobie zażyczysz!

John jęknął zrezygnowany. Wiedział, że nie może przeleżeć tu całego rejsu i że w końcu będzie musiał zacząć coś jeść.

- A gdzie tamci? - zapytał, podnosząc się powoli.

- Jacy tamci?

- No, ci z tych dwóch łóżek.

- Nie mam pojęcia - odparł Derek. - Może nie zjawili się w ogóle na przystani, a może na statku nie ma kompletu pasażerów.

John czuł się okropnie, tak jakby dostał od kogoś obuchem po głowie. Był całkowicie wyzuty z sił.

- Wyglądam okropnie w tym ubraniu! - szepnął, patrząc na wymięte spodnie.

- A więc zdejmij je i włóż inne! - Derek zaczynał tracić cierpliwość.

Sala jadalna była wyłożona drewnianą boazerią, na każdym kroku błyszcząły

przedmioty z mosiądzu. Stoliki, z których większość była już zajęta, miały podwyższone krawędzie, tak aby nic z blatu nie mogło się zsunąć na dywan. Obaj bracia stanęli niezdecydowanie w progu, ale niemal natychmiast podszedł do nich steward i zaprowadził ich do stolika w kącie, gdzie były dwa wolne miejsca.

Posiłek przebiegł bez problemów. Starsza para, siedząca obok, starała się wciągnąć ich do rozmowy, oni jednak byli speszeni do tego stopnia, że nic z tego nie wyszło, i już do końca przy stoliku panowało milczenie. John zauważył, że Derek co chwila wraca do menu i wybiera stamtąd, a potem zmiata z talerza jedną potrawę po drugiej: stek, frytki, grzyby, pomidory i wreszcie ogromną porcję tortu czekoladowego.

Po obiedzie przeszli korytarzem do ciężkich metalowych drzwi, a kiedy je otworzyli, znaleźli się na otwartym pokładzie. Przez prostokątne otwory napływało świeże powietrze. John wsunął głowę w jeden z tych otworów, wystawiając twarz pod chłodną bryzę.

- Kiepski ze mnie podróżnik - mruknął po chwili do brata. - Zaraz zwymiotuję!

- Chyba nie teraz! - zawołał Derek.

- Nie, nie tak od razu. Ale jeśli pogoda się pogorszy, to kto wie?

- Jeśli chodzi o pogodę, to może nie będzie tak źle. Poznałem jedną dziewczynę i ona powiedziała, że o tej porze roku pogoda na Atlantyku jest znośna.

- Co to za dziewczyna?

- Nazywa się Karen Lindstrom. I wiesz co? Mieszka na Wyspie Księcia Edwarda, tam dokąd jedziemy.

- Naprawdę? A jak ją poznałeś?

- Chciałbyś wiedzieć, co? A przecież ty też nie byłeś zbyt rozmowny, kiedy pytałem cię o Rose O'Beirne Moffat! - odparł Derek.

- Dobrze już, zapomnij, że cię pytałem. - John oparł się łokciami o reling i spojrzał na wodę, która z jednostajnym szumem obmywała burty statku i zderzała się co chwila z napierającymi białymi grzywami fal. Dzień zapowiadał się początkowo pochmurny, ale od godziny niebo przejaśniało się stopniowo. Chmury sunęły nad nimi w kierunku przeciwnym do kursu, jakim płynął statek; szare u góry, przybierały od spodu złocisty i różowy odcień, w miarę jak słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi.

- Wybacz. - Takie przeprosiny były u Dereka czymś niezwykłym.

- Nie szkodzi. A więc: jak...

- Chyba jej się spodobałem, John, naprawdę. Jest rosłą blondynką, taką obfitą, mówię ci! Wspaniała! - Obie dłonie przyłożył sobie do piersi, imitując w ten sposób duży biust.

- Rozumiem - uśmiechnął się John. - A co jeszcze ci się w niej spodobało?

Derek odwzajemnił uśmiech.

- Według ciebie to mało? Fakt, że jest bardzo miła. Nie musiałem się wcale wysilać, John, ona przejęła całą inicjatywę.

- W takim razie masz szczęście. - John, który nadal wystawiał twarz pod wiatr, zaczął już czuć się lepiej. - Siedziała gdzieś obok nas w czasie obiadu?

- W tym właśnie sęk... - Derek zmarszczył brwi. - Wiesz, ona podróżuje pierwszą klasą, razem z matką.

- W takim razie nie zechce mieć nic wspólnego z takimi jak my - odparł impulsywnie John i natychmiast pożałował tych słów. „To nie dla takich jak my, John”, przypomniał sobie rozmowę z matką. Uprzedzając gniewną reakcję brata, położył mu dłoń na ramieniu. - Przepraszam, Derek, nie to miałem na myśli. Jestem pewien, że ona jest wspaniałą dziewczyną i że wszystko potoczy się tak, jakbyś tego chciał.

Derek zrzucił jego rękę.

- Umówiliście się na potem? - zapytał John, ignorując urażoną minę brata. Przeniósł wzrok na linię horyzontu. Jak słyszał, tak właśnie należy się zachować w razie choroby morskiej: skoncentrować się na najodleglejszym z widocznych punktów.

* * *

„Biała Cesarzowa” szczyliła się tym, że ma zainstalowane stabilizatory, ale w środku nocy Dereka wyrwało ze snu gwałtowne kołysanie statku. Zaspany otworzył oczy i usłyszał, że John wymiotuje w kącie kajuty.

- Wszystko w porządku? - zapytał, kiedy odgłosy ucichły.

- Tak, już lepiej. - Głos Johna był słaby, niepewny. - Śpij, dam sobie radę.

Derek odwrócił się i nakrył po uszy. Teraz, gdy leżał w tym wygodnym, choć pozbawionym okien kokonie, a koja kołysała się niczym hamak, Irlandia wydała mu się czymś tak odległym jak inna planeta. W ciągu paru sekund zapadł w głęboki, mocny sen.

Sytuacja nie zmieniła się ani na jotę, kiedy steward zapukał rano do kajuty, zapraszając na śniadanie. John, nadal nie w formie, zrezygnował nawet z proponowanej mu filiżanki herbaty i Derek udał się do jadalni sam. Wypił sok jabłkowy, którego nie znał do tej pory, a następnie zjadł jajecznicę na bekonie i naleśniki z syropem klonowym. Przełykając ostatni kawałek naleśnika, poczuł się pełen sił i wolny. Przede wszystkim jednak oczekiwał niecierpliwie dalszych wydarzeń. Dziś przewidywał kolejne spotkanie z Karen Lindstrom, nie wątpił ani przez chwilę, że ją zobaczy.

Wymienił pieniądze i udał się na pokład spacerowy, gdzie zapłacił stewardowi

siedemdziesiąt pięć centów i otrzymał za nie leżak oraz koc. Ustawił leżak w miejscu osłoniętym od wiatru przez wysoką nadbudówkę statku i, szczelnie okryty kocem, skierował wzrok w dal. Czuł się wspaniale jak nigdy przedtem, kiedy tak siedział, czekając na Karen, podczas gdy jego poziom adrenaliny wzrastał. Na początku lata, po ostatnim ataku choroby, doktor zapewnił go, że jeśli będzie rozsądny, może pod względem stanu zdrowia nie różnić się już do końca życia od innych ludzi. Wygląda na to, pomyślał teraz Derek, że stary Markey miał rację.

Powiódł wzrokiem po pokładzie. Kilku wytrwałych pasażerów spacerowało dla zdrowia, przeczornie trzymając się blisko relingu, on jednak czuł się tak, jakby był tu sam, a „Cesarzowa” należała wyłącznie do niego, niby jego własny jacht. Wiatr mieszał się z deszczem i Derek otulił się kocem jeszcze szczelniej, aż po uszy. Było mu ciepło i dobrze, w błogim nastroju oddał się marzeniom, w których kochał się namiętnie z Karen Lindstrom.

- Cześć.

- Witaj! - Zerwał się na równe nogi, zapominając o kocu, który zapewne przywodził teraz na myśl egzotyczne arabskie nakrycie głowy.

- Wyglądasz w tym jak jakaś starsza dama! - Karen roześmiała się wesoło, a Derek, zmieszany, ściągnął czym prędzej koc z głowy. - Ale proszę nie wstawać, czcigodna damo, niech pani siedzi. - Położyła mu dłoń na ramieniu i pchnęła go z powrotem na leżak, on zaś ponownie zdał sobie sprawę z jej siły. - Usiądę obok ciebie.

Opadła na deski pokładu, klękając u stóp Dereka, a jego oczy, niczym magnesy, powędrowały w dół, na jej piersi, które zakołysały się wdzięcznie.

- Czy... czy na pewno nie wolisz usiąść na leżaku? - wyjąkał.

- Na pewno. Jest mi tu dobrze. Kiedy szłam do ciebie, spotkałam po drodze całą masę pozieleniałych twarzy. - Niedbałym gestem wskazała za siebie. - A ty? Jak się czujesz w taką pogodę? Nie mdli cię ani trochę?

- Nie. Ale mój brat nie znosi dobrze tego rejsu.

- Biedaczek.

Przez kilka następnych minut Karen starała się znaleźć najodpowiedniejsze przezwiska dla nielicznych pasażerów, przebywających na pokładzie, a Derek nagradzał każde z nich śmiechem.

- Nowożeńcy - szepnęła na widok pary w średnim wieku; mężczyzna maszerował przodem, kobieta podążała za nim, dwa kroki w tyle.

- Tego nie zrozumiałem - przyznał Derek, patrząc za tamtymi.

- Nowożeńcy, no wiesz, Jackie Gleason.

- Co to takiego?

- Nie macie w Irlandii telewizji?

- Nie. To znaczy... tak, mamy, ale tę z Irlandii Północnej - sprostował. - Własnej stacji nie posiadamy. Zresztą niewielu ludzi u nas kupuje telewizory. Tylko ci zamożni.

Wyciągnęła rękę, położyła ją znowu na jego ramieniu.

- Nie powinieneś czuć się skrępowany z tego powodu. Poza tym ja również nie wiedziałabym, kto to Jackie Gleason, gdybym nie spędziła wakacji w Nowej Anglii. Na Wyspie Księcia Edwarda też nie ma telewizji. W ogóle muszę cię ostrzec: nie wiem, czego się tam spodziewasz, ale ta wyspa to straszna dziura. Pełno żołnierzy brytyjskich. Masa lisów, ryb i kościołów. No i ziemniaków. Mam nadzieję, że lubisz ziemniaki?

- Ja też mam taką nadzieję. Będę się nimi zajmował na farmie.

- Biedaczysko - mruknęła ze współczuciem. - A czym będziemy się zajmowali dzisiaj?

- To zależy od tego, co chciałabyś robić. - Mówiąc to, poczuł coś dziwnego: zaszumiało mu jakby w głowie.

- Nie mam pojęcia.

- A ja tak. Na statku pracuje mój przyjaciel. - Wiedział doskonale, że grubo przesadził, nazywając Andy'ego Farrella swoim przyjacielem, ale teraz to nie miało znaczenia. - Poproszę go, aby nas oprowadził, pokazał wszystko.

- Znam tu przecież każdy pokład...

- Ale on może pokazać nam miejsca, w których przedtem nie byłeś. - W jej wzroku dostrzegł powątpiewanie, dodał więc czym prędzej: - Na przykład maszynownię, mostek i...

- Dobrze - zgodziła się. - Ale zanim to zrobi... co byś powiedział na to, żeby zwiedzić pierwszą klasę?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nic z tego. Wszędzie te napisy! Nie wolno mi tam wchodzić!

- Zaufaj mi, Derek. Pójdziemy teraz zwiedzić pierwszą klasę. - Naśladowując wymowę preferowaną w angielskich szkołach publicznych, dodała: - Zagrałabym chętnie w golfa.

Derek roześmiał się wesoło. Zdążył się już odprężyć, w duchu przyznawał, że nigdy jeszcze nie bawił się tak dobrze jak teraz.

- Chcesz powiedzieć, że tu jest też pole golfowe?

- Jasne. I... - uśmiechnęła się tajemniczo - ... nie trzeba się martwić o kije. - Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. - Jak jesteś ubrany?

Rozchylił szeroko poły tweedowego płaszcza.

- Mam na sobie marynarkę i koszulę.

- Hm... - mruknęła. - Bez urazy, Derek, ale musimy postarać się o coś innego. Coś, co charakteryzowałoby cię jako pasażera pierwszej klasy... - Zerwała się nagle na równe nogi. - Poczekaj tu!

Odprowadzał ją - spojrzeniem, kiedy pewnym krokiem szła po rozkołysanym pokładzie i zniknęła za drzwiami. Może powinien pójść do brata, zobaczyć, co z nim? Odegnął od siebie tę myśl. John poradzi sobie bez niego.

Karen wróciła, nim upłynęło pięć minut. W rękę trzymała niebieski blezer.

- Przymierz, proszę. Kupiłam go w Glasgow dla taty, ale powinien być dla ciebie w sam raz.

Zdjął płaszcz i marynarkę, wsunął ręce w rękawy. Blezer, choć leciutki, okazał się bardzo ciepły i w przeciwieństwie do dotychczas noszonych przez Dereka swetrów nie cisnął wokół szyi.

- Jest fantastyczny - przyznał Derek. - Co to za wełna?

- Kaszmirska - wyjaśniła lekkim tonem. - Stań do mnie tyłem, zobaczę jak leży na plecach. - Odwrócił się posłusznie, a ona poleciała natychmiast: - Stań równo, wyprostuj ramiona!

Upokorzony poczuł napływ gniewu.

- Nie mogę! - Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie mogę wyprostować ramion. Jestem kaleką! - Po jej minie zorientował się, że zareagował bardziej agresywnie, niż tego wymagała sytuacja. - Wybacz mi, Karen - szepnął natychmiast. - Przepraszam. Prawdę mówiąc, nie jestem kaleką, ale w szpitalu usunięto mi część płuca i dlatego jedno ramię mam trochę niższe od drugiego.

- Och, mój biedaku! - Zanim jeszcze odgadł jej zamiar, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła go do siebie.

Powoli, niepewnie uniósł ramiona, a potem objął ją ze wszystkich sił. Jej ciało było ciepłe, pachnące, tuląc się do niej, miał wrażenie, jakby obejmował duży, elastyczny materac z poduszką. Zachwycony, poczuł pragnienie, aby zanurzyć głowę między jej obfite piersi.

- Karen? - wyszeptał, ale ona opuściła już ramiona. Nie potrafił rozszyfrować wyrazu jej twarzy, kiedy przyłożyła mu palec do ust.

Stali tak, niemal złączeni, chwiejąc się wraz z pokładem, który na szczęście uspokoił się już trochę.

- Zbliżamy się chyba do Greenock - powiedział Derek. Czuł, jak mocno bije mu serce, z trudem chwytając oddech.

- Chyba tak. - Nachyliła się nieznacznie do przodu. Mało brakuje, pomyślał, a dotknąłbym twarzą jej piersi. - Pójdziemy? - zapytała tak cicho, że jej głos niemal ginął w warkocie silników i poszumie wiatru.

- Czemu nie? - wykrztusił dopiero po chwili.

Ale ona, zamiast ruszyć przodem, nachyliła się jeszcze bardziej. Jej otwarta kurtka musnęła mu pierś. Instynktownie pochwycił ją w ramiona, zanim jednak zdążył ją pocałować, wywinęła się zwinnie jak węgorz.

- Dereku Flynn, opanuj się!

Ponowił próbę, ale tym razem cofnęła się o parę kroków.

- Musisz być cierpliwszy - upomniała go, grożąc palcem. - Mamy mnóstwo czasu i wygląda na to, że cała „Cesarzowa” jest do naszej dyspozycji. - Uśmiechnęła się i przeszła w stronę drzwi. - Idziesz?

Wziął płaszcz i marynarkę, po czym ruszył za nią. Tuż przed wejściem do sektora pierwszej klasy przystanęła i odwróciła się do niego.

- Pamiętaj, najważniejsze to zachowywać się tak, jakbyś przebywał tu całe życie. Na przykład, jeśli idziesz, rób to tak, jakbyś wiedział dokładnie, dokąd się kierujesz. Kiedy spotkamy stewarda albo innego członka załogi, powiedz „dzień dobry” i przechodź dalej bez zatrzymywania się. Musisz sprawiać wrażenie pewnego siebie.

Ale on wcale nie czuł się teraz pewny siebie.

- A co będzie, jak mnie nakryją?

- Wtedy czeka cię ciupa - odparła niedbałym tonem.

- Co takiego?

- Ciupa... więzienie.

- Chyba żartujesz!

- Jasne że żartuję! Dereku Flynn, gdzie twoje poczucie humoru? Albo żądza przygód? Musisz być większym optymistą! Niewykluczone, że kiedyś zostaniesz milionerem, a więc przyzwyczajaj się zawczasu! - Mrugnęła szelmowsko.

- Dobrze, niech i tak będzie.

- Zuch! Jesteś gotów?

Kiwnął głową i tuż za nią przestąpił próg z miną, jakby tu właśnie spędzał większość czasu.

Natychmiast zauważył, że sektor klasy pierwszej jest o wiele bardziej przestronny i przytulny niż pomieszczenia klasy turystycznej. I nie musiał się martwić: tu było niewielu pasażerów i żaden z nich nie zwracał na niego uwagi.

- Dokąd idziemy? - szepnął do Karen, kiedy wchodzili na górę po szerokich, wyłożonych dywanem schodach.

- Mówiłam ci już: zagrać w golfa.

- Ale przecież to jest kajuta! - zawołał zaskoczony, kiedy w końcu przystanęła przed oznaczonymi numerem drzwiami.

- Apartament - sprostowała i otworzyła je. - Pokój mamy przylega do mojego.

Cofnął się o krok.

- Twojej mamy?

- Prawdziwe pole golfowe znajduje się na najwyższym pokładzie, ale tam za bardzo dziś wieje. Nie denerwuj się, Derek, matka gra teraz w brydża. Jest zapalonym graczem. Z pewnością nie wróci aż do lunchu. - Chwyliła go za rękę i wciągnęła głębiej. - Usiądź tu. Chcesz się napić? - Zdjęła kurtkę i cisnęła ją na łóżko. Pod spodem miała na sobie prostą spódnicę, wełnianą, zapinaną od góry do dołu kamizelkę i bluzkę.

- Czego się napijesz?

Usiadł w niedużym, miękkim fotelu, jednym z dwóch, jakie stały po obu stronach stolika na środku kajuty, po czym rozejrzał się dokoła. Pomieszczenie było chyba sześciokrotnie większe od tego, jakie zajmował z Johnem. Na stole dostrzegł spory kosz z owocami, a pod ścianą ozdobną toaletkę. Łóżko - nie jakaś prosta koja, lecz prawdziwe mosiężne łóżko - nakryte było kwiecistą narzutą, harmonizującą z zasłonami na dwóch okienkach. Uchylone drzwi dawały widok na przyległą sypialnię, większą od tej i cieszącą oko doborem barw. Pomiędzy pokojami znajdowała się łazienka.

- Czego się napijesz? - powtórzyła Karen. - Lodówka jest w pokoju mamy. Ona pija przeważnie martini. A ty? Pijesz?

- Jasne - skłamał. - Ale nie martini.

- A co? - zapytała. - Piwo?

- Zgadł. - Miał nadzieję, że to drobne oszustwo nie zostanie odkryte.

Zanim przeszła do drugiego pokoju, zbliżyła się do drzwi wejściowych i przesunęła małą mosiężną zasuwkę.

- Tak będzie lepiej. Nikt nam teraz nie przeszkodzi.

Serce znowu zabiło mu mocniej. Nie odrywał wzroku od Karen nawet na moment. Kiedy nachyliła się, aby otworzyć niewielką lodówkę, spódnica odsłoniła trochę jej obciągnięte pończochami uda, krzepkie jak młode drzewa, i opięła się ciasno na krągłych pośladkach. Poczłł chęć, aby pochwycić je w dłoń.

Karen wyprostowała się, nogą zatrzasnęła drzwiczki, na moment zniknęła mu z oczu,

a potem usłyszał szcęk drugiej zasuwki. Dziewczyna stanęła znowu w progu między pokojami.

- Teraz jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Poczuł, że drży gwałtownie. Aby ukryć zakłopotanie, zerwał się z fotela i podszedł do iluminatora.

- Myślisz, że pogoda się poprawi?

- Co za różnica? Proszę, twoje piwo. Nie przeszkadza ci, jeśli wypijesz z butelki? Nie mam tu kufli.

Pokręcił głową, podszedł do niej i, starając się ukryć drżenie ręki, wziął butelkę.

- *Skål!* - Przechyliła głowę na bok i uniosła swoją butelkę.

- Co takiego?

- *Skål...* tak wznoszą toast Szwedzi.

- Och... *Sláinte*. Tak mówią Irlandczycy, kiedy przepijają do siebie.

- I Szkoci.

- Proszę bardzo.

- Słucham?

- Proszę bardzo. - Nie potrafił wyjaśnić, jaki związek ma to powiedzenie z piwem, ale stykał się z tym wiele razy w Drumbooli; tam wszyscy wznosili toasty w ten sposób. Podniósł butelkę do ust, upił trochę piwa. Płyn był gorzki, ale Derek zmusił się, aby go przełknąć. Ukradkiem obserwował Karen. Najwidoczniej nie miała takich problemów jak on; odrzuciła głowę do tyłu i wypila spory łyk.

- Usiądź, Derek - zachęciła.

Opadł ponownie na fotel, a ona usiadła naprzeciw niego. Czuł się tak, jakby poznawał nową, podniecającą grę i uczył się jej zasad. Odstawił butelkę na stolik drżącą ręką, ale niebawem nagły przechył statku ją przewrócił. Część piwa rozlała się po stoliku, pociekła na podłogę.

- No, no, uważaj! - zawołała Karen żartobliwym tonem. - Nie możemy tu nabałaganić.

Opróżniła swoją butelkę, wstała i przeszła do łazienki, a potem pojawiła się z powrotem, trzymając wielki ręcznik. Wytarła do sucha stolik i podłogę, następnie rzuciła ręcznik w kąt. Jej ręka, zwinna jak wąż, sięgnęła do koszyka z owocami i wyciągnęła drobną mandarynkę. Dziewczyna trzymała ją dwoma palcami.

- To jak, zagramy w golfa?

Milczał. Przypomniały mu się tamte wieczory, kiedy wraz z Johnem oślepiali króliki blaskiem pochodni, a potem je zabijali. Zwierzęta musiały się wtedy czuć tak jak on teraz.

Nie odrywając od niego wzroku, Karen przesunęła koszyk z owocami na bok; lśniąca powierzchnia stolika między nimi była teraz pusta.

- Weź ją. - Podała mu mandarynkę i nachyliła się na krzesło, opierając piersi na stole, tuż przed jego oczami. Odpięła dwa górne guziki bluzki w miejscu, gdzie materiał opinał się najbardziej, oferując widok dwóch imponujących, kremowych półkul i głębokiego rowka, a Derek wpatrywał się w nie zafascynowany, chłonąc wzrokiem piersi, które drgnęły w pewnym momencie, kiedy kolejny przechył zakołysał stolikiem.

Karen uśmiechnęła się. Wetknęła dwa palce w rowek między piersiami i rozsunęła je trochę.

- Możemy teraz pograć w golfa - powiedziała. - Oto dołek.

ROZDZIAŁ 5

Na mostku panowała głęboka, pełna napięcia cisza. „Biała Cesarzowa” miała minąć Belle Isle już ponad godzinę temu, opóźnienie sięgało niemal trzech godzin. Na przepłynięcie od Belle Isle do Father Point, gdzie na pokład brano pilota, aby odbyć bezpiecznie ostatni odcinek trasy do St Lawrence, statek potrzebował zazwyczaj dwóch i pół godzin. Kapitan liczył jednak, że przy tym tempie zajmie to około siedmiu, a na miejsce dotrą nie wcześniej niż następnego dnia po południu.

Ten rejs przebiegał pod złym znakiem. Już pierwszego dnia łódź z Greenock, która miała dostarczyć pocztę, została porwana przez potężną falę i ciśnięta o kadłub „Cesarzowej”. Statek nie odniósł poważniejszych szkód i tylko zielona lina na burcie, pozostałość po farbie, którą była pomalowana łódź, zdradzała, że doszło do jakiejś kolizji, ale przez cztery następne dni, naznaczone sztormem o sile ośmiu stopni, pech nie odstępował „Cesarzowej” nawet na krok.

Na przykład teraz. Widoczność spadła do około dwudziestu jardów, a zapowiedziana przez służby meteorologiczne mgła zmusiła kapitana, który nade wszystko cenił bezpieczeństwo podczas rejsu, do zwolnienia biegu maszyn. Statek płynął odtąd z prędkością zaledwie czterech węzłów, upodabniając się tym samym do zwykłej łodzi wiosłowej. Wystawiono dodatkowe wachty, zamknięto też na wszelki wypadek wodoszczelne grodzie pomiędzy poszczególnymi sektorami statku.

Co jakiś czas odzywała się syrena, ale jej przeciągły dźwięk ginął niemal od razu w gęstej mgle. Potem następowała cisza i znowu zaczynało bacznie nasłuchiwać. Andy Farrell nadstawiał ucha razem z resztą załogi. Jako młody majtek nie pełnił zazwyczaj wachty w tak doborowym towarzystwie, ale w tych warunkach udzielał się każdy, kto mógł.

Nikt ze stojących na mostku nie ufał tak naprawdę w skuteczność niedawno zainstalowanego radaru; nasłuchiowano raczej, czy gdzieś w przodzie nie rozlegnie się syrena innego statku. Kolizje zdarzały się rzadko, ale jednak częściej, niż przypuszczała większość pasażerów przebywających teraz w swoich kajutach lub dobrze oświetlonych salonikach. Doświadczeni marynarze mogliby wymienić z pamięci całą masę statków, które zatoniły w tych niebezpiecznych głębinach. Oprócz „Titanica” były to: „Atlantic”, „Elbę”, „La Bourgogne”, „Republic”, a nawet wspaniała „Queen Mary”, która jako transportowiec zderzyła się podczas wojny z jednym z eskortujących ją krążowników. A przecież wtedy panowały dobre warunki meteorologiczne, nie tak jak dziś, kiedy nikt nie dostrzegłby

drugiego statku, gdyby nawet przepływał w odległości zaledwie pięćdziesięciu jardów.

Andy nie słyszał przed sobą żadnego dźwięku. Nawet wiatr, który zazwyczaj szalał i hałasował gdzieś nad głowami, w masztach i linach, przycichł do monotonnego szumu, podczas gdy „Cesarzowa” sunęła samotnie po uśpionej wodzie, przywodząc na myśl jakąś upiorną zjawę.

Andy zerknął na zegarek. Niedługo zapadnie zmrok, a wtedy sytuacja pogorszy się jeszcze bardziej.

* * *

Derek Flynn był zdania, że ta mgła to cudowny dar niebios. Kapitan statku zapowiedział już przez megafony, że mają opóźnienie ze względu na warunki atmosferyczne - a to oznaczało dla Dereka, że będą mieli z Karen więcej czasu dla siebie.

Już od godziny Derek szukał Andy'ego Farrella. Dziś miał ostatnią szansę, aby spełnić daną Karen obietnicę, iż zaprowadzi ją na mostek kapitański. Chwilami łudził się nadzieją, że dziewczyna zapomni o jego pochopnej propozycji, której teraz gorzko żałował - ona jednak, nie wiedząc czemu, sama wracała do tej sprawy kilkakrotnie, i to z takim zapałem, że Derek uznał wreszcie za sprawę honoru realizację tego, co dobrowolnie zaoferował. Odkąd poznał Andy'ego, widział go tylko raz; siedł właśnie korytarzem, kiedy daleko w przodzie mignęła mu przed oczyma ruda czupryna majtka. Zanim jednak zdążył go zawołać, tamten zniknął znowu za zakrętem.

Od jednego z marynarzy Derek dowiedział się, że Andy jest teraz na mostku, ale jego wachta dobiega już końca. Stał więc, czekając na niego cierpliwie, odwrócony plecami do wody, z kołnierzem postawionym wysoko dla ochrony przed zimną, wilgotną mgłą.

John chorował trzy dni i dopiero gdy sztorm utracił swą furję i siłę, wstał z łóżka, głodny jak wilk. Przez kilka pierwszych godzin Derek nie miał nic przeciw towarzystwu brata. Nastroj nieustającej euforii, w jakim się ostatnio znajdował, czynił z niego człowieka życzliwego i pogodnego. Chętnie oprowadzał Johna po statku, obiecał nawet, że „ta dziewczyna, którą poznał, Karen”, pokaże także jemu sektor pierwszej klasy. Jego wspaniałomyślność jednak ostygła nieco, kiedy przedstawił Karen brata i począł podejrzewać, że lojalność i wierność nie są najmocniejszą stroną dziewczyny.

Prezentacja miała miejsce przed kinem i znamienne było nie to, co Karen powiedziała, lecz jak się przy tym zachowała: szepnęła „O, witaj, John!”, odgarniając przy tym włosy jedną dłonią i ten gest musiał ściągnąć uwagę Johna na jej imponujące piersi. Derek nie potrafił ocenić, czy Karen zrobiła to umyślnie, czy nie, ale obserwował ją potem bacznie

wzrokiem, kiedy ujęła dłoń Johna i potrząsała nią niby niewinnie, ale jednak - tak podszeptała mu uczucie zazdrości - niepotrzebnie przeciągając ten gest.

Derek czekał już tak długo, że zaczął się w pewnej chwili zastanawiać, czy przypadkiem nie przeoczył Andy'ego, ale wreszcie odetchnął z ulgą na widok jego rudej czupryny.

- Andy, Andy! - zawołał. Majtek przystanął zaskoczony.

- Tak? Och, to ty, kolego!

- Posłuchaj, Andy... - Derek zawahał się. - Chciałbym cię o coś poprosić. Poznałem na statku dziewczynę, rozumiesz chyba... a ponieważ chciała obejrzeć statek, obiecałem jej... to znaczy, właściwie nie obiecałem, ale powiedziałem, że znam kogoś z załogi... - Umilkł, szukając odpowiednich słów, odetchnął głęboko. - Rozumiesz, wyświadczyłbyś nam olbrzymią przysługę, gdybyś pomógł nam obejrzeć... to znaczy, gdybyś zorganizował nam obchód po statku.

- Chodzi ci o te pomieszczenia na statku, których pasażerowie normalnie nie widują?

- Tak, coś w tym rodzaju. Na przykład... mostek? - wykrztusił wreszcie Derek.

- To zupełnie niemożliwe - pokręcił głową Andy. - Mógłbym wam najwyżej pokazać takie pomieszczenia jak maszynownia lub warsztaty, ale i tak musiałbym najpierw poprosić o zgodę kapitana lub któregoś z oficerów.

- Dzięki. Będę ci bardzo wdzięczny. - Uzgodnili, że spotkają się po obiedzie.

* * *

John, rozważny jak zwykle, złożył serwetkę.

- Pewnie spotkasz się zaraz z Karen?

- Jasne.

John zawahał się.

- Derek... Posłuchaj, może nie powinienem się wtrącać, ale czy dobrze robisz?

- O co ci chodzi?

- O to, co będzie, kiedy znajdziemy się już na lądzie. Nie chcę, abyś czuł się potem zraniony.

- To moja sprawa.

- Zgadza się, ale boję się nawet pomyśleć....

- Troszcz się o własne sprawy sercowe, dobrze? - Derek odsunął krzesło od stołu, wstał i ruszył do wyjścia.

John pobiegł za nim.

- Nie złość się, przepraszam, jeśli cię uraziłem. Przecież sam przyznałem, że nie powinienem się wtrącać!

Ale Derek, ignorując go, energicznie parł do przodu. Uświadomił sobie z przykrością, że John, jak zwykle, dociera do sedna jego własnych obaw. Nie wątpił, że Karen rzuci go, gdy tylko znajdzie się znowu w towarzystwie swoich bogatych przyjaciół. Jeszcze dwa dni i on przestanie znaczyć cokolwiek w jej oczach. Nawet największy optymista nie potrafiłby dostrzec przyszłości dla związku pomiędzy zamożną dziewczyną z wyższych sfer i jakimś kmiotkiem, zbieraczem kartofli. Ale, oczywiście, na głos wypowiedział to właśnie jego wszechwiedzący brat, nikt inny - i to jeszcze pogarszało wszystko...

John natknął się na niego na schodach, kiedy szedł w stronę kina; tam właśnie Derek umówił się z Karen. Odgłosy wieczoru - jakiś odległy, przytłumiony śmiech, cichy trzask zamykanych drzwi - podkreślała panująca wokoło cisza. I na dodatek te niesamowicie spokojne wody oceanu!

Jeszcze nie przegrałem, pomyślał Derek z jakąś ponurą satysfakcją. Mam przed sobą całą noc, a dzięki mgle może nawet trochę więcej! Odkąd poznał Karen, nie potrafił pogodzić się z myślą, że mógłby ją utracić. Utracić to bujne, pełne krągłości, cudowne ciało. Karen wiedziała - i robiła z tego użytek - w jaki sposób rozbudzić w nim żądzę i doprowadzić go do szału w ciągu trzydziestu sekund. Bez względu na to, czy kochał ją naprawdę, czy nie, był nią odurzony bez reszty. Seksualny apetyt Karen i jej zmysłowość były dla niego objawieniem. Mimo iż nie zdecydowali się jeszcze pójść na całość, Derek w ciągu tych niespełna czterech dni z nią spędzonych dowiedział się o kobietach więcej, niż wydawało mu się to kiedykolwiek możliwe. Na samą myśl o niej i o tym, co razem robili, przechodziły go rozkoszne ciarki.

Zadrzał z zimna. Lepkie macki mgły wpełzły już do opustoszałych korytarzy pod pokładem - opustoszałych, gdyż większość pasażerów delectowała się teraz ciepłem we własnych kajutach i przygotowywała do pożegnalnych imprez na statku.

- Chyba będziesz miał całą salę dla siebie! - zawołał przez ramię do Johna, kiedy zbliżyli się do kina na pokładzie E. Jego pojednawczy ton miał skłonić brata do obejrzenia filmu; w ten sposób byłby pewien, że John nie będzie się kręcił koło niego.

Wejście do kina, wsparte na filarach, było ozdobione z obu stron złoceniami i posągami postaci o nagich brzuchach; Karen wyjaśniła mu przedtem, że są to wschodnie bóstwa.

- Idzie już Karen - odezwał się John, patrząc przez ramię Dereka.

- Cześć! - zawołała wesoło. - Ale mgła! Zauważyliście, jaka niesamowita cisza?

Pod kurtką miała czerwoną suknię, dopasowaną tak mocno, że uwydatniały się pod nią wyraźnie dwie pełne półkule. Na ten widok Derek poczuł znowu przyspieszony puls.

- Cześć! - odpowiedział. - John wybiera się do kina. Ładnie pachniesz.

- Dzięki - odparła obojętnie.

W tej samej chwili Derek dojrzał rudą czuprynę Andy'ego.

- Och, nadchodzi Andy Farrell.

- Kto? - John i Karen odwrócili się równocześnie .

- Andy Farrell, mój znajomy z załogi, opowiadałem wam o nim. To Karen Lindstrom - zaczął prezentację, kiedy majtek stanął przy nich. - A to mój brat John.

Andy podał rękę dziewczynie, ale w tej samej chwili syrena zawyła przeraźliwie, uniemożliwiając na moment prowadzenie rozmowy. Odczekał, aż znowu zalegnie cisza, po czym wyjaśnił:

- Nie widziałem się jeszcze z nikim, kto mógłby wydać zgodę na oprowadzenie was po statku. Chodzi o całą trójkę? - Spojrzał z powątpiewaniem na Johna.

John przeniósł wzrok z niego na brata, spojrzał ponownie na marynarza.

- Nie - odparł. - Możecie iść beze mnie.

- Powiedz mi jeszcze raz, co chcielibyście obejrzeć. Derek nie posiadał się z radości: Andy zachowywał się dokładnie tak, jak on to sobie wymarzył, chcąc zaimponować Karen.

- Wszystko, co tylko można! - zawołał z zapałem. - Nie jesteśmy wybredni, prawda, Karen?

Andy zawahał się.

- Zaraz sprawdzę, czy mógłbym was wprowadzić do maszynowni albo warsztatu, zgoda? Zejdę na dół i zobaczę.

- Wspaniale. - Derek ujął dłoń Karen.

- A ja idę do kina - oświadczył John. - Zobaczymy się później. Miłych wrażeń podczas zwiedzania statku - powiedział do Dereka i Karen. - Miło było cię poznać - zwrócił się do Andy'ego.

- Wzajemnie - odparł Andy. - A wy poczekajcie tu na mnie chwilę.

* * *

Dziesięć mil dalej w kierunku północnym kucharz na statku „Dorothy Lamont”, zatrudniony tam od niedawna, przyrządzał dla załogi kawę. Siedział na małym taborecie w niskiej kuchni, wpatrzony w parujący i bulgoczący płyn w maszynie; jego kapitan lubił kawę czarną jak węgiel.

Statek „Dorothy Lamont”, który płynął z Goose Bay przez St John's do Halifaxu, był stary i skrzypiący, ale wystarczająco mocny, by znieść trudy rejsu. Ponieważ słona woda zanieczyściła zapas wody pitnej, zawinęli do Battle Harbour, ale kiedy już uzupełnili braki w zaopatrzeniu, złapała ich mgła. Kapitan, dla którego czas oznaczał pieniądź i który znał te wody jak własną kieszeń, postanowił mimo to wyruszyć z portu, teraz więc płynęli powoli po otwartym morzu.

Wieźli ładunek drewna i wędzonej ryby, a kucharz, mimo iż przebywał na tym statku dopiero od dwóch dni, już teraz nienawidził tego specyficznego zapachu, który docierał wszędzie, do najdalszego zakamarka; czuło się go dosłownie na każdym kroku. Gotową kawę, gorącą i mocną, kucharz rozlał do dwóch blaszanych kubków, tak czarnych w środku jak ona sama, po czym wyszedł na pokład, pochylony przezornie, aby nie uderzyć głową o framugę niskich drzwi.

Kapitan z zastępcą znajdowali się w sterówce.

- Ale pogoda, co? - mruknął zastępca. Wziął kubek i upił łyk, pociągając jednocześnie za sznurek zawieszony pod sufitem. Rozległ się dziwny dźwięk: coś pośredniego pomiędzy wyciem syreny i gwizdem, a może raczej kwakanie kaczki. - Tuba jest zatkana - skomentował ten odgłos. Nie wyglądało jednak na to, żeby zamierzał podjąć jakieś kroki w tej sprawie. - Na pewno ptak.

- Wyślij kogoś, niech sprawdzi - odezwał się kapitan.

- Mogę najpierw dopić kawę?

- Jasne. - Kapitan wziął swój kubek. Właściwie powinien pierwszy otrzymać kawę, ale jego zastępca stał bliżej drzwi sterówki, a kucharz zdążył się już zorientować, że na „Dorothy Lamont” rzadko przywiązuje się wagę do etykiety. - Dziś lękam się nie tyle innych statków - dodał - bo te usłyszymy pewnie, zanim one usłyszą nas, co raczej gór lodowych. Niecałe dwa dni temu widziałem jedną. Nie była duża, ale zawsze...

- Czy mam zająć się tą syreną, kapitanie? - zapytał kucharz. Był tu nowy, chciał więc okazać się przydatny, nawet w sprawach, które wykraczają poza zakres jego obowiązków.

- Nie - odparł kapitan. - Ale miej oczy otwarte. To dotyczy wszystkich na statku.

Kucharz wyszedł ze sterówki. Zamiast wrócić do swojej dusznej klatki, udał się na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, na dziobie było jednak okropnie zimno i mokro, a gęsta mgła tłumiała terkot silnika tak skutecznie, że w pewnej chwili kucharzowi wydało się, iż siedzi w samolocie mknącym przez chmury.

* * *

Andy przeżywał nie lada rozterkę. Wiedział, że ryzykuje karę dyscyplinarną, a nawet utratę pracy, wprowadzając po kryjomu pasażerów do pomieszczeń służbowych. Z drugiej strony, nie natknął się jeszcze na żadną przyjazną duszę, którą mógłby poprosić o zgodę; jedyną osobą spotkaną podczas poszukiwań był drugi bosman, oschły typ, który nie lubił się zniżać do rozmów z innymi, a już na pewno z młodszymi marynarzami, chyba że po to, aby wydać im rozkazy. Andy pożałował, że w ogóle przystał na prośbę Dereka.

Wyszedł właśnie z głównej sterowni i skierował się do dusznego pomieszczenia, gdzie znajdowało się osiem kotłów parowych statku. Tu zawsze dawała o sobie znać jego klaustrofobia; wolnego miejsca było tyle co nic, a wąskie przejście nie dopuszczało więcej niż jednego człowieka. Zamiast wejść głębiej, stanął w progu i utkwiał wzrok w płomieniu tańczącym za hartowaną szybą najbliższego palnika. Zastanawiał się gorączkowo, co zrobić.

Zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko musi się na to zdobyć: powiedzieć Derekowi i jego dziewczynie, że nie uzyskał zgody. To przecież takie proste. Musi być lojalny wobec pracodawcy, musi szanować reguły panujące na statku, a poza tym... jakież ma zobowiązania wobec tamtej pary? Z pewnością zobaczy ich jutro po raz ostatni. Westchnął ciężko. To nie leżało w jego naturze, obiecać coś i nie dotrzymać słowa.

Na ołowianych nogach wrócił tam, gdzie oboje na niego czekali. Ujrzał ich już z daleka. Derek stał przy oknie, patrząc w dal, a dziewczyna - zapomniał nawet jej imienia - kręciła się przed wejściem do kina. Podniosła na niego wzrok, kiedy podszedł bliżej.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - powiedział - tym bardziej że, niestety, nic z tego nie będzie. Nie miałem kogo poprosić o zgodę, a nie mogę was tam zaprowadzić na własną odpowiedzialność. - Dojrzał na twarzy Dereka rozczarowanie i poczuł wyrzuty sumienia. - Wybacz, stary - szepnął - ale to nieodpowiedni wieczór. Gdybyś poprosił mnie wcześniej...

- W porządku - mruknął Derek. - To nie twoja wina.

- Nawet gdybym uzyskał zgodę - wyjaśniał dalej Andy - mielibyśmy i tak problemy ze zwiedzaniem, bo pozamykali wszystkie grodzie. Musielibyśmy chodzić cały czas po drabinkach, raz w górę, raz w dół.

- Przepraszam cię za to - powiedział Derek do Karen, kiedy Andy pożegnał się z nimi i odszedł do swoich obowiązków.

- Nie szkodzi - machnęła ręką. - Ale nie marnujmy więcej czasu. Co teraz będziemy robić?

Rozmyślał gorączkowo. Przychodziło mu na myśl wiele rzeczy, jakie chciałby robić z Karen, ale przede wszystkim pragnął jej jakoś zaimponować.

- Posłuchaj - zaproponował wreszcie. - Co byś powiedziała na drobną przygodę? Moglibyśmy wybrać się do maszynowni sami.

- Sądziysz, że to się uda?

- Inaczej nie nazywam się Flynn! - zawołał Derek zachwycony, ponieważ zdołał zainteresować ją swoim pomysłem. - Widziałem, skąd wyszedł Andy. I właśnie tamtędy wejdziemy. - Podeszedł do pomieszczenia, które znajdowało się o kilka metrów na lewo od kina.

Od razu pojawił się pierwszy problem: drzwi nie miały klamki.

Usiłował pociągnąć je do siebie, wsunąć palce w szparę biegnącą wzdłuż framugi, ale bez skutku.

- I co teraz? - zapytała Karen, stojąca tuż za nim.

- Jak to: co teraz? Nie sądziysz chyba, że nie potrafię się uporać z takim drobiazgiem jak drzwi? Musi być jakiś sposób!

- Och, dajmy już spokój, Derek, nic z tego nie będzie!

- Poczekaj jeszcze trochę, przynajmniej minutę. - Szybko odprowadził ją korytarzem trochę dalej, kiedy po drugiej stronie drzwi rozległo się ciężkie stapanie. Z intrygującego ich pomieszczenia wyszedł jakiś mężczyzna w kombinezonie, drzwi zatrzasnęły się za nim. Po chwili mężczyzna zniknął w końcu korytarza, a Derek pochwycił Karen za rękę. - Mam! - zawołał.

- Co?

- Pamiętasz, jak Andy mówił o tych drabinach, po których musielibyśmy się wspinać, bo zamknęli na statku wszystkie grodzie? Na pewno przez te drzwi będą wychodzić jeszcze inni ludzie. Musimy po prostu poczekać na następnego.

- I co potem?

- Potem musimy się pośpieszyć. Zajmę się tym. Pokaż, co masz w torebce. - Przejrzał dokładnie zawartość torebki. - Wspaniale, to wystarczy - mruknął po chwili. Wyjął małą skórzaną portmonetkę i metalowy grzebyk, po czym wyjaśnił jej swój plan.

Parę najbliższych minut spędzili przy drzwiach, udając pogrążonych w pasjonującej rozmowie. Derek odnosił wrażenie, że teraz mógłby osiągnąć wszystko, co chce, czuł się podniecony tą świadomością, ale również bliskością Karen. W pewnym momencie odważył się na pocałunek, czego nigdy nie robił w miejscu publicznym, ona jednak, chociaż w pierwszej chwili nie sprzeciwiła się temu, odepchnęła go. Udzieliła jej się już jego żądza przygody i wołała czuwanie przy drzwiach.

Ich cierpliwość została nagrodzona: drzwi otworzyły się niebawem, pojawiła się

głowa mężczyzny. Przytrzymując drzwi jedną ręką, aby nie zatrzasnęły się z powrotem, mężczyzna gramolił się na zewnątrz.

- Pomogę panu! - zawołała Karen. Podbiegła bliżej i chwyciła krawędź drzwi.

- Dziękuję - odparł tamten zaskoczony i najwyraźniej zaintrygowany widokiem atrakcyjnej dziewczyny, która stała tuż obok, nie spuszczać z niego wzroku.

- Co jest za tymi drzwiami, proszę pana? - zapytała niewinnym głosem.

Odwrócił się i spojrzał za siebie.

- Pomieszczenie dla załogi, panienko - wyjaśnił. - Pasażerom nie wolno tam wchodzić.

Derek postąpił do przodu, udając, że chce rzucić okiem w głąb.

- Mogę zajrzeć? - spytał i, zanim tamten zdążył się odwrócić, opuścił na podłogę portmonetkę, po czym pchnął ją lekko nogą, przesuwając bliżej framugi drzwi.

Mężczyzna patrzył już znowu na Karen.

- Do widzenia, panienko! - zawołał za nią, kiedy ruszyła w stronę wejścia do kina. Puścił drzwi i poszedł w drugą stronę.

Karen, która ukryła się między dwoma brzuchatymi bożkami, wyszła z powrotem na korytarz.

- Poszedł już? - zapytała.

- Tak - odparł Derek, patrząc na podłogę. Tak jak się tego spodziewał, portmonetka leżała teraz tuż przy framudze, nie dopuszczając do zamknięcia drzwi. - Świetnie - mruknął i rozejrzał się dokoła. Poza nimi na korytarzu nie było nikogo.

Wsunął koniec grzebienia w szczelinę obok portmonetki, chwycił portmonetkę drugą ręką i zaczął przesuwając jedno z drugim w górę. Po chwili drzwi drgnęły nieznacznie, a Karen złapała je natychmiast.

- Doskonale - szepnął Derek. - Trzymaj je oburącz. - Nadal przesuwał grzebień prawą ręką, ciągnąc drzwi lewą. Wspólnymi siłami zdołali uchylić je o parę centymetrów, a wtedy Derek czym prędzej wetknął stopę w powstałą szparę.

- A jeśli ktoś z załogi zechce teraz tędy wyjść? - wyszeptała Karen.

- Na tym właśnie polega ryzyko. Chodźmy, to tylko kwestia chwili. Zejdziemy na dół i wejdziemy z powrotem. Będziemy potem mieli co opowiadać naszym wnukom!

Ostrożnie otworzyli drzwi i zajrzeli do środka. Natychmiast poczuli na twarzach silny podmuch ciepłego powietrza. Zamiast podłogi, zionęła przed nimi czarna otchłań prostokątnego szybu, głębokiego na trzy pokłady. W dół wiodła stalowa drabina, przymocowana do jednej ze ścian otworu.

- Chodźmy - zachęcił Derek. - Nikogo tu nie ma.

* * *

John coraz niespokojniej wiercił się na swoim krześle w kinie. Nie potrafił się skupić na akcji „Afrykańskiej królowej”; nie tylko dlatego, że spóźnił się na początek filmu, ale również z tego powodu, że cały czas absorbowały go inne myśli. Siedział w swoim rzędzie sam, tak więc nie musiał się obawiać, iż wychodząc, przeszkodzi sąsiadom. Po chwili opuścił salę kinową, ale gdy znalazł się na pokładzie, uświadomił sobie, że nie wie, czym ma się teraz zająć. Nie miał ochoty na udział w imprezach organizowanych na zakończenie rejsu.

Statek nadal sunął po spokojnej wodzie; jedynym przejawem ruchu wydawała się ledwie wyczuwalna wibracja pod stopami. John podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz. Mgła była gęsta jak przedtem, może nawet bardziej nieprzenikniona, gdyż zapadał już zmrok.

Ciekawe, co Derek, Karen i ich znajomy marynarz porabiają w maszynowni, pomyślał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien ich odszukać. Samotność doskwierała mu coraz bardziej. Raz po raz napływało wspomnienie twarzy Rose, jej łagodnego głosu i ciepłego ciała. Napisał już do niej pięć listów, długich i czułych, wyrażających ból, tęsknotę i miłość - i chociaż wiedział, że nie wyśle żadnego z nich, zamierzał po powrocie do kajuty zasiąść do kolejnego bezużytecznego listu.

Zdawał sobie sprawę, że Derek unika teraz jego towarzystwa ze względu na obecność Karen. Ale może uda mu się namówić ich na wspólny wypad do barku, na przykład, żeby się razem napić, zanim Karen i jego brat zaszyją się gdzieś sami na resztę wieczoru?

Czyjekolwiek towarzystwo, nawet gdyby miało być wymuszone, będzie lepsze od tej beznadziejnej pustki, pomyślał. A zresztą dlaczego nie miałyby spróbować? Nie ma przecież nic do stracenia. Zaczął schodzić na dół, przekonany, że tam ich spotka, kiedy wyjdą z maszynowni.

* * *

Derek pomógł Karen wejść na drabinę, kiedy jednak sam stanął na górnym szczeblu i znalazł się wewnątrz czegoś, co okazało się czworokątnym kominem, poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Karen natomiast schodziła już na dół, jakby nigdy nic. Musiał więc udowodnić, że nie jest gorszy od niej; pokonać swój lęk, zapomnieć o nim. Wstrzymując oddech, zebrał się w sobie i podążył za dziewczyną.

Poruszał się powoli, ostrożnie stawiając nogi na kolejnych szczeblach. Z każdym krokiem czuł coraz wyraźniej zapach ropy naftowej, zmieszany z wonią rozgrzanego metalu. Kiedy wreszcie dotarł do końca pierwszej drabiny, ujrzał po prawej stronie drzwi, a po lewej

jeszcze jeden szyb, nieco krótszy od pierwszego. Karen stała już na jego dnie i z wyczekującą miną spoglądała w górę.

Na szczęście drugi szyb był dość szeroki, co ułatwiało schodzenie. Kiedy jednak Derek zeskoczył z ostatniego szczebla na metalową kratę podłogi, odniósł wrażenie, jakby znalazł się na tafli lodowej. Z trudem utrzymał równowagę.

- Uważaj! - szepnęła Karen. - Tu jest bardzo ślisko.

Rozejrzał się dokoła. Stali w czworokątnej wnęce. Z prawej strony otwierał się przed nimi widok na obszerne pomieszczenie, wypełnione dużym urządzeniem o tajemniczych i skomplikowanych kształtach, po lewej stronie ujrzeli drzwi.

Derek uchylił je lekko i zajrzał do środki.

- Wchodzimy - zdecydował i wszedł pierwszy. Karen szła za nim krok w krok.

Niemal natychmiast zamarli w bezruchu, a Derek odniósł nagle wrażenie, że jest jednym z lilipitów z „Podróży Guliwera”. Hala wysoka mniej więcej na sześć metrów mieściła w swym wnętrzu hałaśliwe maszyny, podobne do straszliwych potworów, oplecione siecią rur z zegarami i kurkami, których część okrywało coś w rodzaju srebrzystego, lśniącego papieru. Podłoga, ściany i sufit były utrzymane w szarym kolorze, podobnie jak wszystkie urządzenia - oprócz niektórych rur, pomalowanych na czerwono i żółto. W powietrzu, rozgrzanym i parnym rozbrzmiewały piski, świst zmieszany ze szczęką i rytmiczny łoskot, a wszystko to tworzyło tak ogłuszającą kakofonię dźwięków, że z całą pewnością nikt nie byłby w stanie usłyszeć, że wszedł tu ktoś obcy.

- Boże! - szepnęła Karen. - To fantastyczne!

- Tak, fantastyczne - odparł Derek. W głębi duszy teraz, w obliczu tej tajemniczej, nieznanej mu potęgi, zaczął odczuwać lęk. Nie zamierzał jednak okazywać Karen swojej słabości. Zdecydowanym ruchem ujął ją po ramieniu.

* * *

Kucharz, stojąc na dziobie „Dorothy Lanont”, wdychał z lubością rześkie powietrze, które chłodziły jego kark falą wilgoci. Po całym dniu spędzonym w dusznej kuchni było mu to potrzebne. Dopiero tutaj człowiek wie, że żyje, pomyślał stawiając kołnierz kurtki. Wystawił głowę za reling w tej samej chwili, gdy syrena łodzi wydała ponownie swój kaczycy głos. Zaskoczony wzdrygnął się, ale potem, rozbawiony własną głupotą, skierował ponownie wzrok na szumiącą w dole wodę. Mgła kłębiła się niemal tuż nad jej powierzchnią, pozostawiając zaledwie kilkunastocentymetrowy pas wolnej przestrzeni, a dziób łodzi zdawał się niczym ostry nóż wrzynać w te gęste, mlecznobiałe opary.

Nieoczekiwanie rozległ się ostry odgłos syreny mgłowej, tak donośny i bliski, że kucharz omal nie stracił równowagi. Był przerażony i zdezorientowany. Zastanawiał się gorączkowo, z której strony dobiega ryk.

- Kapitanie, kapitanie! - zawołał, śpiesząc w stronę sterówki.

Na pokład wybiegali inni członkowie załogi, z dołu odezwał się dzwonek; sygnał dla mechanika, aby zwolnił tempo. Kucharz dotarł do sterówki, w chwili gdy kapitan krzyczał do swego zastępcy, aby wreszcie „oczyścić syrenę”, a odgłos silnika ucichł, przechodząc w cichy, przerywany pomruk.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem statek, po dostrzeżeniu drugiego, powinien, wchodząc we mgłę, płynąć dotychczasowym kursem, a z tamtym utrzymywać wzajemny kontakt za pomocą długich, pojedynczych sygnałów dźwiękowych. Ewentualną zmianę kursu należy również zasygnalizować za pomocą syreny. Nie mając radaru ani pojęcia, gdzie i w jakiej odległości znajduje się drugi statek, kapitan „Dorothy Lamont” postanowił zdać się na własne, niemałe doświadczenie oraz instynkt. Podjął decyzję.

- Myślę, że jest na sterburcie - mruknął i poruszył kołem sterowym. Jak przypuszczał, tamten statek znajdował się przed nimi, „Dorothy” miała natomiast dokonać skrętu o czterdzieści pięć stopni w stronę otwartego oceanu i wyminąć nieznaną jednostkę ze sporym luzem. Właściwie było to wbrew przepisom: statki na wodzie powinny się mijać burtami.

Kucharz opanował już początkowy lęk. Przyszło mu do głowy, że będzie bardziej użyteczny, pomagając innym w prowadzeniu nasłuchu. Czym prędzej wycofał się spod sterówki i wrócił na pokład, mijając część ładunku drewna, umocowanego łańcuchami wzdłuż relingu. Kiedy przeszedł na dziób, stanął przy stosie drewna, oparł się oń plecami i zapalił papierosa. Drobny płomyk utworzył na chwilę słabą poświatę w mroczniejącej mgłę.

Syrena drugiego statku rozdarła ciszę ponownie, tak blisko, jakby znajdowała się tuż - tuż. Jej dźwięk przebrzmiał po chwili, ale kucharz, wyęzając słuch z całych sił, odniósł wrażenie, jakby dobiegł go jeszcze odgłos silników. Tego już było za wiele. Nie mogąc znieść straszliwego napięcia, zadrzał na całym ciele.

W następnej chwili syrena na „Dorothy Lamont”, doprowadzona wreszcie do porządku, wydała trzy długie sygnały ostrzegawcze, a parę sekund później odezwał się przeciągły ryk z drugiego statku.

Kucharz odetchnął z ulgą. A więc obie załogi wiedzą już o sobie. Panują nad sytuacją.

* * *

Na bocianim gnieździe „Białej Cesarzowej” młody marynarz pełniący wachtę chuchał

sobie w dłonie, które mimo rękawic na podwójnej wełnianej podszewce zaczęły już drętwieć z zimna. W pewnej chwili panującą wokół niego ciszę przerwały trzy przerażająco bliskie gwizdy syreny. Natychmiast uderzył trzykrotnie w swój dzwon, przesunął dźwignię na tarczy mieszczącej się w zasięgu ręki w stronę, skąd według niego dobiegł sygnał, po czym podniósł słuchawkę telefonu.

- Słyszałem - odezwał się w niej spokojny głos z mostku. - Czy widzisz tam coś?

Marynarz wyteżył wzrok, ale nie dostrzegł nic poza nieprzeniknioną szarością ciemniejącej błyskawicznie mgły.

- Nie, *sir*. Niestety, nic nie widać.

- Twoim zdaniem, mamy go na sterburcie, na północnym północnym zachodzie? - zapytał pierwszy oficer.

- Tak, *sir*, - Marynarz odczekał chwilę i dopiero kiedy ucichł przenikliwy dźwięk syreny ich statku, dodał: - Jestem tego pewien, *sir*.

- Trzymaj oczy otwarte, zwalniamy teraz i zmieniamy kurs na burtę.

- Tak jest, *sir*.

Ponownie podniósł lornetkę, ale jej szkła zdawały się pokryte szarym, grubym papierem.

* * *

Dokładnie w tym samym momencie kucharz na dziobie „Dorothy Lamont” oraz marynarz na bocianim gnieździe „Białej Cesarzowej” dostrzegli tuż przed sobą sylwetkę statku. Kucharz krzyknął ostrzegawczo na widok rozświetlonej, wysokiej niczym trzypiętrowy gmach burty, która przesuwała się w odległości zaledwie kilku metrów od dziobu łodzi, na pokładzie „Cesarzowej” natomiast trzymający wachtę marynarz uruchomił dzwon alarmowy i jednocześnie wykrzykiwał coś rozpaczliwie w słuchawkę do pierwszego oficera. Obaj kapitanowie odruchowo skrzyżowali stery i polecieli wyłączyć maszyny, ale było już za późno. Rozrywając nity i stalowe płyty, „Dorothy Lamont” wbiła się całym impetem w rufę statku.

* * *

Łoskot, jaki nastąpił natychmiast po nagłym szarpnięciu, zginął częściowo w hałasie maszynowni, ale ściągnął uwagę dyżurnego mechanika, który odwrócił się, szukając wzrokiem źródła tajemniczego odgłosu w tej samej chwili, kiedy ściana pomieszczenia pękła pod naporem dziobu „Dorothy Lamont”, mknącego prosto w jego stronę. Czas jakby zamarł w umyśle mechanika, sparaliżowanego trwogą, najbliższa sekunda wydała mu się

wiecznością. Dziób obcego statku, czarny i złowieszczy, unoszony przez potężną falę wody, powiększał się i zbliżał z każdą chwilą, mknął ku niemu nieubłaganie, coraz potężniejszy, szerszy i grubszy. Mechanik odruchowo rzucił się do ucieczki, ale nagle pośliznął się i upadł.

Nie dając za wygraną, przeturlał się na bok, ale kil statku pochwycił go już i ciągnął ze sobą, dopóki nie napotkał na swej drodze stalowego szkieletu burty, który wygiął się ryzykownie, lecz nie ustąpił. Mechanik prawie nie czuł bólu, kiedy umierał z przebitymi przez popękane żebra płucami i sercem.

* * *

Karen pochwyciła Dereka za ramię.

- Boże! Co się dzieje? - Ściany maszynowni wokół nich trzeszczały i zdawały się ruszać. Usłyszeli czyjś przeraźliwy krzyk, podłoga pod ich stopami zadygotała, jakby statek nadział się na podwodne skały.

Tuż przed nimi, w odległości najwyżej trzech metrów, oderwała się obejma rury i ta, pozbawiona podpory, wygięła się, a potem z donośnym trzaskiem, przypominającym huk eksplozji, pękła na pół. Karen pisnęła ze strachu, kiedy z wylotu rury wytrysnął cienki strumień oleju, zalewając płaski wierzch jednego z pobliskich generatorów. Olej zajął się natychmiast ogniem, sinoniebieskie płomienie rozprzestrzeniły się w ciągu ułamka sekundy po korpusie maszyny, wydzielając ostrą, gryzącą woń i czarny dym, który zasnuł błyskawicznie całe pomieszczenie.

- Derek, Derek! - Nie przestając krzyczeć, Karen odskoczyła od maszyny, ale chłopiec patrzył gdzie indziej: od strony drzwi toczyła się ku nim niewielka, wysoka na trzydzieści centymetrów fala wody.

* * *

John stał właśnie przed drzwiami z napisem: „Wstęp tylko dla członków załogi”, kiedy cały statek zadygotał gwałtownie. Na krótki moment zaległa cisza, a potem w powietrzu rozległy się dzwonki alarmowe i podniesione głosy.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, na zewnątrz wybiegł steward i popędził gdzieś, ignorując całkowicie obecność pasażera. John odruchowo pochwycił zamykające się z powrotem drzwi i wśliznął się do środka. Na lewo dostrzegł dwa duże, ponad metrowej wysokości kosze na kółkach i natychmiast, aby zyskać czas do namysłu, skrył się między nimi.

Najwidoczniej znalazł się w sektorze przeznaczonym dla załogi. Na korytarzu, gdzie siedział teraz skulony, rozbrzmiewał dźwięk sygnału alarmowego, słychać było trzask

otwieranych i zamykanych drzwi. Skulił się jeszcze bardziej, kiedy w pobliżu rozległ się tupot nóg. Tuż obok przemknęło kilku marynarzy, ubierając się w biegu. John odczekał chwilę, po czym ruszył pędem za nimi. Nie miał pojęcia po co, ale niebawem poczuł swąd. Pożar! Statek płonął!

Odniosł nagle wrażenie, jakby się dusił. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, gdyż tu powietrze było całkiem znośne, a jednak z trudem chwycił oddech.

Ach tak, chodzi o Dereka! To Derekowi grozi niebezpieczeństwo!

John uświadomił sobie, że jest przy końcu ślepej uliczki; dalszą drogę zagrażały drzwi bez klamki. Zapach dymu narastał. John począł gorączkowo szukać jakiejś szpary w futrynie, aby zaczepić o drzwi choćby paznokciem i pociągnąć je ku sobie, ale na próżno. Ogarnęła go panika. Zabębnił pięściami w drzwi, krzycząc przy tym co sił w płucach, ale to tylko potęgowało zgiełk panujący na statku.

* * *

Widząc, że za chwilę dojdzie do kolizji, kucharz z „Dorothy Lamont” odwrócił się, aby przebiec na rufę, ale kiedy dziób statku wbił się w burtę „Białej Cesarzowej”, bale drewna przewożone na pokładzie i powiązane łańcuchami uwolniły się wskutek zderzenia i potoczyły na środek, grzebiąc pod sobą przypadkową ofiarę. Kucharz poczuł ostry ból, który przeszył mu żebra i pierś. Duszę się, pomyślał. Ale gorszy od bólu był hałas, straszliwy odgłos rozdzieranego metalu, łoskot, który go ogłuszał i budził lęk, że już nigdy nie powróci cisza.

* * *

Na mostku pierwszy oficer spojrzał pytająca na kapitana.

- Czy zwołać pasażerów?

- Jeszcze nie - odparł kapitan. - Co z raportem o wyrządzonych uszkodkach?

- Za chwilę będzie gotowy, *sir*. - W tym momencie pierwszy oficer poczuł dym i odwrócił się, aby rzucić okiem na skrzynkę z rurkami. System przeciwpożarowy na „Białej Cesarzowej” nie należał do najnowszych ani najnowocześniejszych. Składał się z drewnianej, zainstalowanej na mostku obudowy, do której dochodziły otwarte zakończenia rurek biegnących z poszczególnych wodoszczelnych pomieszczeń statku. Z tej, która brała swój początek w maszynowni, ulatniały się teraz coraz gęstsze kłęby dymu.

- Pożar w maszynowni, *sir* - zameldował pierwszy oficer kapitanowi, który łączył się telefonicznie z głównym mechanikiem.

- Dziękuję - odparł. - Mechanik już wie. Proszę wezwać załogę.

Podczas gdy pierwszy oficer sięgał po słuchawkę telefoniczną, kapitan przesuwał odpowiednie dźwignie, aby zamknąć dopływ powietrza do maszynowni. Pierwszy oficer odłożył słuchawkę.

- Tamten statek jest w śródookręciu, *sir* - poinformował.

- Rozumiem - mruknął kapitan. - Może gdybyśmy go jakoś stamtąd usunęli, woda sama ugasiłaby ogień. Jakie straty?

- Komory trzecia i czwarta stracone, *sir*. Pozostałe, jak na razie, trzymają się jakoś.

- Rozumiem - powtórzył kapitan.

- Czy zebrać teraz pasażerów, *sir*? - Pierwszy oficer podniósł słuchawkę telefoniczną i spojrzał na kapitana wyczekująco.

- Tak, to chyba dobry pomysł. Należy być przezornym. Ale żadnego alarmu.

- Tak jest, *sir*. - Nawet gdyby w wyniku kolizji została uszkodzona jedna z wodoszczelnych grodzi, „Biała Cesarzowa” była w stanie płynąć dalej. W zależności od miejsca przecieku, statek mógłby utrzymać się na powierzchni również z kilkoma zalanymi komorami. Miał mocną, bezpieczną konstrukcję.

Tak, to prawda, pomyślał pierwszy oficer, przekazując rozkazy bosmanowi i radiooperatorowi. Ale mocny i bezpieczny był również „Titanic”...

* * *

Światło w pomieszczeniu zamigotało i zgasło. Poprzez kłęby gęstego dymu przebijały coraz wyraźniej żółte i niebieskie języki ognia, na które Derek i Karen, zanosząc się uporczywym kaszlem, patrzyli z trwogą.

- Na górę... na górę... - wykrztusił Derek. Chwycił dziewczynę za rękę i usiłował pociągnąć ją w stronę, gdzie spodziewał się znaleźć drabinę. Ale Karen nie odpowiadała, a jej ręka opadła bezwładnie. Uświadomił sobie, że jest zbyt słaby, żeby wyciągnąć ją stąd. Puścił dziewczynę i w tej samej chwili nogi ugięły mu się w kolanach. Parokrotnie rozpaczliwie nabierał powietrza w płuca, co wywoływało w nim paroksyzm bólu, dopóki nie osunął się na podłogę, a raczej na nieruchome ciało Karen.

* * *

Dwa pokłady wyżej John uparcie walił pięściami w drzwi. O kilka metrów dalej rozwarły się nagle inne drzwi, przez które wpadło dwóch mężczyzn. Otaczały ich kłęby dymu, oni zaś taszczyli coś dużego, nieruchomego i najwyraźniej ciężkiego. Nawet z tej odległości John dojrzał, że to człowiek. Przerazenie ścisnęło mu gardło, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Puścił się pędem w stronę grupki marynarzy, a kiedy do nich dobiegł, ujrzał, że

kładą na podłogę martwe ciało mechanika.

Drzwi za nimi były nadal otwarte. John precyzyjnie się na zewnątrz i stawiał już nogę na drabinie, kiedy jeden z marynarzy chwycił go za rękę i ściągnął z powrotem.

- Nie możesz tam zejść, synu. Pasażerom wstęp wzbroniony.

John nie protestował. Cofnął się, kątem oka dostrzegł, że otwierają się inne drzwi, przez które bucha dym. Pobiegnął w tamtą stronę, dotarł do drzwi w momencie, kiedy drugi z owych mężczyzn zeskoczył z drabiny, i - zanim jeszcze ktokolwiek zdołał go powstrzymać, zarzucił sobie na głowę brudny ręcznik leżący na podłodze, zaczerpnął głęboko tchu, wszedł na drabinę i począł schodzić na dół.

* * *

Na mostku kapitan wysłuchiwał kolejnych relacji. Wiedział już, że załoga ma trudności z dotarciem do pożaru; z jednej strony dojście uniemożliwiały wodoszczelne grodzie, z drugiej zaś dziób drugiego statku. Zejście po drabinach ewakuacyjnych utrudniały natomiast ciężkie aparaty tlenowe, które marynarze musieli założyć.

Kapitan zastanawiał się gorączkowo nad wyjściem z sytuacji. Mógł ewakuować wszystkich z zagrożonej części statku i pozwolić, aby napełniła się tlenkiem węgla, ale zapewne nic by z tego nie wyszło, gdyż po kolizji w ścianach potworzyły się szczeliny. Mógł też poprosić kapitana drugiego statku, z którym utrzymywał łączność telefoniczną, aby spróbował popłynąć wstecz. W ten sposób woda zalałaby całą komorę. Wiedział, że wcześniej czy później dojdzie do tego, ale czy jednak nie powinien poczekać na zjawienie się innych statków i pomoc z ich strony?

Nie, należy jak najszybciej uczynić coś, aby zdławić pożar. I wreszcie podjął decyzję. Musi zaufać konstrukcji statku. Poprosił pierwszego oficera, aby przekazał jego rozkaz: załoga ma opuścić komory dziewiątą i dziesiątą. Następnie połączył się z kapitanem „Dorothy Lamont” i poprosił go, aby przygotował statek do popłynięcia wstecz.

* * *

Zejście po drabinie na dół zajęło Johnowi niecałe dwadzieścia sekund. Z góry ktoś krzychał coś do niego, on jednak nie zwracał na to uwagi. Stał już na podłodze zalanej wodą, wyciągnął ręce, w ciemności wyczuł ścianę po prawej stronie, a po lewej dojrzał płomień. Do przodu mógł przesunąć się tylko tamtędy. Wahał się przez ułamek sekundy, a potem, z nisko opuszczoną głową i mokrym ręcznikiem przyciśniętym do ust, ruszył na lewo. Na oczach czuł wzmagający się żar i chociaż mógł jeszcze oddychać, miał wrażenie, jakby ktoś ścisnął mu piersi w imadle. W pewnej chwili potknął się o coś dużego i miękkiego. Z trwogą,

ale zarazem ulgą zorientował się po dotyku, że ma przed sobą ciała brata i Karen. Uświadomił też sobie natychmiast, że sam nie zdoła wciągnąć ich na górę.

Po omacku cofnął się do drabiny, starając się iść jak najprędzej. W ciemnościach nadepnął na coś i upadł, ból przeszył mu policzek i ucho. Nie tracąc czasu, zerwał się na nogi i parę sekund później odnalazł drabinę. Wchodząc na górę wyczuł dłonią czyjaś nogę; widocznie jeden z marynarzy schodził po niego. Twardy but nadepnął mu na rękę, John omal nie spadł na dół, utrzymał się jednak ostatkiem sił. W płucach narastał ból, tak jakby miały pęknąć lada moment. Nagle ktoś ujął go pod ramiona i podciągnął do góry, na świeże powietrze. Bezwładnie opadł na pokład, kaszłąc i krztusząc się. Oddychał chciwie, a gdy tylko odzyskał głos, zawołał, że na dole leżą jego brat i jedna z pasażerek. Nie wiedział już, co stało się potem, gdyż natychmiast stracił przytomność.

* * *

Kucharz usłyszał terkot silników pod pokładem, a kiedy poczuł, że „Dorothy Lamont” drgnęła lekko, domyślił się, że kapitan próbuje wycofać ją ze śródokręcia drugiego statku. Przeszył go lęk: najdrobniejszy ruch mógł sprawić, że drewno, pod którym leżał uwięziony, przygniecie go bardziej. A wtedy byłoby po nim. Ból w klatce piersiowej stał się nie do zniesienia, kiedy resztkami sił krzyknął: - „Ra - tun - kuu!” Ale nawet w jego uszach ten okrzyk zabrzmiał zbyt słabo, aby można go było usłyszeć w ogólnym harmiderze i zgiełku. Dał za wygraną. Może przynajmniej straci przytomność. Wtedy nie czułby bólu...

I nagle zdarzył się cud. Junga pokładowy, który tkwił jak sparaliżowany przy relingu, biały na twarzy, odniósł wrażenie, jakby usłyszał coś, może czyjś głos, spod stosu drewna na pokładzie. Natychmiast powiadomił o tym przechodzącego obok marynarza, a ten przekazał informację do sterówki. Kapitan wydał polecenie, aby zatrzymać maszyny, skontaktował się z kapitanem „Białej Cesarzowej” i oznajmił mu, że wstrzymuje operację wycofywania statku.

* * *

Niemal w tym samym czasie, kiedy przez powiększony otwór w kadłubie „Białej Cesarzowej” woda zaczęła wdzierać się do wnętrza szerszym strumieniem, bosman powiadomił kapitana, że podjęto próbę akcji ratunkowej w maszynowni. Czterech z jego ludzi, wyposażonych w aparaty tlenowe, zdołało zejść po drabinie na dół, aby wyciągnąć stamtąd dwoje pasażerów. Czekając na wynik akcji, bosman obliczał w duchu czas, jaki upłynął od momentu kolizji, i doszedł do przekonania, że minęło nie więcej niż trzy i pół minuty. Jakie szanse na przetrwanie w tym dymie i ogniu mają ci dwoje? Nie potrafił sobie na to odpowiedzieć, ale nie był zbyt optymistą.

Korytarz pozbawiony okien, skąd dowodził akcją, był ciemny od dymu. Z dołu nie dobiegały żadne głosy. Bosman polecił wynieść w ustronne miejsce ciało zabitego mecha- nika. Jeden z marynarzy pobiegł po prześcieradło, inni przesunęli na bok Johna; miał leżeć i czekać na lekarza.

Po niecałej minucie, która wydawała się wiecznością, z szybu wyłoniła się głowa jednego z marynarzy; na ramionach dźwigał młodego chłopca. Bosman pomógł swoim lu- dziom przejąć uratowanego i położyć go ostrożnie na pokładzie. Włosy i ubranie chłopca były czarne od sadzy, ale lekarz, który właśnie przybiegł zadyszany i przyłożył ucho do piersi młodzieńca, kiwnął po chwili głową na znak, że jeszcze żyje.

Podczas gdy obu braci przenoszono do pomieszczenia szpitalnego, na pokład wyniesiono dziewczynę. Jej ubranie ociekało wodą, ale twarz miała suchą. Najwidoczniej leżała w wodzie, lecz na szczęście twarzą do góry. Lekarz zbadał jej puls i ponownie kiwnął głową; również ona żyła.

* * *

Upłynęło trochę czasu, zanim zdołano wydostać kucharza spod sterty drewna. Był przytomny, ale niemal oszalały z bólu. Wprawdzie ktoś z załogi przeszedł kiedyś kurs udzielania pierwszej pomocy, ale ponieważ na „Dorothy Lamont” nie było lekarza ani nawet pielęgniarki, kapitan poprosił swojego kolegę z „Białej Cesarzowej” o pomoc medyczną. Nie zawiódł się. Na oczach pasażerów, którzy tłumnie wylegli na pokład i stali przy relingu, kucharz, przywiązany do prowizorycznych noszy, został wciągnięty ostrożnie, centymetr po centymetrze, na pokład D, a następnie przeniesiony, jak i tamci, do pomieszczenia szpital- nego.

Dwadzieścia minut po kolizji „Dorothy Lamont” poczęła płynąć wstecz, zginając metalowe płyty, jakby był to papier, a na jej miejsce natychmiast wdarła się woda. W ciągu paru minut wypełniła całą maszynownię „Białej Cesarzowej”, aż po sufit.

ROZDZIAŁ 6

Moja najdroższa Rose,

wybacz, proszę, że tak długo nie miałaś ode mnie żadnego listu. Na statku pisałem do Ciebie wiele razy, ale kiedy potem czytałem te listy, wydawały mi się tak okropne, że darłem je wszystkie na strzępy.

Rose, bardzo za Tobą tęsknię. Chciałbym, abyś myślała o mnie przynajmniej w połowie tyle, co ja o Tobie. Bo ja myślę o Tobie stale. Cały czas. Przychodzisz mi na myśl od razu, kiedy się budzę. Chciałbym śnić o Tobie co noc, ale nie zawsze mi się to udaje.

Może teraz trochę wieści. Nie wiem, czy czytałaś o tym w gazetach, ale nie wydaje mi się, żeby w „Argus” albo „Democrat” pisano tak szybko o wydarzeniach, które miały miejsce gdzie indziej. Piszę teraz ze szpitala w Halifaksie w Nowej Szkocji. Jasne, powinienem być już teraz u McGuigana i pracować przy wykopkach (z pewnością byłaś pewna, że to właśnie teraz robię!), ale los sprawił, że wszystko potoczyło się inaczej.

Widzisz, ostatniego wieczoru rejsu zderzył się z nami inny statek. Byłem przerażony, Rose, to było naprawdę straszne! Długo nie mogłem się zdobyć na napisanie Ci o tym (naprawdę, chciałem bardzo zobaczyć się z Tobą!). Ale żeby nie przedłużać nadmiernie: w chwili, kiedy oba statki zderzyły się ze sobą, nie było przy mnie Dereka ani dziewczyny, którą poznał w czasie rejsu. Nazywa się Karen Lindstrom (jest bardzo miła i też płynęła na Wyspę Księcia Edwarda).

W każdym razie szukałem ich właśnie wtedy, kiedy to się stało. Wiedziałem, że poszli zwiedzać maszynownię, bo Derek rozmawiał o tym przedtem z pewnym marynarzem, z którym się zaprzyjaźnił. Potem zobaczyłem, że wynoszą z jakiegoś pomieszczenia człowieka. Rose, on był martwy!

Zrozumiałem, że to już nie żarty i że muszę coś zrobić. Ale zanim się obejrzałem, znalazłem się pośród ognia i dymu. Nigdy przedtem nie przeżyłem czegoś tak okropnego. Na szczęście jednak udało mi odnaleźć tamtych dwoje, a ponieważ zabrakło mi sił, żeby wydostać ich na pokład, poszedłem na górę sprowadzić pomoc.

Z nimi wszystko już w porządku, Derekowi ani Karen nie stało się nic złego. A ja leżę w szpitalu, bo kiedy byłem w maszynowni, upadłem i oparzyłem sobie policzek i ucho. Ale to nic, wystarczy operacja plastyczna. Lekarze mówią, że za rok nie będzie nawet śladu oparzenia.

Naturalnie denerwuję się trochę tą operacją, ale oni tu są tacy mili! Wszyscy są dla

mnie bardzo dobrzy, naprawdę. Za wszystko płacą Lindstromowie, rodzice Karen. Po tym zderzeniu statek nie mógł płynąć dalej do Quebecu, to zrozumiałe, tak więc przyholowano go do takiego miejsca w Nowym Brunszwiku, które nazywa się St Johns. Tam czekał na nas pan Lindstrom, razem z żoną, Karen i Derekiem polecili samolotem do Charlottetown, ale przedtem załatwili dla mnie lot do Halifaxu, a stamtąd przejazd samochodem do szpitala.

Muszę już kończyć. Bardzo mi Ciebie brak, Rose. Kiedy tak tutaj leżę, myślę sobie, że zrobię wszystko, żeby wrócić jak najszybciej do domu i być razem z Tobą. Mam nadzieję, że Ty myślisz tak samo.

Kocham Cię, moja najdroższa Rose. Chciałbym, abyśmy już zawsze byli razem, obok siebie. I tak będzie, da Bóg. Obiecuję, że tak będzie.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Domyślam się, że jesteś już teraz znowu w szkole, w Dublinie, nie w domu. Dlatego wysyłam ten list do Dublina.

Życzę Ci, abys ukończyła pomyślnie szkołę.

Jeszcze raz przepraszam, że wysyłam Ci list dopiero teraz, ale myślę, że mnie zrozumiesz. Proszę, odpisz jak najszybciej. Możesz wystać list na Wyspę Księcia Edwarda, na adres, który Ci dałem, bo zanim dotrze na miejsce, ja już tam na pewno będę.

Napisz od razu.

Kochający, zawsze Twój

John

PS. Prezent, jaki mi dałaś, jest cały i bezpieczny. Oglądam go codziennie.

Rose stała sztywna, z wysoko uniesioną głową, czytając list pod czujnym, surowym okiem siostry przełożonej. Była bliska łez, ale zarazem zdecydowana nie dać tego poznać po sobie.

Żałowała teraz, że nie ostrzegła Johna w porę. Tu czytano całą korespondencję - zarówno przychodzącą, jak i wychodzącą. A Rose po raz pierwszy doświadczała tego nieznośnego systemu na sobie. Kiedy przeczytała ostatnie zdanie, zakonnica odebrała jej list.

- Czy twoi rodzice wiedzą o tym chłopcu?

Rose skoncentrowała się na dźwiękach, jakie do niej docierały. Były to trzaski z elektrycznego kominka, żarzącego się czerwonym blaskiem w kącie gabinetu przełożonej internatu, ale również odgłosy ruchu ulicznego za oknem, spośród których przebijały zwłaszcza przytłumione klaksony aut.

- Tak, proszę siostry.

- Czy aprobują twoją znajomość z nim?

- Tego nie wiem, proszę siostry.

- A co ci powiedzieli? Czy zaprosili go kiedyś do domu?

- Nie, proszę siostry.

- A dlaczego, jak ci się wydaje?

- Nie wiem, proszę siostry. Po prostu go nie zaprosili. Mój ojciec dał nam do dyspozycji jednego ze swoich koni, abym mogła uczyć Johna jazdy konnej - dodała zdesperowana.

- Rozumiem... - mruknęła zakonnica. - No cóż, to twój list. - Wsunęła kartkę do koperty i podała dziewczynie. - Kiedy spodziewasz się wizyty rodziców?

- W przyszły weekend, proszę siostry.

- Doskonale. Powiedz im, że chciałabym zamienić z nimi słówko.

- Dobrze, proszę siostry - odparła Rose. Natychmiast ułożyła w duchu plan: będzie musiała załatwić to tak, żeby przyjechał tylko ojciec. Miała pewne obawy co do ewentualnej reakcji matki na wieść o Johnie Flynnie.

- A gdzie twój берет? - zapytała zakonnica. Ponieważ dziewczęta musiały nosić w kaplicy berety, obowiązywała je niewzruszona zasada, wedle której berety miały być wsunięte za pasek mundurków. Naruszenie tej zasady było karane grzywną.

- Ja... chyba zostawiłam go w sali sypialnej, proszę siostry - wyjaśniła Rose zadowolona ze zmiany tematu.

- Jeden szyling grzywny - oświadczyła zakonnica. Odwróciła się i z kieszeni habitu wyjęła mały notesik oraz ołówek, aby wpisać kwotę i nazwisko ukaranej.

Rose wyszła z pokoju cichutko, jakby na palcach. Ani kara pieniężna, ani gorzka świadomość, że przełożona zna treść listu, nie zdołały przyćmić radości, z jaką powtarzała teraz w duchu jego słowa. Nie mogła się już doczekać chwili, gdy przeczyta list ponownie. Przedtem wywołano ją z klasy, zastanawiała się więc, czy na pewno musi tam wrócić od razu. Spojrzała na zegarek; do końca lekcji pozostało jedynie piętnaście minut. Można zaryzykować.

Ruszyła w stronę kaplicy, starając się nie iść zbyt szybko i nie skrzypieć gumowymi podeszwami butów na błyszczących deskach podłogi. Kosztowało ją jednak wiele wysiłku i samozaparcia, aby mijając sale klasowe, w których te biedne, upośledzone istoty ślęczały nad nudnymi, szarymi podręcznikami i udzielały nudnych odpowiedzi na jeszcze nudniejsze pytania, nie zacząć podskakiwać i tańczyć ze szczęścia. Promienie słońca wpadały przez wysokie okna od strony jeziora, złocąc swym blaskiem boazerię na ścianach korytarza, a Rose upajała się tymi szerokimi snopami światła, które wprawiały ją w tym radośniejszy nastrój.

Czuła się wspaniale, absolutnie bosko. John Flynn wyznał jej miłość, wyznał to na piśmie!

W kaplicy, o dziwo, nie było nikogo, ale ten fakt był jej właśnie na rękę, bo przecież nie miała beretu. Z ręką na uchwycie drzwi obrotowych wahała się przez chwilę, ale pragnienie, aby przeczytać list ponownie, zwyciężyło. Bóg będzie musiał tym razem wybaczyć mi brak nakrycia głowy, pomyślała.

Kaplica została wzniesiona niedawno, jeszcze teraz pachniała świeżym pokostem i farbą. Światło słońca, które wpadało przez witraże, tworzyło na podłodze tęczę barw i ożywiało jasne drewno ław. Rose przeszła na drugą stronę, gdzie ławy otulał cień, i dostrzegła bukiet z białych róż i frezji, ozdobiony pastelowymi wstążeczkami i ułożony na niskich stopniach sanktuarium; nie po raz pierwszy któraś z dawnych uczennic przesyłała do kaplicy swój bukiet ślubny. W moim bukiecie ślubnym, pomyślała Rose, będzie wiele kwiatów. Róże i frezje, tak, oczywiście, ale również żonkile i tulipany, fiołki i lewkonie, dalie i stokrotki, a nawet malwy i laki - wszystkie kwiaty, które będą kwitły tego dnia w Irlandii.

Wyjęła list z koperty. Mimo iż obiecała Johnowi, że będzie do niego pisać, doniosłość tego, co wydarzyło się pomiędzy nimi owej nocy, wpłynęła na nią onieśmielająco; po prostu nie wiedziała, jakie słowa teraz do niego skierować. Wołała więc, aby on napisał pierwszy, czekała na list od niego, a w miarę upływu dni, tygodni i wreszcie miesięcy bez żadnych wieści od niego zaczęła ogarniać ją rozpacz.

Ale teraz wszystko było już w porządku. A nawet bardziej niż w porządku. Napisał, że ją kocha!

Ona także kochała go z całego serca, kochała tak jak nikogo innego na całym świecie. Odkąd wróciła do szkoły, żyła niby we śnie. Co wieczór czekała niecierpliwie na chwilę, kiedy wreszcie znajdzie się w łóżku. Podczas gdy jej koleżanki rozmawiały szeptem i chichotały, Rose zamykała oczy i nakrywała się po uszy, a potem zaczynała wspominać wszystkie szczegóły tamtej ostatniej nocy, począwszy od chwili, kiedy usłyszała odgłos kamyków rzucanych przez Johna w okno. Nadal czuła go na sobie, czuła chłodny i gładki dotyk jego ciała między udami, gdy byli w wodzie, siłę jego ramion, ciepło i żądzę potem, gdy leżeli już pod drzewem.

Kosztowało ją teraz wiele trudu, aby koncentrować się na nauce. Marginesy na kartach jej „Eneidy” oraz podręczników do trygonometrii były wypełnione rysunkami ust Johna i jego lekko skośnych oczu.

Ze swojego uczucia nie zwierzyła się jeszcze nikomu. Dotąd ona i jej najbliższa przyjaciółka Dolores O'Brien wiedziały o sobie dosłownie wszystko. Żadna z nich nie była entuzjastką prowadzenia korespondencji i dlatego nie pisywały do siebie w czasie wakacji. Z

tym większym zapałem spędzały zawsze pierwsze dni nowego semestru na plotkowaniu i przekazywaniu jedna drugiej nowinek o sobie. Jednakże tym razem Rose, sama nie wiedząc dlaczego, nie zdobyła się na to, aby opowiedzieć Dolores o Johnie. W rezultacie doszło do pewnego ochłodzenia stosunków między przyjaciółkami, gdyż Dolores wyczuła instynktownie istnienie jakiejś tajemnicy.

Rose sama nie była pewna, dlaczego zataiła przed nią swój sekret. Wydawało jej się, że mówienie o Johnie i o tym, co zaszło między nimi, w jakimś sensie mogłoby naruszyć i spłycić jej uczucie, a poza tym nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, iż osiągnęła etap, który znajduje się poza zakresem pojmowania Dolores. Zresztą w pierwszych tygodniach po powrocie z domu wspomnienia z wakacji były tak żywe i wyraziste, że nie odczuwała potrzeby dzielenia się nimi z kimkolwiek.

Ale z drugiej strony, Rose nie cierpiała niedomówień i kłamstwa, a nade wszystko nie lubiła sprawiać innym przykrości, stąd też zrodziły się po pewnym czasie jej wątpliwości i wyrzuty sumienia. Teraz nadarzała się idealna okazja, aby naprawić błąd: może przecież pokazać Dolores list.

John kocha ją. Kocha! Znowu musiała przywołać na pomoc całą siłę woli, aby nie okazać przepełniającego ją uczucia radości - tym razem podrzucając list do góry, w powietrze.

Ciszę w kaplicy przerwał brutalnie ostry dźwięk dzwonka, pobliski korytarz napełnił się gwarem; trzaskały otwierane drzwi, dziewczęta przenosiły się z klasy do klasy. Rose zerwała się na równe nogi i wybiegła z kaplicy. Idąc do sali, w której miała się odbyć jej ostatnia tego dnia lekcja, złożyła list i wsunęła go do kieszeni mundurka.

Siedziała prawie na samym przodzie, Dolores natomiast o dwie ławki dalej, nie mogła więc z nią porozmawiać. Kiedy jednak zakonnica odwróciła się do nich tyłem, aby napisać coś na tablicy, Rose nagryzmoliła pośpiesznie na karteczce: *Musimy porozmawiać. O 13.15, tam gdzie zwykle. R.* Zmięła karteczkę i podała ją za siebie. Piętnaście minut później otrzymała odpowiedź: *Dobrze. D.*

* * *

Miejszem ich sekretnych spotkań był składzik, w którym na szczelnie zapełnionych półkach przechowywano prześcieradła, powłoczki do poduszek i stroje gimnastyczne. W sobotnie popołudnie nie musiały się obawiać, że ktoś je tu nakryje. W soboty lekcje trwały krótko, po nich przychodziła w południe pora na porządki i szycie, pisanie listów, sprzątanie w salach sypialnych i czyszczenie butów, zakonnice natomiast pojawiały się wśród uczennic

tylko sporadycznie.

Rose i Dolores, drobna, piegowata dziewczyna o mysich włosach, skryły się we wnęce przy oknie. Obserwując przyjaciółkę, która chłonęła wzrokiem list, Rose napawała się wyrazem jej twarzy. Sekrety wyjawione tutaj, w tym pomieszczeniu pachnącym świeżą pościelą, mają posmak sekretów najprawdziwszych i największych, przyszło jej do głowy, kiedy Dolores odwróciła kartkę na drugą stronę. Wyjrzała przez okno. Dzień był nadal pogodny, dziewczęta przechadzały się grupami przed budynkiem szkoły.

- Skończyłam - odezwała się Dolores, oddając list. - No, no, kto by pomyślał!

- Tylko tyle potrafisz powiedzieć? - zapytała Rose. Widziała jednak, że jej przyjaciółka jest pod głębokim wrażeniem lektury.

- A jakiej się spodziewałaś reakcji z mojej strony? To naprawdę fantastyczne - odparła Dolores. - Ale z ciebie ziółko! Tyle czasu nie pisnęłaś nawet jednego słówka!

- Bałam się - wyznała Rose.

- Czego się bałaś?

- Że może o mnie zapomniał. To przecież dopiero pierwszy list od niego!

- Jak widać, nie zapomniał. Jeśli chcesz wiedzieć, byłam już na ciebie trochę zła. Zachowywałaś się w taki sposób, jakbyś nie chciała mnie znać!

- Och, Dolores, nie mów tak! Oczywiście, że chcę cię znać!

- To już zresztą nieważne - machnęła ręką Dolores. - Grunt, że mi wreszcie powiedziałaś. Ale z ciebie szczęściara! A on... zachował się jak bohater!

- Nie wiem tylko, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę...

- Czy z jego listu nie wynika, że jest gotów poruszyć góry, abyście znowu byli razem?

Rose zmarszczyła brwi, starając się przywołać na pamięć odnośne słowa z listu; Dolores wzięła go ponownie do ręki.

- O, tu... - wskazała palcem. - *Kiedy tak tutaj leżę, myślę sobie, że zrobię wszystko, żeby wrócić jak najszybciej do domu i być razem z Tobą.* Och, Rose! - Dolores zarzuciła przyjaciółce ręce na szyję. - Boże, jakie to cudowne! - szepnęła. - To prawdziwa miłość! - Uwolniła Rose z objęć. - Ale teraz mów. Muszę wiedzieć o wszystkim!

Usiadły na parapecie okiennym i Rose zaczęła opowiadać o lecie spędzonym z Johnem, pomijając jedynie szczegóły tamtej nocy, kiedy oboje ulegli niepohamowanej namiętności. Przez ułamek sekundy zastanawiała się nawet, czy nie wyznać i tego, ale w szkole czystość uznawano za główną cnotę, nie była zresztą pewna, jak Dolores zareaguje na wiadomość, że ona nie jest już dziewicą.

- Rose, wydaje mi się, że to wspaniały chłopak! - wykrzyknęła Dolores, kiedy jej

przyjaciółka skończyła opowiadać. - Naprawdę szczęściara z ciebie!

- Jest jednak pewien problem... - wyznała Rose, wydfubując palcem kit z okna. - Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ale John jest... jest... - Zawahała się. W jaki sposób miała opowiedzieć o istniejącej już od czterystu lat przepaści klasowej, która nadal dzieliła ją od dzierżawców jej ojca? Spojrzała na wyczekującą minę Dolores. - Wiesz, jak to bywa z rodzicami... - zakończyła, zdając sobie sprawę, jak nie - przekonująco zabrzmiało to wyjaśnienie.

- Bzdura - orzekła przyjaciółka. - Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, problem z rodzicami zniknie raz na zawsze.

- Ale teraz mam dopiero szesnaście! To jeszcze tyle czasu! - Rose stanęła tyłem do okna, ukryła twarz w dłoniach.

- Posłuchaj... - zaczęła cierpliwie Dolores, kładąc jej rękę na ramieniu. - Wszystko w swoim czasie. Najpierw musisz skończyć szkołę, otrzymać świadectwo. Potem będziesz się martwiła o resztę.

- Może masz rację. Ale na tym cholernym świadectwie przestało mi już zależeć - mruknęła Rose, nie podnosząc głowy.

- Chodzisz do tej szkoły, czyż nie? A więc nie masz wyboru, niestety. W każdym razie nie teraz.

- Ale ja go kocham!

- Tym bardziej wasze uczucie ma szansę przetrwać do chwili, kiedy ukończysz naukę.

W głębi duszy Rose czuła, że jej przyjaciółka ma rację. Bezwiednie mięła beret, wsunięty już przepisowo za pasek.

- Jest jeszcze coś - powiedziała z wahaniem.

- A co?

- Siostra Eucharia przeczytała list i zamierza powiadomić moich rodziców.

- Zacznieś się tym przejmować, kiedy nadejdzie pora.

- Dzięki, Dolores, jesteś cudowna. Dolores uśmiechnęła się promiennie.

- Wiem.

Wyszły ze składziku i udały się na spacer po sadzie. Podczas przechadzki Rose nie przestawała mówić o Johnie i po paru minutach tego monologu Dolores przerwała jej.

- A więc zrobiłaś to? - Z wrażenia jej oczy zogromniały.

- Tego nie powiedziałam!

- Zgadza się, ale dałaś do zrozumienia...

- Dolores! Przecież wcale nie...

- Już dobrze - przerwała jej Dolores pojednawczym tonem. - To w końcu twoja sprawa.

- No właśnie. - Teraz, kiedy sekret pozostał sekretem jedynie w połowie, Rose poczuła ulgę.

Doszły do zaniedbanej ścieżki, porosłej mchem i zdradliwej w deszczowe dni, ale dziś nadzwyczaj malowniczej, bo wysokie bujne trawy i mnogość późnych, dzikich kwiatów wprost przyciągały wzrok. Powietrze było łagodne jak na koniec września, a panujący wokoło spokój, którego nie były w stanie zмяć odległe głosy ruchu ulicznego, przywodził na myśl letnią niedzielę gdzieś na łonie natury.

- Musisz odwiedzić mnie kiedyś w Sundarbans - odezwała się nieoczekiwanie Rose.

- Z wielką przyjemnością - zawołała Dolores uradowana.

Każda z dziewcząt była przekonana, że dom przyjaciółki to raj. Dolores, córka dyrektora banku, była najstarsza z rozdokazywanego, licznego, siedmioosobowego rodzeństwa. Zajmowali obszerny, nowoczesny dom w Galway, ona jednak często wyobrażała sobie rozmarzona, że jest jedynaczką. W przeciwieństwie do niej Rose pragnęła zawsze mieć braci i siostry, smażalnię frytek i ryb blisko miejsca zamieszkania oraz przytulny dom, w którym firanek - mimo zamkniętych okien - nie porusza wiatr.

Ścieżka wznosiła się łagodnie, zgodnie z ukształtowaniem terenu, i wiodła pod zniszczone już kamienne ogrodzenie. Dziewczęta doszły aż tam i przysiadły na ciepłym od słońca gładzie. Pokrywały go dzikie bluszcze i fantazyjne skamieliny, ale dziś Rose nie zwróciłaby na nic uwagi, nawet gdyby kamień był cały upstrzony żyłkami złota.

* * *

Trzy tygodnie później John przybył wreszcie na Wyspę Księcia Edwarda. Do szpitala w Halifaksie przyjechał po niego samochodem pan Sven Lindstrom. Był to korpulentny mężczyzna o rumianej twarzy, miał jasne brwi i takie same rzęsy nad bladymi oczami, ale ani jednego włosa na głowie. John polubił go od pierwszego wejrzenia, jednakże szczodroblowość i dobre serce tego człowieka wprawiały go w zakłopotanie. Zażenowany gestem ojca Karen, który przed wyruszeniem w podróż okrył mu kolana ciepłym pledem, poruszył się niespokojnie na swoim siedzeniu w olbrzymim amerykańskim aucie, lincolnie. Oprócz czarnego karawanu w Irlandii nigdy jeszcze nie widział tak długiego i obszernego samochodu osobowego.

- Dziękuję bardzo, *sir* - wykrztusił.

- Och, daj spokój - zachichotał Lindstrom. - My tu, na wyspie, nie przykładamy większej wagi do ceremonialnych tytułów. Kiedy ktoś zwraca się do mnie „sir”, zaczynam się czuć jak nauczyciel w szkole - a przecież nie jestem nim. I jeszcze coś - dodał. - Niebawem sam się przekonasz, że wszyscy tu nazywają naszą wyspę nie inaczej jak właśnie tak: po prostu Wyspą. - W trakcie jazdy zapoznał Johna ze zwięzłą historią rozmaitych obiektów w Nowej Szkocji.

Terminal w Caribou okazał się prostą, skromnie urządzoną przystanią, oprócz nich na prom czekało jeszcze około dwudziestu pojazdów.

Prom płynął nad podziw spokojnie, ale już po upływie dziesięciu minut John poczuł znany mu z rejsu statkiem lęk. Oblał się potem i spojrzał zakłopotany na Lindstroma.

Ten uśmiechnął się wyrozumiale.

- Nie przejmuj się, nie ty jeden zapadasz na chorobę morską. Cierpi na to wielu innych, nawet starszych od ciebie. - Podał mu specjalną torebkę, jedną z wielu przygotowanych przezornie dla pasażerów.

Niebawem wysiedli i John, czując pod stopami twardą ziemię, niemal natychmiast doszedł do siebie. Mimo to Lindstrom nalegał, aby przed wyruszeniem do Kelly's Cross wstąpili do „Charlottetown House” na filiżankę herbaty.

- Jak słyszałem, wy tam, w Irlandii, pijacie jej mnóstwo.

John znowu podziękował, zastanawiając się w duchu, w jaki sposób odwdzięczy się potem za tyle serca.

Pan Lindstrom jechał ostrożnie, ale i tak w Charlottetown znaleźli się po niespełna czterdziestu minutach. John patrzył jak urzeczoną na przesuwany się przed jego oczyma krajobraz. Wyspa miała bardziej równinny charakter i mniej drzew, niż się spodziewał, rozległe pastwiska były upstrzone drewnianymi, jaskrawo pomalowanymi domami oraz czerwonymi, ogromnymi, górującymi nad nimi stodołami. John był przekonany, że wyspa, jako część Kanady, będzie gęsto zadrzewiona, drzewa jednak występowały tu raczej w skromnych kępach, nie widział bujnych zagajników czy lasów. Niektóre z drzew zdążyły zblaknąć, wiele jednak nadal nosiło jesienną złocistopomarańczową szatę, inne zaś płonęły zdumiewającą, osobliwą czerwienią o szkarłatnym odcieniu.

- Przepraszam, panie Lindstrom - zapytał John. - Jak się nazywają te czerwone drzewa?

- To klony, synu - odparł Lindstrom. - Narodowe drzewo Kanady.

Drogą jechało niewiele samochodów, mimo to musieli często zwalniać ze względu na liczne pojazdy konne. John, bacznie obserwując krajobraz, uznał, że Wyspa Księcia Edwarda

różni się znacznie od Irlandii. Drogi były tu szersze i lepiej utrzymane, konie bardziej zadbane, pola większe i mniej stromo położone, niepodobne do podupadłych i podmokłych farm, jakie zachował w pamięci. Tam, w Monaghan, niemal każda droga wiodła od wzgórza do wzgórza, tu natomiast miało się przed oczyma widok rozległy na całe mile.

Wraz z tą myślą napłynęła nagle tęsknota za domem rodzinnym; musiał zamrugać gwałtownie powiekami, aby powstrzymać łzy. Co z Rose? Czy w Kelly's Cross będzie na niego czekał list od niej? Dotknął palcem gojącego się policzka, czerwonego na razie i przypominającego raczej obciążony skórą mały bębenek. Ucho, na którym nie dokonano przeszczepu i które miało się goić samo, wyglądało, jego zdaniem, jeszcze gorzej. Chirurg zapewnił go, że blizny po oparzeniu znikną po jakimś czasie i staną się niewidoczne, ale w tej chwili John był przekonany, iż wygląda jak potwór. Z tego względu cieszył się, że Rose jest teraz z dala od niego.

Jechali długim mostem spinającym brzegi szerokiej rzeki, pełnej ptactwa nie znanego mu gatunku. Ptaków były całe setki. Te skrzydlate istoty, duże i czarne lub ciemnoszare, szybowały leniwie albo nurkowały, śmigając w wodę niczym strzały. Ruch na drodze był teraz większy, po drugiej stronie rzeki John dostrzegł szereg zabudowań. Ciągnęły się daleko wzdłuż brzegu, na lewo i prawo od mostu. To na pewno już Charlottetown, pomyślał i podniecony wyprostował się na siedzeniu.

Spodziewał się, że Charlottetown przypomina Dublin, ale gdy wjechali do miasta, znów musiał skorygować swoje wyobrażenia. Dublin był murowany, duży i gwarny, pełen pojazdów i ludzi. W Charlottetown dostrzegł trochę domów z cegły, ale większość z nich zbudowano - podobnie jak farmy mijane na drodze - z drewna. Samochody nie zajmowały na ulicach zbyt wiele miejsca, pogrążeni w rozmowach przechodnie stali przepisowo na chodnikach, obok zaparkowanych pojazdów konnych, sklepy były znacznie mniejsze i nie tak eleganckie, jak w Dublinie. W pewnej chwili John zauważył, że jadą ulicą Graf ton.

- W Dublinie też mamy Graf ton Street! - zawołał.

- Co ty powiesz! - uśmiechnął się Lindstrom. - A widzisz? Niedługo Wyspa będzie wyglądała tak jak twoja Irlandia.

Portyk z czerwonej cegły przed frontowymi drzwiami domu Lindstroma wspierał się na białych kolumnach, pośrodku rozległego trawnika wznosił się wysoki maszt z flagą kanadyjską. John zadarł głowę do góry, aby przyjrzeć się jej dokładniej, a Lindstrom wyjaśnił, że następnego dnia wypada Święto Dziękczynienia.

- Twoja rodzina w Kelly's Cross zaprosi z pewnością ciebie i Dereka na świąteczny obiad - dodał - ale musisz mi obiecać, że w przyszły weekend przyjedziecie obaj do nas.

- Och, bardzo dziękuję! - zawołał John. - Ale zrobił pan dla mnie już zbyt wiele, naprawdę...

- Nonsens - mruknął Sven. Skręcił w wąską wybetonowaną alejkę za domem, gdzie stały już zaparkowane dwa inne samochody, mniejsze od lincolna. - To my mamy wobec ciebie dług wdzięczności i szczególne powody, aby uczcić tegoroczne Święto Dzięczynienia. Nie wiemy nawet, jak możemy spłacić ten dług. Gdybyś nie zszedł wtedy na dół do maszynowni, kiedy szalał ten pożar, Karen... - Nie dokończył, odchrząknął tylko i wyłączył silnik, po czym wysiadł z samochodu.

John podążał za nim wzdłuż tylnej części domu, a kiedy wszedł do środka, znalazł się w przestronnej kuchni. Była bogato wyposażona w różnoraki sprzęt, zlewozmywak i szafy ustawione wzdłuż ścian. Pośrodku stał duży, masywny stół. W pomieszczeniu było bardzo ciepło, na ruszcie skwierczał imponujący indyk, a kobieta w średnim wieku obierała przy stole całą furę ziemniaków.

- Oto pani Anderson, nasza gospodyni - przedstawił ją Lindstrom. - A to nasz bohater, John Flynn.

Kobieta odłożyła nożyk, wytarła ręce o fartuch, ujęła dłoń chłopca i potrząsnęła nią z zapalem.

- Mój Boże! - zawołała. - Tak się cieszę z naszego spotkania, Johnie Flynn! Wiele o tobie słyszałam, my wszyscy zawdzięczamy ci bardzo dużo!

Sven podszedł do pobliskich drzwi.

- Jesteśmy w domu, matko! - zawołał, po czym odwrócił się znowu do gospodyni. - Czy moglibyśmy dostać herbaty, Mabel? Napijemy się chyba w salonie - dodał. - Chodźmy, John, tędy.

John podążył za nim do holu, wyciszonego dywanem tak grubym, jakiego on sam nigdy dotąd nie widział, następnie do dużego pokoju z drewnianym parkietem i oknami na trzech ścianach.

- Siadaj, synu, czuj się jak w domu - zaprosił Lindstrom. - Chyba wezmę sobie whisky z wodą sodową.

John powiódł dokoła niepewnym wzrokiem: większość krzeseł miała cienkie, ozdobnie wygięte nogi i wydawała się zbyt delikatna, aby mógł na nich usiąść. Podszedł do niewielkiej sofy i usiadł ostrożnie na brzeżku, podczas gdy gospodarz przyrządzał sobie napój, otwierając butelki stojące na srebrnej tacy.

Kąt pokoju zajmowało duże pianino, którego polerowane, brązowe drewno połyskiwało w blasku światła wpadającego przez okna. Na ścianach wisały obrazy, małe

okolicznościowe stoliki były zastawione figurkami z porcelany i srebrnymi ozdobami. Pomiędzy dwoma oknami mieścił się wysoki kamienny kominek. Ten pokój, pomyślał John z nabożną czcią, jest większy niż cała stróżówka w Drumbooli i zawiera więcej drogocennych przedmiotów niż całe Carrickmacross. Nagle przyszło mu do głowy, że może tak właśnie mieszka Rose. Ostatecznie nigdy nie wszedł do Wielkiego Domu, nie był więc pewien, jak wygląda w środku. Odruchowo sprawdził wewnątrz kieszeni: prezent od Rose spoczywał tam nadal, cały i bezpieczny.

Pan Lindstrom sadowił się właśnie ze swoim kieliszkiem w przepastnym fotelu przed kominkiem, kiedy za drzwiami rozległ się tupot nóg i do salonu wpadła Karen.

- John! - zawołała. - Jesteś nareszcie! - Zatrzymała się obok ojca. - Cześć, tato! - Cmoknęła Lindstroma w policzek i zwróciła się ponownie do Johna: - Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej! Jak twarz? O Boże, jeszcze się nie zagoiło? - Miała na sobie kraciastą spódniczkę i białą bluzkę pod różowym sweterkiem, a John mimo romantycznej lojalności wobec Rose musiał przyznać w duchu, że dziewczyna wygląda prześlicznie.

Wstał, aby odpowiedzieć na jej pytanie.

- Czuję się doskonale. Twarz jeszcze się nie zagoiła, ale już nie boli.

- Usiądź, usiądź! Niestety, nie miałam jeszcze okazji podziękować ci za to, co dla mnie wtedy zrobiłeś. Uratowałeś mi życie!

- Ależ skąd! - Poczul się nieswojo, przesunął się niespokojnie na sofie.

- Niepotrzebnie zaprzeczasz - odparła. - Będę teraz twoją niewolnicą do końca życia! Tak mawiają Indianie, wiesz? Zawładnąłeś moją duszą.

Nie wiedział, co powiedzieć ani jak się zachować. Na statku widywał Karen jedynie w towarzystwie Dereka.

- A ty? Czujesz się już dobrze? - zapytał, aby odwrócić jej uwagę od swojej osoby.

- Nawet bardzo - zapewniła. - Trochę jeszcze kaszlę i czasem pobolewa mnie w płucach, ale lekarz mówi, że jestem już prawie zdrowa jak ryba.

Odetchnął z ulgą, kiedy do salonu weszły matka Karen i gospodyni; ta ostatnia wniosła tacę z herbatą. John wstał ponownie, a pani Lindstrom podała mu rękę i wykrzyknęła zachwycona, że wygląda o wiele lepiej niż w szpitalu.

Karen podbiegła do pani Anderson, aby pomóc jej postawić tacę na stole.

- O, wspaniale! - wykrzyknęła na widok talerza z ciastem. - Co za wyborne jedzenie! Wszystko na twoją cześć, John. Nie wszystkich gości fetujemy w ten sposób.

Gospodyni opuściła pokój, a John upił łyk herbaty i odgryzł mały kawałek ciasta, niemal nie czując jego smaku. Siedząc w tym eleganckim salonie, nie mógł się oprzeć

wrażeniu, że nie pasuje tu, że to nie jego miejsce. Blizna na policzku doskwierała mu, gdy mamrotał nieskładne odpowiedzi na uprzejme pytania zadawane przez panią i pana Lindstrom.

Karen zajęła miejsce obok niego, paplała, śmiała się wesoło, nawet jakby flirtowała trochę. John pragnął zapytać ją o Dereka, dowiedzieć się, czy miała od niego jakieś wieści, ale nie starczyło mu odwagi, aby uczynić to w obecności jej rodziców.

Ucieszył się w duchu, kiedy pan Lindstrom odstawił swoją filiżankę i wstał z fotela.

- No cóż, chyba już pora wyruszyć do Kelly's Cross. Niedługo zacznie się ściemniać. Pojedziesz z nami, Karen?

Pani Lindstrom odprowadziła Johna do drzwi i pożegnała go serdecznym zaproszeniem do złożenia im wizyty razem z Derekiem.

- I naturalnie odwiedzimy cię, kiedy przyjedziesz znowu do Halifaksu - dodała. John miał zgłosić się do szpitala na kontrolę u chirurga, który go operował.

W samochodzie Karen siedziała między ojcem i Johnem. Droga do Kelly's Cross wiodła na zachód, asfalt ustąpił niebawem miejsca nawierzchni, jakiej John nie widział jeszcze nigdy dotąd; była miękka i czerwona jak cegła.

- Ten kolor bierze się z żelaza zawartego w piaskowcu - wyjaśniła Karen, nachylając się do przodu, aby sięgnąć wzrokiem ponad długą maskę auta. - Będziemy musieli zawieźć cię do Kildare Capes... co o tym sądzisz, tato?

- Kildare Capes? Cóż to takiego? - zapytał John. Samochód był szeroki, tak więc na siedzeniu mieli dużo miejsca, a mimo to czuł na udzie dotyk jej uda. Nie wiedział, czy Karen robi to umyślnie, czy nie, ale na wszelki wypadek odsunął nieco nogę. W ten sposób zmniejszył ów kontakt do minimum.

- To miejsce w pobliżu Tignish na Wybrzeżu Północnym - odparła Karen. - Pokażemy ci skały piaskowe, które uległy erozji. Na Wyspie wszyscy mówią stale o erozji, to zjawisko zachodzi tu od wieków.

Samochód wzbijał na drodze czerwony tuman kurzu, mijał starannie uprawiane pola. Co jakiś czas pojawiał się zagajnik zielonych iglaków, rzadziej migąły za oknem drzewa liściaste, które przybrały już piękne barwy jesieni. John, którego zapewniano dotąd w listach i rozmowach, że Wyspa Księcia Edwarda przypomina do złudzenia Irlandię, nie potrafił teraz dopatrzeć się podobieństw. Według niego ani tych przydrożnych wiosek, ani stodół pomalowanych na czerwono i zielono, ani też schludnych, krytych gontami domków czy nieskazitelnie białych kościołów nie można było w ogóle porównywać z beładnie rozrzuconymi, szarymi murowanymi domami, do których przywykł u siebie, w Irlandii.

Oba krajobrazy różniły się jeszcze czymś, ale dopiero po jakimś czasie, rozmyślając intensywnie, uświadomił sobie, co to takiego. Żywopłaty. Tutaj nie było wysokich żywopłatów. W Monaghan wszystkie drogi biegły tunelami utworzonymi przez wysoką, gęstą zieleń - zbrązowiałą w zimie - a podróżnicy mogli rzucić okiem na mijane pola i łąki wyłącznie przez luki w listowiu lub furtki w żywopłocie.

Karen milczała - zaskakująco długo jak na nią, John uznał, że teraz pora na niego.

- To klony? - zapytał, wskazując na grupę drzew, które niczym czerwone płomienie odcinały się wyraźnie od szczytu wzgórza po prawej stronie.

- Tak. Są wspaniałe, prawda? - odparła. - I bardzo użyteczne. Lubisz syrop klonowy?

- Nawet bardzo. Na statku podawali go do naleśników.

- Ja też go lubię. Mniam - mniam - dodała i uśmiechnęła się do niego promiennie..

- Wiesz może, co u Dereka? - zapytał John. Czuł się nieswojo, kiedy patrzyła na niego w ten sposób. - Nie miałem od niego żadnych wieści.

Zamiast niej odpowiedział mu pan Lindstrom.

- McGuiganowie nie mają telefonu - wyjaśnił - ale zadzwoniłem do ich sąsiada, a ten dowiedział się wszystkiego, Derek czuje się dobrze. - Klepnął córkę po kolanie. - Jeśli przynajmniej w połowie tak dobrze jak Karen, to wszystko w porządku.

* * *

Derek, obserwowany czujnie przez dwa psy McGuigana i trzy koty, rąbał drewno na tylnym podwórzu. Jeden z psów odwrócił nagle łeb i nadstawił ucha, a w następnej chwili oba, szczekając zażarcie, obiegly dom i pomknęły w stronę furtki. Derek odłożył siekiere, począł nasłuchiwać. Dom stał wtulony w zbocze wzgórza, z przyległej doliny dobiegał coraz wyraźniej przytłumiony jeszcze odgłos samochodu.

Derek sięgnął spieszenie po koszulę - swoją najlepszą, taką jaką zostawia się na niedzielę - i włożył ją; od sąsiada otrzymali już przekazaną telefonicznie przez Lindstromów wiadomość, że dziś przyjeżdża John, on zaś miał skrytą nadzieję - chociaż nie bardzo w to wierzył - że przy okazji zawita tu także Karen.

Nie widział jej już od czterech tygodni. Pierwsze dwie doby po kolizji oboje spędzili na statku, w pomieszczeniu szpitalnym, podłączeni do aparatów tlenowych. Kiedy zaś uszkodzony statek został w połowie drugiego dnia doholowany do St John's, on i Karen zostali rozdzieleni i przewiezieni do różnych szpitali.

Na prośbę Karen jej rodzice złożyli mu potem wizytę. Byli uprzejmi, ale spotkanie przebiegło w sztucznej, niezręcznej atmosferze. Zarówno jej ojciec, jak i matka, jakkolwiek

szczęśliwi, że córka przeszła pomyślnie tak ciężką próbę, nie mogli pojąć, co Karen robiła w maszynowni. Oboje dali mu jasno do zrozumienia, że nie winią go za to, co się stało, on jednak, dręczony przez wyrzuty sumienia, czuł się w ich obecności wyraźnie skrepowany.

Kiedy przedstawiciel linii żeglugowej zjawił się w szpitalu, aby opłacić rachunek za jego kurację oraz skomplikowany przejazd z St John's do Charlottetown, Derek poprosił go, aby zadzwonił do Karen, jej jednak nie było już w szpitalu. Wypisano ją wcześniej niż jego; wprawdzie powracał szybko do zdrowia, ale miał tylko jedno płuco, lekarze woleli więc zachować wobec niego szczególną ostrożność.

Warkot silnika przybrał na sile i Derek poczuł, że ogarnia go panika. Co jej powie? Co ona o nim teraz myśli... Jeśli w ogóle myśli o nim... On, odkąd wyzdrowiał, nie potrafił myśleć o niczym innym jak tylko o swojej tęsknocie za Karen. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby nie chciała go już teraz znać - chociaż z drugiej strony nie mógłby mieć do niej żalu. Ostatecznie na statku nie robiła mu żadnych nadziei.

Zapiął koszulę, splunął na dłonie i przyglądał sobie włosy, a potem tak spokojnie, jak pozwalały na to napięte nerwy, ruszył w stronę furtki, aby tam zaczekać na samochód.

Dan i Peggy McGuiganowie okazali się szybsi od niego; stali już przy furtce oparci o słupki. Derek podszedł do nich w chwili, gdy w kłębach czerwonego pyłu na drodze ukazała się sylwetka lincolna.

- A oto i Derek! - zawołał Dan, dając młodszemu kuzynowi żartobliwego kuksańca. - Wystrojony jak na własny ślub!

McGuiganowie wychowali trzech synów, którzy wyjechali do Bostonu i tam stali się jankesami; mieli teraz jankeskie żony i samochody z numerami rejestracyjnymi z Massachusetts. Oni zaś pozostali na farmie o powierzchni trzystu akrów i gdyby musieli ją prowadzić sami, zdecydowałiby się w końcu na jej sprzedaż. Żadne z nich nie postawiło nigdy stopy na ziemi irlandzkiej, planowali jednak oboje, że pojadą tam „któregoś dnia”, a wobec swojej „starej ojczyzny” byli bezgranicznie lojalni, tak jakby opuścili ją dopiero wczoraj. Zwłaszcza Peggy, której panięskie nazwisko brzmiało Coady, pragnęła ujrzeć choć raz dziedziniec kościelny w Monaghan, gdzie byli pochowani jej dziadkowie. Oboje należeli do ludzi skromnych i spokojnych, ich życie obracało się wokół domu i miejscowego kościoła, a Derek, chociaż odczuwał boleśnie rozłąkę z matką, czuł się pod ich dachem lepiej, niż się tego przedtem spodziewał.

Zza zakrętu wyłonił się samochód i serce Dereka załomotało gwałtownie. Na przednim siedzeniu dostrzegł trzy osoby; ta pośrodku to z pewnością Karen. Teraz, gdy spełniły się jego oczekiwania, poczuł się jak sparaliżowany.

Drgnął przerażony na widok policzka brata. Od ucha do nosa ciągnął się płat czerwonego ciała, napięta mocno skóra połyskiwała nawet w mizernym o tej porze świetle słońca. Ściskając rękę Johna, Derek nie mógł oderwać wzroku od tego zeszpecenia, ale kątem oka zerkał jednocześnie na Karen. Nie starczyło mu odwagi, aby zbliżyć się do niej na oczach jej ojca, odczekał więc trochę i dopiero kiedy dokonano niezbędnych prezentacji, a wszyscy skierowali się do domu, podszedł do dziewczyny.

- Co u ciebie?

- W porządku. A u ciebie?

Patrzył na nią przenikliwie, chcąc zbadać, czy jej stosunek do niego się nie zmienił, ale uśmiech Karen był tak przyjazny i otwarty jak niegdyś na statku. Na tym musiał na razie poprzestać, gdyż Peggy dała mu znak, aby udał się z gośćmi do salonu. Pokój był wysprzątnany do połysku, ale miał ów specyficzny zapach wilgoci, charakterystyczny dla pomieszczeń rzadko używanych. Na ciemnym stole ustawiono biskwity domowego wypieku, roladę owocową, masło i niewielkie pucharki z konfiturą truskawkową. Derek aż dygotał ze zniecierpliwienia, kiedy Peggy wniosła kawę i częstowała nią wszystkich dokoła. Jeśli nie uda mu się teraz porozmawiać z Karen sam na sam, to będzie mógł długo czekać na kolejną okazję! Podając gościom biskwity, szepnął dziewczynie, że chciałby jej pokazać kaczęta, które wylęgły się właśnie w szopie.

Ku jego niezmiernej radości Karen przyjęła chętnie tę propozycję.

- Naturalnie że muszę je obejrzeć! - zawołała natychmiast. - Tato, przepraszam na chwilę. Derek pokaże mi małe kaczki.

- Ale nie daj na siebie długo czekać - ostrzegł ją ojciec. - Obiecałem twojej matce, że nie spóźnimy się na kolację. Nie wiem zresztą, czy w ogóle będziemy w stanie ją zjeść - dodał, odgryzając kawałek ciasta, i zachichotał.

Derek wyprowadził Karen na podwórze. Szopa stała w odległości około pięćdziesięciu metrów od domu, po drugiej stronie podwórza. Dziewczyna stąpała za Derekiem, zdając się nie dostrzegać jego gorącego, namiętnego pragnienia. On zaś, płonąc jedynie żądzą, aby pochwycić ją w ramiona natychmiast, na tej otwartej przestrzeni, nie potrafił wymyślić żadnego sposobu na odtworzenie tamtego intymnego nastroju, jakim rozkoszowali się oboje na statku.

Kiedy weszli do chłodnej, mrocznej szopy, ujrzeli czternaście małych kaczuszek, które gdakały piskliwie i, kołyszając się na boki, dreptały za swoją matką.

- Och, jakie one kochane! - zawołała Karen. - Mógłbyś złapać jedną? Chciałabym potrzymać ją w dłoni!

Ignorując groźne, ostrzegawcze gdakanie kaczej matki, Derek nachylił się i zabrał ze statka jedno z maleństw, następnie włożył je w złączone dłonie Karen.

Natychmiast przytuliła kacuszkę do policzka, głaszcząc ją delikatnie, a Derek uznał, że nadeszła pora. Teraz albo nigdy.

- Karen - odezwał się cicho. Chciał, aby jego głos zabrzmiał spokojnie, ale wiedział, że to się nie udało.

- Mhm? - Nadal zajmowała się kaczątkiem.

- Karen, kocham cię!

Otworzyła szeroko oczy, a on, rozczarowany, dostrzegł w nich po chwili iskiereki rozbawienia.

- Och, Derek! - zachichotała, ale widząc wyraz jego twarzy złagodziła cios: - Daj spokój, przecież prawie mnie nie znasz!

- Ale to prawda, Karen. Kocham cię całym sercem! - Wyciągnął ręce, aby ją objąć, ona jednak uchyliła się, ratując kaczątko przed zgnieceniem.

- Derek, przestań! Uważaj na to biedactwo! - Postawiła kaczątko na ziemi, a ono podreptało czym prędzej do matki.

Ponownie nachylił się nad dziewczyną, próbując wymusić pocałunek. Karen zaczęła się wyrzywać.

- Co ty wyrabiasz? Zostaw mnie w spokoju, Derek!

Zdawał sobie sprawę, że wszystko psuje, ale nic na to nie mógł poradzić.

- Karen, błagam, Karen... Zapomniałaś już, co było na statku? Ja cię kocham! Kocham! - Chciał ją pocałować, ale ona broniła się coraz gwałtowniej. Zaniepokojone tą szamotaniną kaczki miotały się u ich stóp na prawo i lewo.

Przyszło mu nagle do głowy, że jeśli mimo wszystko zdoła ją pocałować, wskrzesi na nowo namiętność, która - jak wierzył - tkwi w nich obojgu. Dobrze więc, najważniejsze teraz, to nie dać za wygraną. Popchnął Karen w kąt, na snop jęczmienia, który pod ich naporem zakotłosał się i runął na ziemię, a oni padli na wierzch, walcząc wśród ostrych kłosów i kurzu. Jej wysiłki, aby odepchnąć go od siebie, dopingowały Dereka jeszcze bardziej; było mu tak dobrze, kiedy czuł ją pod sobą, miękką i jędrną! Przygwałdzając Karen do ziemi całym ciałem, sięgnął jedną ręką do jej piersi, a drugą wsunął między uda. Nagle poczuł w ramieniu dotkliwy ból. Ugryzła go!

Szok ostudził chłopaka i przywołał do porządku, a Karen, wykorzystując ten moment, wyczołgała się spod niego.

- Ty głupi, głupi, głupi... - powtarzała szukając odpowiedniego słowa. Machinalnie

wyciągała sobie z włosów źdźbła jęczmienia, w jej oczach pałała furia. - Jesteś... jesteś... jesteś tylko nędzną imitacją mężczyzny, nie tak jak John! - krzyknęła wreszcie i wybiegła z szopy.

Dźwignął się powoli na nogi i patrzył za nią zaskoczony, zdezorientowany. Spoglądał na drzwi, za którymi zniknęła, i zdał sobie sprawę, że chociaż boli go świadomość utraty Karen, jeszcze gorsze jest straszliwe upokorzenie: dziewczyna nie tylko odtrąciła go, ale także powiedziała wprost, nie owijając tego w bawełnę, że woli jego brata!

* * *

Sześć tygodni po owym spotkaniu w składziku, gdzie Rose dała do przeczytania swojej przyjaciółce list od Johna, Dolores przytrzymywała jej głowę nad umywalką w łazience.

- Spokojnie, Rose, spokojnie - powtarzała cierpliwie. W domu, jako najstarsza z rodzeństwa, zdążyła się już przyzwyczaić do takich sytuacji. - Spokojnie, zaraz poczujesz się lepiej...

Nudności ustały i Rose uniosła głowę.

- Nie mam pojęcia, co mi jest... - szepnęła z wysiłkiem. - Nigdy dotąd nie miałam czegoś takiego, bez przerwy mnie mdli...

- To już czwarty raz w tym tygodniu. Dlaczego nie idziesz do lekarki? - upomniała ją łagodnie Dolores.

Rose, która przysłała już do siebie, wydmuchała nos w papier toaletowy.

- Jak myślisz, co mi właściwie jest? Czy to z gorączki? A może zaszkodziło mi jakieś jedzenie?

- To niewykluczone. - W głosie Dolores zabrzmiała osobliwa nuta, ale jej mina nie zmieniła się ani na jotę, kiedy podała przyjaciółce kolejny listek papieru. - Powinnaś się zgłosić do przełożonej - poradziła. - Jestem pewna, że ona będzie wiedziała, jak ci pomóc.

- Do niej na pewno nie pójde! - parsknęła Rose. - Sole! To wszystko, co jej przychodzi do głowy. Sole! - powtórzyła z niesmakiem. - W ciągu trzech ostatnich dni zażyłam ich tyle, że będę miała dość do końca życia!

- Ale przecież musisz coś zrobić!

- Już mi lepiej. Naprawdę czuję się dobrze. - Rose zdobyła się nawet na uśmiech. - Za parę minut wszystko wróci do normy, możesz być pewna. Dziękuję, że jesteś przy mnie.

- Nie ma za co - odparła Dolores. Dyrektorka internatu pozwoliła jej nie iść na mszę i zostać z przyjaciółką. - Jeśli czujesz się lepiej, to może już chodźmy - zaproponowała. - Msza

się skończyła, będziemy jadły zimną owsiankę.

- Dobrze, idziemy. - Rose ochlapała sobie twarz chłodną wodą i wytarła się rękawem szkolnego mundurka. - Jestem gotowa.

Sobota w tym tygodniu była brzydka, deszczowa i posepna, niebo - jak zwykle w listopadowe popołudnie - mroczniało już, kiedy obie klęczały obok siebie w szatni, czyszcząc buty. Rose szczotkowała swoje bez zapalu, apatycznie.

- Która godzina? - zapytała.

Dolores zerknęła na zegarek.

- Dochodzi wpół do czwartej - odparła. - Posłuchaj... - dodała i zaczęła wyrzucać z siebie słowa tak szybko, że Rose, zaintrygowana, podniosła na nią zdumiony wzrok. - To nie moja sprawa, wiem o tym, ale jestem twoją przyjaciółką i muszę ci to powiedzieć. Według mnie powinnaś się zgłosić do lekarza.

Rose poczuła, że opada ją nagły niepokój.

- Dlaczego? Czy myślisz, że jestem poważnie chora?

- Wolalabym nie mówić o tym, co mi chodzi po głowie. Proszę, nie pytaj mnie już o nic i idź lepiej do lekarza. - Dolores wstała raptownie, wstawiła swoje buty do oznaczonej odpowiednim numerem przegródki, po czym odeszła szybkim krokiem.

Rose, zaskoczona jej zachowaniem, podniosła się, odstawiła swoje na wpół tylko wy szczotkowane buty na miejsce i wybiegła na korytarz. Przyjaciółkę dogoniła jednak dopiero w pokoju, gdzie Dolores z nietypową dla siebie furią grzebała w koszyku z przyborami do szycia.

- Dolores? - poprosiła. - Czy możemy porozmawiać?

Dziewczyna zawahała się.

- No dobrze - mruknęła po chwili. Zamknęła koszyk, opuszczając wyściełane wieczko, ogarnęła wzrokiem inne dziewczęta, które znajdowały się w pokoju, i wstała. - Wyjdźmy na korytarz.

Kiedy opuściły salę i upewniły się, że nikt ich nie podsłucha, Rose ponowiła pytanie:

- Dolores, o co właściwie chodzi? Dlaczego powinnam według ciebie iść do lekarza?

- Rose... - zaczęła Dolores. Nie patrzyła na przyjaciółkę, wzrok utkwiała w obrazie świętego Marcina, wiszącym na ścianie. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że może jesteś w ciąży?

- To niemożliwe! - Rose aż się zachwiała, jakby ktoś zadał jej potężny cios.

- Dlaczego? - W dalszym ciągu Dolores wpatrywała się w aureolę nad głową świętego Marcina. - Kiedy miałaś ostatni okres?

Serce Rose załomotało gwałtownie.

- Przecież wiesz, że miewam je nieregularnie. Doktor Markey mówi...

- Czy miesiączkowałeś chociaż jeden raz, odkąd wróciłeś z domu?

- Nnnie, ale...

- Nie sądzisz, że to trochę za długa przerwa, nawet jak na ciebie?

- Dolores, nie mów tak! To niemożliwe!

Dolores spojrzała wreszcie prosto na nią i Rose dostrzegła w jej oczach głębokie współczucie.

- Nie twierdzą, że jesteś w ciąży - szepnęła łagodnie. - Ale uważam, że powinnaś to sprawdzić.

- Powiedziałam ci już, że to niemożliwe, abym była w ciąży! - Przy ostatnich słowach Rose mimo woli podniosła głos i natychmiast rozejrzała się z lękiem na wszystkie strony, ale w pobliżu nie było nikogo innego. - To niemożliwe - powtórzyła ciszej. Miała wrażenie, że ziemia kołysze się jej pod nogami.

- No dobrze. - Głos Dolores był teraz jakiś bezbarwny. - Zapomnijmy o tym. - Ruszyła z powrotem w stronę pokoju, z którego wyszły.

Rose, zdjęta nagle panicznym lękiem, chwyciła ją za ramię.

- Nie odchodź, proszę! - Odwróciła się twarzą do oszklonej biblioteczki stojącej pod ścianą, ale tytuły na grzbietach książek rozmazywały się jej przed oczyma. - Co ja teraz zrobię? - wyszeptwała. - Co teraz zrobię? Tu, w szkole, nie mogę o tym nikomu powiedzieć...

Poczuła, że Dolores podeszła bliżej.

- Pomogę ci. Zastanowimy się nad tym i na pewno coś wymyślimy.

Dzień przeszedł jakoś, podobnie jak powracające uporczywie momenty lęku, a wieczorem Rose i Dolores zaczęły się zastanawiać, w jaki sposób mogłyby poprosić o badanie nieznanego lekarza, tak aby zakonnice nie dowiedziały się o niczym. I właśnie Dolores wpadła na pomysł, żeby następnego dnia, w niedzielę, Rose zaczęła się uskarżać na ból zęba. Jedyne w przypadku wizyty u dentysty dziewczęta miały prawo opuszczać mury internatu bez towarzystwa którejś z zakonnicek, a gdyby Rose symulowała ból wystarczająco umiejętnie, mogłaby już w poniedziałek wyjść na zewnątrz.

- Ale my nie znamy w Dublinie żadnego lekarza prócz doktora Flanagana! - zawołała Rose. Doktor Flanagan już od dawna opiekował się uczennicami ze szkoły.

- Znajdziemy jakiegoś. - Dolores, zaaferowana, zmarszczyła czoło. - Poproszę przełożoną, żeby pozwoliła mi pójść z tobą. Na pewno nie będzie z tym problemu.

Tej nocy Rose leżała długo, nie mogąc zasnąć. Miała wrażenie, jakby przedzierała się

przez gęsty las, a grube gałęzie zagradzały jej drogę, oplatały ją i pozbawiały tchu, światła oraz powietrza. Co będzie, jeśli okaże się, że Dolores ma rację? Taka perspektywa była zbyt okropna, aby można było o niej w ogóle myśleć. Dziecko. Całe życie zmarnowane. Przyłożyła sobie dłonie do brzucha. Płaski i twardy, jak zwykle. Czy to możliwe, aby dojrzywało w nim dziecko? Jak mogłaby powiedzieć o tym matce, a nawet ojcu?

Siostra przełożona nie zapomniała o swoim zamiarze przeprowadzenia z rodzicami Rose rozmowy na temat listu od Johna, ale dziewczyna użyła drobnego podstępu: poprowadziła matkę do sadu pod pretekstem, że chciałyby z nią porozmawiać na osobności, ojcu zaś szepnęła dyskretnie, że przełożona chciałyby zamienić z nim parę słów.

- O czym? - Na jego okrągłej twarzy odmalowała się natychmiast troska. Nie lubił takich niespodzianek. Zazwyczaj w tego rodzaju wypadkach chodziło o pieniądze.

- Nie wiem, tato. - Rose wzruszyła ramionami. Liczyła na to, że ojciec, który jak ognia unikał wszelkich nieprzyjemnych sytuacji, nie wyjawি przed matką tematu swojej rozmowy w szkole. I rzeczywiście: ojciec postąpił tak, jak się tego spodziewała, a cały epizod poszedł w zapomnienie. Ale co teraz? W jaki sposób stawić czoło kolejnemu problemowi?

I jeszcze jedno: czy powinna napisać o tym do Johna? Napisać wprost, bez ogródek, jeśli oczywiście okaże się, że to prawda? Jej korespondencja z Johnem odbywała się ostatnio za pośrednictwem usłużnej koleżanki, która na noc wracała do domu, a możliwość odgrywania roli posłańca w prawdziwym romansie cieszyła ją niepomiernie. Wczoraj przyniosła kolejny list.

Tak więc Rose nie musiała się już obawiać, że przełożona pozna treść listu. Ale jak miałyby sformułować w nim taką wiadomość? *Drogi Johnie będziemy mieli dziecko...*

Nigdy dotąd nie czuła się tak samotnie jak teraz.

Zdecydowanym gestem odgarnęła kołdrę, wyskoczyła z łóżka i na palcach, aby nie zbudzić żadnej z zakonnicek ani koleżanek, przeszła do łazienki przy schodach. Napełniła umywalkę wodą i kilkakrotnie spryskała sobie twarz. Dziwne. Wcale nie miała teraz mdłości. Gdyby nie ten paniczny lęk, czułaby się zupełnie dobrze. Nadal polewała sobie twarz wodą, dopóki policzki nie zaczęły piec boleśnie. Dopiero wtedy zdołała się odprężyć. Może to fałszywy alarm, pomyślała z nadzieją. Wytarła twarz rękawem nocnej koszuli, po czym zamknęła się w kabinie, aby sprawdzić, czy nie zaczął się okres. Nie, jeszcze nie. Wśliznęła się z powrotem do łóżka.

Mimo wszystko zdołała wreszcie usnąć, wkrótce jednak otworzyła oczy i tak właśnie spędziła resztę nocy: to zasypiając na chwilę, to budząc się z powrotem. Poranny sygnał na pobudkę wyrwał ją z kolejnej drzemki tak brutalnie, że wyskoczyła z łóżka, zanim jeszcze

obudziła się naprawdę. Natychmiast uświadomiła sobie z ulgą, że mdłości ustąpiły. Wyszła do łazienki i ponownie zaczęła szukać śladów okresu. Bezskutecznie. A jednak niewykluczone, pomyślała, że Dolores zbyt pochopnie podniosła alarm. Dziwne, jak inaczej wszystko wygląda w świetle dnia.

Niestety, ta drobna dawka optymizmu ulotniła się jeszcze przed końcem mszy, a podczas porannych zajęć Rose znowu uległa panice.

* * *

Dentysta zalecany przez szkołę miał swój gabinet na Fitzwilliam Square, ale dziewczęta minęły jego drzwi, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Dolores, która miała w Dublinie krewnych, spędziła u nich wiele letnich wakacji i dzięki temu знаła miasto lepiej niż Rose, zaprowadziła koleżankę na Baggot Street, gdzie spodziewała się znaleźć budkę telefoniczną.

Budka rzeczywiście tam stała, ale w środku nie było książki telefonicznej. Rose, rozdrażniona od rana, rozplakała się.

- Przestań, Rose - powiedziała Dolores. - Płacz nic nam nie da. Pójdziemy do „Shelbourne”, tam na pewno mają książkę.

Rose zmobilizowała całą siłę woli, aby odzyskać panowanie nad sobą. Znała hotel „Shelbourne”, kilkakrotnie była tam z ojcem na herbacie, kiedy przyjeżdżali razem na doroczną wystawę koni.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziała Dolores, kiedy szły ulicą, wymijając przechodniów. - Trzeba coś wymyślić, na wypadek gdyby przełożona dowiedziała się, że nie poszłaś do dentysty. Może jednak byłoby lepiej pójść do niego i udać, że pomyliłaś godziny przyjęć. Co ty na to?

Rose kiwnęła głową. Miała wrażenie, że w swoich szkolnych mundurkach obie rzucają się wszystkim w oczy, była też przekonana, że ludzie patrzą zwłaszcza na jej brzuch.

Kiedy doszły do hotelu, Dolores wbiegła na schodki i pchnęła drzwi obrotowe z tak pewną miną, jakby przychodziła tu codziennie. O tak wczesnej porze w „Shelbourne” panował spokój, nie było nawet śladu tego rozgardiaszu, jaki Rose pamiętała z dni, kiedy w mieście odbywała się wystawa koni. W recepcji stało jedynie paru turystów, a przy ladzie rozmawiało po cichu dwóch portierów. Na pytanie o książkę telefoniczną pokazali Dolores, gdzie są telefony, po czym obie udały się w tamtą stronę.

Postanowiły poszukać wśród O'Sullivanów, gdyż Dolores uznała, że skoro w Dublinie mieszka wielu ludzi o tym nazwisku, przynajmniej jeden albo nawet dwóch z nich będzie

lekarzami.

Zanim jednak odnalazły w książce pierwszego z O'Sullivanów, ich wzrok padł na figurującą poniżej niejaką Margaret Osuma. Była ginekologiem, przyjmowała w Blackrock.

- To kawał drogi stąd - zaproponowała Rose. - Zresztą to nie jest irlandzkie nazwisko.

- Bzdura! - orzekła Dolores. - Margaret to irlandzkie imię, może nie? Może po prostu wyszła za cudzoziemca. A na Merrion Square złapiemy autobus. Ani się obejrzysz, jak będziemy na miejscu.

- Skąd wiesz, że ona nas przyjmie?

- Dowiem się, kiedy do niej zadzwonię.

W recepcji skierowano je do budki telefonicznej, do której weszła tylko Dolores. Rose, nadstawiając ucha, zorientowała się ze słów wypowiedzianych przez przyjaciółkę, że mogą zostać przyjęte o drugiej piętnaście.

- To za późno! - wyszeptała gorączkowo, ale Dolores, ignorując ją, podawała już jej nazwisko.

- O'Beirne Moffat - mówiła powoli i wyraźnie. - Nie, to będzie pierwsza wizyta.... Tak, dziękuję bardzo. - Odwiesiła słuchawkę. - Posłuchaj - odwróciła się do Rose. - W naszej sytuacji nie możemy być wybredne.

- Ale jak wytłumaczymy potem tak długi pobyt na mieście?

- Jakoś sobie poradzimy.

Zanim udały się do dentysty, przebrnęły przez lawinę pytań na temat nieporozumienia z porą wizyty, zadzwoniły do internatu oraz złapały autobus do Blackrock, minęło południe.

- A nie mówiłam? - zawołała z triumfem Dolores, kiedy jechały wzdłuż Booterstown Road. - Czas minął szybciej, niż myślałaś!

Dzień był chłodny, ale pogodny, i Rose częściowo zapomniała o swoim zmartwieniu, zaabsorbowana nowym wrażeniem; po raz pierwszy jechała piętrowym autobusem, i to na górze. Droga do Blackrock wiła się wzdłuż brzegu, przedmieścia Dublina przechodziły łagodnie w malownicze wzgórza. Po lewej stronie dostrzegły pociąg, który zdążał w tym samym kierunku i w tym samym tempie. Lokomotywa wyrzucała w przejrzyste powietrze ciemne kłęby dymu, przywodzące na myśl nieskończony ciąg grubych przecinków.

- Nie chciałabyś teraz jechać tym pociągiem? - zapytała Dolores z rozmarzonym wyrazem twarzy. - Ciekawe, dokąd by nas zawiózł.

* * *

Dla Rose było to pierwsze w życiu badanie ginekologiczne i chociaż doktor Osuma,

która okazała się jednak Irlandką, a nie cudzoziemką, była wobec niej niezwykle delikatna i miła, dziewczyna nie potrafiła się pozbyć uczucia zakłopotania, a nawet wstydu.

- Już dobrze, ubierz się, Rose - powiedziała wreszcie lekarka. - Czy ktoś przyszedł razem z tobą?

Walcząc ze łzami, Rose jedynie kiwnęła głową.

- A kto? - zapytała łagodnie pani Osuma, ujmując jej dłoń.

- Moja... moja przyjaciółka ze szkoły - wyszeptała Rose.

- W takim razie poproś ją, aby tu weszła, dobrze? - To mówiąc, doktor Osuma ścisnęła jej rękę, jakby pragnąc w ten sposób dodać dziewczynie otuchy, po czym wróciła za biurko, zostawiając pacjentkę za parawanem.

Rose ubrała się, jak mogła najszybciej, następnie poprosiła do gabinetu Dolores. We dwie usiadły przed zawalonym jakimś papierami biurkiem, a lekarka poinformowała je, że według niej Rose jest w ciąży. Rose zbladła, świat zawirował jej przed oczyma, słowa pani Osuma słyszała teraz jakby z dna oceanu. Dolores wzięła przyjaciółkę za rękę i nie wypuszczała jej dłoni ze swojej.

- Naturalnie całkowitą pewność uzyskamy dopiero po otrzymaniu z laboratorium wyników testu, ale sądzę, że nie ma żadnych wątpliwości...

„Sądzę, że nie ma żadnych wątpliwości”. Te słowa rozbrzmiewały nieprzerwanie w głowie Rose, ale jakoś nie potrafiła pojąć ich sensu. W pewnej chwili zorientowała się, że lekarka patrzy na nią takim wzrokiem, jakby czekała na odpowiedź.

- Słucham? - zapytała i poczuła silny uścisk dłoni Dolores.

- Co zamierzasz teraz zrobić, moja droga? - powtórzyła pani Osuma.

„Sądzę, że nie ma żadnych wątpliwości”, pomyślała ponownie Rose. Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Czy twoja matka żyje?

Przytaknęła bez słowa. Całe badanie, gabinet lekarski, łagodne słowa doktor Osuma - to wszystko wydawało jej się zupełnie nierealne. Przed sobą, na biurku, dostrzegła dwie umieszczone w skórzanym pudełku niewielkie kości. Jedna z nich była na końcu zaokrąglona, druga - wklęsnięta. Najwidoczniej miały tworzyć razem jedną całość, pewnego rodzaju połączenie. Rose chciała już zapytać, co to za kości, uformowane w tak doskonały sposób... Uświadomiła sobie jednak, że pani Osuma nadal coś do niej mówi.

- Im szybciej dowie się o tym twoja matka, tym lepiej, ale oczywiście, jak już powiedziałam: musimy teraz poczekać na wyniki testu.

Ponieważ Rose w dalszym ciągu jedynie patrzyła przed siebie w milczeniu, lekarka

zwróciła się do Dolores:

- Czy będziesz mogła jej pomagać? Ona będzie teraz potrzebowała przyjaznej duszy jak nigdy przedtem.

Rose dostrzegła, a raczej poczuła, z jakim zapalem Dolores kiwa głową.

- Proszę zadzwonić do mnie w czwartek. - Pani Osuma nadal zwracała się do Dolores. Wyjęła bloczek i zapisała coś na kartce. - To numer mojego telefonu domowego. Wynik powinnam znać w czwartek po południu.

- Dziękuję, pani doktor - powiedziała Dolores, biorąc kartkę. - Bardzo dziękujemy. - Zawahała się. - Ale jest jeszcze jakaś nadzieja, nieprawdaż?

- Jak już mówiłam, całkowitą pewność uzyskamy dopiero w czwartek... ale nie liczyłabym za bardzo na inny wynik. Szyjka macicy jest zamknięta, co wskazuje raczej nie-dwuznacznie na ciążę. - Rozmawiała teraz z Dolores, tak jakby były tu same, a Rose, patrząc na dwie kości leżące na biurku, ujrzała nagle znowu tamten pociąg, sznur zielonych wagonów, ciągniętych przez lokomotywę i połyskujących w słońcu. To wszystko odbywało się jakby we śnie. No tak, za chwilę się obudzi i wszystko okaże się po prostu dziwnym majakiem. Otworzy oczy i ujrzy ściany sali sypialnej w internacie albo swoje wygodne łóżko w Sundarbans.

- Proszę być ze mną w kontakcie - mówiła akurat lekarka. A przynajmniej Rose miała wrażenie, że słyszy te słowa. Nie mogła się skoncentrować i była uszczęśliwiona, że jest przy niej Dolores, która prowadzi za nią tę rozmowę.

- Bardzo dziękujemy, pani doktor - dobiegł ją głos Dolores.

Odwróciła się do wyjścia, ale musiała poczekać, gdyż wyglądało na to, że Dolores nie skończyła jeszcze rozmawiać z lekarką. Mówiła coś do pani Osuma, jej słowa rozbrzmiewały w tym gabinecie to głośniejsze, to ciszsze; przypominały trochę sposób, w jaki grało stare radio w kuchni w Sundarbans. Rose usłyszała jeszcze jej głos:

- Zastanowimy się nad tym - a potem poczuła, że Dolores bierze ją za rękę, mówiąc przy tym: - Chodźmy, Rose.

Nawet jej imię zabrzmiało teraz jakoś dziwnie. Pociągnięta, ruszyła przed siebie, pozwalając bezwolnie wyprowadzić się z gabinetu.

ROZDZIAŁ 7

Na miejsce spotkania z rodzicami Rose wybrała mały salonik.

Po wizycie u doktor Osuma zastanawiała się wraz z Dolores, czy nie powinna po prostu uciec stąd i urodzić dziecko anonimowo w Londynie, obie odrzuciły jednak natychmiast ten pomysł jako nieżyciowy. Nawet gdyby Rose sprzedała swoje ametysty, nie uzyskałaby za nie kwoty, która zapewniłaby jej utrzymanie na sześć miesięcy.

Decyzja o pozostaniu tutaj zapadła w pewną zimną, nieprzyjemną sobotę na początku grudnia, kiedy obie - jak zwykle - naradzały się w składziku.

- Mogłabym przecież pracować - zasugerowała Rose bez większego entuzjazmu.

- A gdzie? - Dolores aż uniosła wysoko brwi.

- Na przykład jako kelnerka w kawiarni.

- Rose, bądź rozsądna. Kelnerka bez doświadczenia? W dodatku z dużym brzuchem? I gdzie byś mieszkała?

- Inni pracują.

- Wiem, Rose. Ale ty nie jesteś „inni”. Czy zmyłaś kiedykolwiek własnoręcznie choć jeden talerz?

Rose zwiesiła głowę. Zmęczona ciągłą bezsennością - i to do tego stopnia, że zakonnice zaczęły się już uskarżać na widoczny u niej brak skupienia podczas lekcji - odnosiła ostatnio wrażenie, jakby całe jej życie uległo w pewnym sensie uproszczeniu i koncentrowało się wyłącznie na brzuchu, gdzie rośło dziecko. Jej emocje miały się cały czas pomiędzy uczuciami to szaleńczej paniki, to znów przygnębienia wywołanego świadomością braku perspektyw. Ulga przychodziła jedynie na krótko, wraz ze snem.

- Posłuchaj... - Dolores skrzyżowała ręce na piersiach, jakby podjęła już ostateczną decyzję, - Chyba wiesz, co masz zrobić. Jedyne wyjście to pojechać do domu i wyznać rodzicom całą prawdę. Może nie będzie to takie straszne, jak ci się wydaje... - dodała bez większego przekonania. Obie wiedziały doskonale, że ciąża bez ślubu to nadal najcięższe przestępstwo, jakiego może się dopuścić dziewczyna w zaściankowej Irlandii.

- Nie wyobrażam sobie takiej rozmowy z rodzicami - szepnęła Rose.

- Jeśli myślisz, że to w czymś pomoże, pojedę z tobą do nich - zaproponowała Dolores.

- Pojechałabyś ze mną do Sundarbans? - Rose była zaskoczona i zarazem wzruszona faktem, że jej przyjaciółka jest gotowa uczynić dla niej tak wiele. Przyszło jej na myśl, że

może powinna ostrzec Dolores przed ewentualnymi konsekwencjami takiego kroku. -
Poznałaś już moją matkę, wiesz, jaka ona jest, czyż nie?

- Naturalnie. Ale jej reakcja może cię zaskoczyć. Ostatecznie jesteś jej jedynym dzieckiem.

- Jest jeszcze coś - nie ustępowała Rose. - Święta Bożego Narodzenia w Sundarbans są bardzo, bardzo nudne.

- Posłuchaj, Rose - przerwała jej Dolores. - Nie wiem, jak sobie wyobrażasz moje życie i nawyki, ale wcale nie przepadam za zgiełkiem i konfliktami. Pobyt u ciebie byłby dla mnie okazją do wypoczynku. Zabierając mnie ze sobą, wyświadczyłybyś mi dużą przysługę!

Ale Rose, wiedząc, jak jest naprawdę, odczuła wobec Dolores głęboką wdzięczność. Zdobyła się nawet na uśmiech.

- Jesteś cudowną przyjaciółką!

- Nonsens! Ty zrobiłabyś dla mnie to samo.

I oto ta straszliwa chwila nadeszła, a one obie siedziały przy palisandrowym stole pod oknem niewielkiego salonu w Sundarbans, podczas gdy na dworze wiatr nucił coś pod okapem i szumiał wśród liści. Ale w pokoju było cicho i przytulnie, a blask płomieni z kominka tańczył wesoło na złocistej sierści jednego z pekińczyków, który pomrukiwał przez sen w swoim koszyku.

Dziewczęta udawały, że pochłania je gra w karty, w rzeczywistości jednak czekały pełne napięcia na rodziców Rose.

- Nie jest ci zimno? - zapytała wreszcie Rose, wstając, aby dołożyć do ognia. Próbowała spojrzeć na dom oczyma Dolores i wtedy dostrzegła, jak bardzo podupał. Ale przynajmniej, pomyślała, mamy jeszcze mnóstwo drewna na opał.

- Nie, jest w sam raz - odparła Dolores. - Siadaj przy mnie i uspokój się. Niedługo będzie po wszystkim, a my będziemy wiedziały, jak sprawy się mają.

Rose podniosła karty, ale jej ręce drżały coraz silniej. Zamierzała wyznać rodzicom swój straszliwy sekret dopiero po Bożym Narodzeniu, Dolores jednak uznała, że takie odwlekanie jest bez sensu.

- Oni i tak wyczują, że coś nie jest w porządku, Rose. Spójrz na siebie. Już teraz twoi rodzice pytają, czy coś ci dolega. Najlepiej wyrzucić to z siebie od razu, jak najwcześniej.

Na schodach rozległy się kroki dwojga ludzi, ciężkie mężczyzny oraz lekkie kobiety. Rose w jednej chwili okryła się potem.

- Och, tu sobie siedzicie! - zawołał Gus, otwierając drzwi salonu. - Pani McKenna twierdzi, że kolacja jest prawie gotowa. Mam nadzieję, że lubisz wątróbkę, Dolores? Na

indyka i inne tego rodzaju smakołyki będziemy mieli mnóstwo czasu jutro i w następane dni.

- Uwielbiam wątróbkę, proszę pana.

- To doskonale. Myślę, że zrobię sobie drinka... A ty, moja droga? - zwrócił się do żony. - Napijesz się?

Matka Rose odmownie pokręciła głową. Podeszła do sofy i podniosła z niej swoją robótkę. Piła wyjątkowo rzadko, najwyżej kieliszek sherry w święta lub szampana podczas większych uroczystości, ale weszło już w zwyczaj, że Gus żartobliwie proponował jej kieliszek za każdym razem, kiedy nalewał dla siebie. Spojrzał na córkę i Dolores.

- A wy, dziewczęta? Macie ochotę na lemoniadę?

- Nie, dziękuję - odparły zgodnie, ale tylko Dolores powiedziała te słowa na tyle głośno, aby można je było usłyszeć.

- W takim razie zostałem sam - mruknął. Odwrócił się i nalał sobie solidną porcję whisky. - To dziś mój pierwszy drink. - Podniósł szklaneczkę pod światło, delektując się barwą trunku, po czym usadowił się wygodnie w fotelu obok kominka. Pekińczyk wstał, ziewnął i przeciągnął się jak kot, następnie okręcił się dwukrotnie i znowu opadł na swoją poduszkę.

Rose nie patrzyła na Dolores, czuła jednak wyraźnie jej intensywny, naglący wzrok. Wyobraziła sobie własny głos, oznajmiający nowinę, która niczym bomba zniszczy w jednej chwili spokój tego domu. Zamknęła oczy. Wrażenie, że już przemówiła, było tak silne, że kiedy otworzyła oczy z powrotem, zaskoczył ją brak reakcji na wypowiedziane rzekomo słowa.

Zebrała się na odwagę.

- Tatusiu? Mamusiu? - Tak zdrobniałej formy wobec matki nie używała, odkąd ukończyła trzy lata.

- Hm? - mruknął Gus, wpatrzony w płomienie na kominku.

- O co chodzi? - zapytała matka.

Kątem oka Rose dostrzegła, że i ojciec odwrócił się do niej.

- Mam, niestety, złe wieści. Bardzo złe...

- Co się stało? Mów, Rose, nie jąkaj się! - W ostrym głosie Daphne zabrzmiał niepokój.

Rose spojrzała na nią dzielnie, podniosła wzrok na drobną, bladą twarz, okoloną nieskazitelną fryzurą.

- Jestem w ciąży - powiedziała. Teraz, kiedy to wreszcie wyznała, ze zdumieniem poczuła olbrzymią ulgę.

- Co takiego? - Gus aż podniósł się z fotela. Nie patrzył na Rose, lecz na żonę.

Daphne O'Beirne Moffat siedziała jak skamieniała, swoje szydełko trzymała nad robótką haczykiem do przodu, jakby chciała zadać nim komuś cios.

- Słucham? - zapytała złowróbnym szeptem.

- Jestem w ciąży - powtórzyła Rose bezbarwnym głosem. - Będę miała dziecko.

- Jesteś w ciąży...

- Tak, mam. - Rose przeniosła wzrok na ojca. - Przepraszam, tato.

Gus przeniósł się na sofę, usiadł obok żony.

- Czy... czy jesteś tego pewna, kochanie? - zapytał.

Rose spojrzała na swoją przyjaciółkę, błagając ją spojrzeniem o pomoc. Twarz Dolores pokryła się jaskrawym rumieńcem.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, proszę pana - odparła. - To już pewne. Byliśmy u lekarza.

- A cóż to może obchodzić ciebie, jeśli wolno zapytać? - Głos Daphne był zimny jak bryła lodu.

- Bardzo mnie to obchodzi, pani O'Beirne Moffat. Rose jest moją najbliższą przyjaciółką.

- Ja jednak chciałabym porozmawiać z córką bez świadków, jeśli pozwolisz, Dolores.

- Daphne odłożyła na bok robótkę i złożyła dłonie na kolanach. Czekwała.

Dolores wstała z krzesła.

- Naturalnie, proszę pani. Naturalnie. - Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. - Będę na górze, w twoim pokoju, Rose - poinformowała.

- A teraz, moja panno... - powiedziała Daphne, kiedy Dolores zamknęła za sobą drzwi - chciałabym się dowiedzieć, jak to się stało? - Jej ostry głos zdawał się wrzynać w Rose niby stalowe ostrze.

Dziewczyna nie podnosiła oczu znad wypłowiałego dywanu.

- Daphne, proszę cię... - odezwał się Gus.

Rose spojrzała na niego z wdzięcznością. Twarz ojca była purpurowa, machinalnie miętosił frędzle u poręczy sofy.

- Chcę wiedzieć, jak to się stało - nalegała Daphne. - Kto jest ojcem?

- Jak to ma teraz znaczenie? - zapytała Rose, unosząc głowę.

- Nie mów do mnie takim tonem! Kto jest ojcem?

Ale Rose za nic na świecie nie zdradziłaby Johna Flynna. Zaciśnęła usta w niemym uporze.

- Rose! Masz w tej chwili odpowiedzieć na moje pytanie! - Jej matka siedziała teraz w pozie drapieżnika szykującego się do skoku.

- Daphne! - Gus zerwał się na równe nogi. - Jestem pewien, że Rose powie nam wszystko. Prawda, Rose?

- Tato, naprawdę, czy to teraz takie ważne? - Czuła niechęć do samej siebie, stawiając ojca w centrum tej burzy, nie zamierzała jednak zdradzać Johna.

Usłyszała zgryźliwy głos matki:

- Ty mała, głupia... mała... - i ujrzała, jak jej ładna twarz przemienia się w brzydką, wykrzywioną maskę. Uświadomiła sobie teraz, że nawet w momentach skrajnego wzburzenia matka nie potrafi się zdobyć na to, aby powiedzieć coś brzydkiego. Samokontrola była według niej jedną z głównych cnót człowieka.

Usta Daphne wykrzywiały się coraz bardziej, aż w końcu wykrzyknęła:

- Czym sobie zasłużyłam na to wszystko? Czym sobie zasłużyliśmy na to, ja i twój ojciec? Co za hańba... - Nagle, ku przerażeniu córki, rozplakała się. Nie usiłowała nawet powstrzymać łkania, grube łzy toczyły się po jej przypudrowanych policzkach. Gus usiłował pogłaskać ją po ramieniu, ale ona odrzuciła gwałtownie jego dłoń. - Ty też nie jesteś lepszy! - zawołała łamiącym się głosem. - To wszystko twoja wina! Gdybyś nie był wobec niej taki wiecznie wyrozumiały... - Odwróciła się do męża i uniosła zaciśnięte pięści, jakby chciała załomotać o jego pierś. - Ile razy powtarzałam ci...

Nigdy przedtem Rose nie widziała matki w takim stanie. Odrzucając pozę biernego obserwatora, zawołała na tyle głośno, aby ją przekrzyczeć:

- Przestań, mamó, przestańcie oboje!

Pekińczyk, spłoszony niezwykłym hałasem, wyskoczył z koszyka i, poszczekując zawzięcie, pobiegł do drzwi.

Daphne umilkła. Ukryła twarz w dłoniach i szlochała żałośnie. Pekińczyk nie przestawał ujadać. Rose otworzyła drzwi, aby wypuścić psa z pokoju. Była wstrząśnięta. Rozpacz matki przerażała ją bardziej niż jej gniew.

- Proszę cię, mamó - jęknęła. - Proszę... To... to wszystko nie ma nic wspólnego z tatą... Nie obwiniaj go, błagam! To tylko moja wina. Sama napytałam sobie biedy!

- Doprawdy? - warknęła Daphne. - Sama? - Otarła sobie oczy wierzchem dłoni i Rose dostrzegła z ulgą, że matka odzyskuje już panowanie nad sobą. Ostrożnie ruszyła w jej stronę, ale Daphne zawołała znowu: - Jak mogłaś mi to zrobić? Nie tylko mnie... Nam! Po tym wszystkim, co dla... I kto jest ojcem? Żądam, abys wyjawiała nam jego nazwisko!

Rose zebrała całą swoją odwagę.

- Mamo, powiedziałam już... - Mówiła cicho, w przeciwieństwie do wzburzonej matki.
- Jego nazwisko nie jest tu istotne. - Przełknęła ślinę. - Ja go kocham.

- Kochasz? - rzuciła wzgardliwie Daphne.

- Tak, kocham go, mamo. Kocham go całym sercem.

- W takim razie powiedz nam, kto to jest! - Daphne podeszła do stolika przy drzwiach, gdzie leżała jej torebka, wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos. Następnie wsunęła chusteczkę na miejsce, zamknęła torebkę i wróciła na sofę. - Wydaje mi się, że już wiem - mruknęła. - To stało się tej ostatniej nocy, zanim wyjechałaś, nieprawdaż? Zanim pojechałaś do szkoły? Kiedy wróciłaś do domu nad ranem?

Rose obrzuciła ją krótkim spojrzeniem, przeniosła wzrok na ojca.

- Tato, chyba to już wszystko, co wam chciałam teraz powiedzieć. Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro, że postawiłam cię... was oboje... w tak niezręcznej sytuacji.

- On będzie musiał się z tobą ożenić! - zawołała Daphne. Opuściła wzrok na swoje splecione dłonie. - Chociaż z drugiej strony... - dodała z namysłem - nie dopuszczę do tego. Nie mogłabym żyć pod jednym dachem z ...

- Nie będziesz musiała, mamo - odparła Rose. - Na pewno do tego nie dojdzie.

- Cóż, nie myśl przypadkiem, że zostaniesz tu z nami.

- Nie - zgodziła się Rose. - Wcale tak nie myślę.

- Posłuchajcie, bardzo was proszę.. - przerwał im Gus. - Uspokójmy się i przedyskutujmy to bez emocji, jak nakazuje rozsądek.

- Rozsądek? Gdybyś postępował ze swoją córką rozsądnie, nie doszłoby do tej hańby!
Gus nie zwracał uwagi na żonę.

- Czy zakonnice w internacie wiedzą o tym? - zapytał.

- Nie, tato, nie mają zielonego pojęcia.

- To dobrze, przynajmniej jeden problem z głowy - mruknął Gus. Jego rumiane czoło pokryło się zmarszczkami i Rose zorientowała się, że ojciec poszukuje intensywnie jakiegoś wyjścia najlepszego zarówno dla niej, jak i dla jej matki. Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo go kocha.

- Tatusiu - powtórzyła - przykro mi, że wszystko potoczyło się w taki sposób, naprawdę mi przykro. - Zapragnęła z całego serca podejść do niego, paść mu w ramiona i błagać o wybaczenie. Marzyła, aby ojciec zrobił coś, naprawił to, co złe, wiedziała jednak, że jest za późno. Teraz nikt już nie mógł tego naprawić. Ojciec uczyniłby dla niej wiele, bardzo wiele, ale na pewno nie przeciwstawiłby się matce. A postawa Daphne potwierdziła tylko najgorsze obawy Rose.

W tym momencie wszelkie dyskusje, jakie prowadziły z Dolores w internacie, zaowocowały jednym wnioskiem: sześć najbliższych miesięcy to dla niej perspektywa samotnego borykania się z problemem.

Matka nigdy nie zaakceptuje obecności chłopca ze stróżówki w swoim domu; Dolores, choć zrobiłaby dla niej wszystko, co tylko możliwe, musi wracać do Dublina i zająć się nauką, aby uzyskać świadectwo ukończenia szkoły; byłoby z kolei bez sensu absorbować tą sprawą Johna, a zresztą, nawet gdyby mu o wszystkim napisała, w jaki sposób mógłby jej pomóc, przebywając na drugim krańcu świata? Kiedyś poinformuje go o dziecku, ale z pewnością nie teraz.

Tak, pomyślała Rose, podejmując ostateczną decyzję: sześć najbliższych miesięcy to perspektywa samodzielnego życia, za które ponoszę całkowitą odpowiedzialność.

* * *

Nikt z nich nie zjadł tego wieczoru kolacji, a reszta świąt upłynęła w atmosferze pełnej napięcia i przygnębienia. Z jakiegoś dla niej samej nie w pełni zrozumiałego powodu Rose, mimo napomnień i błagań matki, nie poszła do spowiedzi. W rezultacie Daphne zachowała urażone milczenie, tak hermetyczne i zarazem męczące dla pozostałych, że każda zwykła prośba przy posiłku, na przykład o podanie soli, była spełniana nadzwyczaj skwapliwie i z wielką ulgą przez siedzącą najbliżej osobę.

Gus, Dolores i babcia Rose usiłowali stworzyć pogodny nastrój, ale świadomość tej nieszczęsnej ciąży kładła się na wszystkich ponurym cieniem podczas pasterki w wieczór wigilijny, jak również podczas świątecznego obiadu nazajutrz. Napięcie udzieliło się także Dolores, w związku z czym Rose poczęła nalegać, aby przyjaciółka jak najprędzej wróciła do domu. Dolores, jak zwykle lojalna, protestowała początkowo, ustąpiła jednak w końcu po szczególnie przykrej i milczącej kolacji.

Nazajutrz po południu przyjaciółki zegnały się na przystanku autobusowym w Carrickmacross.

Do miasteczka pojechały dwukołowym wózkiem ciągniętym przez kuca, a kiedy zostawiły już za sobą wzgórze i skręciły w główną ulicę, rozplakały się obie.

- Będziesz pisać? - zapytała Dolores.

- Co tydzień - obiecała Rose. - Jak tylko się gdzieś urządzę, powiadomię cię, gdzie jestem. - Przyszłość jawiła się jej w tak niepewnym świetle, że ogarniał ją lęk. - Jedno jest dla mnie jasne: tutaj nie pozwolą mi zostać - dodała. - Och, Dolores, tak bardzo się boję! - Załkała i natychmiast wzięła się w garść; musiała teraz starać się zachowywać jak dorosła

kobieta. W końcu niedługo zostanie matką. Całą noc spędziły z Dolores na rozmowie, wyobrażając sobie, jak to będzie. Czy ciąża wiąże się z dużym bólem, czy zobaczy dziecko od razu po porodzie i czy ono jej się spodoba, a także: czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka?

- Nie bój się - pocieszała ją Dolores. - Wiesz, chciałabym być teraz z tobą. Naprawdę! Wołałabym przechodzić to wszystko sama niż zamartwiać się, jak sobie dasz radę. Czuję się taka bezradna - a tego właśnie nie cierpię! Chciałabym przynajmniej być cały czas przy tobie.

- Nie bądź niemądra! Ale będziesz pisać, prawda? I myśleć o mnie?

- Będę myślała o tobie cały czas, możesz mi wierzyć. I wyobraź sobie, Rose: latem będzie już po wszystkim! Może... - zawahała się - może przyjechałabyś wtedy do Galway.

- Zobaczymy - odparła Rose. W głębi duszy była pewna, że tego nie zrobi. - Proszę cię tylko o jedno - dodała. - Nie. zapomnij o Johnie, dobrze? - Aby korespondencja Rose z Johnem mogła trwać nadal bez przeszkód, obmyśliły już całą skomplikowaną procedurę: pisząc do niego, Rose podawałaby na kopercie adres szkoły i wysyłałaby list do przyjaciółki. Dolores z kolei wysyłałaby go do Johna, na Wyspę Księcia Edwarda, a w celu uniknięcia szkolnej cenzury korzystałaby z usług owej koleżanki, która nie nocowała w internacie i która pomagała już w minionym semestrze.

- Oczywiście, że nie zapomnę - przyrzekła Dolores. - Możesz na mnie polegać, przecież wiesz o tym. Ale... - zawahała się - ... czy jesteś całkowicie pewna, że nie powinnaś powiadomić Johna o ciąży?

Twarz Rose stężała.

- Podjęłam już decyzję.

- To o czym będziesz pisać w listach do niego?

- Przecież wiesz, że mam zostać pisarką. Musisz we mnie wierzyć! - Rose chciała się roześmiać, ale łzy zamieniły jej śmiech w nerwowy chichot. W tej samej chwili na drodze ukazał się autobus. - Och, Boże! - Objęła przyjaciółkę, gwałtownie przytuliła ją do siebie. - Co ja pocznę bez ciebie, Dolores?

- Jestem pewna, że dasz sobie doskonale radę - szepnęła Dolores przytłumionym, łamiącym się głosem.

- Może już nigdy cię nie zobaczę!

- Naturalnie, że zobaczysz. I pamiętaj, że myślami będę stale przy tobie. Zawsze. Do widzenia, Rose. - Pocałowała Rose w policzek.

- Do widzenia, najdroższa Dolores. - Rose nie usiłowała nawet oddać pocałunku. Jak przez mgłę widziała przyjaciółkę, która wsiadała do autobusu, ale kiedy kierowca ruszył z przystanku, łzy przesłaniały już Rose widok do tego stopnia, że twarz Dolores, przyklejona do

szyby, wydała jej się zaledwie bladą, rozmazaną, owalną plamą.

* * *

W przedostatni dzień grudnia Rose z ojcem wsiedli do tego samego autobusu kursującego do Dublina. Daphne nie odprowadziła ich; chciała to zrobić babcia, ale Rose ubłagała ją, żeby została w domu.

- Proszę cię, babciu, nie zniosłabym tego, gdybym miała siedzieć w autobusie i patrzeć, jak machasz mi na pożegnanie. Proszę, nie odprowadzaj nas! Napiszę do ciebie, gdy tylko przyjadę na miejsce.

Babcia była wstrząśnięta i zrozpaczona, kiedy dowiedziała się o ciąży wnuczki, ale gdy minął pierwszy szok, okazała się o wiele bardziej wyrozumiała niż Daphne. Nie było to dla Rose większym zaskoczeniem. Odkąd jej syn się ożenił, pozycja Nancy O'Beirne Moffat w Sundarbans wyraźnie się zmieniła na gorsze, a ona sama nigdy nie przeciwstawiła się otwarcie synowej. W ostatnim tygodniu przed wyjazdem z domu Rose spędzała wiele czasu w sypialni babci, Nancy jednak nie mogła jej ofiarować nic prócz słów pocieszenia oraz wyrozumiałości.

Tego samego dnia, kiedy wyjechała Dolores, Daphne udała się wieczorem do proboszcza i dzięki jego wstawiennictwu uzyskała dla Rose miejsce w londyńskim Magdalen Home, klasztorze usytuowanym w pobliżu King's Cross, gdzie znajdowały opiekę niezamężne dziewczęta i kobiety w ciąży. Kilka podobnych obiektów znajdowało się także w samej Irlandii, tamte jednak były zbyt blisko domu.

- Nie chcę jechać do Magdalen Home, babciu! - zawołała Rose, kiedy dowiedziała się, dokąd ma zostać wysłana. Przytuliła się do Nancy, szlochając żałośnie. - Nie cierpię Londynu! Nie znam tam nikogo!

- W Londynie nawiązesz nowe przyjaźnie, kochanie - pocieszała ją Nancy. - Nie przejmuj się. Jestem pewna, że spotkasz tam również inne dziewczęta z Irlandii. Po prostu bądź grzeczna, rób to, co do ciebie należy, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. To tylko sześć miesięcy, kochanie. A potem będziesz miała całe życie przed sobą.

Ani Daphne, ani Gus nie wymienili do tej pory imienia Johna Flynn'a, ale Rose zwierzyła się babci już przedtem, kogo kocha, a teraz poczuła silne pragnienie, aby porozmawiać z kimś o nim. I wreszcie poruszyła ten temat w przeddzień wyjazdu do Londynu, kiedy wieczorem weszła do sypialni babci, aby życzyć jej dobrej nocy. Nancy leżała na wznak, z dłońmi splecionymi pod głową, całkowicie ubrana, jakby to nie była jeszcze pora snu.

- Usiądź, Rose - poprosiła wnuczkę. - Napijesz się herbaty? - Wskazała na termos stojący na stole.

- Nie, dziękuję, babciu. Chciałam ci tylko powiedzieć „dobranoc”.

- Usiądź przy mnie. - Nancy poklepała łóżko. - Masz ochotę na rozmowę?

- Raczej nie. - Rose, siedząc na łóżku, obrysowywała palcem deseń kołdry. - Nie ma już chyba o czym mówić. Powiedziałyśmy sobie wszystko.

- Jutro wyjeżdżasz.

- Tak. Och, babciu, nawet nie wiesz, jak się boję!

- Wiem, kochanie, wiem.

- Tak bardzo za nim tęsknię... - Głos dziewczyny przeszedł w szept..

- Domyślam się, kochanie. Ale wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz sama. Pamiętaj, że to tylko kwestia sześciu miesięcy. Wcześniej nie spotkałabyś się z nim tak czy inaczej, prawda?

- Masz rację, babciu. - Rose wstała z łóżka i podeszła do okna. Rozsunęła na boki ciężkie kotary, ale w ciemnej szybie nie dostrzegła nic prócz własnego odbicia. - Tylko że... wiele się zmieniło. Wszystko jest teraz takie... takie... - Nie potrafiła dokończyć myśli. Wszystko jest... jakie?

- Babciu, chciałabym cię o coś zapytać. Nie zawiadomiłam Johna o dziecku. Czy sądzisz, że powinnam? - Z trudem wymówiła najdroższe imię.

- To zależy.

- Od czego? - Rose odwróciła się do babci.

- Od tego, jakie masz zamiary na przyszłość, kochanie. Układasz sobie teraz własne życie. To naprawdę zależy od ciebie. Wiem, że wolałabyś usłyszeć od kogoś, jak powinnaś postąpić. Ale tak już jest z dziećmi. Dorastanie to trudny i skomplikowany proces, na tym jednak właśnie polega życie.

- Nie potrafię podjąć decyzji.

- Ale w końcu ją podejmiesz, Rose. I jestem całkowicie pewna, że będzie to decyzja słuszna. Nie śpiesz się z tym, przemyśl sobie wszystko. Wierzę w ciebie, kochanie.

- Mama nigdy mi nie wybaczy...

- Och, przyjdzie dzień, że ci wybaczy, tym się nie przejmuj. Dla niej to teraz wielki szok, jest kobietą z określonymi zasadami. Ale z czasem oswoi się z tą myślą. Ona cię kocha... wszyscy cię kochamy, Rose. Niedługo znowu będziesz razem z nami.

Rose podbiegła do niej, rzuciła się w jej miękkie ramiona. - Och, babciu, to wszystko jest takie trudne! Nie dam sobie rady!

- Naturalnie, że sobie poradzisz, kochanie. Jestem tego pewna. Bóg zawsze przychodzi z pomocą, kiedy brzemień staje się zbyt ciężkie.

- Ale ja okryłam was hańbą...

- Nonsens! Jeden błędny krok to jeszcze nie hańba.

Rose wtuliła się w jej ramiona.

- Czy będziesz do mnie pisać, babciu?

- Czy będę pisać? Ja? Przecież wiesz, że słynę wszędzie z pisania listów!

- To cudownie! Och, babciu, tak mi przykro!

- Nie mów tak, kochanie. Wszyscy wiemy, że ci przykro, ale błędzenie jest rzeczą ludzką, a taki błąd można zrozumieć. Proszę, zrób to dla mnie, Rose: nie pozwól, aby to, co się stało, zrujnowało ci resztę życia.

- Babciu... - wyszeptła żarliwie Rose. - Chciałabym, żeby wszyscy byli tacy dobrzy jak ty.

- Nonsens. Nikt nie jest do końca zły ani do końca dobry. W nas wszystkich tkwią rozmaite cechy, sztuka polega na tym, aby kierować się w życiu tymi dobrymi.

Słowa babci rozbrzmiewały nadal w głowie Rose, kiedy pociąg wiozący ją i Gusa wjeżdżał z ogłuszającym zgrzytem na stację Euston.

Podróż przebiegła w milczeniu, w atmosferze przygnębienia. Cały czas, kiedy jechali autobusem z Carrickmacross do Dublina, płynęli statkiem pocztowym do Holyhead i odbywali pociągiem długą, zdawałoby się, bezkresną jazdę do Londynu, Gus zachowywał milczenie. Odzywał się tylko, kiedy proponował córce jedzenie lub pytał o samopoczucie. Rose, która zdawała sobie sprawę, ile emocji kosztuje ojca ta podróż, była mu wdzięczna za ciche wsparcie i okazywała mu to w różnoraki sposób. Starła się uśmiechać do niego, przy najdrobniejszej okazji dotykała dłonią jego ramienia.

Żałowała już tej chwili słabości, jakiej uległa poprzedniego wieczoru przy babci. W duchu przyrzekła sobie, że będzie odtąd silna i że dzielnie stawia czoło wszystkiemu, co czeka ją w ciągu sześciu najbliższych miesięcy, zachowując przy tym maksimum godności. Nawet wtedy gdy ojciec chciał sam dźwignąć cały bagaż, uparła się, że i ona poniesie tyle, ile tylko zdoła.

Na peronie powitał ich zimowy, anemiczny blask słońca, który usiłował przebić się przez resztki mgły. Rose natychmiast poczuła w gardle gryzące, pełne dymu londyńskie powietrze. Była tak zmęczona, że chociaż lękała się pierwszego spotkania z przełożoną konwentu, pragnęła już nade wszystko, aby podróż dobiegła wreszcie końca. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła położyć się i usnąć.

Taksówka, do której wsiedli, wiozła ich przez całe mnóstwo ulic ze skromnymi murowanymi domkami i nielicznymi, nie otwartymi jeszcze sklepikami. W witrynie sklepu monopolowego Rose dostrzegła napis reklamujący whisky, dzin oraz szampana po obniżonej cenie jako specjalną ofertę noworoczną; w tej samej chwili uświadomiła sobie zaskoczona, że oto nadszedł ostatni dzień roku. Odkąd przyjechała do Sundarbans, upłynęło zaledwie jedenaście dni, ona jednak miała wrażenie, jakby od tamtej chwili dzieliła ją cała wieczność.

Klasztor mieścił się na cichej uliczce odległej o kilkaset metrów od King's Cross. Rose poczuła skurcz w żołądku na widok tego, co miało być jej mieszkaniem przez sześć najbliższych miesięcy: zza wysokiego, szarego muru, na którym widniał biały napis na zielonym tle: BÓG NASZYM PASTERZEM, wyłaniał się jedynie dach trzypiętrowego budynku.

Gus zapłacił taksówkarzowi, następnie ruszyli wzdłuż ogrodzenia, i po chwili ujrzeli ciężkie, masywne drzwi, połyskujące mosiądzem. Gus pociągnął za dzwonek, ale Rose, choć nadstawiła ucha, nie dosłyszała żadnego odgłosu.

- Może jest popsuty - mruknął Gus. - Mam zadzwonić jeszcze raz?

Rose jednak była za bardzo zdenerwowana, aby odpowiedzieć. Gdyby mogła, uciekłyby z tego okropnego miejsca natychmiast, jak najdalej stąd. Lęk zdawał się pobudzać jej energię, a jednocześnie tamował oddech. Czuła, jak mocno wali jej serce. Gus jeszcze raz pociągnął za dzwonek, z takim samym skutkiem jak poprzednio. Chcieli już odwrócić się i poszukać innego wejścia, kiedy usłyszeli metaliczny szczęk. Pośrodku metalowych drzwi uchyliła się klapka, w otworze pojawiła się głowa zakonnicy.

- Tak, słucham?

- O'Beirne Moffat - przedstawił się Gus. - Jesteśmy umówieni z matką przełożoną.

- A, tak - odparła zakonnica. Klapka opadła z powrotem, Rose usłyszała zgrzyt odsuwanych rygli. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko, a oni weszli przez nie i znaleźli się na prostokątnym, wybrukowanym dziedzińcu. - Czekamy na państwa. Proszę za mną - powitała ich zakonnica. Zamknęła za nimi drzwi, zarygłowała je i ruszyła pierwsza do budynku.

Z bijącym sercem Rose szła tuż za nią, minęła kolejne drzwi i stanęła niebawem w wyłożonym terakotą holu. Wszystko tutaj lśniło jak lustro: podłoga, lamperie, mosiężna poręcz wokół posągu Najświętszej Panny oraz ustawiony przed posągiem porcelanowy wazon ze złocistymi i różowymi chryzantemami.

- Proszę tu zaczekać - odezwała się zakonnica, wskazując na biegnącą wzdłuż jednej ze ścian ławę.

Zniknęła przy końcu holu, skręcając w korytarz, a Rose z ojcem usiedli na ławie. Ich

odbicie było widoczne w oprawionym obrazie papieża Piusa XII, wiszącym na przeciwległej ścianie, odchylonym od niej górną krawędzią.

- Przynajmniej jest tu widno i czysto - szepnął Gus.

Gdzieś z głębi budynku rozległ się wesoły śmiech. - Widzisz? - mruknął i trącił córkę w bok. - Może nie będzie tak źle, jak myślałaś.

Zanim Rose zdążyła coś odpowiedzieć, do holu weszła inna zakonnica. Była wysoka i szczupła, w kącikach dużych, brązowych oczu zdawał się czaić uśmiech. Pod pachą trzymała skoroszyt. Kiedy podeszła bliżej, Rose i jej ojciec wstali z ławy, ona zaś wyciągnęła do nich rękę.

- Pan O'Beirne Moffat?

- Tak. - Uścisnął jej dłoń.

- A to jest Rose? - Słowa zabrzmiały raczej jak stwierdzenie niż pytanie. Rose podała jej rękę. Dłoń zakownicy była ciepła i silna. - Jestem siostra Benvenuto, matka przełożona tego klasztoru. Witaj, Rose. - Obrzuciła dziewczynę spojrzeniem brązowych oczu, a Rose odniosła niemiłe wrażenie, jakby właśnie została otaksowana i osądzona. Zakonnica puściła jej rękę. - Chodźmy do salonu. - Poszła przodem, otwierając jedno z dwojga drzwi, które wiodły z holu. - Poleciałam przygotować herbatę. Z pewnością jesteście państwo zmęczeni po tak długiej podróży. Proszę zostawić tu bagaż, zajmiemy się nim potem.

Nastrój Rose poprawił się trochę, kiedy weszła do pokoju wyłożonego dywanami. Co jakiś czas rzucała okiem na przełożoną: nie tak wyobrażała sobie osobę zarządzającą przybytkiem dla upadłych kobiet.

W salonie obok pianina stały fotele oraz błyszczący stół mahoniowy, *cache - pots* na wiktoriańskiej etażerze były wypełnione kwiatami.

- Proszę usiąść gdziekolwiek - zaprosiła zakonnica, widząc, że Rose i jej ojciec rozglądają się niezdecydowanie dokoła.

Rose usiadła na brzeжку fotela. Jedna ze sprężyn uwierała ją, ona jednak nie odważyła się zmienić pozycji.

- No dobrze - zaczęła rozmowę siostra Benvenuto. - Jak się czujesz, Rose? Czy coś ci dolega? Może poranne mdłości?

- Owszem, proszę siostry, miałam je - przyznała cicho Rose. - Ale ostatnio czuję się lepiej. - Ten spokojny, rzeczowy sposób, w jaki zakonnica mówiła o jej ciąży w obecności ojca sprawił, że spłonęła rumieńcem. Nigdy dotąd nie poruszała z Gusem tak otwarcie kwestii dziecka.

Siostra Benvenuto dostrzegła jej zakłopotanie.

- Nie przejmuj się, moja droga. To oczywiście nie jest luksusowy pensjonat, ale chyba sama widzisz, że nie znalazłaś się też w izbie tortur. Jeśli chodzi o mnie, wychodzę z założenia, że co się stało, już się nie odstanie. Najważniejsze, żeby wyciągać z wszystkiego odpowiednie wnioski. I nie zapomnij - dodała z uśmiechem - że rozpoczynasz tu nowe życie. A przy okazji... dawniej byłam pielęgniarką. - Obdarzyła teraz swoim miłym, szerokim uśmiechem również Gusa.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do salonu weszła dziewczyna, która trzymała oburącz tacę z herbatą. Była w zaawansowanej ciąży, miała gęste, bujne, czarne jak smoła włosy i niemal tak samo ciemne oczy, roziskrzone ciekawością. Odstawiła tacę, nie spuszczając wzroku z Rose.

- Dziękuję - odezwała się siostra Benvenuto. - A to, Effie, jak już się zapewne domyśliłaś, nasza nowa lokatorka, Rose O'Beirne Moffat. - Odwróciła się do Rose. - To Effie Brophy. Effie jest również z Irlandii i pomyślałam, że pewnie zechcesz poznać ją jak najszybciej. Sama widzisz, nie zostanie już u nas długo.

- Dzień dobry - powitała sztywno dziewczynę Rose.

- Cześć - odparła Effie z uśmiechem tak szerokim, że oczy dosłownie zniknęły, zamieniając się w dwie szparki. - Naprawdę nazywam się Florence - wyjaśniła - ale nie cierpię tego imienia. Nie pasuje do mnie, tak mi się zdaje. Dlatego wszyscy mówią mi Effie.

Głos ma taki sam, jak sposób bycia, przemknęło Rose przez głowę. Szorstki i pogodny zarazem.

- Ach tak - odparła niepewnie. Jej rezerwa nie odstręczyła Effie.

- Czy mam ją oprowadzić, siostrze? - zapytała przełożoną.

- Niech najpierw napije się herbaty, Effie. Przyjdź za dziesięć minut.

- Dobrze. Na razie, Rose. - Nie czekając na odpowiedź, Effie wybiegła z pokoju.

- Przyzwyczailiśmy się już tu do niej - przyznała siostra Benvenuto. - Będzie nam jej brakowało, kiedy nas opuści. - Otworzyła skoroszyt i rozłożyła go na stole. - Jest parę pytań, Rose, które musimy ci zadać, trzeba też złożyć podpis w kilku miejscach. - Takim samym rzeczowym tonem, jakim mówiła do tej pory, zaczęła wypytywać o wiele spraw, głównie natury medycznej - na przykład, czy Rose cierpi na jakąś alergię lub ile razy była u ginekologa.

Podczas gdy Gus podpisywał rozmaite dokumenty, Rose wodziła wzrokiem po całym salonie. Ściany były obwieszane fotografiami zakonnic oraz wizerunkami świętych. Honorowe miejsce, tuż nad kominkiem, zajmował oleodruk Chrystusa Dobrego Pasterza. Rose, która już wielokrotnie przedtem widziała ten obraz, z trudem powstrzymała teraz

mimowolny śmiech. Syn Boży, zapatrzony gdzieś przed siebie w dal, jak zwykle miał na ramionach baranka, ale w oczach Rose to jagnię wyglądało jak dziwaczny wełniany szal.

Do salonu wróciła Effie. Przed wejściem zapukała, ale podobnie jak przedtem, nie czekała na zaproszenie.

- Jesteś już gotowa? Czy Rose jest już gotowa, proszę siostry? - Pytającym wzrokiem wodziła po nich obu.

- Tak, myślę, że może już iść - odparła przełożona. - Czy chciałabyś jeszcze o coś zapytać, Rose? - zwróciła się do dziewczyny.

- Nie, siostrzo. - Rose zawahała się i spojrzała na ojca. Teraz, kiedy nadeszła już chwila pożegnania, najchętniej rozplakałaby się z żalu.

Siostra Benvenuto postanowiła przejąć inicjatywę. Zakręciła wieczne pióro, zamknęła energicznie skoroszyt i wstała.

- Proszę się o nic nie martwić, panie O'Beirne Moffat, zajmiemy się pana córką. Jestem pewna, Rose - przeniosła wzrok na dziewczynę - że wkrótce przekonasz się sama, jak szybko upływa u nas czas. Mówiłam już, że nie jest to pensjonat. Wierzmy tu wszystkie, że praca uszlachetnia. Będiesz pracować w pralni razem z innymi dziewczętami, zapewniam cię, że są miłe. A Effie będzie się tobą opiekować, prawda, Effie?

- Oczywiście, siostrzo. Mam nadzieję, Rose, że masz zdrowe i silne plecy, bo będą potrzebne do roboty.

- Nie strasz jej, Effie - uśmiechnęła się zakonnica.

Rose podeszła do ojca. Przytuliła się do niego na krótką chwilę, ukryła twarz w klapach tweedowej marynarki, poczuła zapach tytoniu zmieszany z wonią koni, a nawet całego Sundarbans, i natychmiast wezbrała w niej tym większa żałość.

- Do widzenia, tatusiu - wyszeptała. Odwróciła się do drzwi.

Effie czekała już tam na nią, otworzyła je szeroko.

- Nie martw się, Rose - powiedziała cicho i pogłaskała ją po ramieniu. - Będzie ci tu dobrze...

Rose spojrzała za siebie. Ojciec jakoś niezdarnie pomachał dłonią, jego ręka drżała gwałtownie.

Oślepiąca przez łzy odwróciła się i, mijając Effie, wybiegła z salonu.

* * *

John zbudził się, czując przenikliwie zimno. Puchowa kołdra leżała na podłodze; musiał zrzucić ją we śnie. Podniósł kołdrę i naciągnął wysoko, po szyję, po czym skulił się

pod nią, aby rozgrzać się jak najszybciej.

Jak zawsze, spał przy rozsuniętych zasłonach, a teraz, oswajając się z wolną z pierwszym brzaskiem dnia, wodził oczyma po umeblowaniu sypialni, która stanowiła jedną z głównych radości jego nowego życia. Nigdy przedtem nie miał własnego pokoju. Wprawdzie ten, o barwach, które wpadający z zewnątrz blask śniegu stłumił do najbledszych odcieni błękitu i szarości, był niewielki i umeblowany dość skromnie, wydawał się jednak luksusowy w porównaniu z Monaghan. Gołe deski podłogi pokrywał częściowo dywan supełkowy, w kącie stała szafa na ubrania, miał także do własnej dyspozycji stółek z miednicą i dzbanem oraz komodę z szufladami. Gdyby zwrócił wzrok wyżej, ponad głowę, widziałby kolorową serwetę z wyhaftowanym napisem „Dom, kochany dom”, zawieszoną na ścianie przez Peggy McGuigan.

W pokojach i na zewnątrz panowała głucha cisza, jakby cały świat wstrzymał oddech. No tak, pomyślał John, przecież dziś żegnamy stary rok! U sąsiadów odbędzie się *ceili*. Będę miał o czym pisać w najbliższym liście do Rose.

Od trzech tygodni nie miał od Rose żadnych wieści, a jej ostatni list różnił się od poprzednich; nie ulegało wątpliwości, że napisała go w pośpiechu, naprędce. Może ten następny opóźnia się, bo idzie wolniej? W okresie przedświątecznym poczta zawsze miała kłopoty z terminową dostawą korespondencji. Nie dostał od Rose nawet kartki z życzeniami. W pewnym sensie jednak taki namacalny kontakt nie wydawał mu się wcale niezbędny. I tak miał wrażenie, jakby Rose przebywała stale przy nim. Była tuż obok, kiedy pracował i spał, kiedy wieczorami słuchał w kuchni radia, jak również gdy opierając się o parkan, spoglądał w dal, na krajobraz Wyspy.

Patrząc teraz w okno, widział za szybą twarz ukochanej; dwie jasne gwiazdy na mrocznym jeszcze niebie tworzyły jej oczy. Zmysły Johna zdołały odtworzyć dotyk chłodnego ciała Rose; zamknął oczy i pocałował jej wyimaginowane usta.

- Rose... - wyszeptał i nagle uświadomił sobie, że powiedział to na głos. Poczul się zażenowany. Czas wstać, pomyślał, wziąć się do roboty. Skulił się jednak jeszcze bardziej pod miękką kołdrą, aby zyskać choćby parę sekund.

Przyzwyczał się już do życia na tej farmie, do tego przytulnego domu, pełnego ciepła. Gdyby nie rozłąka z matką i nieustająca tęsknota za Rose, czułby się szczęśliwy jak nigdy przedtem. Praca w polu była ciężka, nieraz nawet bardzo ciężka, na przykład, gdy razem z Derekiem pomagali wujowi zasypywać liczne kopce ziemniaków ochronną warstwą słomy jęczmiennej - ale fizyczne zmęczenie ustępowało wieczorem, zapewniało też mocny sen do rana.

O ziemniaki zadbali w samą porę, gdyż pod koniec listopada spadł śnieg. John, zafascynowany nim, co chwila wychodził z domu, chłonał wzrokiem kłębiącą się w powietrzu biel, delektował się jej smakiem na języku, chwycił w dłonie leciutkie płatki. W przerwach pomiędzy jedną a drugą śnieżycą przechadzał się po roziskrzonych polach, odwracając się raz po raz, aby podziwiać głębokie, równomierne ślady pozostawione przez buty na grubej białej powłoce. Dan McGuigan rozumiał młodszego kuzyna, nie wyśmiewał jego zachwyty, ale ostrzegał, że już wkrótce śnieg może mu się sprzykrzyć.

- Teraz to jeszcze nic! Ale poczekaj, aż sypnie tak naprawdę i uwięzi nas w kuchni! Nie będziemy nawet mogli dojść do obory, żeby wydoić krowy!

Śnieg padał niemal codziennie przez dwa tygodnie, ustał jednak na kilkanaście dni przez Bożym Narodzeniem. Niebo było pogodne, bezchmurne, błękitne, okoliczni sąsiedzi mieli już nadzieję, że biały puch stopnieje, święta zaś nastaną „zielone”. Jednakże w pierwszy dzień świąt, właśnie gdy Dan i obaj bracia zanosili zwierzętom dodatkową paszę, z nieba sypnął świeży śnieg. John był zachwycony, ale Derek, niezadowolony, że w święta pracują tak dużo zamiast wypoczywać, nie podzielał radosnego nastroju brata.

- Po co im tyle paszy! - narzekał w obecności Dana, kiedy wraz z Johnem sypali całe naręcza ziemniaków dla zwierząt do szatkownicy.

Dan, który nigdy nie tracił wielu słów, w milczeniu włączył maszynę.

- Nie wiem - przyznał wreszcie, podnosząc głos, aby przekrzyczeć terkot szatkownicy.
- Może to po prostu tradycja? Tak sobie myślę, że kiedy stworzenia najedzą się do syta, przestaną hałasować, a wtedy my, ludzie, będziemy mogli świętować jak należy. - Roześmiał się, zsuwając na tył głowy swój przedpotopowy, bezkształtny kapelusz, a John zawtórował mu na całe gardło. Niemał od razu po przybyciu do Kanady polubił gorąco swego nieśmiałego kuzyna.

Wspominając ów moment teraz, gdy leżał w ciepłym łóżku, John zmarszczył brwi. Jego kontakt z bratem, chwiejny i zmienny od dawna, osiągnął teraz chyba najniższy poziom.

Od pierwszego dnia, kiedy John przybył na farmę, Derek obnosił się z kwaśną miną i unikał go, za to podczas pracy na polu lub w bliskim obejściu John niemal stale czuł na sobie przenikliwy wzrok brata. Parę razy odwrócił się zniechęcony i wówczas ku wielkiemu zaskoczeniu odnosił wrażenie, jakby na twarzy Dereka dostrzegał minę, którą mógł interpretować jedynie jako wyraz nienawiści. Dałby wiele, aby wykryć przyczynę takiego stanu rzeczy, ale Derek przeważnie odchodził natychmiast, nie czekając na żadne pytania, albo też mówił po prostu, aby John pilnował swego nosa.

Nie ulegało wątpliwości, że dziwaczne nastroje Dereka wiążą się ściśle z osobą Karen

Lindstrom. Dziewczyna nie odezwała się od tamtego dnia, kiedy razem z ojcem przywieźli jego, Johna, na farmę. Poszła wtedy z Derekiem do szopy obejrzeć małe kaczkę, ale kiedy niebawem wrócili do domu, nietrudno było się domyślić, że pokłócili się ze sobą nie na żarty.

Biorąc to pod uwagę, John postanowił być wyrozumiały wobec brata. Tęsknił za Rose tak bardzo, że potrafił sobie wyobrazić, co czuje Derek. Wiedział też, że ilekroć Dereka ogarnia zły nastrój, musi wyładować na kimś złość.

Mógłby zresztą sam porozmawiać z Karen na ten temat, gdyby zgodnie z zaleceniem pojechał do Halifaksu na kontrolę do chirurga. Niestety, pan Lindstrom złamał sobie rękę w przegubie na tydzień przed terminem badania, nie mógł więc prowadzić samochodu na tak długich trasach. W tej sytuacji Peggy wezwała lekarza z Hunter River, a ten orzekł, że policzek goi się bardzo dobrze i nie ma potrzeby jeździć na kontrolę. Mimo to Lindstromowie uważali, że John powinien pojechać do szpitala, tak jak ustalono po operacji. Uzgodniono więc nowy termin - kontrola lekarska miała się odbyć po odwilży, kiedy zaczną znowu kursować promy.

Gdzieś daleko, u któregoś z sąsiadów, odezwał się kogut. John odrzucił koldrę, usiadł, stawiając boscie stopy na dywanie, i nachylił się nad nocną szafką, aby zapalić świecę. Następnie ubrał się w pośpiechu i ze świecą oraz butami w ręku zszedł po schodach, ostrożnie i cicho, aby nie zbudzić innych. W kuchni powitało go kwilenie i pochrumkiwanie, które dochodziło ze starannie okrytego pudełka stojącego przy piecu. Dan słyszał w całej okolicy jako troskliwy opiekun zwierząt, a ponieważ maciora jednego z sąsiadów oprosiła się niedawno, jeden z jej prosiaków wygrzewał się teraz w pudle.

John nie zwracał na to uwagi. Podszedł do stołu, odstawił świecę, zapalił lampę naftową, a potem, czekając, aż płomyk obejmie cały knot, nabrał na palec trochę melasy z butelki i łapczywie zaczął go lizać.

Odkąd przebywał na Wyspie, jego upodobanie do słodczy wzrastało, w miarę jak delectował się coraz bardziej wypiekami Peggy. Oblizując palec, poczuł wyrzuty sumienia. Wydawało mu się nie w porządku, że on i Derek korzystają z bogactw tego kraju, podczas gdy matka w odległej Drumbooli ledwie wiąże koniec z końcem. Żyjemy tu po królewsku, napisał do Rose w jednym z ostatnich listów. Pisząc do niej, nigdy nie szczędził szczegółów na temat uroków swojego nowego życia, w listach do matki natomiast instynktownie powstrzymywał ten naturalny, jakby się mogło wydawać, odruch. Wiedział wprawdzie, że matka radowałaby się szczęściem synów, uważał jednak, że podkreślanie jaskrawego kontrastu między jej poziomem życia a ich byłoby postępkami brutalnym i bezlitosnym.

Jak dotąd, nie udało mu się wysłać matce ani jednego grosza. McGuiganowie,

podobnie jak większość sąsiadów, byli samowystarczalni na swojej farmie. Jedynie zimą brakowało warzyw i świeżych owoców. Jabłka były takim rarytasem, że zjadano każdą ich część, wraz z gniazdkiem i pestkami, pomarańcze zaś uchodziły za stosowny, a nawet bardzo pożądany prezent świąteczny. Za to Dan i Peggy mieli własne jaja i drób, jak również na wszelki wypadek, dwie baryłki - z peklowaną wieprzowiną i śledziami. Szopa była wypełniona po dach drewnem na opał i ziemniakami, a w obszernej spiżarni w kuchni półki ugięły się pod ciężarem słoików z najprzeróżniejszymi dżemami i konfiturami oraz worków z kaszą i mąką w takiej ilości, że aż do następnych zbiorów można by nimi wykarmić dwie rodziny. Mimo to na farmie, tak jak wszędzie dokoła, nie było wiele gotówki i obaj bracia pracowali za samo utrzymanie, nie otrzymując zapłaty.

John nakrył lampę kloszem i podkręcił knot. Piski w pudle przybrały na sile, stały się bardziej natarczywe. Ignorując je, podszedł do dużego czarnego pieca, w którym paliło się przez całą zimę, otworzył drzwiczki, a ze skrzyni stojącej obok wyjął dwie garście drewna i wsunął je w czeluść paleniska. Manipulował nimi tak długo, aż zajęły się jasno - żółtymi i pomarańczowymi języczkami ognia, po czym dorzucił jeszcze trochę szczap pod zainstalowany z boku pieca zbiornik na wodę. Odczekał parę chwil i dopiero kiedy się upewnił, że płomień zajęły całą przeznaczoną dla siebie przestrzeń, zamknął drzwiczki.

Kwilenie prosiaczka zaczęło mu w końcu działać na nerwy.

- Dobrze już, dobrze! - mruknął. Otworzył pudło i sięgnął do środka. Maleństwo, ciepłe i gładkie, pchało mu się do rąk, szukając na oślep jedzenia. Ze sterty wełnianych skarpet i szali John wyciągnął przygotowaną wcześniej butelkę mleka i przytknął szyjką do pyszczka prosiaka. Maleństwo zakrzusowało się, ale po chwili zaczęło ssać łapczywie, ochlapując mlekiem siebie i sweter Johna.

Ogień w piecu huczał coraz donośniej i John przerwał karmienie, aby przesunąć trochę szyber. Ponieważ w butelce zostało już tylko parę kropli mleka, włożył prosiaczka z powrotem do pudła, gdzie maleństwo natychmiast zapadło w sen.

Kuchnia zajmowała całą szerokość domu i miała po dwa okna w każdym rogu. John wyrzwał na wschód; poprzez fantazyjny deseń płatków śniegu na szybie widać było mroczne nadal niebo. McGuiganowie, jak zawsze, zabrali zegarek ze sobą do sypialni, ale John przypuszczał, że jest szósta. W Irlandii byłyby w takim razie dziesiąta. Niedługo wstanie Rose. Wyobrażał ją sobie, jak opatulona po czubek nosa kłusuje na Tartanie po zmrożonych na kamień polach i łąkach, a oddech kuca tworzy w mroźnym powietrzu kłęby pary.

John przesunął palcem po bliźnie na policzku, już o wiele węższej i bledszej. Wierzył wprawdzie, że Rose odwzajemnia jego uczucie, ale czasem opadały go wątpliwości. Jej listy

były wspaniałe, biły z nich miłość i tęsknota, ale nie mógł nie zauważyć, że zawsze bywały pisane w pośpiechu. Próbował pocieszać się w duchu, że to wynik żywiołowej osobowości Rose, coraz częściej jednak zastanawiał się, czy aby na pewno dziewczyna dostrzega głębię jego uczucia - i czy kocha go z taką mocą, jak on ją.

Przycisnął bliznę palcem, aż zabolalo. Uczyni wszystko, co tylko możliwe, aby ich miłość nie zgasła. Postara się o to, da z siebie wszystko.

Wstał, wziął dużą metalową łyżkę, podważył nią pokrywkę garnka stojącego na piecu, zamieszał owsiankę, która zagrzała się już, ale jeszcze nie bulgotała, następnie przykrył garnek z powrotem i dołożył do ognia kolejną szczapę.

* * *

Budzik Karen zaterkotał donośnie. Jeszcze sekundę lub dwie dziewczyna dochodziła do siebie, po czym wyłączyła go. Z wolna poczęły docierać do jej świadomości rozmaite odgłosy z najbliższego otoczenia: leniwe trzaski grzejnika stojącego w sypialni, brzęk wiązań przy sankach z za okna.

Uświadomiła sobie nagle, że to sylwester, a ona ma przecież milion spraw do załatwienia.

Wyskoczyła z łóżka, wciągnęła spodnie i stary sweter, zanim jednak wybiegła z pokoju, przystanąła przed szafą. Otworzyła drzwiczki i musnęła dłonią suknię, wiszącą na specjalnym, miękkim wieszaku. Była to jej pierwsza uroczysta toaleta, specjalnie sprowadzona przez ojca z Bostonu i dopasowana na jej figurę przez miejscową krawcową. Zdjęła suknię z wieszaka i przyłożyła do siebie, aby po raz tysięczny przejrzeć się w lustrze i zobaczyć, jak w niej wygląda.

Ulegając pokusie, zrzuciła po chwili sweter i spodnie, które dopiero co włożyła, po czym wsunęła suknię przez głowę, zaciągnęła zamek błyskawiczny i ponownie obejrzała się w lustrze. Uszyta z jedwabiu w kolorze akwamaryny, z uroczym dekoltem i obcisłymi rękawami, suknia w pierwszej chwili sprawiała wrażenie prostej; jej dokładnie wymodelowany stanik okrywał niczym gładka skóra piersi i talię, aby niżej przejść w rozkloszowaną spódniczkę. Karen zebrała oburącz włosy, przytrzymała je na czubku głowy i okręciła się dokoła, rozkoszując się, niczym pieszczotą, dotykiem miękkiego, gładkiego jedwabiu na gołych udach. Oczyma wyobraźni widziała już siebie na przyjęciu, z prawdziwym makijażem i w odpowiedniej fryzurze, widziała spojrzenia młodych mężczyzn, widziała, jak tańczy i wiruje w ich ramionach aż do zawrotu głowy. Z rozmarzenia wyrwał ją odgłos otwieranych drzwi. Zgodnie z obietnicą, Mabel Anderson przyszła z samego rana, aby

zając się przyrządzaniem potraw.

Ostrożnie, żeby nie pognieść sukni, Karen zdjęła ją i powiesiła w szafie, a potem włożyła poprzednie ubranie. Następnie zbiegła po schodach na dół i tak mocno pchnęła drzwi do kuchni, że uderzyły z trzaskiem o ścianę.

- Dzień dobry, Mabel!

Gospodyni drgnęła i zamarła z dłonią na sercu.

- Aleś mnie wystraszyła! - Spojrzała na dziewczynę i uśmiechnęła się rozczulona. - Któż to raduje się z samego rana jak skowronek?

- Ja - odparła Karen beztróskim tonem. Z pudełka stojącego na kredensie nasypała sobie na talerz sporą porcję płatków kukurydzianych, a potem zalała je mlekiem z lodówki i pokropiła z wierzchu dwoma łyżkami ulubionego syropu klonowego.

Pani Anderson powróciła do przyrządzania kawy.

- Wiesz już o MacDonaldach? - zapytała. Cała trójka młodych MacDonaldów, których wiek sięgał od piętnastu do dziewiętnastu lat, była zaproszona na przyjęcie.

- Nic nie wiem - odparła Karen z ustami pełnymi płatków. - A co się stało?

- No cóż... - Pani Anderson pokiwała niepewnie głową. - Nie chciałabym cię niepokoić, ale myślę, że powinnaś nastawić się jakoś na tę wiadomość. Słyszałam, że mają grypę.

- Och, tylko nie to! - Na twarzy Karen odmalowało się przerażenie. - O trzech chłopców mniej! Skąd teraz wytrzasnę trzech innych? Dzięki Ci, Boże, za tak wspaniałą niespodziankę! - Uderzyła pięścią w stół, odwróciła się i wybiegła z kuchni, przeskakując po dwa stopnie naraz, znalazła się w ciągu paru chwil na piętrze i otworzyła drzwi sypialni rodziców. - Mamo, znalazłam się w strasznym kłopotcie! - zawołała.

Matka, zaniepokojona, wsparła się na łokciu.

- Co się stało, Karen?

- Wyobraź sobie, że wszyscy trzej synowie McDonaldów zachorowali na grypę... Powiedziała mi o tym Mabel.

- Już dobrze, uspokój się... W takim razie zaprosz kogoś innego na ich miejsce.

- Ale kogo? Skąd wezmę trzech innych chłopców? Zaprosiłam już z Charlottetown wszystkich, którzy się nadają.

- Może zaprosiłabyś Flynnów? - włączył się do rozmowy ojciec Karen. Zerknął na zegarek leżący na nocnym stoliku i zmarszczył brwi. - Zaczekaj, moja panno... - odezwał się z wyrzutem w głosie. - Czy wiesz, że jest dopiero za piętnaście siódma?

- Wiem, tatusiu. I bardzo przepraszam. Ale to naprawdę poważny problem!

- No, dobrze - westchnął Sven Lindstrom. Poprawił sobie poduszkę pod głową i wsparł się na łokciu. - A więc: jak ci się podoba mój pomysł z braćmi Flynn? Są sympatyczni, prawda? To już przynajmniej dwaj młodzieńcy. Brakowałoby tylko trzeciego, ale jednego chyba znajdziesz, czyż nie?

- No widzisz, Karen, to jest jakieś rozwiązanie - ucieszyła się matka.

Karen zbierała gorączkowo myśli. Od czasu tamtego nieszczęsnego zdarzenia w szopie zepchnęła wspomnienie o Dereku w najdalsze zakamarki umysłu; tam gdzie przechowywała inne, do których nie lubiła wracać. Teraz jednak musiała przyznać w duchu, że Derek i jego brat dobrze prezentowałiby się na przyjęciu.

Błyskawicznie podjęła decyzję.

- Dobrze, niech będzie! - Zwróciła się do ojca: - Tatusiu, czy mógłbyś zadzwonić do nich i zaprosić ich w moim imieniu?

- Jeszcze cię nigdy nie zawiodłem!

- I za to cię kocham! - Karen podbiegła do łóżka i uściskała ojca.

- Odetchnę z ulgą, kiedy to przyjęcie się skończy. - Matka opadła z powrotem na poduszkę. - I, Karen, na miłość boską, jeśli już koniecznie musisz nas niepokoić takimi problemami, to zaczekaj przynajmniej do jakiejś przyzwoitej pory!

Karen wolnym krokiem zeszła na dół i wróciła do kuchni. Z Derekiem nie powinno być problemu, pocieszała się w duchu, nalewając sobie filiżankę gorącej kawy. Kiedy jednak zaczęła popijać płyn małymi łydkami, zdała sobie sprawę z dręczących ją wątpliwości. Miała jedynie nadzieję, że pod koniec przyjęcia nie będzie musiała żałować swojej decyzji.

Naturalnie że nie, doszła w końcu do wniosku. Przyjęcie okaże się wspaniałe, a Derek zjawi się przecież z bratem, który będzie przy nim cały czas.

* * *

John szedł właśnie do kurnika, niosąc tam pokarm, gdy na dziedzińcu pokrytym śniegiem ujrzał świeże ślady lisa. Wyglądało na to, że drapieżnik usiłował się podkopać, aby dotrzeć do kur. John czym prędzej otworzył drzwiczki i odetchnął z ulgą: ptactwo, które na jego widok podniosło rwestes, było zdrowe i całe. Rozrzucił pokarm, a kiedy kury zajęły się skwapliwie dziobaniem, pozbierał jajka i zaniósł je do domu.

Dan jeszcze siedział przy śniadaniu. John włożył jajka do glinianej miski stojącej na kredensie.

- Lis kręci się w pobliżu - powiedział. Zwracając się do kuzyna, starał się mówić zwężle; pod tym względem naśladował go.

Uświadomił sobie, że nie widział jeszcze Dereka, do którego zadań należało między innymi pojenie bydła.

Dan nałożył sobie na płaską bułkę grubą warstwę konfitur z jagód i odgryzł spory kęs.

- Ja i ten stary rudzielec znamy się jak mało kto - mruknął z pełnymi ustami. - Stale konkurujemy ze sobą, on i ja! Gdybym nie potrafił ochronić swego inwentarza, po co miałbym trzymać te biedne stworzenia?

John, wychowany w Monaghan w przeświadczeniu, że każdy lis to szkodnik, którego farmerzy winni zabijać, z wolna oswajał się z poglądem kuzyna, że na Wyspie wszelkiego dobra jest w bród i starczy go dla każdego.

- Na razie nie mam nic do roboty, uporałem się już ze wszystkim - oświadczył. - Może by sprawdzić, skąd się wziął ten lis? W śniegu wytropię go bez trudu.

- Dobrze, idź, chłopcze. - Dan upił łyk czarnej jak smoła kawy. - Na pewno jest gdzieś niedaleko King's County.

John założył parę starych raków, które traktował już jak swoje, po czym ruszył śladami lisa. Dochodziła dziewiąta, tarcza słońca wisiała jeszcze nisko nad widnokregiem, zabarwiająca na różowo i sino oślepiającą biel krainy. Ostre, mroźne powietrze drażniło gardło, kiedy John brodził wytrwale w śniegu, zostawiając za sobą ciąg podłużnych, owalnych zagłębień.

Przystanął na szczycie niewielkiego wzgórza. Tu, pod warstwą śniegu, ciągnęły się długie skiby czerwonej ziemi, ale biała powłoka wyrównywała wszystko, tworząc idealnie gładką powierzchnię, iskrzącą się w blasku zimowego słońca. Po lewej stronie rósł rząd brzoź o perłowych pniach; ich gałęzie pokrywał śnieżny puch. Sąsiednie wzgórza były porośnięte innymi drzewami, dzikimi wiśniami oraz wysokimi, strzelistymi jodłami, cichymi i jakby uśpionymi w ten piękny biały poranek. Gdzieś w dali rozległo się przytłumione krakanie wrony, nic jednak, jak okiem sięgnąć, nie mąciło ogólnego bezruchu. John chłonał ten widok z zachwytem, wydało mu się nagle, jakby sięgał głową czystego nieba.

Mróz był silny, przenikał nawet grube wełniane rękawice. John począł chuchać w dłonie. Ze szczytu wzgórza widział wyraźnie ślady lisa; wiodły prosto ku niewielkiej dolinie. Chciał już podążyć w tamtą stronę, kiedy usłyszał za sobą donośny okrzyk. Odwrócił się i dostrzegł czerwony, pomięty kapelusz Dana. Już z daleka kuzyn machał gwałtownie rękami - niewątpliwie wzywał go do powrotu. Niebawem John znalazł się znowu na farmie w kuchni. Peggy, która szczotkowała już wizytowe marynarki jego i Dereka, z wrażenia nie mogła mówić. Kto by się spodziewał! Lindstromowie zapraszają obu Flynnów na przyjęcie noworoczne do swojego domu w Charlottetown, a ponieważ przyjęcie skończy się późno,

obaj mają tam zostać do rana.

Woda była już zagrzana na piecu, mogli więc się umyć, ich odświeżone buty stały ustawione na gazetach, czekając na wyczyszczenie do połysku.

- A co z dzisiejszym *ceili*? - zapytał John. Przeczując niezadowolenie Dereka, nie wiedział, czy zrobi dobrze, idąc do domu Karen. - Czy zaproszono nas obu, Peggy? Jesteś pewna, że mamy tam iść obaj?

- Masz na imię John? - odparła. - Jeśli tak, to zaproszenie dotyczy was obu. Wiadomość była wyraźna: John i Derek są zaproszeni na przyjęcie o ósmej, w domu Karen Lindstrom w Charlottetown. Tu jest jeszcze opis - dodała, podnosząc ze stołu kartkę papieru. - Na wypadek, gdybyście nie mogli trafić.

- Ale jak się tam dostaniemy? - Oczy Dereka płonęły z podniecenia. - Kto nas tam zawiezie?

- To już chyba spadnie na mnie - mruknął Dan. - Będę musiał porządnie wysmarować płozy sań.

- Ale przecież miałeś wziąć udział w *ccili* - zaproponował John.

- Zdążę. Przyjęcie jest o ósmej, prawda?

- To zajmie kilka godzin, do Charlottetown, a potem z powrotem... - John starał się znaleźć jakiś pretekst, aby odrzucić zaproszenie.

- Wcale nie, jeśli pojedziemy po lodzie.

- Po jakim lodzie? - zainteresował się Derek.

- Po publicznej drodze lodowej. Ministerstwo ogłosiło już, że można z niej korzystać.

- Widząc zdumienie na twarzach kuzynów, Dan wyjaśnił, że co roku w zimie ministerstwo robót publicznych sprawdza grubość i wytrzymałość lodu na głównych rzekach Wyspy, po czym wytycza, wyrabując specjalne przeręble, szlak dla bezpiecznej jazdy saniami. Do każdego otworu w lodzie wkłada się młode świerki, aby trasa była lepiej widoczna. - Jazda normalną drogą trwałaby przynajmniej trzy godziny, a po zamrożniętej rzece niecałe dwie.

- Po co wyszukujesz przeszkody? - Derek podszedł do brata i obrzucił go niechętnym spojrzeniem. - Nawet jeśli nie palisz się, aby tam pojechać, ja wybiorę się na pewno!

John wznosił dłonie do góry.

- Dobrze już, dobrze. Nie chciałem po prostu sprawiać kłopotu!

- To żaden kłopot! - zawołali zgodnie Dan i Peggy.

Przez resztę dnia zajmowano się jedynie tym, co niezbędne. Peggy wyprasowała białe koszule chłopców i napełniła cynową balię gorącą wodą, odgradzając ją od reszty kuchni rzędem krzesel, na których rozwiesiła prześcieradła. Derek wykapał się pierwszy. Po nim do

balii wszedł John. Natychmiast zanurzył się tak głęboko, jak tylko to było możliwe, delektując się ciepłem wody. Szkoda, że nie widzi mnie teraz Rose, pomyślał i nagle drgnął: uświadomił sobie, że obiekcje, jakie przeszkadzają mu pójść na przyjęcie do Karen, wiążą się między innymi z jego poczuciem lojalności wobec Rose.

O wpół do szóstej byli gotów do wyjścia. Mocno wykrochmalone koszule niemal trzeszczały przy najmniejszym ruchu, wyjściowe buty spoczywały w walizce wraz z innymi rzeczami. Dan, opatulony po czubek głowy, w grubym palcie, z nausznikami bobrowej czapki związanymi pod brodą, podjechał saniami przed frontowe drzwi farmy, a chłopcy natychmiast zajęli miejsca.

- Okryjcie się bawołą skórą! - zawołał Dan. - Inaczej zamrzniecie na tym piekielnym zimnie!

Peggy, przezornie nie opuszczając osłoniętego od wiatru ganku, machała z zapalem rękoma.

- Do widzenia! Do widzenia! Bawcie się dobrze! Do zobaczenia jutro!

Dan cmoknął na konia, młodego gniadosza, ten pociągnął sanie po skrzypiącej pod płozami warstwie śniegu i po chwili zostawili za sobą furtkę, mknąc ku dolinie. John i Derek jeździli już wielokrotnie saniami, ale nigdy po ciemku. Delektując się tą czarowną jazdą oraz miarowym kłusem konia, którego uprząż z drobnymi dzwoneczkami pobrzękiwała melodyjnie, John skulił się pod bawołą skórą. Zapadł już zmrok, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, tak jasne, że ośnieżone pola zaśniły niczym jedwab. Gdzieś po prawej stronie, daleko wśród niskich wzgórz, zaszczekał pies. Odpowiedział mu drugi, a potem do tej rozmowy przyłączył się trzeci. W oknach mijanych domów migotały żółte płomyki lamp naftowych, ale na drodze nie było nikogo innego prócz nich.

John żałował teraz, że nie jest malarzem albo pisarzem i nie może uwiecznić jakoś tej scenerii ani wrażeń. W duchu układał już list do Rose, aby oddać hołd całemu pięknu, jakie chłonał teraz wzrokiem.

Cieszyła go też nieoczekiwana bliskość Dereka. Skóra, którą byli okryci, nie była zbyt duża, musieli więc obaj przytulić się do siebie, tak jak robili to dawniej w Drumbooli, gdy spali na jednym łóżku. John czuł doskonale, jak bardzo przejęty jest Derek, i chociaż nadal obawiał się o przebieg wizyty, radował się szczęściem brata. Zachował jednak milczenie, aby nie psuć nastroju.

Tuż za Brookvale wjechali na zamarzniętą rzekę. Sanie natychmiast stały się jakby lżejsze, gniadosz przyśpieszył kroku. Przed podróżą dostał solidną porcję owsa, był więc w pełni sił, w dobrej formie, i biegł, jakby brał udział w wyścigach. Niebawem minęli inne

sanie, spotkali też kilka jadących w przeciwną stronę. John oparł się wygodnie o tył miękkiego siedzenia, przytulony do brata, czuł obezwładniające go ciepło, rozleniwiony poddał się całkowicie rytmowi jazdy.

Do domu Lindstromów dotarli tuż po ósmej. Tu doprowadzono już prąd; wszystkie okna były jasno rozświetlone, upodabniając dom do latarni morskiej. Sprzed drzwi frontowych uprzątnięto śnieg i Dan musiał zatrzymać sanie nieco dalej.

- Wsiadajcie! - zawołał do bliźniaków. - I bawcie się dobrze. Przyjadę po was jutro w południe. - Lindstrom obiecał przedtem, że zawiezie chłopców do Kingston, co stanowiło mniej więcej połowę drogi.

- Doskonale - odparł John. - Dzięki!

Nie weszli od razu. Stali przed drzwiami w blasku światła, które biło z okien, a John czuł, jak mocno bije mu serce. Wydawał się sam sobie mały, nieokrzesany, miał wrażenie, że przede wszystkim musi się zaopiekować bratem.

- To co, wejdźmy - szepnął wreszcie, ale nie ruszał się z miejsca.

- Poczekajmy jeszcze chwilę - mruknął Derek. - Może ktoś zaraz przyjedzie, a wtedy wejdziemy razem z nim.

Postawili wysoko kołnierze i, kuląc się z zimna, stali tak, udając jeden przed drugim, że wsluchują się w dźwięki muzyki rozbrzmiewającej wewnątrz domu. Przez parę minut nie działo się nic, potem wreszcie nadjechał jakiś samochód, chrzęszcząc łańcuchami na oponach. Derek poruszył się.

- Chodźmy - powiedział. - Teraz albo nigdy.

Na szczęście, kiedy drzwi się otworzyły, dostrzegł w progu nie Karen, lecz jej ojca. Pan Lindstrom powitał trójkę nowo przybyłych gości i w tej samej chwili zauważył obu bliźniaków, którzy podeszli właśnie bliżej.

- Hej, witajcie! A więc jednak udało się wam tu dotrzeć! Cieszę się, że was widzę. Jak twoje obrażenia wojenne, John?

- Dziękuję, wszystko dobrze, *sir* - odparł John. Ręką w rękawicy dotknął blizny. - Goi się.

- To widać - ucieszył się Sven. Wprowadził ich do środka i zamknął drzwi. - Wejdziecie do pokoju sami? - zapytał tamtą trójkę.

- Oczywiście, panie Lindstrom - odparła jedna z przybyłych, drobna dziewczyna o czarnych kędzierzawych włosach. Nie patrzyła na gospodarza. John uświadomił sobie z lękiem, że nieznajoma przygląda się jego bliźnie. Poczul się zakłopotany, udało mu się jednak nie dotknąć policzka po raz drugi.

Pan Lindstrom ujął go pod ramię.

- Pokażę wam, gdzie możecie zostawić swoje rzeczy, a potem powiem Karen, że już jesteście. Będzie zachwycona.

Weszli za nim po schodach na górę, a po chwili znaleźli się w przestronnej, niskiej sypialni.

- Podoba się wam tu? - Lindstrom zatoczył ręką rozległy krąg.

- Jest... jest wspaniale, proszę pana - odparł John. Jego zachwyty był szczery. Na kilku stolikach rozstawionych pod ścianami paliły się małe lampy, które w tym dużym pomieszczeniu tworzyły przytulny, intymny nastrój. Masywne meble lśniły jak lustro, a wszystkie materie w sypialni, ciężkie zasłony oraz baldachimy nad łózkami i narzuta na niewielkiej kanapie, były utrzymane w barwach jesieni: dominowały kolory zielony, złocisty i łagodny, ciepły brąz.

- To prawda, pokój jest wspaniały, bardzo dziękujemy! - zawołał z zapałem Derek.

Lindstrom odebrał od Johna walizeczkę i położył ją na komodzie.

- A teraz niech się wam przyjrzę - powiedział i odstał nieco do tyłu. - Przysięgłbym, że odkąd widziałem was ostatnim razem, urosliście obaj o głowę.

John zapomniał już niemal, jakim miłym i sympatycznym człowiekiem jest ojciec Karen. Roześmiał się.

- Nie, chyba nie. Ale może trochę utyliśmy, wie pan, to przez ten syrop klonowy...

- W każdym razie wyglądacie doskonale. No, na mnie czas, muszę wracać do swoich obowiązków - mówił Sven, podchodząc do drzwi. - Dziś jestem tu odzwrotnym. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, wołajcie. - Wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Twarz Dereka płonęła z podniecenia.

- To się nazywa życie, co? - Podszedł do jednego z łóżek i opadł na nie całym ciałem. - Baldachim na czterech drążkach!

- Wcale nie! - sprostował John. - Są tylko dwa drążki.

- Więcej nie trzeba. - Derek kilkakrotnie podskoczył na łóżku i spojrzał w górę, na baldachim, którego ozdobne frędzle zakołysały się wraz z drążkami. Zniżając głos, szepnął z przejęciem: - Boże, John, jak ja ją kocham! - Spojrzał na brata płonącym wzrokiem, ale John, chociaż wiedział, że Derek czeka na jakieś istotne, szczególne słowa, nie potrafił wymyślić nic, co byłoby stosowne w tej chwili. Milczenie przeciągało się.

- Wiem... wiem o tym... wiem, że ją kochasz - wykrztusił wreszcie, zdając sobie zarazem sprawę, że powiedział to za późno.

Derek wstał i przeszedł w stronę łazienki.

- Umyję ręce - mruknął.

Kiedy parę minut później wrócił do pokoju, sprawiał wrażenie opanowanego, chociaż całe jego ciało zdradzało niezwykle napięcie.

John obmył szybko twarz i przyczesał włosy. Potem obaj zeszli na dół, gdzie - sądząc po odgłosach - przyjęcie było już w pełnym toku.

Jakaś dziewczyna stojąca u podnóża schodów dostrzegła ich i natychmiast krzyknęła w stronę otwartych drzwi salonu:

- Karen! Nowi goście!

Karen wbiegła do holu.

- Och! - zawołała, wyciągając do nich ręce. - Jak dobrze, że jesteście!

Stojący za plecami brata Derek wstrzymał z wrażenia oddech na jej widok, a John, choć nadal lojalny wobec Rose, przyznał w duchu, że Karen olśniewa urodą. Jak na swoje siedemnaście lat, wyglądała bardzo dorośle. Blond włosy, zebrane wysoko na czubku głowy, przytrzymywała diamentowa spinka; suknia opinała ciało niczym niebieska, połyskliwa skóra; dekolt, wycięty w dwa łuki, uwydatniał kremową nasadę wspaniałych piersi.

- Dzień dobry - przywitał się, wyciągając do niej rękę. Uścisk jej dłoni, tak jak to zapamiętał z poprzedniego spotkania, był mocny i ciepły.

Uśmiechnęła się.

- Co tam u was? Dajecie sobie radę? - zapytała, ale zwróciła się jakby wyłącznie do niego.

Czuł za sobą krępującą obecność Dereka, który omal nie szturchnął go w plecy, odsunął się więc na bok, aby brat również mógł się przywitać z dziewczyną. Ponieważ jednak Derek nadal tylko pożerał ją wzrokiem, milcząc jak zaklęty, odpowiedział za nich obu:

- Świetnie, wszystko w porządku, prawda, Derek? - Pragnął, aby brat włączył się do rozmowy, aby odezwał się choć jednym słowem, ale on zachowywał się tak, jakby poraził go piorun.

Karen wyciągnęła ponownie rękę, dotknęła blizny na policzku Johna.

- Ładnie się goi. - Roześmiała się. - Przepraszam, jeśli to zabrzmiało niezręcznie, ale chyba wiesz, co miałam na myśli. Coś mi się zdaje, że wyjazd do Halifaxu na badanie kontrolne nie będzie ci już w ogóle potrzebny.

Jej palce, okryte rękawiczką, były delikatne jak piórko.

- Możliwe - przyznał John. - Zawdzięczam to twojemu ojcu, był dla mnie naprawdę bardzo dobry. - Zdawał sobie sprawę z bólu, jaki musiał teraz odczuwać Derek, i żałował gorąco, że Karen dotknęła jego policzka.

- Wyglądasz wspaniale, Karen - odezwał się wreszcie Derek szorstkim, ostrym głosem.

- Dziękuję - odparła, nie patrząc mu w oczy. Natychmiast odwróciła się w drugą stronę. - Wejdźcie, przedstawię was moim znajomym. Nie mogli się już doczekać, kiedy was ujrzą. - Ruszyła przodem w pantoflach na wysokich obcasach, kołysząc uwodzicielsko biodrami i pośladkami. John ruszył za nią. Miał nadzieję, że brat zdoła jakoś wziąć się w garść.

Gwar panujący w salonie oszołomił go, gdy tylko przekroczył próg. Dywany były zwinięte, a w środku pokoju kilkanaście par tańczyło w rytm głośnej muzyki z adapteru. Było bardzo ciepło, a migotliwy blask małych żarówek na choince ginał w jaskrawym świetle lamp rozmieszczonych na stolikach, kinkietów wiszących na ścianach oraz żyrandola pośrodku sufitu.

Karen zaprowadziła ich prosto do długiego stołu umieszczonego pod ścianą i zastawionego najprzeróżniejszymi kanapkami, rozkami z konfiturą, ciastkami drożdżowymi, babeczkami i torcikami. Niewielka grupa młodzieńców, częstujących się akurat smakołykami, rozstała się na boki, kiedy Karen podeszła bliżej i napełniła dwie małe szklaneczki czerwonym trunkiem z szerokiej, stojącej obok czary.

- Napijcie się ponczu.

- To ci Irlandczycy z Kelly's Cross - zwróciła się do reszty towarzystwa, podając napój nowo przybyłym gościom. - John i Derek - ciągnęła. - Są bliźniakami. John ocalił mi życie, stąd ta blizna na policzku. Ratował mnie przed pożarem na statku, kiedy wracałam z matką z Europy.

- Miło, że przyszliście - odezwał się jeden z młodzieńców, podając rękę bliźniakom. Był wysoki, dobrze zbudowany, na marynarce miał wyhaftowaną dużą literę J. - To Dave, Sam, Jimmy, Patrick i Ezra - przedstawił swoich przyjaciół. - A ja jestem Billy deFresne.

Tamci przywitali się, wypowiadając zdawkowe „cześć” lub „jak się masz”, i czym prędzej zajęli się z powrotem jedzeniem. John usłyszał, jak jeden z nich mruknął:

- Szkoda, że to nie ja wyciągnąłem ją z pożaru!

- Zostawię was na chwilę, żebyście mogli sobie z nimi porozmawiać - powiedziała Karen i oddaliła się w drugi kąt salonu.

W całej grupce chłopców nie było nawet jednego, który by nie odprowadzał jej wzrokiem.

- No, no... - mruknął ten, który żałował, że nie on ją uratował. Powtórzył to przeciągle, nie tając zachwyty. - No, noo... Gdyby tylko wpadła mi w ręce!

- Nie byłbyś pierwszy - mruknął drugi. Billy drgnął, obrzucił ich ostrym spojrzeniem.
- Kto to powiedział? - warknął. - Wszyscy spuścili wzrok, a Billy nalał sobie ponczu i dodał tym samym tonem: - Idź, weź zimny prysznic, Ezra. - Odwrócił się znowu do bliźniaków. - Wszyscy kochamy się w Karen - wyjaśnił i parsknął śmiechem. - Niestety, bez wzajemności.

Dla dobra brata John podjął desperacką próbę zmiany tematu rozmowy.

- Skoro masz na imię Billy, to skąd na twojej marynarce ta litera J?
- Po prostu pierwsza litera klubu sportowego.
- Billy to as sportu - dodał Ezra.
- Rozumiem - odparł John. Upił łyk trunku. - Dobry poncz - pochwalił.
- Im więcej wypijesz, tym bardziej będzie ci smakował - zachichotał ktoś obok.

W tej samej chwili podeszły do nich dwie dziewczyny: jedna krępa, o przeciętnej urodzie i dużych, jasnych oczach, drugą była owa drobna czarnula, która weszła na przyjęcie tuż przed bliźniakami.

- Karen mówi, że są już wszyscy, a więc możemy zacząć wianuszek - powiedziała.
- Doskonale! - zawołał Ezra. - Ale założę się, że wyładuję w końcu u Mary - Lou Popplewell.

- Nie wygłupiaj się, Ezra - mruknęła dziewczyna. Odwróciła się do bliźniaków. - Przywitajmy się. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Sarah Richards, a to moja przyjaciółka Amy.
- John Flynn... Mój brat Derek.

Podali sobie ręce, następnie Sarah poprowadziła całą grupę na środek salonu. John czuł się nieswojo. Nie miał pojęcia, o jaki wianuszek chodzi, a kiedy zbliżyła się reszta gości, przyszło mu do głowy, że to jeszcze bardziej skomplikowane, niż przypuszczał. Wszyscy wzięli się za ręce i utworzyli dwa kręgi: chłopcy zewnętrzny, patrząc przy tym do środka, dziewczęta wewnętrzny, patrząc na chłopców. John znalazł się między bratem i chłopakiem zwanym Ezra, naprzeciw Sarah i Amy. Karen, która wydawała instrukcje, dołączyła ostatnia, z dała od bliźniaków.

Ojciec Karen włączył adapter i tak rozpoczęto taniec, który ku wielkiej uldze Johna okazał się zupełnie nieskomplikowany. Oba kręgi przesuwwały się po prostu miarowym krokiem w przeciwnych kierunkach.

W pewnej chwili muzyka umilkła i wszyscy przystanęli. Naprzeciw siebie John ujrzał dziewczynę w okularach, w sukni z żółtej sztywnej tafty, wydętej jak balon na wysokości grubych ud. Dopiero gdy dziewczęta i chłopcy opuścili ręce i ruszyli ku sobie, domyślił się, że winien poprosić ją do tańca.

- Cześć - odezwał się, nie wiedząc, co powiedzieć. - Mam na imię John.

Pochyliła głowę i wyszeptala coś, czego nie dosłyszał. Nachylił się ku niej.

- Słucham?

- Wiem - odparła głośniejszym głosem, poprawiając sobie okulary. - Wiem, że jesteś John Flynn.

Ja nazywam się Mary - Lou Popplewell.

- Bardzo mi miło. Zatańczymy?

- Nie jestem w tym dobra.

- Ani ja.

Dołączyli do reszty jako ostatnia para. Wprawdzie John skłamał, mówiąc, że tańczy źle, ale Mary - Lou zdawała się robić wszystko, aby stworzyć wrażenie, iż jego słowa nie odbiegały od prawdy. Tańczyli fokstrota, ona zaś trzymała lewą rękę wyciągniętą sztywno przed siebie, tak jakby chciała odparować cios. Cały czas miała nisko spuszczone głowę, wystawiając na jego spojrzenie jedynie swój kark. Pod dłonią, która spoczywała na jej okrytych taftą plecach, John czuł rozgrzane, spocone ciało. Co gorsza, dziewczyna bez przerwy myliła krok.

Wyglądała przy tym na tak nieszczęśliwą i zrozpaczoną, że zacisnął zęby. Zrobiło mu się jej żal, postanowił więc również zignorować rytm muzyki i zdać się na tajemne wyczucie rytmu Mary - Lou. Udało mu się przetańczyć z nią w kąt pokoju, gdzie mogli okręcać się bez obawy, że wpadną przy tym na inną parę. W pewnym sensie, pomyślał, Mary - Lou wyświadczyła mu przysługę. No tak, był do tego stopnia zaaferowany trudnym tańcem z nią, że zapomniał o wszystkich swoich poprzednich obiekcjach.

- Przepraszam - powtórzyła po raz tysięczny, kiedy mimo rozpaczliwych wysiłków znowu nastąpił jej na nogę.

- Nie ma za co - odparł. - To przecież także moja wina.

Wreszcie odważyła się podnieść na niego wzrok, on zaś obdarzył ją przyjaznym uśmiechem. Jej mina przypomniła mu prosiaczka, którego karmił rano w kuchni na farmie. Odruchowo, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, nachylił się i musnął wargami jej usta.

Natychmiast pożałował tego, ona zaś zamarła w bezruchu, jak gdyby zdrętwiała od silnego ukąszenia. Na twarz wystąpiły jej rumieńce, aż po korzonki mysich włosów. W oczach jednak zajaśniała promienna radość, która przejęła go lękiem. Przez krótką straszliwą chwilę był pewien, że dziewczyna chce odwzajemnić pocałunek. Ale ona po prostu uśmiechnęła się - był to zwykły, słodki uśmiech, po którym John odetchnął z ulgą - i znowu zaczęła tańczyć w ten swój niezdarny sposób.

Kilkakrotnie wśród wirujących par mignęła mu twarz brata. Derek, który jak i on był dobrym tancerzem, zdawał się bawić doskonale z dziewczyną, która była zapewne najmłodsza w tym gronie.

- I jak, John? Widzę, że już poznałeś moją najbliższą przyjaciółkę? - Tuż obok niego przesunęła się Karen, zamknięta w ramionach Billy'ego. - Jak tam, Mary - Lou? - dodała, zanim oddalili się od siebie. - Miej na niego oko, to nie byle kto!

- Wiem - szepnęła Mary - Lou, podnosząc wzrok na partnera. Jej okulary zabłysły w świetle lamp.

- A więc jesteś najbliższą przyjaciółką Karen? - zapytał John, aby odwrócić od siebie jej niepokojącą uwagę. Fakt, że dziewczyny są przyjaciółkami, nie stanowił dla niego większego zaskoczenia. Już w Monaghan zauważył, że atrakcyjne dziewczęta otaczają się chętnie brzydszymi.

- Tak - odparła Mary - Lou. - Przyjaźnimy się od przedszkola... Przepraszam - dodała, kiedy John znowu nadepnął jej na żółty pantofel.

Muzyka umilkła, pary rozdzieliły się.

- Dziękuję - powiedział grzecznie John.

- To ja dziękuję - zapewniła Mary - Lou. Wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale w następnej chwili spuściła głowę. John zawahał się, powiódł dokoła wzrokiem; wszyscy tworzyli ponownie koła. W odległym kącie pokoju dostrzegł brata. Derek trzymał się na uboczu, nie spuszczał za to wzroku z Karen, która obok adapteru rozmawiała właśnie z ojcem.

Mary - Lou najwidoczniej nie zamierzała dołączyć do kręgu rozbawionych gości.

- Jeszcze raz dziękuję - powtórzył John, czując się nieswojo. - Pójdę teraz zobaczyć, co z moim bratem. On tu nikogo nie zna.

- Naturalnie - szepnęła dziewczyna. - Może jeszcze potem wpadniemy na siebie - rzuciła zniecka, jakby tknięta nagłą falą odwagi.

- Jasne. Też mam taką nadzieję.

Zanim John podszedł do brata, Karen klasnęła w dłonie, prosząc o uwagę. Jej ojciec zniknął gdzieś, a ona stała teraz przy adapterze sama.

- Do następnego tańca - ogłosiła - panie proszą panów.

Ta zapowiedź wywołała głośny gwar. Dziewczęta chichotały, wypychały się wzajemnie na środek salonu, część chłopców udawała przerażonych, inni, udając, że nie zależy im na zaproszeniu do tańca, podeszli do stołu i zaczęli jeść.

Podczas gdy Karen szukała odpowiedniej płyty, John odszukał brata, który w kącie

podpierał ścianę.

- I jak, Derek? - zapytał. - Dobrze się bawisz?

- A jak ci się zdaje?

- Widziałem, jak tańczyłeś z tamtą dziewczyną. Wyglądała na miłą.

- Żałuję, że tu jesteśmy.

- Na przyjęciu?

- Nie, w tym idiotycznym kraju.

Skierował wzrok na Karen.

- Może teraz, kiedy dziewczęta proszą do tańca, Karen wybierze ciebie - powiedział John.

- Mam to gdzieś!

- Naprawdę może cię wybrać, Derek! - Mimo iż John nie był człowiekiem szczególnie religijnym, teraz modlił się w duchu żarliwie jak nigdy przedtem, aby Karen Lindstrom podeszła do nich i poprosiła Dereka do tańca.

Zabrzmiały pierwsze dźwięki piosenki i John rozpoznał ją natychmiast: była to nastrojowa wersja „My Funny Valentine” w wykonaniu Franka Sinatry. Ujrzał Karen, która odeszła od adaptera, kierując się w ich stronę - i pomyślał, że jego modlitwa została wysłuchana.

I oto nagle stała się rzecz najgorsza ze wszystkich, jakie mogły się w ogóle wydarzyć. Karen podeszła bliżej, uśmiechnęła się, dygnęła przed nim i wyciągnęła ramiona:

- Mogę cię prosić do tańca, John?

Nie mógł odmówić. Nie mógł też zebrać się na odwagę, aby spojrzeć na Dereka, kiedy oddalał się, trzymając Karen w ramionach.

Co gorsza, przez parę chwil, które jemu wydały się wiecznością, oboje byli jedyną parą tańczącą. Udręka brata dusiła go niczym ciasna pętla na szyi; czuł na sobie jego intensywny wzrok i ta świadomość nie pozwalała mu zachowywać się swobodnie wobec Karen. Starał się przede wszystkim unikać bezpośredniego zetknięcia z jej ciałem, co przy tak romantycznym i nastrojowym tańcu nie było sprawą łatwą. Dziewczyna wyczuła jego rezerwę.

- Dobrze się bawisz? - zapytała.

- O tak! - Nie chciał uchodzić w jej oczach za gbura, nie mógł jednak okazywać w rozmowie z nią zapału, gdyż Derek nie odrywał od niego wzroku.

- Ale sprawiasz wrażenie, jakbyś nie czuł się tu najlepiej, przynajmniej w tej chwili.

- Po prostu wolałbym, aby prócz nas tańczyli też inni. Czuję się trochę jak na pokazie.

Karen przegięła się nieco w tył.

- Hej, wy tam! - zawołała przez ramię do grupki dziewcząt skupionych wokół adapteru. - Co się z wami dzieje? Na miłość boską, proście do tańca naszych kawalerów!

Jej słowa odniosły natychmiast pożądany skutek, po paru sekundach na parkiecie tańczyło już dziesięć, może nawet dwanaście par. Wśród nich był również Derek i John, widząc to, odetchnął z ulgą.

- Wyglądasz dziś wspaniale - powiedział do Karen ze szczerym zachwytem.

- Dziękuję. Staralam się. - Roześmiała się. - I wszystko na próżno.

- Och, tego bym nie powiedział. Część tych chłopaków byłaby gotowa pobić się o ciebie.

- A ty?

- Słucham? - Zaniepokojony, próbował zyskać na czasie.

- Pytam o ciebie - wyjaśniła łagodnie. - Czy i ty byłbyś gotów bić się o mnie z innymi?

Po prostu drażni się ze mną, pocieszał się w duchu. W jej oczach tańczyły figlarne iskierki, tak mu się przynajmniej wydawało. Każda inna interpretacja jej zachowania wobec niego byłaby zbyt przerażająca, aby można ją było uznać za wiarygodną.

- Ja? - zapytał. Postanowił obrócić jej pytanie w żart. - Nie musiałbym się bić, bo dobiegłbym do ciebie pierwszy. Nie, wyprzedziłby mnie Derek - dodał po namyśle. - Może przy następnej okazji poprosiłabyś go do tańca?

Poruszyła się nieznacznie, ale tak skutecznie, że wsunęła się głębiej w jego ramiona.

- Mm - mruknęła.

Nie wiedział, czy ma to oznaczać zgodę, czy odmowę. Na wszelki wypadek postanowił zachować przez chwilę milczenie.

Muzyka była przyjemna i nastrojowa. Karen tuliła się do niego, potęgując wrażenie intymności, raz po raz muskała go piersiami. John ukradkiem rozejrzał się na wszystkie strony, miał nadzieję, że jego brat nie widzi tego, co się dzieje. Na szczęście Derek, obejmując swoją partnerkę, był akurat zwrócony plecami do nich. Sądząc po zachowaniu Karen, dziewczyna pragnęła gorąco, aby John objął ją w tańcu i przytulił do siebie - i chociaż on starał się utrzymać między nimi jak największy dystans, ona, nie zrażona tym, przywarła do niego całym ciałem. Jej zapach odurzał go.

Zaczął oblewać się potem i wiedział, że nie ma to wiele wspólnego z duchotą panującą w salonie. Nadal lojalny wobec Rose i brata, zdawał sobie mimo wszystko sprawę z reakcji własnego ciała na nie skrywaną zmysłowość Karen. Z całego serca pragnął, aby piosenka

skończyła się wreszcie. Nie po raz pierwszy słyszał „My Funny Valentine” w wykonaniu Sinatry, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak długa jest ta wersja.

Karen musiała czuć nie tylko jego wzburzenie, ale także - myślał o tym z prawdziwą rozpaczą - rosnącą erekcją. W pewnym momencie podniosła na niego współprzymknięte oczy.

- Czy teraz bawisz się dobrze, Johnie Flynn? - Aluzja była jednoznaczna.

- Proszę, Karen... - szepnął. - Derek...

- Co Derek?

- Błagam cię - powtórzył, choć jego protest nie miał najmniejszego sensu; zdradzieckie ciało wymówiło mu posłuszeństwo i żyło teraz własnym, niezależnym od niego życiem.

- Poczekaj tu. - Karen uwolniła się z jego ramion i podeszła do adapteru, uniosła rączkę i przestawiła igłę z powrotem na początek płyty. Stojąc pośrodku pokoju, John z rozpaczą wodził dokoła wzrokiem. Był pewien, że oczy wszystkich są skierowane na niego oraz na jego cielesny dylemat. W ostatniej chwili zwalczył odruch, aby osłonić sobie krocze oburącz, niczym kontuzjowany futbolista. Na szczęście jednak nikt na niego nie patrzył, nikt chyba nawet nie zauważył, że cofnięto płytę.

Karen znowu stanęła przy nim, więc chcąc nie chcąc, objął ją. Zaczynało brakować mu tchu. Nie zdobył się już na najmniejszy opór, kiedy dziewczyna przyciągnęła jego głowę do siebie. Tańczyli teraz policzek przy policzku, podobnie jak inni. Widział tuż przed sobą jej zamknięte oczy, puszyste włosy muskały mu twarz.

Krew pulsowała gwałtownie w jego żyłach, targały nim sprzeczne emocje, od szalonego podniecenia seksualnego aż po coś w rodzaju trwogi. Obracając się, dostrzegł Mary - Lou Popplewell; siedziała w kącie i patrzyła na niego. Kiedy pochwyciła jego wzrok, uśmiechnęła się nieznacznie i uniosła kanapkę w geście pozdrowienia. Nigdzie jednak nie zauważył brata. Jego ramiona, jakby z własnej woli, objęły Karen mocniej i gwałtowniej.

* * *

Z holu Derek obserwował brata, który tańczył z Karen. Widział jedynie część salonu, ale za każdym razem, kiedy przed jego oczami pojawiała się ta para, tak zaabsorbowana sobą, że nie liczył się dla niej nikt inny, miał bolesną świadomość, iż został okrutnie zdradzony.

Wzdrygnął się gwałtownie, kiedy ktoś klepnął go w ramię.

- No i jak, Derek? - zawołał pan Lindstrom. - Przepraszam, że cię wystraszyłem. Dobrze się bawisz?

- T... tak, bardzo dobrze... dziękuję, proszę pana... - wyjąkał Derek, rumieniąc się po

korzonki włosów. - Chciałem... chciałem złapać trochę oddechu.

- Słusznie, słusznie - pokiwał głową pan Lindstrom. - Ale nie stroń od towarzystwa. Tamte ślicznotki w salonie nie mogą się już doczekać, kiedy z tobą zatańczą.

Derek odpowiedział wymuszonym uśmiechem, po czym wrócił do pokoju. Kilka par kręciło się na parkiecie w takt muzyki, wśród nich oczywiście John i Karen. Celowo omijał ich wzrokiem. Kątem oka dostrzegł pod przeciwległą ścianą rąbek żółtego materiału. Gnany jakimś przewrotnym pragnieniem uczynienia własnej sytuacji bardziej nieznośną i zarazem zrobienia na złość Johnowi i Karen, Derek ruszył w tamtą stronę, a po chwili już prosił do tańca Mary - Lou.

Ramiączka stanika wrzynały się w jej pulchne ciało, sztywny materiał sukni był nieprzyjemny w dotyku, na domiar złego Mary - Lou tańczyła okropnie. Derek rejestrował to wszystko w swej świadomości, czując, jak narasta w nim furia. Raz po raz dziewczyna przeproszała go za nieprawidłowy krok, on odpowiadał niezmiernie, że nie ma za co, chociaż hamował się z coraz większym trudem.

Stracił w końcu cierpliwość, kiedy Mary - Lou potknęła się i omal nie upadła, pociągając go za sobą.

- Słuchaj - zaproponował - może miałabyś chęć na szklaneczkę ponczu?

Zawahała się, a on dostrzegł w tej chwili, że z drugiego końca pokoju obserwuje ich Karen. Bez namysłu pochylił się i pocałował Mary - Lou.

- Ach, wy, Irlandczycy! - szepnęła bez tchu dziewczyna, kiedy ją puścił. - Niezłe z was ziółka!

Nie zastanawiał się nawet, co miały znaczyć jej słowa.

- Przepraszam na chwilę - powiedział.

Udało mu się wyjść do holu normalnym krokiem, ale już na górę wbiegał tak szybko, jak mógł, a potem wpadł do sypialni i natychmiast zamknął się w łazience, gdzie dał upust łzom żalu.

John zeszywniał.

- Co się stało? - zapytała Karen, wtulona w niego. Miała na pół przymknięte oczy, jak u kota.

- Nic takiego.

- Daj spokój... Coś musiało się stać, czuję to.

- Nie, nic takiego, naprawdę! - mruknął i znów przylgnął policzkiem do jej policzka.

Jego podniecenie nie mijało, a jednocześnie miał nieodparte wrażenie, że pęka mu serce.

ROZDZIAŁ 8

John walczył ze snem, usiłując jakoś zapełnić luki w palnięci. Próbował przypomnieć sobie, co jeszcze działo się na przyjęciu, ale świat wirował wokół niego, nie pozwalając mu się skupić.

Po raz pierwszy w życiu wypił za dużo i świadomość, że nie ma nad sobą kontroli, wcale nie przypadła mu do gustu. Poncz stojący na stole okazał się zdradliwy, a John kilkakrotnie dolewał sobie, zanim się zorientował, że ten smaczny czerwony napój wcale nie jest tak niewinny, jak wygląda. Właśnie skończył szybkiego fokstrota z Karen i sięgał po szklaneczkę, kiedy nagle zaszumiało i zakręciło mu się w głowie. Musiał przytrzymać się krawędzi stołu, aby nie upaść. Ezra i jakiś drugi chłopiec, którego imienia nie zapamiętał, zachichotali rozbawieni jego niemocą, potem Ezra z kpiącą miną uniósł swój kieliszek, jakby chciał mu w ten sposób zasalutować - i w tym momencie John uświadomił sobie, że nie wie, co się dzieje.

Teraz wyczekiwał na kolejne przebłyski pamięci, dręczony przez zawroty głowy, które trwały nawet wtedy, gdy zamykał oczy i krył twarz w poduszce. Miał nadzieję, że los oszczędzi mu mdłości, ale nade wszystko zżymał się na samego siebie za brak umiaru w picciu ponczu, sprowokowany przez szydercze uśmiechy innych chłopców.

Głośnie chrapanie Dereka w sąsiednim łóżku ustało nagle. John, zelektryzowany, spojrział w tamtą stronę. Nie był na tyle pijany, aby nie wiedzieć, że w każdej chwili czeka go przykra wymiana zdań z bratem na temat Karen. Odetchnął z ulgą, kiedy Derek odwrócił się na drugi bok, a w ciszy sypialni zabrzmiało ponownie miarowe chrapanie.

Strzępy wspomnień z przyjęcia pojawiały się na krótko i znikwały niczym błyski światła. John przypomniał sobie moment, kiedy kilka kosmyków włosów misternie upiętych na głowie Karen uwolniło się spod spinki i opadło łagodnymi falami na obnażone ramiona... kremowe cienie na kremowej skórze... Wstrząśnięty faktem, że w ogóle potrafił się zainteresować inną dziewczyną niż Rose, dręczył się teraz poczuciem winy tym głębszym, iż większość wieczoru spędził, tańcząc z dziewczyną, którą kocha jego brat. Gwałtownie odwrócił się na brzuch, kiedy pamięć podsunęła mu kolejne strzępy scen i rozmów:

- Wiesz, nie powinienem tańczyć z tobą tak długo!
- A to dlaczego?
- Ze względu na Dereka. Czy nic was nie łączy?
- Łączyło.

Nawet teraz, w tym stanie, pamiętał, z jakim naciskiem to powiedziała.

Ale on nie tylko wszedł w paradę bratu. Zrobił coś znacznie gorszego, zdradził Rose.

Karen zapytała:

- Tu chodzi nie tylko o Dereka, prawda? Martwisz się jeszcze czymś innym, czyż nie?

- Ależ skąd! O cóż innego mogłoby mi chodzić? - odparł jej na to niczym Judasz.

Wiedział, że kocha Rose. Kochał ją całym sercem. Jednakże po głowie chodziło mu coś innego, gdy czuł pod dłonią talię Karen i bujny, gładki łuk biodra. I nawet wtedy, gdy wymawiał tamte kłamiwe, okropne słowa, czuł, jak wzbiera w nim pożądanie.

Odwrócił się na drugą stronę, a pamięć podsuwała już kolejne sceny: oto Derek całuje Mary - Lou, matka i ojciec Karen zaczynają odliczanie minut przed północą, Karen i on całują się z okazji Nowego Roku, pani Anderson podaje gorącą zupę, Karen karmi go swoją łyżką, Derek całuje inną dziewczynę, jakąś rudą, Karen obejmuje Mary - Lou, Mary - Lou cała we łzach, Derek obejmuje tamtą, rudowłosą.

I jeszcze jedno wspomnienie, które usuwa inne w cień: Karen wciąga go do kuchni, przypiera do ściany, tak że on nie ma się już dokąd cofnąć, a potem... Ten oszałamiający dotyk jej cudownych piersi pod dłońmi!

Wszystkie te sceny zaczęły nagle wirować, aż zlały się w jedno i powoli, stopniowo jeły roztopiać się w ciemności, a na Johna spłynęła zbawienna zasłona snu.

* * *

Sen był wyraźny, tak jakby wszystko działo się na jawie. Wspiął się na górę, ona jednak stawała się coraz wyższa i wyższa. Mimo wysiłku nie mógł dojść na jej szczyt - gładki, zaokrąglony, biały i emitujący promienie światła, jak niebo nad Drumboolą tuż po burzy. Końce promieni niemal dotykały go cały czas, kiedy szedł pod górę, ale cofały się bezustannie, w miarę jak posuwał się dalej. Pragnął nade wszystko dostać się w zasięg światła, wiedział, że będzie mógł napawać się nim do woli, gdy tylko dojdzie na szczyt - i czuł, że do tego właśnie został stworzony. Wyciągał więc ręce i wytrwale wspinał się coraz wyżej, dopóki nie dotarł wreszcie do światła. Było ciepłe i gładkie w dotyku, dokładnie takie, jak je sobie wyobrażał.

A potem uświadomił sobie nagle, że nie stoi już na górze. Był razem z Rose i to jej dotykał, a nie światła. Przywarła ustami do jego warg, on zaś, uszczęśliwiony, rozchylił je i poczuł smak jej języka. Cały świat wirował wokół niego, ale to nie miało znaczenia, wiedział bowiem, że Rose mu pomoże. Liczyła się tylko Rose. To ona stanowiła drogę do światła. John nakrył ją sobą i w pewnej chwili, napawając się nią, zrozumiał uradowany, że to Rose

jest światłem. Kochając się z nią, wykrzyknął coś głośno, gdyż czuł się szczęśliwy, tak szczęśliwy, jak nie był od bardzo długiego czasu.

* * *

Derek obudził się i przez parę sekund usiłował odzyskać pełnię świadomości. Nagle uprzytomnił sobie, co go zbudziło: hałas czyniony przez Johna, który zajmował sąsiednie łóżko. Chciał już krzyknąć na niego, kazać mu być cicho, kiedy zauważył, że John nie jest sam. W jednej chwili uleciały gdzieś resztki snu. John był z Karen!

W pierwszym odruchu Derek chciał zawyć z bólu. Otworzył usta, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Pościel Johna, która częściowo zsunęła się na podłogę, odsłaniała ciała obojga kochanków: Karen miała na sobie cieniutką nocną koszulę, podwiniętą aż po pas, długie białe uda zacisnęła na plecach Johna, głowę odrzuciła w tył.

Derek patrzył na nich sparaliżowany. Ból i szok mieszały się w jego umyśle, tworząc coś w rodzaju trwożnej fascynacji. Wtedy na statku on i Karen zabawiali się w rozmaity sposób, dając upust swoim pragnieniom erotycznym, ale jednak powstrzymali się od ostatecznego spełnienia.

Teraz patrzył na brata, który wdzierał się w Karen, miażdżąc ją pod sobą; obserwował ich miłosne zmagania, dopóki oboje nie ucichli i nie znieruchomieli. Przez na wpół przymknięte oczy, tak aby nie mogła się zorientować, że on nie śpi, przyglądał się dziewczynie, jak wymyka się z łóżka brata, a potem z pokoju. Światło z holu rozjaśniło przelotnie zmiętoszoną pościel na łóżku i zgasło, kiedy Karen zamknęła za sobą drzwi.

Cała furia i ból, które gromadziły się w nim od długiego czasu, osiągnęły teraz swój punkt kulminacyjny. Derek wyskoczył z łóżka i rzucił się na brata.

* * *

Blask światła zniknął, pozostawiając Johna w ciszy i ciemności. A potem całe ciało przeszył nagle ból, ból tak dotkliwy, że John pomyślał, iż nie zniesie tego dłużej. W tej samej chwili ujrzał nad sobą Dereka. To Derek cierpiał, a on odbierał jego ból! Zaprzagnął pomóc bratu, powiedzieć mu, że odegna ten ból, ale nie starczyło mu na to sił. Był teraz zbyt ociężały, a ból Dereka przybierał postać olbrzymiego czarnego kruka, łomoczącego skrzydłami o jego ciało.

Raptem poczuł na szyi dłonie brata. Dłonie zacisnęły się mocno, nie pozwalając mu złapać tchu, John zaś uświadomił sobie z trwogą, że Derek próbuje go udusić!

Udało mu się odwrócić na bok, tyłem do niego, ze wszystkich sił wygiął się w kabłąk,

wciągając napastnika na łóżko, nie zdołał jednak uwolnić się z dławiącego uścisku jego dłoni. Czuł już, że oczy wychodzą mu z orbit, język zdawał się pęcznieć w ustach.

I ani na chwilę nie przestał odbierać bólu Dereka, pulsującego w nich obu.

Resztkami sił skrzyżował ręce pod brodą i, chwytając prawą ręką za lewy nadgarstek Dereka, a lewą za prawy, szarpnął gwałtownie. Przez moment walczyli ze sobą zaciekle w milczeniu, rozrzucając pościel na wszystkie strony, wreszcie John wziął górę nad bratem i przycisnął go do łóżka, rozkładając mu ręce na boki.

Derek nie dawał za wygraną. Nadal bez jednego słowa, prężył się gwałtownie i kopał brata na oślep, ten zaś mimo to odczuwał bardziej intensywnie jego ból, niż własny. Pragnął już tylko zakończenia walki.

I wreszcie, zupełnie nieoczekiwanie, Derek skapitulował.

John pośpieszył do łazienki. Zdołał wbiec do niej w ostatniej chwili przed serią spazmatycznych torsji, które opróżniły mu żołądek.

* * *

Po raz nie wiadomo już który tej ciągnącej się w nieskończoność nocy Rose uniosła głowę z poduszki. Wyciągnęła lewą rękę nad głowę i zgięła ją tak, aby nikły blask nocnej lampki z kąta sali sypialnej padł na jej zegarek. Złociste cyferki zalśniły lekko, prawie niewidoczne pozostały jednak wskazówki. Rose wpatrywała się w nie parę chwil, wreszcie doszła do przekonania, że jest albo wpół do piątej, albo dwadzieścia po szóstej.

Już pierwszego dnia swojego pobytu tutaj zrozumiała, że najlepszy sposób, aby przetrwać jakoś te sześć miesięcy w odosobnieniu, to podchodzić do wszystkiego pozytywnie. Jeśli już ma pracować w pralni, okaże się najlepszą praczką, jaką tu kiedykolwiek znano. Jeśli poczuje się źle, nie będzie jęczała, a jeśli zacznie jej doskwierać samotność, zachowa to dla siebie.

W nocy jednak ogarnęły ją wątpliwości, a do serca wkradła się rozpacz. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy dobrze robi, zatajając przed Johnem prawdę o dziecku. Potem otrząsnęła się, powtarzając sobie w duchu, że użalanie się nad sobą nic nie da.

Przyłożyła obie dłonie do brzucha. Czy to złudzenie, czy też rzeczywiście wyczuwa już, że się powiększył?

- O, Boże! - szepnęła. - Błagam, pomóż mi! - I natychmiast opuściła ręce. Taka prośba nie miała sensu, wiedziała o tym doskonale, jak również o tym, że może polegać wyłącznie na sobie. A na razie nie będzie myśleć o dziecku. Pomyśli o nim we właściwym czasie.

Wtuliła twarz w poduszkę, tak aby poczuć zapach Sundarbans. Zgodnie z życzeniem

przełożonej klasztoru przywiozła tu własną pościel i teraz, leżąc w łóżku, wdychała tak drogą i znaną jej woń własnej sypialni z domu rodzinnego.

Sala sypialna, jeśli nie liczyć małej lampki nocnej w odległym kącie, była pogrążona w gęstym mroku. Drewniane przepierzenia dzieliły pomieszczenie na szereg małych cel; każda z nich była wyposażona w drzwi, łóżko oraz skromne meble, na które składały się wąska szafa, drewniane krzesło oraz szafka nocna.

Miłym zaskoczeniem dla Rose była dość swobodna atmosfera panująca w tym miejscu, które ona uważała wcześniej za coś pośredniego między szkołą z internatem a więzieniem. Dziewczęta musiały przestrzegać określonych reguł i wywiązywać się z nałożonych na nie obowiązków, były jednak traktowane przez zakonnice życzliwie, po ludzku. A ponieważ tu była Anglia, nie Irlandia, nikt z personelu klasztoru nie uważał ciąży za grzech zasługujący na wieczne potępienie. Największą zaś ulgę sprawiała świadomość, że nie trzeba ukrywać swojego sekretu ani lękać się, co pomyślą inni.

Klasztor udzielał schronienia dwudziestu czterem dziewczętom w różnym wieku. Jej nowa przyjaciółka, Effie Brophy, która miała dziewiętnaście lat, przedstawiła Rose je wszystkie, łącznie z najmłodszą, na oko trzynastolatką, drobną, o wymizerowanej, śniadej twarzy.

Zapoznała ją także z dwiema kobietami, które - jak potem powiedziała - ukończyły już trzydziestkę, a może nawet czterdziestkę, poza tym były lekko upośledzone pod względem umysłowym. Jedna lub dwie inne gardziły nimi z tego powodu - co Effie skwitowała zwięzłym „przyganiał kocioł garnkowi” - ale inne traktowały je życzliwie i wyrozumiale. Przydzielano im zazwyczaj najłatwiejsze i najlżejsze prace, opiekowano się też nimi tak troskliwie, jak tylko to było możliwe. Podczas prezentacji jedna z nich objęła Rose i uściśniła ją mocno, jakby chciała wycisnąć z niej całe życie.

Czy ta noc nigdy się nie skończy? W sypialni było duszno i Rose odgarnęła pościel. Nadal dręczyła ją cała masa myśli i obaw. Spojrzała na zegarek, ale i tym razem nie zdołała dojrzeć, która godzina. Za dnia wszystko wyda mi się lepsze i łatwiejsze, pocieszała się w duchu. Postanowiła napisać tego dnia list do Johna. Przynajmniej sprawdzę przy tej okazji, co tam z moim talentem pisarskim, przyszło jej do głowy.

Dobrze się stało, że zyskała przyjaciółkę. Effie Brophy wzięła ją całkowicie pod swoje opiekuńcze skrzydła, wtajemniczyła w niuanse życia w klasztorze, nauczyła, kogo należy unikać, a z kim utrzymywać poprawne stosunki. Rose czuła się przytłoczona jej władczą osobowością, niemniej jednak była jej wdzięczna. Ilekroć przywoływała na pamięć wiecznie rozradowaną, pogodną, choć pospolitą twarz Effie, uświadamiała sobie z zażenowaniem, że

jej nowa przyjaciółka jest typem dziewczyny, jakiej w szkole nie zaszczyliłaby nawet skinieniem głowy. Do tej pory była niezwykle wybredna w zawieraniu przyjaźni, instynktownie unikała dziewcząt nie radzących sobie w życiu oraz brzydkich. Jak mogła być taką snobką?

Może to właśnie było mi potrzebne, myślała teraz, zaciskając zęby. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Może Bóg chciał mi udzielić nauczki, ściągnąć mnie trochę na ziemię.

Bez względu na powód, dla którego Effie wkroczyła w jej życie, obecność tej dziewczyny stanowiła dla Rose istotny plus: uświadamiała sobie teraz wyraźnie, jak bardzo potrzebuje życzliwości Effie, jej prostego, szczerego koleżeństwa. Kiedy Effie rozciągała wargi w uśmiechu, Rose, chcąc nie chcąc, odwzajemniała uśmiech. Kontakt z Effie oznaczał chwilę relaksu; przy niej mogła sobie pozwolić na komfort pozostawiania bierną. Effie zawsze przejmowała inicjatywę, wynajdywała nawet tematy rozmów.

W sypialni rozległy się czyjeś ciche kroki, a po pewnym czasie ktoś spuścił wodę w ubikacji. Rose przyszło na myśl, że niebawem i ona będzie musiała pobiec do łazienki. Effie, która była już w szóstym miesiącu, ostrzegła ją, że jest to jeden z najgorszych okresów zaawansowanej ciąży.

Odgłos kroków zdradzał, że ta, która wstała, kieruje się teraz w odległy kąt sypialni, przystaje, jakby się wahała, i wreszcie rusza w jej stronę. Kroki umilkły tuż pod jej drzwiami, czyjaś ręka uchyliła je lekko, w szparze zabłyśła wątła smuga światła. Drzwi otworzyły się szerzej, bardzo wolno i bardzo cicho. Rose, zaniepokojona, uniosła się na łokciu. Chciała krzyknąć coś, ale zabrakło jej odwagi. W prostokącie wydartym z ciemności pojawiła się czyjaś postać i Rose z ulgą rozpoznała sylwetkę Effie.

- To ty, Effie? - wyszeptwała niespokojnie.

- Ćśśś! - syknęła cicho tamta. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, na palcach przeszła po linoleum do łóżka i nachyliła się nad Rose. - Byłam właśnie w ubikacji i pomyślałam sobie, że zobaczę, co u ciebie i czy jeszcze śpisz.

- W ogóle nie mogę dziś zasnąć - poskarżyła się szeptem Rose.

- Przesuń się.

- Co?

- Przesuń się. Położę się obok ciebie.

- A tak wolno?

- Jasne że nie. Przesuń się wreszcie, na miłość boską! Rose przylgnęła do drewnianej ściany, odwróciwszy się na bok, aby zrobić miejsce dla Effie; brzuch przyjaciółki był już

znacznie większy niż jej. Sprężyny łóżka jęknęły pod dodatkowym ciężarem.

- Boże, co za cholerne łóżka! - poskarżyła się szeptem Effie.

Nie można było uniknąć kontaktu z jej obfitym, ciepłym ciałem, zwłaszcza kiedy Effie z westchnieniem ulgi okryła je obie kołdrą. Rose nigdy przedtem nie leżała tak blisko innej dziewczyny i teraz poczuła się nieswojo. Starła się jednak opanować to wrażenie.

- Jak ci się podobała wczorajsza praca? - wyszeptła po chwili Effie.

Rose zawahała się; przypomniała sobie, że powinna podchodzić do wszystkiego pozytywnie.

- Wszystko będzie dobrze, muszę się tylko do tego przyzwyczaić - odparła szeptem. - Ale praca wydała mi się ciężka. - Gdy rozpakowała rzeczy i zjadła lunch, skierowano ją do pralni, długiego i wąskiego pomieszczenia o wysokich okratowanych oknach, pełnego pary.

- Tak, jest ciężka - przyznała Effie - ale nie przejmuj się, dasz sobie z nią radę. My wszystkie miałyśmy z tym problemy i w końcu jakoś nam poszło. Z tobą będzie tak samo. Tamte Angielki mówią zawsze, że się do tego nie nadają. To nic, nie zwracaj na to uwagi. A jeśli któraś z nich zacznie ci dokuczać, po prostu mi o tym powiedz, rozumiesz?

Rose uśmiechnęła się.

- Tak, Effie, dziękuję.

- Dobrze, że tu jesteś - szeptała dalej Effie. - Te Angielki nie są nawet takie złe, ale daleko im do nas, prawda? Na przykład nie potrafią korzystać z przyjemności życia. Trudno mi sobie w ogóle wyobrazić, jak zdobyły się na to, aby zająć w ciążę. - Parsknęła zduszonym śmiechem i trąciła przyjaciółkę w bok. Rose mimo woli odwzajemniła uśmiech.

Poranek był wyjątkowo cichy. Zza okna nie dochodziły żadne odgłosy ulicy, nie słysząc było nawet wiatru, a tu w sali nikt się chyba jeszcze nie obudził. Ciszę przerywało jedynie co jakiś czas skrzypienie łóżek, kiedy ta czy inna dziewczyna poruszyła się we śnie. Rose zapragnęła nagle oprzeć głowę na ramieniu Effie. Pohamowała się w ostatniej chwili. Czuła się coraz bardziej senna. Ciekawe, jak długo jeszcze Effie zamierza tu zostać, pomyślała.

- Och, niech to!... - szepnęła nagle zaniepokojona Effie. - Ten berbeć mnie kopnął!

- Co?

- Dziecko. Kopnęło mnie.

- Naprawdę? Moje nie kopie... Przynajmniej nic takiego jeszcze nie poczułam.

- U ciebie jest na to za wcześnie - powiedziała Effie.

- A kiedy zacznie kopać? - Rose zapragnęła nagle wiedzieć wszystko o tych sprawach.

- Niedługo. U mnie zdarza się to często. Ale potem, im bliżej porodu, dzieciaki kopią

coraz rzadziej.

- Skąd tyle wiesz o tych sprawach?

- Bo u mnie to już drugi raz.

Rose drgnęła zaskoczona w wąskim łóżku.

- Co takiego?

- Ćśś! Jeszcze nas usłyszą!

- Przepraszam.

Korzystając z odrobiny dodatkowego miejsca, które zyskała dzięki reakcji Rose, Effie ułożyła się wygodniej.

- Jesteś tym zaszokowana?

- Nie - skłamała Rose.

- Tak już w życiu bywa - zauważyła filozoficznie Effie, chcąc zakończyć ten temat.

Ale Rose musiała teraz zaspokoić swoją ciekawość.

- Gdzie jest twoje dziecko... oczywiście, to pierwsze?

- Zostało adoptowane.

- Nie miałaś nic przeciw temu?

- Owszem.

Effie zeszywniała nagle i Rose domyśliła się, że nie powinna kontynuować tego tematu. Była oszołomiona wieścią, że Effie jest już po raz drugi w ciąży. Czyżby była zbyt hojna w obdarzaniu chłopców swoimi wdziękami? A może w obu przypadkach ojcem jest ten sam chłopiec? Zresztą... co za różnica, pomyślała.

- Która teraz godzina, Effie, jak ci się zdaje? - zapytała cicho.

- Chyba siódma. Będę musiała już wracać do siebie. - Dziewczyna powiedziała to tonem gościa, który wpadł na krótko, na filiżankę popołudniowej herbaty, a teraz żegna się z panią domu.

- Dobrze - odparła Rose. - Bądź ostrożna. Nie daj się złapać.

* * *

John nie opuszczał łazienki przez co najmniej dwadzieścia minut. Pidżama była poszarpana, na spodniach widniały ślady mokrego snu o Rose, bolała go głowa i szyja, ale bójka z Derekiem otrzeźwiła go ostatecznie, uwalniając z poprzedniego oszołomienia.

Derek próbował go zabić!

Jego własne odbicie w lustrzanej ścianie naprzeciw miejsca, gdzie siedział, zdawało się urągać mu, szydzić z niego. „Mięczak, mięczak! On próbował cię zabić, a ty zamierzasz

puścić mu to płazem?”

Drżącymi rękami dotknął posiniaczonej szyi. Nadal nie mógł uwierzyć, aby Derek naprawdę nosił się z takim zamiarem. „O tak, możesz być tego pewien”, mówił drugi John, ten z lustra. „Mięczak! Ach, ty mięczaku!”

Derek spał w najlepsze, z sypialni dobiegało jego chrapanie. A może wszystko to tylko igraszki wyobraźni, może bójka była jedynie złym snem, jakimś koszmarem? Czyżby?

Cała ta sytuacja w⁷ydawała się teraz Johnowi upiorną wizją, tym bardziej że wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Po co w ogóle przyszli na to przyjęcie? Najchętniej cofnąłby teraz czas o całą dobę!

Wstał. Takie rozmyślenia nie mają najmniejszego sensu. Musi się zachowywać poważnie, jak przystało na mężczyznę, który zdobył się na emigrację. Podeszedł do drzwi, zawahał się przez moment, nasłuchując odgłosów z sypialni, tam jednak panowała w tej chwili cisza. Ostrożnie i powoli, gdyż obawiał się ponownego ataku ze strony brata, wszedł do pokoju.

Derek siedział skulony na brzegu łóżka, plecami do pokoju. Wokół niego unosiły się kłęby dymu z papierosa, który trzymał w prawej dłoni.

John podbiegł do swojego łóżka i zapalił lampkę nocną. Pościel znajdowała się w żalonym stanie, poduszka leżała na podłodze, prześcieradło, częściowo ściągnięte z materaca, zwisało w nieładzie. John zwrócił spojrzenie na brata.

Ale Derek siedział jak odrętwiały, nie reagował w ogóle na pojawienie się Johna ani na zapalone światło. Apatycznym ruchem podniósł papierosa do ust, zaciągnął się głęboko i wypuścił obłok siniego dymu. John odprężył się trochę. Nie zapowiadało się już na kolejną bójkę, przynajmniej na razie.

- Derek? - Jego głos miał ochryple brzmienie.

- Odwal się! - Po raz kolejny Derek zaciągnął się chciwie dymem.

Fala gniewu narosła gwałtownie, spowodowała bolesny uścisk w dołku.

- Nie odwalę się. Chciałeś mnie zabić!

- Biedaczek!

- Ale dlaczego, Derek? Za co? - Zanim wypowiedział to pytanie do końca, uświadomił sobie, że zabrzmiało z pewnością niemądrze. Ale gniew narastał w nim cały czas. John na przemian to otwierał, to zaciskał pięści, starając się zapanować nad sobą, podczas gdy Derek wstał z łóżka, otworzył okno i wyrzucił na dwór papierosa. Nawet tu, z dala od okna, John zadygotał z nagłego, przenikliwego zimna. Gniew uleciał gdzieś tak samo raptownie, jak się pojawił.

Z przerażającą jasnością uświadomił sobie teraz, że tej nocy zostały definitywnie zerwane wszelkie więzy łączące go z bratem. A jednak podjął jeszcze jedną próbę.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać, Derek? Może pogadamy o tym?

Derek położył się, nakrył kołdrą po czubek głowy i odwrócił się do niego plecami.

- Zrób mi tę przyjemność i zgaś światło! Chcę spać.

John zawahał się, przez chwilę spoglądał na wygięte plecy brata, następnie zaczął podnosić swoją pościel z podłogi i układać ją niedbale na łóżku. Wreszcie zgasił światło i wsunął się pod kołdrę. Czas zdawał się upływać niemiłosiernie powoli, on zaś leżał w ciemności, starając się nie zwracać uwagi na ból, który nadal przeszywał jego posiniaczone ciało.

Z drugiego łóżka nie dochodził żaden dźwięk. A więc Derek też nie śpi!

Ale John nie miał już czasu zastanawiać się nad tym. Zmęczenie wzięło górę nad kłębiącymi się w jego głowie myślami i w ciągu paru chwil zapadł w głęboki sen.

Kilka godzin później zbudziło go gwałtowne pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał, z trudem siadając w łóżku.

Do sypialni wbiegła pani Lindstrom. Nawet w obecnym stanie, walcząc z resztkami snu, John dostrzegł natychmiast jej silne wzburzenie.

- John! Derek! - zawołała. - Wstawajcie! Przyjechał po was pan McGuigan!

John, nadal oszołomiony i półżywy, wpatrywał się w nią długą chwilę.

- Która godzina? - zapytał wreszcie.

- Piętnaście po ósmej - odparła matka Karen. - Przykro mi, że budzę was tak wcześnie, ale nadeszły złe wieści z Irlandii.

Na drugim łóżku Derek, ciągle jeszcze w oparach snu, odwrócił się na drugi bok, ale John, zmagając się z sennością, usiadł prosto. Światło raziło go w oczy, blizna na policzku swędziała trochę.

Pani Lindstrom podeszła bliżej, położyła mu dłoń na ramieniu, on zaś starał się skoncentrować na tym, co mówiła:

- Twój kuzyn otrzymał przed paroma godzinami wiadomość. Przywiózł ze sobą wasze rzeczy. Wasza matka zachorowała, to coś poważnego. Musicie obaj natychmiast wracać do Irlandii.

- Ale...w jaki sposób...

- Nie martw się teraz o to, w jaki sposób, John. Jeszcze przed południem odlatuje samolot na kontynent, a mój mąż siedzi teraz przy telefonie i rezerwuje dla was dalszy przelot do Irlandii przez Boston. Pomożemy twojemu kuzynowi załatwić wszystko, co trzeba. A teraz

ubierajcie się, prędko! - Przeniosła wzrok na Dereka. - Twój brat jeszcze śpi. Powiedz mu, żeby się pośpieszył. Musicie być na lotnisku w ciągu czterdziestu pięciu minut. Dziś jest tylko jeden lot.

Wyszła z pokoju.

John, z dłonią przytkniętą do czoła, jakby mógł w ten sposób odegnąć ból, zbliżył się do drugiego łóżka i potrząsnął bratem.

- Wstawaj, Derek! Pośpiesz się!

- Co?... - Derek gwałtownie odepchnął rękę brata, nie otwierał oczu. - Odwał się!

- Derek, Derek! Z mamą jest niedobrze, zachorowała. Musimy jak najszybciej wracać do domu!

Dopiero teraz Derek wsparł się na łokciu, po czym usiadł.

- Co ty mówisz?

- Chodzi o mamę. Przyjechał Dan. Ma dla nas wiadomość. Mama jest ciężko chora.

- Co jej jest? - W oczach Dereka błysnął lęk.

- Tego nie wiem. Podobno to coś poważnego, ale nie mam pojęcia co.

Derek wstał i wyszedł do łazienki. Kiedy wrócił, stanął pośrodku sypialni i pochylił głowę jak szykujący się do ataku byk.

- Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć, John – mruknął po chwili. Jego cichy głos był przepojony nienawiścią. - I mówię to zupełnie poważnie. Nie waż się nigdy... słyszysz... nigdy... odzywać do mnie. Czy zrozumiałeś? Nie chcę, żebyś się do mnie odzywał. Nigdy więcej!

* * *

- Najbliższa doba będzie decydująca. - Młody lekarz miał ciemną skórę; był to pierwszy kolorowy, jakiego John poznał w swoim życiu.

Obaj z Derekiem stali na korytarzu szpitala w Dublinie, gdzie ich matka leżała nieprzytomna.

- Przykro mi bardzo, ale należy się przygotować na najgorsze - dodał lekarz swoim łagodnym, melodyjnym głosem. - Chociaż, z drugiej strony, są szanse na wyzdrowienie. Wasza matka nie jest przecież stara, jak sądzę. Ma chyba nie więcej niż pięćdziesiąt lat, nieprawdaż?

John uświadomił sobie dopiero teraz, że nie zna dokładnego wieku matki.

- Tak... tak mi się zdaje... - wyjąkał.

- Skończy pięćdziesiąt w przyszłym miesiącu - przerwał mu Derek.

- To dobrze - powiedział lekarz. - Są też jeszcze inne elementy pozytywne. Wasza matka nie pali i z całą pewnością nie ma nadwagi. Określiłbym ją nawet jako zbyt szczupłą. To wszystko działa na jej korzyść. Tak jak mówiłem, najbliższa doba będzie decydująca.

- Może napijecie się herbaty, chłopcy? - zaproponowała pielęgniarka, kobieta w średnim wieku o puciołowatej, życzliwie uśmiechniętej twarzy.

- Chętnie, dziękuję - odparł Derek.

John był zbyt przejęty, aby powiedzieć cokolwiek.

- Usiądźcie sobie, tam będzie wam wygodnie. - Pielęgniarka wskazała na drewnianą ławę ustawioną pod ścianą.

- Wracam za chwilę. - Odeszła, skrzypiąc gumowymi podeszwami na kamiennej posadzce.

- Muszę zajrzeć do innych pacjentów - oświadczył lekarz. - A wy odpocznijcie tu trochę. I zczekajcie na mnie.

- Możemy wejść na chwilę do matki? - zapytał John. Od niemal trzydziestu sześciu godzin nie zmrużył nawet oka, jego głos drżał ze zmęczenia i napięcia. Cały poprzedni dzień i noc spędzili w podróży, w Shannon czekał już na nich dziś rano Ned Sherling i, nie tracąc czasu, zawiózł ich wprost do Dublina.

John nie potrafił pojąć swego brata. Mimo tak niecodziennej sytuacji, w której życie ich matki zawisło na włosku, Derek pozostał wierny złożonemu uprzednio przyrzeczeniu: od- kąd opuścili dom Lindstromów w Charlottetown, nie odezwał się do Johna nawet jednym słowem. Jego uporczywego milczenia nie przełamało nawet nowe przeżycie, jakim był prze- lot przez Atlantyk na pokładzie Super - Constellation.

Doktor wyraził zgodę na widzenie z matką.

- Ale niech jej widok nie wywoła w was szoku - ostrzegł.

- Wasza matka jest podłączona do tlenu i leży pod kroplówką. To normalne postępowanie w stosunku do pacjentów po wylewie. Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości.

Pokój oświetlała jedynie mała lampka nad drzwiami. Jedno z łóżek pod przeciwległą ścianą osłaniał parawan. Pielęgniarka doprowadziła ich tam, odsunęła zasłonę i gestem dłoni zachęciła, by podeszli bliżej.

- Nie siedźcie zbyt długo - szepnęła.

John nie miał odwagi spojrzeć na twarz matki. Przez chwilę przyglądał się jej dłoniom, spoczywającym bezwładnie po bokach. Jego uwagę przyciągnął jakiś cichy syk, który wydał mu się niemiły, a nawet złowieszczy. Rozejrzał się dokoła i wreszcie odkrył jego

źródło: dźwięk wydobywał się z butli tlenowej zawieszanej nad łóżkiem.

Zmusił się, aby przenieść spojrzenie z butli na twarz matki.

W tym nikłym świetle, jakie docierało za parawan, jej rysy - a raczej to, co mógł dostrzec, gdyż nos i usta ginęły pod przezroczystą maską - wydawały się blade, woskowe i jakby obce. Lekarz wcale nie przesadził, mówiąc o niej, że jest chuda. Zapadłe policzki i skronie upodobały ją do szkieletu, ciało pod nakryciem rysowało się zaledwie nieznacznie. John nie dostrzegał w niej teraz żadnego śladu życia, nie poznawał w tej kobiecie dawnej matki. Owładnęło nim pragnienie, aby odwrócić się i wybiec z pokoju, a jednocześnie zrobićby wszystko, aby wziąć w ramiona tę kruchą istotę i przytulić do serca ze wszystkich sił. Mamo, załkał w duchu, błagam cię, mammo, obudź się, otwórz oczy, choćby na chwilę!

Derek stał w głowach łóżka, jego nieruchoma twarz była nieprzenikniona. John podszedł bliżej, ujął matkę za rękę, bezsilną i lodowatą w dotyku. Błagam cię, mammo, szeptał bezgłośnie, błagam cię...

Derek nieoczekiwanie odwrócił się i minął go bez słowa, kierując się do wyjścia. Kiedy jego kroki ucichły na korytarzu, John podniósł rękę matki. Była lekka jak piórko. Pochylił głowę i utkwiał w chorej intensywny wzrok, jakby w ten sposób mógł tchnąć w nią życie.

- Obiecuję, mammo - wyszeptał - że jeśli wyzdrowiejesz, zostanę tu i zaopiekuję się tobą. Przrzekam! Musisz się obudzić, mammo, musisz...

Ostrożnie, jakby miał do czynienia z małym pisklęciem, ułożył jej rękę na łóżku, tam gdzie leżała przedtem. Niegdyś tak sprawna i pracowita, dziś ta ręka sprawiała wrażenie całkowicie bezużytecznej. Z trudem powstrzymał łzy. Nie, nie wolno teraz płakać. Nie jest już przecież dzieckiem. Nachylił się nad matką i ostrożnie, aby nie poruszyć maseczki okrywającej usta i nos, wyszeptał jej do ucha:

- Mammo, jesteś mi potrzebna. Mnie i Derekowi. Proszę, obudź się. - Chciał jeszcze coś dodać, powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale to okazało się zbyt trudne.

Stał tak długą chwilę, wreszcie odwrócił się i wyszedł na korytarz. Pielęgniarka, która wracała właśnie do swojego pokoju, przystanęła i zaczekała na niego.

- Przyniosłam ci herbatę - powiedziała cicho. Objęła go w pól. - Staraj się nie rozmyślać o tym za wiele. Stan twojej matki jest poważny, ale widywałam już ludzi, którzy po takim wylewie przychodzili do siebie dość szybko. U matki jest teraz moment krytyczny. Jeśli go przetrzyma, wszystko wróci do normy. Musisz wierzyć, że będzie dobrze.

Derek siedział na ławie obok Neda Sherlinga. Odkąd John sięgał pamięcią, Ned zawsze pomagał im w potrzebie, a jeśli nie było nic ważnego do załatwienia, przynajmniej

podwoził ich to tu, to tam swoim starym samochodem. Teraz obaj z Derekiem popijali herbatę.

- To twoja, John - powiedział Ned, podając mu kubek z tacy. Przyciszonym głosem zapytał: - I jak z nią?

- Niedobrze - mruknął John. - Nawet bardzo niedobrze, jak mi się zdaje... - Głos zdrzął mu podejrzenie. Aby ukryć tę chwilę słabości, podniósł kubek do ust i upił łyk.

- Musisz wierzyć w dobroć Boga, chłopcze. Nigdy nic nie wiadomo. Pomódl się teraz!
- Ton jego głosu był bardziej nagły, niż znanego im dotąd dobrodusznego sąsiada, i John obrzucił go ostrym spojrzeniem. Czuł się jednak zanadto zmęczony i strapiiony, aby roztrząsać w tej chwili tego rodzaju problemy. W milczeniu upił trochę herbaty.

Wyłożony kafelkami korytarz o monotennie zielonych ścianach, pozbawiony okien, tonął w cieniu. Jedynie w jego drugim końcu paliła się zwykła żarówka, która dawała nikłe światło. W tym ponurym miejscu nawet najcichsza rozmowa wydawała się za głośna. Ze swojego pokoju wyszła pielęgniarka, zbliżyła się do nich.

- Dowiedziałam się - oznajmiła - że w przytułku Świętego Ignacego mają wolne łóżka. Tylko dwa, niestety. Ale jeśli któryś z was nie miałby nic przeciw temu, mógłby się przespać na jednym z tych wózków. - Wskazała na wąskie łóżko na kółkach, odstawione pod ścianę.

- Ja mogę spać na wózku - odparł natychmiast John. Wolał zostać sam, chciał też być jak najbliższej matki.

- Kiedy Ned i Derek odeszli, pielęgniarka umieściła wózek w najodleglejszym kącie korytarza i wprawnie, kilkoma ruchami, przekształciła go w łóżko.

- Możesz na nim spokojnie spać, nie weźmiemy cię z samego rana na stół operacyjny.
Spojrzał na nią zaskoczony, nie rozumiejąc sensu jej słów. Pielęgniarka zreflektowała się natychmiast.

- Przepraszam, nie powinnam teraz żartować. Biedactwo, jesteś zupełnie roztrzęsiony! Zdejmij buty.

Był zbyt zmęczony, aby zaprotestować, kiedy nachyliła się i zaczęła rozwiązywać mu sznurowadła, a potem ściągnęła z niego palto i marynarkę. Wreszcie odeszła, a on czym prędzej wdrapał się na wysoki wózek, dość twardy i jakby mało stabilny.

Zanim jeszcze zdążył zmówić modlitwę, poczuł, że zapada się w mroczną, głęboką czeluść. W ciągu paru sekund zasnął.

* * *

- Hej, John, John, obudź się!

Ktoś wyciągał go z tej mrocznej czeluści. Chciał się bronić, ale ten ktoś nie ustępował.

- Prędeej, chłopcze, pośpiesz się, twoja matka odzyskała świadomość. Chodź szybko!

Z trudem otworzył oczy. - Kto...

- Jesteś w szpitalu, chłopcze, zapomniałeś już? Twoja matka...

Zeskoczył z wózka i zawiązał sznurowadła, szarpiąc je niecierpliwie. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Matka obudziła się, nie umarła!

Z paltem i marynarką przewieszonymi przez ramię pobiegł za pielęgniarką. Przed drzwiami sali przystanąła i spojrzała na niego.

- Nie miej zbyt wielkich nadziei, John. Ona miała wylew, nie zapominaj o tym. Może wyzdrowieć lub nie. I na tym etapie byłoby normalne, gdyby cię nie poznała.

- Czy Derek już wie? - Jego odruchowa raczej troska o brata nie rozwiąła się nawet w tych nowych okolicznościach.

- Tak, jedzie już do szpitala.

John musiał poczekać przed parawanem, gdyż przy łóżku krzątało się paru lekarzy. Po chwili zjawiła się pielęgniarka, która ostrzegała go, aby nie miał za dużych nadziei. Dotknęła lekko jego ramienia:

- Możesz tam wejść - szepnęła. - Ale tylko na parę minut.

Podniecony przełknął ślinę. Poczuł, że ma spocone dłonie, i wytarł je o spodnie, zanim szarpnął rąbek zasłony i wszedł za parawan.

Mary Flynn leżała z zamkniętymi oczyma i w pierwszej chwili John pomyślał, że wezwano go tutaj przedwcześnie. Wydawało mu się, że w stanie matki nic nie uległo zmianie. Ale gdy jego wzrok oswoił się już z półmrokiem, zauważył lekkie, słabo widoczne drganie powiek. Opadł na kolana.

- Mamo... - szepnął.

Nie było odpowiedzi.

Uniósł jej lekką, bezwładną rękę.

- Mamo, to ja, John.

Tym razem otworzyła oczy. Nie odwróciła do niego głowy, zdawała się wypatrywać czegoś na suficie. John usłyszał jakiś dziwny dźwięk, jakby bulgotanie, i domyślił się, że matka próbuje powiedzieć coś przez maskę tlenową. Wstał i nachylił się nad nią, przykładając niemal ucho do jej twarzy.

- O co chodzi, mamo?

Czekał całą wieczność, wreszcie poruszyła się nieznacznie i wtedy ją usłyszał. Ale to nie był jej głos; dźwięk, zniekształcony przez maskę i tlen, zabrzmiał jakoś metalicznie, obco.

- Mamo, nie zrozumiałem, co powiedziałaś... Czy możesz powtórzyć? - Starał się zachować spokój.

Ruch jej ręki zdradzał, ile wysiłku matka wkłada w mówienie, jednakże wykrztuszone w końcu: „Eee...eek...” w dalszym ciągu stanowiło dla niego zagadkę.

- Mamo, mamo... - szeptał gorączkowo. - Co chcesz powiedzieć? Spróbuj jeszcze raz, błagam! Spróbuj!

Ale ona znowu zamknęła oczy.

Czekał cierpliwie, ściskając jej rękę, chociaż zdawał sobie sprawę, że matka zanurzyła się w mrok nieświadomości. Nieoczekiwanie napłynęły jakieś wspomnienia z dzieciństwa: matka wkłada do kieliszków jajka ugotowane na miękko dla niego i Dereka; mama pozwala, aby przyniósł do domu kawkę ze złamaną nogą; mama tańczy (nigdy przedtem nie widział jej tańczącej!) na święcie zbiorów z jednym z sąsiadów, a jej włosy rozwiewają się na wietrze; mama, korzystając z uprzejmości sąsiada, który zaopiekował się nim i Derekiem, jedzie na dzień do swojej przyjaciółki w Dublinie, a potem wraca z dwiema raketkami do ping - ponga i dwiema piłeczkami, następnie pomaga im sklecić prowizoryczny stół do gry i nawet rozgrywa z nimi kilka setów... Była to jedna z niewielu chwil w jego życiu, kiedy bawili się razem, on, Derek i mama...

Ostrożnie położył jej rękę na kołdrze. Podjął już decyzję. Jeżeli matka wróci do zdrowia, choćby częściowo, to nawet gdyby miała zostać już na zawsze inwalidką, on zaopiekuje się nią. Teraz jego kolej. Pogłaskał czule jej dłoń, mając nadzieję, że doda matce w ten sposób trochę otuchy.

- Nie martw się, mamo. Nie zostawię cię tak.

Usłyszał za plecami czyjeś kroki. Przyszedł Derek.

John odstąpił nieco od łóżka.

- Odzyskała na chwilę świadomość, ale teraz jest chyba znowu nieprzytomna - powiedział. - Może zawołać pielęgniarkę?

Derek milczał. Stanął obok Johna, wpatrując się w matkę, jego twarz połyskiwała upiornie w słabym, zielonkawym blasku lampy.

John zawahał się, po czym wyszedł na korytarz, aby odnaleźć któregoś z lekarzy. W pewnym momencie stanął jak wryty: odgadł wreszcie, co matka chciała powiedzieć. Chciała wymówić imię „Derek”.

* * *

Nieco później, tego samego ranka, obaj bracia siedzieli na ławie, tak daleko od siebie,

jak tylko pozwalała na to jej długość. Tkwili tu tak od ponad dwóch godzin. Derek zdrzemnął się, głowa opadła mu nisko na piersi. Również John czuł, że zaczyna morzyć go sen mimo odgłosów budzącego się do życia szpitala. Doskwierał mu także głód.

Zjawiała się już kolejna zmiana i John dojrzał pielęgniarkę, która była dla nich tak miła. Teraz wiodła dość ożywioną rozmowę ze swoją zmienniczką. Obie zerkały w jego stronę raz po raz, domyślił się więc, że rozmawiają o nich.

Pielęgniarka z dziennej zmiany podeszła do niego szybkim krokiem.

- Dzień dobry, John - powitała go, po czym wskazała na Dereka: - Nie wytrzymał dłużej, co?

Czuł, że zdrętwiała mu jedna noga, mimo to zdołał wstać. Uczynił gest, jakby chciał zbudzić brata, ale ona powstrzymała go.

- Nie, niech jeszcze śpi. Przyniosę wam coś do jedzenia, a potem przyślę do was administratorkę, dobrze?

Nie starczyło mu odwagi, aby zapytać, co to za jedna, ta administratorka, więc tylko kiwnął głową.

Niebawem pielęgniarka przyszła z powrotem, trzymając tacę z owsianką, grzankami i herbatą. Delikatnie obudziła Dereka, po czym obaj rzucili się łapczywie na jedzenie.

Administratorka zjawiała się, zanim jeszcze John skończył śniadanie. Usiadła między nimi i otworzyła skoroszyt.

- Który z was jest starszy? - zapytała.

- Ja! - odparli jednocześnie. Ta kwestia zawsze budziła kontrowersję, której matka nie chciała rozstrzygnąć; twierdziła bowiem, że są dokładnie tacy sami pod każdym względem.

- Jesteśmy bliźniakami - wyjaśnił John.

Kobieta kiwnęła głową.

- Rozumiem. To zresztą bez znaczenia. Wasza matka, jak przypuszczam, zostanie u nas przez pewien czas, prawda?

- Czy ona... czy?... - Derek nie potrafił dokończyć pytania.

- Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze - odparła. - Czy któryś z was pracuje?

- Nie, proszę pani - odparł John. - Jeszcze nie. Rozejrzę się za jakąś pracą po powrocie do domu. Oczywiście, jeśli mama poczuje się lepiej.

Spojrzała na niego przenikliwie.

- Masz jeszcze braci lub siostry? Kto mógłby się zaopiekować matką, kiedy wróci do domu?

- Ja - odparł krótko.

- Ja pracuję - oznajmił nieoczekiwanie Derek. - Pracuję u kuzyna w Kanadzie i wyjadę tam, gdy tylko to będzie możliwe. Jeśli chodzi o pieniądze, będę je przysyłał co jakiś czas.

John spojrział na niego z niedowierzaniem. Ale się matka doczekała pociechy z syna, pomyślał nagle. A przecież zaledwie wczoraj albo najwyżej dwa dni temu Derek wyraził żal, że w ogóle pojechał do Kanady!

Kobieta przeniosła wzrok na Dereka.

- Czym się tam zajmujesz?

- Pracuję na farmie.

- Jaki masz roczny dochód?

- Właściwie żaden. Na razie pracuję za samo utrzymanie. Ale jeśli zbiory w przyszłym roku będą dobre, zacznę otrzymywać zapłatę, tak mi obiecano.

- Rozumiem - odparła administratorka. Przez chwilę rozmyślała intensywnie, wreszcie zapisała coś w swoim skoroszycie. Kiedy odezwała się znowu, jej głos zabrzmiał łagodnie: - Proponuję, chłopcy, abyście jak najprędzej wrócili do domu. Takie przesiadywanie w szpitalu nie ma sensu, nic nie da, nie wiem zresztą, jakbyście to znosili. W stanie, w jakim znajduje się wasza matka, powrót do zdrowia następuje bardzo wolno. Przez kilka pierwszych dni nie będzie nawet wiedziała, czy jesteście przy niej, czy też nie. Możecie jakoś dostać się z powrotem do domu?

- Do Dublina przywiózł nas samochodem sąsiad. Odwiezie nas też w drugą stronę. Damy sobie radę proszę pani - zapewnił John.

- On da sobie radę - sprostował Derek. - Jeśli o mnie chodzi, wracam do Kanady.

Kobieta obrzuciła go surowym spojrzeniem, ale zachowała milczenie. Zamknęła skoroszyt, wstała i zostawiła ich samych.

- Musiałeś być taki arogancki? - ofuknął brata John. - Ta kobieta jest bardzo miła i zachowywała się wobec nas życzliwie. I skąd taka nagła decyzja w sprawie powrotu? A co, jeśli mama będzie potrzebowała nas obu?

Derek zmienił pozycję na ławie. Siedział teraz plecami do brata, spoglądał gdzieś w głąb korytarza.

- Posłuchaj - mówił dalej John. - Cokolwiek zdarzyło się w Kanadzie... cokolwiek nas poróżniło... Czy nie moglibyśmy zapomnieć o tym przynajmniej na pewien czas? - Bezwiednie podniósł głos przy ostatnich słowach. Jacyś starsi ludzie siedzący na ławie pod przeciwległą ścianą zwrócili na nich zaciekawione spojrzenie i John natychmiast dodał ciszej: - Na miłość boską, Derek, opamiętaj się! Mama leży w szpitalu... może nawet umiera... A my

zachowujemy się jak szaleńcy... Nie, przepraszam, to ty zachowujesz się jak szaleniec!

Derek założył nogę na nogę i z wielkim zainteresowaniem począł obserwować swoje paznokcie. John dał za wygraną.

- Idę do ubikacji.

Kiedy wrócił, obok Dereka siedział Ned Sherling, umyty już i ogolony. John postanowił nie wracać przy nim do przykrej rozmowy z bratem.

Przed wyjściem ze szpitala udali się jeszcze raz do sali, by zobaczyć matkę. Teraz, w świetle dziennym, wyglądała lepiej. Nadal miała na twarzy maskę tlenową i była podłączona rurkami do kroplówki, ale policzki zyskały już nieco zdrowszy kolor, a oddech wydawał się spokojny i regularny. Jednocześnie John zauważył, że twarz matki jest jakby nieco wykrzywiona; lewa i prawa strona wyraźnie różniły się między sobą.

Nieoczekiwanie Mary Flynn otworzyła oczy. Były mętne i pozbawione wyrazu, wpatrzone nieruchomo przed siebie. Kącik jednej z powiek opadał.

- Witaj, mamó - szepnął John i usłyszał głos Dereka, który powtórzył jego słowa.

- Grzeczna dziewczynka! - powiedziała z uznaniem pielęgniarka, która weszła tu razem z nimi. - Proszę popatrzeć, Mary, kogo przyprowadziłam ze sobą. To John i Derek!

Wzrok Mary prześliznął się po nich dość obojętnie i powędrował w górę. Pierś poruszała się miarowo, ale aparat tlenowy wydał ponownie owe okropne dźwięki, kiedy chora otworzyła usta, aby coś powiedzieć: „Eeee...”

- To musi trochę potrwać - mruknęła pielęgniarka. - Nie przejmujcie się za bardzo. Po tak poważnym wylewie to raczej normalne. Jeszcze tydzień lub dwa i nasza chora poczuje się dużo lepiej, prawda, kochanie? - Odwróciła się do Mary i łagodnym ruchem odgarnęła jej zza ucha cienki, zabłąkany tam kosmyk włosów.

John poczuł, że nie zniesie tego dłużej.

- Do widzenia, mamó - wykrztusił. - Nie martw się, odwiedzimy cię wkrótce, postaramy się jak najprędzej.

Spojrzała na niego swoimi mętnymi oczami.

- Eeee ... eek...

- Derek jest tutaj, mamó - odparł. - Jest tu... - To mówiąc, John pociągnął brata za rękę. Derek szarpnął się gwałtownie, odtrącił go, ale Mary i tak nie zwróciła na to uwagi. Nie poznała ich.

- Eee...ek? - powtórzyła pytającym tonem, chociaż wpatrywała się właśnie w Dereka.

Pielęgniarka przejęła inicjatywę. Kiwnęła na chłopców, dając im znak, że pora się żegnać, po czym wzięła Miry za rękę.

- Oni muszą już iść, ale niedługo wrócą, naprawdę niedługo, za parę dni. A teraz trzeba odpocząć, jen pani dobrze zrobi! - Poglaskała pacjentkę po głowie.

Zaledwie John wyszedł zza parawanu, zaczął przecierać oczy, ale nagle zorientował się, że wszyscy na niego patrzą. Zawstydzony publiczną demonstracją własnej słabości, przyśpieszył kroku i niemal wybiegł na korytarz. Derek szedł tuż za nim.

Przed salą czekał Ned.

- I co z nią?

- Trochę lepiej - odpowiedział Derek. - Mówią, że teraz zacznie pomału dochodzić do zdrowia.

- Bogu niech będą dzięki! - mruknął Ned.

- To nieprawda! - zawołał John. - Wcale tak nie mówią! Będzie inwalidką!

Derek oddalił się bez słowa.

Wyszedłszy ze szpitala, John przystanął na kamiennych schodkach i kilka razy łąpczywie nabrał do płuc świeżego, mroźnego powietrza. Jasność dnia podziałała na niego kojąco. Po tych ostatnich okropnych godzinach spędzonych w dusznym szpitalu z ulgą poczuł ostry grudniowy wiatr, który hulał po Eccles Street, wdzierając mu się do gardła i szczypiąc go w uszy, ale zarazem sprawiał, że z każdym krokiem powracała otucha. Może pielęgniarki miały rację mówiąc, że matka wyzdrowieje?

- Na tej ulicy mieszkał Leopold Bloom - powiedział Ned, kiedy doszli do końca Eccles Street i skręcili w Dorset Street, gdzie zostawili samochód.

- Naprawdę? - udał zainteresowanie John. Domyślał się, że ów Bloom musiał być pisarzem lub jakąś postacią literacką. Ned Sherling cieszył się w Drumbooli opinią mola książkowego.

W tym momencie dostrzegł po drugiej stronie ulicy budkę telefoniczną.

Rose.

Może zatelefonować do Rose do szkoły?

Uświadomił sobie nagle, że Rose ma teraz przerwę świąteczną i z pewnością przebywa w domu, w Sundarbans. Choroba matki zaabsorbowała go do tego stopnia, że nie pomyślał do tej pory, iż mógłby się spotkać z ukochaną.

* * *

Nazajutrz wybrał się do Wielkiego Domu. Poprzedniego dnia, kiedy wraz z bratem weszli do stróżówki, Derek w milczeniu pomaszerował od razu do pokoju matki i zatrzasnął za sobą drzwi, zostawiając dla Johna ten pokój, który dawniej zajmowali wspólnie. John czuł

się zbyt zmęczony i rozbity, aby się tym przejąć.

Dziś obudził się znacznie bardziej rześki i odświeżony. Przez okno wpadał pierwszy brzask dnia, o dach i ściany bębnił ulewny deszcz. John wyskoczył z łóżka, nadal w ubraniu, które miał na sobie w sylwestra, skulił się z zimna i uświadomił sobie, że jest głodny jak wilk.

Wszedł do kuchni i machinalnie sięgnął po zegarek, aby sprawdzić, która godzina. Wskazówki obwieszczały trzecią dziesiątą. W pierwszej chwili John spojrzał zdumiony, nie wierząc własnym oczom. Czyżby spał aż tak długo? Potem jednak zorientował się, że zegarek nie tyka. Matka zawsze nakręcała go tuż przed położeniem się do łóżka.

Włączył radio w momencie, kiedy spiker mówił: „I to była już ostatnia wiadomość w naszym bloku informacyjnym o dziewiątej”.

A więc spał ponad dwadzieścia godzin! Zerknął na drzwi sypialni matki. Nadal zamknięte.

Kuchnia była czysta, ale jednak sprawiała wrażenie zaniedbanej. Otworzył piec, wysypał zimny już popiół, następnie, nie bacząc na ulewę, wyszedł przed dom, aby przynieść trochę drewna. Wydało mu się, że czegoś brakuje na dziedzińcu. No tak, nie było kozy! Czyżby ktoś ją ukraść, korzystając z nieobecności matki? A może zaopiekował się nią któryś z sąsiadów?

Kiedy wrócił do kuchni z całym naręczem szczap, ociekał wodą, szczękały mu też zęby. Czym prędzej rozpałił ogień i czekając, aż piec nagrzej się na tyle, aby można było zagotować wodę, zaczął zaglądać na półki i do szuflad w poszukiwaniu jedzenia. Nie znalazł wiele: pół opakowania krakersów, odrobinę masła, piętękę spleśniałego chleba i pół główki kapusty oraz trochę herbaty i cukru, ale ani kropli mleka.

Coraz bardziej dokuczały mu wyrzuty sumienia. Nic dziwnego, że matka tak wychudła i wreszcie zapadła na zdrowiu. Podczas gdy on i Derek najadali się w Kanadzie do syta, ona musiała głodować! Ta świadomość umocniła go w zamiarze pozostania tu i zaopiekowania się matką. Jest przecież silny i potrafi pracować. Matka już nigdy nie będzie głodna!

Posmarował krakersy cieniutką warstewką masła, tak aby starczyło go na jak najwięcej z nich, i stojąc przy ciepłym piecu, począł jeść łączywie, rozsypując okruchy po podłodze. Kiedy zostały dwa ostatnie krakersy, przypomniał sobie o Dereku i zawahał się, ale głód zwyciężył. Do diabła, pomyślał, on też nie zostawiłby nic dla mnie.

Poprzez bębnienie deszczu usłyszał w pewnej chwili pukanie do drzwi, a kiedy je otworzył, ujrzał Neda Sherlinga, który stał w progu z bańką i papierową torbą w ręku. Pele-ryna na ramionach pociemniała od wody, a przerzedzone włosy zdążyły się przykleić do

głowy, mimo iż od samochodu do stróżówki nie było daleko.

- Ned! - wykrzyknął John. - Wejdz, proszę!

Ned potupał trochę na wycieraczce, strzepując z siebie wodę. Stał nieco bokiem, jakby zażenowany.

- Przyniosłem to i owo - zaczął niepewnie, wyciągając ręce z bańką i przemoczoną torebką. - Jest niedziela, sklepy są zamknięte, a ja pomyślałem sobie, że nie znajdziecie tu wiele do zjedzenia, bo Mary...

- Jesteś zbyt dobry, Ned - powiedział z wdzięcznością John, odbierając od niego prowiant. - Właśnie napaliłem w piecu. Zaraz zagotuję wodę.

Ściągnął z Neda pelerynę, nie napotykając sprzeciwu, następnie podsunął mu krzesło i spiesznie zmiotł okruchy z podłogi. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu pełni w stróżówce rolę gospodarza i że to mu się nawet podoba. Wyłożył prowiant na stół. Ned przyniósł chleb, pół tuzina jaj, kostkę masła i cztery plastry bekonu. W bańce było świeże mleko, jeszcze z pianką po udoju.

- Dziękuję, Ned - powtórzył John. - To nam wystarczy, dopóki się tu jakoś nie urządzimy. Zjesz z nami śniadanie?

- Nie, skądże znowu! - zaprotestował Ned. - Zjadłem już po dojeniu.

- To może chociaż filiżankę herbaty i kawałek chleba?

- No dobrze, dziękuję.

John patrzył na niego zaintrygowany. Obecność Neda traktował zawsze jako rzecz naturalną. Odkąd sięgał pamięcią, Ned stanowił nieodłączną część życia Flynnów, tak jak ława ze schowkiem w kącie kuchni albo zegarek na kominku. Ned mieszkał niegdyś z dużo starszą od siebie siostrą, która zmarła już ponad dziesięć lat temu. Ciekawe, w jaki sposób radził tam sobie bez nikogo, sam jak palec? Do wczoraj, kiedy w głosie Neda mówiącego o Mary usłyszał ów nagły ton, nie zastanawiał się nigdy nad tym małym, zamkniętym w sobie człowiekiem, nie podejrzewał go też, aby mógł mieć podobne uczucia do jego własnych.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Ned - powiedział powoli. - Żaden inny sąsiad nie zrobiłby dla nas tyle co ty. I nie chodzi mi tylko o te jazdy samochodem.

- Och, to przecież nic takiego! - zawołał Ned, najwyraźniej zażenowany. - To nic takiego, naprawdę, nie ma o czym mówić!

Na szczęście piec nagrzał się już na tyle, aby John mógł wreszcie zająć się patelnią. Wrzucił na nią bekon i zaczął kroić chleb.

- Chciałem cię jeszcze o coś zapytać - dodał po chwili. - Wstyd mi, że nie pomyślałem

o tym wcześniej, a przynajmniej nie pomyślałem jak należy. W jaki sposób mama radziła sobie przez te wszystkie lata bez pieniędzy?

- Cóż...sprzedawała w Carrick jaja i warzywa - wyjaśnił Ned. - A koza dawała mleko, mnóstwo ludzi kupowało je dla dzieci, kiedy były chore.

Bekon skwierczał już na patelni i John musiał wyteńczyć słuch, aby zrozumieć jego słowa.

- Tak, wiem - odparł. - Przecież sam zajmowałem się sprzedażą tego i owego. Ale pieniędzy było z tego tyle co nic.

- Ksiądz dawał jej zawsze parę szylingów za sprzątanie kaplicy.

John, zaskoczony, znieruchomiał z nożem w ręku. Do tej pory myślał zawsze, że matka chodzi tak często do kaplicy, aby się pomodlić. Teraz już rozumiał, dlaczego nie chciała nigdy, żeby poszli tam razem z nią. Okazało się, że Ned wie o Mary Flynn więcej niż on, jej syn.

- Ned, powiedz mi jeszcze... Co się stało z kozą? I gdzie są kury? - Dziś rano, kiedy poszedł do szopy po drewno, zauważył, że kurnik jest pusty.

Ned wpatrywał się w swoje buty.

- Cóż, nie chciała, żebyście się o tym dowiedzieli - mruknął cicho. - A ja odkryłem to przez przypadek...

- Co? Co odkryłeś?

- No... że nie miała pieniędzy na waszą podróż do Ameryki.

- Zawsze myślałem, że pieniądze na podróż przesłali McGuiganowie.

- Przesłali większą część.

- To skąd matka wzięła resztę?

- Od Franceya Meaghera. - Ned spojrzał mu prosto w oczy. - Francey zgodził się zabrać kozę i kury dopiero po waszym wyjeździe.

- Nie uwierzę, że koza i kury wystarczyły, żeby pokryć resztę! Skąd matka wzięła brakującą część?

- Nic więcej nie wiem. - Ned znowu opuścił wzrok na buty. Na twarz wystąpił mu ciemny rumieniec.

John nie musiał dalej pytać; sprawa była jasna.

- Zwrócę ci wszystko, Ned - obiecał.

- Co? Co mi zwrócisz? - wyjąkał tamten. - O czym ty mówisz? Co mi zwrócisz?

John odwrócił się twarzą do pieca. Bekon był gotowy, w czajniku śpiewała już woda. John wrzucił na bekon dwa jaja, odskoczył do tyłu, kiedy tłuszcz prysnął na boki. Podniósł na

chwilę patelnię.

- Znajdę sobie pracę, Ned - powiedział cicho. - Taką pracę, żeby mieć z niej pieniądze. Zwrócę ci wszystko, co do pensa.

* * *

Sześć godzin później John spojrzał z nadzieją na ciemne niebo, ale widok nie nastrojał optymistycznie: ulewa nie słabła, nie zanośło się też na to w najbliższym czasie. On zaś nie mógł czekać dłużej. Niedzielny lunch w Wielkim Domu z pewnością dobiegł już końca, niebawem zapadnie zmierzch...

Do wizyty przygotował się starannie. Umył się, przeprał i wysuszył przed kominkiem swoją najlepszą koszulę, wyprasował ją - choć ta ostatnia czynność nie najlepiej mu się udała - następnie wyczyścił i wyglansował buty, włożył płaszcz, a na uszy naciągnął głęboko starą czapkę ojca. Machinalnie umoczył dłoń w zawieszonym przy wyjściu pojemniczku ze święconą wodą, przeżegnał się i wyruszył do Sundarbans.

Zanim przeszedł sto metrów, był przemoknięty do nitki, chociaż starał się przemykać pod drzewami. Co krok natykał się na kałuże, tak rozległe, że nie mógł ich obejść. Próbując przeskoczyć jedną z nich, podobną do miniaturowego stawu, wpadł w sam jej środek, niszcząc w ten sposób efekt wysiłków, jakie włożył w wyczyszczenie butów. Zrezygnowany machnął ręką. Pogodził się już z myślą, że kiedy stanie przed frontowymi drzwiami Wielkiego Domu, będzie przedstawiał dość żałosny widok.

Na myśl o tym, że za chwilę ujrzy Rose, coś ścisnęło go w dołku, ale czekało go także zadanie pilniejsze, o większym znaczeniu. Zamierzał poprosić jej ojca o zatrudnienie w posiadłości.

Odruchowo pociągnął za mokrą gałązkę zwisającą nad drogą. Usiłował opanować nerwy, skupiając myśli na rzeczach nie związanych z teraźniejszością ani z przyszłością. Zastanawiał się, co by robił, gdyby przebywał w tej chwili na farmie w Kelly's Cross. Wyobrażenia podsuwała mu sceny jazdy po ośnieżonej krainie na saniach lub toboganie albo też delectowania się jedzeniem.

Widział na przykład parujące, napełniane przez Peggy McGuigan półmiski z gulaszem, ziemniakami i warzywami, talerze z soczystą roladą owocową i pysznymi ciasteczkami z kremem... Poczuł, że ślinka napływa mu do ust. Prowiant przyniesiony z rana przez Neda przydał się, nawet bardzo, ale John zostawił połowę dla Dereka i teraz był już głodny.

W dalszym ciągu nie rozmawiali ze sobą. Derek, wyjmując z duchówki swoją porcję jajecznicy na bekonie, zachował całkowite milczenie, a potem wszedł z powrotem do pokoju

matki i znowu zatrzasnęła za sobą drzwi. John, który początkowo zamierzał go poinformować o swoim zamiarze ubiegania się o pracę u pana O'Beirne Moffata, zmienił zdanie, zniechęcony humorami brata. Przede wszystkim potrzebował teraz spokoju, aby móc się skoncentrować na czekającym go zadaniu.

Zimna jak lód woda zaczęła ściekać mu za kołnierz płaszcza, ale na szczęście John dostrzegł właśnie przed sobą koniec alejki. Po chwili stał już przed schodkami i wtedy poczuł, że opuszcza go odwaga. Wydało mu się nagle, że nawet żywioły ostrzegają go, aby tu nie wchodził; pomiędzy nim a dolnym stopniem znajdowała się niewielka kałuża, utworzona nie tylko przez uporczywy deszcz, ale także przez strugi wody, które spływały z popękanej rynny niczym wodospad.

Chyba najlepiej będzie przyjść innego dnia, pomyślał.

No tak, ale może ktoś dostrzegł go już przez okno. Może widziała go Rose. Nie, teraz za późno na odwrót. Wszedł w kałużę, głęboką na co najmniej dziesięć centymetrów i, brodząc w wodzie, dotarł do schodów.

Nigdy dotąd nie był w Wielkim Domu, nie wiedział więc nawet, czy dzwonek działa, ale postanowił zaryzykować. Nie było żadnej odpowiedzi. Odczekał stosowną chwilę, po czym uderzył młotkiem kołatki, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt głośno; raczej jako coś pośredniego między pukaniem nieśmiałym a natarczywym. Nadal nikt nie otwierał. Zastukał jeszcze raz, nieco głośniej. Po chwili drzwi drgnęły lekko, a on usłyszał cichy zgrzyt zasuw. Resztki odwagi stopniały w jednej sekundzie. To był jednak poważny błąd, przychodzić pod drzwi frontowe. Zapewne nie otwierano ich od lat. Ale skąd miał o tym wiedzieć?

Drzwi uchyliły się lekko i John znalazł się nagle twarzą w twarz z matką Rose. Na jego widok, zaskoczona, zrobiła wielkie oczy, on zaś, zbity z tropu, zaczął:

- Przepraszam... - i umilkł natychmiast, kiedy Daphne bez słowa zatrzasnęła drzwi z powrotem.

Przez chwilę stał osłupiały, nie czując deszczu, który zalewał mu oczy i całą twarz, wdzierał się nawet do ust. I nagle ogarnął go gniew. Jak ona mogła? Niezależnie od sfer, z jakich pochodzi, nie powinna była postąpić w ten sposób! Nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, zaczął łomotać w drzwi, z całych sił walił kołatką o metalową płytę. Nie zasłużył sobie na takie traktowanie! Nawet żebrak spotyka się z grzeczniejszym przyjęciem!

Owładnięty furią stukał zawzięcie, dopóki drzwi nie otworzyły się ponownie. Tym razem ujrzał w progu pułkownika.

- Co, u diabła... - zaczął O'Beirne Moffat, ale teraz to John zachował się obcesowo.

Odezwał się w nim tłumiony od jakiegoś czasu gniew, żal i upokorzenie. Zaciśnął pięści, z trudem się powstrzymał, aby nie zacząć wymachiwać nimi w powietrzu.

- Chciałem zamienić z panem parę słów, pułkowniku - zawołał, zanim ojciec Rose zdążył się odezwać - ale pana żona zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. - Czuł podświadomie, że zaprzepaszcza w ten sposób wszelkie szanse na akceptację ze strony tych ludzi jego związku z Rose, był jednak w tej chwili zbyt zdenerwowany, aby się nad tym zastanawiać. - Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem! - powtórzył z naciskiem.

- Powiedz mu, żeby sobie stąd poszedł! - dobiegł go zza ramion Gusa agresywny głos Daphne.

- Czy pozwoli mi pan porozmawiać ze sobą, *sir*, czy też nie? - zapytał John.

Gus zawahał się, jego podbródek drgał ledwie dostrzegalnie. Przez chwilę John czuł, że jest mu żal tego człowieka, ale niemal natychmiast odrzucił wszelkie sentymenty. Grube krople deszczu bębniły mu po głowie, on jednak nie próbował się nawet przed nimi osłonić i tylko raz po raz mrugał oczyma, kiedy przestawał widzieć wyraźnie. Stał wyprostowany, patrząc na ojca Rose.

- Augustynie! - zawołała Daphne ostrzejszym tonem. - Zamknij wreszcie te drzwi!

Wzrok Johna, nadal utkwiony w Gusie, mówił wyraźnie: „Nie słuchaj jej!”

Wyglądało na to, że bitwa, przynajmniej na obecnym etapie, została wygrana. Gus otworzył szerzej drzwi.

- Nie stój tak na deszczu, John - mruknął. - Jesteś niemiłosiernie przemoczony!

John wytarł starannie buty i wszedł do środka.

- Wprowadzasz tego... tego typa pod mój dach! - rozległ się głos Daphne, wyjątkowo piskliwy jak na kobietę.

John spostrzegł, że cały ocieka wodą, brudząc podłogę holu, i odruchowo zgarnął połę płaszcza, jakby mógł w ten sposób zmniejszyć rozmiary szkody.

Gus odwrócił się do żony i rozłożył ręce gestem mającym zapewne udobruchać ją i zarazem przywołać do porządku:

- Kochanie, on chce tylko porozmawiać. Nawet psa nie wypuściłabyś w taką...

- Wyrzuć go stąd! - pisnęła przeraźliwie. Jej twarz okryła się purpurą.

Cały gniew Johna wyparował gdzieś. Resztki energii zużył już przedtem, kiedy stukał do drzwi i czekał, aby wejść do środka. Teraz czuł, że nie lęka się nikogo - ani matki Rose, ani pułkownika. Kiedy tak patrzył na Daphne O'Beirne Moffat, wątpił w ogóle, żeby jakakolwiek osoba jej pokroju zdołała w przyszłości wzbudzić w nim lęk.

- Proszę cię, Daphne... - szepnął Gus. - Ten młodzieniec chce jedynie...

- Powiedziałam, że masz go wyrzucić z tego domu! - Głos Daphne, nieco cichszy niż przed chwilą, przybrał złowieszcze brzmienie. Ku własnemu zdumieniu John nie odnosił wcale wrażenia, żeby ta wymiana zdań pomiędzy rodzicami Rose miała dotyczyć w jakimkolwiek stopniu właśnie jego. Stał bez ruchu, ociekając wodą i czekając na rezultat dyskusji.

Pułkownik uczynił teraz coś dziwnego. Wyjął z kieszeni zegarek, ale nawet nie spojrzął na niego, lecz trzymając w dłoni, z dala od siebie, odwrócił go tarczą w dół, jakby wykonywał jakiś tajemny obrzęd.

- Daphne, to mój dom - oświadczył burkliwym tonem. - A to jest jeden z moich dzierżawców i chcę z nim porozmawiać. - Mówiąc te słowa, otworzył, a potem zatrzasnął kopertę zegarka. Po raz drugi w ciągu kilku ostatnich minut John poczuł przyływ sympatii dla tego człowieka.

Matka Rose nie odpowiedziała od razu.

- Doskonale - mruknęła po chwili namysłu. - Będę w swoim pokoju. Kiedy z nim skończysz, ja chciałabym z tobą porozmawiać.

Odwróciła się i, stukając obcasami po posadzce, ruszyła w stronę schodów. John i Gus długo odprowadzali ją wzrokiem, żaden z nich nie poruszył się, dopóki nie zniknęła na górze i nie rozległ się trzask zamykanych drzwi sypialni.

Dopiero teraz Gus odwrócił się do gościa, ale unikał jego wzroku.

- Przykro mi... - mruknął. - Sytuacja była trochę niezręczna... - Umilkł, jakby zaskoczony spojrzął na zegarek w dłoni i wsunął go z powrotem do kieszeni.

- Proszę, pułkowniku... - zaczął John. - Mnie również jest bardzo przykro. Poniosły mnie nerwy, nie miałem prawa mówić do państwa takim tonem.

- Tak... no cóż... - Gus najwyraźniej szukał stosownych słów. - Zdaje się, że chciałeś ze mną o czymś porozmawiać. Wejźmy do mojej zbrojowni. Tam nikt nam nie przeszkodzi. Traktuję ten pokój jako swój gabinet.

John przeszedł za nim przez hol, a potem krótkim korytarzem. Kluczykiem zawieszonym na łańcuszku od zegarka Gus otworzył zwykłe, brązowe drzwi i po chwili obaj znaleźli się w małym, pokrytym boazerią pomieszczeniu, gdzie stała biblioteczka, sekretarzyk oraz niewielka sofa, która swoje najlepsze dni miała już dawno za sobą. Broń - trzy dubeltówki i sztucer - znajdowała się w szklanej gablotce pod ścianą. Uwagę Johna przyciągnęła jednak najbardziej niezwykła rzecz w tym pokoju. Tuż obok gabloty wisiała na ścianie głowa tygrysa. Jej czarne i złociste cętki rozświetlały półmrok tego posępnego, wilgotnego pokoju niczym robaczki świętojańskie o zmierzchu. Gus, który odwrócił się do

Johna, aby zaproponować mu krzesło, dostrzegł wzrok chłopca utkwiony w trofeum. Odczytując błędnie jego minę, zaczął wyjaśniać:

- To... eech... liczy sobie już ze sto lat, wiesz? I nie ma nic wspólnego z moją obecną rodziną.

- Wspaniały tygrys, *sir* - odparł John. Był szczerze zachwycony; nigdy przedtem nie widział nic równie pięknego i zarazem egzotycznego. Ileż historii i pamiątek w tym domu! Dopiero teraz John dostrzegł prawdziwe rozmiary tragedii, jaką był upadek Sundarbans i Moffatów.

Gus wydawał się teraz daleki od tego rodzaju refleksji; po prostu cieszył się z wrażenia, jakie wywarło trofeum jego przodka.

- Och, dziękuję. A teraz, chłopcze, siadaj. Cóż to za pilna sprawa, o której musisz ze mną porozmawiać? - Opadł na fotel przy sekretarzystce.

- Wolę stać, jeśli pan pozwoli, pułkowniku - odparł John. - Jestem cały mokry, zniszczę panu kanapę. Sprawa jest taka, *sir*: chciałem zapytać, czy mógłby mnie pan zatrudnić. Chodzi o prawdziwą pracę - dodał szybko. - Mam teraz masę obowiązków.

Gus, nagle zmieniony na twarzy, zaczął powoli unosić się z fotela, ale John, obawiając się odmowy, mówił dalej:

- Widzi pan, *sir*, moja matka... Zapewne pan wie, że matka zachorowała. Miała wylew. Leży teraz w szpitalu w Dublinie. Kiedy wyzdrowieje, będzie jej potrzebna stała opieka. Derek wraca do Kanady, obiecał, że będzie stamtąd przysyłał pieniądze. Ale ja muszę tymczasem rozejrzeć się za jakimś źródłem utrzymania. Poznałem już pracę na farmie, *sir*, mogę teraz wykonywać każdą robotę. Spędziłem w Kanadzie zaledwie parę miesięcy, ale miałem do czynienia z końmi, byłem, nawet ze świniami. I z ziemią. Nie zawiódłby się pan na mnie...

Gus wpatrywał się w niego bez słowa z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

John przeniósł wzrok na piękne trofeum o spojrzeniu bazylijska wiszące na ścianie, na łeb tygrysa symbolizujący głęboką przepaść pomiędzy O'Beirne Moffatami i nim. Tak, popełnił duży błąd, przychodząc tutaj. Ze strony tych ludzi nie może oczekiwać pomocy.

- A ja myślałem... Byłem pewien... - Gus nie dokończył zdania.

John patrzył na niego, dręczony poczuciem przegranej. Teraz, kiedy opadły z niego gniew i cała nagromadzona pasja, zaczął drżeć z zimna. Ten pokój nie miał ogrzewania. Z trudem opanował się, aby nie szcząkać zębami.

- Tak, *sir*? - zapytał grzecznie.

- Jesteś... byłeś blisko zaprzyjaźniony z ... z Rose?

John nie spodziewał się, że ojciec Rose poruszy w trakcie rozmowy sprawę jego związku ze swoją córką. Czyżby Rose wyjawiała mu całą prawdę?

- Tak, *sir* - odparł, spięty do granic wytrzymałości. - Tak, byłem. Jestem. Pisujemy do siebie.

- Naprawdę? - Blade oczy Gusa zwęziły się nieznacznie.

- Tak, *sir*. Ale ostatnio nie miałem od niej wieści... już parę tygodni. Dopiero kilka dni temu wróciłem z Kanady - dodał niepotrzebnie.

- Przyjechałeś ze względu na chorą matkę?

- Tak, *sir*.

- Tylko z tego powodu?

John patrzył na niego zdumiony i zaskoczony. Co znaczą te pytania? Co ten człowiek sugeruje? Że niby to wszystko jest pretekstem, aby spotkać się znowu z Rose?

- Tylko z tego, pułkowniku - odparł.

Gus wstał, znowu wyjął z kieszeni zegarek, ale nawet nie rzucił na niego okiem.

- Mary Flynn to dobra kobieta - powiedział. - Lubiłem też bardzo twego ojca. Zobaczą, co zdołam dla niej zrobić.

John nie wierzył własnym uszom.

- Czy to znaczy, że pan da mi tę pracę?

- Nawet gdyby było mnie stać na to, aby cię zatrudnić - a tak nie jest - nie sądzę, aby praca u mnie była dla ciebie odpowiednia. Jesteś innego zdania, John?

Kolejna aluzja zdumiała Johna równie, jak poprzednia, pozytywna jednak w zasadzie reakcja pułkownika uradowała go do tego stopnia, że nie zastanawiał się głębiej nad sensem jego słów.

- Chce pan powiedzieć, że załatwi mi pracę u kogoś innego? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Zostaw to mnie - odparł pułkownik tonem, który oznaczał, że rozmowa dobiegła końca. Wyszli na korytarz, Gus zamknął starannie drzwi, po czym wyprowadził Johna do holu, ale tym razem w stronę tylnego wyjścia. - Drzwi frontowe otwieramy jedynie z okazji pogrzebów - wyjaśnił, wypychając niemal Johna na dwór.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedział John, wychodząc na deszcz. Bezwiednie podniósł mokry kołnierz i przytrzymał go oburącz. - Proszę mi wybaczyć to pytanie, *sir*, ale... czy Rose jest teraz w domu?

Reakcja pułkownika na to pytanie była zaskakująca.

- Nie - odparł, sięgając ponownie po zegarek. - Nie ma jej tu.

Po raz drugi w ciągu pół godziny zatrzaśnięto Johnowi drzwi przed nosem.

Stał długo, zbierając myśli, ze wzrokiem wbitym w mokre od deszczu, wyblakłe już drewno. Naraz zrozumiał wszystko. Rodzice Rose musieli dowiedzieć się wszystkiego o swojej córce i o nim. Albo ona im sama powiedziała, albo przeczytali listy. No i oczywiście byli przeciwni takiemu związkowi.

Rozwagał tę sytuację, krocząc do domu. Tym razem nie starał się nawet omijać kałuż, lecz wchodził w nie, brodząc po kostki. Musi się jak najprędzej skontaktować z Rose, dowiedzieć się, co ona o tym myśli. A może opisała wszystko w swoim ostatnim liście, który się opóźnił z powodu świąt? Niewykluczone, że list czeka teraz na niego w Kelly's Cross.

Ale gdzie ona może być? Czy mówiąc „nie ma jej tu”, pułkownik chciał powiedzieć, że nie ma jej dziś, czy też, że w ogóle nie przyjechała? Tego dowie się bez trudu od sąsiadów. Żałował teraz, że jest na tak nieprzyjaznej stopie z Derekiem. Gdyby nie to, Derek mógłby mu pomóc...

Usiłował spojrzeć na wszystko bardziej optymistycznie. Przynajmniej jeden z jego licznych ostatnio problemów ma szansę na pomyślne rozwiązanie. Liczył na to, że pułkownik O'Beirne Moffat jest człowiekiem honoru. Że dotrzymuje raz danego słowa. Zdobycie pracy nie powinno być w tej sytuacji zbyt trudne.

Dobrnął wreszcie do stróżówki. W kuchni zastał brata, który siedział przy stole, pijąc herbatę i zjadając resztki śniadania, które John zostawił dla niego w piecu. Gdy tylko drzwi kuchni otworzyły się, Derek wstał, zabrał jedzenie i herbatę, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

* * *

Upłynęły dwa dni, zanim John odzyskał siły i energię niezbędne, aby zacząć zbierać informacje na temat Rose.

Większość tego czasu spędził na czyszczeniu furtki. Zrobił to sam. Wojna nerwów, prowadzona jednostronnie przez Dereka, męczyła go coraz bardziej, stała nieobecność brata była mu więc na rękę. Rozkład dnia Dereka różnił się znacznie od jego: Derek wstawał późno, parzył sobie herbatę, potem opuszczał dom na resztę dnia, wracał natomiast późnym wieczorem, kiedy John leżał już w łóżku. Pozostawało zagadką, gdzie przebywa całymi dniami. Może w towarzystwie dawnych kolegów szkolnych? John zastanawiał się też niekiedy, gdzie Derek jada, ale nie tracił czasu ani energii, aby znaleźć odpowiedzi na te pytania. Żegnając się z nimi na lotnisku w Charlottetown, Dan McGuigan wcisnął każdemu banknot pięćdziesięciodolarowy. Wracając z Dublina do domu, John poprosił Neda Sherlinga,

aby wymienić te pieniądze w banku i kupić za nie najpotrzebniejsze artykuły żywnościowe. Jak przypuszczał, również Derek wymienił swój banknot, gdyż ostatnio nie brakowało mu nigdy papierosów; cały dom przesiąkł już zapachem tytoniu.

Po ulewnej niedzieli poniedziałek wstał szary i posepny, ale przynajmniej suchy. John otworzył oczy około dziewiątej i postanowił natychmiast zabrać się do roboty. Po śniadaniu, które składało się z mleka i resztek chleba, wyczyścił porządnie piec, wewnątrz i zewnątrz, po czym wysmarował go starannie specjalną pastą. Kichnął, podrażniony gryzącym zapachem, nadal jednak pracował gorliwie, posługując się małą szczoteczką i szmatką, smarując najdrobniejsze nawet zawiasy i polerując piec tak długo, aż zaczął lśnić niemal jak nowy.

Właśnie skończył, kiedy zjawił się Ned, objuczony zakupami. Podał mu je, zwrócił resztę pieniędzy, ale nie został nawet na chwilę, aby napić się herbaty. Po jego wyjściu John przeliczył! gotówkę. Miał jeszcze osiem funtów, szesnaście szylingów i pięć pensów. Rozłożył je na ceracie, owinał pieczętówicę i wetknął do starej puszki po herbacie, w której matka, odkąd sięgał pamięcią, zawsze trzymała pieniądze. Ogarnął go przy tym nieokreślony smutek, ale jednocześnie poczuł się dorosły, tak jakby ten krok upoważniał go do przejęcia roli gospodarza.

Rozpalił w piecu i podczas gdy parówki smażyły się na patelni, starał się wyliczyć, na jak długo starczy mu pieniędzy. Wyszło na to, że żyjąc skromnie, będzie w stanie utrzymać się trzy tygodnie.

Obrzucił krytycznym wzrokiem skwierczące na patelni parówki. Jeśli mam żyć skromnie, to dlaczego nie miałbym zacząć od razu, pomyślał. Kiedy parówki były gotowe, wyłożył na talerz tylko połowę. Zjadł je, pozostałe owinał w pergamin i wyszedł przed dom, aby włożyć je do umieszczonej przy drzwiach szafki, w której przechowywali zazwyczaj mięso.

Z przyzwyczajenia zerknął na niebo, szare i zasnutę warstwą skłębionych chmur; wisiały zbyt wysoko, aby zwiastować deszcz. Przyszło mu do głowy, że mógłby pójść na pocztę i zatelefonować do szpitala, aby zapytać o matkę. Powinien także spróbować dowiedzieć się, gdzie przebywa teraz Rose. Ale nie mógł się zdobyć ani na jedno, ani na drugie. Emocje ostatnich dni sprawiły, że nade wszystko odczuwał teraz potrzebę zakosztowania choć chwili spokoju.

Wszedł z powrotem do domu, aby posprzątać do końca - i nie spoczął, dopóki wszystko nie lśniło jak nowe: każda filiżanka, każdy najdrobniejszy nawet przedmiot i każdy kąt. Kiedy skończył, poczuł ponownie głód, był jednak zbyt zmęczony, aby przyrządzić sobie posiłek z prawdziwego zdarzenia. To nawet się dobrze składa, pomyślał. Miałem przecież

oszczędzać. Zadowolili się więc jedynie dwiema kromkami chleba z dżemem malinowym, popił je herbatą i czym prędzej położył się do łóżka.

Nazajutrz posprzątał pokój, umył linoleum i okna, wyniósł dywanik leżący przed kominkiem i wytrzepał go na podwórzu, następnie opłukał wszystkie ozdóbki z porcelany oraz kratkę i kafelki przy kominku, rozпалиł ogień, wyklepał i poprawił poduszki, wreszcie zamiótł całą podłogę.

W pewⁿej chwili przerwał pracę. Zachowuję się chyba jak opętany, pomyślał. Są teraz ważniejsze sprawy niż sprzątanie mieszkania. Muszę się przecież dowiedzieć, co z matką. No i... gdzie jest Rose.

Zjadł kanapkę z zimną parówką i udał się na pocztę. Przed wejściem, czekając na otwarcie urzędu, stał już Francey Meagher.

- Co słyhać, Francey? - zapytał go John zastanawiając się w duchu, czy wspomnieć o kozie i kurach, które Francey przejął w zamian za dofinansowanie ich podróży do Kanady.

Francey uprzedził go.

- Wszystko dobrze, John, wszystko dobrze - odparł. - A co z twoją matką? Jak słyshałem, wraca do zdrowia. A przy okazji, te kury, co od niej dostałem, niosą się bardzo dobrze.

- To świetnie... Co do matki, chyba czuje się lepiej. Mam nadzieję, że wyzdrowieje.

- Co za los! - mruknął Francey. - Wiesz, jeśli tylko mogę w czymś pomóc...

- Tak, wiem, Francey - odparł John.

Meagher przesunął rower, który oparł przedtem o okratowane okno poczty, tak aby obaj zmieścili się na gzymsie. W milczeniu siedzieli obok siebie parę chwil, wreszcie Francey wyjął z kieszeni fajkę i nie zapaloną wsunął sobie do ust.

- Piękny mamy dzień, dzięki Bogu - mruknął, przygryzając zębami cybuch.

Dzień był istotnie ładny, dość ciepły jak na styczeń. Wiatr ucichł, raz po raz przez chmury przeświecało słońce, oblewając nieśmiałym blaskiem nagie gałązki żywopłotów oraz gąbczaste łąki, jaskrawozielone po niedawnym deszczu.

Francey odchrząknął i splunął z wprawą, tak że ślina wylądowała w odległości około dwóch metrów od miejsca, gdzie siedział. John odczekał chwilę, a potem, zwracając spojrzenie w dal, jak gdyby dojrzał na drodze coś interesującego, odezwał się tonem tak obojętnym, na jaki tylko mógł się zdobyć:

- Nic się tu ostatnio nie dzieje. Słyshałem, że w Wielkim Domu coś jest nie tak, jak powinno...

- To prawda, to prawda - pokiwał głową Francey. - Trzeba by włożyć w ten dom masę

pieniędzy, aby doprowadzić go do porządku.

- Czy pan O'Beirne Moffat zatrudnia teraz w ogóle pracowników?

- Skądże znowu! Ani jednego! Prędzej w piekle spadnie śnieg, niż ci ze dworu staną z powrotem na nogi! Nie jest już tak jak dawniej...

Ale John nie zamierzał wysłuchiwać teraz wspomnień o przeszłości. Przerwał mu w pół zdania:

- Nie widziałem też ostatnio ich córki, Rose.

- Bo jej tu nie ma - odparł powoli Francey. - Słyszałem, że jest teraz w jakiejś szkole, w Anglii.

John starał się nie okazać, jak bardzo jest poruszony. Znowu spojrzął na drogę.

- Naprawdę? A ja byłem pewien, że ona uczy się gdzieś w Dublinie.

- Cóż, mówię ci to, co słyszałem - odparł Francey. - Ona była tu na Boże Narodzenie, przyjechała razem z inną dziewczyną, ale zaraz potem wysłali ją do Anglii. Odwiózł ją tam pułkownik, takie przynajmniej chodziły słuchy.

- Naprawdę? - mruknął John. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Dałby wiele za wiadomość, gdzie konkretnie w Anglii jest teraz Rose, czuł jednak, że i tak posunął się bardzo daleko. - Naprawdę? - powtórzył jeszcze raz, w chwili kiedy otwarto drzwi poczty.

Właściwie był to nie tylko urząd pocztowy, ale również sklep, w którym sprzedawano prasę, artykuły tytoniowe, piśmienne, a nawet podstawowa żywność. John wydał część swoich skromnych zasobów pieniężnych na papeterię zawierającą pięć kopert oraz pięć arkusików papieru listowego, dokupił znaczek, a po chwili wahania także baton czekoladowy za trzy pensy. Była to rozrzutność, wiedział o tym, ale gdy spojrzął na apetyczne niebieskie opakowanie, uległ pokusie. Po chwili zdecydował się jeszcze na paczkę biszkoptów za dwa pensy.

- Jak twoja matka? - zapytała sprzedawczyni, układając jego zakupy w papierowej torebce. Była to sympatyczna kobieta, która codziennie, bez względu na pogodę, nie bacząc na to, czy pada deszcz, śnieg lub grad, czy jest Boże Narodzenie bądź też inne święto czy dzień powszedni, chodziła z gładko, skromnie ulizanymi włosami.

- Właśnie chciałem zadzwonić do szpitala, zapytać o mamę - odparł John.

- Modłę się za nią na każdej mszy - oświadczyła sprzedawczyni.

- Dziękuję, pani Doody - powiedział John. - Ile musiałbym zapłacić za rozmowę z Dublinem?

- Zobaczymy, ile tu masz - odparła i przeliczyła monety, które trzymał w dłoni. - Całkiem sporo. Zaczekaj, aż obsłużę Franceya. Potem połączę cię z Dublinem. Znasz numer?

Podał jej zmięty kawałek papieru, który dostał w szpitalu.

Sprzedawczyni podała Franceyowi prymkę tytoniu i pudełko zapalek, a potem, kiedy wcisnął czapkę na głowę i wyszedł, usiadła przy centralce i wykręciła numer do Dublina.

- To szpital Świętego Serca - szepnął John, widząc, że uzyskała już połączenie.

Szpital nie zgłaszał się przez długą chwilę, a John szykował się w duchu na najgorsze. Matka na pewno nie żyje. Szkoda, że nie zatelefonował wczoraj! W końcu jednak pani Doody powiadomiła go, że płaci jednego szylinga i trzy pency.

Wieści były umiarkowanie pomyślne. Matkę odłączono już od aparatury tlenowej, a nazajutrz miano rozpocząć zabiegi fizykoterapeutyczne.

* * *

Ta chwila należała z pewnością do najchwalebniejszych w życiu Gusa O'Beirne Moffata. Stał w małym salonie, twarzą w twarz z rozsierdzoną żoną, i ścisnął w dłoni list.

- Nie, Daphne - powtórzył stanowczym tonem. - To list do Rose i tylko ona może go otworzyć.

Po raz drugi w tym tygodniu Daphne, nie przyzwyczajona do sprzeciwu ze strony męża, musiała dać za wygraną.

- Doskonale - wycedziła chłodno. - Ale jestem przekonana, że popełniasz poważny błąd. Sądziłam, iż w tej sprawie jesteśmy oboje zgodni: im mniejszy kontakt będzie miała Rose z tym typkiem, tym lepiej.

List nadszedł z poranną pocztą. Napisany na pospolitym niebieskawym papierze, miał na kopercie pieczętkę z Carrickmacross, a imię i adres Rose były wykaligrafowane starannie dużymi literami. Gus ponownie zerknął na kopertę.

- Nie mamy pewności, że to od niego. Nie wiemy nawet, czy to na pewno on jest ojcem... - zaczął, ale przerwał, kiedy Daphne parsknęła wzgardliwie.

- Nie wiemy? - zawołała z goryczą w głosie. - A któż by inny, jeśli nie on?

- Nie możesz osądzać człowieka bez rozprawy - zaproponował Gus.

- Niepotrzebna mi żadna rozprawa. Ja to wiem. Jestem matką tej dziewczyny.

Gus, który sięgał już po zegarek, znieruchomiał.

- A ja jestem jej ojcem - przypomniał cicho. - I wyślę do niej ten list.

Rozmowa, jaką przeprowadził w niedzielę z przemoczoną do nitki i dygocącym na całym ciele Johnem, pozostała w jego pamięci i dręczyła go teraz, nie dając mu spokoju. Musiał przyznać w duchu, że ten chłopiec ma odwagę i charakter. Mimo iż ciąża córki była dla niego - podobnie jak dla Daphne - olbrzymim wstrząsem i, tak jak żona, uważał, że Rose

nie powinna w żadnym razie utrzymywać kontaktu z Johnem Flynnem, to jednak dostrzegwał w tym chłopcu cechy człowieka wartościowego. Ostatecznie, myślał, nikt nie planuje z góry takiej sytuacji.

Daphne skapitulowała i wyszła z salonu. Gus odprowadził ją wzrokiem i westchnął cicho. W tej samej chwili przeszło go radosne uczucie triumfu i podbudowany tym spojrzął na telefon stojący na małym stoliku pod oknem. Do tej pory nie zrobił nic, aby dotrzymać przyrzeczenia i znaleźć dla Johna jakąś pracę. Dlaczegoż nie miałby się tym zająć teraz, natychmiast?

Odbył trzy rozmowy telefoniczne. Pierwsze dwie przeprowadził ze znajomymi, którzy razem z nim polowali. Byli to farmerzy ze sporymi gospodarstwami po drugiej stronie granicy, w Armagh oraz w Tyrone. Gus wiedział, że urzędniczka na poczcie prawdopodobnie podsłuchuje, starał się więc być dyskretny i przezornie nie wymieniał imienia Johna. Powiedział jedynie, że poszukuje pracy dla syna przyjaciela. Obie próby okazały się bezowocne: czasy były ciężkie i żaden z farmerów nie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie pracownika.

Trzecią rozmowę przeprowadził Gus z właścicielem niewielkiego wiejskiego hoteliku, czynnego dopiero od niedawna i mieszczącego się na bocznej drodze w pobliżu trasy z Carrickmacross do Cootehill. Hotel „Willow House”, urządzony w dworcu z siedemnastego wieku, należał wraz z sześciuset przyległymi akrami ziemi do starego przyjaciela Gusa, George'a Cranshawa, który podobnie jak wielu innych właścicieli ziemskich doszedł do wniosku, że jako farmer nigdy nie będzie mógł związać końca z końcem.

George posiadał na swoim terenie jezioro zarybione pstrągami, które zimą stawało się siedliskiem dla rozmaitych gatunków kaczek. Wzbogacił te atrakcje, sprowadzając nie tylko bażanty, ale również - choć w niewielkich ilościach - kuropatwy i bekasy.

Przemysł turystyczny w Irlandii znajdował się wprawdzie w powijakach, ale coraz częściej przyjeżdżali tu Anglicy. George, zachęcony przez Irlandzkie Towarzystwo Turystyczne, pożyczył więcej pieniędzy, niż był w stanie spłacić, odnowił jednak dzięki temu dom, modernizując całą kanalizację. „Willow House” miał tylko sześć pokoi, ale George liczył na to, że zdoła zainteresować swoim hotelem Anglików oraz okolicznych myśliwych i wędkarzy, którzy zaczną potem przyjeżdżać do niego co roku. Jego eksperymentowi przyglądali się bacznie wszyscy właściciele dużych domów w całej okolicy.

- Witaj, George - odezwał się Gus, kiedy uzyskał połączenie.
- Wszelki duch!... Gus, to naprawdę ty? - zawołał George. - Co u ciebie, stary druhu?
- Dobrze, dziękuję - odparł Gus. - Jak interesy?

- Daj spokój, Gus, na efekty trzeba jeszcze trochę poczekać! Mamy dopiero styczeń. Przyjechali tu dwaj Amerykanie, którzy szukają swoich korzeni, oraz Włoch, którego interesują tylko drozdy.

Gus zachichotał.

- Nie martw się, George - pocieszył przyjaciela. - Jego forsa nie jest gorsza od pieniędzy innych.

- To prawda. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Wiesz, mówiąc prawdę... chciałem cię właśnie poprosić o pewną przysługę. Nie wiem, czy będziesz mógł mi pomóc... Chodzi o syna mojego przyjaciela. To dobry, porządny chłopiec, na gwałt poszukuje teraz pracy. Chętnie sam bym mu pomógł, gdybym mógł. Niedawno wrócił z Kanady, rozumie się całkiem nieźle na prowadzeniu farmy.

- Zna się choć trochę na myślistwie?

- Nigdy go o to nie pytałem - przyznał Gus. - Ale chyba tak. Jego ojciec był u mnie gajowym, a chłopiec wędkuje, tyle wiem. Potrafi też obchodzić się z końmi.

- W takim razie byłbym mu chyba w stanie pomóc - odparł z namysłem George. - Myślisz, że mógłbym z czystym sumieniem powierzyć mu broń?

- Na pewno tak.

- W porządku. Przyślij go do mnie dziś albo jutro. Wtedy omówimy wszystko, co trzeba.

* * *

- Dziękuję panu z całego serca, pułkowniku, bardzo dziękuję - powtarzał z zapałem John. Stał w kuchni stróżówki, z radości omal nie ucałował Gusa.

Pułkownik, jakby przeczuwając, co mu grozi, cofnął się o krok.

- Na razie chodzi tylko o próbę - ostrzegł - ale wygląda na to, że Cranshaw naprawdę potrzebuje kogoś do pomocy, można więc powiedzieć, że spadasz mu jak z nieba. Powiedziałem, że podejmiesz się każdej pracy.

- I tak właśnie jest - zapewnił John. - Dam z siebie wszystko, *sir*, obiecuję, że pana nie zawiodę.

- Czy znasz się na myślistwie? - zapytał Gus.

- Mam tu jeszcze starą fuzję ojca. Strzelałem już z niej, ale niewiele - przyznał John.

- Wiesz przynajmniej, jak się z nią obchodzić?

- O, tak, pułkowniku. To wiemy obaj, Derek i ja. Czasem strzelaliśmy do królików i...

- Ugryzł się w język. Omal się nie przyznał, że wraz z Derekiem polowali nie tylko na

wszędobylskie króliki, ale czasem również na bażanty i inne ptactwo.

- Dobrze, dobrze - mruknął Gus. - No cóż, wpadłem tak tylko, żeby ci o tym powiedzieć. Mam nadzieję, że dostaniesz tę pracę. - Odwrócił się, ale przystanął w progu i jak zwykle sięgnął po zegarek. - Przy okazji... - Patrzył teraz w podłogę. - Przesłałem do Rose twój list. Do zobaczenia. - To powiedziawszy, wyszedł.

John spoglądał za nim zaskoczony. Na żadnym z listów do Rose nie napisał adresu Wielkiego Domu.

Dopiero po chwili domyślił się, że jeden z jego listów musiał zostać przesłany tu omyłkowo ze szkoły w Dublinie. Pokręcił głową i zaczął przygotowywać się do jutrzejszej rozmowy z panem Cranshawem.

ROZDZIAŁ 9

Tej nocy John nie zmrużył oka. Ustawił sobie przy łóżku stary budzik, ale bojąc się, że ten nie zadzwoni, zrywał się co parę minut, aby sprawdzić, która godzina. Wreszcie, tuż przed szóstą, wyskoczył z łóżka, podszedł do okna i przetarł oszronioną szybę rękawem pidżamy, aby wyjrzeć na zewnątrz. Pozbawiony liści żywopłot połyskiwał srebrzyście w blasku wysoko zawieszzonego, otoczonego świetlistą aureolą księżyca. Dygocąc z zimna, John zapalił świecę, a potem włożył swoje najlepsze ubranie, które wieczorem przygotował i rozłożył na krześle.

Wszedł ze świecą do kuchni i ustawił ją na parapecie, obok roweru, który zajmował dużą część pomieszczenia. Hotel był oddalony o dziesięć mil, tak więc John pożyczył od jednego z dawnych kolegów szkolnych stary rower, żelaznego rudge'a. Spiesznie spryskał sobie twarz i ręce zimną wodą, przełknął kromkę chleba z masłem i popił ją kubkiem mleka, następnie zostawił na kartce wiadomość dla Dereka, który jak zwykle wrócił do domu dopiero nad ranem.

Kontakty z bratem nie sprawiały mu bynajmniej przyjemności, ale do napisania paru słów skłoniły go względy natury praktycznej. Musiał powiadomić Dereka, dokąd idzie, na wypadek gdyby na przykład poszukiwał ich szpital. W głębi duszy jednak przyznawał, że istnieje jeszcze jeden powód, dla którego napisał tę kartkę: nadal łudził się nadzieją, że zdoła uratować związek ze swoim bratem bliźniakiem.

Kiedy, kręcąc z zapalem pedałami, wyjechał z podwórka, miał początkowo trudności z utrzymaniem równowagi na ciężkim rowerze, ale po kilku minutach przestał się kolebać na boki, a opony zostawiały odtąd na asfaltowej oszronionej drodze równy, jodełkowy ślad. Boczne drogi pokrywała gruba warstwa bieli. John czuł, że rozpiera go radość, miał wrażenie, jakby cała ta kraina, cały ten świat pełen zamrożonych stawów i kałuż, okrytych białymi czapami domostw oraz błyszczących, oblodzonych żywopłotów, należał do niego. Kiedy ujrział wreszcie przed sobą hotel, tę oazę żółtego światła, mięśnie ud i łydek przeszywał mu ostry ból, a w brzuchu burczało z głodu. Zostawił rower pod żywopłotem na dziedzińcu i rzucił okiem dokoła, aby obejrzeć z grubsza swoje nowe miejsce pracy.

„Willow House”, o szarych kamiennych murach porośniętych bluszczem, miał czworoboczny i przysadzisty kształt, czym różnił się zdecydowanie od imponującej architektury Sundarbans, znajdował się jednak w^T daleko lepszym stanie niż rezydencja Moffatów. W blasku światła padającego z okien John widział zadbane, wolne od chwastów,

równiutko wysypane żwirem ścieżki i świeżo, starannie pomalowane drzwi i framugi okienne. Wejście od frontu oświetlały dwie mosiężne lampy.

John ujął kierownicę roweru i wprowadził rower na tylny dziedziniec, gdzie oparł go o ścianę. Odetchnął głęboko, aby opanować nerwy, zdjął czapkę z głowy i zapukał.

- Tak? - Mężczyzna, który otworzył drzwi, był szczupły, miał przerzedzone, kędzierzawe włosy, wąską, kanciastą twarz o wystających kościach policzkowych oraz okulary na nosie.

- Dzień dobry, panie Cranshaw - powiedział John. - Jestem John Flynn.

Twarz mężczyzny pojaśniała.

- Ach tak, wiem - odparł. - Flynn, no tak. Dobrze, że przyszedłeś. Proszę bardzo, wejdź.

W kuchni panował bałagan, ale i tak mogła zaimponować. Miała kamienną posadzkę, dwa okna i wydała się Johnowi naprawdę olbrzymia, większej nie widział nigdy do tej pory. Zajmowała chyba całą długość domu, a na wysokości trzech metrów biegła wzdłuż ściany galeryjka z ciemnego drewna, takiego samego, z jakiego zrobiono ozdobne belki pod sufitem. Powietrze było przesycone najróżnorodniejszymi zapachami, a uwagę Johna przykuł duży kłoc rzeźnicki, na którym leżały porzucane w nieładzie naczynia, noże i inne przybory kuchenne, a wśród nich dymiąca jeszcze patelnia.

George Cranshaw zauważył spojrzenie Johna.

- Tak - mruknął. - Mam dziś pewien problem, niestety. Moja kucharka...no, po prostu odeszła. Szczerze mówiąc, brak mi teraz ludzi do pracy. - Przeczesał sobie włosy dłonią. - Dorothy, moja żona... widzisz, jej też nie ma...

John kiwnął głową, jego napięcie mijało. Poznał tego człowieka zaledwie parę minut temu, a już zdążył go polubić, podobał mu się zwłaszcza jego łagodny charakter. Przypominał mu w pewnym sensie Dana McGuigana, chociaż pod względem fizycznym nie był do niego podobny.

- Bardzo mi przykro - mruknął.

- Jak sądzę, nie umiałbyś przygotować śniadania? - zapytał George. Jego głos zabrzmiał raczej sceptycznie.

- Zależy, co ma być na to śniadanie - odparł z namysłem John. Potrafił przyrządzić bekon, parówki i jaja, a Peggy McGuigan nauczyła go robić naleśniki.

- Wszystko jedno, byleby coś było! - zawołał George. Na jego drobnej twarzy odmalowała się wyraźna ulga. - W tej sytuacji nie mogę być wybredny! A dziś nie jest jeszcze tak źle: mam tylko trójkę gości. Mógłbyś zacząć od razu? Ale nie przejmuj się tym zanedo,

rób po prostu tak, jak potrafisz. - Otworzył drzwiczki do małej alkowy w kuchni i pokazał Johnowi spiżarnię. - Zostawię cię na dziesięć minut, postaram się w tym czasie jakoś zabawić gości. - Przed wyjściem z kuchni zawołał jeszcze: - Cieszę się, że cię poznałem! - Obdarzył Johna promiennym uśmiechem, po czym zniknął.

John, przejęty swoją nową rolą, starał się, jak tylko mógł, a do bekonu, parówek i jaj dodał jeszcze pomidory i trochę cynaderek.

- Wspaniale! - pochwalił go George, kiedy wrócił po śniadanie. - Dziękuję ci bardzo, wybawiłeś mnie z kłopotu. Poczęstuj się, weź sobie to, na co masz ochotę - doda! i znowu zniknął, balansując zręcznie ciężką, srebrną tacą na ramieniu.

Ale John był zbyt spięty, aby jeść. Posprzątał w kuchni, a potem opadł na krzesło, czekając na dalsze instrukcje.

Wyglądało na to, że zdobył tę pracę.

Jeszcze przed oficjalną rozmową George Cranshaw oprowadził Johna po całym hotelu, pokazał mu przestronne pokoje, z których każdy był utrzymany w innej tonacji kolorystycznej, główny hol z kamienną posadzką i tapetami w różyczki, jak również składzik przeznaczony na sprzęt wędkarski, płaszcze przeciwdeszczowe i kalosze. Następnie George otworzył jedne z drzwi w holu.

- A tu jest salon.

John przyrzekł sobie w duchu, że dbając o dobre maniery postara się zachowywać wstrzeźliwość, z trudem jednak ukrył wrażenie, jakie wywarł na nim ten pokój.

Blask słońca wpadał przez dwie pary oszklonych drzwi na przeciwległej ścianie, rozświetlając istny sezam ze skarbami Aladyna. Przepastne sofy i fotele ginęły pod wielobarwnymi narzutami o ozdobnych frędzlach oraz pastelowymi tkaninami dekoracyjnymi. Obramowanie wspaniałego marmurowego kominka było zastawione wypchanymi ptakami i okazami ssaków pod szkłem, porcelanowymi figurkami pasterek, dwoma wazonami chińskimi oraz najprzeróżniejszymi ozdóbkami ze srebra. Duży ceramiczny słoń stał w gronie drewnianych kaczek, z zabytkowych żardynierek ustawionych we wszystkich kątach, jak również z mosiężnych i żelaznych mis, wiader, starych porcelanowych waz oraz z imbryczków na herbatę wyrastały rośliny, które rozkwitały wspaniale w ciepłe emitowanym przez dwa grzejniki parowe umieszczone na ścianie po obu stronach kominka.

Ściany były obwieszane portretami, obrazami przedstawiającymi pejzaże i sceny myśliwskie, dyplomami, medalami wojskowymi, oszklonymi gablotkami pełnymi monet, motyli tropikalnych, jak również jaj ptasich najprzeróżniejszych kolorów i rozmiarów. Każdy

zaś skrawek wolnego miejsca w tym pokoju wykorzystano na prezentację zdjęć szczyjących się swoimi trofeami wędkarzy i myśliwych, dzieci o długich włosach i poważnych twarzach, koni, psów, a nawet nagrodzonej na jakiejś wystawie świni.

- Niezły tu mętnik, co? - zachichotał George. – Doroty nie potrafi utrzymać porządku, taka zresztą jest cała jej rodzina... może nie wiesz, ale to jej dom... Wydaje się jednak, że gościom to się właśnie podoba, a ten facet z towarzystwa turystycznego powiedział, żeby zostawić wszystko, jak jest. Trzeba nie lada pracy, żeby to odkurzyć... No, jeśli już się napatrzyłeś - zaśmiał się znowu - to chodźmy do mojego gabinetu. Porozmawiamy.

Gabinet był mały, ale wygodnie urządzone, z niewielką komódką, biurkiem i dwoma krzesłami. George usiadł na jednym z nich i gestem dłoni wskazał Johnowi drugie.

- Pułkownik powiedział mi - zaczął bez wstępu - że poszukujesz pilnie pracy.

- To prawda.

- Masz jakieś doświadczenie?

- Pracowałem tylko na farmie, *sir*.

- Ile w ogóle masz lat?

- Osiemnaście, *sir*. - Kłamstwo samo wymknęło mu się z ust, zanim uświadomił sobie, co mówi.

- A co ze szkołą, egzaminami i tak dalej?

- Mam to już za sobą, *sir*. Dostałem siedem odznaczeń. George zagwizdał głośno.

- No, no, jestem pod wrażeniem! Mogę być spokojny, że nie będziesz próbował wysadzić mnie tu z siodła, kiedy odwrócę się do ciebie plecami?

John patrzył na niego zdezorientowany, nie wiedząc, czy może odpowiedzieć żartem. Ale George mówił już dalej:

- Wydaje mi się, że nie tylko byłeś geniuszem w szkole, ale także świetnie gotujesz.

- To niezupełnie tak, panie Cranshaw. - John czuł, że musi być wobec niego szczery. -

Nie wiem, czy smażenie bekonu i jaj można nazwać dobrym gotowaniem.

- Potrafisz przyrządzić gulasz?

- Chyba... chyba tak...

- Upiec kurczaka?

- - Tak.

- W takim razie potrafisz gotować.

- Ale... - John nie krył zaskoczenia. Czyżby miał tu zostać zatrudniony jako kucharz?

Jego mina nie uszła uwagi George'a.

- Nie przejmuj się tak bardzo, gotowaniem zajmuje się głównie Dorothy. Chodzi tylko

o to, że jeśli mam cię zatrudnić, musisz być przygotowany na wszelką ewentualność. Możesz być potrzebny do pomocy na polowaniu, na przykład jako naganiacz, w kuchni, przy sprzątanii, malowaniu, jako kierowca na traktorze, a nawet jako pielęgniarz. Odpowiada ci to?

John kiwnął głową. Ta rozmowa przebiegała w zupełnie inny sposób, niż się tego spodziewał.

- A więc dobrze - kontynuował George. - Myślę, że chciałbyś się dowiedzieć, jakie będą warunki pracy i płaca.

- Tak, *sir*.

- Nie zastanawiałem się jeszcze nad godzinami, ale czy moglibyśmy ustalać to zawsze na bieżąco, z dnia na dzień?

John pomyślał o sytuacji, w jakiej się znalazł, o potrzebie, która skłoniła go do szukania pracy. Czuł, że musi powiedzieć otwarcie, jak sprawy się mają.

- Szczerze mówiąc, *sir*, będę musiał poświęcać wiele czasu opiece nad matką.

- Jeśli postarasz się być dyspozycyjny wobec mnie, ja też postaram się iść ci na rękę. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

- Dziękuję, *sir*.

- Och... i mów mi George. To „*sir*” przypomina mi czasy, gdy służyłem w marynarce.

- Wzdrygnął się. - A teraz, co do twojej płacy... Muszę pomyśleć... Czy trzy funty zadowolą cię?

John przełknął ślinę. Wiedział, że ma złą sytuację przetargową, ale zdawał sobie sprawę, iż trzy funty to zbyt mało, aby mogło wystarczyć na utrzymanie jego i matki. Odpowiedział odruchowo, nie zastanawiając się nawet nad swoimi słowami:

- Pięć funtów, panie Cranshaw. - Przerażony własną odwagą, dodał ciszej: - Przykro mi, *sir*, ale nie mógłbym pracować za mniejszą płacę niż pięć funtów tygodniowo.

George zmarszczył brwi i przez chwilę bębnił palcami po biurku. Potem podjął decyzję.

- Cztery - powiedział.

John spojrzał mu prosto w oczy.

- Cztery funty dziesięć - odparł stanowczo.

- Ostro się targujesz. - George zacisnął usta.

- No cóż, *sir*... to znaczy, George...zamierzam pracować ze wszystkich sił. Nie będzie pan żałował. Nie zawiodę pana.

- Cztery funty, dwa i pół szylinga.

John wiedział, że powinien zaakceptować ofertę, gdyż jest przyzwyczajony. Ale dla dobra matki musiał podjąć jeszcze jedną próbę.

- Cztery funty i pięć szylingów?

Przez moment wydawało mu się, że się posunął za daleko, ale w końcu, po długim namyśle, George Cranshaw kiwnął głową.

- Staraj się zasłużyć na te pieniądze - powiedział i wyciągnął rękę. - Witam w klubie.

Podczas gdy zapisywał coś w notesie, John z trudem panował nad sobą. Nie posiadał się z radości. Miał wreszcie pracę, która mu odpowiadała, oraz płacę więcej niż przyzwyczajony. Będzie mógł nawet trochę odkładać - na potem, kiedy matka wróci do domu.

Teraz pozostało jeszcze jedno zadanie: odnaleźć Rose.

* * *

Rose wyglądała przez okno świetlicy, nie słysząc pisków i gwaru za plecami. Od jakiegoś czasu padał śnieg, ale mimo iż białe płatki wirowały w blasku lamp ulicznych i przyklejały się do ram okiennych, nie widziała ich. Nie miała nawet pojęcia, od jak dawna tak siedzi. Czas zatrzymał się dla niej i - gdyby to od niej zależało - mógłby stanąć już na zawsze.

Jedynym przejawem rzeczywistości był list, który ojciec wysłał do niej razem ze swoim: jego treść natrętnie rozbrzmiewała jej w głowie, nie dając spokoju. I chociaż znała te słowa na pamięć, przeczytała je jeszcze raz. Wypisane na liniowanym niebieskawym papierze, radziły wprost:

Zapytaj Johna Flynna, co robił w noc sylwestrową z inną dziewczyną w łóżku.

Znowu zakręciło jej się w głowie. Chciała wstać, ale podłoga chwiała się pod nogami. Czym prędzej opadła z powrotem na krzesło.

- Rose, Rose! - Ktoś krzyczał za jej plecami, podbiegł bliżej, dotknął jej ramienia. Nie potrafiła odpowiedzieć, nawet nie miała ochoty. Próbowana odepchnąć rękę natręta, on jednak nie odchodził. - Rose, Rose, co się stało, Rose?

Usiłowała wziąć się w garść, pragnęła jednak nade wszystko, aby ten ktoś, kimkolwiek jest, poszedł sobie wreszcie i zostawił ją w spokoju. Jej myśli krążyły bezustannie wokół tych okropnych słów: *Zapytaj Johna Flynna... z inną dziewczyną... w łóżku...*

- Rose! - Głos był jeszcze bardziej natarczywy niż przedtem. Ktoś szarpał ją za ramię, sprawiając ból.

Poczuła, że zbiera jej się na mdłości.

Mimo woli odwróciła się. To Effie. Jej twarz jakby rozplywała się w powietrzu. To Effie stoi przed nią, potrząsa nią, coś do niej mówi, ma teraz rozwiane włosy i takie dziwne,

wytrzeszczone oczy... Rose z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Zostaw mnie - wykrztusiła i uświadomiła sobie, że jej głos brzmi inaczej niż zwykle.

Effie odwróciła się w drugą stronę.

- Siostro! - zawołała przerażona. - Siostro, siostro, z Rose O'Beirne dzieje się coś dziwnego! Szybko, szybko!

Niemal natychmiast przybiegła zakonnica, wspólnie z Effie wyprowadziły Rose z pokoju, ona jednak mogła nadal myśleć tylko o jednym: o Johnie z inną dziewczyną w łóżku. Nogi uginały się pod nią, ale zakonnica i Effie podtrzymywały ją cały czas.

Potem poczuła na twarzy mroźne powietrze, coś puszystego i zimnego wpadło jej do oczu. To śnieg. Znajdowała się na dziedzińcu, wokoło prószył śnieg, słyszała głos zakonnicy, która radziła jej pochylić głowę i wsunąć ją między kolana. Rose uznała, że wygodniej będzie zdać się na kogoś, tak więc usłuchała rady, ale kiedy wsunęła głowę między kolana, poczuła, że ciąży jej brzuch. To na pewno z powodu dziecka, pomyślała. Dziecka Johna...

Zaczęła krzyczeć. Odtrąciła zakonnice i z głową odchyloną w tył zaczęła krzyczeć, tak głośno, jak tylko mogła. Zakonnica podtrzymywała ją, a Effie pobiegła po pomoc, ale Rose nie mogła się uspokoić. Uciekła od zakonnicy na drugą stronę dziedzińca, a potem krzyczała wniebogłosy, drapiąc palcami o mur. To nic, że raniła sobie skórę dłoni o szorstki cement, to nic, że robiła z siebie widowisko - to wszystko nie miało znaczenia. Zakonnica usiłowała oderwać ją od ogrodzenia, szarpała, a nawet biła, ona jednak odepchnęła ją od siebie bez trudu, jakby miała do czynienia z komarem, potem przebiegła znowu na inną stronę dziedzińca. Do ust dostało się jej trochę śniegu, ale ona nie przejmowała się tym; czuła, jak zimny puch topnieje, mieszając się ze śliną i łzami, które spływały po policzkach i nosie.

Wokół niej zjawiły się już inne dziewczęta i zakonnice, wraz z siostrą Benvenuto. Silne ramiona objęły ją, przycisnęły jej głowę do krucyfiksu matki przełożonej, tak że nie mogła oddychać normalnie ani krzyczeć, a mimo to nie dawała za wygraną. Szamocząc się, ciągnęła zakonnice za sobą, aż wreszcie opadła całkowicie z sił.

Nadal rozbrzmiewały jej w głowie tamte nienawistne słowa z listu, nie słyszała więc, co mówi do niej siostra Benvenuto. Wyczerpana, poddała się zakonnicy, która to wlokąc dziewczynę, to dźwigając na sobie, wtaszczyła ją do klasztoru. Przed oczyma migwały Rose wystraszone twarze dziewcząt, co tylko zdopingowało ją do ponownego stawienia oporu. Zaczęła się wrywać i krzyczeć, ale siostra Benvenuto otoczyła ją mocnym ramieniem i tym razem Rose naprawdę skapitulowała, wyzuta z resztek energii.

Bezwolnie pozwoliła się zaciągnąć po schodach na górę, do izby chorych, gdzie opadła na łóżko. Czuła się niczym sflaczała szmaciana lalka, łóżko było zimne, lecz wygodne.

Zaczęła płakać, płacz sprawiał jej ulgę, bolało ją gdzieś w piersiach, ale ten ból był przyjemny. Płacząc, słyszała własny głos wypowiadający jakieś słowa, słowa te jednak nie miały żadnego sensu; przywodziły na myśl nie kończącą się litanie:

- Och, proszę, proszę, proszę... - Drgnęła gwałtownie, kiedy siostra Benvenuto zrobiła jej zastrzyk, w następnej chwili przed jej oczyma pojawiła się rozległa jasność, która objęła całe łóżko, a potem wszystko pogrążyło się w ciemności.

* * *

Kiedy otworzyła oczy, był dzień. Czuła się kompletnie rozbita, osłabiona, mdliło ją raz po raz, nie wiedziała w ogóle, gdzie się znajduje. Dopiero po chwili rozpoznała okna izby chorych i ujrzała swoje ubranie złożone starannie na szafce przy łóżku. Na krześle obok siedziała jedna z zakonnicek, czytając brewiarz.

- Siostro? - odezwała się z trudem Rose.

- Dzień dobry, Rose - powiedziała zakonnica i zamknęła brewiarz. - Witamy w krainie żywych. Chcesz pić?

Rose skinęła głową. Zakonnica podała jej kubek wody, ale kiedy dziewczyna sięgnęła po niego ręką, zobaczyła, że ma obandażowaną dłoń. Potem przypomniała sobie to, co najistotniejsze: John Flynn poszedł z inną dziewczyną do łóżka!

Kiedy obudziła się po raz drugi, ujrzała tuż nad sobą wylęknioną twarz Effie, wykrzywioną i bardziej niż zwykle przypominającą twarz małpki.

- Cześć, Rose - szepnęła Effie. - Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Rose przytaknęła ruchem głowy. Nadal czuła się rozbita i zmęczona, ale jej umysł funkcjonował już sprawnie.

- Która godzina? - zapytała.

- Prawie pora lunchu. - Effie zawahała się. - Chcesz porozmawiać?

Rose pokręciła głową. Ból w piersiach odezwał się znowu.

- Czy to wszystko ma jakiś związek z tym? - zapytała ostrożnie Effie, wyjmując z kieszeni zmięty kawałek papieru. - Nie gniewaj się - dodała pośpiesznie. - Wczoraj upuściłaś tę kartkę, zgubiłaś ją na dziedzińcu, a ja podniosłam. Nie powinnam jej była przeczytać, ale... zrobiłam to. I wcale tego nie żałuję. Cieszę się, że to zrobiłam!

Rose poczuła, że do oczu napływają jej łzy, a Effie mówiła dalej:

- Myślę, że nie wierzysz w te brednie! - Nachyliła się, pomachała jej przed oczyma niebieskawą kartką. Wpatrywała się w Rose intensywnie, tak jakby mogła w ten sposób przekazać jej część swojej wzdargi wobec zamieszczonych w liście wiadomości. - Tu nawet

nie ma podpisu, Rose. Ktoś chciał cię po prostu zdenerwować.

- Wiem, kto to napisał - odparła Rose.

- Skąd wiesz?

- To wprawdzie nie twoja sprawa, ale powiem ci: jest tylko jedna osoba, która wie wszystko o mnie i Johnie, i która mogłaby wiedzieć, co zaszło w Charlottetown.

- właśnie, że to moja sprawa. Czy to ona, czy on?

- On.

- A więc zastanów się, *co* on z tego może mieć? Dlaczego to zrobił?

- Nie wiem, Effie. Po prostu nie wiem. Zostaw mnie wreszcie w spokoju! - Odwróciła głowę w drugą stronę.

- Nie zostawię cię w spokoju, bo jestem twoją przyjaciółką. Żaden mężczyzna, Rose, słyszysz, żaden nie jest wart tego, co przeszedłś wczoraj. - Znowu pomachała listem w powietrze. - A ten John Flynn... jak sądzę, kochasz tego typa?

Rose z nieszczęśliwą miną pokiwała głową.

- Jeśli go kochasz, to dlaczego wierzysz w te bzdury? - Effie wskazała na kartkę.

- Proszę, zostaw mnie w spokoju!

- Ani myślę! I powiem ci jeszcze coś: nawet gdyby to była prawda, co z tego? Seks to tylko seks, Rose. Pięć minut z życia. Popatrz na pierwszą lepszą krowę, kaczkę albo nawet rybę! Seks nie ma nic wspólnego z miłością.

- Dla mnie ma...

- Może. Ale ty nie jesteś mężczyzną. A mężczyźni są wszyscy tacy sami. Kiedy przychodzi do seksu, każdy z nich staje się po prostu samcem, nie jest w niczym lepszy od innych. I nawet nie można ich za to winić. Taką już mają naturę.

- Och, Effie! - wyszeptała Rose. - Naprawdę bardzo mi przykro, że zachowałam się tak nieładnie wobec ciebie. Masz rację. Wszyscy mężczyźni to samce. - Słowo, którego nigdy dotąd nie używała, nieoczekiwanie sprawiło jej satysfakcję.

- Zuch dziewczyna! - zawołała Effie. - Właśnie tak: to samce!

Im dłużej Rose zastanawiała się nad sytuacją, w jakiej się znalazła, tym większy ogarniał ją gniew. Oto tkwiła w tych murach, z dala od domu, i w wieku niespełna siedemnastu lat spodziewała się dziecka, którego nigdy potem nie miała już widzieć. Dziecka Johna Flynna.

A John w tym czasie swawoli w Charlottetown!

Nigdy więcej nie pozwoli żadnemu z tych samców zbliżyć się do siebie! Uniosła się na łokciu.

- Czuję się już lepiej, Effie - powiedziała. - Myślę, że mogę teraz zejść na lunch.

- Jesteś pewna?

- Tak, najzupełniej. Możesz mi podać ubranie?

Effie skoczyła na równe nogi i przyniosła jej rzeczy z szafki.

- Chcesz go z powrotem? - zapytała, unosząc dłoń z niebieskim listem i bacznie obserwując wyraz twarzy przyjaciółki.

Rose poczuła przypływ odwagi i buntu. Już pora, aby zachowywać się jak dorosła kobieta.

- Możesz to podrzeć na strzępy - odparła. - Nie chcę go już widzieć na oczy!

Jednakże dwa najbliższe tygodnie pokazały, że to nie takie łatwe.

W krótkim odstępie czasu, niemal jeden po drugim, nadeszły za pośrednictwem Dolores dwa listy z irlandzkimi znaczkami. Od Johna. A więc znowu mieszka w stróżówce! Nie otwierając ich nawet, odesłała oba listy na tamten adres. Kiedy otrzymała trzeci, ogarnęła ją ciekawość. Zapragnęła przeczytać ten list, przekonać się, o czym John pisze. Dlaczego wrócił do Irlandii tak szybko? Natychmiast odezwały się wątpliwości. Może zareagowała na tamten anonim zbyt pochopnie? Może John zasłużył jednak na to, aby go wysłuchać, może powinna zobaczyć, co ma do powiedzenia?

Niemal jednocześnie zdała sobie sprawę z rozmiaru zdrady, jakiej się dopuścił, wyobraźnia podsunęła jej widok jego ciała splecionego w miłosnym uścisku z ciałem innej dziewczyny - i raz jeszcze odrzuciła wszelką myśl o pojednaniu. Nigdy więcej nie pozwoli mu, aby sprawił jej ból. Nie chciała mieć odtąd nic do czynienia z Johnem Flynnem - ani z innymi mężczyznami. Kiedy już dziecko przyjdzie na świat i zostanie adoptowane, ona ułoży sobie własne życie tak, jakby on nigdy w nim nie istniał. I nigdy już nie zaufa żadnemu mężczyźnie.

Podobnie jak dwa poprzednie listy, również trzeci odesłała z powrotem do stróżówki. Chciała być pewna, że John zrozumie. Że odczuje, iż odtrąciła go definitywnie. Tak jak on swoim uczynkiem odtrącił ją.

W ciągu najbliższych dni Rose, rzuciwszy się w wir pracy, urabiała sobie ręce po łokcie. Swoje obowiązki wykonywała z zapałem, nie bacząc na ból w krzyżu. Czasem mogłaby zasnąć na stojąco ze zmęczenia, kiedy jednak nadchodziła noc, leżała godzinami, bezskutecznie czekając na sen.

W ciemnościach widziała nieustannie twarz Johna, a zwłaszcza jego wilczy uśmiech; dręczyło ją wspomnienie dotyku jego chłodnej, wilgotnej skóry oraz torfowy smak mokrego karku. Usiłując uwolnić się od tych wspomnień, zaczynała wyobrażać sobie, co John wyrabiał

z tamtą dziewczyną w Charlottetown. Czy pieścił jej piersi? Czy całował i ssał jej sutki, tak jak czynił to z nią wtedy, nad Łabędzim Jeziorem? Czy tamta dziewczyna odkryła znamię - jedyną skazę na jego gładkich plecach?

Starła się także wzbudzić w sobie nienawiść do dziecka Johna Flynna, nienawiść do sposobu, w jaki wdarło się w jej życie, czyniąc ją grubą i brzydką.

W połowie lutego poprosiła do siebie Rose siostra Benvenuto.

- Otrzymałam list od twojego ojca. Pyta, jak się czujesz - poinformowała. - Co mam mu odpisać?

- Że czuję się dobrze.

- Wiem, że jesteś zdrowa, Rose, ale nie wydaje mi się, abyś czuła się dobrze. A może się mylę? Nie rozmawialiśmy do tej pory o tamtym incydencie w świetlicy, nieprawdaż? Co właściwie się stało owego wieczoru?

Rose poruszyła się niespokojnie na krześle - tym samym, na którym siedziała podczas swojej pierwszej rozmowy z przełożoną.

- Wolalabym nie powracać już do tamtej sprawy, siostrze - odparła. - Chodziło o coś bardzo osobistego. Zresztą odtąd wszystko będzie już dobrze. Po prostu miałam ciężkie chwile i musiałam się jakoś z tym uporać.

- No cóż... - Siostra Benvenuto wstała i podała Rose list od ojca. - Są tu też dobre wieści. Przeczytasz go sama, ale mogę ci powiedzieć, że twój ojciec zamierza cię odwiedzić na Wielkanoc. A więc za sześć tygodni.

- Dziękuję, siostrze - odparła Rose. Wzięła list. - Czy mogę już iść?

Przełożona spojrzała na nią uważnie.

- Ty się naprawdę zmieniałś, nie sądzisz?

Rose nie odpowiedziała i siostra Benvenuto westchnęła po chwili.

- Dobrze, idź już! Ale chciałabym, abyś zwierzyła się komuś z tego, co cię dręczy. Nawet ślepy zauważyłby, że zmagasz się z jakimś problemem.

- Jestem w ciąży, siostrze, na tym polega mój problem - odparła Rose, podnosząc wysoko głowę.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość i odwagę - poradziła zakonnica.

Rzeczywiście przydałoby się teraz dużo odwagi, pomyślała Rose, opuszczając wzrok na guziki bluzki, która opinała się coraz ciasniej na jej nabrzmiałych ostatnio piersiach.

- Dziękuję, siostrze - powiedziała tak grzecznie, jak umiała, po czym wyszła z gabinetu.

* * *

Pewnego dnia w końcu marca Rose i Effie odpoczywały po pracy w pralni. Dzień był ciepły, wśród gałęzi dwóch kasztanowców, wypuszczających już bladozielone liście, wierciły się wróble. Dziewczęta obserwowały jednego z nich, który sfrunął na ziemię i uparcie, choć bez skutku, usiłował pochwycić sporą gałązkę. Rose sprawiała wrażenie, jakby wróciła już całkowicie do równowagi po ostatnim załamaniu.

- Posłuchaj... - Effie podniosła papierosa do ust i zaciągnęła się głęboko. - Na pewno dasz sobie radę, kiedy stąd wyjadę? - Była już bardzo gruba, moment rozwiązania zbliżał się wielkimi krokami.

- Dlaczego pytasz? Oczywiście że dam sobie radę. Nie jestem małym dzieckiem!

- Jasne, że nie. Ale jednak martwię się o ciebie. Od tamtego wieczoru...

- Effie, nie musisz się o mnie martwić - przerwała jej Rose. - Na pewno dam sobie radę. I dobrze, że stało się tak, a nie inaczej. Jeśli chodzi o Johna Flynna, byłam głupia. Teraz to rozumiem.

- Mam nadzieję, że nie podbuntowałam cię przeciw niemu? - Na twarzy Effie malował się niepokój.

- Ależ skąd, to i tak nie miało już żadnej przyszłości. Effie wydmuchnęła długą, cienką wstążkę dymu.

- Będziesz ze mną w kontakcie?

- Jasne! - Rose spojrzała na przyjaciółkę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, ile wrażliwości kryje się pod jej rubasznym sposobem bycia. A przecież tak długo zdawała się we wszystkim całkowicie na tę dziewczynę, cały czas biorąc, dając zaś bardzo niewiele. - Jasne, że będziemy w kontakcie. Dokąd pojedziesz?

- Nie wiem dokładnie - odparła Effie. - Ale na pewno nie wrócę do Offaly.

- Jak to? Czy nie tam właśnie mieszka twoja rodzina?

Effie umknęła spojrzeniem w bok.

- Ach, te moje plecy! Bolą jak diabli!

- Nie chcesz ze mną rozmawiać o swoich bliskich?

- Najchętniej bym ich pozabijała! - Effie nadal omijała ją wzrokiem. - Nie wiem, czy zechcesz tego wszystkiego wysłuchać...

- Naturalnie, że zechcę! Przecież jestem twoją przyjaciółką.

- Nigdy o tym z nikim nie mówiłam... Ksiądz wyrzucił mnie z konfesjonału, nawet on nie uwierzył w to, co mu mówiłam! - Effie cisnęła niedopałek papierosa na ziemię i rozdeptała go obcasem. - Powiedziałam ci kiedyś, że oddałam pierwsze dziecko do adopcji? Rose kiwnęła głową.

- Skłamałam. - Effie przyglądała się teraz swoim paznokciom. - Ono... ono jest w pewnym domu... - Ostatnie słowa wymówiła tak cicho, że Rose musiała dobrze nadstawić ucha, aby je usłyszeć.

- W sierocińcu? - zapytała.

- Nie. Jest niedorozwinięte umysłowo.

- Och! - Rose nie potrafiła ukryć szoku. - To okropne! - wykrztusiła po chwili. - To musi być dla ciebie straszne!

- Drugie będzie takie samo.

- Ależ Effie! - zawołała Rose. - Dlaczego tak myślisz? Skąd wiesz?

- Bo wiem. Wiedziałam też, że nie zechcesz tego wysłuchać!

- Bzdura! Jasne, że chcę. Ale skąd możesz wiedzieć, jakie będzie twoje drugie dziecko? To znaczy: skąd wiesz, że coś będzie nie tak, jak powinno?

- Bo jego ojcem jest mój cholerny ojciec! - Effie odwróciła się i dopiero teraz spojrzała Rose prosto w oczy. - Oto skąd wiem! I co teraz powiesz? - Była niemal biała na twarzy, kędzierzawe włosy opadły jej na oczy. Odgarnęła je gwałtownym gestem dłoni. - Coś takiego z pewnością nie zdarzyłoby się w szacownym Sundarbans, co?

Również Rose pobladła z wrażenia, zrozumiała jednak natychmiast, że przede wszystkim musi być szczerą.

- Effie - szepnęła - dla mnie to rzeczywiście szok, ale wiedz, że jest mi niezwykle przykro. Czuję się tym bardziej głupio, że cały czas zamęczałam cię swoimi bzdurnymi problemami, które nic nie znaczą w porównaniu z twoimi. Zachowałam się jak ostatnia egoistka!

Odniosła teraz wrażenie, jakby napęczniałe ciało Effie oklapło od wewnątrz niczym przekłuty balon.

- Już dobrze, Rose. Prawdę mówiąc, to, że byliśmy razem, bardzo mi pomogło. Ale boję się tego, co mnie czeka.

- Czy siostra Benvenuto zna prawdę?

Effie pokręciła głową.

A kto opłaca twój pobyt w klasztorze? To miejsce nie należy do tanich.

- Moja rodzina jest bogata.

Ta wiadomość stanowiła dla Rose kolejny szok; jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, aby rodzina Effie zaliczała się do grona ludzi zamożnych. Wiedziała tylko, że Effie ma brata, z którym nie mogła nigdy dojść do ładu.

- A twój brat? Czy on nie dostrzegął, co się dzieje?

- On wiedział o wszystkim. - I Effie dodała coś, co zburzyło resztki prostodusznej naiwności Rose: - I nawet pomagał ojcu.

- Effie! - Rose z trudem powstrzymywała łzy. - Dlaczego nie uciekaś z takiego domu?

- Dokąd mogłabym uciec? I kto by mi uwierzył? Mówiłam ci przecież, że próbowałam wyznać wszystko księdzu. Mój ojciec jest radnym w naszym hrabstwie, wiesz? I ma duże wpływy w parafii.

- Ile miałaś lat... no wiesz, kiedy to się zaczęło? Kiedy on?...

- Już nawet nie pamiętam.

- A twoja matka wiedziała?

- Mama umarła, kiedy miałam pięć lat - szepnęła Effie - ale wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej.

- O Boże! - Rose spojrzała na nią bezradnie.

- Trudno tu cokolwiek dodać - mruknęła Effie, zapalając kolejnego papierosa. - Teraz wiesz już wszystko.

Rose poczuła, że wzbiera w niej gniew. ~ Pomogę ci, Effie! - zawołała żarliwie. - Nie możesz tam wrócić!

- Nawet nie mam takiego zamiaru. Odkąd tu jestem, postanowiłam, że nigdy więcej nie skontaktuję się z żadnym z nich. Problem polega na tym, że nie mam pieniędzy, a on nie da mi nawet pensa.

Rose gorączkowo zbierała myśli.

- Musisz mi coś obiecać, Effie. Kiedy już urodzisz, musisz przyjechać do mnie. Natychmiast gdy tylko wyjdiesz ze szpitala, rozumiesz? Zorganizuję coś dla nas obu. – Nie miała jeszcze pojęcia, co mogłaby zorganizować, wiedziała jednak, że musi coś zrobić.

Ujęła Effie pod ramię. Teraz, kiedy postawiła sobie określony cel, poczuła się użyteczna, to zaś poprawiło jej nastrój.

- Powiedz mi jeszcze coś - poprosiła, wracając z Effie do pralni. - Jak ty to robisz, że jesteś zawsze w tak dobrym humorze?

- To nawyk - Effie uśmiechnęła się blado. - Zresztą dziewczyna z moim wyglądem musi się starać, aby mieć coś, przynajmniej jedną zaletę, którą mogłaby zaoferować światu, nie sądzisz?

- Effie! - zawołała Rose. - Przestań! W moich oczach jesteś piękna!

Jej przyjaciółka parsknęła, upodabniając się znowu do dawnej Effie.

- Daj spokój, Rose, naprawdę przesadzasz!

Effie przewieziono do szpitala w Wielki Piątek. Nic jeszcze nie wskazywało na to, że zbliża się rozwiązanie, ale opóźnienie wynosiło już dwa tygodnie, a nogi obrzmiały jej w kostkach do tego stopnia, że lekarz zaczął przewidywać zatrucie ciążowe.

Dziecko nie urodziło się jeszcze do wtorku po Wielkanocy, kiedy to w klasztorze zjawił się ojciec Rose.

Od wczesnego ranka Rose kręciła się podniecona, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Umyła głowę, a potem szczotkowała włosy, dopóki nie zalśniły pełnym blaskiem, następnie pożyczyła jedną z najładniejszych sukien ciążowych, którymi dziewczęta ratowały się wzajemnie; niebieską, bawełnianą, z białymi rypсовymi wstążkami, które powiewały od szerokiego marynarskiego kołnierza aż po obrąbek na dole. Wyglądała w niej wyjątkowo ładnie i kobieco.

- Tatusiu! - zawołała radośnie na widok Gusa stojącego w holu. Podbiegła do niego, chciała rzucić mu się w ramiona, ale coś w wyrazie jego twarzy onieśmieliło ją. Sama przywykła już do swojej ciąży, teraz jednak ujrzała siebie taką, jaką musiał ją widzieć ojciec.

Ale natychmiast zrozumiała, że jego powściągliwość to nic innego jak zażenowanie. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, tatusiu, tak bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Jak wyglądam? - Pewna jego odpowiedzi, zawirowała w miejscu.

- Prześlicznie, Rose. - Głos Gusa był szorstki.

Roześmiała się i ujęła go pod ramię.

- A nie sądzisz, że jestem już jak beczka? Jesteś pewien, że nie będziesz się mnie wstydził, kiedy wyjdziemy na wielki, zły świat?

Sięgnął do kieszonki po zegarek; gest ten świadczył wyraźnie o stopniu jego zakłopotania.

- Chodźmy wreszcie - szarpnęła go niecierpliwie za rękaw. - Nie marnujmy czasu. Mam pewien plan, o którym chciałam z tobą porozmawiać.

Mimo iż Wielkanoc wypadła w tym roku wcześnie, popołudnie było ciepłe i piękne, tak jakby był już koniec maja. Rose nie puszczała ramienia ojca, kiedy szli wąskimi uliczkami w stronę skrzyżowania, gdzie Gus spodziewał się znaleźć taksówkę.

- Masz pozdrowienia od matki - powiedział, kiedy przystanęli przy krawężniku.

- Cieszę się, dziękuję - odparła Rose. Po chwili dodała przekornym tonem: - Nie może się już doczekać, kiedy będzie babcią, czy tak?

- Rose! - skarcił ją Gus. Roześmiał się, ale po chwili zapewnił ją: - Matka bardzo się o ciebie martwi, wiesz?

- Tak, wiem, tato. Jej listy aż się roją od modlitw i napomnień.

- Rose, proszę...

- Nie gniewaj się, tatusiu. Będę już do końca życia skruszona i przyzwoita. Ale dziś jest piękny dzień i zamierzam wykorzystać każdą jego minutę. O, mamy taksówkę!

- Dokąd chciałybyś pojechać? - zapytał Gus, kiedy wsiedli do środka.

- Do Harrodsa! - odparła bez namysłu. Nie знаła Londynu, ale o tym słynnym domu towarowym koleżanki z klasztoru mówiły zawsze takim tonem, jakby był czymś w rodzaju Mekki.

Gus polecił kierowcy, aby zawiózł ich do sklepu przy Knightsbridge trasą prowadzącą przez Mail i obok pałacu Buckingham.

- Przy okazji możemy popatrzeć na miasto, nieprawdaż, kochanie?

Rose siedziała na swoim miejscu bez ruchu, chłonąc widoki za szybą. Odkąd była w Londynie, po raz pierwszy odbywała taką przejażdżkę po mieście. Patrzyła na przechodniów, na ludzi robiących zakupy - i po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak wiele straciła, spędzając cały ten czas za murami klasztoru. Nie czuła się tym jednak przygnębiona. Wprost przeciwnie: ogarniał ją nastrój optymizmu, jakiego nie znała dotychczas. Jak dobrze jest mieć jakiś cel w życiu, pomyślała. W ciągu długich tygodni spędzonych w klasztorze przywykła do analizowania własnej postawy. Monotonna praca w pralni miała jeden dobroczynny aspekt: zostawiała umysł wolny dla wszelkich rozważań na temat przyszłości. Pracując w dusznym, wilgotnym od pary pomieszczeniu, wśród stukotu maszyn, czuła, jak odżywa w niej dawne, nie sprecyzowane jeszcze pragnienie, aby zostać pisarką.

Weszli do domu towarowego i Rose, która początkowo rozglądała się na wszystkie strony, zafascynowana obfitością wszelkich dóbr, niebawem przeniosła wzrok z powrotem na ojca.

- Mieliśmy pójść coś zjeść - przypomniała. – Umieram z głodu i pragnienia.

Wsiedli do windy. Kiedy zatrzymała się gwałtownie na piętrze, dziecko kopnęło, ale Rose niemal tego nie poczuła; od czasu gdy otrzymała ów anonim, starała się traktować je wyłącznie jako pewną niedogodność, którą musi znosić, która jednak niebawem zniknie z jej życia - już za niecałe dwa miesiące.

W kawiarni zamówiła gorącą czekoladę i grzanekę z masłem, a potem usiadła wygodniej, aby móc delektować się dyskretną muzyką kwartetu smyczkowego.

- A teraz - powiedział Gus, kiedy kelnerka odeszła od ich stolika - opowiedz mi wreszcie, jakie to masz plany.

- Dobrze, tatusiu. - Wyprostowała się na krześle. - Chciałabym ci coś zaproponować. -

Do tej rozmowy przygotowała się już wcześniej i teraz, tak zwięźle, jak to było możliwe, unikając szczegółów, przedstawiła problemy, jakie czekały Effie. - Chyba pamiętasz, tatusiu - dodała - jaka ona była dla mnie dobra? Pisałam ci o niej wszystko.

- Pamiętam.

- I tu zaczyna się nasza rola.

- Nasza?

- Tak, tatusiu - odparła zdecydowanym tonem. - Nasza. Twoja i moja. Potrzebuję pożyczki!

Mimo iż Gus milczał, uniosła dłoń, jakby chciała uprzedzić ewentualne kontrargumenty.

- Zanim coś powiesz, mogę cię zapewnić, że Effie nie wie jeszcze o niczym. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą. Oto ten plan. Chciałabym, żeby Effie wynajęła sobie mieszkanie w Dublinie. Ale musiałaby przedtem zdobyć trochę pieniędzy, chyba to rozumiesz, tatusiu. Również po to, aby mogła się jakoś urządzić, zanim dostanie posadę. Jest bardzo pracowita i na pewno znajdzie coś dla siebie bardzo szybko... - Rose zaczerpnęła tchu i dodała: - A ponieważ proszę cię o pożyczkę, możesz się zastanawiać, w jaki sposób zamierzam zwrócić te pieniądze.

Umilkła i dopiero po chwili wyjaśniła:

- Chciałabym, abyś sprzedał Tartana. To mój kuc, zawsze tak mówiłeś...

Urwała, gdyż do stolika wróciła kelnerka, niosąc na tacy ich zamówienie. Oczekwała, aż kobieta odejdzie, a potem dodała cichym, nagłym tonem:

- Wiele o tym myślałam, tatku. Za Tartana powinienes dostać niezłą sumkę... - Starła się wyczytać coś z twarzy ojca, on jednak mieszał właśnie swoją herbatę i nie podnosił na nią wzroku.

- Ile chciałabyś ode mnie pożyczyć? - zapytał wreszcie niepewnym głosem.

Zacisnęła dłonie pod stolikiem.

- Sto funtów - odparła i wstrzymała oddech.

- Rozumiem - mruknął Gus.

Odetchnęła głęboko. Przynajmniej ojciec nie wybuchnął gniewem, nie powiedział też „nie”. Odwróciła się lekko, aby nagrodzić oklaskami muzyków, którzy kłaniali się publiczności. Wiele razy przedtem wyobrażała sobie tę scenę, a teraz czuła, że ogarnia ją radość. Chyba wszystko poszło dobrze, pomyślała.

Nie przedstawiła ojcu całego planu: nie powiedziała mu, że kiedy już urodzi własne dziecko, zamierza wprowadzić się do mieszkania Effie w Dublinie. Oczywiście, jeśli Effie się

na to zgodzi.

Klaskała z takim zapalem, że jeden z muzyków odwrócił się w jej stronę i skłonił się głęboko. Była tak przejęta, że nie dostrzegła wyraźnego teraz na twarzy ojca zakłopotania.

* * *

Pierwszy wolny dzień John otrzymał dopiero po dwóch tygodniach i trzech dniach pracy.

Nie uskarżał się na nic. Praca była ciężka, ale obowiązki miały za to różnorodny i urozmaicony charakter, co bardzo mu odpowiadało. Odłożył już też skromną sumę, a ponieważ nie musiał więcej patrzeć na Dereka i jego niechętną minę, doceniał tym bardziej własną niezależność.

Derek postąpił zgodnie ze swoją wcześniejszą zapowiedzią. W pierwszych dniach lutego wyjechał z powrotem do Kanady, pozostawiając kartkę. Był to jego jedyny kontakt z bratem od czasu konfliktu. Napisał, że przejeżdżając przez Dublin, wstąpi do szpitala, aby odwiedzić matkę. W pierwszym odruchu po przeczytaniu kartki John sięgnął po puszkę stojącą na kominku, ale jego ciężko zarobione pieniądze leżały na swoim miejscu. Wszystkie, co do pensa. Przynajmniej pod tym względem Derek okazał się uczciwy. John doszedł do przekonania, że pieniądze na podróż brata musiały pochodzić od McGuigana.

Teraz nadszedł ów dzień: nazajutrz miała wrócić do domu matka.

John zdołał znaleźć wśród okolicznych mieszkańców dziewczynę, Monę McConnell, która za niewielką zapłatę zgodziła się przychodzić codziennie, aby doglądać chorej. Mary wymagała teraz stałej opieki do końca życia. Lewą stronę ciała miała sparaliżowaną, do tego doszła ograniczona zdolność widzenia, i chociaż można ją było zrozumieć, mówiła z trudem i bardzo niewyraźnie. Często też traciła orientację, nie pamiętała na przykład, kim jest i gdzie się znajduje.

Gdybym tylko jeszcze doprowadził do ładu sprawy z Rose, myślał John krążąc po kuchni w stróżówce, mógłbym powiedzieć, że wreszcie ułożyłem sobie życie.

Postawa Rose, która odesłała mu wszystkie trzy ostatnie listy, nawet ich nie otwierając, zaskoczyła go i zaniepokoiła. Pieczętki na kopercie świadczyły o tym, że wysłano je z Londynu, tak więc wyjaśniona została przynajmniej sprawa miejsca pobytu Rose. John zastanawiał się nawet, czy nie powinien pojechać tam i próbować ją odszukać, nie wątpił bowiem, że gdyby mogli spokojnie porozmawiać, wyjaśniliby problem, który ją dręczy. Uświadomił sobie jednak natychmiast, że po pierwsze, Londyn jest zbyt dużym miastem, aby takie poszukiwania mogły zakończyć się sukcesem, a po drugie, on jest jeszcze zbyt świeżym

pracownikiem, żeby tak po prostu wyjechać na nieokreślony czas. „Willow House”, mimo iż nie zawsze miał komplet gości, zdobył już sobie tak dobrą renomę, że nie świecił pustkami i stale było w nim co robić.

John doszedł w końcu do przekonania, że musi udać się powtórnie do pułkownika i zapytać go wprost o Rose. Nawet dzisiaj. Do przyścia Mony McConnell miał jeszcze ponad pięć godzin czasu.

Dochodziła dopiero dziewiąta - a więc było za wcześnie, aby iść do Sundarbans. Z drugiej strony, wiedział, że o tej porze mógłby zastać pułkownika w stajni. Od czasu śmierci Fergiego McKenna pan domu musiał doglądać koni sam. John, pamiętając, z jakim spotkał się ostatnio przyjęciem, wolał tym razem nie wchodzić od frontu, lecz spotkać się z pułkownikiem w bardziej odosobnionym miejscu.

Niemal instynktownie chwycił portmonetkę, w której trzymał bransoletę Rose z ametystami. Miał ją przy sobie, kiedy jechał do hotelu na rozmowę kwalifikacyjną, a teraz wierzył, że to dzięki niej zdobył tę pracę.

Wczorajsza piękna pogoda utrzymywała się nadal i po paru minutach spaceru alejką John, mimo lęku, jaki odczuwał przed spotkaniem z pułkownikiem, począł rozglądać się dokoła, napawając się wspaniałymi widokami. Łagodny wietrzyk przynosił głosy ptaków, pod kasztanowcami z jednej i drugiej strony ścieżki kwitły żonkile i narcyzy, a w odległości niespełna dwudziestu metrów na prawo, w niewielkiej brzezynie, John dostrzegł na podmokłej polance wśród kępy paproci połyskliwe kielichy błękitnych dzwoneczków.

Dotarł już do końca alejki, wyszedł na otwartą przestrzeń i nagle stanął jak wryty. Może wtedy, kiedy zjawił się tu ostatnim razem, był zbyt zaaferowany oczekującą go rozmową i zanadto przemoczony, aby dostrzec wszystko i ocenić właściwie, ale Wielki Dom wydał mu się teraz jeszcze bardziej zniszczony i zaniedbany, niż przypuszczał. Wiosenne słońce uwydatniało popękana farbę na drzwiach frontowych i oknach, taras był zaśmiecony, do wycieraczki przykleiły się jakieś strzępy gazety, w szczelinach na schodach i pod ścianą tkwiły przegniłe liście, drobne gałązki i kamyki. Na ścieżkach wysypanych żwirem wyrastały swobodnie tu i ówdzie mlecze, oset i młode pokrzywy. Część balustrady okalającej taras wykruszyła się już z jednej strony, co przywodziło na myśl uśmiech odsłaniający szczerbę między zębami.

- Biedna Rose - szepnął John i mimo woli uśmiechnął się rozbawiony. Czy to nie absurdalne, jeśli dzierżawca ze stróżówki, bez grosza przy duszy, ubolewa nad ubóstwem jedynej córki miejscowego właściciela dóbr ziemskich?

Obszedł dom dookoła i udał się wprost do stajni, gdzie przeżył kolejny szok. Wrota

były zamknięte; rzecz niezwykła jak na tę porę dnia. W najbliższym boksie, gdzie spodziewał się zastać Clickera, kuca zaprzęganego do wózka, z trudem odciągnął zasuwę; najwidoczniej nie była od dawna używana.

Boks był pusty, podobnie jak pomieszczenia Olbrzyma i Tartana. Koni nie było także na dziedzińcu. Co się stało?

Wszedł do boks Olbrzyma i obejrzał go dokładnie, starając się ustalić, kiedy koń przebywał tu ostatnim razem, ale wewnątrz było starannie wysprzątane i tylko resztki zapachu zwierzęcia oraz kilka zapomnianych pęczków siana świadczyły o tym, że był tutaj kiedykolwiek jakiś koń.

- W czym mogłabym pomóc?

To był kobiecy głos i John, zaskoczony, odwrócił się gwałtownie, osłaniając sobie oczy dłonią. W progu stajni stała drobna postać; starsza kobieta, jak dostrzegł po chwili. Trzymała dwie smycze, a na nich dwa małe, tłuste pieski, które natychmiast, gdy ich pani się odezwała, zaczęły jazgotać przeraźliwie.

- Ja... bardzo przepraszam... - wyjąkał John. - Rozglądałem się właśnie za Olbrzymem.

- Jak widać, Olbrzyma nie ma już tutaj - odparła kobieta rzeczowym, ale łagodnym i spokojnym tonem. - I aby oszczędzić dalszych poszukiwań, mogę tylko dodać, że nie ma tu również Tartana ani Clickera.

Nie wydawała się zaniepokojona faktem, że w stajni zastała jakiegoś intruza, John zaś - mimo iż nigdy dotąd jej nie widział - domyślił się natychmiast, że ma przed sobą babcię Rose.

Przydała mu się teraz ogłoda nabyta w hotelu.

- Proszę mi wybaczyć, pani O'Beirne Moffat - powiedział, podchodząc do niej z wyciągniętą dłonią. - Jestem John Flynn. Mieszkam w stróżówce.

Podala mu rękę.

- A więc to ty jesteś John Flynn! - Umilkła i po chwili mruknęła: - Powinnam się była domyślić.

Ton jej głosu zdumiał Johna, był bowiem przekonany, że Rose nie wspomniała nikomu o swoim związku z nim.

- Tak, proszę pani - odparł, ściskając jej drobną, delikatną dłoń.

- No cóż, John - szepnęła. - Jak widzisz, czasy się zmieniły i obawiam się, że nie na lepsze. Konie są już sprzedane. Nie ma ich tu od początku lutego. Utrzymanie tych zwierząt zaczęło przekraczać możliwości finansowe mego syna. Zresztą kto teraz miałby na nich jeździć? Stały się jedynie ozdobą. I to niezwykle kosztowną.

- Rozumiem - mruknął. Był zbity z tropu. Jak to możliwe, że to, co działo się w Drumbooli, uszło jego uwagi? A Rose ubóstwiała przecież swojego kuca! Dlaczego zgodziła się go sprzedać? Najwidoczniej sytuacja finansowa w Sundarbans przedstawiała się gorzej, niż ktokolwiek przypuszczał.

Psy kręciły się wokół niego, węsząc zawzięcie, a babcia Rose przeszywała go wzrokiem, jakby się spodziewała, że powie jej coś jeszcze. Jej nogi, cienkie jak patyki, tkwiły w wysokich kaloszach; zapewne widok błękitnego nieba nie budził w niej zbyt dużego zaufania.

- Jesteś przyjacielem Rose, nieprawdaż?

Pytanie zaskoczyło go całkowicie.

- T...tak - wyjąkał. - Jeździłem z nią konno... to znaczy... Rose uczyła mnie jeździć na Olbrzymie. Dlatego właśnie rozglądałem się za tym koniem - dodał ciszej.

Niebieskie oczy w dalszym ciągu przeszywały go na wylot. Wiedział, że jego słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco.

- Tak, słyszałam o tym. To znaczy... słyszałam, że jeździłeś razem z Rose.

- Chyba lepiej zamknę już te boksy.

- Tak, to dobry pomysł.

Kiedy odszedł od niej, psy znowu podniosły jazgot, ona zaś nie zrobiła nic, aby je uciszyć.

Zamykając po kolei boksy Clickera i Tartana, czuł na sobie cały czas wzrok babci Rose.

- Przepraszam panią - powiedział, gdy musiał ją obejść, żeby zamknąć trzeci boks, a potem odwrócił się do niej. Nie ruszyła się z miejsca, stała tam, gdzie przedtem, on zaś odniósł osobliwe wrażenie, że za chwilę poleci mu, żeby coś jeszcze zrobił. Ona jednak milczała, uznał więc, że to on musi się odezwać.

- Piękny mamy dzień, dzięki Bogu.

- Istotnie - przyznała obojętnie Nancy O'Beirne Moffat. I znowu zdołała go zaskoczyć: - Miałeś jakieś wieści od Rose?

Wziął głęboki oddech.

- Nie, pani O'Beirne Moffat - odparł. - Niestety, nie. Prawdę mówiąc, przyszedłem tu właśnie z tego powodu. Miałem nadzieję, że spotkam pułkownika.

- To raczej wątpliwe, aby siedział zamknięty w stajni Olbrzyma - zauważyła. - A w ogóle... nie ma go w domu. Wyjechał na parę dni.

John uśmiechnął się. Babcia Rose budziła w nim szczerą sympatię. I... no oczywiście! Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Przecież ona też może mu powiedzieć, gdzie jest

teraz jej wnuczka.

- W takim razie może pani by mi pomogła?

- Chętnie, jeśli będę w stanie.

Ogarnęło go nagle zdenerwowanie, wsunął ręce głęboko do kieszeni i w prawej wyczuł pod palcami portmonetkę z ametystami. Niemał bezwiednie wyjął ją z kieszeni.

- Muszę to oddać Rose - powiedział.

- Cóż to takiego? - Spojrzała na portmonetkę z zainteresowaniem.

- Bransoletka z jej kompletu biżuterii. - Przez moment miał wrażenie, że popełnił straszliwy błąd: kobieta uniosła głowę i zmierzyła go przenikliwym wzrokiem.

- Jak wszedłeś w posiadanie bransoletki Rose? - zapytała. Zaszedłem już tak daleko, że nie pozwolę się teraz zastraszyć, pomyślał. Podobnie jak ona, on również podniósł głowę.

- Dała mi ją, proszę pani, dała mi ją latem zeszłego roku. Chciała, abym ją miał, ale wolę jej to zwrócić.

- Nie możesz jej tego zwrócić bez mojego pośrednictwa?

- zapytała łagodniejszym tonem.

- Nie znam jej londyńskiego adresu - wyjaśnił.

- Rozumiem. - Rozmyślała nad czymś długą chwilę. Odetchnął z ulgą, kiedy wyciągnęła rękę. - Daj mi to, mój drogi, odeślę jej bransoletkę w najbliższym czasie.

- A mogłaby pani podać mi jej adres? - zaryzykował.

- Sądzę, John, że gdyby Rose chciała, abyś znał jej adres, sama by ci go dała.

- Na pewno nie wie, że wróciłem do Irlandii - podjął jeszcze jedną próbę, ona jednak nie dała się okpić.

- Opowiem jej w liście o naszej rozmowie - powtórzyła.

- Jeśli zechce, sama prześle ci swój adres. Do widzenia, John. - Odwróciła się.

- Jeszcze jedno, proszę pani! - zawołał. - Proszę! Przystanęła, spojrzała na niego.

- O co chodzi?

- Błagam, proszę mi powiedzieć, dlaczego Rose tak nagle zmieniła szkołę? Do tej pory myślałem, że w Dublinie czuła się dobrze. I odkąd przeniosła się do innej szkoły, przestała do mnie pisać. Nic z tego nie rozumiem!

Postąpiła krok w jego stronę.

- John - powiedziała cicho. - Rose jest już dorosłą panną, kieruje się teraz własnymi motywami i odczuciami. Napiszę do niej, powiadomię, że cię spotkałam. To wszystko, co mogę obiecać. - Odwróciła się ponownie, ale zanim zniknęła za sklepionym łukowato wejściem na dziedziniec, przystanęła powtórnie i spojrzała na niego. - Jeszcze jedno! -

zawołała swoim czystym, wysokim głosem. - Może chciałbyś to wiedzieć: kiedy do niej napiszę, wspomnę, że moim zdaniem, powinna ci przesłać swój adres. - Nie czekając na jego odpowiedź, pociągnęła za jedną i drugą smycz. - Idziemy, moje maleństwa...

* * *

Długo oczekiwana wiadomość nadeszła wreszcie. Jedna z koleżanek przekazała ją Rose, kiedy spotkały się w refektarzu na śniadaniu: Effie urodziła dziecko.

Rose nie przestawała rozmyślać o swoich planach i o wizycie ojca.

- Jak czuje się dziecko? - zapytała natychmiast.
- Jest bardzo źle - odparła dziewczyna, której Rose nigdy nie darzyła sympatią.
- Skąd wiesz? I co jest źle? Tamta wzruszyła ramionami.
- Zajmij się sobą, dobrze?

Rose udała się czym prędzej do gabinetu siostry Benvenuto, zapukała i weszła, nie czekając na zaproszenie. Zakonnica siedziała przy biurku nad otwartym skoroszytem, przeglądała jakieś dokumenty. Uniosła głowę i spojrzała na dziewczynę.

- Rose! Czy wszystko w porządku? Jak się udało spotkanie z ojcem?
- Było wspaniale, dziękuję, siostrze. - Rose przeszła od razu do sedna sprawy. - Właśnie dowiedziałam się o Effie. Mówią, że z jej dzieckiem jest niedobrze. Czy to prawda?
- Niestety, tak, Rose.
- A konkretnie? Co się stało?

Zakonnica zdjęła okulary, położyła je ostrożnie na skoroszycie.

- Jak wiesz, Rose, szanujemy tu prywatność każdej z was. Nie sądzę, abym mogła ci udzielić tej informacji.

- Siostrze... - Rose nachyliła się do przodu, wsparła się oburącz o biurko. - Ja również szanuję prywatność Effie. Ale wiem wszystko o jej pierwszym dziecku. Sama mi o nim powiedziała. - Jej mina oznaczała: Powiedziała mi o wszystkim. Pamiętała jednak, że musi zachować dyskrecję. Effie wyznała jej wtedy, że siostra Benvenuto nie zna całej prawdy.

Zakonnica wstała, podeszła do okna. Stała teraz bokiem do Rose.

- Dziecko Effie żyło zaledwie dwadzieścia minut - oświadczyła - co, moim zdaniem, choć może nie powinnam tak mówić, jest dla niej prawdziwym dobrodziejstwem. To był chłopiec. Miał wodogłowie i wiele innych schorzeń.

Instynktownie Rose zakryła usta dłonią. Biedna Effie!

- Nawet gdyby przeżył, byłby silnie ograniczony umysłowo.
- I co teraz będzie?

- Jeśli chodzi o nasz klasztor, nic. Nasza opieka nad Effie dobiegła końca... do następnego razu - dodała tak cicho, że Rose z trudem rozróżniła jej słowa.

- Nie będzie już następnego razu, siostrze. Obiecuję.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że nie będzie następnego razu. Mogę to obiecać. Przynajmniej wydaje mi się, że mogę.

- O czym ty mówisz, na Boga?

- Mam pewien plan, który dotyczy Effie. A jeśli chodzi o mnie... - i Rose przedstawiła szczegóły obmyślonego przez siebie planu. - Obie jesteście silne i zdrowe - zakończyła. - Damy sobie radę i nikt nas od tego nie odwiedzie.

- A co na to twoi rodzice?

- Jeszcze nie wiedzą... to znaczy nie wiedzą, że i ja wprowadzę się do tego mieszkania - przyznała szczerze Rose. - Tata na pewno to zaakceptuje, problem będzie jedynie z mamą. - Podniosła wyżej głowę. - Ale nie zmuszą mnie, abym została w szkole. W Irlandii nauka jest obowiązkowa do czternastego roku życia, a ja za dwa miesiące skończę siedemnaście.

- Rozumiem. Wszystko, co mogę zrobić, moja droga, to życzyć ci szczęścia. Naturalnie będę się za ciebie modlić... za was obie. Czy myślałaś też o swoim dziecku? Co zamierzasz zrobić, kiedy już przyjdzie na świat?

- Siostrze - odparła Rose zdecydowanym tonem. - W naszym mieszkaniu nie będzie miejsca dla dziecka. - Mówiąc to, poczuła po raz pierwszy, że ogarniają ją wątpliwości. Instynktownie przycisnęła dłonie do brzucha. Dziecko było ruchliwe, obudziło się. Ale nie, nie pora teraz na sentymenty. - Tak będzie najlepiej również dla dziecka, nieprawdaż? - zapytała. - Mam na myśli adopcję. Ostatecznie muszę myśleć o jego przyszłości. Będzie mu lepiej pod opieką obojga rodziców, którzy obdarzą je prawdziwym uczuciem. Dla nich będzie chcianym dzieckiem. A to oznacza właściwy start w życiu.

Siostra Benvenuto powoli skinęła głową.

- Rose, decyzja należy do ciebie. Porada, jakiej zazwyczaj udzielamy, pokrywa się z tym, co powiedziałaś. Ale w głębi duszy nie jestem przekonana, czy jest trafna.

Rose patrzyła na nią zdumiona. Nigdy dotąd nie zetknęła się z osobą dorosłą, a do tego piastującą określone stanowisko kierownicze, która przyznałaby się do tego, że nie wie, co jest słuszne. Świat stawał do góry nogami!

- Nie bardzo wiem, co siostra ma na myśli - powiedziała ostrożnie.

Siostra Benvenuto przetarła dłońmi oczy i włożyła z powrotem okulary.

- Rose, jak na jeden wieczór, złamałam już wystarczająco wiele reguł. Lepiej będzie,

jeśli wrócisz teraz do reszty koleżanek.

- Dobrze, siostrze. Dziękuję.

- Czy chciałabyś pójść odwiedzić Effie?

- O tak, siostrze, to by było wspaniałe! Ale co z pracą?

- Załatwię to. Jeszcze dzisiaj. - Siostra Benvenuto nachyliła się znowu nad dokumentami. - A teraz zmykaj już.

Dziecko wierciło się tak gwałtownie, że po zamknięciu za sobą drzwi gabinetu Rose musiała przystanąć na chwilę i złapać oddech.

- Przestań, słyszysz? - powiedziała surowym tonem. I dopiero po chwili uświadomiła sobie, że po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do niego.

* * *

Babcię Rose zgubiły jej kalosze.

Kiedy skręciła za róg domu, spuściła psy ze smyczy, pozwalając im na trochę swobody. Z uśmiechem patrzyła, jak hasają radośnie po trawniku i ogródku. Ale potem, schodząc po stopniach przed wejściem frontowym, pośliznęła się na kilku przegniłych liściach oblepionych błotem i stoczyła się na dół, padając całym ciężarem ciała na żwir. Przeszył ją ból, zorientowała się natychmiast, że sprawa jest poważna. Mimo to starała się zachować spokój. Może John Flynn będzie przechodził tędy do domu. Zamiast krzyżeć, skupiła się na nasłuchiwaniu jego kroków. Jeden z pekińczyków, zdumiony, że wbrew utartemu zwyczajowi jego pani nie poszła za nim, wrócił. Liznął ją po twarzy, a potem ułożył się w pobliżu, kładąc głowę na przednich łapach.

Nancy pomodliła się w duchu i siłą autosugestii próbowała zminimalizować ból; poznała tę metodę podczas pobytu na Dalekim Wschodzie.

Robiła to tak intensywnie, że nie dosłyszała kroków Johna. Dopiero gdy pies zaszczekał, zorientowała się, że nadeszła pomoc.

- Pani O'Beirne Moffat! - zawołał John i podbiegł do niej. - Co się stało? O Boże... Pomogę pani! - Usiłował ją podnieść z ziemi, ona jednak powstrzymała go ruchem ręki, który spowodował natychmiast dodatkowy ból, ostry, niemal nie do zniesienia.

- Nie... - wyszeptała. - Nie podnoś mnie, nie ruszaj. Mam złamane biodro. I rękę. Wezwij pomoc. - To powiedziawszy, zemdląca.

John rozejrzał się dokoła, ale w pobliżu nie dostrzegł nikogo. Potem przypomniał sobie: pułkownika nie ma w domu! Może przynajmniej w kuchni zastanie już panią McKenna? Podbiegł do tylnych drzwi i usiłował je otworzyć, były jednak zamknięte na

zasuwę.

Załomotał pięścią tak energicznie, jak tylko mógł.

- Pani McKenna! - zawołał. - Niech pani przyjdzie! Szybko!

Otworzyła drzwi.

- Co, na Boga!... - Urwała, jej twarz przybrała nieprzyjazny wyraz.

John nie mógł złapać tchu.

- Pani McKenna, zdarzył się straszny wypadek. Starsza pani, pani O'Beirne Moffat, spadła ze schodów. Chyba złamała sobie biodro.

- Mój Boże! - Kobieta przeżegnała się trwożliwie. - A pułkownika nie ma!

- Musimy jakoś sprowadzić pomoc. Jej nie można teraz ruszyć. Byłoby dobrze zatelefonować po lekarza. Może pani zadzwoni, a ja zostanę przy niej. Ma pani tu whisky albo coś w tym rodzaju?

- Pod zlewem stoi butelka z odrobiną brandy. - Przyniosła ją i podała Johnowi, który przestępował niespokojnie z nogi na nogę.

- Niech pani zadzwoni po lekarza. Albo lepiej nie... - zmienił zdanie. - Proszę zadzwonić pod 999. Przyjadą od razu karetką. Trzeba ją przewieźć do szpitala. Szybciej! - dodał, wybiegając z domu.

Babcia Rose, która odzyskała już przytomność, jęczała cicho. John ukląkł przy niej.

- Pani O'Beirne Moffat - odezwał się łagodnie. - Czy wypije pani kropelkę brandy?

- Brandy? Jak widzę, w Sundarbans sprawy mają się lepiej! - odparła z wisielczym poczuciem humoru. - Nie, dziękuję...

John zdjął marynarkę i złożył ją, robiąc z niej płaską poduszkę. Kobieta wydała zduszony jęk, kiedy wsunął ją pod jej głowę.

- Może jednak napiję się odrobinę - wyszeptała. Nalał trochę brandy do nakrętki i przytknął jej do ust, czekając cierpliwie, aż wysączy ostatnią kroplę. Pani McKenna zjawiała się z pledem, którym okryła wątłe ciało Nancy.

Wycie syreny usłyszeli na długo wcześniej, zanim jeszcze ujrzeli karetkę. Pielęgniarze działali sprawnie i skutecznie; po pobieżnym przebadaniu poszkodowanej ułożyli ją na noszach i przenieśli do karetki, starając się oszczędzić staruszce niepotrzebnego bólu.

- Kto z nią pojedzie? - Kierowca przeniósł wzrok z pani McKenna na Johna. Zamknął jedno drzwiczki i otworzył drugie.

Pani McKenna pobladła na twarzy i przeżegnała się powtórnie. John przypuszczał, że kobieta, podobnie jak wielu starszych ludzi, odczuwa lęk przed szpitalem. Zastanowił się szybko. Do stróżówki miał wrócić dopiero za cztery godziny.

- Ja pojedę - oświadczył. - Pani McKenna - zwrócił się do kobiety - niech pani się postara odnaleźć panią O'Beirne Moffat i powie jej, co się stało. Czy pani wie, gdzie ona teraz jest?

- W Clones - odparła. - Tak mi mówiła. Że jedzie na jeden dzień do Clones. Wzięła samochód - dodała, jakby to wyjaśniało wszystko.

- Clones nie jest duże - mruknął John. - Powinna ją pani odnaleźć bez trudu. Może byłoby dobrze zatelefonować tam przedtem do parafii? - Wsiadł do samochodu i usiadł obok babci Rose. Los wiąże mnie teraz to z jednym szpitalem, to z drugim, pomyślał, kiedy karetka podskakiwała na wyboistej drodze.

Ale może tym razem doprowadzi go jednocześnie do Rose?

Począł, aż Nancy O'Beirne Moffat, ułożoną na wózku i okrytą kocem, przewiozą z izby przyjęć na prześwietlenie, po czym wybiegł ze szpitala i ruszył szosą w stronę domu, trzymając kciuk w górze na znak, że prosi o podwiezienie. Szczęście mu dopisało. Już pierwszy przejeżdżający samochód zatrzymał się przy nim i podwiózł go do skrzyżowania dróg, zaledwie o milę od stróżówki.

Kiedy wszedł do domu, miał jeszcze godzinę. Rozpalił w piecu i usiadł, aby przemyśleć to wszystko, co się dzisiaj zdarzyło. Intuicja podpowiadała mu, że w osobie babci Rose ma przyjaciółkę. Nie wątpił też, że staruszka dotrzyma danego mu słowa. A Rose miała szczególnie stosunek do tej bransoletki, kojarzyła ją bowiem z historią miłości Elżbiety i jej kochanka oraz ich niezwykłym pierścieniem. „To będzie nasz pierścień... Zrobisz, co zechcesz, żeby nam pomóc... Cokolwiek, żebyśmy mogli znowu być razem”. Tak wtedy mówiła.

W tym właśnie pokładał teraz całą swoją nadzieję.

* * *

Siadając przy łóżku Effie, Rose dostrzegła natychmiast, jak bardzo jej przyjaciółka jest wyczerpana. Z twarzą białą jak śnieg i zamkniętymi oczyma wyglądała na o wiele więcej niż swoje dziewiętnaście lat; czarne włosy, nie umyte i nie ułożone, lepiły się do spoconego czoła. Rose ogarnęło silne wzruszenie. Siedziała tak kilka minut w milczeniu, nie chcąc budzić Effie i przerywać jej wypoczynku.

Sama zresztą także nie czuła się najlepiej. Mimo iż otrzymała dokładne informacje, jak dostać się do szpitala, jej pierwsza jazda metrem okazała się niezwykle denerwująca i uciążliwa, a myśl o powrocie tą samą drogą napępiała dziewczynę lękiem.

Effie leżała na wznak, nieruchoma jak posąg, głucha na wszystko, co działo się wokół

niej, na cały ten zgiełk, zwykle panujący w szpitalu w porze odwiedzin. Rose przeniosła wzrok na wyraźnie odznaczającą się pod kołdrą wypukłość; zaskoczona stwierdziła, że brzuch Effie nie zmniejszył się wcale w jakimś znaczącym stopniu. Do tej pory wyobrażała sobie, że natychmiast po porodzie staje się na powrót płaski, niczym balon po wypuszczeniu powietrza.

Effie poruszyła się lekko i jęknęła. Rose nachyliła się nad nią.

- Effie - szepnęła - to ja, Rose... - Effie otworzyła oczy, powiodła dokoła mętным wzrokiem. - To ja - powtórzyła Rose i ujęła bezwładną rękę przyjaciółki. Wargi położnicy drgnęły, ale Rose na próżno wyteżyła słuch. - Co, Effie? - zapytała, nachylając się niżej. - Co powiedziałaś?

Tym razem usłyszała.

- Gówno. Cały świat to gówno.

- Och, Effie! - Rose nie wiedziała już, czy śmiać się, czy płakać. - Czy to wszystko, co potrafisz teraz powiedzieć? Tak bardzo mi przykro z powodu twojego dziecka, Effie, nawet nie wiesz, jak bardzo!

- Przynajmniej ten kłopot mam z głowy! - mruknęła Effie. Ale jej oczy wypełniły się łzami i Rose zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła: ścisnęła jej rękę.

- Widziałaś je? - zapytała, kiedy odzyskała panowanie nad własnym głosem. Effie pokręciła głową.

- Od razu zostało zabrane ode mnie. A potem przyszedł ksiądz i powiedział, że dziecko nie żyje.

Rose nie wiedziała, co począć. Nigdy dotąd nie zetknęła się ze śmiercią w gronie najbliższych. Ciotka Lizzie, której biżuterię dostała w prezencie od ojca, zmarła nie tak dawno temu, ale Rose nawet jej nie pamiętała, znała ją jedynie ze starych, niewyraźnych fotografii.

- Może tak właśnie musieli postąpić - powiedziała, zdając sobie sprawę z nieprzekonywającego tonu tych słów. - Oni z pewnością wiedzą, co robią.

- Nie obchodzi mnie, jak chłopiec wyglądał albo jak bardzo był chory, Rose. Jestem jego matką, a oni mi go zabrali. Nawet nie zdążyłam go zobaczyć! - Wybuchnęła płaczem, jej wykrzywiona twarz wydawała się teraz jeszcze brzydsza niż zazwyczaj.

Każde jej słowo trafiało Rose niczym uderzenie młotem; mogła sobie jedynie wyobrazić, co Effie czuje.

Jej przyjaciółka leżała w rogu dużej sali, w której prócz niej przebywało około dwudziestu pacjentek. Przy większości łóżek były ustawione kołyski; część kobiet tuliła czule

swoje nowo narodzone dzieci, pokazując je z dumą mężom i innym odwiedzającym. Effie natomiast, rozpaczając nad swoją stratą, tworzyła tak wyraźny kontrast z nimi, że sąsiadki, zażenowane, odwracały od niej wzrok. Rose zdawała sobie sprawę, że w normalnych okolicznościach również ona czułaby się teraz zakłopotana, widząc jednak radosny nastrój, jaki panował przy innych łóżkach, doszła do przekonania, że Effie ma wszelkie prawo krzyczeć i płakać, ile tylko zechce. I dobrze to określiła: życie to gówno. Za co musi tak cierpieć? Głaszcząc dłoń przyjaciółki, Rose była pewna, że podjęła słuszną decyzję: Effie otrzyma teraz swoją szansę!

Podala jej chusteczkę, poczekała, aż łkania ustaną.

- Posłuchaj, Effie... - szepnęła. - Może to nie czas i miejsce na taką rozmowę, ale pora wizyt zaraz dobiegnie końca, a ja muszę omówić z tobą pewną sprawę, zwłaszcza że potem mogłybyśmy się już nigdy nie zobaczyć. Mam pewien plan, który dotyczy nas obu. - W paru słowach przedstawiła swoją propozycję.

Kiedy skończyła, Effie, już spokojna, spojrzała na nią zaskoczona.

- Mówisz poważnie? Chcesz, abyśmy zamieszkały razem?

- Chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego - zapewniła ją Rose. - To nie odmieni przeszłości ani nie przywróci życia twojemu dziecku czy zdrowia twojemu pierworodnemu. Ale może uda się nam nadrobić choć trochę stracony czas. Musimy jednak pamiętać, że to nie będzie łatwe.

- Nie będzie. Ale damy sobie radę! Na pewno! - Twarz Effie rozkwitła dawnym poczciwym uśmiechem. - Och, Rose, nie wiem nawet, jak ci dziękować!

Rose odwzajemniła uśmiech.

- Nie ma za co. Teraz musimy przede wszystkim zdobyć pieniądze. Tak szybko, jak to możliwe. Czy masz w ogóle choć trochę forsy?

- On przysłał mi czek, ale ja ani myślę go przyjmować! - W głosie Effie zabrzmiała odraza. - Mam jednak to, co zarobiłam w pralni.

Dziewczęta otrzymywały za swoją pracę symboliczną zapłatę, którą mogły wydawać lub odkładać.

- Ile ci zostało?

- Około dwudziestu sześciu funtów.

- Ja mam dwadzieścia dwa - powiedziała Rose. - Przyniosłam je ze sobą. Trochę sobie zatrzymam na wszelki wypadek, ale dam ci osiemnaście. W sumie masz więc czterdzieści cztery funty, a z tym możesz śmiało pojechać do Dublina, wynajmując mieszkanie i jeszcze zostanie ci trochę na kilka tygodni. W tym czasie dostanę od ojca sto funtów i natychmiast ci

je prześlę.

- Nie powinnaś mi tak ufać, Rose. Mogłabym uciec z całą forszą do Las Vegas! - Ale uśmiech na jej twarzy zgasł od razu. - Och, Rose, jak ja ci potem zwrócę tyle pieniędzy?

- Nie wygłupiaj się, to teraz nieważne. Zresztą jestem pewna, że dostaniemy niedługo wspaniałą pracę i staniemy się milionerkami! Dublin nie wie jeszcze, co go czeka!

Do sali weszła pielęgniarka i pomachała małym srebrnym dzwoneczkiem.

- To na pewno koniec wizyt - szepnęła gorączkowo Rose. - Słuchaj teraz uważnie. Siostra Benvenuto powiedziała, że szarytki prowadzą dom noclegowy na Mountjoy Square. Zapisałam ci tu adres, widzisz? - Z kieszeni bluzki wyjęła karteczkę. - Zgłoś się tam, będziesz miała dach nad głową przynajmniej na kilka pierwszych dni, dopóki się nie urządzisz.

- Mountjoy Square - powtórzyła Effie.

- Właśnie. Będziesz mogła zająć się spokojnie szukaniem mieszkania. Sama nie wiem, jak się do tego zabrać... Może trzeba przeglądać ogłoszenia w gazetach?

- Zostaw to mnie - odparła Effie. - Nie myśl, że jestem taka niezaradna!

Rose zorientowała się, że w sali zostały już same pacjentki. Nadeszła pora pożegnania. Wstała z trudem, czując dotkliwy ból w plecach, nachyliła się nad przyjaciółką i uściskała ją czule.

- Spróbuj teraz trochę wypocząć.

- Nawet go nie widziałam - wyszeptała nieoczekiwanie Effie. - Miałam go nazwać Sylvester. Tak dla samej siebie.

Rose patrzyła na nią, targana sprzecznymi emocjami.

- Sylvester?

- Tak nazywała się moja ulubiona zakonnica w szkole - wyjaśniła cicho Effie.

- A więc tak będziemy go nazywać, ilekroć zechcesz o nim mówić, zgoda? - Rose cmoknęła ją w policzek i ruszyła do wyjścia, bojąc się, że za chwilę się rozplacze i zrobi z siebie widowisko. W drzwiach odwróciła się i pomachała ręką. Była zbyt daleko, aby dojrzeć wyraz twarzy przyjaciółki, zauważyła jednak uniesioną w geście pożegnania dłoń Effie.

* * *

Mona McConnell okazała się słowna i zjawiała się punktualnie o drugiej. Zbliżała się już do trzydziestki, była drobna i szczupła, o wąskich, zaokrąglonych ramionach. Zewnętrzne kąciaki oczu miała lekko opuszczone, podobnie jak kąciaki ust, robiła wrażenie osoby, która raczej nie oczekuje wiele od życia.

- Pozwól, pomogę ci zdjąć płaszcz - zaproponował John, kiedy weszła do kuchni.

- Dziękuję - odparła łagodnym głosem, który pasował do jej powierzchowności.

- Czy chciałabyś obejrzeć dom? Ale uprzedzam, że nie ma tu, niestety, zbyt wiele do oglądania.

- Dziękuję - powtórzyła. - Bardzo chętnie.

Odniosł nagle nieodparte wrażenie, że gdyby zaproponował jej zwiedzenie któregoś z cudów świata, zareagowałaby w ten sam sposób.

Po obejrzeniu domu Mona zaparzyła herbatę, następnie zasiedli przy szumiącym piecu jak stara para małżeńska, popijając napój w milczeniu. John mimo woli zadumał się nad dziwnymi kolejami życia: oto od chwili gdy ukończył szkołę, nie upłynął jeszcze nawet rok, on zaś ma nie tylko dobrze płatną pracę, ale także zatrudnia u siebie inną osobę. Mona piła herbatę drobnymi łykami, trzymała filiżankę, odchylając mały palec. Jej spokój pozwolił Johnowi opanować treść, którą zrodziła świadomość, że jest chyba jednym z najmłodszych pracodawców w okolicy. W każdym razie, pomyślał, takie zajęcie jak Mony nie jest tu niczym niezwykłym, a nie należało nigdy do intratnych.

- Co chciałabyś wiedzieć o matce? - zapytał po chwili, niechętnie przerywając błogą ciszę.

Zastanowiła się.

- Kiedy tu przyjedzie? - spytała w końcu. Właściwie oczekiwał innych pytań, na przykład o nawyki matki lub jej upodobania kulinarne, w każdym razie o coś, co wiązałoby się z obowiązkami Mony.

- Mniej więcej za godzinę - odparł. - Chciałabyś wiedzieć coś jeszcze prócz tego? Jak ją karmić albo coś w tym rodzaju?

- Na pewno damy sobie radę - odparła i uśmiechnęła się, jakby chciała mu dodać otuchy, po czym skoncentrowała się ponownie na herbacie. Uświadomił sobie, że ta kobieta działa na niego wyjątkowo kojąco, a nawet hipnotyzują - co. Jeszcze trochę, a wpadnę w trans, przyszło mu do głowy.

Przez wzgląd na dobre maniery postanowił podtrzymać rozmowę.

- Jak się miewa twój ojciec, Mono? - Przed czterema laty Packy McConnell uległ podczas żniw wypadkowi: młockarnia ucięła mu nogę.

- Dobrze, dziękuję - odparła. - W jego sytuacji nie można wymagać zbyt wiele, ale ma się dobrze.

- Rozumiem - mruknął. Mona najwyraźniej nie oczekiwała dalszych komentarzy i John ponownie spojrzął na nią z zaciekawieniem.

Wiedział, że życie, jak dotąd, nie obchodziło się z tą kobietą łaskawie. Właśnie na nią

skierowano jego uwagę, kiedy rozgłosił, że poszukuje kogoś do opieki nad matką. „Najlepsza byłaby dla ciebie Mona McConnell” - słyszał zewsząd. Każdy, kto ją polecał, dodawał zarazem garść informacji na temat jej i jej rodziny, tak że w chwili, kiedy przeprowadzał wreszcie pierwszą rozmowę z nią samą, miał wrażenie, że wie o niej niemal wszystko.

Matka Mony zmarła prawie natychmiast po wydaniu jej na świat, a wychowaniem dziecka zajęła się ciotka, która w tym celu wprowadziła się do ich domu. Teresa McConnell była osobą niezwykle drobiazgową i pobożną, ubzdurzała też sobie, że zarówno ona sama, jak i jej krewni są ulepieni z lepszej gliny niż inni ludzie. Mona zawsze musiała wracać ze szkoły prosto do domu; nie wolno jej było bawić się z innymi dziećmi, a potem, w późniejszych latach, chodzić na tańce. Teresa, znana ze swego ostrego języka, skutecznie zdołała wypłoszyć wszystkich młodzieńców, którzy ośmielili się zbliżyć do jej siostrzenicy; strzegła dziewczyny jak oka w głowie, twierdziła bowiem, że zamierza wychować ją na wielką damę.

A jednak los nie dopuścił do realizacji tych ambitnych planów. Wskutek postępującego artretyzmu ciotki, jak również wypadku, jakiemu uległ ojciec, Mona zamiast zostać wielką damą już w wieku dwudziestu paru lat musiała przejąć obowiązki gospodyni domowej oraz niańki obsługującej ich oboje. Od połowy tych obowiązków uwolniła Monę sześć miesięcy temu śmierć ciotki.

Packy nie był już w stanie pracować jako robotnik na farmie, tak więc w domu stale brakowało pieniędzy i kiedy John zaproponował Monie pracę opiekunki, przyjęła tę propozycję ze spokojem fatalistki.

Oboje siedzieli teraz naprzeciw siebie, nie przejmując się milczeniem. Pili właśnie po trzeciej filiżance herbaty, kiedy przed furką rozległ się warkot samochodu Neda Sherlinga. Dopiero teraz John uświadomił sobie, jak bardzo lękał się tej chwili. Siłą woli odegnał jednak myśli o tym, co może przynieść obecność w domu całkowicie teraz uzależnionej od niego matki, i skupił się na rzeczywistości.

Mona stanęła obok niego w progu, kiedy Ned podjechał pod same drzwi, manewrując na małym podwórzu, tak aby stanąć jak najbliżej domu. Zanim wyłączył silnik, John otworzył drzwiczki, aby objąć matkę, natychmiast jednak cofnął się, odstraszonej cierpkawym odorem; najwidoczniej Mary zrobiła pod siebie.

W następnej chwili zawstydził się swojej odruchowej reakcji. Matka siedziała otulona kocami, przez siwe przerzedzone włosy przebijała różowa skóra głowy. Wyglądała tak bezbronne i krucho jak noworodek. Dotknął jej ramienia.

- Dzień dobry, mamó - powiedział.

Na dźwięk jego głosu powoli odwróciła głowę, jej oczy wydały mu się puste. Z

trudem powstrzymał płacz, kiedy ujrzał strużkę śliny, ściekającą po podbródku ze sparaliżowanej strony ust.

- Dzień dobry, mamó - powtórzył. - Witaj w domu.

Wpatrywała się w niego bezmyślnie, tępym wzrokiem, nie poznając go. Ktoś dotknął ramienia Johna. To Ned stanął przy nim.

- Poczuj się lepiej, kiedy się znajdziesz w domu - szepnął. - Ma za sobą męczący dzień... Długa podróż i w ogóle... Nie mogła się już doczekać, kiedy tu wróci!

John nachylił się, wziął matkę na ręce. Nigdy nie ważyła dużo, ale zmizerniała jeszcze bardziej podczas choroby. John niemal nie czuł jej ciężaru, wyciągając ją z auta. Kiedy przenosił matkę przez próg, przystanął na moment: nie wiedział, czy i jak ma jej przedstawić Monę. Ogarnął go lęk. A jeśli Mona uzna, że ta praca przerasta jej możliwości?

Ale wyraz twarzy Mony, wyrażający smutek i troskę, nic zmienił się ani trochę. Ujęła bezwładną dłoń Mary i ścisnęła ją łagodnie.

- Dzień dobry, pani Flynn. Jestem Mona. Na pewno się zaprzyjaźnimy.

Przy pomocy Johna położyła Mary do łóżka i okryła ją kocem.

- Wszystko będzie dobrze - mruknął John. Czuł się niezręcznie. Wiedział, że matkę trzeba rozebrać, umyć i przebrać w coś suchego, wiedział też, że będzie musiał robić to często, ale w tej chwili nie potrafił się przemóc. Tylko... czy nie będzie w tym nic niestosownego, jeśli od razu pierwszego dnia poprosi Monę o wykonanie tej niemiłej roboty?

Na szczęście ona sama wybawiła go z kłopotu.

- Jest jeszcze herbata w dzbanku - powiedziała. - Poczęstuj Neda, z pewnością napije się chętnie po podróży. A ja zajmę się wszystkim tutaj.

Ale Ned, jak zwykle, nie chciał zostać na herbacie.

- Mam dla ciebie przesyłkę od administratorki szpitala - powiedział, podając mu pękata, owiniętą w papier paczkę.

John rozerwał opakowanie. W środku znalazł to wszystko, czego Mary nie zdążyła zużyć w szpitalu: niemal opróżnioną już puszkę talku, słoik z wazeliną oraz trzy rzeczy, które uświadomiły mu teraz wyraźnie cały zakres oczekujących go zadań, a więc brązową ceratkę do łóżka i dwa prześcieradła, sprane już i zniszczone. Domyślił się, że należy je zmieniać każdorazowo, kiedy matka zmoczy łóżko. Ned nie spuszczał z niego oka.

- Tu są jej lekarstwa i przepisane dawki - powiedział cicho, wręczając Johnowi brązową kopertę. - Administratorka mówiła, żebyś jak najszybciej skontaktował się z miejscowym lekarzem i poprosił, aby zbadał Mary. - Z miny Neda trudno było wyczytać, czy wiadomość jest dobra, czy zła. - W każdym razie serce ma zdrowe... Muszę już iść -

dokończył. - Mam nadzieję, że sobie poradzisz. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł na podwórze, zapalił silnik, ale przed odjazdem opuścił szybę. - Zajrzę tu jutro - obiecał. - Zobaczą, czy wszystko w porządku. - Odjechał z głośnym warkotem, zostawiając za sobą smugę sinego dymu.

John wszedł z powrotem do domu i przejrzał jeszcze raz rzeczy przysłane ze szpitala. Czuł, że opuszcza go odwaga.

Mary jednak spała spokojnie niemal dwie godziny. W tym czasie Mona przeprała jej ubranie i uporządkowała zawartość paczki. Robiła to tak sprawnie, że John poczuł się nieswojo. Nie wiedział, czym mógłby się zająć, aby być przydatny, nie chciał też sprawiać na Monie wrażenia, że stoi tak w kuchni, aby ją nadzorować czy sprawdzać.

- Nie masz nic przeciw temu, abym przeszedł się trochę i zostawił cię tu samą? - zapytał wreszcie.

- Jasne, że nie, John - odparła Mona. - Możesz śmiało iść. My obie damy tu sobie świetnie radę.

To „my” podniosło go na duchu. Jak na razie obecność Mony McConnell w stróżówce była nadzwyczaj owocna; nie mógł trafić lepiej.

* * *

Daphne O'Beirne Moffat, w wyjątkowo jak na nią niedbałej fryzurze, rozmawiała z lekarzem, który zajął się jej teściową.

Wiadomość, którą otrzymała, w pierwszej chwili zaniepokoiła ją, a nawet wystraszyła, kiedy jednak okazało się, że Nancy nie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, zaskoczenie ustąpiło miejsca irytacji. Nie mam zamiaru być jej niańką, powtarzała w duchu, jadąc do szpitala. Stary humber Gusa podskakiwał na wybojach, ona zaś z rosnącym gniewem rozmyślała o mężu. To typowe dla niego. Cały on: wybrał się do Londynu, zostawiając sprawy na jej głowie. Wszystko przez Rose! Gdyby Gus był teraz tutaj, może by coś wymyślił! Obecne zamieszanie to wina Rose!

- Co? - zapytała lekarza, widząc, że wpatruje się w nią, jakby czekał na odpowiedź.

- Pytałem, kiedy pani małżonek będzie w domu - powtórzył cierpliwie. - Ktoś musi podpisać zgodę na operację.

- No cóż, z pewnością nie wróci wcześniej niż w czwartek - burknęła Daphne. - Jutro ma jakąś sprawę do załatwienia w Londynie, a podróżuje statkiem. - Ostatnie wyznanie nie poprawiło jej humoru. Wszyscy jej znajomi, którzy udawali się do Londynu, latali ostatnio samolotem z nowego lotniska w Collinstown pod Dublinem. Ale Gusa oczywiście nie stać na

to!

- A może pani podpisałaby tę zgodę? - Lekarz znużonym gestem przetarł sobie czoło.

- No dobrze, niech pan mi to da! - Nie tając zniecierpliwienia, sięgnęła po formularz, złożyła podpis i poszła za lekarzem do sali, gdzie leżała teściowa.

- Daliśmy jej coś na uśmierzanie bólu - powiedział lekarz, a Daphne ogarnęła przelotne uczucie wstydu. To dość łatwe zajmować się działalnością dobroczynną, odwiedzać chorych, jak to nieraz czyniła, udzielać się w towarzystwie kościelnym. Ale w tej sytuacji... I natychmiast wstyd ustąpił miejsca uczuciu oburzenia. Właśnie, co innego oznacza sytuacja, w której działalność dobroczynna miałaby polegać na stałej opiece, dwadzieścia cztery godziny na dobę, i to pod własnym dachem! Akurat tego obawiała się najbardziej, odkąd poślubiła Gusa, ale Nancy zawsze tryskała zdrowiem i energią, była samowystarczalna - i to sprawiło, że jej, Daphne, obawy rozwiały się w końcu. Gus będzie musiał wziąć część tego ciężaru na siebie, choćby pękł, postanowiła w duchu.

Teściowa nie spała, ale jej otwarte oczy lśniły matowym blaskiem, który zdradzał działanie środków uspokajających. Prawa ręka była na temblaku, kōłdra tworzyła spore wybrzuszenie na obwiązany i usztywniony biodrze.

- Zostawiam panie same - oświadczył lekarz. Podał Daphne rękę i wyszedł.

Daphne przysunęła sobie krzesło, usiadła przy łóżku. Nancy usiłowała coś powiedzieć, mówienie jednak sprawiło jej jeszcze trudność i Daphne uznała, że próba nawiązania rozmowy nie ma teraz sensu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, usiłując się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego jedynie jakiś nieokreślony grymas, wyrażający coś między rozdrażnieniem i gniewem.

Matka Gusa odpowiedziała bladym uśmiechem. Poruszyła ustami, a kiedy Nancy pochyliła się nad nią, usłyszała słabe, ale wyraźne:

- Przepraszam.

Pogłaskała ją po ramieniu i, starając się, aby jej słowa zabrzmiały przekonująco, poprosiła:

- Nie przejmuj się tym wszystkim, Nancy. Damy sobie radę.

Teściowa zamknęła oczy, a Daphne przyszło nagle do głowy, że przecież nie stać ich na wynajęcie pielęgniarki w Sundarbans. Na pewno nas nie stać, pomyślała zirytowana. Nie ma już też nic, co można by spieniężyć. Zatopiona w tych przykrych rozważaniach, nie dosłyszała nawet kroków pielęgniarki, która podeszła i delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Przepraszam panią - szepnęła dziewczyna - ale pomyślałam sobie, że może pani zechce zabrać do domu ubranie teściowej. Przyniosę też jej pierścionki i inne rzeczy. Są teraz

w sejfie, ale jeśli chce pani je wziąć, proszę bardzo.

Czekając na powrót pielęgniarki, Daphne rozejrzała się dokoła. W przestronnej sali, zajmowanej przez pacjentki w podeszłym wieku, mieściło się ponad dwadzieścia łóżek. Pokój był czysty i schludny, o lśniącej podłodze i czystych ścianach, ale nawet intensywny zapach środków dezynfekcyjnych nie był w stanie przytłumić innej woni, ostrzejszej i nieprzyjemnej. Daphne znowu spojrzała na teściową. Teraz, będąc pod działaniem leków uspokajających, matka Gusa nie różniła się niczym od innych starszych pań, które leżały w tej sali. Silna irytacja Daphne ustąpiła nagle miejsca uczuciu przygnębienia, kiedy wyobraziła sobie, że kiedyś i ona może się znaleźć w takiej sali, wśród siwych kobiet złożonych chorobą i odurzonych lekami.

Do pokoju wróciła pielęgniarka.

- Proszę bardzo - powiedziała pogodnym tonem. Wysypała zawartość koperty, którą przyniosła ze sobą, na szafkę, wzięła kartkę i zaczęła wyczytywać kolejne przedmioty, wkładając je po kolei z powrotem do koperty: - Złoty zegarek... jest... trzy pierścionki... są... różaniec... jest... medalik i krzyżyk na srebrnym łańcuszku... są... portmonetka z bransoletką... jest... chusteczka... jest... trzy szylingi i jednaście pensów... Jest wszystko! Pani teściowa nie miała torebki - dodała. - Pieniądze, bransoletka i różaniec były w kieszeni płaszcza. A teraz proszę tu podpisać - podała kartkę - że otrzymała pani wszystko zgodnie z listą.

Po raz drugi tego dnia Daphne złożyła swój podpis. Wzięła kopertę i wstała.

- Na razie nic tu po mnie - powiedziała do pielęgniarki. - Wrócę chyba do domu i spróbuję skontaktować się z mężem. On nie wie jeszcze, co się stało.

Natychmiast po powrocie do domu zatelefonowała do londyńskiego klubu Gusa, ale nie zastała tam męża.

Doszła do wniosku, że może sobie pozwolić na kieliszek sherry. Ale najpierw zrobi porządek z ubraniami teściowej. Powiesiła płaszcz, wystawiła za drzwi w kuchni kalosze i buty, odłożyła na bok podartą spódnicę i bluzkę, które zamierzała naprawić nazajutrz rano, gdyż dziś czuła się zbyt zmęczona, i wreszcie udała się do pokoju Nancy, aby zanieść tam sweter i inne drobiazgi.

Szkatułka Nancy zawierała niewiele biżuterii, ale wszystko, co tam leżało, było piękne. Ona zawsze miała dobry gust, pomyślała Daphne, wsuwając pierścionki w przeznaczone dla nich wgłębienia. Otworzyła portmonetkę i wyjęła z niej bransoletkę. Ametysty zapłonęły fioletowo - purpurowym blaskiem i Daphne, zaskoczona, wzięła bransoletkę do ręki. To przecież biżuteria Rose! Dlaczego znalazła się w kieszeni teściowej?

Zamknęła szkatułkę i przeszła do pokoju córki. Czerwone aksamitne puzderko leżało

tam, gdzie zawsze, na toaletce. Daphne zawiesiła bransoletkę na maleńkich haczykach, po czym opuściła wieszak.

Wychodząc z pokoju, wzięła pudełko ze sobą. Jutro, pomyślała, zaniósę je do banku i złożę w sejfie, gdzie jego miejsce. Niezależnie od tego, co postanowiła Rose.

ROZDZIAŁ 10

Dwa tygodnie przed powrotem Mary Flynn ze szpitala Karen Lindstrom oraz młody wikary, od niedawna reprezentujący w Charlottetown kościół metodystów, siedzieli naprzeciw siebie w saloniku domu dziewczyny. Pastor przybył tu na stanowcze życzenie jej rodziców, którzy nalegali, aby „pogawędził trochę z Karen”, ale, jego zdaniem, rozmowa nie przebiegała jak należy.

- Posłuchaj, Karen - prosił nachylając się do przodu, tak że promienie słońca wpadające przez okno zapaliły błyski na rogowej oprawce jego okularów. - Czy nie rozumiesz, co przeżywają twoi rodzice? - Jego podwójny podbródek dygotał z emocji, kiedy zapewniał: - Oni chcą tylko twojego dobra, to oczywiste, ale muszą też dbać o siebie, o swoją pozycję. Zapewne nie spodoba ci się, co powiem, Karen, ale Charlottetown to społeczność raczej bardzo konserwatywna, a fakt, że ktoś ma niezamężną córkę, która spodziewa się dziecka, nie sprzyja tu prowadzeniu interesów.

- A rodzicom właśnie zależy wyłącznie na tym! - odparła Karen. - Na interesach!

- To nieprawda, Karen. I dobrze o tym wiesz. Ale twoja mama i twój tata są także członkami Kościoła i...

- A co by zrobił Jezus w takiej sytuacji? - przerwała mu, wstając. - Proszę mi powiedzieć. - Spojrzała płomiennym wzrokiem na pastora, on zaś, zakłopotany, przygryzał wargi. - Czy On pytałby, kto jest ojcem? Myślę, że Jezus po prostu by się cieszył, że na świat przychodzi nowe dziecko. Nowe życie, wielebny! Czy nie tego nauczają nas zawsze w szkółce niedzielnej? A skoro już o tym mowa... - dodała z przekąsem. - Jestem pewna, że pastor wie, iż miliony ludzi, nie wyłączając katolików, nie wierzą, że rodzice Jezusa byli małżeństwem! - Z wyrazem triumfu na twarzy usiadła z powrotem.

Duchowny postanowił zmienić taktykę. Przybrał łagodny ton, usiłując raz jeszcze wyciągnąć z dziewczyny informacje, które rodzice Karen próbowali uzyskać już od dwóch tygodni.

- Proszę cię, Karen... W czym tkwi problem? Może gdybyś potrafiła wyjaśnić, dlaczego nie chcesz nikomu powiedzieć, kto jest ojcem dziecka... Ostatecznie ten młody człowiek, kimkolwiek by był, też ponosi odpowiedzialność.

- To niemożliwe - odparła. - Nie wiem, czemu nikt nie chce przyjąć tego do wiadomości: nie zamierzam zdradzić nikomu jego imienia i to, wielebny, jest moja ostateczna decyzja! - Spojrzała na zrozpaczoną minę pastora i omal nie zrobiło jej się go żal. - To, że

powiedziałabym, o kogo chodzi, i tak by nie zmieniło sytuacji, prawda, pastorze? - dodała łagodniej. - I wcale nie doprowadziłoby do ślubu.

- Nieraz tak właśnie bywało - mruknął duchowny, nie tając przygnębienia. Zdjął okulary i wytarł je o rękaw.

- Tak, ale w jakiej epoce? - parsknęła wzgardliwie Karen. - Pozwolę sobie przypomnieć wielebnemu, że mamy teraz tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty rok. Co tata zamierza zrobić? Wziąć strzelbę i zaprowadzić nas siłą do ołtarza? Poza tym... na miłość boską! Mam dopiero siedemnaście lat! Czasy nieletnich oblubienic odeszły wraz z Mik - makami! - Mikmakami nazywano tu miejscowych Indian, dawnych mieszkańców tych terenów.

Wikary jeszcze raz zmienił taktykę.

- Dobrze więc, nie zdradzaj nazwiska tego młodzieńca. Może jednak w takim razie powiesz mi przynajmniej, jaki to typ człowieka?

- Zgoda, powiem, ale tylko tyle, że chociaż go nie kocham, jest mężczyzną, którego każda dziewczyna poślubiłaby z radością i dumą. To wszystko. I uważam ten temat za zamknięty.

Pastor patrzył na nią zdezorientowany, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. Karen rozsiadła się wygodniej na sofie i czekała.

- Za kilka tygodni kończę osiemnaście lat - wyjaśniła wreszcie, polemizując z własnymi, wypowiedzianymi zaledwie parę sekund wcześniej słowami o nieletniej oblubienicy. - Znam dobrze samą siebie. Nie jestem już dzieckiem.

- To oczywiste - mruknął wikary. - Karen, proszę!

- Tak? - Patrzyła w tej chwili na sufit.

- Karen, w ten sposób daleko nie zajdziemy.

- Cieszę się, że również pastor jest tego zdania. Od początku mówiłam mamie i tacie, że wciąganie do tej sprawy Kościoła nie ma sensu. - Wstała. - Proszę posłuchać, wielebny - dodała pojednawczym tonem - naprawdę traci pastor czas. Nie wyjawię nazwiska ojca mojego dziecka nikomu - i już!

Zdając sobie sprawę z własnej porażki, duchowny wstał z wyraźnym ociąganiem.

- Czy przynajmniej zastanowiłaś się już, co zrobisz, kiedy dziecko przyjdzie na świat?

- Na to jest za wcześnie. Mam przed sobą jeszcze parę miesięcy... - Umilkła, zaniepokojona, że mogłaby powiedzieć zbyt wiele. - Zapewne oddam je do adopcji - dodała szorstkim tonem. - Ale, jak już mówiłam, przemyślę sobie wszystko, dopiero gdy nadejdzie pora.

- Twei rodzice mieli wobec ciebie wielkie, wspaniałe plany, Karen.

- Czy stało się coś, co mogłoby stanąć im na przeszkodzie? Tego lata kończę szkołę średnią. Wprawdzie nie rozpocznę studiów jesienią, ale uczynię to z pewnością po pierwszym semestrze. Nie widzę tu więc żadnego problemu.

- No cóż, jak sądzę, wszystko w tej kwestii zostało już między nami powiedziane, czyż nie?

- Raczej tak.

- A więc do widzenia, Karen. I niech Bóg ci błogosławi.

- Dziękuję. Życzę pastorowi tego samego. - Odprowadzając gościa do drzwi frontowych przez hol, czuła intuicyjnie napięcie podsłuchujących za zamkniętymi drzwiami kuchni. Matka i pani Anderson miały zwyczaj nastawiać głośno radio, kiedy tam pracowały, teraz natomiast odnosiło się wrażenie, jakby wszyscy w tym domu chodzili na palcach, nadstawiając uszu.

Wieczorem, leżąc już w łóżku, Karen musiała przyznać w duchu, że nawet w połowie nie jest taka pewna siebie, jak to starała się okazać podczas rozmowy z nieszczęsnym wikarym. Nigdy przedtem nie zetknęła się z tak bardzo skupionym na jej osobie zainteresowaniem innych ludzi, którzy zdawali się myśleć obecnie jedynie o tym, „co zrobić z tą Karen”.

Wprawdzie w ciągu dwóch ostatnich tygodni uświadamiała sobie kilkakrotnie z satysfakcją, że zyskała nad wszystkimi pewną władzę - nad matką i ojcem, lekarzem domowym oraz paroma krewnymi, którym rodzice zwierzili się z rodzinnego kłopotu - ale teraz, wierząc się niespokojnie w łóżku, zdawała sobie sprawę, że główne zalety tej sytuacji, a więc odmiana i urozmaicenie, przestały ją bawić. Po raz pierwszy w życiu Karen znalazła się w stanie otwartego konfliktu z rodzicami, a atmosferę w domu odczuwała jako napiętą i pogarszającą się z dnia na dzień. Nadal traktowano ją jako ukochaną córeczkę, co do tego nie miała wątpliwości, ale pełen zrozumienia liberalizm, który, jej zdaniem, cechował zawsze rodziców, okazał się nagle w jej oczach maską, kryjącą tak naprawdę zatwardziały konserwatyzm. Ani matka, ani ojciec nie podnieśli na nią głosu, na ciężę córki patrzyli jednak z iście wiktoriańskim zgorzeniem. A w miarę upływu tygodni, które nie przyniosły złagodzenia ich stanowiska, Karen odczuwała coraz większy niepokój.

Starala się spojrzeć na wszystko obiektywnie; może, myślała, gdybym słuchała rodziców, tak jak powinnam, nie musiałabym teraz kłopotać się ciężą? W sprawach swojego dziewictwa była nadzwyczaj beztroska; straciła je na początku lata w ubiegłym roku niemal pod wpływem impulsu. Po zabawie szkolnej dała się zaciągnąć Billy'emu deFresne na tylne

siedzenie jego samochodu i tam, w wyniku wymiany gorących pocałunków i pieszczot, sprawy wymknęły się trochę spod kontroli. Również dla Billy'ego był to pierwszy raz i wszystko trwało zaledwie parę minut. Potem, będąc z Johnem Flynnem, Karen nie zaprzętała sobie głowy problemem o ewentualnej ciąży. Gdyby nie tamta kolizja na oceanie, poszłaby nawet na całość również z bliźniakiem Johna... wtedy, na statku. Na samą myśl o tym wzdrygnęła się.

Spojrzała na podświetlaną tarczę budzika. Minęła już druga nad ranem, a wyobraźnia nadal podsuwała jej dręczące wizje. Co będzie, jeśli ona nie ustąpi wobec rodziców, a ci, tak jak to bywało w epoce wiktoriańskiej, wyrzucą ją z domu? Nie sądziła, aby do tego doszło, znała ich przecież dobrze, ale może jednak powinna rozważyć i taką ewentualność? Dokąd by wówczas poszła? Czy dałaby sobie radę? Przecież do tej pory była rozpieszczana, cały czas znajdowała się pod troskliwą opieką rodziców, wiedziała o tym doskonale. Otrzymywała niemal wszystko, czego zapragnęła, nie musiała o to nawet prosić. I właśnie dlatego przeżywała teraz tak dotkliwie ten nagły zwrot w ich wzajemnych stosunkach.

Przypomniała sobie słowa pastora. „Czy zastanowiłaś się już, co zrobisz, kiedy dziecko przyjdzie na świat?” I również własną odpowiedź: „Zapewne oddam je do adopcji...” Łatwo powiedzieć! Ale czy rzeczywiście powinna tak postąpić? Nigdy by się do tego przed nikim nie przyznała, lękała się jednak straszliwie, że jeśli odda dziecko do adopcji, może potem żałować tego kroku już do końca życia. Nie słyszała o nikim w Charlottetown, kto wychowywałby czyjeś nieślubne dziecko. Co by powiedziała znajomym? Czy ośmieliłaby się w ogóle przejść ulicą? Na samą myśl o spojrzeniach, jakie musiałaby znieść, zarumieniła się. Najwyraźniej, wbrew swemu dotychczasowemu przekonaniu, miała wpojona sporą dawkę konserwatywności rodziców. Większą, niż sądziła.

Mogła się zdecydować na zatrzymanie dziecka i opuszczenie Wyspy; mogła pojechać do Bostonu lub do Filadelfii - albo nawet do Toronto czy też Montrealu. Jak słyszała, w Montrealu aż się roi od cyganerii artystycznej. Tam nikt nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Niestety, po francusku mówiła słabo, a znajomość tego języka była w Montrealu pożądana.

A więc jedno z trzech pozostałych miast. Ale wyobraźnia podsunęła jej znowu przerażającą scenę. Oto leży w jakimś nędznym mieszkaniu bez ciepłej wody, w obskurnej dzielnicy, zabarykadowana w obawie przed kryminalistami i innymi szumowinami mieszkającymi w sąsiedztwie, jej godne pożałowania zapasy żywności ograniczają się do paczki słonych paluszków, które muszą wystarczyć na trzy dni, gdyż dopiero wtedy otrzyma od ojca kolejny czek, dziecko zaś - zbyt słabe już nawet, aby płakać - śpi w kącie pokoju, w

niewielkim kartonowym pudełku.

Jakiś dobroczyńca wyważyła wreszcie drzwi. Oczywiście wyobraźni Karen widziała nawet jego twarz: ów dobroczyńca nosi okulary i ma pulchny podbródek, zupełnie jak ten pastor, który przyszedł dziś, aby wydrzeć jej tajemnicę. I oto dobroczyńca nachyliła się, gwałtownym ruchem wyciąga dziecko z kartonowego pudła.

- To małeństwo jest chore na krzywicę! - krzyczy oburzony. W rezultacie zostają jej - wyrodnej matce! - odebrane na zawsze wszelkie prawa do dziecka...

Przypomniały jej się inne słowa pastora: „Cóż by ci to szkodziło?”

Przyznawała w duchu, że znalazła się w niezwykle skomplikowanej sytuacji, której nie zdołałoby już chyba pogorszyć nawet wyjawienie nazwiska Johna Flynnna.

A co z życiem Johna? No i cały ten wstyd, który spadłby na McGuiganów, ludzi niezwykle poczciwych, jak również na jego matkę, złożoną teraz ciężką chorobą. Karen czuła, że powinna zachować przynajmniej tyle uczciwości, aby wziąć odpowiedzialność za całe zamieszanie na siebie. Wtedy, na przyjęciu sylwestrowym, kiedy zatańczyła z Johnem, zorientowała się natychmiast, że w sprawach seksu jest o wiele bardziej doświadczona niż on. John oczywiście zareagował jak należy - na wspomnienie jego silnego podniecenia Karen uśmiechnęła się mimo swojego wzburzenia - ale było to u niego nieświadome. Wątpiła nawet, czy on w ogóle pamięta, że wśliznęła się do jego łóżka. W każdym razie, kiedy nieco podchmielona przywarła wtedy do niego całym ciałem, on miał już erekcję.

Któregoś dnia, pomyślała zirytowana, zemszczę się na Ezraha za to wzmacnianie drinków. Jednakże uczciwość kazała jej znowu przyznać w duchu, że nie może się tłumaczyć, obwiniając o wszystko alkohol. To była jej wina, sama tego chciała.

Dreńczyła ją jeszcze jedna troska. Wtedy, gdy się kochali, wszystko odbyło się w zupełnej ciszy - czasem, kiedy przypominała sobie tę chwilę, zastanawiała się, czy John na pewno się obudził - ale wymykając się potem z pokoju, odniosła nieodparte wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się nawet szybko, aby sprawdzić, czy to nie Derek, który leżał w drugim łóżku, ale jeśli w ogóle mogła cokolwiek dojrzeć w tych ciemnościach, brat Johna spał w najlepsze.

Od czasu gdy Derek powrócił na Wyspę, spotkała go tylko jeden raz. Razem z Mary - Lou poszła do Woolwortha, aby obejrzeć stoiska - było to dwa tygodnie temu, na dzień przed odkryciem, że jest w ciąży - kiedy niemal wpadły na niego i Dana McGuigana. Cała czwórka wymieniła zdawkowe uprzejmości, przy czym Derek zachowywał się szczególnie sztywno i oficjalnie. Uznała jednak, że ma ku temu powody; ostatecznie potraktowała go naprawdę paskudnie.

Pytanie najbardziej istotne brzmiało: czy Derek się zorientował, czy też nie?

Starając się myśleć logicznie, rozważała trzeźwo kwestię przyszłości, brała pod uwagę każdą możliwość. Jeśli zostanie w okolicach Charlottetown, kiedy jej ciąża stanie się już widoczna, zaistnieje duże prawdopodobieństwo, że ona natknie się wtedy znowu na Dereka, który zauważy, że jest ciężarna, a jeżeli rzeczywiście był świadkiem, jak kochała się z Johnem, może jej skomplikować dalsze życie.

Ale czy na pewno okazałby się tak nikczemny? A jeśli nawet, to co w końcu może zrobić? Próbowała spojrzeć na wszystko oczyma Dereka, człowieka odrzuconego, zranionego, zazdrosnego o brata. Czy Derek zdoła się oprzeć żądzy zemsty?

Roztrząsała dokładnie każdy z aspektów tej sprawy. Skoro jest niemal pewne, że John nie wie, iż się z nią kochał, mogłaby wszystkiemu zaprzeczyć, zarzucić Derekowi kłamstwo.

Może podać imię kogoś innego? Powiedzieć, że to Ezra? W ten sposób zemściłaby się na nim... Pomysł był kuszący, ale sama perspektywa pójścia z tym chłopakiem do łóżka przyprawiała ją o tak silny dreszcz odrazy, że nie potrafiłaby mówić o nim jako o ojcu dziecka w sposób dostatecznie przekonywający...

Ponownie zebrała myśli. Co będzie, jeśli Derek wyjawি wszystko, co wie, a John mu uwierzy? Wtedy z pewnością zechce postąpić jak człowiek honoru, czuła to instynktownie. Uzna dziecko za swoje i poprosi ją o rękę. Ale przecież ma chorą matkę, której nie może opuścić! Tak więc pozostałoby mu jedno wyjście: zamieszkać z żoną w Irlandii. Jej rodzice przystaliby ochno na takie rozwiązanie, gdyż dzięki temu pozbyliby się kłopotu, dziecko natomiast zyskałoby „normalną” rodzinę.

Jeszcze raz przeszedł ją dreszcz. Na statku Derek uraczył ją dość szczegółowymi informacjami na temat nędznych warunków życia w Drumbooli; nie miała bynajmniej zamiaru wegetować tak do końca swoich dni.

Wniosek nasuwał się sam: jej przyszłość spoczywa w rękach brata Johna, ona zaś musi stawić czoło temu wyzwaniu, pójść do Dereka i rozmówić się z nim. Jeśli okaże się, że on nie ma o niczym pojęcia, będzie mogła odetchnąć z ulgą. Gdyby jednak wiedział o wszystkim, czekało ją nie lada zadanie: zorientować się, jakie są jego zamiary i plany.

* * *

Derek i Karen znajdowali się sami na rozległym polu okrytym śniegiem. Przywiózł ją tu saniami, opatuloną w skórę bawołą, nie zważając na jej protesty. Pośrodku tej białej równiny zatrzymał sanie, ściągnął z dziewczyny pled, kazał jej wsiąść i stanąć na ziemi, tuż przed sobą. Znowu zaprotestowała, musiał więc użyć trochę siły i w rezultacie wylądowała

twarzą w nieskazitelnie białej, puszystej okrywie. Biała kurtka niemal zlewała się z tłem, tak że dolna połowa ciała, odziana w czerwone spodnie, kończyła się na wysokości talii. Pośladki, na których opinał się elastyczny materiał, prowokowały go; miał wrażenie, że patrzy na parę czerwonych dojrzałych pomidorów ułożonych na białej lodowej tafli. Pod materiałem nie odznaczała się nawet najcieńsza linia majtek; nic nie zakłócało idealnych kształtów tych gładkich wypukłości.

Jakiś czas napawał się tym upojnym widokiem, ale nie dotknął jej.

- Wstań, Karen! - polecił wreszcie.

Zawahała się, ale oczywiście czuła przed nim lęk, wiedział o tym. Po chwili uczyniła, co jej kazał: dźwignęła się na nogi i odwróciła twarzą ku niemu. Stała tak ze spuszczoną głową, jej usta drżały z lekka, on zaś wyciągnął rękę i zsunął jej kaptur. Włosy opadły dziewczynie na twarz, a wtedy ujął ją pod brodę i uniósł głowę wyżej.

- Wiesz, o co masz poprosić, prawda, Karen?

Nie patrząc na niego wyszeptwała, tak jak ją tego nauczył:

- Proszę, Derek, chciałabym rozpiąć kurtkę.

Powoli, bardzo powoli, rozsunęła ekler, stopniowo obnażając kremowe ciało.

Zgodnie z poleceniem, była pod kurtką naga.

- Grzeczna dziewczynka! - pochwalił ją Derek. – Cieszę się, Karen, że jesteś posłuszna. A teraz rozstaw nogi, tak jak cię uczyłem.

Bez jednego słowa sprzeciwu stanęła w lekkim rozkroku. Drżała gwałtownie na całym ciele, on zaś, tak jakby chciał Karen podeprzeć, pełną dłońią pochwycił ją między uda. Poprzez obcisły materiał spodni czuł żar jej ciała, a kiedy poruszył lekko ręką, materiał przesunął się rozkosznie po zwilgotniałym wzgórk.

- Zaraz się tym zajmę - obiecał i w nagrodę jej mięśnie niecierpliwie zacisnęły się na jego palcach.

Wolną ręką leniwie wyłuskiwał z kurtki jej piersi, jedną po drugiej, wreszcie uwolnił z niej także ramiona i pchnął dziewczynę na wznak w śnieg. Teraz piersi - jakby dwa bliźniacze wzgórki z bitej śmietany - widniały przed nim wyraźnie na tle białej powłoki, tak jak przedtem pośladki. Ostrożnie uniósł się i usiadł na Karen okrakiem, ocierając się krocem o jej krocze.

- Grzeczna dziewczynka - powtórzył. - Wypręż się trochę.

Nadal posłuszna, wygięła się nieco w górę, tak że poczuł pod pośladkami jej pachwinę. Przez chwilę zajmował się piersiami, drażnił je, tarmosząc delikatnie, następnie obłożył je dokładnie śniegiem, pozostawiając na wierzchu jedynie stwardniałe sutki; sterczały

nad białą okrywą niczym wiśnie.

Gwałtownym ruchem ściągnął z Karen spodnie, a kiedy nachylił się nad jej łonem, jęknęła głucho...

Ta osobliwa fantazja narodziła się owego wieczoru, kiedy Derek spotkał u Woolwortha Karen i jej okropną przyjaciółkę. Jednakże ku jego niezmiernej rozpaczy za każdym razem, gdy dochodziło w jego marzeniach do tego momentu, wyobraźnia podsuwała mu natychmiast inną scenę: ciemny pokój w domu Karen w noc sylwestrową, łóżko brata w drugim kącie sypialni, naprzeciw jego łóżka, a przede wszystkim miłośna szamotanina, która się tam odbyła.

Wielokrotnie powracał do początku owej fantazji, aby usunąć ją ze swej pamięci, ale bezskutecznie. Nie potrafił pozbyć się tamtej drugiej, szczególnie natrętnej sceny.

Po długich męczarniach zapadał wreszcie w zbawczy sen, przedtem jednak składał ślubowanie: dopóki żyje, nie pozwoli się już nigdy wyprowadzić w pole. Jeśli zwiąże się kiedykolwiek z inną dziewczyną, on będzie wiódł prym, nie ona.

W ciągu kilku najbliższych tygodni Derek oddawał się zawzięcie pracy. Nocne fantazje powracały uparcie, a on pracował wytrwale nad wymazaniem z pamięci twarzy Karen. Mimo to nie zdołał oszukać siebie samego: w chwili gdy spotkał ją w domu towarowym Woolwortha, poczuł gwałtowny przyływ żądz.

W krótkim czasie Dan McGuigan zaczął doceniać obecność Dereka na farmie, a któregoś wieczoru przy kolacji wyraził mu na głos uznanie, twierdząc, że sam nie wie, jak sobie dawał radę przedtem, zanim Derek przybył na Wyspę. Chwalił chłopca z olbrzymim zapalem i wzbudził w nim wreszcie sekretną nadzieję, że któregoś dnia cała ta posiadłość stanie się jego własnością. Dzieci McGuigana zdążyły już zapuścić korzenie w mieście, należało więc wątpić, czy zechciałyby kiedykolwiek zająć się ciężką pracą na farmie, a Derek był pewien, że Dan nie zgodzi się nigdy na sprzedaż gospodarstwa komuś obcemu.

Teraz, nachylając się nad świeżo założonymi grzędami buraków pastewnych, które miał opielic, upajał się poczuciem zdrowia i siły, ogarniającym całe ciało. Był to pierwszy w tym roku dzień przywodzący na myśl wiosnę, a wrażenie to potęgowało pogodne, błękitne niebo z delikatnymi, pierzastymi obłoczkami jak z obrazka. Derek zazwyczaj nie zwracał uwagi na widoki i odgłosy przyrody, ale dziś jedynie człowiek ślepy lub głuchy mógłby nie dostrzec tej zmiany, charakterystycznej dla okresu przejściowego między zimą i latem. W ciągu jednej nocy morski wiatr, który od miesięcy chłostał Wyspę swoimi ostrymi porywami, uspokoił się, a w promieniu paru mil wokół farmy pojawiły się nie wiadomo skąd najprzeróżniejsze ptaki, tak jakby umówiły się na spotkanie właśnie tu.

Dotyk słońca na plecach stanowił dla Dereka źródło zupełnie nowych doznań. Po raz pierwszy od sześciu lat, kiedy to usunięto mu jedno płuco, pozwolił sobie na zdjęcie koszuli poza domem, na wolnym powietrzu. Przez lata dręczyły go kompleksy z powodu opuszczonego ramienia i podłużnej blizny demaskującej jego ułomność; rozwiały się jednak, odkąd zadomowił się na Wyspie. Wystarczyło siedem miesięcy kuchni Peggy oraz regularnej pracy na ożywczym powietrzu, aby stan zdrowia Dereka, a w konsekwencji także jego wygląd, uległy zdecydowanej poprawie. Był obecnie w doskonałej formie, nie tylko fizycznej, lecz również psychicznej. Czasem zastanawiał się, co powiedziałyby teraz o nim doktor Markey.

Pod wieloma względami Derek czuł się ostatnio szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Jego dobre samopoczucie mąciły jedynie czasami wyrzuty sumienia, ponieważ opuścił matkę w potrzebie, a także wspomnienie zdrady ze strony Karen, która wśliznęła się do łóżka Johna. Upokorzenie, jakiego doznał na przyjęciu sylwestrowym, oraz jego następstwa, spalały go od wewnątrz bezlitośnie niczym ogień piekielny. Wątpił, aby mógł kiedykolwiek wybaczyć któremuś z tych dwojga. Od dłuższego czasu nurtowała go jedna myśl: w jaki sposób mógłby odplacić bratu pięknym za nadobne. Wysłał wprawdzie anonimowy list do jego zarozumiałej dziewczyny, ale nie dało mu to spodziewanej satysfakcji, gdyż nie mógł zobaczyć jej reakcji. Nie był nawet pewien, czy otrzymała ten anonim.

Drażniła go też świadomość, że nie jest w stanie zemścić się na Karen. Rozważał możliwość wysłania anonimu także do niej, zrezygnował jednak z tego pomysłu. Z pewnością odgadłaby natychmiast, kto jest autorem listu.

Eskortowany teraz przez psy z farmy oraz stado natrętnych mew, które podążały za nim, łudząc się nadzieją na łatwe pożywienie, Derek kroczył wzdłuż brzd czerwonawej ziemi, nachylał się nad nimi raz po raz i nucił coś pod nosem. Miał już zbyt długie włosy i co chwila odgarniał niesforną czuprynę, która opadała mu na oczy. Wreszcie, zirytowany, zdjął uwiązaną w pasie koszulę, sporządził z niej prowizoryczną przepaskę i założył ją na czoło. Część koszuli opadała na plecy, ale przynajmniej mógł teraz pracować w spokoju.

Ogarnął wzrokiem resztę grędy, którą właśnie pielili; do jej końca pozostało mu jeszcze jakieś piętnaście minut. Potem zrobię sobie przerwę i odpocznę trochę, postanowił. Korzystając z samotności, jako że nadal towarzyszyły mu jedynie psy i ptaki, śpiewał głośniej.

Był do tego stopnia zaprzątnięty pracą, że nie usłyszał warkotu samochodu, który nadjeżdżał od strony doliny. Pomykające za chłopakiem psy zaszczekały, on jednak, prze-

konany, że to z powodu zbyt natrętnych mew, nie odwrócił się nawet, lecz krzyknął na nie przez ramię, aby się uciszyły.

* * *

Karen wybierała sobie dziś ubranie nadzwyczaj starannie. Przebierała się kilkakrotnie, zanim wreszcie się zdecydowała na jasnożółtą wełnianą sukienkę. Uszyta z podłużnych klinów od góry do dołu, suknia zdawała się kołysać przy każdym kroku i raczej ślizgała się po ciele, niż do niego przylegała. Karen przez chwilę obracała się w niej na wszystkie strony, aby sprawdzić w lustrze efekt, po czym uśmiechnęła się zadowolona; jej odbicie przekazywało dokładnie te sygnały, na których jej najbardziej zależało; prezentowało osobę poważną i zarazem skromną, taką przynajmniej miała nadzieję. Delikatny odcień żółci podkreślał blond włosy i jasną cerę, Karen wyglądała w tej sukni świeżo, a nawet niewinnie. Z pewnością nie sprawiam wrażenia kobiety grzesznej, pomyślała i uśmiechnęła się. Jej odbicie o mlecznokremowej karnacji odwzajemniło uśmiech.

Zaczęła przygotowywać w myślach rozmaite wersje tego, co zamierzała powiedzieć Derekowi, w końcu jednak postanowiła rozegrać wszystko na zasadzie improwizacji, kierując się jego reakcją na jej widok.

Niebawem znalazła się w Kelly's Cross, skupisku zabudowań i farm rozrzuconych bezładnie wokół skrzyżowania dróg i kościoła katolickiego. Posiadłość McGuigana znajdowała się pół mili dalej; Karen ujrzała ją parę minut później, wtuloną w rząd niskich pagórków.

Na dziedzińcu przed drzwiami frontowymi stał samochód, wydawało się jednak, że w domu nie ma nikogo.

- Halo! - zawołała Karen. - Czy jest tu ktoś? - Odpowiedzią było szczekanie psa, dobiegające skądś z lewej strony.

Kiedy szła w kierunku parkanu, wydało jej się, że widzi przed sobą ruchliwą białą smugę, a w oddali jakiegoś człowieka zgiętego wpół, w czymś w rodzaju turbanu na głowie. Ową smugą okazały się dwa psy; podbiegły do niej, merdając ogonami, a potem nie odstępowały jej nawet na krok. Karen szła dalej, stąpając ostrożnie po nieco grząskiej gliniastej ziemi. Żałowała już, że włożyła żółte pantofelki. Tylko że żadne inne nie pasowały tak idealnie do sukienki jak właśnie te.

Jeden z psów wysforował się do przodu i tuż przy nachylonym mężczyźnie przypadł plackiem do ziemi, po czym zaczął ziajać radośnie, spoglądając raz po raz ku niej, jakby zapowiadał jej przybycie. Mężczyzna wyprostował się, osłonił oczy dłonią przed słońcem i skierował wzrok w jej stronę.

Dopiero teraz poznała go: to był Derek. Ale nie ten Derek, którego pamiętała. Stał teraz przed nią na stoku wzgórza, nagi do pasa, dobrze umięśniony, w starych spodniach ze skórzanym paskiem i w dziwnym białym nakryciu głowy, wyższy od niej, imponujący, niczym wspinały bohater z „Sindbada Żeglarza”.

- Witaj, Derek! - zawołała. Opuścił rękę, ale ponieważ słońce nadal świeciło mu w oczy, nie była pewna, czy ją poznał. - To ja, Karen - dodała.

- Karen... - powtórzył powoli.

Była jeszcze za daleko, aby móc stwierdzić, czy jest zadowolony z jej wizyty, czy też nie. Kiedy tak stał, górując nad nią, żałowała, że to nie ona jest na zboczu, lecz on.

- Właśnie, to ja - odparła i postąpiła krok do przodu. - Jesteś zaskoczony, że mnie widzisz?

Ściągnął z głowy swój dziwny turban - dopiero teraz zauważyła, że to skręcona koszula - i chwycił za obrożę leżącego u jego stóp psa, chociaż ten nie zdradzał najmniejszej chęci, aby odejść.

- Co cię tu sprowadza, tak daleko od domu, Karen? Mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Czy to złudzenie, czy rzeczywiście wymówił ostatnie słowa z osobliwym naciskiem?

- Gdzie moglibyśmy porozmawiać? - zapytała.

- A to miejsce ci nie odpowiada?

- Prawdę mówiąc, czułabym się trochę dziwnie, prowadząc rozmowę tu, na otwartej przestrzeni.

- Po prostu nie chcesz, aby widziano, że rozmawiasz ze mną. O to chodzi, może nie?

Patrzył na nią twardym, nieustępliwym wzrokiem, w którym ku własnemu przerażeniu odczytała zuchwałą żądzę. Co gorsza, czuła już, że zaczyna na to reagować jej zdradzieckie ciało. Spojrzenie Dereka powędrowało niżej, ona zaś z trudem zwalczyła impuls, który kazał jej skrzyżować ręce na piersiach i w ten sposób odgrodzić się od niego. Jej sutki stwardniały, ale zabrakło dziewczynie odwagi, żeby rzucić na nie okiem i sprawdzić, czy nie odznaczają się za bardzo przez materiał sukni. Rozmyślała usilnie, starając się znaleźć jakiś pretekst do wszczęcia rozmowy, w chwili jednak kiedy uznała, że nie zniesie dłużej tego świdrującego spojrzenia, Derek odwrócił się od niej powoli.

- Pozwól, że skończę najpierw tę grzędę. - Tak jakby był tu sam, schylił się ponownie i zajął pieleniem.

Obserwując go, Karen zdawała sobie sprawę, że Derek umyślnie pracuje teraz wolniej niż poprzednio, starała się jednak zwalczyć w sobie uczucie urazy. Ale tym, co mobilizowało ją jeszcze usilniej do odzyskania kontroli nad sobą, było wrzenie jej krwi. Już wcześniej,

kiedy się w nią wpatrywał, zwróciła uwagę na jego ramiona i klatkę piersiową, znacznie lepiej rozwinięte niż wtedy, gdy widziała go ostatnim razem, oraz na mięśnie grzbietu, drgające pod napiętą skórą. Teraz nie mogła oderwać wzroku od jego pośladków, które poruszały się miarowo, kiedy oddalał się od niej. Opamiętaj się, szepnęła do siebie ostrzegawczo.

Zachowanie Dereka stanowiło dla niej duże zaskoczenie. Wielokrotnie przedtem wyobrażała sobie tę scenę, ale on prezentował się w owych fantazjach zupełnie inaczej. Po tym, jak go potraktowała, sądziła, że będzie zakłopotany, zimny, urażony, zagniewany, może nawet rozwścieczony. Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tej obojętnej pozy i pewności siebie.

To ona czuła się teraz zakłopotana. Ale dlaczego? Czyżby tkwiła w niej jakaś złowróźbna skaza charakteru, mogąca przyczynić się do jej zguby, tak jak się to działo w wypadku bohaterów greckich, których zdołała poznać dzięki książkom o starożytności? Tak, z pewnością mam taką fatalną skazę charakteru, pomyślała, odpowiadając samej sobie na pytanie. Ta skaza to wybujały temperament!

Był to dla niej kolejny szok. Do tej pory sądziła, że ciąża wyleczy ją z myśli o seksie. A więc myliłam się, powtarzała sobie w duchu, usiłując bezskutecznie oderwać wzrok od Dereka.

On tymczasem, nie śpiesząc się, doszedł do końca grzędy i dopiero wtedy odwrócił się do niej.

- No, dobrze - powiedział. - A więc chodźmy. - Nie czekając na odpowiedź, nie patrząc nawet, czy dziewczyna idzie za nim, ruszył szybkim krokiem w stronę domu, ona zaś, nie chcąc zostać w tyle, pobiegła za nim w swoich lekkich, niewygodnych pantofelkach. Nogi ślizgały się na świeżo odgarniętej ziemi, a ona uświadomiła sobie zdumiona, że choć powinna być na niego wściekła, nic takiego nie odczuwa. Dlaczego? Co się z nią dzieje?

* * *

Ktokolwiek ukuł powiedzenie, że zemsta jest słodka, miał całkowitą rację, myślał Derek, krocząc przed Karen. Przepelniało go uczucie radości. Nie wątpił, iż dziewczyna odwiedziła go, aby wypytać o Johna. Ale spotka ją rozczarowanie. Ta podróż okaże się dla niej nieopłacalna, nie zrekompensuje jej trudów to, co on ma do powiedzenia o swoim bracie. Teraz ona będzie tańczyła, tak jak on zagra. Będzie się wiła niczym piskorz, bawiąc go coraz bardziej swoim zakłopotaniem.

Był z siebie ogromnie zadowolony. Uważał, że rozegrał tę sytuację doskonale; robił

swoje, każąc dziewczynie czekać, i jednocześnie obmyślał kolejny krok. I chociaż ona uważa siebie za niezwykle sprytną, nie zdołała ukryć fali pożądania, widocznej w jej wzroku. Jeszcze nie wiedział, w jaki sposób, ale był przekonany, że zdoła kiedyś wykorzystać ten fakt. Nie mając sam nic do stracenia, czuł się absolutnie pewny siebie. Poradzę sobie doskonale z panną Karen Lindstrom, powtarzał w duchu, poradzę sobie z nią tak, że będzie mi jadła z ręki.

- Dokąd idziemy? - dobiegł go z tyłu jej głos.

- Do szopy - odparł. - A może uważasz, że szopa to nieodpowiednie miejsce dla ciebie? Nie bój się, nie trzymamy tam teraz żadnych kaczek. - Odwrócił się do niej i z satysfakcją dostrzegł wypieki na policzkach. Włosy opadły dziewczynie na twarz i w żółtej sukience, opiętej ciasno na bujnych piersiach, przywodziła na myśl rozkwitły jaskier, gotowy do zerwania. Omal nie sięgnął ręką, aby ściągnąć z niej tę sukienkę, tak jak czynił to już wielokrotnie - raz w rzeczywistości, ubiegłej jesieni, a potem często w swoich fantazjach. Zdołał jednak odzyskać panowanie nad sobą. - Jestem pewien, że nie chciałabyś, aby Dan i Peggy przysłuchiwali się naszej rozmowie - dodał zimnym i oficjalnym tonem, na jaki było go obecnie stać.

Otworzył wrota szopy i przestąpił przez wysoki próg, nie zadając sobie nawet trudu, aby zaczekać na Karen. Zimne i mroczne wnętrze wydawało się teraz, kiedy zapasy żywności były po długiej zimie znacznie przeredzone, bardziej przestronne, niż dawniej. Derek nie zapalił światła, chciał bowiem utrudnić dziewczynie sytuację tak dalece, jak tylko się da. Krocząc po wycementowanej podłodze i budząc echo, podszedł do ściany, pod którą leżała reszta siana, usiadł i włożył koszulę. Czekał.

Cieszyła go świadomość, że Karen jest zbита z tropu i stoi teraz przed nim najwyraźniej zakłopotana. Jej jasne włosy i żółta sukienka połyskiwały w ciemnościach niczym skrzydła motyla. Podeszła bliżej i usiadła obok.

- Jestem... jestem tu, bo chciałam się z tobą zobaczyć i... - Urwała, szukając odpowiednich słów, on zaś milczał. Nie zamierzał jej niczego ułatwiać. - Jak się czuje twoja matka? - zapytała nagle.

- Trochę lepiej - odparł. - Ostatnio nie miałem o niej żadnych wieści, a to już dobry znak. Widziałem ją w szpitalu na krótko przed wyjazdem i z tego, co wtedy usłyszałem, wynikało, że wróci do domu na Wielkanoc. Matka będzie już zawsze inwalidką - dodał szorstko, jakby czerpiąc przewrotne zadowolenie z własnego bólu. Umilkł ponownie. Karen Lindstrom nie odwiedziła go przecież po to, aby rozmawiać o jego matce.

- A co u ciebie? - zapytała, spoglądając na niego z ukosa.

Jej następne pytanie będzie dotyczyło Johna, mógłby się o to założyć.

- Wszystko w porządku - odparł. - Jestem bardzo zapracowany, jak widzisz.

Jej kolejne słowa zaskoczyły go całkowicie.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała, podobna teraz znowu do tamtej Karen, którą pamiętał ze statku. - Urosłeś o parę centymetrów od...

- Od Bożego Narodzenia, czy tak? - przerwał jej. - A może raczej: od sylwestra? Czy to właśnie miałas na myśli?

- Chyba tak. Posłuchaj, Derek... - zawołała impulsywnie. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, naprawdę bardzo mi przykro.

- Dlaczego ci przykro? - zapytał ostrożnie. Jego dotychczasowa pewność siebie uległa częściowemu zachwianiu.

- Derek, nie każ mi poniżać się w ten sposób!

- Chciałbym po prostu usłyszeć, o czym zamierzasz ze mną mówić. Nie zapraszałem cię tu. - Nie, nie pozwoli jej wykręcić się z tego tak łatwo. - Najpierw powiesz mi, dlaczego ci przykro, dopiero potem zobaczymy, czy nadajemy na tej samej fali. No, wykrztuś to wreszcie, Karen.

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której oboje wpatrywali się w siebie. W kącie szopy coś zaskrzypiało, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zły na siebie samego uświadomił sobie, że chciwie wchłania zapach jej skóry, czuł, że jego ciało zaczyna reagować na obecność dziewczyny. Postanowił wziąć się w garść.

- Dobrze więc... - mruknął, udając, że chce wstać. - Jeśli to już wszystko...

- Przykro mi, ponieważ wtedy, na przyjęciu, byłam wobec ciebie okrutna - szepnęła, a on odniósł wrażenie, że wpada w tknię przez nią sieć. Musi się temu przeciwstawić. Wszelkimi siłami.

- Tylko dlatego? - Chciał powiedzieć to z sarkazmem, ale jego pytanie zabrzmiało raczej jak żalosna skarga dziecka.

- I jeszcze... wiesz... kiedy byliśmy ostatnim razem w szopie... i w ogóle...

- Ach, to! - zawołał. - Nie ma o czym mówić! - Jej bliskość, po tylu miesiącach frustracji, doprowadzała go do szału. Odetchnął głęboko i uczynił ostatnią próbę odzyskania przewagi. - A co do twojego okrucieństwa na przyjęciu... Na czym ono polegało?

- No wiesz... chodzi o Johna i całą resztę...

Całą resztę, pomyślał. Ta reszta to pójdzie z Johnem do łóżka!

- Przecież miałas prawo tańczyć, z kim tylko chcesz, w końcu to było twoje przyjęcie - szepnął tak samo cicho jak ona.

Znowu nastąpiło pełne napięcia milczenie. Derek obserwował twarz dziewczyny,

zdradzającą jej wewnętrzne zmagania, i rozmyślał intensywnie. Niewątpliwie Karen odwiedziła go, aby wy badać sytuację. Nie była pewna, ale podejrzewała, że widział jej łóżkowe igraszki z Johnem, zastanawiała się więc, ile on wie. I tylko dlatego złożyła mu wizytę.

Ale dlaczego to ma dla niej tak duże znaczenie? Dotychczas dbała o konkurentów' tyle, ile o zeszłoroczny śnieg. Dlaczego miałyby nagle zacząć się przejmować tym, co on myśli? Znowu usłyszał w kącie szopy ciche skrobanie i aby uwolnić się spod wpływu, jaki Karen zaczęła już na niego wywierać, odwrócił się, udając, że chce zbadać źródło dziwnego odgłosu. A może jej jednak na mnie zależy?

Spojrzał ponownie na dziewczynę; właśnie przesuwiała dłonią po brzuchu, jakby chciała wygładzić suknię. Niezależnie od tego, czy uczyniła to bezwiednie, czy umyślnie, jej gest odniósł określony skutek; mimo woli Derek zaczął sobie wyobrażać jej ciało pod sukienką.

Coraz więcej samozaparcia kosztowało go siedzenie na wiązce siana i czekanie na kolejne posunięcie Karen.

* * *

Karen czuła, jak mocno pulsuje jej krew. W duchu triumfowała: zdawała sobie sprawę ze zmiany, jaka zaszła między nimi. Znajdowała się teraz na pewniejszym gruncie niż parę chwil wcześniej.

Cały czas nurtowało ją jedno pytanie: czy Derek widział ją wtedy w łóżku z Johnem? Nadal nie była tego pewna, nie chciała, aby przykre milczenie trwało nadal, nie miała również zamiaru odgadywać wyrazu twarzy Dereka i doszukiwać się w niej sygnałów, których może w ogóle tam nie było. Zdając się na instynkt wstała i przesiadła się bliżej niego.

- Czy przyjmiesz moje przeprosiny? - zapytała. - Czy możemy być znowu przyjaciółmi? - Siedziała teraz tak blisko, że czuła czystą woń męskiego potu.

- Nigdy nie mówiłem, że przestaliśmy być przyjaciółmi - odparł gardłowym głosem. Był tak samo podniecony, jak i ona, nie wątpiła w to ani przez chwilę. Na jeden drobny ułamek sekundy spuściła wzrok na jego krocze. No proszę, nie myliła się!

- To dobrze, Derek. Cieszę się... naprawdę bardzo się cieszę. - Uświadomiła sobie, że nie powinna była kierować tam spojrzenia. Wtedy, na statku, nie przekroczyli pewnej granicy, pamiętała jednak, jaki jest duży i silny. Jej dłoń niczym samoistna istota powędrowała wyżej, spoczęła na jego nagim ramieniu, i Karen poczuła nagle, że jej ciało przeszywa iskra. Tak jakby poraził ją prąd. Nie powinnam na to pozwolić, pomyślała. Nie wolno! A jednak tkwiła

tu nadal, jakby przyciągana potężnym magnesem.

Nie potrafiła rozeznaczyć wyrazu twarzy Dereka, nie widać, czy chłopak zamierza ją pocałować, czy też uderzyć. Była za to pewna, że istniejące między nimi napięcie musi znaleźć w końcu ujście, tak jak lawa wydostająca się z krateru wulkanu.

Parę upojnych sekund wpatrywali się w siebie. Karen czuła pod dłonią jego muskularne ramię, pojedyncze, jakby nastroszone włoski.

- Derek? - szepnęła.

I w tym właśnie momencie nastąpiła erupcja wulkanu. Tak jak wtedy, w październiku, Derek pchnął ją gwałtownie na wznak, ale tym razem Karen otworzyła ramiona, objęła go i pociągnęła na siebie, pragnąc, aby przygniótł ją całym ciężarem swego ciała. Przywarła do niego tak ciasno, jak tylko mogła, a kiedy poczuła twarde, natarczywe wybrzuszenie, wyprężyła się, jakby chciała wchłonąć go w siebie. Siano łaskotało ją w kark, jego woń mieszała się z zapachem męskiego ciała i potu.

Pochwyliła go za włosy, kiedy wtargnął dłonią za dekolt i wydobyl na wierzch jedną pierś. Nie przejmowała się tym, czy rozerwie jej przy tym sukienkę lub stanik. Wygięła się w łuk, a on przyssał się do piersi niczym spragniony pokarmu noworodek.

Zacisnął zęby na sutku i chociaż Karen krzyknęła z bólu i zaskoczenia, on nie ustawał. Wydostał spod sukni drugą pierś, którą potraktował tak samo jak pierwszą, cały czas napierając biodrami i członkiem, jej zaś przemknęło przez głowę, że za chwilę umrze z rozkoszy.

Kiedy unióśł się lekko i szarpnął za skraj sukni, opuściła płasko nogi, tak aby mógł podwinąć materiał do pasa. Pomogła mu też, gdy zaczął ściągać jej majtki. Jego spodnie miały rozporek zapinany na guziki, które zaatakowała teraz gorączkowo, walcząc z nimi, dopóki nie uwolniła w końcu członka, grubego i gorącego w jej dłoni. Derek jednak odepchnął rękę Karen i wykonał pchnięcie na oślep, raz i drugi, a kiedy za trzecim razem wszedł w głąb, łatwo jak nurkująca foka, targnęła dziewczyną błoga fala uniesienia, pierwsza w jej życiu, lecz tak intensywna, że przeniknęła do każdej cząstki jej ciała, nawet do koniuszków palców u rąk i nóg. Krzyknęła zaskoczona, a ponieważ to rozkoszne wrażenie nie miało, poczęła kwilić i jęczeć, nie poznając własnego głosu. Derek, zagłębiając się w nią raz po raz z niezwykłą furją, eksplodował wreszcie, wydając przy tym głośny okrzyk, który był jednocześnie śmiechem i wyrazem radości, budził lęk i zachwycał. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej i trwali tak, dopóki fale, które nimi wstrząsały, nie odpłynęły. Leżeli potem wyczerpani, zdyszani, nieświadomi nawet, że wszystko odbyło się w ciągu niespełna dwóch minut.

Dopiero po chwili zorientowała się, że Derek płacze.

Przesunęła dłonią po jego gęstej kędzierzawej czuprynie, czuła jednak, że nie musi nic mówić ani go pocieszać. Wiele razy wyobrażała sobie scenę spotkania z Derekiem, to jednak, co się wydarzyło, przekroczyło jej najśmielsze fantazje.

Wrota szopy nie domykały się szczelnie. Promienie słońca przenikały przez szczeliny i oświetlały belkę podpierającą dach tam właśnie, gdzie oboje leżeli. W świetlistej smudze kłębiły się tysiące mikroskopijnych pyłków, które z pewnością oni wzbili w powietrze podczas swoich miłosnych igraszek na sianie, Karen patrząc na nie, miała wrażenie, jakby była jednym z nich, wolnym, unoszącym się swobodnie i zdążającym w nieokreślonym kierunku pyłkiem. Ogarnął ją błogi spokój, czuła się tak, jakby wszelkie problemy skurczyły się nagle do rozmiarów owych drobniutkich cząsteczek kurzu.

* * *

Derek, zmęczony, lecz cudownie odprężony i szczęśliwy, czuł się lekki i pewny siebie; seks z prawdziwą kobietą okazał się o wiele, wiele lepszy, niż to sobie wyobrażał. Słońce musiało już wznieść się wyżej na niebie, gdyż promień, który wpadał przez szczelinę nad drzwiami, zsunął się z belki na ich ciała. Dopiero teraz Derek dostrzegł sieć delikatnych włosków wokół obwódok sutków, włosków tak delikatnych jak cieniutkie złote niteczki.

- Karen? - wyszeptał. - Karen?

- Mhm?

- Czy dla ciebie było to takie samo zaskoczenie jak dla mnie?

- Jasne. - Otworzyła zamglone oczy i spojrzała na niego z uśmiechem. - Z pewnością tego nie zaplanowałam.

- A jaki był twój plan?

- Nie pogniewasz się na mnie, jeśli ci powiem?

- Nie, przyrzekam.

- No więc, jeśli mam być szczerą, chciałam cię wybadać, czy zauważyłeś wtedy, że weszłam do łóżka Johna.

Widział jej czujny wzrok, ale nie miał teraz ochoty na obmyślanie podstępu, który mógłby mu przynieść korzyść lub pomóc zemścić się na niej.

- Owszem, zauważyłem - odparł krótko.

- Ja... bardzo tego żałuję, Derek. Byłam pijana.

- Ale nie przyszłaś chyba po to? To znaczy... nie przyszłaś powiedzieć, że żałujesz?

- Nie, nie po to - przyznała. - Sama nie wiem, dlaczego chciałam cię wybadać. Może

bałam się, że będziesz mnie szantażował?

- Co takiego? - Roześmiał się niepewnie i raptem wyczuł w niej niezwykle napięcie. Coś w jej oczach sprawiło, że ogarnął go niepokój. - O co chodzi, Karen?

- Jestem w ciąży.

Wiadomość wstrząsnęła nim do tego stopnia, że mimo woli odskoczył gwałtownie jak oparzony. - Co?

- Jestem w ciąży - powtórzyła spokojnie. - To dziecko Johna.

Błogi nastrój Dereka ulotnił się w jednej chwili, ustępując miejsca uczuciu zimna i goryczy. A więc znowu wystrychnęła go na dudka! A może planowała to od dawna, chciała go usidlić przy pomocy tego dziecka? Natychmiast po tej myśli napłynęła kolejna, jeszcze gorsza od tamtej. Jak mogła dopuścić go do siebie, skoro nosi już pod sercem dziecko innego? Poczul nagle, że narasta w nim głęboki niesmak.

- Ty... ty dziwko! - wykrzyknął. Zerwał się na równe nogi, gmerając gorączkowo przy guzikach rozporka. Karen leżała bez ruchu, jakby zubożetniała na jego reakcję. - Okryj się przynajmniej! - zawołał. - Ty dziwko! Pieprzona dziwko! Jak śmiałaś mi to zrobić! - Wielkimi krokami począł przemierzać szopę wzdłuż i wszerz, tam i z powrotem, a furia wzbierała w nim niepowstrzymaną falą. Natknął się na pustą bańkę na mleko i kopnął ją; upadła z brzękiem i potoczyła się po kamiennej podłodze. - Pewnie jesteś teraz z siebie zadowolona, co? Uważasz, że wycięłaś mi niezły numer? Przyszłaś tu i zrobiłaś ze mnie dumnia? - Stanął przed nią, nachylił się tak nisko, że zaskoczona wzdrygnęła się, odchylając głowę w tył. - Ale tak wcale nie jest! - Krzyczał rozjuszony, gromadząca się w kącikach jego ust ślina pryskała jej na twarz. - Masz mnie za dupka, oferme, głupiego wieśniaka, z którym można zrobić wszystko? A ja ci pokażę, że tak nie jest! Pokażę tobie... tobie i... i... - Nic nie szło po jego myśli, całe życie układało się nie tak, jakby tego pragnął. Kochał Karen, wiedział, że ją kocha. A ona... najpierw dała mu przedsmak tego, co mogłoby być ich udziałem... a potem... a teraz...

Gniew, rozczarowanie i żal weszły w nim ponownie i raptem Derek zalał się łzami. Nie przejmował się tym, że płacze na jej oczach. Odwrócił się twarzą do jednej z belek, oparł się o nią i zaszlochał jak małe dziecko.

Karen poprawiła sobie suknię, zakrywając piersi, wygładziła ją i przeniosła na Dereka wyczekujący wzrok. Nie czuła teraz żadnych emocji i znowu przyszło jej do głowy, że coś z jej osobowością jest nie tak, jak należy. W jej życiu zdarzało się to nie po raz pierwszy; nigdy nie potrafiła się zachować stosownie do sytuacji, śmiała się na przykład na pogrzebach, a kiedy film kończył się szczęśliwie, płakała. A teraz, im żałośniej szlochał Derek, tym większy

ogarniał ją spokój.

Wreszcie wstała.

- Derek?

- Odwal się... dziwko! - zawołał, podkreślając okrzyk gwałtownym machnięciem ręki.

W jego głosie brzmiała raczej żałość niż nienawiść. Karen podeszła bliżej, dotknęła dłonią jego biodra.

- Powiedziałem: odwal się! - wykrzyknął powtórnie, ale gest, jaki wykonał ręką, był tym razem o wiele łagodniejszy niż poprzednio. Karen postanowiła nie cofać dłoni.

- Najpierw porozmawiamy - powiedziała zdecydowanym tonem, jakim według niej matka przemawia do syna.

- Nie mamy o czym rozmawiać... dziwko! - Odepchnął ją, odszedł dalej i usiadł na poprzednim miejscu, z dłońmi zwieszonymi beładnie między kolanami. - Dlaczego to zrobiłaś, Karen? Dlaczego nie zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

- Powiedziałam ci już wcześniej: nie myślałam, że to się nam przydarzy.

- I chcesz, żebym ci uwierzył? Teraz, po tym wszystkim?

- Nie mogę cię zmusić, abys mi wierzył, Derek. Ale jeśli się nad tym dobrze zastanowisz, sam dojdiesz do przekonania, że potrzebuję teraz kolejnych komplikacji i problemów jak dziury w głowie. Co mogłabym zyskać, kochając się z tobą?

Zacisnął pięści.

- Co mogłabyś zyskać? Na przykład ojca dla bękarta Johna Flynna.

Instynkt podpowiedział jej, aby nie naciskać, lecz raczej odczekać trochę. Po chwili milczenia powiedziała cicho:

- Nie potrzebuję ojca dla mego dziecka. Oddam je do adopcji.

Znowu nastąpiło milczenie, które tym razem przerwał Derek. Zdławionym głosem zapytał:

- Czy John wie?

- Nie. I chciałabym, aby tak pozostało.

- A więc po kiego diabła powiedziałaś o tym mnie?! - krzyknął znowu.

- Bo i tak dowiedziałabyś się niebawem. - Podeszła bliżej i usiadła obok niego.

Trwali tak parę sekund w milczeniu, patrząc przed siebie. Dopiero teraz Karen dostrzegła na podłodze swoje majtki. Podniosła je i włożyła, a Derek, przyglądając się jej, zapytał matowym głosem:

- Cóż ci mogę powiedzieć?

- Powiedz, co czujesz - odparła bez namysłu.

Przeniósł wzrok na drzwi szopy.

- Czuję się jak ostatni dureń - mruknął. - Czuję, że ty i John będziecie się ze mnie śmiali przez całe życie. Szkoda, że powiedziałaś mi o wszystkim, bo wolałbym o niczym nie wiedzieć. Chciałbym czuć się szczęśliwy, przynajmniej jeden dzień. Chciałbym, abyśmy mogli się kochać częściej. Wydaje mi się, że pragnę w życiu tylko ciebie. Kocham cię. - Ostatnie słowa wypowiedział tak cicho, że musiała nadstawić ucha, aby je usłyszeć.

- Cieszę się, że nie jesteś już na mnie wściekły - powiedziała. - Jeśli mnie chcesz, będziemy się kochać znowu... oczywiście nie teraz - dodała spieszenie, aby Derek nie nabrał błędnego przekonania. - Według mnie, jesteś wspaniałym kochankiem. I musisz wiedzieć, że po raz pierwszy w życiu miałam orgazm. - Wpatrywała się w jego mokrą od łez twarz, na której przez ułamek sekundy odmalowała się jakaś wewnętrzna walka.

- Naprawdę uważasz, że jestem w tym dobry? - zapytał nieśmiało. - Prawie wszystkiego nauczyłem się od ciebie wtedy na statku.

- Powiedziałam już, że dziś jestem szczerą i prawdomówną - odparła. - Wykorzystaj to, bo może już nigdy taka nie będę. - Uświadomiła sobie, że pochwaliła go rzeczywiście nie po to, aby się przymilić; zaznana przed chwilą rozkosz zbyt mocno utkwiała w jej pamięci, aby mogła go teraz okłamywać.

* * *

Weszło już w zwyczaj, że Mona McConnell pozostawała w stróżówce, dopóki John nie wrócił z hotelu. Ponieważ jednak Mary wymagała stałej opieki również w nocy, co wieczór zjawiał się Ned Sherling i siedział przy łóżku chorej mniej więcej od ósmej do dwunastej, aby zapewnić Johnowi przynajmniej parę godzin snu. Mimo to John czuł się coraz bardziej przemęczony; na każdym kroku oczekiwały go obowiązki, a całe jego życie skurczyło się do rozmiarów niewielkiego tunelu: jeden jego koniec stanowiła stróżówka z chorą matką, drugi - hotel. I chociaż Mona gotowała smacznie, John często nie znajdował wieczorami sił, aby cokolwiek przełknąć.

Cieszyło go, że przynajmniej zdobył niezły środek transportu: George Cranshaw zapłacił połowę za używany, lecz dobry rower, a ciężki rudge wrócił wreszcie z wyrazami podziękowania do swojego właściciela.

Pedałując zawzięcie tego majowego poranka do pracy John - zazwyczaj wrażliwy na zmiany pór roku - niemal nie zauważył, że zawitało już lato; że tuziny owiec wyległy na zielone łąki, bodąc się wzajemnie; że w powietrzu uwijają się skrzętnie najprzeróżniejsze ptaki, które taszczą gałązki i źdźbła starego siana na gniazda; że żywopłoty pobielały już od

kwitnącego głogu. Dopiero po chwili usłyszał krzyk dzikiej gęsi znad jakiegoś niewidocznego stawu czy jeziora, gdzieś dalej wśród wzgórz, i natychmiast poczuł przemożne pragnienie, aby zsiąść z roweru i wybrać się z wędką nad Łabędzie Jezioro albo po prostu na zwykłą przechadzkę.

Zacisnął zęby i mocniej nacisnął pedały. Hotel „Willow House” miał komplet gości, zapowiadał się więc pracowity dzień.

Tej nocy Ned Sherling po raz pierwszy został w stróżówce do rana. Widniało już, kiedy John otworzył oczy i ujrzał Neda siedzącego przy kuchennym stole nad otwartą książką.

- Ned! - zawołał. - Przesiedziałeś tu całą noc? – Zerknął na budzik; było dwadzieścia po szóstej. - Mój Boże, Ned, dlaczegoś mnie nie obudził?!

Ned wstał, przeciągnął się.

- Jeśli zechcę, mogę spać cały dzień - odparł. - A ty musisz iść do pracy. - Widząc zakłopotaną minę Johna i uprzedzając jego podziękowania, dodał: - Wiesz, John, myślę, że życie to zamknięty krąg. Ty wyświadczasz przysługę mnie, ja komuś innemu... i tak dalej, i tak dalej. Wszystko obraca się w kółko. Zresztą... - umilkł, a potem szepnął cicho: - Jak ci już kiedyś mówiłem... dla mnie to przyjemność móc coś zrobić dla Mary McCarthy. - Tak właśnie brzmiało nazwisko panięskie matki Johna.

Jadąc teraz do pracy, John nie rozmyślał jednak o Nedzie, lecz o rozmowie, jaką przeprowadził z Moną. Kiedy przyszła dziś rano, dostrzegł natychmiast, że coś jej leży na sercu.

- Czy wszystko w porządku, Mono? - zapytał, gdy zdjęła płaszcz; niezależnie od pory roku nosiła stale ten sam.

Zawahała się, a potem wyznała:

- Spotkałam właśnie na drodze Neda i trochę pogawędziliśmy... o tym, jak mają się tu sprawy...

Wydało mu się nagle, że ktoś oblał go zimną wodą.

- Ale o czym konkretnie?

- Wolałabym, John, żebyś porozmawiał o tym z Nedem - odparła, patrząc na niego swoimi wyblakłymi oczami.

Zrozumiał, że nie powinien nalegać, ale jej słowa zdawały się potwierdzać jego najgorsze obawy. Mona ma dość tej pracy. A on nie może mieć jej tego za złe. To, co ona tu robi, jest ciężką, niewdzięczną harówką.

Dlatego właśnie zabrał się tego ranka do pracy z ciężkim sercem. Około jedenastej,

gdy pomagał Dorothy Cranshaw przyrządzać warzywa do kolacji, upuścił na podłogę nóż - już po raz trzeci w ciągu paru minut.

- Co się dziś z tobą dzieje? - zapytała pani Cranshaw. - Jesteś jakby o mile stąd... Czy dobrze się czujesz?

- Przepraszam, pani Cranshaw - mruknął.

- Zostaw to - powiedziała stanowczo. - Warzywa mogą poczekać. - Niedbałym ruchem ręki wskazała na stos marchwi, cebuli i porów ułożony na kłocu rzeźnickim pośrodku kuchni. - Usiądź tu przy stole. I tak już pora na drugie śniadanie. Dziś pozwolimy sobie na kropelkę sherry, co ty na to? I nie mów mi, że nie pijesz, bo wiem o tym, chłopcze. Tylko że kieliszek sherry jeszcze nikogo nie zabił, wiesz?

Posłusznie wziął od niej graniasty kieliszek i zajął miejsce przy stole. Nigdy przedtem nie pił sherry, napój był słodki i aromatyczny.

- A teraz... powiedz swojej ciotce Dorothy, co cię gryzie.

John nie miał jeszcze okazji rozmawiać z kimkolwiek o swoim problemie. Spojrzał na piegowatą, poczciwą twarz pani Cranshaw, piersiastej, jasnookiej, postawnej kobiety, która nawet zimą nosiła proste suknie i sandały. Bardzo ją lubił i teraz, widząc jej szczerą troskę, poczuł, jak topnieją w nim wszelkie opory. Zaczął wyrzucać z siebie cały balast psychiczny, który narastał w nim od jakiegoś czasu, wszystkie obawy, związane z niewdzięcznymi obowiązkami w domu oraz ze zmęczeniem, które ciążyło mu coraz bardziej.

- Ale największy problem - powiedział w końcu - to Mona McConnell. Wydaje mi się, że ona ma już dość tej pracy.

- Biedaku! - szepnęła Dorothy. - Ale wszystko po kolei. Przede wszystkim weźmiesz teraz parę dni wolnego. George obciążył cię nielicho pracą. Powiedziałabym nawet, że zrobił z ciebie niewolnika.

- Mnie to nie przeszkadza, pani Cranshaw. Pracuję naprawdę z przyjemnością.

- Wiem, chłopcze, wiem. - Pogłaskała go po dłoni. - I w innych okolicznościach wszystko byłoby w porządku, a połowa twoich problemów nie istniałaby w ogóle. Ale na tym swoim rowerze musisz przejeżdżać dzień w dzień po dziesięć mil tam i dziesięć z powrotem, nieprawdaż? - Poprawiła sobie fartuszek. - Czy zaufasz mi na tyle, abym zorganizowała coś dla ciebie? - zapytała.

Spojrzał na nią zaskoczony. Sherry rozgrzało go już, czuł się mile odprężony.

- To znaczy: co?

- Jeszcze nie wiem - przyznała. - Coś jednak trzeba zrobić. Nie możesz ciągnąć tego dłużej. Mona i ten twój sąsiad wykonują syzyfową pracę, ale to i tak za mało. A ty wykoń-

czysz się któregoś dnia, widać przecież, że nie starcza ci sił. Co za gapa ze mnie, że nie zorientowałam się wcześniej! Ale to nic... - Zmieniła ton. - Jak sądzisz, dasz sobie radę z tym wszystkim? - Wskazała ponownie na warzywa.

Kiwnął głową, a ona zdjęła fartuszek.

- Czy Mona jest teraz u twojej matki? W porządku. Zobaczysz, że możesz polegać na twojej ciotce Dorothy. - Wyszła z kuchni, a minutę później usłyszał, że odjeżdża autem.

Machinalnie zaczął skrobać marchew, bijąc się z myślami. Co sprawia, że stale pomagają mu inni ludzie? Lindstromowie, Ned Sherling, a teraz jeszcze pani Cranshaw, która zna go zaledwie od paru miesięcy... Świat jest pełen porządnych, uczynnych ludzi, doszedł w końcu do przekonania. Nieoczekiwanie ogarnęła go tęsknota za Rose, do oczu napłynęły łzy i kolejny już raz upuścił nóż na podłogę.

Pani Cranshaw wróciła godzinę później.

- Już skończyłeś? Och, jak to dobrze! - zawołała, wchodząc do kuchni. Zrzuciła płócienne pantofle na gumowych podeszwach i usiadła przy stole. - Mógłbyś mi podać szklanekę lemoniady? - Przyniósł jej napój, a kiedy stanął przy stole, popchnęła go na sąsiednie krzesło. - Po pierwsze - powiedziała - wydaje mi się, że twoja matka powinna przebywać w szpitalu. Potrzebna jej bardziej fachowa opieka niż ta, jaką wy możecie jej zapewnić.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, zacisnęła rękę na jego ramieniu.

- Powiedziałam, że powinna tam przebywać. Dobrze się jej przyjrzałam, John; stan zdrowia twojej matki z pewnością nie ulegnie nigdy poprawie. Wiem, że to brzmi brutalnie, ale tak już jest, mój chłopcze. Bardzo mi przykro.

John zwiesił głowę. Pani Cranshaw powiedziała na głos to, co on sam czuł w głębi duszy, nie chciał jednak, aby matka po tak ciężkim życiu była zdana na pobyt u Świętego Nataniela, w szpitalu psychiatrycznym, gdzie dogorywali ludzie umysłowo chorzy, starzy i nie chciani. Dorothy Cranshaw pochyliła się ku niemu.

- Wiem, co czujesz - szepnęła łagodnie - i to ci przynosi zaszczyt. Ale masz przed sobą całe życie. A u twojej matki taki stan może jeszcze trwać latami.

- Wiem, ale... Nieoczekiwanie zmieniła temat.

- Jakiego jesteś zdania o Monie? Spojrzał na nią zaskoczony.

- O Monie... Czy ja wiem? Ale w jakim sensie? Wywiązuje się znakomicie ze swoich obowiązków, dba o moją matkę... Chodzi pani o to, czy ją lubię?

- Owszem, ale może nie tylko o to. Ona jest... powiedziałabym, że to osobliwa dziewczyna.

John nie potrafił odgadnąć, do czego prowadzi ta rozmowa. Czekał na dalsze słowa, ale Dorothy upiła trochę lemoniady i dopiero potem dodała ostrożnie:

- Mona i ja pogawędziłyśmy sobie trochę. O tobie, twojej matce, o panu Sherlingu i w ogóle o wszystkim. Okazuje się, że i pan Sherling martwi się o ciebie. Wszyscy się martwią o ciebie, John.

Patrzył na nią wyczekująco. Miał niejasne wrażenie, że za chwilę usłyszy z jej ust coś niezwykle ważnego.

Ale Dorothy Cranshaw zaczęła znowu od innej strony.

- O ile wiem, Mona ma niepełnosprawnego ojca, który także wymaga opieki, chociaż nie w tak dużym zakresie jak twoja matka?

- To prawda, pani Cranshaw.

- Dobrze więc, oto propozycja dla ciebie. Pomysł nie jest właściwie mój, pochodzi raczej od pana Sherlinga, który przedstawił go Monie, kiedy rozmawiali rano. - Patrzyła na niego wzrokiem, którego nie potrafił zinterpretować. - Mona musi kursować tam i z powrotem między swoim domem i twoim. Jej też zaczyna brakować sił.

Tak, to prawda, John wiedział o tym. Poczul, że ogarnia go przygnębienie.

Kolejne słowa pani Cranshaw zaskoczyły go do tego stopnia, że nie od razu pojął ich sens.

- Co byś powiedział na to, żeby połączyć oba domy? - zapytała. - Żebyście zamieszkali wszyscy razem? Pan Sherling, o ile wiem, chce nadal pomagać. A ojciec Mony, choć sam niepełnosprawny, też mógłby robić to czy tamto. I tu wkraczam ja., to znaczy my - kontynuowała, kiedy John spojrzał na nią osłupiałym wzrokiem. - Znalazłam chyba idealne rozwiązanie. Mona proponowała, abyś przeniósł się z matką do jej domu, ale tam byłoby za mało miejsca. Kiedy z nią rozmawiałam, przypomniałam sobie domek rybacki w naszej posiadłości, ten nad jeziorem. Wiesz chyba który? Nie używamy go od wieków, tak więc trzeba by w nim trochę posprzątać, doprowadzić go do ładu. Ale są tam za to meble. Byłby dla was jak znalazł, John. Dom ma cztery pokoje.

Zanim John zdążył odpowiedzieć, chwyciła go za rękę.

- Nie musisz podejmować decyzji już teraz, natychmiast. Po prostu przemyśl sobie wszystko. Jestem przekonana, że uznasz to za świetne wyjście z sytuacji. Żadne z was, ani Mona, ani ty, nie musiałyby dojeżdżać do pracy. Jej ojciec, jak mi opowiadała, to złota rączka... wiesz, stolarka i takie różne... Jestem pewna, że George znajdzie dla niego jakąś robotę. Chyba przyznasz, John, że cała sprawa układa się jak najlepiej. - Klasnęła w dłonie, zachwycona własnymi słowami. - My też mielibyśmy z tego korzyść: ten domek się

rozpadnie, jeśli ktoś się nim w końcu nie zajmie. A my nie mamy na to czasu ani nawet chęci.

- Nie mogłaby pani urządzić tam dodatkowych pokoiów dla gości? - zapytał John bez przekonania.

- Nie twierdę, że kiedyś w przyszłości nie zaczniemy o tym myśleć, ale do tego czasu upłynie jeszcze sporo wody. Posłuchaj, wiem, że możesz się czuć zaskoczony, powiedziałabym nawet, że zaproponowałam rzecz bez precedensu. - Uśmiechnęła się, na jej piegowatej twarzy zakwitła figlarna mina. - Ale to jeszcze nie znaczy, że pomysł jest zły. Nie możesz ciągnąć tego dłużej w taki sposób. Mając dwadzieścia lat, wyglądałbyś na starca.

- Ale jak ja bym się za to wszystko odwdzieczył? - wyszeptał John. Czuł się oszołomiony.

- Och, to nie takie trudne, mój chłopcze. Musiałbyś tylko pracować co sił w rękach i nie opuszczać nigdy Cranshawów. - Roześmiała się i wstała. - Zawsze zastanawiałam się, jakbym się czuła, będąc Scarlett O'Hara i mając plantację oraz niewolników! Boso podeszła do zlewu i umyła swoją szklankę. Kiedy jednak odwróciła się z powrotem do Johna, uśmiech zniknął z jej twarzy. - Nie zwlekaj z podjęciem decyzji, John. Daj nam jutro odpowiedź, dobrze?

* * *

- Wejź, Derek! - Czerstwa twarz Svena Lindstroma była poważna, on sam omijał Dereka wzrokiem. Odwrócił się i ruszył przodem w stronę salonu, gdzie usiadł przy wygasłym kominku. Mimo iż na dworze trwał jeszcze widny dzień, zasłony w pokoju były zaciągnięte, paliło się też światło.

Derek przygotowywał się na to spotkanie cały dzień. Karen usiłowała mu jakoś pomóc, ale jej starania tylko spotęgowały jego nerwowy nastrój. Zwłaszcza teraz nogi uginały się pod nim, jakby były z waty, pozbawione kości. Z ulgą opadł na krzesło. Czekając na to, co powie pan Lindstrom, zaczął mimo woli dostrzegać rzeczy nieistotne, na przykład światło kinkietu odbijające się od łysiny gospodarza lub jego zaskakująco drobne, jak na tak korpulentnego mężczyznę, stopy. Derek ubrał się na tę okazję szczególnie starannie; włożył nowy sportowy garnitur, białą, dobrze wykrochmaloną koszulę i niebieski krawat, który dostał niedawno w prezencie od Karen. Rano spędził niemal pół godziny na glansowaniu butów, chciał bowiem, aby błyszcząły jak lustro.

- To wszystko jest równie trudne dla mnie, jak dla ciebie - odezwał się pan Lindstrom.
- Wiesz chyba, że mamy... mieliśmy dla Karen wielkie plany... Jest naszym jedynym dzieckiem.

- Doceniam to, proszę pana - odparł Derek ochryplym, łamiącym się głosem. Przedtem musiał odchrząknąć.

- Nie wiem nawet, co powiedzieć - kontynuował pan Lindstrom. - Moja żona i ja jesteśmy naturalnie bardzo zawiedzeni i zmartwieni. Wychowaliśmy Karen... a przynajmniej taką mieliśmy nadzieję... na osobę odpowiedzialną.

- I jest odpowiedzialna - przerwał mu Derek. - To wspaniała dziewczyna.

- Za taką też ją uważaliśmy... i uważamy nadal - poprawił się pan Lindstrom. - Ale nasuwa się pytanie, co dalej? - Spojrzał bacznie na Dereka. - Ona mówi, że zamierzasz przejąć opiekę nad dzieckiem.

To właśnie był najbardziej drażliwy punkt. Od trzech tygodni Derek i Karen wiedli burzliwe dyskusje w tej kwestii. Ona upierała się przy tym, aby nie ujawniać, kto jest ojcem dziecka, on zaś wahał się, targany sprzecznymi emocjami. Po pamiętnym dniu w szopie oboje spędzali razem każdą wolną chwilę. Karen miała pewne zaległości w nauce, ale jej oceny były zawsze dobre, tak więc nie spodziewała się problemów z ukończeniem szkoły. Co wieczór przyjeżdżała do Kelly's Cross, a potem spacerowali po całej okolicy i kochali się namiętnie wszędzie, gdzie przysła im na to ochota: w jej samochodzie, na małych polankach lub piaszczystych wydmach, a kiedyś nawet na rozwidlonym pniu starego dębu.

Bywały chwile, gdy Derekowi udawało się zapomnieć o dziecku, kiedy indziej zaś powracał myślami do tej sprawy i wpadał w furję, ale w takich chwilach Karen umiejętnie studziła jego nerwy. Pod względem fizycznym i zmysłowym odpowiadała tak dalece jego oczekiwaniom i pragnieniom, że stawał się w jej rękach całkowicie bezwolną istotą. Ale to on wpadł na wykrętny pomysł, żeby podjąć się wychowania dziecka bez uznawania go za własne. Karen obstawała przy tym, aby załatwić wszystko do końca, on jednak nie miał zamiaru ratować Johna z opresji. Na wszelki wypadek ostrzegł ją, że jest do tego stopnia poruszony zdradą ze strony brata, iż prawdopodobnie nie zdobyłby się na przekonywające kłamstwo, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Teraz przechylił się na krzesło i niemal bez tchu, ochryplym z emocji głosem zapewnił:

- To prawda, panie Lindstrom. Zamierzam przejąć pełną opiekę nad dzieckiem.

- Rozumiem - mruknął powoli Sven Lindstrom. Zmarszczył jasne brwi i spojrzał Derekowi prosto w oczy. Derek zdołał wytrzymać jego wzrok.

- I co teraz zamierzasz uczynić? - zapytał wreszcie Sven.

- Zastosuję się naturalnie do pańskich życzeń – odparł Derek.

Znowu nastała cisza, podczas gdy obaj wpatrywali się w siebie w napięciu.

- Jesteś o wiele za młody na ożenek - powiedział Sven.

- Wiem, *sir* - przyznał Derek. - Karen i ja rozmawialiśmy o tym. Gdyby chciała wyjść za mnie... cóż, ożeniłbym się z nią, naturalnie za pańską zgodą, *sir*, pańską i pana małżonki. Ale Karen nie chce. Przynajmniej nie w tej chwili. Ustaliliśmy, że wrócimy do sprawy, kiedy dziecko przyjdzie już na świat.

Sven Lindstrom wzruszył ramionami; był to gest zdradzający rezygnację.

- Taak... - powtórzył przeciągle. - Kiedy dziecko przyjdzie na świat...

Twardy kant krzesła wrzynał się boleśnie w uda Dereka.

- Wiem, że to wszystko nie budzi pańskiego entuzjazmu, potrafię to zrozumieć, proszę pana. Ale może zdołam poprawić samopoczucie zarówno pana, jak i pani Lindstrom, jeśli zapewnię, że kocham Karen. Kocham ją całym sercem. Co się stało, już się nie odstanie, a ja pragnę zaopiekować się pana córką, dopóki żyję. Wiem, może pan sobie pomyśleć, że powtarzam to, co zasłyszałem w kinie, ale mówię tak, jak potrafię. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy, chociaż zastanawiałem się naprawdę długo. Nawet pan nie wie, jak wiele znaczy dla mnie Karen. Więcej niż ktokolwiek inny. A jeśli martwi się pan jej sytuacją materialną, która... że tak powiem... mogłaby się pogorszyć, to rzeczywiście nie mam pieniędzy, przynajmniej nie w tej chwili, ale perspektywy wydają się niezłe. Nie zamierzam harować całe życie jako parobek na farmie. Ale tak się składa, że znam się na tym, co robię. Pole w Kelly's Cross to olbrzymi teren, mój kuzyn twierdzi, że bez mojej pomocy nie zdołałby go obrobić. Powtarza to ciągle. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, to znaczy, co się stanie z ziemią, ale z pewnością kuzyn nie zostawi mnie bez niczego. Jestem dumny z tego, co teraz robię, *sir*, wiem na sto procent, że sprawy potoczą się dobrze. Z korzyścią dla mnie. A jeśli pan wyrazi zgodę i jeśli Karen się zgodzi - także dla niej. I naturalnie z korzyścią dla dziecka.

Była to najdłuższa mowa, jaką Derek wygłosił w życiu. Przy ostatnich słowach był purpurowy z zażenowania i wysiłku. A jednak trzymał głowę wysoko i patrzył ojcu Karen prosto w oczy. Nagrodą był nikły uśmiech gospodarza.

- Niezłe przemówienie, synu. Długo je przygotowywałeś?

W jego pytaniu najwidoczniej nie kryła się żadna złośliwość, tak więc Derek zapewnił jedynie:

- Każde słowo w nim było szczere, *sir*.

- Nie wątpię - odparł Sven. - Nadal jednak pozostaje otwarte pytanie: co dalej? Nie chciałbym dopuścić do tego, aby imię mojej córki obrzucano w Charlottetown błotem. Chociaż, jeśli mam być szczery - dodał - odnoszę wrażenie, że Karen jest przygotowana na

wszelkie okoliczności. Wiesz chyba, że uparła się skończyć szkołę?

- Owszem, proszę pana. I w pełni ją popieram.

- Bardzo mnie to cieszy - odparł Sven z kwaśną miną. - Ale czy mógłbyś wyjaśnić, co możemy zrobić, żeby nie stać się pośmiewiskiem albo bohaterami skandalu?

- Nie, tego nie wiem - przyznał Derek. - Ale sądzę, że Karen nie jest pierwszą dziewczyną w Charlottetown, której przytrafiło się coś takiego.

- Masz rację. Jest jednak pierwszą, która nosi przy tym moje nazwisko. A to właśnie ma podstawowe znaczenie dla mnie i mojej żony. Chyba wiesz, że prowadzimy firmę.

Derek przewidział, że w trakcie rozmowy wyłoni się właśnie ten problem. Miał na to gotową odpowiedź.

- Moim zdaniem - powiedział - firma okazałaby się niewiele warta, gdyby interesy zaczęły iść gorzej tylko z powodu przyjścia dziecka na świat. A w takim wypadku nie miałby pan czego żałować, rezygnując z niej.

Usta Svena drgnęły.

- Tak myślisz? No cóż, muszę przyznać, że przygotowałeś się dobrze do naszej rozmowy.

- Karen i ja przedyskutowaliśmy wszystko, zanim jeszcze zdecydowaliśmy, że powinienem przyjść tu do pana...

- W to nie wątpię!

- ...i uznaliśmy zgodnie, że w najgorszym razie byłaby to zaledwie krótkotrwała sensacja, nic więcej. Proszę tylko nie myśleć, że podchodzimy do sprawy zbyt lekko - dodał czym prędzej. - Ale jeśli się pan nad tym dobrze zastanowi, *sir*, nie byłby to jeszcze koniec świata. Ja naprawdę kocham Karen. I... i sądzę, że ona kocha mnie.

- Karen jest... - Sven szukał przez chwilę odpowiedniego słowa. - Ona jest typem dziewczyny niezwykle energicznej, pełnej wigoru.

Derek zawahał się. Ojciec Karen utrafił w sedno sprawy, poruszył kwestię, która i jego przyprawiała o ból głowy. Czy w przyszłości poradzi sobie z Karen? Trudno przewidzieć.

- Myślę... wiem... że znam Karen bardzo dobrze, *sir* - odparł z zapałem. - Tyle tylko mogę powiedzieć. Ale najważniejsze, że ją kocham. To powinno się liczyć najbardziej.

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia. Potem ojciec Karen wstał, a Derek zerwał się na równe nogi. Miał wrażenie, jakby właśnie przeszedł pomyślnie coś w rodzaju egzaminu. Dopiero teraz zorientował się ku własnemu zdumieniu, że jest o głowę wyższy od Svena Lindstroma.

- Myślę, że omówiliśmy wszystko, co na tym etapie było do omówienia - powiedział

Sven. - Wejdźmy do kuchni, napijemy się kawy. Jestem pewien, że Karen i jej matka nie mogą się już nas doczekać. - Uśmiechnął się i uściśnął Dorekowi dłoń. - Nie będę udawał, synu, że rozpiera mnie radość. Bo tak nie jest. Ale chcę, abyś wiedział, że chociaż jestem na ciebie zły... bo który ojciec by nie był... to podoba mi się, że masz charakter. Czy McGuiganowie wiedzą, co się kroi?

- Jeszcze nie, *sir*.

- I przestań mówić mi „*sir*”. - Sven znużonym gestem przetarł sobie oczy dłonią. - Kiedy to słyszę, zaczyna mi się wydawać, że jestem starcem, a nigdy dotąd nie czułem się w ten sposób. Jeśli mamy się odtąd widywać często, a na to się zanoszą, możesz zacząć mi mówić Sven.

* * *

Ostatniego wieczoru, jaki spędzał w stróżówce, John udał się w stronę Wielkiego Domu. Rosnące wzdłuż alejki rododendrony zaczynały dopiero rozkwitać, za to kasztanowce, tworzące w górze sklepiony dach, obsypały się już gronami białych kwiatów. Pogoda była od paru dni wilgotna, czasem mżył nawet deszcz, nie zanosiło się jednak, niestety, na poprawę; liście nad głową wisały bez ruchu, a ciszę mąciły jedynie sporadyczne trzaski łamanych gałęzi oraz głośnie plaśnięcia jego dłoni o szyję, twarz i głowę, kiedy oganiał się od komarów. Cały czas nasłuchiwał bacznie, nie chciał bowiem spotkać nikogo z Wielkiego Domu.

Oparł się o ogrodzenie, aby po raz ostatni popatrzeć na dwór, odcinający się potężną, szarą sylwetką od niskiego, ołowianego nieba. Zamknięte okiennice zdawały się podpatrywać wewnątrz i kontemplować jego utajone ubóstwo, a dom, niczym dinozaur, który utracił już wszelką nadzieję na przetrwanie, sprawiał wrażenie, jakby skulił się wśród agresywnej zieleni, czekając, aż zostanie przez nią zagłuszony. I rzeczywiście, ów proces był już najwidoczniej w toku: po murach wspinały się jasnozielone algi, lśniące od wilgoci, oplatały taras i opuszczały się po frontowych schodach na ziemię.

Widok zaniedbanego do tego stopnia domu był dość przygnębiający i John, który właściwie nie wiedział nawet, po co tu przyszedł, żałował teraz, że zdecydował się na ten spacer. Sundarbans znajdowało się od zawsze w jego świadomości, było dla niego czymś oczywistym. Życie jego i reszty rodziny koncentrowało się wokół tego budynku i jego mieszkańców i dlatego wolałyby zachować dwór w pamięci takim, jakim widywał go w dzieciństwie, wraz z przyjęciami, imponującymi korowodami gości, polowaniami, końmi i psami, z alejką obsadzoną wspaniałymi drzewami i zawsze pełną ruchu.

Przyszło mu do głowy, aby dojść aż nad jezioro, gdzie spędził tak wiele czasu jako

młody chłopiec i gdzie poznał i pokochał Rose, ale czym prędzej zarzucił tę myśl. Bo i po co miałby tam iść? Żeby pogłębić własną udrekę? Przypomniały mu się zwrócone, nawet nie otwarte listy: Rose najwidoczniej nie chce go już znać. A więc i on musi przestać być tak cholernie sentymentalny.

Po raz ostatni rzucił okiem na żalostną fasadę dworu i raptem zaświtała mu w głowie pewna myśl - tak niesamowita i fantastyczna, że omal nie wybuchnął głośnym śmiechem.

Co by poczuła do niego Rose, gdyby kiedyś, w dalekiej przyszłości, zdołał odrestaurować dla niej Sundarbans, przywrócić mu dawną świetność i przekształcić go w intratny interes? Prowadzenie hotelu nie wydawało się zajęciem szczególnie trudnym: wszystkiemu, co działo się w „Willow House”, przypatrywał się przecież nadzwyczaj bacznie i doszedł do wniosku, że wystarczy zdrowy rozsądek, pracowitość i umiejętne odgadywanie życzeń oraz oczekiwań gości.

To niedorzeczny pomysł, powtarzał sobie w duchu. Ale jednocześnie pocieszał się myślą, że wszystkie udane przedsięwzięcia na ogół biorą początek od pomysłu, który nie zawsze od razu budzi zaufanie.

Przez następne pół godziny John, zachowując czujność na wypadek, gdyby jednak ktoś zjawił się przed domem, obchodził mury Sundarbans, liczył okna, kominy, drzwi, łukowe sklepienia i dziedzińce. Wszedł nawet do stajni, wyobrażając sobie, że już widzi tam konie, większe i mniejsze, przeznaczone na potrzeby gości. Mleczarnię z dziurawym dachem zamienił w myślach na salę bilardową, urządzoną wedle wzorów, jakie oglądał wielokrotnie w grubych angielskich czasopismach wyłożonych na stolikach w „Willow House”. Tamtego lata Rose pokazała mu instalację ogrzewczą na węgiel, od dawna nie używaną i odstawioną na bok, a teraz zarośniętą już z Belskiem. John odgarnął część łądyg i przyjrzał się bacznie urządzeniu. Nie znał się na tym, ale Rose wspomniała wtedy, że wszystko nadal działa jak należy, tylko ojca nie stać na kupno wystarczającej ilości węgla, aby ogrzać cały dom.

John poczuł, że narasta w nim podniecenie. Pomysł zaprzętał go coraz bardziej, zapomniał już nawet, że przyszedł tu wyłącznie gnany nostalgicznym pragnieniem spojrzenia jeszcze choć jeden raz na Sundarbans. Niebawem, obejrzawszy wszystko, wracał alejką. Chciał jak najprędzej przenieść swoje wre lżenia na papier. Rysowanie nigdy nie było jego mocną stroną, potrafił jednak oddać należycie proporcje i pragnął utrwalić wszystko, dopóki pamięta szczegóły.

Mona uśmiechnęła się na jego widok i sięgnęła po płaszcz wiszący na drzwiach.

- Już niedługo, John? - powiedziała, jakby czekali na autobus.

- Dziękuję stokrotnie za wszystko - odparł. - Zobaczymy się jutro.

Wszystko było przygotowane. Przeprowadzkę zorganizowali z pomocą Cranshawów, jednego z sąsiadów, który obiecał pożyczyć konia i dwukołowy wóz, oraz oczywiście Neda; ten miał zjawić się w stróżówce najpóźniej o siódmej.

Po wyjściu Mony John rozłożył na stole brązowy papier pakowy i szybko naszkicował Wielki Dom, zarówno fronton, jak i tylną ścianę, zaznaczył odpowiednią liczbę i właściwe miejsce okien, kominów i drzwi. Z boku narysował oddzielnie stajnie i inne zabudowania, a na odwrocie plan całej posiadłości., z uwzględnieniem jeziora i lasu.

Nie skończył jeszcze, kiedy z pokoju matki dobiegł go głuchy odgłos uderzenia. Zerwał się z miejsca i czym prędzej wbiegł do sypialni.

- Och, mammo! - zawołał przerażony. Leżała na podłodze, krucha, niepozorna, sama skóra i kości, drobna istota zwrócona do niego plecami, w zupełnym bezruchu.

- Mammo? – powtórzył i ukląkł przy niej. Spojrzała na niego swymi mętnymi oczyma, on zaś zorientował się natychmiast, że go nie poznaje. Delikatnie poruszył jej rękami i nogami, sprawdzając, czy nie są złamane, a ona poddawała się temu testowi bezwolnie, nie pomagając mu ani nie stawiając oporu. Była jak martwa lalka. – Chodź – szepnął, podnosząc ją z podłogi. – Wracasz do łóżka.

Nie czuł w ogóle jej ciężaru, miał wrażenie, że niesie małe dziecko. Zanim okrył ją kołdrą, sprawdził jeszcze, czy ma sucho, ale Mona wywiązała się ze swojego zadania bez zarzutu.

- Co mamy z tobą zrobić? – szepnął. Otulił ją szczelnie po szyję, podwijając starannie kołdrę pod boki. – Gdybyś odzyskała świadomość, chociaż na jeden dzień! – Ale ona nadal tylko wpatrywała się w niego oczyma przypominającymi szklane kulki.

Wrócił do kuchni przygnębiony, całe jego podniecenie ulotniło się w jednej chwili. Brązowy papier z rysunkami zdawał się szydzić z niego i jego marzeń. Pochwycił go, zmiął w dłoni, otworzył piec i wrzucił do środka.

W następnej chwili, zanim jeszcze papier zajął się ogniem, John wsunął rękę do pieca, ryzykując oparzenie, i wyciągnął go z powrotem. Nieco zawstydzony własną dziecinadą, wszedł do swojej sypialni i włożył pomięty papier do walizki, którą nazajutrz miał zabrać ze sobą do domku rybackiego przy „Willow House”.

* * *

Rose nie mogła uwierzyć, że to już, kiedy w środku nocy zbudził ją ból. Poród miał nastąpić dopiero za sześć tygodni, lekarz zapewnił ją, że wszystko jest w porządku i nie ma powodu do obaw. W pierwszej chwili pomyślała, że istotnie nie ma się czym przejmować,

gdyż ból ustał niemal natychmiast. Może po prostu zjadła coś niestrawnego... Ale w tej samej chwili przeszył ją kolejny ból, obejmując koniec kręgosłupa, i chociaż Rose zaciskała zęby, aby zachować ciszę, mimo woli krzyknęła głośno. Miła wrazenie, jakby ściśnięto ją w imadle.

Dziewczyna z sąsiedniego łóżka, zaalarmowana krzykiem, szepnęła:

- Rose? Dobrze się czujesz?

- Nie – jęknęła. – Raczej nie. Wezwij kogoś! – Poczowała się oszukana, niemal znieważona. To nie powinno odbyć się już teraz, ona nie jest jeszcze gotowa! Mówiono jej, że poród zacznie się powoli; że sama natura steruje wszystkim i przynajmniej na początku ból nie występuje. A tymczasem ten ból powracał uparcie, nie dając nawet czasu na złapanie tchu. To było o wiele gorsze, niż sobie wyobrażała, ogarniało całe jej ciało i wszystkie nerwy, nie pozwalając jej choćby krzyknąć.

Słyszała, jak jej sąsiadka wybiega z sali, a po chwili wokół łóżka zebrała się grupka paru osób. Nie obchodziło jej, kim są i jaki mają zamiary. Poczowała, że podnoszą ją z łóżka; ktoś zarzucił jej koc na ramiona, a potem prowadzili ją korytarzem, podtrzymując przezornie, i szerokimi kamiennymi schodami w dół. Rose nie mogła pomóc swoim wybawcom. Ból był zbyt silny, narastał w niej niczym najgorszy koszmar, jakby miał rozszczępić jej kręgosłup.

Kiedy otworzyła oczy, zorientowała się, że leży na boku w dziewięcioosobowej furgonetce należącej do klasztoru, z podciągniętymi pod brodę kolanami.

Kilka minut później oślepiło ją jaskrawe światło, ujrzała wokół siebie białe kitle i poczuła, że wiozą ją gdzieś na wózku. Było jej wszystko jedno dokąd. W tej chwili obchodził ją tylko ból, palący ból, który skręcał ją w środku i czynił bezsilną.

Znowu podniesiono ją, tym razem wyżej, i ułożono na wznak na twardym łóżku. Poczowała dziwny zapach, ostry, antyseptyczny; ktoś mówił do niej głośno; czuła, że zdejmują z niej ubranie; słyszała też własny głos, ale jakby z daleka. Nie, to chyba nie jej głos, jest zbyt wysoki i piskliwy, to raczej krzyk kogoś innego! A jednak ten nagły ból gardła, jakby po wysiłku, świadczy, że krzyczał ona, nikt inny!

Ale zaraz ze wszą rozległy się krzyki, ludzie kazali jej coś robić, na co nie miała ochoty. Rozsunęli jej nogi, umocowali stopy w czymś w kształcie misek. Chciało opuścić nogi z powrotem, ale ku własnemu przerażeniu uświadomiła sobie, że są unieruchomione. Kolejny skurcz sprawił, że drgnęła gwałtownie, ale oni właśnie skrępowali paskami również jej ręce i Rose zorientowała się, że nie może wykonać najmniejszego ruchu. Na szczęście okryli ją czymś w rodzaju prześcieradła, tak że przynajmniej na kolanach wznosiło się teraz coś w rodzaju namiotu. Przestała za to widzieć kogokolwiek, bo wszyscy znajdowali się po drugiej stronie owego namiotu; mogła jedynie obserwować sufit, biały i bardzo wysoki. Ból

napływał falami, z których każda przeszywała całe jej ciało niczym nóż; usiłowała się skulić, aby jakoś go unicestwić, ale bezskutecznie, bo przecież nie mogła się poruszyć. Tamci zaś krzyczeli cały czas, słyszała ich krzyki, kazali przeć. Parła więc posłusznie, zwieszając głowę na piersi, parła ze wszystkich sił, aż zaczęło jej się wydawać, że oczy wychodzą z orbit.

Teraz tamci ludzie zaczęli krzyczeć w trochę inny sposób; nie mogła zrozumieć, o co im chodzi, ale ich głosy stały się bardziej nagłać. Coś się działo. Poczowała nagle, że jej łono rozrywa się na pół, i odruchowo napała jeszcze raz, tak mocno, jak tylko mogła, potem znów usłyszała głosy ludzi stojących nad nią i chociaż nie rozumiała sensu słów, wyczytała z ich tonu coś jakby uznanie. Ona jednak marzyła tylko o jednym: żeby ten ból zelżał choć trochę. Nieoczekiwanie udało jej się wyłowić z dobiegających ją okrzyków parę słów, których znaczenie pojęła.

- Jeszcze raz! - wołali tamci. - No, Rose, postaraj się, jeszcze raz...

Znowu więc zwiesiła głowę i resztkami sił zaczęła przeć. Tym razem skutecznie: nagle coś mokrego i śliskiego wyskoczyło z niej, zostawiając po sobie wrażenie pustki. Rose odrzuciła głowę do tyłu i zapłakała.

Ktoś do niej podszedł, jakaś pielęgniarka ubrana na zielono.

- Dziewczynka! - oznajmiła z radością.

Rose czuła, że powinna coś powiedzieć, nie mogła się jednak zdobyć choćby na jedno słowo. W dalszym ciągu szlochała, był to jednak płacz ulgi, że już po wszystkim.

- Bardzo dobrze - pochwaliła pielęgniarka, kiedy Rose, nie czekając na dalsze wskazówki, wypchnęła łożysko i błony. - Teraz już wszystko w porządku - dodała. - Jeszcze mały szew i koniec.

Przez chwilę Rose miała uczucie ściągania i klucia w pochwie, ale w porównaniu z tym, co musiała przejść wcześniej, była to bagatelka.

Dopiero teraz uwolniono z więzów jej ręce i nogi, a polem przeniesiono ją z powrotem na wózek i okryto ciepłym kocem. Ogarnęła ją senność, czuła, że wywożą ją z sali, ale wszystko docierało do jej świadomości jakby z daleka i z opóźnieniem. Znalazła się na korytarzu, a po chwili w innej sali, gdzie czyjeś wprawne ręce przeniosły ją na łóżko osłonięte parawanem. Zapadała właśnie w sen, kiedy ktoś odsunął parawan, a Rose ujrzała siostrę Benvenuto.

- Napędziłaś nam nie lada strachu - powitała ją zakonnica. - Jak się czujesz?

- Jestem bardzo zmęczona - wyszeptała Rose. - Naprawdę. I bardzo mi przykro, że sprawiłam tyle kłopotu.

- Tak bywa w życiu - odparła zakonnica. - Czy to dziewczynka?

Rose kiwnęła głową. W tej chwili nie obchodziło jej, czy wydała na świat chłopca, czy dziewczynkę. Ból zniknął i tylko to miało znaczenie. Nie chciała być nieuprzejma, ale czuła, że oczy same jej się zamykają. Siostra Benvenuto wydobyła z fałd habitu mały srebrny zegarek.

- Dziesięć po piątej nad ranem! - zawołała. - Jak widzę, nie tracisz czasu, moja droga!
- Odgarnęła z czoła kosmyk włosów. - Zajrzę tu jutro - obiecała, ale Rose zdążyła już zapaść w drzemkę.

Kiedy otworzyła oczy, leżała w innym łóżku. Nie chciała się budzić, niechętnie wynurzała się z odmętów rozkosznego snu, ale ktoś stanął przy niej i brzęczał naczyniami.

- Śniadanko, kochanie - odezwał się pogodny głos. - No, wstajemy, raz dwa, pora wstawać!

Z trudem usiadła i wzięła od pielęgniarki tacę z herbatą i grzankami. Rozejrzała się dokoła. Znajdowała się w sali, w której stało około dwudziestu łóżek. W podobnej sali odwiedziła wtedy Effie... Kiedy to było? Wczoraj? Przedwczoraj? Umysł pracował nadal na zwolnionych obrotach. Dopiero teraz zauważyła, że inne kobiety nie leżą w łóżkach, lecz siedzą przy podłużnym stole pośrodku pokoju i jedzą śniadanie, gawędząc wesoło.

Przeniosła wzrok na swoją tacę i uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. W dalszym ciągu walcząc z sennością, opadła głową na poduszkę i z zamkniętymi oczyma wsunęła sobie do ust zimny kawałek grzanki. W ten sposób zjadła wszystko, a potem wypila herbatę.

Znowu począł ogarniać ją sen, gdy nagle usłyszała:

- Cześć, Rose!

Otworzyła oczy.

- Effie! - zawołała uradowana. - Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś!

- Niedługo mnie wypuszczą, ale zatelefonowałam do klasztoru i siostra Benvenuto powiedziała mi, że już cię tu przewieźli. Boże drogi, Rose, aleś się pośpieszyła! Jak to zrobiłaś? To typowe dla wyższych sfer: wszystko chcą zrobić lepiej niż inni. - Uśmiechnęła się, a Rose odetchnęła z ulgą: jej przyjaciółka była znowu w dawnej formie.

- Jak się czujesz? - zapytała Effie, siadając bezceremonialnie na łóżku.

- Dobrze. Ale jestem trochę zmęczona.

- Widziałaś już dziecko? - Głos Effie przybrał ton bardziej czujny. - To chyba dziewczynka?

- Tak. Ale nie widziałam jej jeszcze. - I Rose pokręciła głową.

- Jest śliczna - zapewniła Effie. - Siostra Benvenuto mówiła, że chociaż dziecko leży

w inkubatorze, bo jest bardzo drobne, o... takie - pokazała rękami - to wszystko będzie dobrze.

- Drobne? - powtórzyła Rose z przejęciem. - A nikt mnie nie ostrzegł!

- Oni nigdy tego nie robią - odparła powoli Effie. - Ale dziecko jest bez skazy, Rose. I to się liczy najbardziej.

Rose poczuła natychmiast, że ogarnia ją skrucha. Jeżeli ona się uskarża, to co dopiero ma powiedzieć Effie?

- Może pójdziemy ją zobaczyć? - zapytała odruchowo i jednocześnie omal nie kopnęła się sama za brak taktu. - Przepraszam - szepnęła.

- Za co? - Effie wyglądała na szczerze zdumioną. - Chętnie na nią popatrzę.

Rose ostrożnie wstała z łóżka i otuliła się szpitalnym szlafrokiem.

- Boże! - jęknęła, zawiązując wystrzępiony pasek. - Wyglądam pewnie jak strach na wróble!

Każdy krok był dla niej męką; szwy ciągnęły nieprzyjemnie, potęgując ból.

- Kiedy zacznę się czuć normalnie? - zapytała na korytarzu. - Na razie mam uczucie, jakby ktoś przepuścił mnie przez magiel!

- Ja też. Ale za parę tygodni zapomnisz o tym. - Effie, która znała już doskonale rozkład szpitala, szła prosto do izby noworodków. Rose podążała tuż za nią, ale nagle stanęła w miejscu. Effie odwróciła się. - Co się stało?

- Boję się - szepnęła Rose.

- Boisz się? Czego?

- Boję się spojrzeć na dziecko... - Zająknęła się, jak zwykle, gdy traciła głowę. - Nie powinnam chyba patrzeć na nie... Mogłabym się przywiązać.

- To żaden powód. - W głosie Effie zabrzmiała nuta dezaprobaty i Rose spojrzała na nią bacznie.

- Masz rację - przyznała cicho. - Masz rację, to żaden powód. Po prostu się boję.

Niebawem stanęły przed szklaną ścianą sali noworodków. Wewnątrz znajdowały się trzy inkubatory, w każdym z nich leżało dziecko. Nawet z tej odległości Rose rozpoznała córkę. Dziewczynka leżała na brzuchu, z rączkami wyciągniętymi do przodu, jakby zamierzała popływać. Nóżki trzymała podkurczone, prezentując malutkie, pomarszczone stopki. Wykrzywiona twarzyczka była zwrócona do szyby i Rose dostrzegła miniaturowe odbicie rysów Johna Flynn: jego linię brwi i szeroko rozstawione, nieco skośne oczy.

- To ona! - Odruchowo przytknęła dłoń do ust. - Och, Effie, to ona!

Effie oparła się o szybę.

- To najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam - powiedziała. - Naprawdę.
- W jej oczach zaszklily się łzy i Rose otoczyła ją natychmiast ramieniem. Poczula, że i ona płacze.

Jedna z pielęgniarek, która krzątała się przy noworodkach, wychyliła głowę na korytarz.

- Czy wszystko w porządku?

Rose, wyobrażając sobie, jak muszą wyglądać - zapłakane i tulące się do siebie - zachichotała przez łzy.

- Tak, w porządku - odparła. - Patrzyłyśmy po prostu na moje dziecko.

- Które to, kochana? - Pielęgniarka, kobieta w średnim wieku, mówiła językiem prostych ludzi, jak większość dziewcząt poznanych przez Rose w klasztorze. - Tylko nie mów, że to najładniejsze - dodała jowialnie. - Każda by tak powiedziała.

- Ta dziewczynka w inkubatorze - odparła Rose.

Uśmiech zniknął z twarzy pielęgniarki.

- Owszem, jest bardzo ładna. I ma silny organizm. - Cofnęła głowę i zamknęła drzwi.

Rose spojrziała zaskoczona na przyjaciółkę.

- Co ja takiego powiedziałam?

- Ona wie, że dziecko będzie oddane do adopcji - wyjaśniła Effie.

Rose przytknęła twarz do szyby i przez długą chwilę obie wpatrywały się w dziecko. W pewnej chwili dziewczynka zadygotała i zeszywniała, otworzyła jedną dłoń i zacisnęła ją z powrotem. Na maleńkiej buzi pojawił się grymas, jakby pod wpływem złego snu, a Rose ujrzała przez ułamek sekundy czubek jej języka. Skóra na szyi była pofałdowana i nawet z tej odległości Rose dostrzegła wśród fałd ciemnoróżową plamkę.

- Co to za plamka na szyi? - szepnęła bojaźliwie.

- To nic takiego - wyjaśniła Effie. - Zwykle znamię. Dzieci często rodzą się z czymś takim. Za jakiś czas, kiedy urosną jej włosy, nie będzie nic widać. Nie masz się czym przejmować.

W tym właśnie momencie, zupełnie nieoczekiwanie, Rose pokochała swoje dziecko. Gdzieś z głębi, z miejsca, o którym nie wiedziała nawet, że istnieje, napłynęła fala tkliwego uczucia. Jednocześnie ogarnęło ją przygnębienie. To nie ona, lecz jakaś inna kobieta będzie troszczyć się o jej dziecko, sprawdzać, czy widać jeszcze znamię, czy nie szpeci ono dziewczynki.

Nie wiedząc, co powiedzieć, odwróciła się plecami do szyby. W milczeniu wróciły do sali, gdzie Rose usiadła na łóżku, a Effie na krześle. W pokoju panował ożywiony ruch i

gwar, pacjentki śmiały się i rozmawiały, część szła z kosmetyczkami do umywalni, ustawiając się tam w kolejce, jedna z kobiet upinała drugiej włosy, inna ścieliła sobie łóżko. Wszystko toczyło się tak naturalnym trybem, że Rose poczuła nagle, iż nie może dłużej izolować się od reszty niczym istota z obcej planety.

- Nie musisz jej oddawać, wiesz? - odezwała się nieoczekiwanie Effie. Machinalnie miała w rękę rąbek koca.

- Co masz na myśli?

- A jak ci się zdaje?

- Nie mów tak! Muszę ją oddać. Moi rodzice...

- Obowiązują już nowe przepisy. Wcale nie musisz jej oddawać - powtórzyła z uporem Effie.

Rose przetrawiała tę informację. Nie, to niemożliwe... Ale przed jej oczami pojawił się już obraz dziecka. Czarny meszek na głowie, drobniutkie piąstki, ciemne znamię... To jej dziecko! Może dać mu - a właściwie jej - imię, a potem byłyby zawsze razem. I to ona, a nie ktoś obcy, martwiłby się o znamię.

- Przecież ja się w ogóle nie znam na dzieciach - wyszeptwała.

- A ja tak! - zawołała Effie. - Niańczyłam już małe dzieci - dodała, jakby chciała uprzedzić ewentualne pytania. Ale Rose nie zwróciła nawet na to uwagi. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Ona i Effie we wspólnym mieszkaniu - razem z dzieckiem. Pomysł wydawał się dziwaczny, ale jednak sprawiał przyjemność. Dziecko, jej dziecko, może mieć rodziców, a właściwie dwie matki... Ona mogłaby pójść do pracy, tak jak Effie... Pracowałyby w różnych porach dnia, na przykład jako kelnerki. Dla Effie zajęcie się dzieckiem byłoby korzystne, przyjaciółka potrzebuje tego! Ona, Rose, byłaby skończoną egoistką, oddając małą do adopcji, podczas gdy Effie tak rozpaczliwie pragnie być matką!

Znowu ujrzała swoją małą córeczkę, ładną buzię i śliczne brwi nad lekko skośnymi oczami.

Ale co by powiedziała jej matka? Jednego Rose była pewna: jeśli zatrzyma dziecko, odetnie sobie możliwość powrotu do Sundarbans.

- Myślisz naprawdę, że mogłybyśmy tak zrobić? - zapytała.

- Jasne! Jak dwa i dwa cztery! - zawołała Effie. Spojrzała bacznie na Rose. - Czy podpisywałaś już jakieś papiery?

Rose zmarszczyła brwi, sięgając pamięcią wstecz.

- Chyba nie - mruknęła wreszcie. - W każdym razie nic, co by miało w tej sprawie decydujące znaczenie.

- Doskonale! - ucieszyła się Effie. - A więc jesteśmy rodziną, my dwie i dziecko!

Rose zeskoczyła z łóżka.

- Wracajmy tam i popatrzmy na nią jeszcze trochę - poprosiła. - Będziemy musiały wymyślić dla niej jakieś imię - dodała, kiedy wyszły na korytarz.

- I ochrzcić ją - przypomniała Effie. - Jak myślisz, czy powinniśmy zrobić to tutaj, to znaczy w Londynie? A może dopiero jak przyjedziemy do Dublina?

- Chciałabym, żeby się to odbyło w obecności siostry Benvenuto - wyznała Rose. - Była dla mnie bardzo dobra.

- W porządku - odparła Effie. - A więc ochrzczimy małą tutaj.

Już teraz zachowujemy się jak para małżeńska, uśmiechnęła się w duchu Rose.

Stały ponownie przed szybą izby noworodków i Effie zastukała delikatnie, przywołując gestem pielęgniarkę, która rozmawiała z nimi parę minut wcześniej. Kobieta podeszła do drzwi.

- Słucham panie?

- Chciałybyśmy wejść, popatrzeć na dziecko, jeśli to możliwe - powiedziała Effie.

- Nie oddamy dziecka do adopcji - wyjaśniła czym prędzej Rose.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 11

- Rose! Rose O'Beirne Moffat!

Przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego sklep z artykułami piśmiennymi przy O'Connell Street pękał w szwach od klientów i w tym tłoku Rose nie od razu się zorientowała, kto ją woła. Taszcząc oburącz zeszyty i różne przybory rozejrzała się wokół siebie, ale bez rezultatu. W pewnej chwili ktoś pociągnął ją z tyłu za rękaw.

- Rose!

Odwróciła się i ujrzała tęgawą kobietę w wieku trzydziestu paru lat, a więc swoją rówieśnicę. Nieznajoma, szeroko uśmiechnięta, zdawała się nie przejmować zaskoczeniem widocznym na twarzy Rose.

- Nie poznajesz mnie? - zawołała. - Czyżbym zmieniła się aż tak bardzo? Bo ty wyglądasz jak dawniej - dodała.

Dopiero gdy Rose usłyszała ten głos, zorientowała się, z kim rozmawia.

- Dolores! - wykrzyknęła.

- Właśnie - ucieszyła się Dolores. - Bingo! Nieraz myślałam o tobie, zastanawiałam się, co porabiasz. A teraz widzę, że cokolwiek było, dałaś sobie radę. Wyglądasz po prostu wspaniale. Jak modelka. W pierwszej chwili cię nie poznałam... przez te wysoko upięte włosy... Nie jesteś przypadkiem modelką? Wiesz, ja wcale nie żartowałam, kiedy mówiłam, że nic się nie zmieniłaś.

W ostatniej chwili Rose powstrzymała się od odwzajemnienia komplementu. Jej przyjaciółka ze szkoły zmieniła się prawie nie do poznania: kręcone, utlenione włosy przypominały siano, pulchne łydki zdawały się wylewać z butów, czarna suknia opinała się mocno na korpulentnym ciele, podwójny podbródek zakrywał naszyjnik z pereł, gdy tylko Dolores poruszyła głowę. Rose starała się nie okazywać wstrząsu, jakiego doznała na widok przyjaciółki.

- Przepraszam, że nie poznałam cię od razu - powiedziała. - Jestem po prostu rozkojarzona przez to wszystko... - Wskazała na stos przyborów szkolnych, które zakupiła. - Nie cierpię początku września.

- Ani ja - przyznała Dolores, jeszcze bardziej objuczona zakupami niż Rose. - Ale taki już nasz los, matek! Dzieci to małe leniwce, lecz nic na to nie poradzimy... Masz chwilę czasu na kawę albo coś w tym rodzaju?

- Naturalnie - odparła Rose głosem, który nawet jej samej wydał się zbyt

entuzjastyczny. - Poczekaj chwilę, tylko zapłacę za te sprawunki.

Stojąc w kolejce do kasy, zastanawiała się gorączkowo, o czym mogłaby rozmawiać z dawną przyjaciółką. Kiedyś utrzymywały bliski kontakt, jednakże od ich ostatniego spotkania, owej pamiętnej wizyty Dolores w Sundarbans, upłynęło tak wiele czasu! Początkowo pisywały do siebie listy, ale przepaść pomiędzy życiem Rose w Magdalen Home a problemami Dolores w szkole okazała się zbyt duża. Swój ostatni list do przyjaciółki Rose wysłała parę tygodni przed rozwiązaniem.

- Przykro mi, że nie odpisałam na twój ostatni list - powiedziała teraz. - Po prostu...

- Daj spokój, nic nie mów! Przecież od tamtej pory upłynęły już wieki! Zresztą jestem tak samo winna jak ty. Powinam była napisać powtórnie...

- Wiesz, jak to jest... byłam tuż przed porodem...

- Mówiłam już, żebyś do tego nie wracała. Najważniejsze, że się jednak spotkałyśmy.

- Stojąc za Rose w kolejce, Dolores paplała na rozmaite tematy: mówiła o bezwstydnie wysokich cenach podręczników, o nowinkach politycznych, głównie o pogłoskach, jakoby część przywódców irlandzkich była zamieszana w nielegalny handel bronią, o częstych ostatnio porwaniach samolotów, o napływie robotników drogowych i budowlanych do Dublina. Był to właściwie monolog i Rose mogła jedynie przytakiwać czasem lub kręcić głową, gdyż tamta nie dopuszczała jej do głosu.

- Gdzie teraz mieszkasz, Dolores? - zapytała wreszcie, kiedy odeszły od kasy i czekały na zapakowanie sprawunków.

- W Monkstown.

- To chyba piękna okolica? Obok masz morze?

- Wystarczy przejść na drugą stronę drogi - odparła Dolores. - To Longford Terrace.

Znasz te domy?

Owszem, Rose widziała je niejeden raz. Osiedle wysokich, eleganckich domów należało do najpiękniejszych w mieście. Dolores nieźle się ustawiła w życiu, pomyślała.

Weszły w tłum ulicznych przechodniów.

- Możemy pójść do Bewleya - zaproponowała bez zbytniego entuzjazmu. Wiał silny wiatr i perspektywa wystawienia się na jego ostre porywy, kiedy będą przechodziły przez most, obładowane zakupami, nie była nęcąca.

- Nie ma mowy! Miałyśmy przecież tylko wpaść na kawę. Wystarczy nam „Cafolla”!

- odparła Dolores, wskazując głową na lodziarnię po drugiej stronie szerokiej ulicy. Nie czekając na Rose, wtargnęła na jezdnię i poczęła torować sobie drogę między samochodami niczym mały, lecz zdecydowany na wszystko buldog.

Lodziarnia była na wpół pusta, więc bez trudu znalazły stolik.

- Uff! - odetchnęła z ulgą Dolores, kiedy już zdołała jakoś rozmieścić pakunki wokół krzesła. - Nie cierpię robienia zakupów! - Przywołała kelnerkę i, nie pytając nawet Rose, na co ma ochotę, zamówiła dwie kawy. - I jakieś ciasteczka. Możemy przecież poszaleć, prawda? - zachichotała radośnie. - Nie co dzień spotyka się swoją najbliższą przyjaciółkę szkolną... Ile to już lat minęło? Szesnaście, siedemnaście?

- Chyba siedemnaście - odparła Rose. Czuła wyrzuty sumienia za sposób, w jaki reagowała na to nieoczekiwane spotkanie: już teraz zastanawiała się, kiedy wreszcie będzie mogła się pożegnać, nie naruszając zasad dobrego wychowania. Ale dlaczego? Co się z nią dzieje? Przecież dawniej uważała Dolores za swoją najlepszą przyjaciółkę!

- Boże, ależ ten czas leci! - westchnęła Dolores i skrzyżowała ręce na tłustych piersiach. - A teraz... opowiadaj o wszystkim! - zażądała. - Jak ci leci, Rose O'Beirne Moffat?

- Przede wszystkim... - Rose postanowiła zachować spokojny i uprzejmy ton głosu - ... nie jestem już Moffat. I znudziło mi się wyjaśnianie dlaczego. W każdym razie jestem teraz po prostu Rose O'Beirne.

- Szkoda! - wpadła jej w słowo Dolores. - Bo jakoś odpowiadało mi, że mam przyjaciółkę o podwójnym nazwisku. Ale mów dalej... Co porabiałaś? Cokolwiek to było, wyszło ci na dobre. Na pewno nie jesteś modelką?

- Na pewno - roześmiała się Rose. - Pracuję jako stewardesa... już od lat. A czym ty się zajmujesz?

- Stewardesa! A to dopiero! Wiedziałaś, że musisz mieć jakiś fascynujący i niezwykły zawód! - szepnęła Dolores. Upierścienioną dłońią wykonała nieokreślony gest w powietrzu. - U mnie nic wielkiego. Jestem mężatką, to oczywiste, mam dzieci...

- Ile?

- Siedmioro.

- Siedmioro! - wykrzyknęła Rose, starając się wpleść w swój głos ton podziwu. - A więc musiałaś chyba wyjść za mąż od razu po szkole!

- Aha - przytaknęła Dolores. - Poszłam na studia, zdobyłam też kwalifikacje technika radiografa, ale wtedy poznałam na zajęciach Murty'ego... no i tak się to zaczęło.

- A czym się zajmuje... eee... Murty?

- Jest dentystą - odparła z dumą Dolores. - Na początku musiałam kilka lat pracować, aby pomóc mu zdobyć specjalizację, ale potem przyszedł na świat mały Denis i... no, wiesz chyba, jak to jest.

- Masz samych chłopców czy córki też?

- Jednego chłopca i sześć dziewczynek. - Dolores parsknęła śmiechem. - Ale mężczyźni mają swoje pragnienia. Murty nie spocznie, dopóki nie zjawi się jeszcze kilku jego następców.

- A więc zamierzasz mieć więcej dzieci?

- Murty twierdzi, że chciałby równy tuzin.

- Ale... Dolores, czy ty też tego chcesz? - Rose nie potrafiła ukryć zaskoczenia. - Chcesz mieć dwanaścioro dzieci? Przecież już teraz wyglądasz na... na trochę przemęczoną!

- Naprawdę? - Dolores zmarszczyła brwi. - Może... Ale z dziećmi nie mam już wiele pracy, są prawie odchowane. Denis kończy niedługo trzynaście lat, a Mags... to najstarsza z córek... zajmuje się dzielnie młodszymi. Ostatnio mam nawet czas pograć trochę w golfa.

- W golfa?

- Tak, to wspaniały relaks. Jakaś odmiana, wiesz? A Murty jest członkiem Elm Park. To dobra drużyna.

Kelnerka przyniosła już kawę i talerz z kremówkami. Dolores wzięła jedną z nich i ugryzła tak łapczywie, że trochę kremu kapnęło jej na pierś.

- Hopla! - zawołała, wycierając płamę dłonią. - To nic, ten ciuch i tak ma już swoje najlepsze lata za sobą... Ale teraz - dodała, odgryzając drugi kęs - dość już o mnie. Opowiedz coś o sobie. O rodzinie.

- No więc... - zaczęła bez entuzjazmu Rose. - Matka i tata są zdrowi. A babcia... poznałaś ją wtedy, nieprawdaż? Podczas świąt Bożego Narodzenia?

- Tak.

- Babcia umarła, zaledwie parę miesięcy potem. Przewróciła się, złamała sobie biodro i ramię, i wtedy wzięli ją do szpitala. Wyglądało na to, że będzie dobrze, ale, niestety, przyplątało się zapalenie płuc. Nawet nie wiem dokładnie, jak do tego doszło. W każdym razie umarła... No, ale teraz ty. - Zmusiła się do uśmiechu. - Czym się zajmujesz?

- Najpierw ty dokończ. Jesteś stewardesą w Air Lingus? A co z twoimi planami? Chciałaś pisać książki.

- Nigdy nie napisałabym czegoś na tyle dobrego, że nadawałoby się do wydania - roześmiała się Rose. - Ale nadal piszę różne rzeczy... na własny użytek. Może kiedyś wyślę coś do jakiegoś czasopisma, ale, prawdę mówiąc, nie mam teraz głowy, żeby bawić się w coś takiego. Praca stewardesy odpowiada mi, a rozkład zajęć - zwłaszcza zimą - sprawia, że mniej latam i mogę spędzać więcej czasu w domu, z Dariną.

- Z Dariną?

- To moja córka - wyjaśniła Rose cichym głosem.

- Ta sama?... - Ręka Dolores, która trzymała resztkę ciastka z kremem, zawisła w powietrzu.

- Owszem, ta sama. Urodziła się w Londynie i wszystko poszło zgodnie z planem... Nie pamiętam już, czy ci pisałam, że zamierzam oddać dziecko do adopcji... Ale kiedy je zobaczyłam, zrozumiałam, że nie zdobędę się na taki krok.

- Wiem, co musiałaś czuć - mruknęła Dolores. - Są cudowne jako maleństwa, czyż nie? - Oblizła palce po kremie. - Założę się, że dziecko wprowadziło do domu trochę zamieszania...

- Tak, trochę. Ale Darina była i jest nadal najważniejszą osobą w moim życiu. Ważniejszą, niż spodziewali się tego moi rodzice. Tata pogodził się z tym niemal od razu. Uwielbia Darinę i odwiedza nas regularnie. Co najdziwniejsze... skoro już wspomniałaś o moich ambicjach literackich... Czy uwierzysz, że Darina marzy o tym samym?

- Niemożliwe! Sądziś, że myśli o tym poważnie?

- Jeszcze za wcześnie, aby powiedzieć coś pewnego. Byłam w jej wieku, kiedy myślałam o tym bardzo poważnie. I co z tego wynikło? Ale, moim zdaniem, ona ma prawdziwy talent. I nie mówię tego, żeby wychwalać własną córkę. Tak oceniła ją nauczycielka angielskiego, kiedy widziałyśmy się ostatnim razem.

- To zdumiewające... Mam na myśli dziedziczenie genów. A co z twoją matką? Jak się odnosi do Dariny?

- Niestety, matka i ja nie widujemy się w ogóle - mruknęła Rose.

- Z pewnością jednak, kiedy zobaczyła swoją wnuczkę po raz pierwszy...

- Ona jej nigdy nie widziała.

Dolores wstrzymała oddech.

- Chcesz powiedzieć, że nie przywiozłaś nigdy dziecka do swojej matki? A co z chrzciniami?

- Darina została ochrzczona w Londynie. A z matką rozmawiam nieraz przez telefon, ale od dnia porodu nie widziałyśmy się ani razu.

Dolores zagwizdała cicho.

- Nawet na pogrzebie twojej babci?

- Wiesz... bardzo teraz tego żałuję, ale nie pojechałam na pogrzeb. Kiedy babcia umarła, Darina była jeszcze bardzo malutka, a poza tym absorbowała mnie wtedy przeprowadzka z Londynu do Dublina.

- A więc Darina nie widziała nigdy... och, zapomniałam, jak nazywa się ten piękny dom...

- Sundarbans.

- Właśnie, Sundarbans... Czyli twoja Darina nie widziała ani razu swojej rodowej siedziby?

- Nie, jeszcze nie. Ale niedawno parę razy wspomniała, że chciałyby ją zobaczyć... Wiesz, jakie są dzieci w tym wieku! Z pewnością wyobraża sobie, że to jakieś zamczysko czy coś w tym rodzaju. - Machinalnie przesuwiała ciastko po talerzu. - Matka nie wybaczyła mi do tej pory. I nigdy tego nie robi. Owszem, od kilku lat przesyła mi prezenty na gwiazdkę... I jeśli mam być szczerą... mogłabym pojechać tam sama, może nawet powinnam. Tata mówi, że matka coraz częściej uskarża się na bóle głowy. I wiem, że gdybym była dobrą córką, pojechałabym ją odwiedzić. Ale nie zamierzam wyprzeć się Dariny, pojechać do Carrickmacross jakby nigdy nic i udawać, że moja córka nie istnieje.

- Och, Rose, jestem pewna, że twoja matka zapragnie w końcu ujrzeć swoją jedyną wnuczkę. Jestem tego najzupełniej pewna.

To była znowu ta dawna, serdeczna Dolores.

- Może... któregoś dnia - odparła Rose. - Zobaczymy. Ale ty nie znasz dobrze mojej matki. Umarłyby na skutek szoku, gdybym zjawiała się na terenie jej parafii z dorosłą, lecz nieślubną córką. Nie mam zamiaru narażać Dariny na tego typu emocje. I tak cierpi już z tego powodu, że nie ma ojca. Ale cała sprawa będzie musiała jednak znaleźć wreszcie jakieś rozwiązanie. Nie mogę ciągnąć tego w nieskończoność i trzymać Dariny z dala od rodzinnego domu. Tym bardziej że ona tak bardzo kocha mojego tatę! Może zimą, na Boże Narodzenie...

- Upiła łyk kawy.

- Jasne, mogłabyś pojechać któregoś dnia, kiedy matki nie będzie w domu. Wsiądziesz do autobusu albo pojedziesz samochodem... Twoja matka nie musi nawet wiedzieć, że tam jesteś - podsunęła rzeczowym tonem Dolores.

- Chyba żartujesz! Marnotrawna córka miejscowych osobistości zjawia się nieoczekiwanie w rodzinnych stronach, a moja matka miałaby o tym nie wiedzieć? Usłyszała-
by o wszystkim już po kilkunastu minutach!

- A więc nigdy nie wyszłaś za mąż? - zapytała po chwili Dolores.

- Nie. - Rose pokręciła głową. - Po pierwsze, byłam zbyt zajęta... Wiesz, większość czasu i energii pochłonęły mi starania, aby utrzymać się razem z córką na powierzchni. Kiedy przyjechałam do Dublina, musiałam początkowo podejmować się różnych prac. Byłam kelnerką, a potem sekretarką, ale tak kiepską, że podziękowano mi już po tygodniu. - Uśmiechnęła się na samo wspomnienie tamtego dnia. - A ponieważ chodziło o zapewnienie przyzwoitego poziomu życia, ze względu na Darinę, przejściowo podjęłam się nawet

sprzątania w biurze. Pracowałam nocami.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie, Rose O'Beirne Moffat, w roboczym kitlu!

- Cóż, to było konieczne - szepnęła Rose. - I trwało osiem miesięcy. Chyba był to najgorszy okres w moim życiu, może nawet gorszy niż pobyt w londyńskim klasztorze. Potem znalazłam pracę w klubie, gdzie przynajmniej dostawałam przyzwoite napiwki, a po jakimś czasie przeczytałam w gazecie ogłoszenie o wolnych posadach w Air Lingus. Na szczęście udało mi się i nikt nie pytał mnie tam o moje sprawy rodzinne. Była to jedna z tych nielicznych sytuacji, kiedy wytworne nazwisko i adres rodowej siedziby zadziały na moją korzyść. W Air Lingus do dziś nie mają pojęcia o istnieniu Dariny. - Uśmiechnęła się gorzko. - Ale nie dałabym sobie rady, gdyby nie Effie. To moja przyjaciółka, od początku mieszkaliśmy razem. Ze swojej pracy wywiązuje się tak dobrze, że jej szef pozwala, aby wykonywała ją częściowo w domu. I w ten sposób sobie radzimy. Teraz, kiedy Darina zaczyna się usamodzielniać, jest jeszcze łatwiej. W każdym razie - dodała - nie zostawało mi wiele czasu na życie towarzyskie. Nie twierdzę, że w moim życiu nie było mężczyzn, trafiło się nawet wielu, ale nie spotkałam nikogo, kto paliłby się do związania z nami dwiema na stałe.

- Aż trudno uwierzyć, Rose! Przecież jesteś tak wspaniałą kobietą!

- Och, niektórzy z nich wydawali się nawet chętni, ale zawsze coś stawało w końcu na przeszkodzie. Szczerze mówiąc, Dolores, jest mi teraz bardzo dobrze. Darina, Effie i ja tworzymy zgraną rodzinę. Pod tym względem moja córka okazała się w czepku urodzona - wychowały ją dwie matki.

Dolores wzięła następne ciastko.

- A co z... Tomem? - zapytała, nie patrząc na Rose. - Tak się chyba nazywa, czyż nie?

- Nie. Nazywa się John - sprostowała Rose. - John Flynn.

- Widziałaś się z nim od czasu... Czy Darina wie?

- Nie - odparła powoli Rose. - I wcale nie mam ochoty się z nim spotkać. Może Darina zechce kiedyś to zrobić, ale chyba nieprędko.

- Opowiedziałaś jej o nim?

Rose zawahała się.

- Już dawno temu postanowiłam nigdy jej nie okłamywać. Dlatego wyjaśniałam jej wszystko, o co mnie pytała. Na przykład wie, że John wyemigrował do Kanady. To dziwne...

- Rose oglądała teraz bacznie swoje paznokcie. - Ale podobno wrócił do domu, usłyszałam o tym dopiero niedawno. No i zaskoczyło mnie, że spotkałyśmy się obie po tylu latach! - Podniosła wzrok na Dolores. - Wiesz, jak to nieraz bywa? Nie masz o kimś wieści przez

długie lata, a potem ktoś rzuca w rozmowie jego imię i nagle wszystko staje ci znowu przed oczyma, jak dawniej... Tamtego dnia wspomniał o nim tata. Okazuje się, że John wrócił z Kanady dawno temu, a teraz jest kimś w rodzaju hotelarza i... Czy .dasz wiarę? On i jeszcze kilka innych osób założyli spółkę, a teraz namawiają tatę, aby zgodził się przekształcić Sundarbans w hotel.

- A co ty o tym myślisz?

- Sama nie wiem - przyznała Rose. - Dom podupada coraz bardziej, a tata stracił już nadzieję na zdobycie odpowiednich środków, aby go wyremontować. Może więc hotel byłby odpowiednim rozwiązaniem. Nie chciałabym, aby dom popadł w całkowitą ruinę, ani żebyśmy sprzedali go za lichą garstkę funtów jakimś bogatym Amerykanom, którzy zbudowaliby potem w moim ulubionym ogrodzie olbrzymi basen.

- Ale wtedy John Flynn będzie zarządzał hotelem! Co by na to powiedziała twoja matka?

- Mówiąc szczerze, Dolores - uśmiechnęła się Rose - to właśnie pociąga mnie w tej sprawie najbardziej. Taka sytuacja dobrze by jej zrobiła. Chciałabym zobaczyć jej minę, gdyby musiała odwołać to, co mówiła zawsze na temat biednego dzierżawcy ze stróżówki, i uświadomić sobie, że bez jego pomocy nie miałyby już dachu nad głową. - Dopiła swoją kawę. - Ale... wiesz... rodzice nigdy nie rozmawiali ze mną o tym, kto jest ojcem Dariny. Tego dnia, kiedy tata wspomniał o sprawie hotelu, po raz pierwszy usłyszałam z jego ust imię Johna.

- Zdajesz sobie przecież sprawę, że to by oznaczało wasze spotkanie... twoje i Johna. Co ty na to?

- Powiedziałam ci już: nie mam pojęcia. Był czas, kiedy go nienawidziłam, nienawidziłam z całego serca. Ale teraz to już odległa przeszłość, która traci dla mnie znaczenie.

Nie mówiła prawdy. Bywały dawniej momenty, nawet dość częste, kiedy pragnęła gorąco spotkać się z Johnem. Nadal pojawiał się w jej marzeniach, a nieraz - zwłaszcza gdy poznawała mężczyznę o imieniu John - przypominała sobie tamten dzień nad jeziorem, kiedy obmył starą łódź, a potem wiosłował w kółko, czekając, aż ławeczka obeschnie, gdyż nie chciał, aby pobrudziła sobie białą sukienkę.

Dolores bawiła się machinalnie swoim naszyjnikiem z pereł.

- Co on ci właściwie zrobił, że znienawidziłaś go tak bardzo? - zapytała.

Rose zaczynała już żałować, że powiedziała zbyt wiele.

- Nic - mruknęła tonem, który ostrzegł Dolores, aby nie była zbyt ciekawska.

Odstawiła filiżankę. - Zresztą - dodała spokojniejszym głosem - John Flynn ma już z pewnością żonę i siedmioro dzieci, jak ty.

- A nie zapytałaś ojca? To znaczy... czy John założył rodzinę?

- A po co miałabym o to pytać? - obruszyła się Rose. - Już ci mówiłam, że nigdy nie rozmawiałam z ojcem o Johnie. I nie zamierzam tego zmieniać. Poza tym nie byłam w domu rodziców. Moim domem jest teraz Dublin. Drumboola i ludzie tam zamieszkali w moim odczuciu znajdują się o miliony mil stąd. Stykam się w mojej pracy z wieloma osobami, także na gruncie towarzyskim, ale nie pamiętam, abym spotkała tu choć raz kogoś z hrabstwa Monaghan, a co dopiero mówić o Drumbooli! Nie obchodzi mnie, czy John Flynn założył rodzinę, czy też nie. To by i tak nie było już jak dawniej. W ciągu tych wszystkich lat zmieniłam się - dodała. - Nawet bardzo. A John z pewnością zmienił się w jeszcze większym stopniu. Mogę się założyć, że nie znaleźlibyśmy teraz wspólnego języka.

Im dłużej mówiła, tym wyraźniej uświadamiała sobie, jak nieprzekonywająco brzmia jej słowa. Spotkanie z Dolores poruszyło wiele emocji; sądziła do tej pory, że pogrzebała je w zakamarkach duszy raz na zawsze. Musi więc przerwać tę rozmowę, zanim zdemaskuje się jeszcze wyraźniej.

Spojrzała na zegarek.

- Mój Boże, już tak późno? Obiecałam Effie i Darinie, że wrócę przed szóstą. - Trzeba coś zrobić, aby przy pożegnaniu nie umówić się z Dolores na kolejne spotkanie, pomyślała. To doprawdy nadzwyczaj trudne odświeżyć raz utraconą zażyłość!

Poczuła się zażenowana, kiedy Dolores powiedziała cicho: - Już dobrze, Rose, nie przejmuj się. - Środkowym palcem prawej dłoni zgarnęła w jedno miejsce okruchy ciasta na swoim talerzu i ugmiotła je w kulkę. - Nie będę wścibiać nosa w twoje życie - dodała. - Wiem, że to, co było kiedyś między nami, nie może się już odrodzić. Nasze drogi się rozeszły, podobnie jak twoja i Johna. Rozeszły się o całe mile. Mój sposób życia uznałabyś teraz zapewne za zbyt mieszczański i bezsensowny. To nic - dodała czym prędzej, kiedy Rose chciała zaprotestować. - Nie przejmuj się tym. W każdym razie było mi bardzo miło, że mogliśmy znowu porozmawiać po tylu latach. - Zaśmiała się i pogłaskała Rose po dłoni. - Nie rób takich oczu... jak zraniona łania. Naprawdę nie jestem urażona. Z przyjemnością wspominam czasy, kiedy byłam twoją przyjaciółką i mogłam coś dla ciebie zrobić. Ładne dziewczęta, a do tego dobrze urodzone, takie jak ty, zawsze przyciągały do siebie innych ludzi. Raduj się tym, to dar natury. Ja też bym to robiła, to znaczy akceptowała ten dar, gdybym wyglądała jak ty. I bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa.

- A ty, Dolores? Czy jesteś szczęśliwa?

- Chyba... chyba tak - odparła powoli Dolores. - Bóg wie, jak często Murty mówi mi, że życie uśmiechnęło się do mnie...

- I ma rację. Masz siedmioro zdrowych dzieci, to nie byle co.

- Nie oddałabym żadnego z nich, Rose, za nic na świecie. Kocham każdy włoskę na ich głowach. Ale zawarłabym pakt z samym diablem, gdyby obdarzył mnie twoim wyglądem.

- Och, Dolores, proszę, nie...

- Mówię ci teraz o tym, jakie jest życie, Rose! - Dolores zaczęła zbierać z podłogi swoje pakunki. - Kiedyś pytałaś mnie o radę. Moja rada na dziś brzmi tak: wykorzystaj swój wygląd. Wiem, że nie jesteś świadoma jego wartości, ale tak to już bywa z naprawdę ładnymi kobietami. Tylko że uroda nie trwa wiecznie, Rose. - Spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. - Wiem, że w tej chwili żyjesz wyłącznie Dariną, ale pomyśl o tym, co się stanie, kiedy ona opuści twój dom. A przecież do tego dojdzie, może już niebawem. Spójrz na sytuację swojej matki: od szesnastu lat nie widziała na oczy jedynej córki. - Uciekła spojrzeniem w bok. - To, co teraz powiem, nie jest może moją sprawą, ale i tak będziesz musiała tego wysłuchać. Zawsze lubiłam wścibiać nos w nie swoje sprawy. - Zachichotała, - Im więcej przybywało mi lat, Rose, tym więcej udawało mi się czytać między wierszami, słuchając ludzi i patrząc na ich twarze. Według mnie, panno Rose O'Beirne, wbrew temu co twierdzisz, nadal kochasz tego Johna Flynną. - Podniosła wzrok na Rose. - I to już koniec mojej przemowy. Wybacz mi.

Zapłaciły i wyszły na ulicę.

- O, mam właśnie taksówkę - powiedziała Dolores. - Bywaj zdrowa, Rose, było mi bardzo miło, naprawdę. I życzę ci wszystkiego najlepszego. - Odeszła, nie oglądając się za siebie. Zanim zbliżyła się do jezdni, zniknęła w tłumie ludzi wracających z biur do domów.

* * *

Rose, zmęczona już samym robieniem zakupów, nie znalazła w autobusie wolnego miejsca, aby usiąść, i kiedy pół godziny później weszła do mieszkania, była rozdrażniona. Jej nastroju nie poprawił bynajmniej widok gabardynowego płaszcza Dariny, leżącego niedbale na środku podłogi.

- Darino! - zawołała.

- Słucham, mamó? - Głos córki dobiegł z jej sypialni na piętrze.

- Natychmiast zejdz na dół i podnieś to! - krzyknęła Rose ostrzejszym tonem, niż wymagała tego sytuacja; do zmęczenia fizycznego dołączyło się poruszenie wywołane spotkaniem z Dolores.

Drzwi na górze otworzyły się.

- Co mam podnieść?

- Swój szkolny płaszcz. Natychmiast!

- Już się robi. - Darina zeszła po schodach na dół. - Co cię ugryzło? - Podniosła płaszcz i powiesiła w holu. - Wstało się rano lewą nogą, tak?

- Nie bądź niegrzeczna! - Jednak widok otwartej, rozpromienionej twarzy córki złagodził jej irytację. - Przepraszam - powiedziała. - Jestem po prostu zmęczona.

- To dla mnie? - Darina spojrzała na torbę z zakupami.

- Aha. Mogłabyś się zrewanżować, przynosząc mi filiżankę herbaty. - Rose wysypała na krzesło zawartość torby i przeszła do salonu, gdzie rzuciła się na kanapę.

Parę minut później ukazała się Darina, niosąc ostrożnie tacę z filiżanką na spodeczku.

- Dziękuję - mruknęła Rose. - Jak w szkole?

- Och, wszystko po staremu. Same nudy. Zawsze będę twierdzić, mamó, że irlandzki system edukacji nie jest odpowiedni dla kogoś takiego jak ja. Nie ma w nim przedmiotu, który mógłby mnie zainteresować. Szekspir i Milton na pamięć! Wyobrażasz sobie? Ale na temat spraw istotnych, takich, które naprawdę liczą się w życiu, wiem więcej niż którykolwiek z moich nauczycieli!

Rose westchnęła.

- I znowu wracamy do tego samego punktu! Bez względu na to, czy nasz system nauczania ci odpowiada, czy nie, musisz go zaakceptować. A jeśli chodzi o twoje zamiłowania, filozofia lub zen, którymi tak bardzo się interesujesz, nie dadzą ci potem chleba. Musisz na razie zacisnąć zęby. Ale nie na długo. Najgorsze masz już za sobą. Mówiłam ci to nieraz: podetniesz gałąź, na której siedzisz, jeśli nie postarasz się uzyskać dobrego świadectwa ukończenia szkoły. - Pijąca herbatę drobnymi łyčzkami Rose zdawała sobie sprawę, że jej słowa brzmią w uszach córki jak zdarta płyta gramofonowa, postanowiła więc złagodzić nieco ich wymowę. - Pomyśl o tym. Jeśli wyłączysz się z tej gry, możesz skończyć jako stewardesa, podobnie jak ja.

- A cóż złego jest w tym, co robisz? Praca jak wiele innych. Doskonale sobie z nią radzisz.

- Daj spokój, przecież obie wiemy, że nie tego oczekujesz od życia. Mówiąc twoim językiem, zawód stewardesy to głupawa paplanina z pasażerami. A twoje plany dotyczące studiów? Przecież nie wątpisz chyba ani przez chwilę, że znajdziesz coś, co będzie odpowiadało twoim intelektualnym zainteresowaniom i teoriom...

- Mamó, proszę, tylko bez tego sarkazmu, nie do twarzy ci w nim! - powiedziała Darina, ale jednocześnie uśmiechnęła się i musnęła dłonią policzek matki. - Mówiłam ci już

wiele razy, że będę kimś wyjątkowym. Poczekaj trochę, a sama zobaczysz!

- Przynajmniej daj mi znać, kiedy już podejmiesz jakąś decyzję - westchnęła Rose. Zerknęła na córkę. Czasem, kiedy obserwowała ją ukradkiem, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że istotnie jest w niej coś niezwykłego. Patrząc teraz na zdecydowaną minę Dariny, na jej błyszczące oczy, pomyślała przez moment, że pewnie wszystkie matki uważają swoje dzieci za niezwykłe.

- Będiesz nikim - powiedziała - jeśli nie pójdziesz w tej chwili na górę, żeby się zająć nauką.

- Nauka, wypracowania domowe! - parsknęła Darina, wychodząc z salonu. - To jedyna rzecz, o jakiej myślą dorośli i nauczyciele.

* * *

Nieoczekiwane spotkanie z Dolores zaprzętało myśli Rose cały wieczór, nie pozwalało zainteresować się niczym innym. Około dziewiątej wstała od stołu, gdzie wraz z Effie przeglądały listę gości i uzgadniały szczegóły mającego się odbyć za trzy tygodnie ślubu przyjaciółki.

- Wybacz mi - powiedziała Rose - ale nie potrafię się skupić. Napijesz się herbaty albo kawy? A może masz ochotę na coś mocniejszego?

- Chyba tak - odparła Effie, odsuwając papiery na bok. - Napiłabym się dżinu z tonikiem.

Podobnie jak cały personel linii lotniczych, również Rose miała dobrze zaopatrzone barek. Dla Effie zmieszała dżin z tonikiem, dla siebie przyrządziła kieliszek campari z odrobiną wody sodowej. W ciągu tych wszystkich lat, które obie spędziły pod jednym dachem, udało im się na koniec pogodzić swoje upodobania muzyczne; dlatego też z adapteru ustawionego na barku płynął najczęściej aksamitny głos - śpiewał Nat King Cole. Darina była teraz na górze i odrabiała lekcje, taką przynajmniej nadzieję miała Rose, a one we dwie mogły sobie posiedzieć w przytulnym salonie i pogawędzić.

Rose podeszła ze szklaneczkami do kanapy, ustawionej pomiędzy dwoma wykuszowymi oknami. Przestronne, widne mieszkanie, które miało trzy sypialnie, zajmowało górną część domu, jednego z wysokich, solidnych budynków przy Drumcondra Road. Miejsce było dogodne zarówno dla Rose, ze względu na niewielką odległość od lotniska, jak i dla Effie, która już wcześniej ukończyła kurs księgowości, a obecnie pracowała w pewnej firmie handlowej.

Wszystkie trzy sypialnie znajdowały się na poddaszu; reszta pomieszczeń zajmowała

niższe piętro. Rose usiadła na kanapie i powiodła dokoła zadowolonym wzrokiem. Pokój emanował ciszą i spokojem, wysoki ozdobny sufit i pastelowa, brzoskwiniowo - kremowa kolorystyka całości zawsze dawały jej poczucie satysfakcji i zadowolenia. Pokochała ten salonik natychmiast, gdy tylko ujrzała go po raz pierwszy.

- Będzie mi ciebie brakowało, wiesz? - odezwała się do przyjaciółki, upijając łyk swego drinka. Zsunęła buty z nóg i poruszyła palcami, rozkoszując się nastrojową muzyką i spokojem. - Przeżyliśmy razem szmat czasu.

- Tak, ale pamiętaj, że nie tracisz przyjaciółki, lecz zyskujesz jedną trzecią łazienki. - Jedynym minusem ich zgodnego życia w tym mieszkaniu było to, że wszystkie trzy obwiniały się wzajemnie o nieliczenie się z innymi podczas korzystania ze wspólnej łazienki. - No i wcale nie zamierzam zrywać naszych stosunków. Moje małżeństwo niczego pod tym względem nie zmieni.

- Tak się zawsze mówi.' - Rose przyjaźnie trąciła Effie w ramię, a potem siedziały w milczeniu, popijając drinki i wsłuchując się w śpiew swojego ulubieńca, którym był Nat King Cole. Kiedy pierwsza strona płyty dobiegła końca, Rose wstała i nastawiła drugą. Im bardziej zbliżał się moment wyprowadzki Effie, tym chętniej obie oddawały się wspomnieniom, przywołując na pamięć najważniejsze momenty swojej szesnastoletniej znajomości; nie tyle te udane, co raczej inne, mniej radosne. - Chyba nigdy nie zapomnimy naszego pierwszego mieszkania! - Rose ustawiła igłę głowicy na płycie. Tak, ich pierwsze wspólne lokum, jedyne, jakie mogły znaleźć ze względu na dziecko, było ciemną, dwuizbową norą, w której wytrzymały zaledwie pół roku. - Ciekawe, czy właściciel zwabił kogo innego na nasze miejsce?

- Właśnie! I pomyśleć, że ten dusigrosz miał czelność żądać od nas wysokiego czynszu za tę rudę! Pamiętasz noc, kiedy połowa sufitu spadła na Darinę?

- O Boże! - Rose roześmiała się, wracając na swoje miejsce.

Darina miała pięć miesięcy, kiedy spory odłamek tynku z zawilgoconego sufitu spadł na jej łóżeczko. To wydarzenie okazało się przełomowe w tamtym rozpaczliwym okresie; Rose, i tak przygnębiona już faktem, że jest pozbawiona pracy i zdana na korzystanie ze skromnej pensji Effie, czuła się okropnie, a kiedy pochwyciła dziecko, bardziej zdziwione niż przerażone, wszystkie jej frustracje i leki z ostatnich miesięcy znalazły ujście, eksplodując płaczem tak gwałtownym, że Effie postanowiła wezwać lekarza.

- A skrzynie? - przypomniała teraz Rose przyjaciółce i trąciła ją w bok.

- Musisz przyznać, że dzięki nim mieszkanie nie było tak puste - odparła Effie.

Ich drugi dom miał tylko najbardziej niezbędne meble i dlatego pewnej soboty Effie

wzięła wózek Dariny, udała się z nim na bazar, a potem wróciła z pojazdem pełnym pustych skrzyń po owocach. Przywiozła ich tyle, ile zmieściła na nim i w rękach. Tego wieczoru ona i Rose siedziały do późna w nocy, zbijając skrzynki gwoździami, wykładając je gazetami oraz obciążając resztkami różnych materiałów, które udało im się kupić za grosze.

- To były wspaniałe meble - przyznała teraz Rose. - Ale jednak wolę te. - Wtuliła się głębiej w miękkie oparcie kanapy. - I bardzo się cieszę, że wszystko się ułożyło po naszej myśli. Tylko że będzie mi Ciebie brakowało.

- A mnie Ciebie. - Effie nadal krzywiła twarz, kiedy się uśmiechała, ale z czasem jej rysy stały się bardziej regularne. Przybrała też trochę na wadze, co złagodziło kanciastość figury. W trakcie kursu przygotowawczego do zawodu stewardesy Rose zdobyła wiele interesujących informacji na temat pielęgnowania urody i Effie, idąc za jej radą, ostrzygła włosy bardzo krótko, odsłaniając w ten sposób zaskakująco ładne uszy. Stale też, zawierając opinii Rose, natłuszczała włosy wazeliną, aby ściśle, na kształt czepka, przylegały do głowy. Rose, patrząc na nią teraz, pomyślała z satysfakcją, że chociaż Effie nigdy nie zdobyła tytułu królowej piękności, to jednak zdołała podkreślić w swojej powierzchowności to wszystko, co zasługiwało na uwagę, a przy tym zachowała indywidualność.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytała.

- Mhm - mruknęła Effie. - A ty nie byłabyś szczęśliwa na moim miejscu? Stuknęło mi już trzydzieści pięć lat, prawie trzydzieści sześć i właśnie kiedy rozwiewały się ostatnie nadzieje, zwrócił na mnie uwagę najwspanialszy facet na świecie.

Williego Brehony, urzędnika zatrudnionego u Corka, poznała podczas robienia zakupów w miejscowej hali targowej, a on potem ją wkłęcał się w jej życie zwinnie jak pi-skorz. Po przykrych doświadczeniach z dzieciństwa Effie przyrzekła sobie wprawdzie, że nigdy, ale to nigdy, nie zgodzi się związać z jakimkolwiek mężczyzną, dlatego też trzymała go dwa lata na dystans, ale w końcu Willie zdołał jakoś przekonać ją do siebie. Był tuż po czterdziestce, niski, korpulentny i ani na chwilę nie rozstawał się z blaszanym gwizdkiem, który trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki i przekładał w razie zmiany ubrania z jednej kieszeni do drugiej, tak jak inni mężczyźni czynią to z portfelami. Było to jego nie kwestionowane hobby.

Effie wstała z kanapy, podeszła do adapteru i nastawiła jeszcze raz ostatnią piosenkę.

- Ciągłe mi się wydaje, że ślub nie będzie taki, jaki powinien być - mruknęła. - Chciałabym, aby odbył się zupełnie normalnie. Rodzina Williego jest bardzo konserwatywna... nie wiem, co sobie pomyślą. - Do ostatniej chwili upierała się, że nie zaprosi nikogo ze swoich bliskich. Od lat zresztą nie utrzymywała żadnego kontaktu z nikim z Offaly.

- Posłuchaj, Effie - zaczęła tłumaczyć cierpliwie Rose. - Jeśli uważasz, że zniesiesz jakoś ich obecność, możesz ich przecież zaprosić. Jeszcze nie jest za późno. Zaprosź całe hrabstwo.

- Chyba staję się zbyt sentymentalna na starość - szepnęła Effie, napełniając powtórnie swoją szklaneczkę.

- Głównie to wina tych wszystkich czasopism dla nowożeńców, jakie ostatnio czytasz - odparła Rose i przeciągnęła się leniwie. - Zgadnij, na kogo dziś wpadłam! - Zaczęła opowiadać o spotkaniu z Dolores, o dawnych wspomnieniach i sentymentach, które tak nagle odżyły. - Czy to nie dziwne, Effie? Po tylu latach słyszę nagle jego imię dwukrotnie w ciągu jednego miesiąca! Tak, wiem, opowiadam ci znowu o Johnie, ale kiedy mówię o nim tobie, zdaje mi się, że mówię do siebie samej.

- Tylko nie to, tylko nie znowu John Flynn! - jęknęła Effie z udanym przerażeniem. - Ile już razy przyrzekałyśmy sobie, że w naszym życiu nie będzie już nigdy miejsca dla tego człowieka! A tu raptem okazuje się, że mamy na nowo wszystko rozważyć. Ale tak już jest w życiu. Mówiłam to raz i będę mówić zawsze: dopóki łączy was dziecko, nie będziesz w stanie skończyć z tym człowiekiem. Kiedy, do diabła, przestaniesz się tym zadrećcać i wreszcie coś zrobisz, Kosę O'Beirne?

* * *

- Muszę przyznać, że to naprawdę robi duże wrażenie. Zaprojektował pan wszystko po prostu znakomicie! - Dyrektor banku, mężczyzna o surowym wyrazie twarzy, odwrócił ostatni z arkuszy papieru w skoroszycie. Jego gabinet wyłożony drewnianą boazerią był duszny i zdecydowanie zbyt mały, aby mógł pomieścić swobodnie pięciu stłoczonych w nim ludzi. John spojrzał dyrektorowi banku prosto w oczy.

- Oczywiście nie ma żadnej gwarancji na sukces, podobnie jak nie było takiej gwarancji, kiedy obecny tu George przekształcał „Willow House” w hotel. Ale skoro tam się powiodło, uważamy, że także z Sundarbans możemy stworzyć hotel i ośrodek wypoczynkowy.

- Kiedy jeżdżę nieraz po okolicy, nie wydaje mi się, żeby hrabstwo Monaghan było odpowiednim miejscem na inwestycje turystyczne. - Dyrektor banku zmierzył go twardym spojrzeniem.

- Wszystko zależy od tego, jak na to patrzeć - włączył się do rozmowy George Cranshaw. - Nie zamierzamy odbierać klientów innym ośrodkom, wiemy też, że nie możemy oferować wiele amatorom wypoczynku sezonowego. Ale moim zdaniem, w ciągu

najbliższych dziesięciu lat na całym świecie znacznie wzrośnie zapotrzebowanie na rekreację, a zamożni biznesmeni znudzą się wreszcie leniwym wylegiwaniem na plaży i zaczną się rozglądać za bardziej aktywnymi formami wypoczynku. Najlepszym przykładem jest właśnie „Willow House”. Zaczęliśmy od sześciu pokoi, teraz mamy osiem dodatkowych, a mimo to nie możemy sprostać zamówieniom.

- Każde nasze posunięcie okazało się intratne - odezwał się znowu John. - Wszystko się opłaciło: molo, łódzie; w informatorze wspominamy też o polu golfowym, które urządzamy. I chociaż będzie gotowe dopiero za rok, może nawet czternaście miesięcy, już teraz otrzymujemy zgłoszenia. A więc istnieje spore zapotrzebowanie.

- Ale co zamierzacie panowie zrobić z Sundarbans? Czy nie będzie to konkurencja dla istniejącego już hotelu?

- „Willow House” będzie zawsze małym, kameralnym obiektem - wyjaśnił trzeci z gości, księgowy z Enniskillen. - Sundarbans natomiast stwarza możliwości otwarcia dużego, luksusowego kompleksu, czegoś w rodzaju Gleneagles w Szkocji, oczywiście na nieco mniejszą skalę...

- Z całym należnym szacunkiem - przerwał mu dyrektor banku. - Nigdy jeszcze nie byłem w Gleneagles, ale z myślą o naszym dzisiejszym spotkaniu wybrałem się wczoraj, by obejrzeć Sundarbans. I muszę stwierdzić, że posiadłość znajduje się w opłakanym stanie.

John uznał, że pora znowu zabrać głos.

- Nie myślimy o natychmiastowym odrestaurowaniu całego budynku, lecz tylko jednego skrzydła z sypialniami, pomieszczeń o ogólnym przeznaczeniu, przyległych dziedzińców i stajni. Oto rysunki... - Podał je dyrektorowi przez biurko i podczas gdy ten je przeglądał, mówił dalej: - Kluczowy aspekt naszego projektu to wykorzystanie wszelkich możliwości, aby zainteresować naszym obiektem także miejscową ludność. Będziemy na przykład ubiegać się o licencję na prowadzenie pełnego wyszynku. Chcielibyśmy także przywrócić tradycje polowań oraz jeździectwa.

- Co o tym wszystkim sądzi nasz pułkownik? - zapytał dyrektor banku.

- Nie zwrócilibyśmy się z tym do pana - odparł George Cranshaw - bez uprzedniego omówienia całej sprawy również z nim. Prawda jest taka, że Gus... on i ja przyjaźnimy się od dawna... a więc Gus znalazł się w ślepej uliczce. Dla niego wyczerpały się wszelkie możliwości wybrnięcia z opłakanej sytuacji. Nawet gdyby sprzedał swoją posiadłość na wolnym rynku, nie otrzymałby tyle, aby móc spłacić wszystkie długi oraz zapewnić sobie i żonie przyzwoite życie. Mógłby sam starać się prowadzić w przyszłości nowy hotel, ale brak mu doświadczenia w tej branży. Nasz plan pozwoli mu pozostać w Sundarbans i nawet mieć

swój udział w ewentualnych zyskach.

Dyrektor banku zgarnął wszystkie papiery i ułożył je przed sobą.

- Przystudiuję je uważnie - obiecał.

John, podniecony dyskusją, jeszcze raz zabrał głos.

- Ja... to znaczy my wszyscy jesteśmy przekonani, że nasz projekt ma duże szanse powodzenia. Z pewnością nie będzie pan żałował, jeśli zgodzi się pan poczynić te inwestycje.

- Propozycja jest interesująca, panie Flynn, muszę to przyznać. - Dyrektor banku odprowadził swoich gości do wyjścia.

Podczas drogi powrotnej do „Willow House” John odzywał się niewiele. W rozmowie z dyrektorem banku obiecał więcej, niż zamierzał: wprawdzie wierzył istotnie w powodzenie swojego projektu, wiedział też jednak doskonale, jak duży jest stopień ryzyka. I chociaż inicjatywa wyszła od niego, teraz, kiedy przybrała już formę konkretnego projektu na papierze, gdzieś w głębi duszy miał niemal nadzieję, że nie dojdzie do urzeczywistnienia tego szalonego pomysłu.

Zgodnie z planem miałyby przenieść się z „Willow House” do Sundarbans, nie potrafił jednak sobie wyobrazić, że mogłyby zamieszkać z rodzicami Rose pod jednym dachem, jakkolwiek wiedział, że oboje zajmują obecnie już tylko trzy pokoje. Nie był też pewien, czy zdoła zmienić tak gruntownie styl domu Rose, rozebrać mury, w których się wychowała, zmienić wystrój pokoi.

Jego nie odwzajemniona miłość do Rose zagnieździła się gdzieś w odległym zakątku serca i tylko czasem, głównie nocami, pulsowała dawnym gorącym pragnieniem. A jednak, w miarę jak prace nad projektem przybierały kształty bardziej realne, na przykład gdy wraz z architektem szkicowali zarysy jeziora, gwałtowna żądza znowu dawała o sobie znać.

W przeciwieństwie do spraw związanych z pracą, jego życie prywatne toczyło się teraz nader spokojnie. Matka zmarła dawno temu, dwa lata po przeprowadzce do rybackiego domku. John zaczął wtedy myśleć o wyjeździe gdzieś daleko, może nawet do Kanady, powstrzymało go jednak od tego kroku poczucie lojalności wobec Cranshawa, który był dla niego zawsze bardzo dobry, oraz wobec Mony i jej ojca, niezwykle mu oddanych. Zważał tu także - to stanowiło dla niego największe zaskoczenie - wyjątkowo silny sentyment do Drumbooli i do Sundarbans.

Mona czekała cierpliwie, aż John podejmie decyzję. John nigdy nie przestał podziwiać stoickiego spokoju, z jakim stawiała czoło wszystkim kłodom rzucanym jej pod nogi przez życie - chorobom, śmierci, ciężkiej pracy oraz różnym, na ogół niełatwym kolejom losu. Stopniowo, bez zbędnych słów, tryb życia w ich domu zaczął w końcu przybierać nowy

kształt. John utrzymywał cały dom, Mona zajęła się prowadzeniem gospodarstwa, a Packy McConnell zarabiał na chleb, robiąc użytek ze swoich zdolności manualnych: naprawiał i rzeźbił meble, stoły i krzesła; także i domek rybacki przybrał dzięki niemu wygląd bardziej schludny i przytulny.

John, zajęty obowiązkami w hotelu, nie miał nawet czasu na obserwowanie zmian w wyposażeniu domu. W miarę jak sytuacja finansowa w „Willow House” ulegała poprawie, George Cranshaw przyjmował do pracy coraz więcej ludzi, a pięć lat po zatrudnieniu Johna awansował go na zarządzającego hotelem - i tę funkcję John pełnił długi czas.

Jadąc teraz do domku rybackiego, przypomniał sobie tamten poniedziałek; zawsze brał sobie wolne w poniedziałkowe wieczory, a kiedy pogoda dopisywała, wybierał się z ojcem Mony łodzią na pstrągi.

Zastał Monę w kuchni, gdzie odrywała kupony od losów loteryjnych i wrzucała je do pudełka stojącego na podłodze u jej stóp.

- Gdzie Packy? - zapytał.

- Nie słyszysz go? - Skierowała spojrzenie na sufit. Ściany były kamienne i John musiał wyteńczyć słuch, ale po chwili dobiegły go ciche, delikatne dźwięki skrzypiec Packy'ego. - Cały dzień ćwicz na to wesele - dodała. - A jak będzie z tobą? Wiesz już, czy będziesz mógł przyjść, czy nie?

W najbliższą sobotę jeden z krewnych Mony miał wziąć ślub, a John, traktowany już jak honorowy członek rodziny McConnellów, otrzymał na nie zaproszenie.

- Zobaczę, Mono - obiecał. - Postaram się przyjść, przyrzekam.

- Jasne, zrobisz, co będziesz mógł - powiedziała. Podniosła pudełko i potrząsnęła nim, aby kupony ułożyły się w nim równomiernie. - Przyszły do ciebie dwa listy, położyłam je na kredensie.

John wziął koperty do ręki. W pierwszej znalazł rachunek, na drugiej zauważył charakter pisma Dereka. Otworzył ją i przebiegł oczyma list brata.

- A niech to! - zawołał.

- Coś złego? - zapytała Mona.

- Nie, nie, przepraszam - mruknął. - Derek wybiera się niedługo w podróż służbową do Niemiec i wpadł na pomysł, że mógłby zabrać ze sobą Brunona i odwiedzić mnie.

- To świetnie, John! Mamy tu mnóstwo miejsca.

- Wiem, ale nie starczy mi czasu, aby się nimi należycie zająć. Szczerze mówiąc, Derek nie mógł sobie wybrać mniej odpowiedniego momentu, żeby złożyć nam wizytę. Wszystko kręci się teraz wokół sprawy Sundarbans.

- Tym się nie przejmuj - uspokoiła go Mona. - Przecież ojciec i ja jesteśmy tu cały czas. Zajmiemy się nimi. Bruno to już z pewnością duży chłopiec - dodała.

John czytał dalszy ciąg listu.

- Prosi mnie, żebym wynajął samochód i wyjechał po nich do Dublina.

- To żaden problem.

- Masz rację, Mono. I oczywiście będą tu mile widziani. - Ale jego pierwsza reakcja była bliższa temu, co czuł naprawdę: perspektywa spotkania z Derekiem budziła w nim niepokój.

Bracia nigdy nie załagodźli oficjalnie konfliktu, który ich poróżnił, śmierć matki jednak i nastrój ceremonii pogrzebowej uwolniły braci od zbyt silnych emocji, nadając ich stosunkom bardziej poprawny, choć nie pozbawiony dystansu charakter. I chociaż John nie pojechał na ślub Dereka z Karen, tłumacząc się nawałem obowiązków w hotelu, to jednak przesłał im prezent, potem zaś pisywał do nich co jakiś czas.

Kiedy ich synek, Bruno, ukończył pięć lat, Derek i Karen przyjechali z nim po raz pierwszy do Irlandii. Okazało się wtedy, że dziecko pomogło dorosłym przełamać lody. Przypadło też bardzo do serca Johnowi. Chłopczyk miał blond włosy, niebieskie oczy swojej mamy i krępa figurkę.

Bruno przyjeżdżał jeszcze dwukrotnie razem z rodzicami: gdy miał dziewięć lat oraz gdy był już czternastoletnim chłopakiem, prawie tak wysokim jak jego ojciec i stryj. Zawsze zadziwiał Johna swoim zrównoważonym charakterem oraz spokojem. Obecność Brunona wpływała łagodząco na napięte jeszcze czasem stosunki pomiędzy Johnem, Derekiem i Karen.

Mona wstała i ziewnęła.

- A kiedy chcą przyjechać?

- Pod koniec października. - John wyjrzał przez okno. - Robi się ciemno. Jeśli mamy pójść nad jezioro, trzeba się pośpieszyć. - Stał u podnóża schodów. - Packy! Packy!

Dźwięki skrzypiec umilkły, skrzypnęły otwierane drzwi.

- Już schodzę! - krzyknął ojciec Mony. - Wezmę tylko czapkę...

John zdjął buty i włożył kalosze, ale nie tracił już czasu na zmianę ubrania, narzucił jedynie na siebie starą nieprzemakalną kurtkę. Następnie stanął przy wyjściu, a po chwili Packy, trzymając się przezornie poręczy, zszedł ostrożnie na dół.

- Mamy wieczór jak wymarzony na połów – powiedział i chwycił swoją laskę.

Nie rozmawiali ze sobą, dopóki nie zajęli miejsc w łodzi i nie wypłynęli na niewielkie, porośnięte sitowiem jezioro. Obecność Packy'ego, tego niezmiennie spokojnego i cichego

mężczyzny, jak zwykle wpływała na Johna kojąco. Nie przeszkadzało mu wcale, że ojciec Mony jest wspaniałym wędkarzem i przeważnie łowi trzy razy więcej ryb niż on. Jezioro słynęło z tego, że żyje w nim przynajmniej jeden szesnastofuntowy pstrąg; Packy omal nie złowił go rok wcześniej, kiedy waga ryby była zapewne o parę funtów mniejsza, zdobycz jednak okazała się nadzwyczaj zwinna, a wędka zbyt słaba, gdyż pękła po dwudziestominutowych zmaganiach, pstrąg natomiast zniknął wśród fal, aby stoczyć kiedy indziej kolejną walkę o życie. Od tej pory Packy nie wyruszał nad jezioro bez sprzętu, któremu nie oparłaby się ryba nawet dwukrotnie większa od tamtego kolosa.

- Dziś dopisze mi szczęście - zapowiedział teraz, zarzucając wędkę w stronę Poulachailin, głębokiego rowu, gdzie według legendy pewna młoda dziewczyna odebrała sobie życie z miłości. - On tam jest, wiem. Czuję. Czuję to w kościach!

John uśmiechnął się i zarzucił swoją wędkę, po czym usiadł wygodniej, rozkoszując się ciszą tego miejsca. Było około dziewiątej, drzewa, które otaczały jezioro, odcinały się coraz ciemniejszymi konturami od nieba. Wiatr ucichł i tylko od czasu do czasu muskał powierzchnię jeziora.

Nieoczekiwanie, niby stary film, napłynęło wspomnienie rozmowy z dyrektorem banku. Plany dotyczące rozbudowy Sundarbans dojrzewały w wyobraźni Johna od lat, czekał jednak cierpliwie na odpowiedni moment. Wkrótce pułkownik znalazł się w tak kłopotliwej sytuacji finansowej, że zapewne nie odrzuciłby żadnej rozsądnej propozycji. Ale John czekał nadal i dopiero, gdy hotel „Willow House” zaczął przynosić imponujące zyski, doszedł do przekonania, że George Cranshaw dojrzał do nowego wyzwania. Pewnego wieczoru, kiedy obaj wracali z Dublina, gdzie spotkali się z architektem projektującym dla nich pole golfowe, zebrał się wreszcie na odwagę, aby poruszyć ten temat. George potraktował to początkowo jako żart, potem jego twarz przybrała wyraz niedowierzania, ale malowało się na niej coraz większe zainteresowanie, w miarę jak John wyluszczał kolejne argumenty. Nastąpiły miesiące bardziej szczegółowych rozmów, które zaowocowały w końcu owym spotkaniem w gabinecie dyrektora banku.

Z mojej strony rybom nic dziś nie grozi, pomyślał John. Spojrzał na poważną, pełną napięcia twarz Packy'ego i uśmiechnął się.

- Jak twoje kości? - zapytał.

- Co?

- Przecież czułeś w kościach, że dziś go złowisz. I co teraz powiesz?

- Na Boga, Johnny, nie śmiej się z tego! On tam jest, wiem na pewno...

Ale pstrąga nie było w tym miejscu, przynajmniej nie tego wieczoru. Siedzieli jednak

w łódce, dopóki nie zapadł zmrok, a nad ciemną linią drzew nie zaświecił drobny nów księżyc.

* * *

Effie poszła dziś wcześniej spać i Rose pod wpływem nagłego impulsu podniosła słuchawkę, po czym wykręciła numer Sundarbans. Dobry Boże, błagała w duchu, wsłuchując się w sygnał, proszę, spraw, aby to nie matka podeszła do telefonu...

Jej modlitwa została wysłuchana.

- Witaj, tato! - zawołała. - Pomyślałam, że do ciebie zadzwonię... Co słychać?

- Rose? - Głos jej ojca jak zwykle wyrażał radość. - Co u ciebie?

- Doskonale. U was wszystko w porządku?

- O tak. Tylko że wiesz... Wszędzie pełno mierniczych i różnych typów z teodolitami.

Trudno tu ostatnio znaleźć jakiś spokojny kąt.

- A więc sprawa posuwa się naprzód?

- Wygląda na to, że nie ma innego wyjścia, kochanie. Matka, oczywiście, jest tym trochę zirytowana, ale i ona wie, że alternatywą dla nas jest już tylko dom opieki społecznej.

- Tato!

- Żartowałem, córeczko. Dobrze, że przynajmniej nawiązaliśmy wreszcie kontakt z ludźmi, którzy całą sprawę organizują. Ale w sumie sytuacja nie jest dla nas przyjemna.

Serce Rose zabiło mocniej.

- Jak się czuje pan Cranshaw?

- Och, świetnie, świetnie. Ale nie widuję go tak często jak... jak innych...

Domyślała się, że osoba, której imię ojciec zawahał się wymienić, to John, ale postanowiła nie dręczyć go więcej krępującymi pytaniami.

- A... jak wygląda dom? - odezwała się po chwili. - Bardzo źle?

- Chciałbym, abyś przyjechała i zobaczyła go na własne oczy, zanim się zmieni już na zawsze. Przy okazji... znalazłem parę drobiazgów... Może rzuciłabyś na nie okiem i uratowała przynajmniej część z nich, zanim wylądują na śmietniku.

- A co z matką? Wiesz przecież, że nie przyjechałabym bez Dariny.

- To musicie już załatwić między sobą. - Rose wydało się nagle, że słyszy już ciche pobrzękiwanie łańcuszka od zegarka ojca.

- Nie obawiaj się, tato, wszystko w swoim czasie - odparła. - Może nawet w tym roku nadejdzie ta chwila?

- Mam nadzieję. Tak czy inaczej... chciałbym, abyś wiedziała, że bez względu na

wszystko... na to, co się stanie z Sundarbans... jeśli o mnie chodzi, zawsze będzie tu miejsce dla ciebie. Może nie jest to właściwy moment, aby o tym mówić, ale chyba wiesz, że masz swój udział w tym, co powstaje. To znaczy... udział finansowy.

- Już mi o tym wspominałeś.

- Istnieją oczywiście odpowiednie dokumenty, a kiedy załatwię już wszystkie formalności, sporządzą nowy testament...

- Tato, przestań! Nie chcę nawet słyszeć o czymś takim! - Nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedyś mogłoby zabraknąć jej ojca.

- Rose, bądź rozsądna. O tego rodzaju sprawach należy czasem porozmawiać w sposób rzeczowy. Chcę jeszcze tylko dodać, że po twoim odejściu wszystko odziedziczy twoja córka.

- Tato!

- To już koniec przykrych spraw, kochanie. A jak się ma Darina?

- Kwitnąco! - Opowiedziała ojcu o postępach córki w szkole, na lekcjach baletu i dykcji.

- Może chciałabyś zamienić parę słów z matką? - zapytał w pewnej chwili Gus.

- Nie, może następnym razem, tato - rzuciła spiesznie Rose. - I tak rozmawiamy już dość długo, a Darina także wydzwaniała bez przerwy do swoich przyjaciółek... Boję się nawet myśleć, jaki przyjdzie rachunek.

- No dobrze, a więc dobranoc.

- Dobranoc, tato, do zobaczenia.

Parę minut później Rose weszła do łazienki, aby wziąć kąpiel. Czekając, aż wanna napełni się wodą, zrzuciła ubranie i stanęła przed wysokim lustrem umieszczonym na drzwiach, a potem patrzyła na swoje odbicie krytycznym wzrokiem. Usiłowała dojrzeć w sobie to samo, co według Dolores widzieli w niej inni. „Ładne dziewczęta, a do tego dobrze urodzone, takie jak ty, zawsze przyciągały do siebie innych ludzi...”

Słowami Dolores przejęła się bardziej, niż przypuszczała. Może jej dawna przyjaciółka ma rację? Wynikałoby z tego, że ona tylko dryfuje w życiu, biorąc z niego wszystko, dając zaś w zamian niewiele. Czy taka jest prawda? A może Dolores, ta biedna Dolores, powiedziała tak z zazdrości? Ale Rose zdecydowanie odrzuciła od siebie tę myśl natychmiast, gdy tylko przyszła jej do głowy. Jak może podejrzewać o coś takiego Dolores, swoją wspaniałą przyjaciółkę, na której zawsze mogła polegać! To przecież nie jej wina, że ich drogi się rozeszły i nie łączy ich teraz nic prócz odległych wspomnień!

Ale czy Dolores ma rację? Rose powróciła na chwilę myślami do Effie, leżącej teraz w

łóżku i z pewnością śniącej błogo o ślubie i swojej przyszłości u boku Williego. Czy Effie zajęła wolne miejsce po Dolores? Czy ona, Rose, uczyniła kiedykolwiek coś dobrego dla tych dwóch wspaniałych, lojalnych wobec niej kobiet? „Przecież dzięki tobie Effie uciekła od swojej przeszłości”, odezwał się w niej jakiś cichy głos. Owszem, pomyślała natychmiast, ale kto skorzystał na tym najbardziej? Kto opiekował się małą Dariną, żebyś ty mogła pracować? Kto zastępował Darinie ojca? Kto pomagał ci ze wszystkich sił stworzyć dom pełen ciepła i miłości?

Czy to możliwe, że ona sama podświadomie dążyła do takiej właśnie sytuacji, gdyż nie chciała wziąć we własne ręce przyszłości, decydować o swoim życiu ani o tym, jak postąpić wobec Johna Flynna?

Jej odbicie w lustrze nie spuszczało z niej oczu. Wiele kobiet, z którymi pracowała, szczyliło się opalenizną, ona natomiast, nie widząc sensu w smażeniu się na słońcu, zachowała jasną, śmietankową cerę. Teraz nawet to zaczęła widzieć w innym świetle: może po prostu była zbyt bierna, aby się opalać? Podczas gdy inne dziewczęta robiły, co tylko możliwe, aby poprawić swój wygląd, ona uznała, że nie musi się o to starać, gdyż jest już wystarczająco atrakcyjna.

Dolores była chyba niebezpiecznie bliska prawdy. Może istotnie Rose zabrakło motywacji, aby zabiegać o cokolwiek? Po prostu nie czuła takiej potrzeby. Nie miała przyjaciół ani kochanków, jej życie towarzyskie było nawet skromniejsze niż Effie, wolała miłe, spokojne wieczory spędzane ze swoją przyjaciółką oraz z Dariną przy muzyce z płyt. Mężczyźni przestali odgrywać w jej życiu jakąkolwiek rolę, nie byli jej potrzebni.

Odruchowo dotknęła palcem drobnej fałdki w talii. Czy to złudzenie, czy rzeczywiście jej skóra zaczęła zatracać dawną elastyczność? No cóż, ostatecznie Darina skończyła już szesnaście lat...

Od jakiegoś czasu Rose czuła narastający niepokój o córkę. Wprawdzie Darina nadal często okupowała telefon, prowadząc z koleżankami nie kończące się rozmowy, ale Rose dostrzegła w niej skłonność do izolowania się od wszystkich. Zamykała się na przykład w swoim pokoju, przedkładając książki nad towarzystwo ludzi.

- W porządku - odezwała się głośno Rose do swojego odbicia w lustrze. - Masz trzydzieści dwa lata i przynosisz wstyd samej sobie. Najwyższy czas, abyś coś w tej sprawie zrobiła. - Odkręciła oba krany jeszcze bardziej i natychmiast weszła do wanny. Namydliła się energicznie, spłukała mydło pod silnym strumieniem wody i wytarła się do sucha, zanim woda w wannie osiągnęła poziom, przy którym zazwyczaj dopiero rozpoczynała kąpiel. Wieczorami, przed pójściem spać, miała zwyczaj leżeć w wannie co najmniej godzinę,

napuszczając raz po raz gorącą wodę i rozkoszując się miłym ciepłem.

Koniec z tym, postanowiła teraz, wkładając szlafrok. Pora, bym zaczęła być bardziej aktywna. Wyszczotkowała ciemne włosy, nadal długie i błyszczące. Pierwsza rzecz, jaka mnie czeka, to ostrzyć się na krótko, pomyślała. W długich włosach wyglądam śmiesznie. Dorosła, trzydziesto - dwuletnia kobieta, a czesze się jak szesnastolatka!

Gorączkowo układała plany na przyszłość. Zacznie już jutro. Pójdzie na wieczorowe kursy samochodowe, zainteresuje się sztuką, językiem japońskim, wszystkim, co tylko możliwe. Zacznie wychodzić trochę, bywać wśród ludzi, udzielać się towarzysko. Ta zima stanie się przełomowa w jej życiu; odtąd nie będzie już rozpieszczonym dzieckiem. Rose przypomniała sobie nagle wszystkie swoje pomysły, które okazały się jednak słomianym ogniem i dla których jej entuzjazm wygasł bardzo szybko. Tym razem będzie inaczej.

Powinna być wdzięczna Dolores. Gdyby nie przypadkowe spotkanie z dawną przyjaciółką, nigdy by nie wiedziała, że dryfuje przez życie bez żadnego celu, niczego z siebie nie daje i nic nie robi. Gdyby teraz umarła, po jej obecności na tej planecie nie zostałby nawet drobny ślad.

Jedynie Darina.

Rose zgasiła światło w łazience i przeszła na drugą stronę korytarza. Drzwi sypialni Dariny były ozdobione plakatami beatlesów, nalepkami z wizerunkami beatlesów, okładkami płyt beatlesów, nawet kalendarzem ze zdjęciami beatlesów. Ale czołowe miejsce zajmowała fotografia George'a Harrisona.

- Czy mogę wejść, Darino?

- Leżę już w łóżku, mamó. - Ale głos córki nie brzmiał wcale sennie.

- Chciałam po prostu powiedzieć ci dobranoc - oświadczyła Rose przez drzwi. -

Wejdę tylko na chwilę, kochanie.

Usłyszała ciche stąpanie, a potem drzwi otworzyły się gwałtownie.

- O co chodzi, mamó? Właśnie zasypiałam. - Jej blond włosy były w nieładzie, miała na sobie jedynie białą bluzkę z krótkimi rękawami, która pozwalała dojrzeć smukłe, opalone na złocisty kolor ciało.

Rose zajrzała nad jej ramieniem do sypialni; łóżko było nietknięte. Powstrzymała się jednak od komentarza.

- Przepraszam, chciałam tylko powiedzieć ci dobranoc.

- Dobranoc. - Objęły się, ale uścisk Dariny trwał jedynie ułamek sekundy. Potem dziewczyna znów zamknęła się w swoim pokoju.

W ostatniej chwili Rose dostrzegła w błysku światła uderzające podobieństwo Dariny

do Johna Flynna.

Poruszona weszła do siebie i położyła się. Czy to wszystko oznacza początek przekwitania? Od lat sądziła, że sprawuje nad własnym życiem pełną kontrolę. Dlaczego więc teraz, po przypadkowym kontakcie z przeszłością, stale musi wracać do niej myślami? Johna Flynna nie widziała od prawie siedemnastu lat. Dlaczego on właśnie zaczyna teraz absorbować największą część jej myśli?

I dlaczego tak natrętnie?

Rose nie uważała siebie nigdy za kobietę szczególnie zmysłową. Przez siedemnaście ostatnich lat - a przynajmniej odkąd, jak wierzyła, zwalczyła w sobie wreszcie tę niezdrową obsesję na punkcie Johna - uznała, że to, czego zaznała z nim wówczas, owego pamiętnego lata, było po prostu odczuciem charakterystycznym dla popędliwej młodości. Intensywność tego „pierwszego razu” nie mogła się już nigdy powtórzyć właśnie dlatego, że był to pierwszy raz dla nich obojga.

Niejednokrotnie myślała potem o Johnie, o jego sile i delikatności, o jego uśmiechu i oczach. Ale za każdym razem przekonywała siebie natychmiast w duchu, że to jedynie jej wyobraźnia upiększa obraz dawnego ukochanego. Teraz jednak - może pod wpływem rozmowy z Dolores, a może podobieństwa Dariny do Johna - odczuła na nowo niedorzeczne pragnienie, aby się z nim spotkać.

- To absurd! - mruknęła do siebie. Wierzyła w to, co powiedziała przedtem w rozmowie z Dolores: że John jest już z pewnością żonaty, założył rodzinę, może nawet utył i ma ogorzałą, niezbyt subtelną twarz. Człowiek interesu. Chce kupić Sundarbans. Właśnie. Była niemal pewna, że John jest teraz korpulentny i niespecjalnie atrakcyjny.

W następnej chwili ujrzała jednak znowu, tak jakby to było dziś, tamtą scenę, kiedy wiosłował po jeziorze, a delikatne włoski na jego ramionach połyskiwały złościście w promieniach słońca. I po raz pierwszy od kilkunastu lat jej ciało zapłonęło przemożną żądzą.

Zaniepokojona obróciła się na drugi bok. Co jej chodzi po głowie, to doprawdy nie ma sensu! Powinna starać się zasnąć, a jutro rano wszystko będzie już w porządku. Zaczęła myśleć o swoim rozkładzie lotów - nazajutrz miała rejs do Amsterdamu - oraz oczekującej ją za dwa dni randce z kolejnym znajomym, irlandzkim biznesmenem, podróżującym regularnie z Dublina do Londynu i z powrotem, czarującym, przystojnym i - była tego pewna - zamożnym.

Jednakże w głębi serca wiedziała, że i ten związek zakończy się szybko, jak wszystkie pozostałe. Jej znajomości z mężczyznami, jeśli nie liczyć paru wyjątków, przebiegały zazwyczaj według tego samego określonego schematu: kilka miłych spotkań, po których on

dawał do zrozumienia, że chciałby zacieśnić związek, co ją z kolei odstręczało od kontynuowania znajomości.

Odrzucając jako bezsensowną myśl, że wszystkiemu jest winien jej charakter, w którym zabrakło miejsca na uczucia, Rose ułożyła się na wznak i powróciła myślami do swoich romansów. Lubiła seks, ale - przyznała to teraz w duchu - w sposób dość jednostronny; po prostu ofiarowywała swe ciało temu mężczyźnie, z którym akurat była w łóżku, zadowolając się jego namiętnością, zamiast dać upust własnej.

John Flynn, John Flynn - te dwa słowa rozbrzmiewały nieprzerwanie w jej głowie.

Rozbudzona żądza i podniecenie nie opuszczały jej, i Rose poczuła wreszcie narastający w niej lęk. To tylko fantazja, nic więcej, wmawiała w siebie. Głupi, niedorzeczny poryw serca, który pasuje raczej do nastolatki, takiej jak Darina, niż do kobiety w jej wieku. Czytała nieraz o problemach przekwitania, nieobcych mężczyznom i kobietom, którzy mimo unormowanego już życia zaczynają nagle odczuwać wyuzdane, całkowicie niestosowne pragnienia. A teraz dotknęło to również ją! Niesłychane! Tym bardziej że nie wie właściwie nic o dzisiejszym Johnie Flynnie. Zapewne znienawidziłaby tego człowieka natychmiast, gdyby go tylko ujrzała. Ostatecznie to on właśnie uczestniczy teraz w niszczeniu jej domu!

O drugiej dziesiątej nad ranem Rose odrzuciła kołdry i zeszła na dół, do kuchni, aby przyrządzić sobie filiżankę kakao.

* * *

John obudził się i zerwał tak gwałtownie, że uderzył głową o drewniane wezglowie łóżka. Dręczyła go niejasna świadomość jakiegoś niebezpieczeństwa, a uczucie to było tak intensywne, że na chwilę zabrakło mu tchu. W ciszy sypialni słyszał wyraźnie głucho bicie własnego serca. Zapalił światło i spojrzął na zegarek: druga dziesiąta. Na pewno przyśnił mi się jakiś koszmar, pomyślał, jakkolwiek nie potrafił sobie niczego przypomnieć.

Opadł głową na poduszkę, czekając na uspokojenie. Po paru minutach uczucie zagrożenia minęło, ustępując miejsca jakiejś niewytłumaczalnej czujności. Tak jakby powietrze wokół łóżka znieruchomiło w oczekiwaniu na coś niezwykłego. Również John zamarł w bezruchu, jego nerwy były napięte jak struny.

Do tej pory sądził, że kontroluje całkowicie swoje życie, tym bardziej więc niepokoił go jego obecny stan psychiczny. Czyżby miało to jakiś związek z Derekiem? Wlepił wzrok w krąg światła na suficie, rzucany przez nocną lampkę. Musi uporządkować myśli...

Ale jego umysł nie znajdował ukojenia. I wreszcie John, jakkolwiek nie modlił się już od dawna, zaczął przypominać sobie - tak po prostu, aby skierować myśli w inną stronę -

litanię, której w dzieciństwie nauczyła go matka.

*Zwierciadło sprawiedliwości,
Módl się za nami.
Stolico mądrości,
Módl się za nami.
Przyczyno naszej radości,
Módl się za nami.
Naczynie duchowne,
Naczynie poważne,
Naczynie osobliwego nabożeństwa,
Różo duchowna,
Wieżo Dawidowa,
Wieżo z kości słoniowej,
Domu złoty,
Arko Przymierza,
Bramo niebieska,
Gwiazdo zaranna...*

Tu przerwał, ale nie dlatego, że nie znał kolejnej frazy, wiedział bowiem, że brzmi ona „Uzdrowienie chorych”, lecz ponieważ uświadomił sobie nagle, co go zbudziło. „Różo duchowna... Wieżo z kości słoniowej...”

Różo... Rose... A więc musiała mu się przyśnić Rose, to ona znajdowała się w powietrzu wokół niego, tak blisko, że niemal czuł jej włosy na swojej twarzy. Czegoś takiego nie doznał już od wielu lat.

Dawniej myślał nieraz o Rose i śnił o dziewczynie, ale z czasem stracił do niej serce. Czuł, że jego ostatnia szansa na jej odzyskanie zgasła wraz ze śmiercią babci Rose. Pełen nadziei zjawił się wprawdzie na pogrzebie Nancy O'Beirne Moffat, ale zanim jeszcze ceremonia dobiegła końca, dał całkowicie za wygraną. Rose nie przyjechała na pogrzeb...

Za to teraz była obecna w jego uśpionym pokoju; miał nieodparte wrażenie, że leży u jego boku, czuł to niemal namacalnie.

* * *

Kiedy Rose, zaspana jeszcze i z podpuchniętymi oczyma, weszła rano do kuchni, Effie czyściła buty, a Darina stała przy zlewku, wyjadając z torebki płatki kukurydziane.

- Kochanie, proszę cię! - zawołała odruchowo Rose. - Mówiłam ci tyle razy, żebyś siadała przy stole, kiedy jesz!

- Nie mam czasu - odparła Darina beztruskim tonem. - Możesz mi dać trochę pieniędzy?

Rose była doszczętnie wyczerpana z sił, tak jakby spędziła całą noc na bieganiu.

- Podaj mi portmonetkę - poprosiła znużonym głosem i zwróciła się do Effie, która stała teraz przez lustrem, natłuszczając sobie włosy. - Czy w czajniku jest gorąca woda?

- Właśnie się zagotowała - odparła Effie.

Mając nadzieję, że zwiększona dawka kofeiny doda jej trochę energii, Rose wsypała do filiżanki dwie czubate łyżeczki kawy rozpuszczalnej i zalała ją wodą. Kiedy Darina podała jej portmonetkę i stanęła przed nią w wyczekującej pozycji, westchnęła ciężko.

- Ile chcesz tym razem?

- Tak jak zwykle.

Rose odliczyła pieniądze, wręczyła je córce i wtedy zauważyła, że Darina trzyma pod pachą jakąś plastikową torbę.

- Co tam masz?

- Nic takiego - odparła wymijająco dziewczyna i Rose natychmiast ogarnął niepokój.

- Pokaż.

- Mamo, to po prostu książki.

- Jakie książki?

- Książki, które pożyczyłam, a teraz oddaję.

Rose, nie spuszczać z niej wzroku, trzymała wyciągniętą rękę i w końcu Darina z wyraźną niechęcią podała jej torbę. W środku znajdowały się ilustrowane broszury, rozdawane na ulicach przez wyznawców Hare Kriszny czy innych sekt tego rodzaju.

Rose patrzyła na nie zdumiona. Wiedziała, że Darina wręcz połyka najprzeróżniejsze książki i należy do bardzo wnikliwych czytelników, ale do tej pory nie dostrzegła u niej nigdy najmniejszego zainteresowania religią. Żadną religią. Z trudem wyciągała ją dotąd z łóżka na niedzielne msze.

- Po co ci te broszury? - zapytała.

- Po prostu je przeczytałam. - Darina przeszła do defensywy. - Czy jest w tym coś złego?

- Oczywiście że nie! Ale te...

- Co masz im do zarzucenia? Czytałaś je? - A kiedy Rose przyznała, że nie, Darina chwyciła broszury z powrotem. - No widzisz! W takim razie nie możesz ich krytykować.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. To byłoby okropne...

- Gdyby co?

- Gdybyś znalazła się pod ich wpływem. Darino, jesteś jeszcze bardzo młoda!

- Nie martw się o mnie, mam, wiem, co robię. - Dziewczyna zacisnęła usta w gniewnym uporze.

- Do zobaczenia potem. - Effie, już gotowa do wyjścia, machnęła im ręką i zamknęła za sobą drzwi.

- A skoro już mówimy o mnie i o wpływach,, - Darina postanowiła wykorzystać chwilową przerwę w rozmowie. - Czy pomyślałaś o tym, aby zabrać mnie do Monaghan? Nie możesz wiecznie trzymać mnie od nich z daleka! Babcia może umrzeć, zanim zdążę ją poznać!

Rose nie miała dziś sił na tego rodzaju dyskusję.

- Zobaczymy. Właśnie wczoraj wieczorem dzwoniłam do twojego dziadka.

- Naprawdę? - Twarz Dariny pojaśniała. - I kiedy tam pojedziemy?

Wizyta w Sundarbans stała się wreszcie czymś nieuniknionym; Rose zrozumiała to teraz.

- A kiedy masz najbliższe ferie? - zapytała.

- Chyba na Wszystkich Świętych.

- Dobrze, zobaczymy - powtórzyła Rose.

Darina już otworzyła usta, aby wytoczyć kolejny argument, ale rozmyśliła się.

- Świetnie - powiedziała. - No, na mnie czas! - Przed wyjściem spojrzała bacznie na matkę. - Wiesz, wyglądasz okropnie!

- Dziękuję - odparła sucho Rose.

Kiedy została sama, uświadomiła sobie, że nawet ten okropny, niezgrabny mundurek Dariny, o monotonnej brązowo - beżowej kolorystyce, nie jest w stanie przyćmić aury młodości i urody jej córki. Po raz drugi w ciągu tej doby poczuła ciężar swoich lat.

Do wyjścia pozostała jej jeszcze godzina. Rose usiadła przy stole i zaczęła popijać gorzką kawę. Tak, wygląda na to, że będzie musiała zabrać Darinę do Sundarbans. Trudno. Z drugiej jednak strony, kiedy tak rozważała całą sytuację, czuła gdzieś w głębi duszy drobny okruszek radości. Może spotka tam przy okazji... nie, nie może, lecz na pewno... Johna Flynna.

Przyszło jej nagle do głowy, jaki mógłby być pretekst do zorganizowania tego spotkania.

Bransoletka z ametystami. Przecież ma prawo poprosić Johna o jej zwrot.

Niedługo po wypadku babci i przewiezieniu jej do szpitala matka Rose poinformowała

córkę, że biżuteria ciotki Lizzie została złożona bezpiecznie do bankowego sejf. Rose odetchnęła wtedy z ulgą. Jakie to szczęście, że matka nie zauważyła braku bransoletki!

Uświadomiła sobie teraz, że jej umysł zaczyna już funkcjonować prawidłowo. Wstała i przyrządziła sobie drugą filiżankę kawy, nieco słabszej niż poprzednio. Wypiła ją drobnymi łykami, wyglądając przez okno na ruchliwą Drumcondra Road.

Pod wieloma względami byłaby to wizyta nadzwyczaj doniosła, pomyślała. Darina ma rację. Najwyższy czas, żeby zobaczyła wreszcie swój prawdziwy dom. Powinna go ujrzeć, zanim Sundarbans przekształci się w jakąś okropną, tandetną budowlę.

Rose postanowiła, że upozoruje cel tej wizyty, ofiarowując biżuterię Darinie, tak jak to uczynił Gus, kiedy ona ukończyła szesnaście lat. A ponieważ brakuje bransoletki, będzie to idealny pretekst, aby skontaktować się przy okazji z Johnem.

Im dłużej rozważała swój pomysł, tym bardziej jej się podobał, zwłaszcza teraz, kiedy po ślubie Effie w życiu jej i Dariny mógł nastąpić pewien zastój.

Tak. Będzie miała o czym rozmawiać z córką. I wspólnie ułożą szczegółowy plan wizyty.

ROZDZIAŁ 12

Hala niewielkiego dworca lotniczego w Charlottetown tętniła gwarem. Kończyła się odprawa pasażerów lecących do Bostonu. Derek i Bruno załatwiali ostatnie formalności.

- Dziękuję, że nas podwiozłaś - zwrócił się do żony Derek. Twarz miał pokrytą potem, dyszał ciężko po krótkim, lecz szybkim marszu, jaki odbył tu z parkingu. W ostatnich latach przybrał znacznie na wadze.

- Czy nie po to są żony? - Karen nie patrzyła na niego. Mimo iż jej również przybyło lat, oczy wielu mężczyzn skierowały się na nią, gdy tylko weszła do hali.

- Przestań, Karen, nie zaczynaj znowu! Tylko nie tu!

- Chodźmy, tato! Jesteśmy ostatni. - Bruno, blondyn tak jak jego matka, pociągnął Dereka za rękaw.

Twarz Karen złagodniała.

- Baw się dobrze, synku. I zadzwoń do mnie, kiedy już będziecie u stryjka Johna, dobrze? - Objęła go i przytuliła do siebie. - Daj mi znać od razu, gdy przyjedziecie na miejsce.

- Jasne, mamó. Ale teraz musimy już naprawdę iść.

- Do widzenia, Karen, zadzwonię do ciebie. - Wzrok Dereka omijał o milimetr oczy żony.

- Jak chcesz. - Lodowaty ton jej głosu różnił się zdecydowanie od tego, jakim zwracała się przed chwilą do syna.

- Tato! Chodź już! - Bruno był najwyraźniej zaniepokojony.

- Idę! Do widzenia, Karen. - Derek ruszył do wyjścia.

- Do widzenia, mamó! - Bruno przytulił się na moment do matki i pobiegł za ojcem.

Karen odprowadzała obu wzrokiem, a kiedy straciła ich z oczu, otworzyła portmonetkę, wyjęła kilka monet i skierowała się do najbliższego automatu telefonicznego.

* * *

Lot do Bostonu trwał krótko, ale kiedy rejsowy samolot Aer Lingus do Shannon i Dublinu, do którego się przesiedli, znalazł się następnego ranka nad stolicą Irlandii, Derek czuł się fatalnie. Fotele w samolocie były za ciasne i niewygodne dla człowieka jego postury; nie udało mu się zasnąć nawet na chwilę. Gdyby ktoś dał mi teraz do wyboru: interes, na którym można zarobić milion dolarów albo czyste, wygodne łóżko, pomyślał,

zdecydowałbym się na to drugie.

Spojrzał na Brunona, który drzemał spokojnie na swoim miejscu po drugiej stronie przejścia. Jego dwaj sąsiedzi wysiedli w Shannon, chłopiec podniósł więc wszystkie poręcze w swoim rzędzie i ułożył się wygodnie. Pod głowę wsunął sobie trzy poduszki leżące na siedzeniach oraz dodatkowo swoją grubą kurtkę narciarską.

- Bruno, Bruno! - szepnął Derek, pociągając go za stopę. - Obudź się. Lądujemy.

Stewardesa, która przechodziła właśnie, sprawdzając, czy wszyscy zapięli pasy, przystanęła obok Brunona i łagodnie potrząsnęła go za ramię. Otworzył oczy i spojrzał na nią zaskoczony. Potem ziewnął, usiadł i zapiął pas, a następnie uśmiechnął się do Dereka.

- Dzień dobry, tato. Dobrze spałeś?

- Nie, wcale nie spałem - mruknął Derek. - Mam nadzieję, że doczekam dnia, kiedy skonstruują maszynę wygodną dla pasażerów, a nie tylko dla linii lotniczych, nastawionych na zysk.

- Jak widzę, jesteś dziś w nie najlepszym humorze, tato. Nie przejmuj się, wspaniałe irlandzkie powietrze postawi cię od razu na nogi. - Przechylił się trochę, aby móc popatrzeć przez okno.

Wyglądając po swojej stronie na zewnątrz, podczas gdy maszyna obniżała lot, Derek stwierdził, że chociaż dzień jest pogodny, niedawno musiało padać; traktor jadący w dole wąską drogą rozpryskiwał wodę na boki, a cień samolotu pokrył na moment lśniąco powierzchnie licznych kałuż na polu. Derek poczuł, że z wrażenia brakuje mu tchu; zdarzało się to za każdym razem, kiedy przybywał do Irlandii. Nie uważał się za sentymentalnego, ale te wizyty w dawnej ojczyźnie zawsze poruszały go do żywego, zdzierając zeń maskę chłodnego biznesmena, którą ukształtował na swój użytek w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Niezależnie od owego uczucia radości, jakie ogarniało go w takich chwilach, nie potrafił stłumić w sobie rozczarowania Irlandią. Przywykły do swobodnego, otwartego stylu życia Kanadyjczyków i Amerykanów, tym wyraźniej już w ciągu paru pierwszych dni pobytu po drugiej stronie oceanu dostrzegał, jak bardzo jego rodacy są zamknięci w sobie.

Spojrzał znowu na tył głowy syna. Bruno nie miał takich obiekcji jak on. Kochał Irlandię i swoich irlandzkich krewnych na swój nieskomplikowany, otwarty sposób, wolny od krytycyzmu i akceptujący sposób życia panujący w okolicach Drumbooli.

W ciągu tych wszystkich lat, jakie minęły od dnia ślubu z Karen, Derek zdołał pokochać Brunona tak, jakby był jego prawdziwym ojcem. Po przyjściu chłopca na świat spędzał długie chwile na przyglądaniu się jego twarzy, szukał w niej bowiem podobieństwa do Johna. Jak dobrze, myślał, że obaj z Johnem jesteśmy tak bardzo do siebie podobni; dzięki

temu nikomu nie przyjdzie do głowy kwestionować mego ojcostwa. Bruno nie podejrzewał niczego. Kochał tatę, kochał stryja, kochał matkę, dziadków i wszystkich kuzynów z Irlandii i Kanady. Był lubiany w szkole i chociaż nie zaliczał się do geniuszy, osiągał dobre wyniki w nauce i sporcie.

Trudno byłoby marzyć o większej pociesze z syna, początkowa jednak troska Dereka o charakter dziecka ustąpiła szybko miejsca uczuciu lęku, że prawda wyjdzie na jaw. Wszystko potoczyło się niemal zbyt łatwo. Ludzie odnosili się do chłopca z sympatią, chcieli się z nim przyjaźnić, ułatwiali mu życie na różne sposoby. W rezultacie Derek począł się zastanawiać, co by się stało, gdyby Bruno napotkał na swojej drodze jakąkolwiek przeszkodę. Sven Lindstrom pokładał w swoim wnuku wielkie nadzieje, spodziewał się, że chłopiec, idąc w ślady jego i Dereka, przejmie kiedyś rodzinny interes, ale już teraz widać było, że Bruno nie jest na to wystarczająco twardy.

Derek próbował porozmawiać na ten temat z Karen, ale obojgu coraz trudniej było znaleźć wspólny język. Zwłaszcza jeśli chodzi o syna, Karen nie dopuszczała do siebie żadnych wątpliwości. W jej oczach Bruno był bez skazy.

Samolot dotknął wreszcie pasa kołami, a kilka minut później pasażerowie wyszli na zewnątrz. Pogoda była słoneczna, lecz wietrzna. Odprawa paszportowa i celna przebiegła szybko i sprawnie, przed lotniskiem czekał już na nich zamówiony samochód. Nim upłynęło czterdzieści minut, obaj jechali w stronę Siane oraz drogi wiodącej do Monaghan.

- Gdzie radio? - zapytał Bruno, patrząc zdumiony na pustą deskę rozdzielczą. Jego ręka dotknęła odruchowo miejsca, gdzie zazwyczaj włącza się odbiornik.

- Synu, jesteśmy w Irlandii. Radia samochodowe nie należą tu do podstawowego wyposażenia, trzeba kupić je dodatkowo.

- Nie do wiary! W takim razie musimy rozmawiać ze sobą podczas jazdy, tato.

Derek uśmiechnął się.

- A o czym chcesz porozmawiać?

- Och, o niczym szczególnym. Ale gdy tylko coś mi przyjdzie do głowy, powiem ci od razu... Och, zobacz, biedaczek! - Przerażony zakrył usta dłonią, kiedy na poboczu drogi ujrzął kilka kruków, żywiących się wnętrznościami lisa. Zwierzę leżało nieruchome, czerwone od krwi, z poszarpanym przez ptaki brzuchem. - Myślisz, że potrafił go jakiś samochód? - W głosie Brunona brzmiało wyraźne współczucie.

- Chyba tak. Takie są prawa natury. Nic na to nie poradzisz.

- Jak to: prawa natury? Przejechał go samochód!

- Bruno, tu żyją setki, może nawet tysiące lisów. Nie przejmuj się tym jednym. Dla

niego wszelkie kłopoty już się skończyły.

Bruno pograżył się w posepnym milczeniu. Kochał zwierzęta, którym zawsze okazywał wiele serca - i był z tego znany zarówno wśród członków rodziny, jak i w gronie rówieśników. Tylne podwórze w Charlottetown, często zastawione prowizorycznymi klatkami i pudłami z różnymi rannymi zwierzętami, przypominało prawdziwą menażerię.

Samochód pokonał już wzniesienie na południe od Siane, z lewej i prawej strony rozciągała się teraz dolina Boyne. Znad płynącej w dole rzeki unosiły się perliste opary mgły, które tłumiły barwy późnego października. Długi, urokliwy most nad rzeką świecił teraz pustkami, a zamek Siane stojący na sąsiednim wzgórzu, kilka mil dalej, zdawał się wznosić nad otaczającym go lasem niczym wspaniała budowla z bajki. Widok mógłby pochodzić spod pędzla najwrażliwszego na uroki natury akwarelisty.

- Och, tato, jak tu pięknie! - Bruno otrząsnął się już z wrażenia, jakie wywarł na nim martwy lis.

- To prawda, Bruno. Właśnie takich widoków brak mi często.

- Ale Wyspa też jest ładna.

- Owszem. Jednakże tak już chyba jest, że każdy człowiek kocha najbardziej, przez całe swoje życie, miejsce, gdzie przyszedł na świat. Popatrz na ten zamek - Derek wskazał ręką w stronę wzgórza. - Twoja matka byłaby nim zachwycona, nie sądzisz?

- Tak. - Pogodny zazwyczaj głos Brunona zabrzmiał teraz dziwnie matowo i Derek zerknął na chłopca zaintrygowany.

- O co chodzi?

- O nic.

- Daj spokój, synu. Przecież znam cię dobrze. Co się stało?

- Nic, tato. Nie mówmy już o tym, zgoda?

- Widzę, że coś cię trapi. Powiedz...

- Powiedziałem: nie mówmy już o tym! - wykrzyknął Bruno tak gwałtownie, że Derek umilkł. Żaden z nich nie odezwał się słowem, dopóki nie wjechali na główną ulicę Ardee.

Derek nie potrafił się oprzeć wrażeniu, iż wie, co dręczy Brunona, jakkolwiek miał cichą nadzieję, że się myli.

- Jesteś głodny? - zapytał, przebiegając wzrokiem obie strony szerokiej ulicy.

- Aha. - Bruno ożywił się. To pytanie było wolne od wszelkiego ryzyka; chłopiec miał zawsze apetyt.

- A więc rozejrzyjmy się za czymś odpowiednim. - Derek podjechał do krawężnika i zaparkował samochód, po czym obaj wysiedli i niebawem dostrzegli niewielki barek z

paroma taboretami ustawionymi wzdłuż kontuaru. Specjalnością zakładu były frytki. Derek zamówił dwie podwójne porcje oraz dwie kawy i podczas gdy jedli, rozważał sprawę, która najwidoczniej dręczyła Brunona. - Chciałbym cię o coś zapytać, synu.

- Tak? - Uwagę chłopca zajął właśnie nagły odgłos podobny do eksplozji; to właściciel barku rzucił nową porcję frytek na rozgrzany tłuszcz.

- Niepokoisz się mamą i mną?

- Co takiego? - Bruno spojrzał na niego zaskoczony, otwierając szeroko oczy.

- To, co powiedziałem. Czy niepokoisz się mamą i mną?

- W jakim sensie? - Bruno najwyraźniej chciał zyskać na czasie. Napchał sobie usta frytkami i Derek odniósł wrażenie, że nie musi już czekać na odpowiedź. Powiniennem być teraz bardzo ostrożny, napomniał siebie w duchu. I bardzo czujny.

- Wiesz przecież, że oboje kochamy cię całym sercem?

Bruno nie odrywał wzroku od swojej torebki z frytkami i Derek zrozumiał, że musi zdobyć się na coś więcej niż zwykły frazes.

- Słuchaj - powiedział. - Nie masz się czym przejmować. Twoja mama i ja przeżywamy akurat pewien kryzys...

Tak jakby interesowały go w tej chwili wyłącznie czynności wykonywane przez właściciela baru, Bruno odwrócił głowę w tamtą stronę.

- Bruno! - spróbował znowu Derek. - Spójrz na mnie!

- Nie chcę o tym mówić. To nie moja sprawa.

- Właśnie że twoja. Nie chcę, abyś się martwił z naszego powodu. Przyjdzie czas, że twoja matka i ja rozwiążemy nasze problemy, przyrzekam ci to. - Derek zdawał sobie sprawę, jak mało przekonująco brzmią jego słowa, mimo to mówił dalej. - Po prostu dorośli borykają się nieraz z bardzo skomplikowanymi problemami, wiesz...

- Tato! - W głosie chłopca zabrzmiała teraz nuta głębokiej rozpacz. - Powiedziałem już, że nie chcę o tym rozmawiać. Proszę!

Derek dał za wygraną. Zjadł resztę frytek z torebki i wstał. - Chodźmy już, póki nie jestem zbyt senny.

Ale potem, kiedy jechali dalej, musiał raz po raz walczyć z opadającymi powiekami. W pewnym momencie wszedł w zakręt zbyt szerokim łukiem i w ostatniej chwili ominął z trudem traktor, który nadjeżdżał z przeciwka.

- Uff! - sapnął, skręcając tak gwałtownie, że omal nie wylądowali w przydrożnym rowie. - Mało brakowało!

Bruno przesywał go wzrokiem.

- Mam kilku kolegów, których rodzice właśnie to załatwiają... - A kiedy Derek nie odpowiedział od razu, dodał: - Mam na myśli rozwód.

Wreszcie to słowo zostało wypowiedziane. Derek rozmyślał gorączkowo, jak powinien teraz zareagować. Doskonale wiedział, które pary małżeńskie w Charlottetown przeżywają kryzys. W tej niewielkiej, zwartej społeczności wiedzieli to wszyscy.

- Tak, to fakt, Bruno - odparł, zwalniając nieco, aby warkot silnika nie zmusił go przypadkiem do podniesienia głosu. Mógłby wtedy niepotrzebnie robić wrażenie zdenerwowanego. - Ale nie wszystkie kłopoty kończą się rozwodem. W każdym razie twoja matka i ja nigdy nie rozważaliśmy takiego kroku.

Bruno wpatrywał się przed siebie.

- Ale ty i mama nie... nie jesteście sobie tak naprawdę bliscy... Ciągle się kłócicie...

Derek poczuł, że ogarnia go niepokój. Co właściwie usłyszał Bruno w czasie tych kłótni? Trudno to teraz ustalić.

- Dawno zacząłeś o tym myśleć? - zapytał.

- Och, już parę lat temu.

- Nie wiem, co mógłbym powiedzieć, aby cię uspokoić. Ale uwierz mi, wszystkie małżeństwa mają swoje problemy, Bruno. Życie to nie czarowna bajka. Niedługo skończysz szesnaście lat i jesteś chyba wystarczająco dorosły, aby to zrozumieć. Sposób, w jaki zaczęliśmy, twoja matka i ja, odbiegał raczej od ogólnie przyjętych zwyczajów, przecież wiesz o tym. - Przed laty on i Karen uzgodnili, że kiedy Bruno będzie trochę większy, wyjawia mu, iż miał już sześć miesięcy, gdy oni pobrali się w dniu dziewiętnastych urodzin Karen. Uczynili tak na wszelki wypadek, aby uchronić go przed ewentualnymi złośliwymi komentarzami, z którymi mógłby się zetknąć w przyszłości. Jak dotąd, ta strategia okazała się owocna.

- Właśnie o to chodzi, tato. Może... może byliście za młodzi na ślub i pobraliście się z niewłaściwego powodu? Na przykład ze względu na mnie?

Jego słowa były dla Dereka prawdziwym wstrząsem. A więc Bruno boryka się od lat z tak ciężkim brzemieniem!

- Och, Bruno... Byłeś najwspanialszym powodem, dla którego można zawrzeć małżeństwo! A twoja matka i ja bardzo się kochaliśmy! - Zbyt późno uświadomił sobie, że mówiąc o tym w czasie przeszłym, popełnia fatalny błąd. Wóz toczył się teraz tak powoli, że można było wyraźnie dostrzec ogryzione przez robaki grona owoców na rosnących wzdłuż drogi krzewach jeżyny. Derek szukał słów, które byłyby w stanie przekonać chłopca i uspokoić go choć trochę. - Nie zamierzam cię okłamywać, synu - powiedział. - Nie ma sensu

udawać, że twoja matka i ja tworzymy idealnie dobraną parę. Tak nie jest. Ale chciałbym, abyś zrozumiał i uwierzył, że nie mamy żadnych planów związanych z tym, o czym myślisz... - Starał się mówić tonem budzącym zaufanie, wiarygodnym. - Nigdy nie brałem pod uwagę rozvodu i chociaż nie mogę znać skrytych myśli twojej mamy, o ile wiem, ona również nie ma takich zamiarów. Czy mi wierzysz? - Widział zaciśnięte pięści Brunona, dostrzegał jego rozpacz, postanowił jednak mówić dalej: - Jesteśmy już ludźmi dojrzałymi, i tyle - szepnął. - Życie wszystkich dorosłych zaczyna się od wielkich, wspaniałych planów. Sztuka polega na tym, aby nie zaniechać tych planów i nie pozwolić, aby utraciły swój blask. Rozumiesz, co mam na myśli? Jak mi się zdaje, twoja matka i ja popełniliśmy właśnie ten błąd: nie dbaliśmy wystarczająco troskliwie o to, by te plany pozostały równie piękne jak za lat naszej młodości. Ale jeśli się teraz postaramy, Bruno, jeśli popracujemy nad tym jak należy, to możemy je wskrzesić.

- Jasne, tato. Czy już dojeżdżamy? - Bruno zerknął na niego z ukosa, jego twarz skrywał częściowo podniesiony kołnierz kurtki. Derek wiedział wprawdzie, że nie powinien więcej mówić na ten temat, a jednak zapytał:

- Czujesz się już lepiej?

- Nie czułem się źle.

- Zapamiętaj sobie: nigdy nie będę zajęty do tego stopnia, abyśmy nie mogli ze sobą porozmawiać. Zapamiętasz to sobie?

- Aha. - Z olbrzymią ulgą Derek dostrzegł na twarzy syna lekki uśmiech. - Następnym razem, kiedy będziesz miał w Halifaksie spotkanie z Japończykami, polecę tam i wyegzekwuję swoje prawo do rozmowy z tobą.

Derek roześmiał się, przycisnął pedał gazu.

- W porządku. Ale teraz już dość na ten temat.

Pokonując ostatni odcinek krętej, wyboistej drogi, czuł, jak narasta w nim zmęczenie. Poruszył się nerwowo na siedzeniu samochodu, znacznie mniejszego niż jego własny. Naprawdę powinienem trochę schudnąć, pomyślał. Dobra kuchnia i siedzący tryb życia miały niewątpliwie wpływ na jego tuszę, ale tak naprawdę przybrał na wadze dopiero wtedy, gdy rzucił palenie.

Ciekawe, jak teraz wygląda John? Jest na pewno szczupły i w dobrej formie, jak zwykle. To dziwne, przyszło mu do głowy: kiedy przebywam z dala od Irlandii, mogę cały rok nie myśleć o swoim bliźniaku, ale gdy tylko znajdę się blisko niego, ogarnia mnie natychmiast dawne poczucie niepewności.

Zerknął na Brunona, który siedział z zamkniętymi oczyma. Nie wiedział, jak mógłby

znieść, gdyby chłopiec dowiedział się, kto jest jego ojcem, i zwrócił swe uczucie w stronę Johna.

- Jeszcze tylko parę mil - powiedział głośno. Bruno wyprostował się na siedzeniu.

- Gdzie się spotkamy ze stryjkiem Johnem?

- W domu. Jest teraz bardzo zajęty, bo realizuje właśnie jakiś wielki projekt, ale wróci na lunch i wtedy się spotkamy.

- Mam nadzieję, że wybierzemy się razem na ryby.

- Nie jestem pewien, czy to odpowiednia pora na wędkowanie, ale możemy go zapytać - odparł Derek. Sam nie interesował się w najmniejszym stopniu łowieniem ryb, teraz zaś poczuł ukłucie zazdrości: „jego” syn znajdzie się sam na sam z Johnem!

* * *

- Darino, czy możemy już iść? Na miłość boską, co tam robisz tak długo?

- Nic!

Krótką odpowiedź zirytowała Rose; miała za sobą nie przespaną noc i już od dawna była gotowa.

- Jak to: nic? Możemy wreszcie wyruszyć czy nie? W takim tempie nie zajedziemy tam nigdy! – Zdenerwowana bębniła palcami po kuchennym blacie. Kochała Darinę, ale niekiedy, widząc jej brak poczucia czasu, traciła cierpliwość. Punktualność w pojęciu jej córki polegała na tym, że o tej samej porze, na którą była umówiona z przyjaciółkami w mieście, wchodziła do łazienki pod prysznic. Tymczasem Rose wpajano w szkole, że nie wolno się spóźniać, bez względu na okoliczności. Cechę tę utrwalił w niej jeszcze bardziej zawód stewardesy.

Dziś czuła się szczególnie rozdrażniona. Po raz pierwszy od wielu lat miała się zobaczyć z matką, a prócz tego czekało ją spotkanie z Johnem Flynnem. Wiedziała, jak wiele ryzykuje. Może byłoby lepiej żyć nadal w samotności i tylko odgrzebywać wspomnienia związane z Johnem, niż przekonywać się naocznie, ile z tych wspomnień jest prawdą, a ile jedynie wytworem fantazji i pragnień? Ale trudno, co będzie, to będzie.

- Dzień dobry! - Do kuchni wszedł Willie Brehony z szerokim uśmiechem na nieogolonej twarzy. Kurtka jego pidżamy rozchyłała się na tym, co określał jako „brzuszek”, a co Effie nazywała trafniej „brzuchem piwosza”.

- Dzień dobry, Willie - odparła Rose.

- Myślałem, że już wyjechałyście. - Willie napełnił wodą czajnik elektryczny.

- Miałam taki zamiar. Ale zniweczyła go Darina.

- Och, nie sądź jej zbyt surowo. Po raz pierwszy ma zobaczyć starą hrabiowską siedzibę z wieżyczkami. Nic dziwnego, że szykuje się bardzo starannie. Pewnie czuje się tak jak Dorota, gdy wybierała się do krainy Oz.

Rose parsknęła śmiechem.

- Och, Willie, kto nas będzie rozweselał, kiedy wyprowadzicie się stąd razem z Effie?

- A kto mówi, że się wyprowadzimy? - Uśmiechnął się. - Nie rezygnuję tak szybko z tego, co dobre.

- Nie, ale powiedz poważnie: wybieracie się dziś do domu?

Willie westchnął ciężko.

- Wygląda na to, Rose, że soboty będziemy spędzać, taplając się wokół naszego domu w błocie. Tych facetów z firmy budowlanej udusiłbym gołymi rękami! Ich szef przysięgał, że zakończą wszystko przed dniem ślubu. I co? Spójrz teraz na nas! Musimy wynajmować u was pokój!

- Daj spokój, Willie! Wynajmowałeś mieszkania przez całe życie. Kilka tygodni więcej to nic strasznego.

- No tak, ale przez to przyzwyczajam się do was coraz bardziej. Dobre żarcie, kobiety na każdym kroku...

- Zamknij się wreszcie i zapnij pidżamę! Przynosisz wstyd całemu rodowi męskiemu!

- Co ty wygadujesz! - Twarz Williego przypominała teraz okrągłe, wesołe jabłuszko. Woda w czajniku zagotowała się i Willie zajął się parzeniem herbaty. - Nalać ci też? - Otworzył kredens i wyjął dwie filiżanki.

- Nie, dziękuję - odparła Rose. - Piłam herbatę po śniadaniu. Effie już wstała?

- Tak.

- Pójdę na górę, zamienię z nią parę słów i sprawdzę, dlaczego Darina tak się grzebie.

Wchodząc po schodach, uświadomiła sobie, że naprawdę będzie jej brakować Williego. To miło mieć w domu tak prostolinijnego i nieskomplikowanego mężczyznę. Do Effie naprawdę uśmiechnęło się szczęście. Znowu poczuła lęk. A co czeka ją w ciągu paru najbliższych dni? Powtarzała sobie w duchu, że John jest żonaty, ale w głębi duszy nie wierzyła w to.

- Jeśli nie będziesz gotowa za pięć minut, Darino - zawołała - wejdę po ciebie! - W odpowiedzi usłyszała gorączkowe kroki i trzaskanie drzwiami szafy. Westchnęła i zapukała do sypialni Effie. - Mogę wejść?

- Jasne. Już się obudziłam.

Przyjaciółka siedziała wśród rozkopanej pościeli, oparta na poduszce.

- Zawsze się zastanawiam, jak wy się mieścicie we dwoje na tym małym łóżku - mruknęła Rose. - Przyszłam się pożegnać. Darina nie jest jeszcze gotowa. Okropnie się grzebie.

- Bądź dla niej wyrozumiała, Rose.

- Wiem, wiem. Po raz pierwszy zobaczy swój dom rodzinny i tak dalej. Willie zrobił mi już wykład na ten temat. A czy ktoś myśli o tym, jak ja się czuję?

- Nie możesz oczekiwać od Dariny, aby rozumiała, co ty przeżywasz przed tą wizytą.

- Masz rację. Och, tak bardzo bym chciała mieć to za sobą, Effie. Znaleźć się wreszcie tam, na miejscu. Albo być już z powrotem i rozmyślać o tym jak wszystko przebiegło.

- Rose, od paru tygodni żyjesz tylko tą wizytą. Wytrzymaj jeszcze dzień lub dwa. Za niecałe trzy doby będziesz to miała z głowy.

- Albo zabraknie mnie wśród żywych. Matka zadźga mnie swoimi szydełkami.

- Posłuchaj, Rose, twoja matka zachowywała się bardzo grzecznie, kiedy wczoraj zadzwoniła. Mówiła, że oczekuje niecierpliwie spotkania z tobą i Dariną.

- No tak. Ale mówiła to tobie, nie mnie. A mnie powiedziała, że ma nadzieję, iż nie będę paradować po całym mieście.

- Rose, musisz ją zrozumieć. To stara kobieta i na dodatek nie czuje się ostatnio najlepiej.

- Nie jest znowu taka stara! Niedawno skończyła sześćdziesiąt lat.

- Ale zdrowie nie bardzo jej dopisuje. Daj już spokój, Rose, ustąp jej trochę. Co ci szkodzi? To tylko parę dni! A zresztą to, co teraz czujesz, sprawia ci przyjemność, przyznaj się! Może nie? To chyba Francuzi twierdzą, że najwspanialszą częścią przygody miłosnej jest oczekiwanie.

- Szczerze mówiąc, Effie, jestem już trochę za stara, aby przeżywać spotkanie z kimś, kogo nie widziałam siedemnaście lat. Mam się z nim spotkać i już, nic poza tym. Po prostu chcę odebrać bransoletkę....

- Akurat! - parsknęła Effie. - Rose O'Beirne Moffat, znam cię zbyt dobrze, abym dała się na to nabrać! Prawda jest taka, że w dalszym ciągu kochasz Johna Fllynna.

- A jeśli on się zmienił nie do poznania?

- Zapewne zmienił się, ale chyba nie aż do tego stopnia. A jeśli tak, to po prostu się odkochasz. Przestań się przejmować i staraj się cieszyć tym, co jest.

- Może się okazać, że jest żonaty.

Effie wzniosła oczy ku niebu.

- Mam tego po dziurki w nosie. Mogłaś się już dawno temu dowiedzieć, czy on ma

żonę, ale na to nie starczyło ci odwagi. Zresztą obie wiemy, że nie wierzysz, iż John jest żonaty. W przeciwnym razie nie zachowywałabyś się w ten sposób... jakbyś miała nadal szesnaście lat. A teraz nic już nie mów, jedź do Sundarbans, spotkaj się z Johnem i baw się dobrze. Zrób, co możliwe, aby i Darina bawiła się dobrze.

- To wszystko jest bardzo ryzykowne.

- Takie jest życie, moja droga. Bez ryzyka traci sens. O, idzie już mój Willie z herbatą. - Effie przesunęła się na łóżku, aby Willie miał gdzie umieścić tacę. - Ucałuj Rose na do widzenia, Willie, a potem pozbądź się jej. Jeśli nie wyjedzie natychmiast, nie da nam tu żyć.

- Już dobrze, dobrze. - Rose podstawiła Williemu policzek, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę.

- Boże! - zawołała przerażona na widok szkaradnej czarno - czerwonej twarzy, okolonej rozwichrzoną zieloną czupryną.

- Ale cię nastraszyłam! - zaśmiała się triumfalnie Darina, zdejmując z głowy maskę upiora.

Rose zżymała się już na samą siebie, ponieważ okazała lęk.

- Darina, nie wpadaj w ten sposób do pokoju! Omal nie dostałam ataku serca!

- Jak widzę, łatwo ci napędzić strachu! - Ale już po chwili dziewczyna okazała skruchę: - Przepraszam, mamó, to miał być żart.

- Czy wreszcie pójdziecie sobie i dacie nam trochę spokoju? - Effie załamała rękę. - Ta wasza podróż doprowadzi nas wszystkich do szału, jeśli nie wyniesiecie się stąd w tej chwili!

- Cześć! ... Chodźmy, jestem już gotowa. - Darina odrzuciła maskę i wyszła z pokoju, ciągnąc za sobą matkę.

Przed opuszczeniem mieszkania Rose, która nie wyzbyła się swoich przesądów z dzieciństwa, ukradkiem musnęła palcem czoło małej wypchanej małpki, otrzymanej w prezencie z Hiszpanii od jednej ze swoich koleżanek. Nazwała małpkę Roger.

* * *

Pięć godzin później Rose poczęło się zdawać, że ktoś ściska jej głowę w imadle. Uduśzę się, jeśli nie wyjdę zaraz na świeże powietrze, pomyślała. Zerknęła ukradkiem na twarze ludzi siedzących w milczeniu przy kuchennym stole i po raz dziesiąty, odkąd tu przybyły, zaczęła się zastanawiać, co ją skłoniło do złożenia wizyty w tym domu, na domiar złego wraz z Dariną. Gdyby poranna rozmowa pomiędzy nią, Dariną, Daphne i Gusem

została nagrana na magnetofon, a potem odtworzona komuś obcemu, człowiek ten z pewnością nie wyczułby w niej szczególnego napięcia ani żadnej niepokojącej dynamiki. Jednakże spod warstwy zdawkowej uprzejmości i wymuszonej pogody wyłaniała się wyraźnie przykra prawda: matka nigdy, przenigdy nie ustąpi. Daphne mogła prawić piękne słówka o „chrześcijańskim miłosierdziu” i „miłości bliźniego”, ale Rose była całkowicie pewna, że w głębi serca przydzieliła już jej i Darinie role wyrzutków.

Odkrycie, że ta świadomość sprawia jej ból, stanowiło dla Rose dotkliwy cios. Już dawno temu zaczęła wierzyć, że jest odporna na okazywaną przez matkę dezaprobatę. Teraz przekonała się, że było to jedynie złudzenie.

- Czy mieliście jakieś wieści o pani McKenna? - zapytała, siląc się na pogodny ton. Ich dawna gospodyni przeszła na zasłużony wypoczynek już jedenaście lat temu, dla Rose oznaczała jednak teraz przede wszystkim jedyny bezpieczny temat rozmowy.

- O ile wiem, mieszka nadal ze swoim synem – odparła Daphne. - Odkąd jej u nas nie ma, twojemu ojcu oczywiście wystarcza Fergie - dodała - ale moim zdaniem, ten człowiek po prostu korzysta z dobrego serca Gusa.

Rose miała już tego dość. Złożyła serwetkę i umieściła ją obok talerza z ledwie rozpoczętym posiłkiem.

- Boli mnie trochę głowa - mruknęła. - Pozwolicie, że pójde się przejść? Może na powietrzu poczuje się lepiej.

- Mogę iść z tobą? - zapytała natychmiast Darina.

- Obiad był wspaniały, mamó - powiedziała z uznaniem Rose. - Naprawdę. - Mówiła to szczerze; Daphne rzeczywiście zadała sobie wiele trudu. - Po prostu nie mam dziś apetytu, to wszystko - dodała.

- Dziękuję, Rose. - Matka skwitowała komplement lekkim skinieniem głowy. - Staram się, jak mogę.

- Wszystko było naprawdę wyśmienite. Musisz mi dać przepis. - Głównym daniem była kaczka w sosie pomarańczowym. Na prośbę córki Daphne zareagowała bladym uśmiechem, który Rose odebrała jako wyraz dezaprobaty. „Ty? - zdawał się jej urągać uśmiech matki. - Nie zasługujesz na przepis ani na nic innego”.

Nie podnosząc nawet głosu, matka zdołała przytłoczyć ją, obezwładnić, pozbawić energii. Rose zapragnęła nagle krzyknąć coś na cały głos, przewrócić stół, cisnąć resztki posiłku w twarz Daphne, ale nie starczyło jej nawet odwagi, aby wstać od stołu. Siedziała więc w milczeniu, wpatrując się w talerz. Także Gus zdawał się interesować teraz wyłącznie swoim talerzem; nie mogła oczekiwać od niego żadnego wsparcia.

Z pomocą przyszła jej natomiast Darina: odsunęła krzesło od stołu tak energicznie, że zaszurało po podłodze i zawołała:

- To jak, mamó, idziemy? - Po czym zwróciła się do Daphne: - Chciałabym bardzo obejrzeć stajnię i całą resztę, babciu. Mama opowiadała mi tak wiele o Sundarbans!

- No tak - mruknęła Daphne. - Ale będziesz chyba musiała przywołać na pomoc swoją fantazję, gdyż to, co tu niegdyś było, trzeba sobie raczej wyobrazić. Zobaczyć można niewiele. - Rzuciła szybkie spojrzenie na spuszczoną głowę Gusa.

- Chodźmy, Darino - odezwała się Rose. Wstała. - Przynajmniej zrzucimy podczas spaceru trochę kalorii po tym wspaniałym obiedzie. Jeszcze raz dziękujemy, mamó. Może potem, kiedy wrócimy, napijemy się razem kawy w małym salonie?

Daphne uniosła brwi.

- Oczywiście, Rose. Tyle tylko że nie nazywamy go już małym salonem. Odkąd stał się jedynym przyzwoitym pomieszczeniem w tym domu, określamy go po prostu jako pokój.

- Jasne. - Rose usiłowała się zmusić do uśmiechu, chociaż ogarniało ją coraz większe przygnębienie. Matka cały czas czyniła uszczypliwe uwagi i aluzje pod adresem Gusa; nawiązując stale do upadku Sundarbans, zdawała się czerpać jakąś perwersyjną przyjemność z upokarzania męża w obecności córki. Rose najchętniej stanęłaby w jego obronie, czuła jednak instynktownie, że w ten sposób tylko by zaogniła sytuację, wyświadczając ojcu niedźwiedzią przysługę. - A więc do zobaczenia w tamtym pokoju, mamó - odparła.

Niebawem znalazła się wraz z Dariną na świeżym powietrzu i omal nie podskoczyła z radości do góry, rozkoszując się na nowo uczuciem swobody.

- Boże! - zawołała, kiedy były już poza zasięgiem uszu matki. - Przepraszam, Darino, że naraziłam cię na to wszystko, naprawdę bardzo mi przykro. Wyjedziemy stąd jak najszybciej, już jutro.

Darina zdawała się mieć pewne wątpliwości.

- Myślę, że trochę wyolbrzymiasz całą sprawę, mamó. Babcia zachowuje się całkiem sympatycznie. Przecież widzi mnie po raz pierwszy w życiu, może się więc czuć odrobinę niezręcznie. Jest przy tym trochę... Zawahała się, szukając odpowiedniego słowa. - Czy ja wiem... jest trochę...

- Złośliwa - uzupełniła Rose i natychmiast tego pożałowała. Nie powinna obciążać młodej dziewczyny brzemieniem własnych nieudanych stosunków z matką, wiedziała o tym doskonale. - Przepraszam - mruknęła, pocierając sobie kark dłonią, aby uśmierzyć choć trochę ból głowy. - Tak tylko powiedziałam. Moja matka przeszła w życiu naprawdę wiele. W latach młodości żywiła olbrzymie nadzieje na przyszłość. I chyba z naszego powodu te nadzieje

prysły jak bańka mydlana.

- Jak to?

- Och, to zbyt skomplikowane... Ale nie zostajemy tu przecież długo, spróbujmy więc cieszyć się pobyt w Sundarbans o tyle, o ile to możliwe. - Wyszły z domu tylnymi drzwiami i teraz przechadzały się wzdłuż murów. - To chyba moja wina - dodała Rose. - Matka i ja nigdy nie mogłyśmy znaleźć wspólnego języka. Byłyśmy zawsze jak ogień i woda.

Doszły już do drzwi frontowych; kamienne schody były szare od brudu i nie wzbudzały zaufania. Rose położyła rękę na ramieniu córki.

- Nie wiedziałam, że sprawy mają się tu aż tak źle.

- Dom jest... trochę zaniedbany, to wszystko – odparła Darina. - Ale za to... och, jak tu romantycznie! - Uniosła aparat fotograficzny, prezent od Williego Brehony, który dostała na swoje ostatnie urodziny, i uwieczniła na kliszy fasadę starego domu. - Przez te wszystkie lata, kiedy o nim mówiłaś, nie powiedziałaś ani razu, że jest taki wielki. I zabytkowy.

Rose usiłowała spojrzeć na to rozsypujące się dworzyszczce poprzez różowe okulary Dariny, dostrzec nie tyle stopień jego zniszczenia i żałosny obecnie wygląd, ile raczej czasy, kiedy siadywała przy oknie swojej sypialni, obejmując kolana ramionami, i rozmarzona wyobrażała sobie, co ją czeka w przyszłości.

- To nie jest złe miejsce na marzenia - przyznała. - Po prostu jest mi smutno, kiedy widzę, co z niego zostało. Dwór wyglądał zupełnie inaczej, kiedy byłam młoda, chociaż mam wrażenie, że już wtedy podupadał. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa wspaniałe przyjęcia, roje gości. Organizowaliśmy w okolicy wielkie polowania. W dzień świętego Stefana tu, gdzie teraz rosną te okropne chaszczki, a dawniej był piękny trawnik, gromadzono konie i psy, ludzie i zwierzęta napełniali don i podwórce cudownym gwarem. Psy skomlały i ujadły, konie biły kopytami i głośno rżały, wszędzie słychać było śmiechy i rozmowy...

Ostrożnie zeszła po schodkach niżej i przystanęła na skraju trawnika, nie strzyżonego już od tak dawna, że przypominał dziką łąkę; gęste kępy ostu, szczawiu, koniczyny i pokrzyw odcinały się wyraźnie na tle bladych puchowych kwiatów rozmaitych chwastów, które gięły się przy każdym podmuchu ostrego październikowego wiatru. Rose podniosła kołnierz płaszcza, przytrzymała pod brodą.

- Zawsze uważałam tatę... twojego dziadka... za najprzystojniejszego mężczyznę w okolicy. Powinnaś go była zobaczyć, Darino, jak się prezentował w siodle. Zawsze jeździł na wielkim koniu, silnym jak niedźwiedź. Miałam wtedy nianię i ona zawsze na parę minut przed rozpoczęciem polowania podnosiła mnie i sadzała na grzbiecie wierzchowca ojca. Siedziałam tak przez chwilę, czułam ciepłą skórę siodła i zapach konia, a ojciec trzymał mnie

wpół... Nigdy tego nie zapomnę, będę to wspominać do końca życia! - Zerwała źdźbło trawy i zgmiotła je między palcami. - Pewnego razu ojciec pozwolił mi łyknąć trochę grzanego wina, które pił z przyjaciółmi. zieliśmy specjalne kubki na to wino... były chyba ze srebra. Nie widziałam ich od lat, na pewno zostały sprzedane. Wino wcale mi nie smakowało, ale tamtego dnia nie smak był ważny. Czułam się po prostu szczęśliwa, bo mój tata pozwolił mi skosztować wina i nawet przytrzymał mi kubek tak żebym nie poplamiała sobie nowej sukienki, którą dostałam na gwiazdkę... - Do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je ukradkiem, nie chcąc, żeby Darina zobaczyła, że płacze. - Powiem dziadkowi, że masz ochotę obejrzyć zbójownię - powiedziała. - Wisi tam wspaniała głowa tygrysa.

- To cudowne, co opowiadasz - zachwyciła się Darina. Ujęła matkę pod ramię. - Wiesz, powinnaś opisać swoje dzieciństwo.

- Opisałam - wyznała Rose.

- Naprawdę? Dasz mi kiedyś przeczytać?

- Jasne, ale najpierw muszę znaleźć te wszystkie papiery. Trzymam je w skrzyniach na strychu. Wiem, że nie jest to wiele warte, ale nie mogłam się jakoś zdecydować, aby je wyrzucić. Kiedyś chciałam zostać pisarką, wiesz?

- Jeszcze nic straconego, mamo. Wszystko przed tobą - pocieszyła matkę Darina. - Ile miałaś lat w dniu, kiedy dziadek dał ci się napić wina?

- Chyba trzy. W każdym razie nie mogłam mieć więcej niż cztery, bo niania przestała u nas pracować, zanim skończyłam pięć lat.

- I właśnie wtedy zaczęliśmy ubożeć?

- Chyba tak. Ale tak naprawdę nie potrafię powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Zmiany następowały powoli, stopniowo. Wydaje mi się, że musiałam czuć, iż dzieje się coś niedobrego, ale gdy miałam siedem lat, rodzice wysłali mnie do Dublina, do szkoły z internatem. Potem zmiany na gorsze następowały już coraz szybciej.

- Jak to dobrze, że ty nie wysłałaś mnie do szkoły z internatem - szepnęła Darina. - Nie przeżyłabym tego!

- Dla mnie to nie było takie okropne, szybko się przyzwyczaiłam. Ale czułam się trochę dziwnie w otoczeniu tylu dzieci.

Darina odgarnęła do tyłu swoje bujne włosy i rozejrzała się z zaciekawioną.

- A gdzie jest ten twój ulubiony ogród?

- Widzisz tamten filar? - Rose wskazała na szarą, cylindryczną kamienną kolumnę, której popękany czubek niemal ginął w gęstej rozkołysanej trawie. - Możesz mi nie wierzyć, ale to był zegar słoneczny. Dzięki niemu nauczyłam się określać czas. Niania albo tata

podnosili mnie wysoko, żebym mogła wszystko przeczytać, zapoznali mnie z liczbami rzymskimi. Znałam się na zegarze słonecznym dużo wcześniej niż na zwykłym. Na tarczy był jakiś napis, ale nie pamiętam już słów... To było coś o wskazywaniu szczęśliwych chwil.

- A gdzie jest teraz ta tarcza?

- Pewnie w jakimś antykwariacie w Dublinie albo w Londynie - powiedziała Rose.

Parę godzin wcześniej, kiedy wynajętym samochodem dojechały pod dom, poczuła ogarniającą ją rozpacz. Gus ostrzegł ją, jak sprawy się mają, myślała więc, że jest należycie przygotowana na wszelkie przykre niespodzianki, ale gdy tylko dojrzała pałac, uświadomiła sobie, że czas i odległość musiały przyćmić jej pamięć. W każdym razie żadne ostrzeżenie nie byłoby w stanie przygotować jej na widok tej ruiny, w jaką zamieniła się posiadłość, odkąd widziała ją po raz ostatni.

Na pierwszy rzut oka dom wyglądał, jakby nie był zamieszkały. Część dachu zapadła się i została okryta ceratowymi płachtami, które powiewały na wietrze. Większość okien na piętrze zabito dyktą, kruszące się balustrady i taras nie nosiły żadnych śladów prac remontowych, ciemne algi bez przeszkód wspinały się po fasadzie niczym monstrualne macki potwora zamierzającego zniszczyć mury. Podchodząc bliżej, Rose rzuciła okiem na mosiężne okucia drzwi frontowych; pokrywała je gruba warstwa grynszpanu, tak stara, że była już tylko oślizłym grzybem.

Nie zdołała ukryć przed Gusem, jak bardzo jest wstrząśnięta.

- Wiesz, nie jest wcale tak źle - mruknął pośepnie. – Ci ludzie, którzy zajmą się renowacją, przeprowadzili ekspertyzę. Okazało się, że chociaż to i owo jest przegniłe, wiązania dachowe znajdują się w dobrym stanie, podobnie jak fundamenty, mury i przynajmniej część ścian wewnętrznych.

Prowadząc teraz Darinę w stronę stajni, Rose zastanawiała się po raz nie wiadomo już który, jak można było dopuścić do takiej ruiny domu. Przecież w skład posiadłości wchodziły także setki akrów farmy oraz lasu. Dlaczego ojciec tego nie wykorzystał? Dlaczego zachowywał się tak biernie?

Wrota stajni były zamknięte, kłódkę zastępował zwój starego drutu.

- Do diabła! - zirytowała się Rose. - Za moich młodych lat nigdy nie zamykano tych wrót. - Zaczęła odwijać drut.

- Teraz też nie jesteś stara! - Darina trąciła ją zartobliwie w bok.

- Ale tak się dziś czuję!

- W takim razie pojedziemy do Carrickmacross i zabawimy się na całego. Urządzimy sobie szalony wieczór.

- Ani myślę! - zawołała Rose, nadal mocując się z drutem. Był zardzewiały i pobrudził jej dłoń. Rose otarła je o spódnicę, nie przejmując się tym, że może ją poplamieć. – To ostatnia rzecz, jaką mogłybyśmy zrobić, kochanie. Chcesz, żeby wyrzucono nas stamtąd za nieprzyzwoite zachowanie?

Dziewczyna wzniosła oczy ku niebu.

- Mamo, ja tylko żartowałam. Zresztą jestem pewna, że wrogość tych ludzi to tylko wytwór twojej wyobraźni. Tutaj też wiele się zmieniło od czasów twego dzieciństwa.

- Nie aż tak wiele. - Rose otworzyła wreszcie wrota i razem weszły do stajni. - O Boże!

Stajnia przedstawiała obraz zupełnej ruiny: popękane ściany; spróchniałe, dziurawe drzwi do poszczególnych boksów; wysokie chwasty wyrastające tu i ówdzie z podłogi, ze szczelin w murze i futrynach; tegoroczne liście rzucone niedbale na stary kompostownik. Darina ścisnęła matkę za ramię.

- Nie przejmuj się. Ja i tak potrafię sobie wyobrazić, jak to wszystko wyglądało dawniej. Naprawdę! Który boks był Tartana?

Rose zaprowadziła ją tam, gdzie spędzała tak wiele czasu przy swoim kucu. Drzwiczki były zamknięte na kłódkę, ale wystarczyło jedno pchnięcie, aby skobel odpadł od spróchniałej framugi. Razem weszły do mrocznego, zimnego boksu. Nawet po tylu latach betonowa podłoga przesycona była wciąż jeszcze końskim zapachem.

- Czuję to - szepnęła Darina. - Och, mamo, jak tu cudownie! I czuję też twoją obecność w tym miejscu!

Mimo smutku, jaki ją przenikał, Rose roześmiała się. Uściskała córkę.

- Darino, jesteś niezwykle romantyczna! Mam nadzieję, że zawsze taka pozostaniesz. Ale masz rację, byłam tutaj szczęśliwa... przynajmniej jakiś czas.

- Założę się, że zostawiłaś tu wtedy cząstkę tego szczęścia. I właśnie ona unosi się teraz w powietrzu.

Rose nie odpowiedziała. Jeszcze nigdy nie czuła się tak blisko związana z córką jak w tej chwili.

- Chodź - odezwała się wreszcie. - Pokażę ci inne miejsca, które wiele dla mnie znaczą.

Zamknęły stajnię, ale tylko prowizorycznie, gdyż skobel nie trzymał się już w drewnie, a potem obeszły sąsiednie zabudowania. W pewnej chwili stanęły przed wozownią połączoną z magazynem.

- Wspaniała! - zachwyciła się Darina. - Możemy zajrzeć do środka? Nigdy jeszcze nie

siedziałam w powozie!

- Nie - odparła krótko i stanowczo Rose. - Drzwi są zamknięte, a ja nie mam zamiaru mocować się z kolejnym zamkiem. - Nie był to prawdziwy powód. Po prostu pamiętała jeszcze dzień, kiedy w tej właśnie szopie Derek zachował się tak dziwnie. I nie chciała, aby wspomnienia stały się zbyt bolesne. Widząc jednak, że jej gwałtowna odpowiedź zaskoczyła Darinę, dodała łagodniej: - I tak nie ma tu teraz żadnych powozów, kochanie, już od lat. Sprzedano je, podobnie jak wszystko inne, co mogło przynieść choćby parę funtów. - Poprowadziła córkę w inną stronę.

- Dokąd teraz idziemy?

- Musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy obejrzeć wszystko. Niebawem się ściemni. Chciałabym pokazać ci jeszcze moje ulubione miejsce, jezioro. A to kawałek drogi.

Ruszyły w stronę lasu.

- Często siadałam z samego rana przy oknie i patrzyłam, jak jelenie wychodzą spomiędzy drzew - szepnęła Rose.

Przynajmniej las wygląda niemal tak samo jak dawniej, pomyślała. Wiatr, który huczał w gałęziach wysoko nad ich głowami, miał na wysokości ich twarzy siłę zaledwie letniego powiewu. Włosy Dariny przybierały na przemian barwę to białą, to znów złocistą, kiedy dziewczyna z wdziękiem ukształtowanym przez lekcje baletu sunęła do przodu, wchodząc w smugi światła, które padało ukośnie z góry, a potem wyłaniając się z nich ponownie. Wyglądała jak młoda celtycka bogini, pomyślała z zachwytem Rose. Była dumna, że dała życie komuś tak pięknemu. Dumna, że ona i John Flynn wspólnie dali życie tak pięknej istocie. Poczowała, że przeszedł ją dreszcz.

Wyszły spomiędzy drzew na brzeg.

- Boże! - zawołała Darina. - Jakie wielkie! Nie sądziłam, że jest tak olbrzymie! I to wszystko należy do nas? - Zatoczyła ręką rozległe półkole. - Całe jezioro?

Rose roześmiała się.

- O ile wiem, nie. Mówiąc prawdę, nie mam pojęcia, jak wyglądają roszczenia do tego jeziora w świetle prawa. Na pewno należy do nas ten fragment brzegu, ale nie wiem, jaka część samego jeziora jest nasza. W każdym razie mamy tu prawo połowu ryb.

Odruchowo, jakby pod wpływem tajemnej siły, skierowała wzrok na cypel, gdzie po raz pierwszy spotkała Johna. I nagle na ramionach i karku poczuła gęsią skórę* gdyż dostrzegła go: stał dokładnie tam, gdzie wtedy, tamtego letniego dnia. Pogoda była inna, inne też były pora roku i barwy przyrody. Nawet jezioro się różniło, było dziś burzliwe, spienione. Jednakże wrażenie, że widzi Johna naprawdę, było niezwykle silne. Rose zamarła w

bezruchu.

- Mamo, czy wierzysz w duchy?

Pytanie padło nagle, zbiegło się też tak idealnie z kierunkiem jej własnych myśli, że Rose doznała wstrząsu. Nadal wpatrywała się bez słowa w skalisty cypel, o którego wąski kraniec rozbijały się grzywiaste fale.

- Dlaczego pytasz? - mruknęła, aby zyskać na czasie.

- Czy ja wiem... - Darina wzruszyła ramionami. – Po prostu: wierzysz w duchy czy nie?

- Ja... nie jestem pewna. Ale nie mogłabym też powiedzieć, że wiem wszystko o świecie czy chociażby o jakiejś jego części. A ty?

- Wydaje mi się, że nie można niczego wykluczyć.

Rose, starając się nadal odzyskać panowanie nad sobą, spojrzała na skupioną twarz córki.

- Słuchaj, Darino - powiedziała z naciskiem - chyba nie dałaś się wciągnąć w coś, o czym nie wiem, a powinnam?

- Co masz na myśli? - Dziewczyna, omijając ją wzrokiem, wpatrywała się we wzburzoną powierzchnię wody.

- Wiesz dobrze, co mam na myśli. Okultyzm, spirytyzm i podobne sprawy.

- Nie, nie zaangażowałam się w nic takiego.

Rose przypomniała sobie broszury, które widziała kiedyś u córki.

- A te materiały związane z kultem Hare Kriszny?

- To przeszłość. Ja je wtedy tylko czytałam... Mamo, przestań się tym zamartwiać! Kult Kriszny nie interesuje mnie ani trochę!

- Zamartwiam się o ciebie, kochanie, gdyż stałaś się bardzo skryta.

Wolnym krokiem ruszyły przed siebie, omijając kamienie na brzegu.

- Nie powinnaś tak mówić, mamo. Mam już szesnaście lat i tym samym prawo do prywatności.

- Ale kiedyś wiedziałam, jakie masz zainteresowania i o czym myślisz, a teraz nie mam nawet pojęcia, co czytasz. Powiedz chociaż, czym się interesujesz.

- Och, wieloma rzeczami, no... wiesz!

W tej chwili Rose uświadomiła sobie, że jej córka wyrosła już z wieku dziecięcego, a ona nie wie, jak to się stało ani kiedy. Może nadejdzie taki dzień, pomyślała, że Darina pomoże mi zrozumieć. Po prostu muszę być cierpliwa... Zabrakło jej odwagi do kontynuowania rozmowy z córką, gdyż nie chciała dopuścić do porównań ze swoim okresem

dojrzewania; była przecież niemal dokładnie w tym samym wieku co teraz jej córka, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Nie zdołała jednak powstrzymać się od uczynienia ostatniej próby. Podniosła jakiś kamyk i udała, że ogląda go bacznie.

- Powiedziałaś mi, prawda? - zapytała jakby mimochodem.

- Ale o czym? - Mina Dariny wyrażała czujność i Rose z wielkim trudem zwalczyła w sobie pragnienie, aby wydobyć od córki dokładniejsze informacje.

- Nie wiem... Gdyby zaszło coś, o czym powinnam wiedzieć.

- Jasne, mammo.

Po chwili rozdzieliły się. Darina chciała obejrzeć przystań.

- Nie pogniewasz się, jeśli cię zostawię? Możesz iść tam sama - powiedziała Rose. - To niedaleko stąd... jakieś dwieście jardów, za tamtą kępą rododendronów.

- A ty dokąd się wybierasz?

Dobre pytanie, pomyślała Rose. Nie zdołała jeszcze się otrząsnąć po tym, jak „ujrzała” Johna Flynna.

- Wrócę do domu, pochodzę trochę, obejrzę go dokładniej, zobaczę, jak dalece jest zniszczony. A może odbędę małą przejażdżkę, odwiedzę stare kąty...

- Obiecałaś, że będziemy to robić razem.

- I dotrzymam obietnicy. Pojedziemy jutro. I nie zapominaj, że pojutrze wybieramy się do Carrickmacross. Czeka cię tam niespodzianka. - Do tej pory nie zdradziła jeszcze córce, iż zamierza ofiarować jej biżuterię.

- W porządku, a więc do zobaczenia później. Za parę godzin spotkamy się w domu. - Uśmiechnęły się do siebie i Rose odwróciła się, po czym ruszyła w stronę posiadłości.

Zanim tam doszła, podjęła decyzję: wsiądzie do samochodu i pojedzie do Johna Flynna. Musi się z nim zobaczyć, bez względu na wszystko.

Zdawała sobie sprawę, że powinna zwalczyć ogarniające ją podniecenie, ale w tych zmaganiach nie miała żadnych szans: zanim doszła do samochodu, była znowu szesnastolatką, na domiar złego tak stremowaną, jakby wybierała się właśnie na swoją pierwszą randkę. Na miłość boską, zachowaj spokój!, strofowała się w duchu. Jesteś dorosłą kobietą, masz nawet prawie dorosłą córkę. Jak ona by zareagowała, gdyby wiedziała, że jej matka zachowuje się w ten sposób? Wyobraziła sobie ironiczną minę Effie, gdyby opowiedziała przyjaciółce o swojej „wizji”.

Kluczyk tkwił w stacyjce, nie musiała więc wchodzić do domu. Zawróciła, manewrując wprawnie na dziedzińcu, po czym ruszyła alejką. Zamierzała po prostu pojechać do hotelu i wejść tam na kawę. Hotelarze zawsze kręcą się po swoich włościach, tak że

prędzej czy później spotka go, to pewne. Opuszczając posiadłość, zerknęła na zegarek: właśnie minęła czwarta trzydzieści. Kolację w Sundarbans podawano o siódmej. Miała więc mnóstwo czasu.

Przycisnęła pedał gazu. Teraz, kiedy już jechała szosą, żałowała, że droga nie jest szersza i nie umożliwia szybszej jazdy. Szkoda, że jadę samochodem, a nie motocyklem, pomyślała. Zateśniła nagle za czasami, kiedy jeszcze wierzyła w anioła stróża.

* * *

- Jesteś pewien, że wszystko masz przygotowane? - George Cranshaw spojrzął na zegarek. - Jeśli tak, to lepiej się pośpiesz. Twój samolot odlatuje za niecałe trzy godziny.

- Dobrze - odparł John. - Ale jednak wolałbym, żebyś ty to załatwił, nie ja. Przecież to ty nawiązałeś kontakt z...

- Bzdura! Nadajesz się do tego najlepiej. Wszyscy pokładamy w tobie największe zaufanie.

- No cóż, mam nadzieję, że was nie rozczaruję.

- Wsiadaj wreszcie do auta, ale już, natychmiast!

- Tak jest! *Heil Hitler!* - John poderwał ramię, naśladując hitlerowskie pozdrowienie, po czym wsiadł do samochodu. - Nie zapomnisz o Dereku? - Trzydniowy wyjazd do Dublina wyłonił się zupełnie nieoczekiwanie w ostatniej chwili, miał jednak ogromne znaczenie dla planów związanych z przebudową Sundarbans. John zdążył zjeść wspólnie z bratem i Brunonem zaledwie jeden obiad, czuł więc teraz wyrzuty sumienia, że opuszcza ich tak szybko. George obiecał mu, że dotrzyma im obu towarzystwa podczas dzisiejszej kolacji w hotelu.

- Nie zapomnę, nie martw się. Wszystko będzie dobrze - zapewnił Johna. - Wyjaśnię twemu bratu, że pan Pickford miał czas na spotkanie z nami jedynie w ten weekend.

- Tak mu właśnie przedstawiłem sprawę i Derek chyba zrozumiał. Sam też prowadzi interesy, więc wie, jak to jest. Skoro już o tym mowa... nie traktuj zbyt serio wszystkiego, co on mówi. Od kiedy odkrył, że ma głowę do interesów, nie potrafi przepuścić żadnej okazji, aby o nich nie pogadać. Jestem pewien, że nie powstrzyma się od tego również, także kiedy zaczniesz rozmawiać z tobą.

Szyba po stronie kierowcy była opuszczona i George oparł się łokciem o okno.

- A tego byś nie chciał, wiem. Ale z drugiej strony... jego pieniądze nie są gorsze od pieniędzy innych...

- Jeśli on się znajdzie w spółce, ja się wycofuję. - Zorientował się, że pasja, z jaką to

powiedział, zdziwiła George'a, dlatego dodał spokojniejszym tonem: - Po prostu w interesach Derek i ja nie mielibyśmy do siebie pełnego zaufania. A taka sytuacja pomiędzy wspólnikami byłaby nie do zniesienia. - Nie czuł potrzeby wyjaśniania, że to tylko część prawdy; w ostatnich latach rozłąka, w jakiej żyli obaj bracia, stworzyła w ich wzajemnych kontaktach stan pewnej równowagi, której John nie chciał teraz zakłócać.

- Nie masz się czym przejmować - obiecał George. - Jedź już i staraj się bawić dobrze w Dublinie. Nie musisz ograniczać się do tego, co zaproponuje ci ten gość. Przejmuj od czasu do czasu inicjatywę, pokaż mu, co dobre, ale nie zapominaj też wychodzić na swoje, kiedy się da. Po - bądź trochę tu i tam, napij się, skorzystaj z uroków życia. Zaslugujesz na to.

- Uważaj! Mógłbym już nigdy nie wrócić!

- Och, o to się nie martwię. Wrócisz na pewno. - Palce George'a wybiły na oknie samochodu szybki rytm. - No, powodzenia! I uważaj na siebie. Postaraj się wyciągnąć od niego jak najwięcej pieniędzy. - Wyprostował się, a kiedy John wyjechał pomiędzy dwóch bliźniaczych kolumn zadaszonego podjazdu hotelowego, pomachał mu ręką na pożegnanie.

John myślał już o czekających go pertraktacjach. Po raz pierwszy miał się spotkać z kimś, kto posiadał własny samolot. Spodziewał się, że ten człowiek nie okaże się zbyt arogancki i pewny siebie.

Samochód nabrał szybkości i wiatr wpadający przez otwarte okno stał się trochę zbyt dokuczliwy. Ponieważ na drzwiczkach brakowało pokrętła do szyby, John musiał zwolnić i wykorzystując to, co pozostało z korbki, zdołał jakoś podnieść szybę. Zaabsorbowany tą czynnością, nie dostrzegł w swoim lusterku wstecznym nowiutkiego forda escorta, który właśnie podjechał pod hotel.

* * *

Rose wyłączyła silnik i odetchnęła głęboko. Jeśli nie chce wzbudzić sensacji swoim widokiem, musi wziąć się w garść i odzyskać spokój ducha. Przez przednią szybę spoglądała na fasadę „Willow House”. Od czasów gdy jako mała dziewczynka przyjeżdżała tu z ojcem, dom zmienił się nie do poznania; kiedyś był bardziej niepozorny, zwłaszcza jeśli się go porównywało z Sundarbans.

Obecnie sytuacja się odwróciła. „Willow House” prze kształcił się w niewielki, lecz ładny pałacyk. Jego ściany oplatały pnącza dzikiego wina, o tej porze roku w pełni krasny pięknych szkarłatnych liści; w oknach widziała eleganckie firanki i lambrekiny; cała stolarka zewnętrzna lśniła świeżą farbą, a połysk mosiężnych okuć na drzwiach frontowych świadczył o tym, że są czyszczone codziennie. Asfaltowy parking mieścił się między dwoma

pieczołowicie pielęgnowanymi, bliźniaczymi trawnikami, których symetrię zakłócały jedynie półkoliste klomby róż i zielne obrzeża. Nawet przybudówkę zaprojektowano z wielkim smakiem; z macierzystym domem łączyła ją fantazyjna „wiktoriańska” cieplarnia, a fakt, że powstała niedawno, zdradzały jedynie nie pociemniałe jeszcze od upływu czasu mury. Dobra robota, George, pomyślała Rose.

Zawsze lubiła George'a i jego żonę Dorothy. Pani Cranshaw była jedyną dorosłą kobietą, którą Rose widywała boso lub w sandałach nawet zimą i która pozwalała dzieciom wybierać palcami własnej roboty konfitury ze słoików. Nigdy też nie denerwowała się, jeśli któreś z łasuchów poplamiało jej meble.

Rose jeszcze raz wzięła głęboki oddech. Pora wejść do środka. Przypomniała sobie, że nie ma ze sobą grzebienia, rzuciła więc okiem w lustro, aby sprawdzić wygląd. Na szczęście miała krótko ostrzyżone włosy i nowa fryzura, którą nosiła od sześciu tygodni, prezentowała się bardzo dobrze mimo wiatru. Na wszelki wypadek przyglądała ją dłonią. To musi wystarczyć, pomyślała.

Wchodząc do hotelu, poruszała się ostrożnie jak kot. Była napięta do granic wytrzymałości; najmniejsze dotknięcie wywołałoby w niej gwałtowną reakcję. Wiedziała, że musi zapanować nad sobą. Ale co się stanie, jeśli John będzie pierwszą osobą, na jaką się natknie?

Recepcja hotelu była na szczęście pusta. Rose podeszła do lady i trąciła mały dzwonek; była tak podniecona, że jego metaliczny dźwięk wydał jej się zbyt donośny.

Widoczne w głębi, za lady, drzwi otworzyły się, a do Rose podeszła młoda kobieta.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Czy mogłabym... prosić o kawę?

- Oczywiście. - Kobieta przysunęła do siebie mały bloczek. - Zechce pani zamówić coś do kawy?

- Nie, dziękuję. Kawa wystarczy. - W jej własnych uszach ostatnie słowa zabrzmiały nieco histerycznie, ale kobieta najwidoczniej nie dosłyszała w nich nic niezwykłego.

- Przyniosę za chwilę - powiedziała. - Czy mam podać tutaj? A może wolałaby pani przejść do saloniku? Albo też... skoro mamy tak piękny dzień... do cieplarni?

- Do saloniku - odparła Rose, ale głos jej załamał się podejrzenie i musiała odchrząknąć. - Przepraszam. Napiję się w saloniku.

- Zna pani drogę?

- Owszem. Wprowadzie nie byłam tu od dawna, ale jeśli dobrze pamiętam, to tamte drzwi, nieprawdaż?

- Tak - odparła kobieta. - Proszę sobie wybrać miejsce, a ja przyjdę za chwilę.

Rose przeszła do saloniku, w którym często bawiła się jako dziecko. Z radością i zdumieniem stwierdziła, że pokój nie zmienił się ani trochę. Wydawał jej się wprawdzie nieco mniejszy niż dawniej, ale nadal przypominał jeden z tych orientalnych bazarów, które znała z widokówek przysyłanych jej regularnie przez znajome stewardesy. Było w nim więcej zieleni, niż zachowała to w pamięci; najprzeróżniejsze rośliny zdawały się wyrastać z każdego nie zajętego przez inne skarby miejsca. Ale reszta wnętrza była dokładnie taka jak dawniej. Rose rozpoznawała dobrze znane obrazy na ścianach, porcelanowe słonie, kaczki z drewna, dzwonki, fotografie, wypchane ptaki i inne trofea, zbiory monet, medali i jaja ptasie.

Zbyt zdenerwowana, aby usiąść, kręciła się po całym pokoju, dotykając tego i owego, brała do rąk rodzinne zdjęcia i odstawiała je z powrotem, nawet ich nie oglądając. Stała właśnie przed gablotką z kolekcją motyli, kiedy usłyszała za sobą skrzypnięcie drzwi.

- Dobry wieczór - odezwał się męski głos.

Odwróciła się szybko, ale to nie był John.

Na progu stał George Cranshaw, trzymając tacę z kawą. Przez chwilę patrzył na gościa, marszcząc w skupieniu brwi, a potem jego twarz pojaśniała z radości, kiedy rozpoznał przybyłą.

- Rose! To naprawdę ty? Jesteś taka... taka dorosła!

Roześmiała się.

- Rzeczywiście, George, jestem dorosła. Chociaż czasem wcale tak się nie czuję.

Postawił tacę na małym mosiężnym stoliku i ujął się pod boki.

- Niech ci się przyjrzę... Wiesz... - dodał jowialnym tonem. - Wyglądasz doskonale, a więc życie musi się z tobą obchodzić łaskawie. Jak zawsze swobodna i wolna niczym ptak, czyż nie? To ci służy, Rose. Mam na myśli karierę zawodową.

- Dziękuję - odparła. Roześmiała się, może nieco zbyt nerwowo.

- Ty też wyglądasz nieźle, George. A co z Dorothy?

- Kwitnie, jak zwykle. Poczekaj chwilę, zawołam ją. Będzie zachwycona, kiedy się dowie, że tu jesteś. Ile to już czasu minęło, Rose? Będę musiał zamienić słówko ze starym Gusem. Rozmawiałem z nim zaledwie dwa dni temu... Chyba wiesz, jaka przyszłość czeka Wielki Dom?

- Tata nie myśli ostatnio o niczym innym.

- Może dlatego zapomniał powiedzieć mi, że przyjeżdżasz. Długo tu zostaniesz? Jestem pewien, że Dorothy zechce zorganizować coś na twoją cześć.

- Niestety, jestem tylko przejazdem. Do poniedziałku.

- A więc spróbujemy urządzić spotkanie przed poniedziałkiem. Posiedź chwilę, zaraz ją sprowadzę. - Oddalił się, a Rose naląła sobie do filiżanki trochę kawy z dzbanka. Jej ręka drżała lekko. Nie ma w tym nic dziwnego, że Gus nie wspomniał o moim przyjeździe, pomyślała. I naturalnie nie powiedział staremu przyjacielowi ani słowa o Darinie. Nie przewidział, że spotkam się z Cranshawami.

- Rose, moja droga! Co za wspaniała niespodzianka! - usłyszała nagle miły kobiecy głos, pełen macierzyńskiego ciepła.

- Witaj, Dorothy! - zawołała. Czas jakby cofnął się o dwadzieścia lat, znowu była dziesięcioletnią dziewczynką, która przyszła tu na herbatę z konfiturami.

Zwyczajem europejskim Dorothy ucałowała ją w oba policzki.

- Ślicznie wyglądasz, Rose! Piękna z ciebie dziewczyna! Zawsze wiedziałam, że wyrośniesz na prawdziwą piękność.

- Och, Dorothy, proszę! - Rose roześmiała się zakłopotana. - Daj spokój! Ty też wyglądasz wspaniale. Nic się nie zmieniłaś.

- Tere - fere! Jestem już starą, pomarszczoną kobietą, ale grunt, że się nie daję! Trzeba umieć się starzeć, prawda, George? - Ujęła męża za rękę i ścisnęła ją z uczuciem. - Z nas to takie dwie stare poduszki. Podpieramy się wzajemnie, George i ja, tłumaczymy sobie, że podobnie jak wino, z wiekiem nabieramy wartości... i takie tam...

- Ale to prawda. Oboje świetnie się trzymacie.

- Usiądź i opowiedz nam o sobie, Rose. - Dorothy usadowiła się na jednym z pstrych foteli. Spódnica sfałdowała się na jej pulchnych, opalonych kolanach, włosy zebrane na tyle głowy były obwiązane chustką i Rose przypomniała sobie mimo woli fotografię starszej kobiety ze wsi, zamieszczoną w jednym z numerów „National Geographic”.

- Mam teraz trochę roboty, więc zostawię was same, będziecie sobie mogły pogadać - powiedział George. - Przynieść ci filiżankę, Dorothy?

- Nie, mój drogi, nie teraz. Nie dałabym sobie potem rady w kuchni, gdybym wszystko zostawiła i jakby nigdy nie usiadła przy kawie. Dzisiaj zamienimy tylko parę słów, a porozmawiamy sobie później, kiedy Rose przyjedzie nas odwiedzić. Bo odwiedzisz nas przed wyjazdem, prawda, kochanie? Zjemy razem obiad albo kolację.

- Zobaczymy się wkrótce, Rose - obiecał George. - Nie gniewaj się, ale właśnie ta pora dnia, chociaż wydaje się taka senna i spokojna, to prawdziwa cisza przed burzą. Muszę się przygotować, bo będę miał zaraz urwanie głowy.

- Oczywiście, George, doskonale to rozumiem. Nie pomyślałam, że przeszkodzę ci w pracy. Mogłam przyjść kiedy indziej.

- Nie żartuj! Obraziłabyś nas, gdybyś się nie pokazała, prawda, Dot? - George uśmiechnął się do żony i wyszedł z salonu.

- Oczywiście, że bylibyśmy obrażeni - potwierdziła Dorothy. - A teraz, kochanie, opowiedz mi o wszystkim. Jesteś stewardesą? Widzisz, że coś niecoś wiemy o tobie. Widujemy się nieraz z twoim ojcem, ale już od lat nie widzieliśmy Daphne. Nie czuje się najlepiej, jak przypuszczam.

- Cóż... szczerze mówiąc, nie wiem. Ale nie wygląda dobrze, to prawda.

- Biedna Daphne - mruknęła Dorothy. - Mam wyrzuty sumienia, jako że nie odwiedzałam jej od dawna, ale prowadzenie hotelu... wiesz, ciągle jakieś sprawy do załatwienia... Jak ci się podoba nasz „Willow House„?

- Jest wspaniały, Dorothy. Naprawdę. Jak idą interesy, jesteście zadowoleni?

- Jeszcze jak! Muszę cię potem oprowadzić, pokazać wszystko. Wielka szkoda, że John wyjechał... Mamy doskonałego zarządzającego, wiesz? Jest tu z nami od lat, zaczął jako całkiem młody człowiek. Można by rzec, że wyrósł razem z hotelem... Ale... no tak, przecież powinnaś go znać z tamtych lat. John Flynn. Kiedyś mieszkał u was w stróżówce.

Wyjechał? A więc nie ma go tu!

- Tak - odparła Rose. - Oczywiście że go znam. A zatem wyjechał?

- Pojechał do Dublina, aby wyciągnąć trochę pieniędzy na naszą inwestycję od pewnego bogacza i z banku. George mówił mi już, że zostaniesz tylko do poniedziałku. Szkoda! - W oczach Dorothy zapaliły się figlarne błyski. - Chciałabym, żebyście się spotkali. John to naprawdę dobra partia.

- Skoro już o tym mowa... - Rose starała się nie okazywać wzburzenia... - On jest chyba w moim wieku? Jeśli tak, to dziwne, że tu, gdzie przecież bardzo trudno o odpowiedniego kandydata na męża, on pozostał wolny.

- Racja - odparła z namysłem Dorothy. - Ja też nie potrafiłam nigdy pojąć, w jaki sposób uchował się tak długo jako kawaler. Wyrósł na przystojnego młodzieńca, no wiesz... jest wysoki... i te celtyckie rysy... Jesteś pewna, że nie możesz zostać dzień dłużej, żeby się z nim zobaczyć? - Zaśmiała się cicho.

Rose też parsknęła śmiechem.

- Niestety, Dar... - Już chciała powiedzieć, że Darina we wtorek rano musi być w szkole, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Tak? - Dorothy patrzyła na nią wyczekująco.

Rose czuła, że targają nią sprzeczne uczucia; zakłopotanie, radosne uniesienie, triumf, lęk - wszystko razem.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - wyrzuciła wreszcie z siebie.

- Słucham, kochanie?

- To dość trudne... Całą sprawę trzymano w ścisłym sekrecie przez niemal siedemnaście lat...

- Może zgadnę, o co chodzi? - Żartobliwy dotąd głos Dorothy brzmiał teraz bardzo łagodnie, na jej twarzy malował się wyraz powagi.

- Jak to? - Rose nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Może ten sekret wiąże się z faktem, że musiałaś przerwać naukę i wyjechać do Londynu, kiedy miałaś szesnaście lat?

- Skąd wiesz? - Rose patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Kochanie, nawet para takich starców jak George i ja widzi, co się wokół dzieje. Domyśliliśmy się.

- Czy moi rodzice przez cały czas byli świadomi, że znacie prawdę?

Dorothy pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że nie... a raczej jestem pewna, że nie.

- Czy wie o tym jeszcze ktoś inny w okolicy?

- Nigdy nie przyjeżdżałaś do domu, Rose. Wtedy wywoływało to mnóstwo plotek. I nic dziwnego. Ale nikt chyba nie miał pewności, snuto jedynie domysły. Mimo wszystko na twoim miejscu zachowałabym ostrożność. Ktoś taki jak ty, z takiego domu jak Sundarbans, zawsze będzie w centrum zainteresowania ludzi z całej okolicy. Plotka mogłaby odżyć w jednej chwili.

Ona nie wie, że mam Darinę, uświadomiła sobie Rose.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Dorothy.

- Za co?

- Och, czy ja wiem... Za to, że nie ferujesz wyroków, że nie rozmawiałaś na ten temat z moim ojcem. - Umilkła na moment. - Ale jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. - Trudno jej było mówić o tym wszystkim nawet teraz, mimo upływu tylu lat, i nawet tu, tej lubianej przez siebie kobiecie. - Jest coś... - powtórzyła. Spojrzała Dorothy prosto w oczy. - Nie oddałam swojego dziecka. To córka.

Oczy starszej kobiety rozszerzyły się, ale Rose nie dojrzała w nich nic, co mogłoby ją powstrzymać od mówienia dalej.

- Zatrzymałam ją. Nazywa się Darina, ma teraz szesnaście lat i jest najśliczniejszą dziewczyną na świecie. W tej chwili znajduje się w Sundarbans. Przywiozłam ją tam dziś po raz pierwszy.

- Coś podobnego! - zawołała Dorothy. - Przepraszam - dodała z uśmiechem. - To nie był najstosowniejszy komentarz, ale wytrąciłaś mnie zupełnie z równowagi! A twój tata to też niezłe ziółko! Tyle razy spotykał się z tobą w Dublinie... Na pewno widywał się przy okazji z twoją córką?

- Bardzo się kochają..

- A twoja matka? Zresztą mniejsza z tym, to nie moja sprawa. - Zerwała się z pstro obitego fotela, podeszła do Rose i objęła ją serdecznie. - Gratuluję, kochanie, może trochę późno, ale szczerze. Cieszę się i jestem z ciebie dumna. Na pewno nie było ci łatwo. - Cofnęła się o krok, spjrzała bacznie na Rose. - Nie masz nic przeciw temu, żebym powiedziała George'owi?

- Naturalnie że nie, Dorothy. Skończyłam już z ukrywaniem Dariny przed światem. Zresztą ona może sama decydować o sobie. Ale muszę postępować ostrożnie, z wyczuciem. Nie sądzę, aby matka mi wybaczyła. Aby wybaczyła mi kiedykolwiek w przyszłości.

- Daj jej trochę czasu, kochanie. Pomogę ci w tym, będę z nią rozmawiała co jakiś czas. - Dorothy dojrzała w oczach Rose cień niepokoju i zaśmiała się cicho. - Jesteś już dorosłą kobietą, moja droga, ale twoja twarz zdradza wszystko, co czujesz. Nie martw się, nie popełnię żadnej gafy, nie jestem jakąś plotkarą. Zaufaj mi. Ostatecznie prowadzę ten hotel już od wielu lat, a praca w kuchni uczy taktu i dyplomacji, możesz mi wierzyć. Och, no tak, kuchnia, omal nie zapomniałam! Muszę wracać do pracy, kochanie! Ale obiecaj, że odwiedzisz nas przed wyjazdem. Może byś przyszła na obiad... razem z Dariną?

Rose wydało się nagle, że widzi minę matki na wieść o obiedzie w większym gronie, z udziałem jej wnuczki z nieprawego łoża.

- Dzięki za zaproszenie, Dorothy - odparła - ale może następnym razem. Jak na pierwszą po tylu latach wizytę w Sundarbans, nagromadziło się trochę zbyt wiele... wiesz chyba, co mam na myśli...

- Oczywiście, rozumiem doskonale. A więc następnym razem, zgoda?

- Możesz być tego pewna.

Objęły się serdecznie, po czym Rose wróciła do samochodu.

Jadąc do Sundarbans, przyciskała bez przerwy pedał gazu. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał, że minęła już szósta. Zachodzące słońce oślepiało ją raz po raz, kiedy mknęła po krętej, wyboistej drodze, ale nie zwracała na to uwagi. Była uszczęśliwiona, że mogła się zwierzyć Dorothy, powiedzieć jej o Darinie. Wiedziała też, gdzie znajduje się John Flynn. Dorothy poinformowała ją tak dokładnie, że mogła teraz wejść do pierwszej lepszej budki telefonicznej i zatelefonować do niego - albo uczynić to po prostu z Sundarbans.

Zbliżając się do domu, minęła opustoszałą stróżówkę, malowniczą jak zawsze, ale już z omszałym dachem. Przypomniała sobie nagle, co o Johnie powiedziała Dorothy: „Wyrósł na przystojnego mężczyznę, wiesz... jest wysoki... no i te celtyckie rysy...”.

Zupełnie jak Darina.

Będzie musiała być bardzo, bardzo ostrożna.

* * *

Jaskrawa, pomarańczowa tarcza słońca przesuwiała się szybko za linię drzew, wyznaczającą przeciwległy brzeg jeziora. Derek zaparkował samochód przy ciemnej, zamkniętej na wszystkie spusty stróżówce i wraz z Brunonem ruszył alejką w stronę Sundarbans. John wtajemniczył już brata w plany rozbudowy starego domu, a Derek zapragnął ujrzeć te mury na własne oczy, wołał jednak nie spotkać się ani z pułkownikiem, ani z jego chudą, zawsze zgorzkniałą żoną. Tak więc, aby spojrzeć na dom z bezpiecznej odległości, poprowadził syna przez las w stronę jeziora, tą samą ścieżką, którą on i John chodzili często dawniej jako chłopcy.

Wiatr uciął i zwłaszcza tu, pod baldachimem z gałęzi, było szczególnie spokojnie i cicho. Mimo iż nie szli szybko, Derek poczuł, że zaczyna brakować mu tchu. Rzeczywiście powinienem coś zrobić ze swoją nadwagą, pomyślał ponuro. Czas przejść na dietę, już po raz trzeci w tym roku - i to natychmiast po powrocie do Charlottetown...

- Na pewno nie chcesz polecieć ze mną do Hamburga? - zapytał syna, który kroczył lekko tuż przed nim, raz po raz odgarniając z drogi gałęzie i łodygi. Ścieżka była zawsze zarosnięta; Derek pamiętał jeszcze z lat chłopięcych, że kiedy szli tędy razem z Johnem, musieli kroczyć gęsiego.

- Nie, dziękuję, tato - odparł Bruno. - Wolę zostać tutaj. Wiesz, odkryłem, że nie przepadam za życiem w mieście.

Derek uśmiechnął się do siebie. On również nie palił się do tej podróży. Miał nadzieję, że doprowadzi wreszcie do końca transakcję dotyczącą sprzedaży ubiorów narciarskich, ale nie zachwycała go perspektywa negocjacji z zagranicznymi dostawcami. Jego znajomość niemieckiego pozostawiała wiele do życzenia i chociaż ludzie, z którymi miał się spotkać w Niemczech, doskonale mówili po angielsku, wiedział, że czeka go niemały stres.

Z drugiej strony wołał załatwić tę sprawę sam; rzadko powierzał tak poważne zadania swoim pracownikom. Po ślubie zaczął się wdrażać w obowiązki zarządzającego w firmie teścia i ku zdumieniu wszystkich, łącznie ze sobą, okazał się pracownikiem niezwykle sprawnym i kompetentnym. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy pomagał Svenowi

rozbudowywać firmę, tworząc sieć sklepów, udowodnił, że mimo młodego wieku jest doskonałym handlowcem.

Nachylił się w samą porę, aby uniknąć zderzenia z grubą gałęzią, która przytrzymywana przez Brunona, nagle niczym sprężyna śmignęła ku niemu; pochwycił go za to raptowny skurcz mięśni w okolicach żeber. Ból był tak ostry, że Derek z trudem powstrzymał się od krzyku. Wygiął się w tył, czekając, aż ból minie. Bruno, który wysforował się do przodu, biegł już z powrotem, na jego twarzy malował się strach.

- Tato, nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku, synu - wykrztusił Derek. Wyprostował się z trudem. - Daj mi tylko minutę, zgoda?

- Martwimy się o ciebie, tato. Powinieneś bardziej dbać o formę. To nic trudnego, pomogę ci.

- Może to nic trudnego dla ciebie, ale dla mnie owszem, zwłaszcza że cały czas spędzam za biurkiem. Prowadzę siedzący tryb życia i nie zapominaj, że mam tylko jedno płuco. Co powinienem według ciebie zrobić, wstąpić do drużyny piłkarskiej?

- Mógłbyś chodzić do biura pieszo...

- W zimie?

- Jasne, czemu nie? Wielu ludzi chodzi do pracy pieszo.

- Daj spokój! Nie zwracaj mi głowy! - Dostrzegł rozczerowaną minę Brunona i dodał łagodniejszym tonem: - No dobrze, postaram się. Będę miał zajęcie na zimę, co?

Ruszyli dalej i niebawem znaleźli się nad jeziorem, w miejscu gdzie gąszcz lasu ustępował miejsca trawie.

- Och, tato! Jakie piękne niebo!

- Taak... Spójrz raczej na ten dom. - Derek zagwizdał przeciągle, zaskoczony. - Wygląda na to, że nic mu już nie pomoże. Podejdę bliżej, dobrze?

- A nie lepiej przespacerować się brzegiem? Tu tak cicho i przyjemnie!

- Umówmy się. Ja obejrzę dom, a ty się przejdiesz wzdłuż brzegu, zgoda? Spotkamy się tu za dwadzieścia minut.

- Jasne, dzięki, tato.

Bruno szedł wolnym krokiem, czasem nachylał się po kamyk, czasem odgarniał butem kępkę trawy i wyteżał wzrok, aby sprawdzić, co jest pod nią. Chciał znaleźć muszle, jakieś owady, żyjątka wodne i był tym zaabsorbowany do tego stopnia, że nie zauważył, iż ktoś go obserwuje. Dopiero gdy zbliżył się do obserwatora na odległość paru metrów, jakiś szósty zmysł kazał mu podnieść wzrok.

W toń jeziora wrzynał się skalisty cypel, na którym stała wysoka, smukła dziewczyna, zwrócona plecami do rozjarzonego nieba. Twarz dziewczyny okrywał cień, ale długie faliste włosy, oświetlone od tyłu, mieniły się złocistymi błyskami.

Bruno poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. To coś wzięło początek w okolicach brzucha, ale niemal natychmiast ogarnęło całe ciało i Bruno miał uczucie, jakby napompowano go powietrzem. Jego ramiona i kark pokryły się gęsią skórą. Podeszedł do dziewczyny i wyciągnął rękę.

- Witaj.

* * *

- Darino! - Rose pchnęła wrota stajni. - Darino, jesteś tu? - Zmrok zapadł już ponad godzinę temu i Daphne, zmuszona podać kolację później niż zwykle, nie kryła, jak bardzo jest tym faktem zirytowana.

- Do diabła! - Rose zamknęła wrota. Gdzie Darina się podziała? - Przecież ma zegarek i wie, że zamierzaliśmy zasiąść do stołu o siódmej! - Zdenerwowana, wykrzyknęła te słowa na głos.

Bez namysłu skierowała się tam, gdzie widziała córkę po raz ostatni: nad jezioro.

- Uduszę ją! - mruzczała do siebie, przedzierając się przez wysokie trawy. W pewnej chwili dostrzegła przed sobą, na tle linii drzew, smukłą postać. - Darina! - zawołała.

Z ulgą usłyszała odpowiedź:

- Tak?

Przystanęła, czekając, aż córka podbiegnie bliżej.

- Gdzieś była? - zapytała ją gniewnym tonem. - Babcia jest wściekła! Przez ciebie kolacja wystygła!

- Przepraszam, mamó. - Darina jeszcze przez chwilę nie mogła złapać tchu. - Naprawdę bardzo mi przykro. Po prostu byłam tak przejęta, że straciłam poczucie czasu. A zegarek stanął, zobacz. - Wyciągnęła rękę, ale Rose była zbyt zdenerwowana, aby go teraz oglądać.

- Byłaś przejęta? A czym, jeśli mogę zapytać? Co robiłaś tyle czasu?

- Nic.

Coś w głosie dziewczyny zaintrygowało Rose.

- Chodźmy już - mruknęła. W tym miejscu było zbyt ciemno, aby mogła się przyjrzeć bacznie twarzy córki, czuła jednak instynktownie, że Darina ukrywa coś przed nią. Była tego pewna.

Weszły do domu tylnymi drzwiami, Rose zamknęła je za sobą i czym prędzej odwróciła się do córki.

- A teraz powiedz szczerze, tylko nie kręć: co robiłaś tyle czasu?

- Nic, mamo, naprawdę. - Ale oczy Dariny błyszczały, a całe jej ciało emanowało niemal widzialny blask. Było w niej coś tak niezwykle pięknego, że Rose zaskoczona wstrzymała oddech.

- Nie... nie wierzę ci - wykrztusiła wreszcie.

- Och, mamo, ja po prostu pokochałam Sundarbans! - wykrzyknęła dziewczyna. - To najcudowniejsze miejsce, jakie widziałam w życiu!

ROZDZIAŁ 13

Niedziela w Sundarbans okazała się dla Rose wielką próbą.

Zaczęło się źle od samego rana, kiedy Daphne uznała w ostatniej chwili, że nie może pójść na mszę do pobliskiego kościoła wraz z całą rodziną, skoro ma się tam udać również Darina. Zamiast więc wybrać się do Rock Chapel, jak to zwykle robili oboje z Gusem, musieli wszyscy jechać wiele mil do małego wiejskiego kościółka w sąsiednim hrabstwie Cavan.

Rose była wściekła na swoją matkę. Najchętniej wyrzuciłaby z siebie, co jej leży na sercu, ale dla dobra Dariny zacisnęła zęby i postanowiła zachowywać się tak, jakby nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Na szczęście Darina, która od wczorajszego dnia zdawała się żyć w jakimś sobie tylko znanym bajkowym świecie, nie zorientowała się nawet, że w ostatniej chwili zmieniono plany, nie dostrzegła też nic niezwykłego w fakcie, iż jadą tak daleko do kościoła. Rose obserwowała ją ukradkiem podczas mszy: dostrzegła jakieś sekretne uniesienie, którym dziewczyna pałała. Gdyby Rose nie znała swojej córki lepiej, dopatrzyłaby się w tym pierwszego porywu romantycznej miłości.

- Szczęśliwa? - zapytała teraz.

Obie były już po lunchu i przeglądaj niedzielne gazety, chwilowo wolne - co bardzo cieszyło Rose - od towarzystwa Daphne. Po posiłku starsza pani, znowu tłumacząc to migreną, udała się do swojego pokoju, aby odpocząć, Gus natomiast siadł za biurkiem w zbrojowni, aby przejrzeć jakieś rachunki.

- Czy jestem szczęśliwa? - powtórzyła z namysłem Darina. Wstała i przeciągnęła się jak kot. - O tak! Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem zadowolona, że w końcu tu przyjechałyśmy.

- A co byś chciała robić po południu? - zapytała Rose i wyjrzała przez okno. - Mamy piękny dzień, powinnyśmy wyjść, przejechać się...

- Och, najchętniej przesłabym się jeszcze raz sama, tam gdzie wczoraj. W lesie i nad jeziorem jest naprawdę cudownie!

Rose, zaintrygowana, spoglądała na nią bacznie, ale wyraz twarzy córki nie świadczył o niczym podejrzanym. O co chodzi? Czyżby Darina spotkała kogoś?

- Skąd to nagle upodobanie do samotnych spacerów? - zapytała Rose, siląc się na lekki ton.

- Ależ mammo! To wcale nie tak, nie tęsknię do samotnych spacerów! Po prostu... lepiej

mi - się myśli, kiedy jestem sama. A mam ostatnio wiele do przemyślenia - dodała, jakby to wyjaśniało całą sytuację.

Rose знаła córkę wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że dalsze wypytywanie nie ma sensu.

- Dobrze - mruknęła. - Chociaż jestem trochę rozczarowana... Myślałam, że spędzimy to popołudnie razem...

Jej słowa trafiły najwyraźniej w próżnię, gdyż Darina natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Dzięki... Dziękuję, mam, że jesteś taka wyrozumiała! - Podbiegła do matki i uściskała ją. - Zobaczymy się potem! - I w mgnieniu oka opuściła pokój.

Rose westchnęła, rozejrzała się dokoła. T co teraz? Naprawdę zależało jej na wspólnej z córką przejażdżce po okolicy! Jazda w pojedynkę nie budziła w niej specjalnego entuzjazmu.

Czuła, że powinna wyjść z domu, dokądkolwiek. Byle tylko nie przebywać z matką pod jednym dachem. Przyszło jej na myśl, że mogłaby wrócić do „Willow House”, natychmiast jednak zmieniła zamiar. Dorothy i George zaczęliby coś podejrzewać, a zresztą zapewnili ją, że John wróci dopiero we wtorek.

A może ojciec wybierze się z nią na przejażdżkę? R.088 podeszła do zbrojowni, zapukała i nie doczekawszy się odpowiedzi otworzyła drzwi.

- Tato?

Gus siedział w fotelu, z głową opuszczoną na pierś, i pochrapywał cicho.

Rose, zrezygnowana, zamknęła drzwi i poszła do samochodu.

Darina wróciła do domu na długo przed kolacją. Podczas posiłku zachowywała się nienagannie, ale Rose ponownie wyczuła w niej ów osobliwy nastrój, na który zwróciła uwagę już poprzedniego dnia. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Zgodnie z tym, czego dowiedziała się od Gusa, w okolicy nie było ani jednego młodzieńca w wieku jej córki. Może przechodził akurat ktoś z miasta? Postanowiła, że gdyby Darina chciała wieczorem wyjść sama na spacer, ona nie wyrazi na to zgody.

Ale problem w ogóle nie zaistniał. Po kolacji dziewczyna, nie czekając nawet na zaproszenie, przeszła ze wszystkimi do saloniku, gdzie cała rodzina spędziła cichy, względnie spokojny wieczór przed telewizorem.

Następnego ranka Rose obudziła się z przeczuciem, że wydarzy się dziś coś niezwykłego. Natychmiast uświadomiła sobie, że jej nastrój wiąże się z perspektywą spotkania z Johnem Flynnem. Jak oparzona wyskoczyła z łóżka. To zachowanie, reakcje z

ostatnich dni, pasujące raczej do młodej dziewczyny, muszą się wreszcie skończyć, zgañła się w duchu. A mimo to cały czas, kiedy się kąpała, ubierała i jadła śniadanie razem z Darina, prześladował ją obraz Johna Flynna, wywołując nieposłuszne myśli.

Żegnając się z rodzicami, odetchnęła z ulgą. Mimo iż obyło się bez kłótni i dąsów, a cała wizyta przebiegła nawet dość sympatycznie - przynajmniej w ocenie Dariny - ona nie mogła się już doczekać powrotu do normalnego życia.

- Jak się czujesz? - zapytała córkę, kiedy jechały w stronę Carrickmacross.

- Fantastycznie! - Darina uwolniła włosy spod kołnierza kurtki i potrząsnęła głową. - Spędziłam wspaniałe chwile, mamó. Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś!

Rose chciała już zapytać, co konkretnie zachwyciło ją tak bardzo, ale ugryzła się w język. Miała nadzieję, że jeśli zdarzyło się coś niezwykłego, Darina powie jej o tym w odpowiedniej chwili.

- Dojeżdżamy - oznajmiła, widząc przed sobą peryferie miasta. - Chciałabyś wiedzieć, co to za niespodzianka?

- Tak. O co chodzi? Po co jedziemy do banku? Czyżbyś ukrywała dotąd, że jesteś milionerką, a teraz chcesz podzielić się ze mną majątkiem?

- Niezupełnie. - Rose zaśmiała się krótko. - Poczekaj trochę, zaraz się dowiesz. Sądzę, że będziesz zadowolona. - W torebce miała upoważnienie do korzystania z sejfu bankowego Gusa. - Muszę ci jeszcze uprzedzić - powiedziała, parkując przed bankiem - że dostaniesz dziś coś fioletowego, ale nie wszystko naraz. Na razie tylko połowę... nie, dwie trzecie.

- A więc jednak chodzi o pieniądze! - zawołała Darina, nie kryjąc podniecenia. - Kolor fioletowy mają banknoty pięćdziesięciofuntowe.

Rose pozwoliła jej otworzyć szkatułkę, a potem patrzyła z satysfakcją na pełną nabożnej czci minę córki, która wyjęła naszyjnik z ametystami.

- Mamó, jaki piękny! Czy kamienie są prawdziwe? - Podniosła naszyjnik pod światło.

- Jak najprawdziwsze. Opowiem ci o wszystkim w drodze do domu. Dostałam ten komplet na swoje szesnaste urodziny, a potem, kiedy już przyszłaś na świat, postanowiłam, że dam go tobie. Mam nadzieję, że kiedyś ofiarujesz go swojej córce. Jest jeszcze do tego bransoletka, ale chwilowo brakuje jej w szkatułce. Wiem jednak, gdzie się teraz znajduje, i dam ci ją...

- Ależ ona tu leży! - Darina wyjęła bransoletkę z puzderka.

Rose patrzyła na nią osłupiała.

- To niemożliwe... - wyszeptała, nie wierząc własnym oczom.

- To przecież ta bransoletka, czyż nie?

Rose wzięła ją do ręki i wpatrzyła się w połyskliwe kamienie. W jaki sposób bransoletka znalazła się z powrotem w szkatułce? John na pewno nie kontaktował się z jej matką, a więc musiał ją zwrócić przez Gusa. Ale w takim razie... dlaczego ojciec nie powiedział jej o tym? - Przepraszam, musiałam się pomylić - mruknęła. - Już wszystko w porządku. - Wydało jej się nagle, że dzień utracił cały swój blask. Nie chcąc psuć córce przyjemnej chwili, zmusiła się do uśmiechu i oddała jej bransoletkę. - Sama nie wiem, jak mogłam o tym zapomnieć. Ach, ta skleroza! Powiedz przynajmniej, czy podoba ci się ten komplet?

- Nie widziałam w życiu nic piękniejszego. – Darina ostrożnie umieściła biżuterię na powrót w aksamitnej szkatułce.

Z uśmiechem przyklejonym do twarzy Rose zamknęła sejf i zwróciła klucz urzędnikowi banku.

Podczas jazdy powrotnej do Dublina Darina raz po raz wyjmowała biżuterię ze szkatułki i bawiła się nią zachwycona, Rose natomiast spoglądała chwilami na bransoletkę i czuła, jak wzbiera w niej gniew. Powinni jej byli powiedzieć, że John ją zwrócił. Ostatecznie obiecała mu, że to będzie coś w rodzaju sygnału. Kto wie, jakby się wszystko potoczyło, gdyby o tym wiedziała?

Pierwsza rzecz, jaką musi zrobić po powrocie do domu, to zadzwonić do ojca i dowiedzieć się, kiedy odebrał naszyjnik od Johna i dlaczego nie uznał za stosowne jej o tym zawiadomić. Nie mogła się już doczekać chwili, gdy będzie mogła zatelefonować do Sundarbans. Była tak rozgorączkowana, że po wejściu do mieszkania ku zdumieniu Dariny pozwoliła jej bez słowa sprzeciwu pójść do koleżanki i pochwalić się biżuterią.

Gdy tylko drzwi za córką się zamknęły, Rose, nie zdejmując nawet płaszcza, chwyciła słuchawkę. Gus nie ukrywał zaskoczenia, że słyszy jej głos.

- Czy coś się stało, skarbie? Rose usiłowała stłumić gniew.

- Nie, tato. Po prostu muszę cię o coś zapytać.

- Strzelaj.

- Chodzi o te ametysty.

- Jak to? Mam nadzieję, że były w sejfie! Czy matka... - Do jego głosu wkradła się nuta niepokoju.

- Nie, nie, tato, nie o to chodzi, leżały w szkatułce. To znaczy, leżał tam cały komplet. I w tym właśnie tkwi problem. Były tam! - Odczekała chwilę, aby sens słów dotarł do jego świadomości, a ponieważ Gus nie zareagował tak, jak się tego spodziewała, rzuciła zniecierpliwiona: - Słyszałeś, tato, co powiedziałam? W szkatułce było wszystko!

- Wybacz, Rose, ale nie bardzo rozumiem.

Ton jego głosu zdradzał szczere zdumienie i Rose zaczęła wątpić w jego winę.

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie! Powiedz mi wreszcie, o co chodzi.

O Boże, pomyślała Rose, a więc on rzeczywiście nie miał z tym nic wspólnego! A biżuterię oddała do banku matka!

- Wybacz mi, tato - powiedziała do słuchawki. – Zaszło pewne nieporozumienie. Czy matka jest gdzieś w pobliżu?

- Zaczekaj, poproszę ją do telefonu.

Czekanie na matkę wydało jej się wiecznością.

- Dzień dobry, mamó - powiedziała, kiedy Daphne wzięła wreszcie słuchawkę. - Wyniknął pewien problem, który musimy omówić. Wiesz zapewne, że przekazałam dziś Darinie biżuterię ciotki Lizzie? Otóż... byłam przekonana, że w szkatułce nie ma bransoletki... przedtem jej tam rzeczywiście brakowało, a dziś spoczywała na swoim miejscu. Leżał tam cały komplet... - Zaczynam mówić bez ładu i składu, pomyślała.

- I cóż z tego? - usłyszała lodowaty głos matki.

- W jaki sposób bransoletka znalazła się w szkatułce razem z resztą kompletu? Wiem, że to ty odnosiłaś biżuterię do banku.

- Wypraszam sobie ten ton, Rose.

- Przepraszam, mamó. - Rose z trudem panowała nad sobą. - Nie mam zamiaru zadrećzać cię pytaniami. Ale chciałabym rozwikłać tę zagadkę. Byłam absolutnie pewna, że bransoletki nie ma w szkatułce...

- Jeśli rzeczywiście musisz to wiedzieć, ja ją znalazłam - odparła zimno Daphne. - Gdybyś nie obchodziła się z biżuterią tak niefrasobliwie...

- Ale gdzie? Gdzie ją znalazłaś?

- Oddano mi ją w szpitalu wraz z innymi rzeczami babci. Musiałaś ją zgubić czy upuścić, a babcia ją znalazła.

Babcia? A więc bransoletka była u babci!

- Rozumiem... - wykrztusiła Rose. - Przykro mi, że cię niepokoiłam, mamó, po prostu nie miałam pojęcia...

- Jak już mówiłam, Rose, zanim tak niegrzecznie mi przerwałaś...

Rose musiała teraz wysłuchać krótkiego kazania na temat wad swojego charakteru, ale myślami błądziła gdzie indziej. John na pewno przypomniawszy sobie, jak bardzo była związana z babcią. I może właśnie dlatego, zwłaszcza że Rose odsyłała jego listy, zwrócił bransoletkę

babci.

Zdała sobie sprawę z ciszy panującej w słuchawce. Widocznie Daphne zakończyła swój wykład.

- Jeszcze raz przepraszam, mam - powtórzyła. - I dziękuję, że zabezpieczyłaś biżuterię. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Pożegnały się i odłożyły słuchawki.

Rose opadła na krzesło, utkwiała wzrok w pokrywającej ścianę tapetę o geometrycznym wzorze. Dopiero teraz zaczął docierać do jej świadomości cały sens przeprowadzonej przed chwilą rozmowy telefonicznej.

John odwołał się do przysięgi, którą złożyła przed laty, dając mu bransoletkę. A ona? Jak na to zareagowała? Jakby nigdy nic, nadal ignorowała jego listy!

Bojąc się, że ktoś zadzwoni i opóźni w ten sposób jej telefon do „Shelbourne”, Rose zdjęła słuchawkę z widełek i zaczęła szukać numeru. Ręce jej drżały jak w gorączce, kiedy zaczęła wybierać cyfry.

- Hotel „Shelbourne”, czym mogę służyć? - rozległ się śpiewny kobiecy głos natychmiast po pierwszym sygnale.

- Chciałabym.... chciałabym mówić z panem Johnem Flynnem. - Słuchawka rozgrzewała się w gorącej, spoczonej dłoni Rose.

- Czy pan Flynn jest gościem naszego hotelu, proszę pani?

- Tak sędzę.

- Proszę chwilę poczekać. - W słuchawce zaległa cisza, a potem Rose usłyszała ponownie ten sam głos: - Pokój 204. Łączę.

Sygnal rozległ się kilkakrotnie, ale nikt nie podnosił słuchawki. No tak, pomyślała Rose, nic dziwnego. Trudno wymagać, aby John był w pokoju hotelowym o godzinie pierwszej w poniedziałkowe popołudnie. Próba skontaktowania się z nim o tej porze była bez sensu.

- Przykro mi, ale nikt się nie zgłasza - odezwał się głos telefonistki. - Czy życzy pani sobie, abyśmy poszukali pana Flynnna?

- Tak, proszę. - Z głuchą słuchawką przy uchu Rose spędziła pięć kolejnych minut, wyobrażając sobie, jak goniec hotelowy przechodzi kolejno przez kawiarnię, westybul, a potem bar, wywołując przy tym raz po raz nazwisko Johna. Co będzie, jeśli go znajdzie? Próbowała przewidzieć, jak John zareaguje na telefon. Będzie zdziwiony? A może zaintrygowany? Niewykluczone też, że spędza akurat miłe chwile w towarzystwie jakiejś kobiety i będzie niezadowolony, że ktoś mu przeszkadza.

- Niestety, proszę pani, pan Flynn nie zgłosił się - zabrzmiał w słuchawce głos telefonistki. - Czy chciałaby pani zostawić wiadomość?

- Nie, dziękuję, zadzwonię później.

- Bardzo proszę.

Tego popołudnia dzwoniła jeszcze trzykrotnie. Na szczęście nie w obecności Effie i Williego; oboje, korzystając ze świątecznej przerwy w pracy, pojechali do swojego nie wykończonego jeszcze domu, aby zaplanować jego umeblowanie i wystrój. O szóstej Rose poczęła kręcić się tam i z powrotem po pustym mieszkaniu niczym drapieżnik w klatce. Jeszcze raz zatelefonowała do hotelu, ale dowiedziała się jedynie, że John dotąd nie wrócił.

Zaledwie odłożyła słuchawkę, do domu wpadła Darina. - Skończyłaś już, mamó? Nie będziesz więcej dzwoniła, prawda? Spodziewam się teraz ważnego telefonu.

- To mój aparat, Darino - odparła ostro Rose. - Ja opłacam rachunki. Możesz z niego korzystać, ale na takiej zasadzie, że jest to twój przywilej, a nie prawo. Ja natomiast będę rozmawiała tyle, ile uznam za stosowne.

- Co cię ugryzło? Zapytałam tylko...

- Słyszałam, o co pytałaś. I podtrzymuję to, co powiedziałam! - Przez chwilę mierzyły się wzrokiem i w końcu Rose uświadomiła sobie, jak niedorzeczne jest jej zachowanie. - Przepraszam - mruknęła. - Jestem trochę zmęczona, to wszystko.

- Już dobrze. Będziesz jeszcze korzystała z telefonu?

- Nie, jest do twojej dyspozycji. Cóż to za ważna rozmowa, której oczekujesz?

- Po prostu miała się odezwać moja przyjaciółka.

- Pójdę sobie zrobić kanapkę. Może i ty byś zjadła?

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. - Ton jej głosu wskazywał, że ogarnął ją znowu buntowniczy nastrój, a Rose wiedziała już z doświadczenia, iż w takich chwilach lepiej nie prowokować córki do dalszej wymiany zdań.

Właśnie usiadła, żeby zjeść kanapkę, kiedy telefon zadzwonił. Natychmiast po pierwszym sygnale Darina podniosła słuchawkę, a potem rozmawiała w sposób, który świadczył, jak bardzo jest podniecona i przejęta.

Jakiś chłopak, pomyślała Rose. Nie słyszała treści rozmowy, ale była pewna, że przecucie jej nie myli. Westchnęła głęboko. Miała nadzieję, że ten etap, w który wkracza właśnie Darina, nie potrwa długo. Zdawała sobie sprawę, iż jako matka nie miała dotąd pod tym względem powodów do narzekań na córkę; Darina obracała się w licznych mieszanym towarzystwie dziewcząt i chłopców; kolegów nie traktowała na szczęście, wzorem Rose sprzed lat, jak tajemniczych istot z innej planety, lecz po prostu jak dobrych kompanów.

Owszem, zdarzyły się już jakieś zauroczenia, ale nie było to nic, co mogłoby wzbudzić większy niepokój. Teraz jednak, sądząc po tonie, jakim Darina rozmawiała przez telefon, coś się zmieniło.

Ta myśl wstrząsnęła Rose. Czy możliwe, aby to miało jakiś związek z weekendem spędzonym w Sundarbans?

Westchnęła ciężko. Tak czy inaczej, nie będzie tego pewna, dopóki Darina nie uzna, że pora się zwierzyć. Usłyszała stuk odkładanej słuchawki, a po chwili do kuchni weszła córka. Miała rumieńce na policzkach, ale trzymała głowę spuszczoną, tak że długie włosy tworzyły gęstą zasłonę skrywającą twarz.

Rose patrzyła w milczeniu, jak córka parzy sobie herbatę. Przeczuciwała już, co się święci, a jej przewidywania okazały się trafne, gdyż w pewnym momencie, zalewając herbaciane liście wrzątkiem, Darina rzuciła przez ramię tonem pozornie obojętnym:

- Nie masz nic przeciw temu, abym wybrała się dziś wieczorem do miasta?

Rose czym prędzej ugryzła kanapkę, aby mieć pełne usta i tym samym pretekst do chwilowego przynajmniej powstrzymania się od odpowiedzi. Darina odwróciła się do niej.

- Mamo, pytałam cię o coś. Czy pozwolisz mi wybrać się dziś do miasta?

- Umówiłaś się?

- Tak. W święta nie mogłam, bo nas nie było.

- Dobrze, idź. - Rose umilkła, a po chwili zapytała tonem tak samo obojętnym, jak to zrobiła Darina: - Z kim się chcesz spotkać?

- Och, jak zwykle, ze znajomymi. - Jednakże błyszczące oczy zadawały kłam słowom Dariny i Rose zrozumiała, że tym razem chodzi o spotkanie z kimś nowym, a do tego znaczącym dla córki naprawdę wiele. Och, Darino, uważaj na siebie!, zaklęła córkę w duchu. Na głos powiedziała jej tylko, że ma wrócić do domu ostatnim autobusem o dziesiątej trzydzieści.

- Oczywiście - odparła Darina. A potem uczyniła coś bardzo znamiennego. Podeszła do Rose i przytuliła się do niej.

- Kocham cię, mamo.

Rose poczuła łzy napływające jej do oczu.

- Ja też cię kocham, skarbie - szepnęła.

Po chwili usłyszała, jak Darina biegnie na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, a potem rozległ się trzask otwieranych drzwi i szuflad; widocznie odbywało się tam teraz bobrowanie po szafach, wyrzucanie ubrań na łóżko i gorączkowe szukanie najodpowiedniejszych ciuchów i butów. Na spotkanie z nim nie spóźnisz się na pewno, kochanie, pomyślała Rose. Wstała z krzesła i machinalnie wyjrzała przez kuchenne okno,

choć widziała wszystko jak przez gęstą mgłę. Nie miała już żadnych wątpliwości: Darina jest zakochana. W oczach córki dostrzegła przedtem lustrzane odbicie własnego uczucia sprzed lat, którym obdarzyła Johna Flynna. Była wtedy w wieku Dariny...

John. Znajdował się teraz niedaleko od niej, dzieliły Ich dwie mile. Czy powinna narazić się na śmieszność i zatelefonować jeszcze raz? On musi przecież w końcu wroić. Uświadomiła sobie nagle, że ma wolny wieczór. Mogłaby tam pojechać i usiąść w holu hotelowym. Przez moment biła się z tą myślą, a potem odrzuciła ją. Nie, byłoby to zachowanie godne oszukującej samą siebie neurotyczki, a nie matki dorastającej dziewczyny, która potrzebuje nie tylko opieki, ale również miłości i oparcia.

Istniała jeszcze jedna sprawa. Co będzie, jeśli John ją odepchnie. Co wtedy? Czy będzie umiała się pogodzić z takim upokorzeniem? I jaki to wywrze wpływ na Darinę, której trzeba będzie wreszcie powiedzieć, kto jest jej ojcem?

Rose odwróciła się od okna, przeszła do saloniku i naląła sobie podwójną porcję dzinu z tonikiem. Następnie usiadła na kanapie i podniosła szklankę pod światło. Promień słońca zamigotał w niebieskawych bąbelkach trunku.

- Niech to szlag! - powiedziała na głos.

* * *

Darina dokładnie uzgodniła z Brunonem miejsce spotkania. Kiedy weszła do hotelu „Skylon”, on czekał już na nią w holu, niedaleko drzwi. Podniesiony wysoko kołnierz kurtki otulał szczelnie jego szyję. Na widok dziewczyny Brunon rozpromienił się i podszedł do niej szybkim krokiem.

- Witaj! Masz ochotę na colę czy coś w tym rodzaju?

- Nie, dziękuję. - Obdarzyła go ciepłym uśmiechem. - Chodźmy stąd... Jesteśmy trochę za blisko domu! - Niemal nieśmiało podali sobie ręce.

- Dokąd chciałabyś pójść? - zapytał. - Może do kina?

- Nie, mamy mało czasu i dużo spraw do omówienia. Nie miałbyś nic przeciw temu, gdybyśmy się po prostu przeszli?

- A nie będzie ci za zimno, Darino? - Wymówił jej imię z miękkim kanadyjskim akcentem, rozciągając pieszczotliwie sylaby.

Pokręciła głową.

- Ubrałam się ciepło. - Wskazała na wysokie do kolan botki oraz gruby, wełniany sweter pod płaszczem. - Ty chyba też. Na pewno nie zmarzniemy.

Idąc wzdłuż Drumcondra Road w stronę skrzyżowania z Griffith Avenue, Darina nie

spuszczała oczu z okien mieszkania; chciała się przekonać, czy nie dojrzy w nich matki.

- Tam mieszkam - powiedziała, wskazując na trzypiętrowy dom.

- No, no - mruknął Bruno. - Cały należy do was?

- Nie, tylko ostatnie piętro i poddasze - odparła. - Matka nie należy do ludzi zamożnych. Wynajmujemy to mieszkanie.

- Czy twoja mama wie już o mnie?

- Nie. A zresztą... - Darina wzruszyła ramionami. - O czym miałaby wiedzieć? Że idziemy na spacer? Co w tym szczególnego?

Kiedy już minęli bezpiecznie dom i skręcili w szeroką, pięknie zadrzewioną Griffith Avenue, Darina ujęła Brunona za rękę. Była późna jesień, pod nogami chrzęściły różnokolorowe liście, które tworzyły gdzieniegdzie dość pokaźne, sięgające kostek kopczyki. Wznoszące się za schludnymi ogródkami i parkanami domy jaśniały od żółtych światła, rozrzedzonych nieco i przyćmionych przez opary mgły.

- Kiedy byłam mała, jeździłam tędy na wrotkach - powiedziała Darina. - Lubiłam to robić właśnie o tej porze roku, liście wydawały taki dziwny, szeleszczący odgłos i przyklejały się do kółek.

- Fantastycznie! Ale musisz zobaczyć, jak wyglądają jesienią liście na Wyspie.

- Może nadejdzie taki dzień, że zobaczę.

- Gdyby to ode mnie zależało, zobaczyłabyś na pewno.

Darina roześmiała się. Prostolinijność chłopca i jego powaga bawiły ją. Już po raz tysięczny w ciągu trzech ostatnich dni uświadamiała sobie, jak duży wpływ wywiera na nią Bruno; za każdym razem, kiedy spoglądała na niego lub choćby pomyślała o nim, zalewała ją ciepła fala. Ostatnio wiele czytała, zwłaszcza dzieła Junga i Edgara Cayce'a - i w wyniku tego rozsmakowała się w autoanalizie. Znała więc siebie wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że jest zakochana.

Zerknęła na Brunona i uniosła ramię, aby mógł wsunąć pod nie swoje. W Sundarbans spotkali się dwukrotnie i - jeśli nie liczyć pierwszych, pełnych zakłopotania chwil - rozmawiali bez końca; nigdy przedtem nie przypuszczała, że potrafi być aż tak rozmowna. Teraz jednak nie odczuwała potrzeby mówienia. Doszli już do końca alei, a na Clontarf Road uświadomiła sobie, że oboje oddychają i stawiają kroki w tym samym rytmie. W gęstej mgle usłyszała raczej, niż dojrzała nadjeżdżający autobus.

- Byłeś kiedyś na Dollymount Strand? - zapytała.

- Gdzie? - zawołał, ale ona nawet się nie zatrzymała, aby mu to wyjaśnić.

- Biegnijmy! Niedaleko jest przystanek! - Ruszyła pierwsza, machając ręką i modląc

się w duchu, aby kierowca zauważył jej znaki. Zaczynała już tracić nadzieję, ale w końcu autobus przystanął z ogłuszającym zgrzytem hamulców. Wewnątrz siedział tylko jeden pasażer. Kierowca zamknął drzwi i ruszył. Nie wrzucał wyższego biegu. Jechał powoli, wypatrując drogi we mgle.

Wysiedli parę przystanków dalej, przeszli na drugą stronę ulicy i znaleźli się na starym, drewnianym moście, który spinał oba brzegi i łączył ulicę z plażą o kształcie dużej wyspy. Tu, na otwartej przestrzeni, mgła wydawała się jeszcze gęściejsza, unosiła się bezpośrednio nad cichej toni, tworząc białoszare obłoki, które krążyły wszędzie wokół, wdzierając im się do ust. Odgłosy ulicy były przytłumione i odległe, światła portu i miasta wydawały się słabymi, ledwie widocznymi punkcikami.

- To naprawdę niesamowite - szepnął Bruno, kiedy stąpali ostrożnie po grubych deskach mostu. - U nas, na Wyspie, też mamy mgłę morską, która ciągnie się na mile, ale to zupełnie co innego!

- Zawsze lubiłam mgłę. Ale kiedy byłam dzieckiem - wyznała - bałam się wchodzić na ten most nawet w słoneczny dzień. Mama przenosiła mnie na drugą stronę. Teraz tego nie widać, bo jest za ciemno, ale deski mostu nie przylegają ściśle do siebie, a przez szpary widać w dole wodę. Bardzo się bałam, że matka wpadnie w taką szczelinę... Masz zapalki albo zapalniczkę? - zapytała nieoczekiwanie.

- Nie - odparł zdumiony. - Nie palę.

- Nie chodzi o papierosy - wyjaśniła. - Ale moglibyśmy rozpalić ognisko. Robiłam to już nieraz przedtem, ale nigdy w nocy - przyznała ucziwie.

- A czy to nie jest zakazane?

- Wszyscy tak robią - odparła lekkim tonem, chociaż wcale nie była pewna, czy wolno rozpalać ogniska na wydmach. - Poprosimy tamtego człowieka o zapalki - wskazała na mężczyznę, który spacerował przed nimi z dwoma psami.

Przechodzień przeszukiwał kieszeń płaszczka, podczas gdy psy niecierpliwiły się, szarpiąc za smycze.

- Proszę - powiedział wreszcie. - Weźcie całe pudełko, pewnie nie ma w nim więcej niż dwie zapalki. Straszny tu dziś ziąb - dodał i dotknął palcami runda kapelusza.

Chuchając w dłonie, aby rozgrzać je choć trochę, Darina sprowadziła Brunona na plażę. Znaleźli się nad samą wodą. Mężczyzna z zapalkami miał rację: powietrze było dziś wyjątkowo zimne i wilgotne; mgła przenikała nawet przez grube ubranie.

- Zobaczysz, jak tu pięknie! W pogodnej nocy i dni widać stąd właściwie całe miasto, całą Zatokę Dublińską. A plaża ciągnie się milami, długimi milami.

- Często tu przychodzisz?

- Tak, często.

- Z innymi chłopakami?

- Czasem tak - przyznała. - Ale nieraz przychodzę tutaj sama. To miejsce jest tak rozległe, że nawet w samym środku lata, gdy przebywa tu mnóstwo ludzi, można znaleźć odludny zakątek, gdzie nikt nie zakłóca ci spokoju, na przykład na tych wydmach. - Wskazała za siebie. - Moje dwa najbardziej ulubione miejsca to ta plaża i Phoenix Park. Byłeś tam kiedyś?

- Nie. Widzę, że mam jeszcze wiele do nadrobienia. W porównaniu z Charlottetown Dublin jest wielkim miastem.

- Chciałabym kiedyś zwiedzić Charlottetown.

- I zwiedzisz.

- Skąd ta pewność? Może nie spotkamy się nigdy więcej, kiedy wrócisz do domu.

- Chyba żartujesz! - Powiedział to tak żarliwie, że Darina poczuła dreszcz podniecenia, choć jednocześnie ogarnęło ją onieśmienie.

- Lotnisko w Dublinie jest chyba zamknięte - powiedziała, aby ukryć zakłopotanie.

- Skąd wiesz?

- Bo przechodzi tędy w górze korytarz powietrzny dla samolotów, a nie słyszałam teraz, aby jakiś przeleciał. A ty słyszałeś?

- Wspaniała z ciebie dziewczyna - wyszeptał Bruno. - Nie jest ci zimno? - Podniósł kaptur płaszcza Dariny i przytrzymał go oburącz, tak, aby szczelnie osłonić jej uszy.

- Chodźmy na wydmy i rozpalmy ognisko - odparła cicho. Przez chwilę stali twarzą w twarz, a ona pomyślała, że Bruno zaraz ją pocałuje. Jednakże, ku jej rozczarowaniu, chłopiec tego nie zrobił.

- Z czego rozniecimy ogień?

- Och, pełno tu drewna i śmieci. Ludzie nie sprzątają po sobie.

Mgła sprawiła, że wydmy wydawały się jakimś obcym, tajemniczym światem, podzielonym na strefy, których granice wyznaczał wierzchołek sąsiedniego wzniesienia. Powietrze było przesycone zapachem wilgotnego piachu i ostrą wonią morza.

- Nawet w piękną pogodę - powiedziała Darina, instynktownie ścisząc głos - trudno uwierzyć, że jest się tak blisko centrum miasta... Ale weźmy się wreszcie do roboty - dodała bardziej rzeczowym tonem. - Zbieraj, co się tylko da, palić się będzie wszystko, byle było suche.

- No wiesz - obruszył się. - Nie masz przed sobą mieszczucha. Potrafię rozpaść

ognisko.

Po kilkunastu minutach intensywnego zbierania zdołali zgromadzić pokaźny zapas papieru, drewna, tektury, uschłych roślin i szczątków skrzyń po pomarańczach, których inni nie zdążyli spalić wcześniej.

- Poczekajmy, aż się naprawdę ochłodzi - zaproponowała Darina. - Nie marnujmy tego teraz.

- Dobrze - odparł. Zrobił w piachu płytki dołek i ułożył się w nim płasko. Darina poszła za jego przykładem. Wygrzebała własny dołek i podsunęła sobie pod głowę kaptur, aby nie czuć drobnych, sztywnych łodyg kłujących niczym igły.

Leżeli w milczeniu. Pragnęła, aby Bruno ją pocałował, była nawet gotowa zainicjować to sama, ale czuła zarazem, że pierwszy krok należy do niego. Miała wrażenie, że chłopak już się szykuje, niebawem się to stanie, ale czekając na tę chwilę musiała walczyć ze wzmagającym się napięciem, które stawało się już nie do zniesienia.

- Znasz się na zjawiskach parapsychologicznych? - zapytała nagle.

- Raczej nie - przyznał.

- Czy twoi koledzy w Kanadzie posługiwali się na przykład tak zwanym *ouija*?

- Co to takiego?

- Bierzesz płaską deskę albo sztywny karton, stawiasz na nim szklankę do góry dnem i siadasz razem z innymi w kole, wyciągając przed siebie obie ręce. Wszyscy muszą się skoncentrować, a potem zadają pytania na temat miłości. Szklanka porusza się, udzielając odpowiedzi „tak” albo „nie”. W szkole wszystkie dziewczęta miały bzika na punkcie *ouija*, ale zakonnice nie pozwalały na tę grę. - Uniosła się na łokciu i spojrzała mu w oczy. - Klnę się na Boga, Bruno: szklanka się rusza. - Wzięła głęboki oddech. - A raczej porusza ją siła ducha. - Zawahała się, niepewna jego reakcji, po czym dodała: - Widzisz, niektórzy ludzie wierzą, że nasze indywidualne umysły i dusze są częścią jednego, większego umysłu. - Wpatrywała się w jego twarz, ale w mroku nie mogła dojrzeć, jaką Bruno ma minę. Nie chcąc go splotzić, opadła z powrotem na piach. - W każdym razie o tym właśnie zaczęłam niedawno czytać.

Spojrzał na nią, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Opowiedz mi o tym coś więcej.

- Naprawdę cię to interesuje?

- Oczywiście.

- No więc, jak już powiedziałam, dopiero się uczę, ale to, o czym czytam, ma sens. Już dawno temu, kiedy byłam dużo młodsza, nie mogłam zaakceptować tych wszystkich

ortodoksyjnych zasad religii katolickiej, których uczono w szkole... no wiesz... dotyczących Świętej Trójcy, przeistoczenia i tego, że żyjesz raz, a potem umierasz i dostajesz się albo do piekła, albo do raju... Ale w religiach Wschodu wszystkie te sprawy nabierają sensu. Chrześcijaństwo, a nawet katolicyzm, można interpretować szerzej.

- I to wszystko się wiąże z... jak to nazwałaś?... *Z ouija?*

- Bruno delikatnie odgarnął z twarzy Dariny kosmyk włosów.

- Ależ skąd! Ani trochę! To tylko gra, tyle że niebezpieczna. Nie dziwię się, że zakonnice były jej przeciwne. Wszystkie moje koleżanki bawią się w ten sposób, ciągle tylko wypytują o swoich chłopaków, o to, za kogo mają wyjść za mąż... no wiesz... Ale ja wspomniałam o tej grze dlatego, że poruszanie się szklanki to konkretny dowód na istnienie w życiu czegoś więcej poza tym, co widzimy, czujemy lub słyszymy. Czegoś więcej, niż nas ucą. Niedawno czytałam o takich sprawach jak karma, reinkarnacja, astrologia... Słyszałaś coś o tym?

- Nie chciałbym uchodzić za ignoranta - odparł Bruno - ale czy masz na myśli horoskopy? Jestem spod znaku Wagi - dodał.

- W pewnym sensie myślałam i o tym - odparła. - Mój znak to Baran. Ale chodzi o coś znacznie głębszego, coś, z czego sama rozumiem może zaledwie połowę. Przynajmniej na razie. - Umilkła.

Cisza nabrzmiewała, stawała się nie do zniesienia. Ramię, którym Bruno obejmował Darinę, zdawało się z każdą chwilą cięższe. Poczowała, jak jego ciało sztywnieje.

- Jesteś cudowna, Darino. - Jednym szybkim ruchem nachylił się nad nią i przywarł ustami do jej warg. Pocałunek był miękki i delikatny, raczej nieśmiały niż zaborczy, cudownie odmienny od tych, do jakich dążyli zazwyczaj znani jej miejscowi młodzieńcy, którzy starali się zawsze osiągnąć maksimum tego, co możliwe.

Odwróciła się ku niemu, otoczyła go ramionami, poczuła pod dłońmi - mimo grubej kurtki - szeroko sklepione, twarde plecy. Wokół nich panowała cisza, nawet głuchy plusk fal, na który w innych okolicznościach zwróciliby uwagę, zdawał się ginać we mgle. Kiedy Bruno pocałował ją, mogłaby przysiąc, że na ułamek sekundy stała się lekka jak piórko. Powinnam powiedzieć teraz coś ważkiego, pomyślała. Nie przychodziło jej jednak do głowy nic, co nie zabrzmiałoby niemądrze lub pretensjonalnie.

Pocałunek się skończył, a oni usiedli wpatrzni w siebie - jedyni w tej chwili ludzie na całej planecie. Ciało Dariny ogarnęło osobliwe mrowienie, wszystko w niej aż pulsowało z uniesienia.

- Czy czujesz to? - wyszeptała.

- Tak - odparł tym samym tonem i nadal wpatrywali się w siebie na przekór zapadającym ciemnościom, a uczucie stale narastało między nimi z każdą chwilą; stawało się tak intensywne, że budziło lęk, było jednak zarazem rozkoszne, cudowne, nie do zniesienia.

Podniosła się i uklękła.

- Czas rozpalić ognisko. - Potarła zapałkę o bok pudełka i przytknęła ją do przygotowanego wcześniej stosu.

W milczeniu patrzyli na płomienie, które najpierw ogarnęły papiery, a potem wspięły się wyżej po połamanych listwach jakiejś skrzynki. Wiatr ucichł, co sprawiło, że ogień palił się spokojnie i równomiernie, a iskry strzelały wysoko niczym miniaturowe sztuczne ognie.

Darina raz po raz kierowała wzrok na skupioną twarz Brunona. Blask ogniska tańczył po niej, oświetlając to policzki, to blond włosy, to znów duże oczy. Chłopiec wyglądał teraz jak faun lub jakaś inna nadprzyrodzona istota.

Przez pół godziny zbierali w ciemnościach i mgle wszystko, co mogłoby podtrzymać ogień, niewiele przy tym rozmawiając.

- Czy to nie dziwne... mam na myśli sposób, w jaki się poznaliśmy? - zapytała w pewnej chwili Darina. - Przecież stałam na tej skale tylko trzy minuty. Miałam obejrzeć przystań i gdybym nie zatrzymała się tam, nawet na ten krótki moment...

- Rzeczywiście - przyznał Bruno. - Ale ludzie spotykają się nie mniej przypadkowo także w innych okolicznościach. W sklepie, w pociągu... Moja mama i tata na przykład poznali się na pokładzie statku.

Darina nie była zachwycona tym wyjaśnieniem, mimo iż brzmiało logicznie.

- Może masz rację... - mruknęła bez przekonania. - Ale musisz przyznać, że sposób, w jaki myśmy się poznali, był tak... tak... - Chciała powiedzieć: „romantyczny”, ale to określenie wydało jej się nagle zbyt wzniosłe. - Po prostu wydało mi się to nieuniknione - dokończyła. Dorzuciła do ognia ostatnią szczapę drewna. - Któregoś dnia napiszę o tym. - Już wcześniej zwierzyła mu się, że pragnie w przyszłości pisać książki.

- Mam nadzieję, że o mnie nie napiszesz źle. - Bruno usiadł tuż przy niej.

Roześmiała się.

- Na wszelki wypadek radziłabym ci, abyś był dla mnie dobry. - Spojrzeli na dogasające już płomienie, a potem, kiedy z ogniska pozostał jedynie rozżarzony popiół, Darina odezwała się poważnym tonem: - Dobrze mi się z tobą rozmawia, wiesz? Mam takie uczucie, jakbyśmy znali się już od bardzo dawna. Nie muszę się zastanawiać, o czym mówić ani o czym ty myślisz, bo za każdym razem wiem, że myślisz o tym samym co ja.

- Rozumiem.

- Inni chłopcy są zwykle natrętni, chcą się przekonać, jak daleko się posunę.

- Chodzi o seks?

- Tak, właściwie tak. Ale nie tylko. Jest w tym coś więcej. Przy tobie nie mam wrażenia, że chciałbyś mi coś odebrać. Dlatego byłabym skłonna dać ci wszystko, czegokolwiek byś chciał. Rozumiesz?

- Wszystko? - podchwycił skwapliwie, ale ton jego głosu świadczył, że żartuje.

Roześmiała się.

- Tak, bo przed tobą nie czuję lęku. W każdym razie mamy w perspektywie całą resztę naszego życia, to wszystko, co nadejdzie. - Czuła się wspaniale, lekka i bezpieczna. Z filuterną miną trąciła go w bok, a kiedy zrobiła gest, jakby chciała uczynić to jeszcze raz, Bruno pochwycił ją za ramiona, przytrzymał je na piachu i tak unieruchomioną pocałował, o wiele gwałtowniej niż za pierwszym razem.

Po chwili rozłączyli się i spojrzeli na siebie.

- Wydaje mi się, że powinniśmy poczekać - odezwała się Darina.

Pocałował ją znowu, tym razem łagodnie, potem usiadł i objął ją czule, podsuwając jej pod głowę swoje ramię. Oparła się wygodniej i odprężona przymknęła na chwilę powieki. Tak błogo może się czuć tylko nowo narodzone dziecko, pomyślała. Otworzyła z powrotem oczy i spojrzała na jego twarz, skrytą w mroku, a on unióś rękę i delikatnie obrysował palcem jej brew, po czym wyrwał z piachu źdźbło trawy i połaskotał ją pod brodą.

- Ta trawa nazywa się piaskownica. Wiesz?

- Teraz już wiem.

- My też mamy wydmy na naszej Wyspie... piękne wydmy. Przesuwają się razem z wiatrem, wędrują przez drogi. To naprawdę wspaniały widok. Ale gdyby nie te piaskownice, wydmy przestałyby istnieć.

Dla Dariny nie istniało teraz na świecie nic prócz obecnej chwili i twarzy Brunona, którą widziała nad sobą. Z błęgiego nastroju wyträcił ich stopniowo przytłumiony, lecz narastający odgłos silnika samochodu. Bruno wypuścił dziewczynę z objęć, unióś się trochę i na czworakach wyjrzał zza wydmy na plażę.

- To radiowóz policyjny - szepnął zdumiony.

- Która godzina?

- Dochodzi wpół do dziesiątej.

- W takim razie będziemy musieli niedługo wracać. Obiecałam matce, że przyjadę nie później niż autobusem o wpół do jedenastej. Nie chciałabym, żeby się zaczęła niepokoić.

Powiedli wzrokiem za ciemnym samochodem policyjnym, który sunął powoli wzdłuż

linii brzegu.

- Nie robimy nic złego - powiedziała Darina - a więc nie musimy się bać. Mamy prawo siedzieć na plaży. To miejsce publiczne. Ale powinniśmy chyba na wszelki wypadek wygasić ten popiół.

Bruno kopnął kilka razy w piach, zasypując pozostałości ogniska, a potem wdrapali się na szczyt wydmy i zeszli na plażę. Tylne światła radiowozu tworzyły już jedynie małe czerwone punkciki.

- Myślisz, że szukają kogoś konkretnego? - zapytał Bruno.

- Zapewne ludzi takich jak my - odparła z uśmiechem.

Przeszli z powrotem przez most w stronę głównej ulicy.

- Zapomniałam cię zapytać - odezwała się w pewnej chwili Darina. - Jak zareagował twój stryj John, kiedy zjawiłeś się w „Shelbourne”? - Zgodnie z planem ułożonym poprzedniego dnia, Bruno miał powiedzieć Monie, że John zaprosił go na ostatni wieczór pobytu do Dublina.

- Nie zastałem go tam - odparł teraz Bruno. - Zostawiłem mu wiadomość. Jak myślisz, będzie bardzo zaskoczony?

- To trochę obcesowa forma... A co mu napisałeś?

- Po prostu, że nieoczekiwanie przyjechałem do miasta... tak by to ujął mój tata... i że chętnie bym u niego przenocował.

- Czy twój tata nie zdenerwuje się, kiedy się dowie?

- Skąd mogę wiedzieć... - Bruno wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, nie ma się teraz czym przejmować. Tata jest w Hamburgu i myśli, że znajduję się pod troskliwą opieką Mony.

- Jaka ona jest? Jak to się stało, że mieszka z twoim stryjem, a nie są małżeństwem?

- Nie mieszkają razem... Przynajmniej nie w tym sensie, to znaczy., no wiesz, każde z nich ma swoją sypialnię. Nie znam szczegółów tej historii, ale to się wiąże z dawnymi czasami, kiedy żyła jeszcze matka mojego taty i stryja Johna, a Mona im pomagała. I chyba po prostu już tam została.

- Jest miła?

- Wspaniała. To typ kobiety, która o wszystkich myśli jak najlepiej i, prawdę mówiąc, czułem się trochę winny, nabierając ją. Ale z drugiej strony, nie okłamałem jej tak naprawdę. Bo chyba nie było to takie oczywiste kłamstwo, jak myślisz?

Przez chwilę Darina roztrząsała w duchu problem etyczny: czy Bruno skłamał, czy też nie.

- Masz rację - przyznała wreszcie lojalnie. - Właściwie to nie było oszustwo. Bo przecież rzeczywiście zostaniesz w „Shelbourne”, czyż nie?

- Bardzo bym chciał. - Szli wolnym krokiem, trzymając się za ręce.

- Och, Bruno - szepnęła Darina. - Nie chcę wracać do domu. Kto wie, kiedy się znowu zobaczymy...

- Zrobię wszystko, co możliwe, żeby przyjechać tu jeszcze raz na Boże Narodzenie - odparł z takim zapałem, że uwierzyła, iż mógłby tego dokonać.

- To by było cudownie! - ucieszyła się. - Ale czy twoi rodzice puszczą cię w tak daleką podróż?

- Ależ oni przyjadą ze mną! - odparł zdziwiony jej pytaniem, jakby sam nie miał co do tego żadnych wątpliwości. - Ciągłe powtarzają, że muszą się tu kiedyś wybrać, a ja postaram się, aby to „kiedyś” wypadło w tym roku. Pozostały zaledwie dwa miesiące, a właściwie siedem tygodni.

- To i tak szmat czasu! - Perspektywa rozstania zmaćła całą radość, jaką czuła dziś Darina. - Która godzina? - zapytała.

- Dwadzieścia po dziesiątej.

- A więc mamy już tylko parę minut... - Nie ukrywała nawet, jak bardzo jest zrozpaczona. Po drugiej stronie ulicy ujrzała budkę telefoniczną i nagle podjęła decyzję. - Zapytam, czy mogę wrócić później - powiedziała.

* * *

Rose i Effie siedziały w saloniku, kiedy zadzwonił telefon. Effie podniosła słuchawkę.

- To Darina - oznajmiła po powrocie do pokoju.

- Nie powiedziała, o co chodzi? - Rose wstała niechętnie z przepastnej kanapy i przeszła do holu. - Halo?

- To ja, mamó - odezwała się Darina i Rose natychmiast cała zamieniła się w słuch. Głos córki wydał jej się przesadnie ożywiony, a to nie wróżyło nic dobrego. - Chciałam cię zapytać, czy mogłabym zostać tu trochę dłużej.

W pierwszym odruchu Rose chciała powiedzieć „nie”, ale zmieniła zdanie.

- Dlaczego? - zapytała. - Czy wydarzyło się coś szczególnego?

- Opowiem ci o wszystkim, jak wrócę do domu... jeśli nie będziesz jeszcze spała. Poznałam kogoś... To bardzo porządny chłopak, mamó. Powiedział, że odwiezie mnie potem taksówką. Mogę go poprosić do telefonu, stoi tu teraz koło mnie.

- To zbyteczne. Kim jest i gdzie jesteście w tej chwili?

- Na imię ma Bruno, jesteśmy w Clontarf. Rano opowiem ci o nim. Byliśmy teraz na spacerze, chodziliśmy po plaży.

Rose milczała.

- Proszę cię, mam. Jutro nie mam zajęć w szkole.

W jej głosie zabrzmiała prawdziwa desperacja i Rose przez chwilę intensywnie zbierała myśli. Darina po raz pierwszy wyznała szczerze, dlaczego chce wrócić do domu później niż zwykle. I widać, że ma to dla niej olbrzymie znaczenie. Jeśli spotka się z odmową, może się zamknąć w sobie. A Rose obawiała się takiego obrotu sprawy.

- Dobrze - odparła wreszcie powoli. - Ale pamiętaj, że zaufałam ci teraz. Wrócisz do domu taksówką, tak? Masz dosyć pieniędzy?

- Na pewno. Dziękuję, mam. - Zanim Rose zdążyła wyznaczyć córce kolejną porę powrotu do domu, usłyszała trzask odkładanej słuchawki.

Wróciła do saloniku, a Effie spojrzała na nią wyczekująco.

- Wszystko w porządku?

- Och, Effie! - westchnęła Rose. - Mam nadzieję, że tak!

* * *

John zerknął na nocną szafkę, gdzie stał budzik: jak długo jeszcze będzie musiał zostać, żeby móc się stąd wynieść i zarazem zachować się przyzwoicie?

Dziewczyna przywarła do niego całym swoim pięknym, młodym ciałem, jedwabistym i wilgotnym od potu. Oddychała cicho i równomiernie, a John, dręczony poczuciem winy, modlił się w duchu, aby jak najszybciej ogarnął ją głęboki sen. Leżał bez ruchu, starając się oddychać tak miarowo, jakby i on zasnął. Ramię, na którym dziewczyna leżała, zaczęło mu już drętwieć, nie śmiał nim jednak poruszyć, bał się bowiem, że w ten sposób może ją zbudzić.

Czy w moim życiu coś się kiedyś zmieni? - pomyślał. Czasem nawiązywał z jakąś dziewczyną znajomość, która przekształcała się w romans, ale taki układ nie trwał nigdy długo. Gdy tylko dziewczyna zaczynała robić aluzje, organizować przyjęcia z udziałem innych par i planować z dużym wyprzedzeniem kolejne spotkania, John - czując, że pętla na jego szyi się zaciska - przystępował do zaciętej walki o odzyskanie wolności.

Czekając na moment, kiedy będzie całkowicie pewien, że dziewczyna śpi, wrócił pamięcią do wydarzeń minionego dnia... oraz wieczoru, którego punktem kulminacyjnym stała się obecna sytuacja. On i Rodney Pickford znaleźli natychmiast wspólny język. Starszy mężczyzna, jakkolwiek bardzo zasadniczy w sprawach służbowych, okazał się wspianiałym,

inteligentnym kompanem w czasie wolnym od pracy. Po wysłuchaniu szczegółów planu dotyczącego przebudowy Sundarbans nie tylko zgodził się uczestniczyć w realizacji projektu, ale również postanowił wnieść swój wkład do funduszu spółki i - co więcej - włączyć się do negocjacji prowadzonych z bankiem komercyjnym i mających doprowadzić do uruchomienia linii kredytowej w banku w Carrickmacross na potrzeby George'a i Johna. Dziś z samego rana obaj odbyli owocne spotkanie z trzema urzędnikami banku komercyjnego - owocne dzięki doniosłej obecności Rodneya Pickforda. Nadzieje Johna, że przekaze George'owi i pozostałym wspólnikom pomysły wieści, nabierały coraz żywszych barw.

John musiał przyznać w duchu, że rozochocony odniesionym sukcesem, jak również wybornymi potrawami i trunkami, nie wzbraniał się wcale przed sytuacją, w jakiej się teraz znalazł. Razem z Pickfordem zjedli wczesny obiad w hotelu „Hibernian”, a chcąc uczcić ten dzień, nie odmawiali sobie ani jedzenia, ani napojów. Okazało się przy tym, że Pickford jest znawcą win, a dokonany przez niego wybór spotkał się z pełną uznania miną kelnera.

Po obiedzie udali się na kieliszek brandy do barku, gdzie John przeżył kolejne zaskoczenie. Pickford nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt parę lat i trzymał się doskonale, John jednak uważał go dotąd za człowieka statecznego i konserwatywnego, podobnego do większości biznesmenów, z jakimi się dotąd zetknął, tym bardziej że Rodney był żonaty i miał troje dzieci. Tymczasem w barku zaprezentował swoje drugie oblicze. Na widok dwóch dziewcząt siedzących w kąciku wstąpił w niego nowy duch. Zamówił brandy, a potem zagadnął je i z prawdziwym wdziękiem, choć bezceremonialnie, zapytał, czy on i John mogliby się do nich przysiąść.

Od tej chwili, jako dusza towarzystwa, zabawiał dziewczęta opowiadaniem całej masy pikantnych historyjek z życia wyższych sfer, dawał nawet do zrozumienia - chociaż nie powiedział tego wyraźnie - że utrzymuje zażyłe kontakty z niektórymi członkami rodziny królewskiej.

Obydwie dziewczyny, pracujące w reklamie, były smukłe i zadbane jak młode rasowe konie wyścigowe, a potok słów, którymi zasypał je Pickford i wśród których nie brakowało oczywiście najbardziej wyszukanych komplementów, olśnił je bez reszty. Niebawem John, nieco już oszołomiony drinkami, pogodził się w duchu z tym, co uznał w końcu za nieuniknione. Towarzystwo rozdzieliło się około jedenastej. Pickford wrócił do hotelu ze swoją wybranką, John natomiast wsiadł do samochodu drugiej z dziewcząt, po czym oboje odbyli krótką przejażdżkę do jej mieszkania w Ranelagh, dzielnicy położonej niedaleko centrum miasta.

Ramię, na którym teraz leżała dziewczyna, zdrętwiało już na dobre i John wiedział, że

musi poruszyć nim jak najprędzej. Posapywała cicho, jej górna warga drgała lekko przy każdym wdechu. Centymetr po centymetrze, wstrzymując oddech, John wyswobadzał się z jej objęć. Przypomniawszy sobie nagle swój pierwszy raz, kiedy kochał się z dziewczyną. Rose też zasnęła potem, kryjąc głowę w zgięciu jego ramienia. Uwalniając teraz rękę, nieoczekiwanie poczuł niesmak do siebie samego. Jak do tego doszło, że po miłosnym zbliżeniu z osobą tak wspinałą jak Rose O'Beirne Moffat zniżył się do poziomu przypadkowego seksu, z przygodną osobą? Wynika z tego, że grzmiące kazania księży katolickich, ostrzeżenia redemptorystów przed grzechem i ogniem piekielnym, a nawet nieśmiałe napomknienia jego biednej matki nie były bezpodstawne.

Tak, ciało to słaba strona człowieka, podatna na grzech. A zwłaszcza ciało Johna Flynna.

Poczuł się zbrukany, nieczysty, cierpkawy zapach własnego potu przyprawiał go o mdłości. Także ciało dziewczyny wydzielало charakterystyczny zapach, jej oddech przesycony był wonią przetrawionego alkoholu. Zapragnął nagle zmyć z siebie wszelkie ślady tej nocy, wyszorować się do czysta, a potem zanurzyć po uszy w lodowatym morzu lub choćby w Łabędzim Jeziorze.

Zdołał już uwolnić się z jej ramion i ostrożnie wstał z łóżka. W przeciwieństwie do dziewczyny, która leżała naga, on miał na sobie część ubrania. Teraz powoli, nie spuszczając z niej wzroku, włożył resztę rzeczy.

Dopiero, kiedy był już gotów do wyjścia, po raz ostatni rzucił okiem na dziewczynę. We śnie sprawiała wrażenie młodszej, niż była w rzeczywistości; nie wyglądała na swoje dwadzieścia trzy lata. Twarz wokół ust miała umazaną na czerwono, ale John nie wiedział, czy to ślady wina, które pili przed pójściem do łóżka, czy też szminka.

Przez moment poczuł wyrzuty sumienia. Powiniennem zostawić jej przynajmniej parę słów na kartce, pomyślał. W kuchni, na drzwiczkach lodówki, dostrzegł notatnik magnetyczny, na którym dziewczyna notowała dla pamięci zakupy. John wyjął z uchwytu długopis wiszący przy notatniku, po czym napisał:

MUSIAŁEM WYJŚĆ - TAKI ZE MNIE RANNY PTASZEK! BYŁO BARDZO MIŁO. SKONTAKTUJ SIĘ ZE MNĄ, JEŚLI ZNAJDZIESZ SIĘ KIEDYŚ W POBLIŻU.

Zawahał się. Dla przyzwoitości należałoby podać przynajmniej numer telefonu. Po chwili namysłu dopisał pod spodem numer „Willow House”, a nie swojego domu.

Gardząc sobą coraz bardziej, jako że okazał się nie tylko rozpustnikiem, ale także tchórzem, podszedł na palcach do wyjścia, czym prędzej opuścił mieszkanie i tak cicho, jak tylko to było możliwe, zamknął za sobą drzwi. Na ulicy zaczerpnął głęboko w płuca

mroźnego, wilgotnego od mgły powietrza. Wczoraj, przekonany, że czeka go jedynie krótki spacer powrotny z „Hibernian” do „Shelbourne”, nie wziął ze sobą płaszcza. Teraz, chociaż zaczął już dygotać z zimna, czuł, że mimo woli zrobił dobrze; ziąb zdawał się oczyszczać go całego.

Nigdy przedtem nie był w Ranelagh, zdał się jednak na instynkt i po prostu szedł przed siebie w kierunku, który mu się wydał właściwy. Ulice zabudowane schludnymi willami z czerwonej cegły świeciły o tak wczesnej porze pustkami, nie miał więc kogo zapytać, jak dojść do głównej ulicy. Nawet gdybym ją znalazł, pomyślał, i tak nie złapię taksówki w listopadową noc, o wpół do drugiej nad ranem.

Szedł około dwudziestu minut, nie spotkawszy żywego ducha poza kilkoma kotami. Raz tylko ujrzał jakiś samochód, jadący i tak w przeciwną stronę. Uliczne latarnie tworzyły świetliste kręgi, które we mgle przybierały kształt aureoli. Przechodząc przez most, który spinał brzegi kanału, spojrzął w dół, na spokojną toń wody, i nieoczekiwanie poczuł się jak aktor w jakimś surrealistycznym czarno - białym filmie. Dopiero gdy ujrzał przed sobą sklepy z opuszczonymi żaluzjami, zrobiło mu się raźniej. Miał nadzieję, że dziewczyna nie obudzi się przed świtem i że wybaczy mu jego zniknięcie. Była właściwie bardzo miła na swój cikliwy, nieskomplikowany sposób. Chociaż z drugiej strony... pomiędzy nim a kimś takim jak ona nie mogło być mowy o jakiegokolwiek wspólnej przyszłości.

A czy jest możliwa jego przyszłość z kimkolwiek innym? Trzydzieści trzy lata i nikogo na widoku. Czyżby miał dożyć swych dni jak biedny Ned Sherling, karmiący się jedynie tym, co pozostało z jego marzeń?

Poczuł się nagle nieswojo; ostatnio interesy pochłonęły go do tego stopnia, że nie odwiedzał Neda co najmniej od dziesięciu dni. A staruszek od jakiegoś czasu mocno się posunął. Wprawdzie nadal był sprawny i potrafił zadbać o siebie, wzrok jednak odmawiał mu już posłuszeństwa, uniemożliwiając na przykład czytanie ulubionych książek. Mimo to Ned nigdy się nie uskarżał, a John odwiedzał go, kiedy tylko mógł, przynosił książki z biblioteki i czytał mu je godzinę, nieraz nawet dłużej.

Był teraz pewien, że Ned kochał dawniej jego matkę. Czyżby jego los miał się upodobnić do losu Neda? Czy i on, podobnie jak Ned, będzie już do końca swych dni rozpamiętywał pierwszą i - niestety - utraconą miłość? Staje się sentymentalny, pomyślał. Zerknął na zegarek. Za dwadzieścia druga. Weź się w garść, Flynn, powiedział sobie w duchu. Przyspiesz kroku. Czekają cię obowiązki.

Biorąc w hotelu klucz do swojego pokoju, otrzymał jednocześnie dwa listy. Pierwszy zawierał wiadomość od Pickforda; mieli się spotkać o ósmej trzydzieści na śniadaniu. Drugi

zaniepokoił go trochę. Widniała na nim godzina: szósta trzydzieści wieczorem, a list zostawił jego bratanek. Bruno był w Dublinie i chciał przenocować u niego w hotelu.

Ale gdzie chłopak się teraz podziewa? Poczucie winy i odraza do siebie samego odżyły w Johnie ze zdwojoną siłą. Podczas gdy on łajdaczył się z dziewczyną, która nie znaczyła dla niego nic, jego bratanek musiał włóczyć się po niebezpiecznych ulicach nocnego Dublina, bez dachu nad głową.

- Nie było do mnie innych listów? - zapytał portiera. Tamten jeszcze raz rzucił okiem na przegródki przy kluczach.

- Nie, *sir*, tylko te dwa.

Co teraz? A w ogóle skąd Bruno wziął się w Dublinie? Przyszło mu na myśl, że mógłby się skontaktować z Derekiem, ale natychmiast zdał sobie sprawę z niedorzeczności takiego pomysłu. Przecież Derek jest teraz w Hamburgu. Cóż mógłby poradzić z takiej odległości?

A może pójść na policję? Nie, na to chyba zbyt wcześnie. Ostatecznie Bruno nie jest małym dzieckiem, ma już szesnaście lat.

Ostatnia myśl pomogła mu odzyskać spokój. On sam, będąc w wieku Brunona, miał ukończoną szkołę, a jako siedemnastolatek przebył pół świata, aby znaleźć pracę. No tak, ale... co z Brunonem? Gdzie teraz jest?

- Czy coś się stało, *sir*?

Głos portiera wyrwał go z zadumy. Uświadomił sobie, że nadal stoi przy recepcyjnej ladzie, zapatrzony gdzieś przed siebie.

- Nie - odparł. - Ale gdyby zadzwonił mój bratanek, Bruno Flynn, proszę mnie natychmiast powiadomić, bez względu na porę, dobrze?

- Oczywiście, *sir*.

- A teraz chciałbym poprosić o filiżankę kawy. – Nie pozostało mu nic innego jak pójść do pokoju i czekać cierpliwie.

* * *

Słyszając zgrzyt klucza w drzwiach frontowych, Rose nabrała powietrza do płuc, a potem wypuściła je powoli i donośnie. Było to jedyne ćwiczenie na odzyskanie spokoju, jakie zapamiętała z zajęć jogi, na które przestała uczęszczać już parę lat temu. W miarę upływających godzin nocy ogarniał ją coraz większy lęk. Teraz jednak, skoro Darina wreszcie wróciła, nie mogła się przed nią zdradzić ze swym niepokojem. Musi być wobec córki opanowana.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych, a potem kroki Dariny na schodach. Jednocześnie spod domu odjechał samochód. No cóż, przynajmniej ten młodzieniec, kimkolwiek jest, okazał się słowny i odwiózł ją taksówką, pomyślała.

Drzwi mieszkania otworzyły się i zamknęły.

- Jestem tu, Darino! - zawołała Rose.

Po chwili dziewczyna stanęła w progu. Była zarumieniona i miała zaczerwienione oczy, jakby płakała. Jednocześnie emanowała z niej jakaś miękkość i łagodność, coś, czego Rose nigdy dotąd u niej nie widziała. Otworzyła usta, aby wypomnieć córce późny powrót do domu, było już bowiem po trzeciej, ale Darina powstrzymała ją ruchem ręki.

- Proszę cię, mamó, wiem, że jest późno. Ale nie zrobiliśmy nic niewłaściwego, naprawdę. Kawiarnia przy porcie była już zamknięta, poszliśmy więc do innej, nazywa się „Manhattan”... i tak się zagadaliśmy, że straciłam poczucie czasu. - Głos dziewczyny był bezbarwny, pozbawiony życia.

- Wejź, opowiedz mi o nim. Kto to jest? - Rose wskazała córce miejsce obok siebie, na kanapie.

Ale Darina nadal stała w progu.

- Porozmawiamy jutro, mamó, dobrze? Nie mam ochoty mówić o nim teraz.

- Czy wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś płakała.

- Płakałam, ale nie dlatego, że byłam smutna. No... może w pewnym sensie jestem smutna. Ale jednocześnie bardzo, bardzo szczęśliwa. Wiesz, tak to już bywa... - Oglądała uważnie swoje paznokcie. - Widzisz, nie mam nawet pojęcia, kiedy go znowu zobaczę. W każdym razie nie przed Bożym Narodzeniem.

- Dlaczego akurat wtedy?

- Bo to najwcześniejszy termin, w jakim mógłby tu przyjechać. Jutro opuszcza Carrickmacross i wraca do domu.

- A gdzie jest jego dom?

- On spędza wakacje w Monaghan i tam właśnie jedzie jutro, a potem wraca do Kanady, tam ma swój dom.

Kanada! Coś jakby przecucie grożącego niebezpieczeństwa popęzło w górę po plecach Rose i usadowiło się na karku.

- A z jakiej części Kanady on pochodzi, kochanie?

- Z Wyspy Księcia Edwarda. Słyszałaś coś o niej ?

- Oczywiście, że słyszałam. - O Boże!...

Darina zrobiła zdumioną minę.

- Popatrz, popatrz! A ja myślałam, że to jakieś zupełnie nieznanne miejsce. Ja przynajmniej nigdy przedtem o nim nie słyszałam. Byłam pewna, że będę musiała ci wyjaśnić, gdzie leży ta wyspa...

Rose z największym trudem zdołała zachować spokój w głosie.

- Jak ten chłopak się nazywa?

- Bruno. Bruno Flynn.

ROZDZIAŁ 14

John siedział na brzegu łóżka i obserwował śpiącego „smacznie Brunona. Chłopiec leżał na dywanie, jego blond głowa spoczywała na jednej z poduszek Johna, resztę ciała okrywały kurtka oraz kołdra z łóżka. Spał z lekko rozchylonymi ustami, oddychając niemal niewidocznie. Jedną rękę odrzucił na bok, odsłaniając nieśmiały jeszcze zarost pod pachą. Wyglądał tak młodo i krucho, że John nie miał sumienia go budzić.

Niestety, jednak musiał to uczynić. Nachylił się i lekko potrząsnął bratanka za ramię.

- Bruno, Bruno, obudź się! Czas wstawać!

Chłopiec drgnął, otworzył niebieskie, zdumione oczy. Kiedy dostrzegł Johna, uśmiechnął się tak promiennie, że ten z trudem zdołał zachować stanowczy ton.

- Bruno, musimy porozmawiać - powiedział. - Czy zdajesz sobie sprawę, ile szczęścia mieliśmy w nocy?

- Mhmm... - mruknął sennie Bruno.

- Naprawdę można powiedzieć, że szczęście nam dopisało. W hotelach takich jak ten nie lubią, kiedy ktoś obcy zjawia się o trzeciej nad ranem, aby przespać się na podłodze. Słuchasz mnie? - zapytał ostrzej. - Gdyby nie ten portier, którego uprzedziłem... - Urwał w pół zdania, widząc mętne jeszcze od snu oczy chłopca.

Portier wahał się początkowo, czy rzeczywiście może wpuścić tego młodego, pięknego młodzieńca do jednoosobowego pokoju starszego mężczyzny. Postawa Brunona też nie sprzyjała szybkiemu załatwieniu sprawy; stał spokojnie w trakcie toczącej się dyskusji, tak jakby to wszystko wcale go nie dotyczyło, i nie uczynił nic, co pomogłoby Johnowi przekonać swego rozmówcę, że chłopiec jest rzeczywiście jego bratankiem.

Traf chciał, że wszystkie pokoje w hotelu były tego dnia zajęte, a John musiał jakoś wpłynąć na portiera, żeby wpuścił Brunona i pozwolił mu spędzić tu noc. Osiągnął to dopiero wtedy, kiedy wspomniał, że on również pracuje w branży hotelowej, u George'a Cranshawa. Okazało się, że portier ma krewnych w Cavan i słyszał o George'u.

- Przepraszam, stryжку! - Bruno otrząsnął się już z resztek snu i usiadł prosto. Kołdra zsunęła się na podłogę, gdzie leżało także jego porzucane w nieładzie ubranie. - To się już nie powtórzy, przyrzekam.

- Jestem pewien, że to się nie powtórzy. A teraz: przyrzekłeś mi w nocy, a raczej nad ranem, że powiesz mi, co w ciebie wstąpiło. Cóż, u diabła, porabiasz w Dublinie? A przede wszystkim: czy twój ojciec wie, co się dzieje?

- Nie sądzę, aby mój tata miał coś przeciw temu, stryju. I nie martw się: nie stało się nic, co mogłoby was zaniepokoić, ciebie lub mojego tatę. Przyjechałem tu, żeby się z kimś zobaczyć, to wszystko.

- Tak nagle, nie uprzedzając nikogo?

- Mówiłem o tym Monie - sprostował Bruno. - Uznała, że nie ma żadnego problemu.

- A co jej powiedziałaś?

- Że mnie zaprosiłeś...

- W takim razie nic dziwnego, że nie dostrzegła żadnego problemu. Oszukałeś ją, Bruno.

- W pewnym sensie - odparł chłopiec. - Ale nie było to takie prawdziwe kłamstwo, stryju - dodał. - Wiedziałem przecież, że gdybym cię poprosił, zrobiłbyś to. - Na jego twarzy pojawił się znowu ten sam zniewalający uśmiech.

John patrzył na niego zbity z tropu. Zdawał sobie sprawę, że jest wobec chłopca bezradny, że trudno mu zachować surowość w obliczu jego bezpośredniości i otwartości. Wiedział także, iż Bruno zawsze postawi w końcu na swoim, gdyż potrafi manipulować ludźmi i sytuacjami bez żadnego wysiłku, a za to skutecznie. I robi to w tak łagodny, naturalny sposób, że nikt nawet nie dostrzega, co się święci. John postanowił zmienić temat.

- Powiedz mi - odezwał się tonem, jakim rozmawiają mężczyźni we własnym gronie.

- Z kim się miałaś zobaczyć? Co to za dziewczyna? Wiem, że to dziewczyna - dodał, zanim Bruno zdążył zaprotestować. - Nie wyobrażam sobie, aby młodzieniec w twoim wieku decydował się na całe to zamieszanie i przyjeżdżał do miasta w środku nocy wyłącznie w celu odbycia pogawędki z kolegą.

- Zgadłeś, stryju, to dziewczyna. Niezwykła dziewczyna.

- Jak ma na imię?

- Darina.

- Ładne imię. Ona jest z Dublina?

- Tak. - Bruno kiwnął z zapalem głową. Miał teraz poważną minę, tak jakby zamierzał otworzyć całą swoją duszę i serce.

John westchnął. Sytuacja wykraczała tak dalece poza jego doświadczenie, że znowu poczuł się bezradny. Samopoczucia nie poprawiała mu wcale świadomość, że z uwagi na przygodę z ostatniej nocy oraz niezapomniane przeżycie sprzed wielu lat, gdy był dokładnie w wieku Brunona, jest teraz ostatnią osobą, która mogłaby prawić temu chłopcu kazania czy choćby udzielać rad.

- Masz ochotę na śniadanie? - zapytał, zmieniając znowu temat.

- Jasne. - Twarz Brunona pojaśniała. - Moglibyśmy zamówić posiłek do pokoju?

- Oczywiście. Ty zjesz sobie w pokoju. Ja muszę zejść na dół. Mam spotkanie o ósmej trzydzieści. - Podniósł słuchawkę. - Co chciałbyś zamówić?

Bruno poprosił o pełne śniadanie irlandzkie: płatki owsiane, bekon, parówki, jaja i pomidory - wszystkiego po trochu.

- Bóg nie poskąpił ci apetytu - roześmiał się John, czekając na przyjęcie zamówienia. On sam nie mógł teraz nawet myśleć o jedzeniu. Obudził się po niespełna czterech godzinach snu z potwornym kacem i marzył mu się tylko gorący natrysk.

A on tymczasem, pomyślał zerkając na bratanka, wygląda, jakby wrócił właśnie ze wspaniałego zjazdu na nartach po stoku zalanym słońcem. Skóra twarzy i ramion Brunona miała ów charakterystyczny złocisty połysk, który świadczył nie tylko o odpowiednim odżywianiu, ale także o zdrowym spędzaniu czasu na wolnym powietrzu. John odłożył słuchawkę, zostawił na toaletce napiwek dla pokojówki i wszedł do łazienki, aby wziąć prysznic.

Kiedy wrócił, Bruno, nadal bez koszuli, jadł śniadanie. Siedział wygodnie, trzymając długie nogi w dżinsach pod małym stolikiem przy oknie. Najwyraźniej czuł się tu swobodnie, jak u siebie w domu.

- Fantastyczne śniadanie, stryjku - mruknął pomiędzy jednym kęsem a drugim. - Dzięki.

- Proszę bardzo - odparł John. Zaczął się ubierać. - Nie pogniewasz się, jeśli zostawię cię na trochę samego? Muszę spotkać się na dole z pewnym facetem i towarzyszyć mu przy śniadaniu. To nie potrwa długo.

- Och, nie przejmuj się mną - odparł Bruno. - Dam sobie radę. Zresztą niedługo pójdę, jak tylko zjem. Mógłbym wziąć natrysk przed wyjściem? - zapytał.

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Do domu... to znaczy do twojego domku rybackiego.

- A jak się tam dostaniesz?

- Autobusem. A jeżeli nie będzie żadnego o tej porze, spróbuję wrócić stopem. To żaden problem - dodał, chrupiąc głośno grzanekę. - W taki właśnie sposób dostałem się do Dublina. Dwoma samochodami.

- Możesz pojechać ze mną, jeśli zaczekasz do piątej.

- Dziękuję, ale nie przejmuj się mną, stryjku. Po prostu jeśli nie zatrzymam nikogo do piątej, zobaczysz mnie na szosie i wtedy się z tobą zabiorę. - Znowu się uśmiechnął.

- A ta twoja dziewczyna... Darina... - zapytał John, zawiązując przed lustrem krawat. -

Kiedy się z nią znowu zobaczysz?

- Chyba na Boże Narodzenie.

- Zamierza cię odwiedzić?

- Nie, raczej nie, chociaż... Właściwie to niezły pomysł, stryju. Jej matka jest stewardesą, a więc myślę, że może załatwić darmowy przelot albo przynajmniej sporą zniżkę. Ale raczej to ja przylecę tutaj. W Charlottetown nie ma co robić w święta. Wszystko tam wtedy zamiera. A Darina jest przyzwyczajona do życia w mieście.

- Charlottetown to też miasto - zaproponował John. - A w ogóle... kiedy zapadła decyzja o twoim przyjeździe na Boże Narodzenie do Irlandii? Słyszę o tym po raz pierwszy!

- Umówiliśmy się tak wczoraj wieczorem.

- My? Masz na myśli siebie i tę dziewczynę?

- Zgadza się. Nie masz nic przeciw temu, stryju, nieprawdaż? Nie przeszkadzałyby ci, gdybyśmy przyjechali? Mama i tata mówią o tym od lat.

Nic dziwnego, pomyślał John. Wielokrotnie już wysyłał do Kanady zaproszenia, co było c tyle bezpieczne, że - jak sądził - jego brat nie dysponuje wystarczającą ilością wolnego czasu, aby móc z nich skorzystać; Boże Narodzenie i styczeń oznaczały dla niego zawsze spiętrzenie obowiązków w firmie.

- Oczywiście że nie miałbym nic przeciw temu – odparł teraz. Już ubrany, wziął leżący przy telefonie notatnik i zapisał coś na pierwszej kartce. - Wiesz co, jeśli to będzie konieczne, znajdziesz mnie w ciągu dnia pod któryś z tych numerów. Masz tu też nazwiska ludzi, którzy będą wiedzieli, gdzie aktualnie jestem. Ale pamiętaj: korzystaj z tego wyłącznie w nagłej i wyjątkowej potrzebie. Masz pieniądze na autobus?

- Jasne.

- Bądź ostrożny, gdybyś się zdecydował podróżować autostopem.

- Zawsze jestem ostrożny.

- Doskonale. No, muszę lecieć Wiesz... - zawahał się. - Może lepiej nie wspominać twemu ojcu o dzisiejszym zdarzeniu? Poproszę Monę, aby też zachowała dyskrecję.

- Ale tata zrozumiałby to, prawda? Jestem tego pewien! - Bruno wyglądał na zaskoczonego.

- Niestety, nie mam teraz czasu na dłuższą rozmowę. Po prostu zaufaj mi, Bruno. Nie chodzi o to, że mógłbyś mieć kłopoty. Chcę raczej oszczędzić nerwów twemu ojcu.

- Niech i tak będzie, stryju. - Bruno wstał, przeciągnął się, a widząc, że John zamierza już wyjść, zapytał: - Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

Schodząc na dół, John nie potrafił się uwolnić od wizerunku bratanka, który jego

zmęczonym zmysłem wydał się tak wyrazisty i piękny, jakby zszedł z obrazu Michała Anioła. Mało brakowało, pomyślał, a ja też miałbym takiego syna.

Z trudem odegnał od siebie te myśli, by się skoncentrować na spotkaniu z Rodneyem Pickfordem oraz szczegółach czekających go za chwilę pertraktacji.

* * *

Rose, blada i z sińcami pod oczyma, siedziała w kuchni nad filiżanką zimnej kawy. Słyszając kroki na schodach pomyślała, że to Darina, i zmusiła się do uśmiechu. Ale w drzwiach stanęła Effie. Uśmiech zniknął z twarzy Rose.

- Dzień dobry.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Effie. - Nie gniewaj się, ale wyglądasz okropnie.

Rose skryła twarz w dłoniach.

- I tak się też czuję - szepnęła zdławionym głosem. - Effie, stało się coś strasznego!

- O, mój Boże... co takiego? - Effie odrzuciła torebkę i trzema susami znalazła się przy Rose. Uklękła przed nią. - Co się stało? Coś z Dariną?

- Darina wróciła o trzeciej nad ranem. Czuła się dobrze. Teraz jeszcze śpi.

- A więc o co chodzi? - Effie potrząsnęła lekko Rose. - Na miłość boską, powiedz wreszcie, co się stało?

Rose nie patrzyła jej w oczy.

- Grzech pierworodny... - mruknęła w dłonie.

- Co? Co powiedziałaś?

- Powiedziałam: grzech pierworodny. - Rose niemal wykrzyczała te słowa, pragnąc odruchowo wstrząsnąć przyjaciółką i znaleźć w ten sposób ujście dla swojej frustracji i lęku. Odniosła jednak odwrotny skutek: Effie wstała powoli.

- Co masz na myśli? Mówisz zagadkami, Rose!

- Chyba znasz Biblię, nieprawdaż? A więc musisz wiedzieć, co mam na myśli.

- Wiem, o czym mówi Biblia. Ale o czym ty mówisz?

- No więc, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, Darina... moja córka Darina zakochała się w chłopaku, który jest synem brata Johna Flynna.

- Zaczekaj, nie tak prędko. To trochę zbyt skomplikowane, nie potrafię myśleć zbyt szybko z samego rana. A więc twierdzisz, że Darina zakochała się w ...

- W synu swojego stryja! - krzyknęła Rose. - Czy jesteś głucha? Zakochała się w swoim stryjeczynym bracie! W bratanku Johna Flynna! Rozumiesz?

Effie stała nieporuszona.

- Dlaczego na mnie krzyczysz?

- A ty byś nie krzyczała, gdyby chodziło o twoją córkę? - Rose otarła łzy, a potem westchnęła głęboko. - Przepraszam, Effie, wybac mi. Jestem po prostu zrozpaczona, nie wiem, co robić.

- Przede wszystkim napijmy się kawy. Właśnie miałam sobie nalać filiżankę... A jak się o tym dowiedziałas? - zapytała przez ramię.

- Darina mi powiedziała. Effie, ona nie ma pojęcia, kim on jest. Wie tylko tyle, że kocha niejakiego Brunona Flynna, który mieszka w Charlottetown.

Effie włączyła radio dokładnie w chwili, kiedy zabrzmiał sygnał zapowiadający serwis informacyjny o ósmej, ale natychmiast, nie wiadomo dlaczego, ściszyła dźwięk, tak że głos spikera zanikł, po czym postawiła na stole dwie filiżanki z kawą.

- Zastanówmy się nad tym - powiedziała, siadając na krześle. - Więc mówisz, że ona go kocha, ale nie wie, kim naprawdę jest dla niej ten chłopiec?

Rose, przybita, pokiwała głową, łzy ściekały teraz nieprzerwanym strumieniem po jej twarzy.

- A według ciebie, jakie to może mieć konsekwencje? Pytam o te najgorsze.

Rose spojrzała na nią jak na istotę nie z tego świata.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, co złego się może stać. Nawet jeśli wyłączymy z tego wszystkiego mnie i Johna, chociaż - dodała z goryczą - nie przyszłoby mi to łatwo, to jednak Bruno jest dla Dariny stryjecznym bratem.

- To żadna tragedia - zaproponowała Effie. - Byłoby gorzej w wypadku bliższego stopnia pokrewieństwa. A tak można nawet uzyskać dyspensę na ślub.

- Kto tu mówi o ślubie! Nie wiem, ile lat ma ten chłopak, ale przypuszczam, że jest mniej więcej w wieku Dariny. Czyli oboje mają po szesnaście lat! Wyobrażasz to sobie? Szesnaście!

- Wiesz dobrze, o czym mówię, Rose. Przyganiał kocioł garnkowi! Jesteś teraz przewrażliwiona, bo...

- Nie jestem przewrażliwiona! - Rose znowu podniosła głos.

- Przede wszystkim napij się kawy, zaraz ostygnie.

- Do diabła z kawą! Jak widzę, nie traktujesz tej sprawy poważnie.

- Jasne, że traktuję ją poważnie - odparła Effie. - Ale powiedz: czego się właściwie boisz? Oboje mają po szesnaście lat. A szesnastolatki zakochują się i odkochują nagminnie, takie już ich prawo. To tylko chwilowe zadurzenie, nic więcej.

Rose przypomniała sobie wyraz oczu córki.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Widywałam już Darinę, kiedy była zadurzona. Tym razem chodzi o coś głębszego. Poza tym... - uniosła dłonie, uprzedzając ewentualne argumenty Effie - wiem, że to nie moja sprawa, ale nie mogę stać biernie na uboczu i przyglądać się, jak moja córka pakuje się w kłopoty.

- A kto tu mówi o kłopotach? Wyolbrzymiasz wszystko, Rose.

- Możliwe. Ale coś mi podpowiada, że mam rację. Tylko że nie mogę z nią o tym mówić. Wiesz przecież, jaka jest uparta. Była już taka od dziecka, odkąd zaczęła chodzić. Zawsze stawiała na swoim. A przy tym potrafi owinąć sobie wszystkich wokół małego palca - dodała ponuro. - Sama się o tym nieraz przekonałaś.

- To prawda - odparła Effie. - Wiem o tym. Ale w głębi duszy Darina jest rozsądną dziewczyną i z pewnością nie zrobi nic głupiego. Zaufaj swojej córce, Rose.

Rose upiła łyk kawy. Effie, jak zwykle, trafiła w sedno sprawy. To prawda, nie ufa swojej córce, bo kiedyś sama postąpiła nierozważnie... Spojrzała z posępną miną na drogą twarz przyjaciółki.

- Pewnie to racja, Effie, nie ufam jej. A powinnam, także pod tym względem masz słuszność.

- Przerwij mi, jeśli uznasz, że przekraczam pewne granice, ale myślę tak: sprawa dotyczy Dariny i tego Brunona, a ty jako matka masz oczywiście prawo się niepokoić, w jeszcze większym stopniu chodzi tu jednak o to, co się teraz zdarzy w twoim życiu w związku z Johnem Flynnem.

Rose spojrzała na nią osłupiała.

- Co masz na myśli?

- Posłuchaj... ty nie jesteś Dariną, a Darina nie jest tobą. Każda z was jest inną kobietą. - Zaczęła wyliczać: - Po pierwsze: nie sądz, że ona automatycznie popełni taki sam błąd jak ty w jej wieku. Po drugie: możliwe, że twój gniew bierze się stąd, że tym razem nie panujesz nad sytuacją. Ona zaczęła postępować samodzielnie, rozwinęła skrzydła. A ty nie jesteś chyba jeszcze na to przygotowana... co więcej... - Umilkła i zaczęła bawić się solniczką.

- Mów dalej. - W głosie Rose zabrzmiała napięta uwaga; takie wahanie było u Effie czymś zupełnie nietypowym. - Zaszłaś już tak daleko, że powinnaś dopowiedzieć, co po trzecie.

- A więc - kontynuowała Effie - czy nie przyszło ci do głowy... tylko błagam, nie zrozum mnie źle... że możesz być trochę zazdrosna o Darinę?

- Co takiego?

- Przemyśl to sobie, Rose. Takie rzeczy zdarzają się nieraz między matką i córką,

między siostrami, nie mówiąc o obcych sobie ludziach. Niewykluczone, że jesteś rozdrażniona... nie twierdę, że tak jest na pewno, ale gdybyś się dobrze zastanowiła, ujrzałabyś wszystko we właściwym świetle. A więc: możesz być rozdrażniona, bo Darina ma teraz szansę urzeczywistnienia marzeń, którymi ty karmiłaś się przez lata. Wczoraj wieczorem nie pojechałaś do „Shelbourne” ze względu na Darinę, dla jej dobra. Tak mi tłumaczyłaś. - Effie wzruszyła ramionami i położyła dłonie płasko na stole. - To bardzo szlachetne. Ale właśnie wtedy, gdy ty kierujesz się uczuciem matczynej troski i jesteś skłonna poświęcić się dla córki, co ona robi? Zstępuje do ciebie z siódmego nieba, gdzie w upojeniu przebywała, i oświadcza, że tego wszystkiego od ciebie nie potrzebuje, że bardzo ci dziękuje, ale chciałaby sama pokierować własnym życiem. Co gorsza - zakochała się nie w byle kim, lecz w kimś z rodziny Johna Flynna. Twojego Johna Flynna. I ma większe szanse na realizację tego uczucia, niż ty miałaś kiedykolwiek przedtem!

Rose była zbyt zaskoczona, aby odpowiedzieć natychmiast. W pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć, zapewnić, że myśl, iż ona mogłaby być zazdrosna o własną córkę, jest niedorzeczna. Ale niemal od razu usłyszała jakiś głos wewnętrzny, który kazał jej nie odpowiadać Effie zbyt pochopnie, gdyż będzie potem tego żałować. A może teoria Effie właśnie dlatego nie przypadła jej do gustu, że tkwi w niej ziarno niemiłej prawdy?

- Jeszcze nigdy nie byłam o nikogo zazdrosna - szepnęła.

- Na pewno? Czyżbyś była kolejnym wcieleniem świętego Franciszka z Asyżu? Albo Matki Teresy? Bo poza nimi dwojgiem wszyscy inni ludzie mają w sobie bakcyla zazdrości. Taka już jest natura człowieka.

- Zazdrościć własnej córce? To okropne.

- Ale najzupełniej naturalne.

- Kocham Darinę całym sercem.

- To oczywiste.

Effie nie dodała nic więcej, dała przyjaciółce czas, aby zastanowiła się nad sobą. Rzeczywiście kocham Darinę całym sercem, pomyślała Rose, ale z drugiej strony chciałabym być teraz na jej miejscu.

- To jeszcze nie wszystko - odezwała się znowu Effie. - Ale jeśli uświadomisz sobie choć tyle, reszta nie będzie już taka trudna. Oczywiście martwisz się, że Darina popełni błąd. Tylko że ona nie jest już małą dziewczynką. Zresztą może jeszcze w życiu popełnić całą masę błędów, nawet bardzo poważnych. Tymczasem twoja rola polega odtąd tylko na tym, aby pomagać jej dostrzegać rozmaite wyjścia. Wyboru jednak dokona już ona, nie ty.

- To bardzo filozoficzne podejście - mruknęła Rose i czym prędzej dodała: -

Przepraszam, nie chciałam ironizować. A ty? Byłaś kiedyś zazdrosna?

- Moja droga! - parsknęła Effie. - Czy przyjrzałaś się kiedyś dokładnie swojemu odbiciu w lustrze? Czy widziałaś, jak ja wyglądam przy tobie? Świat jest pełen ludzi pięknych, ludzi sukcesu, ludzi, którzy mieli normalne dzieciństwo, kochających rodziców i rodziny. Oczywiście, że bywałam nieraz zazdrosna.

- A ja nigdy nie czułam... to znaczy... nie zorientowałam się, że czujesz wobec mnie coś takiego... - Natychmiast jednak przypomniało się Rose spotkanie z Dolores O'Brien i uświadomiła sobie, że już po raz drugi w ciągu paru miesięcy prowadzi taką rozmowę.

- To, że jestem zazdrosna, nie oznacza jeszcze, że postępuję niewłaściwie - wyjaśniła Effie. - Po prostu muszę spojrzeć prawdzie w oczy i postarać się z tego wyleczyć, tak jak z trądziku albo... z hemoroidów.

Porównanie zabrzmiało tak absurdalnie, że Rose parsknęła śmiechem.

Dopiły kawę, podczas gdy z radia sączył się nadal cichy, prawie niesłyszalny głos spikera. Rose, jeszcze roztrzęsiona, ale już nieco spokojniejsza, analizowała różne warianty postępowania. Mogła zakazać córce kontaktowania się z tym chłopcem - co byłoby złym rozwiązaniem i nie przyniosłoby spodziewanych rezultatów - albo też wyznać jej prawdę.

- Sądysz, że powinnam powiedzieć Darinie, że są stryjecznym rodzeństwem? - zapytała.

- Sądzę, że dopóki twoje emocje nie opadną, w ogóle nie powinnaś nic robić - odparła Effie. - Kiedy Darina ma się z nim zobaczyć?

- Wspominała coś o Bożym Narodzeniu.

- Naprawdę? W takim razie to kwestia tygodni, a nawet miesięcy! - zawołała Effie. - Dlaczego nie powiedziałaś tak od razu? To zmienia całą sytuację. Może do tego czasu Darina zapomni o nim...

- Wątpię - mruknęła ponuro Rose.

- Słuchaj... - Effie wstała. - Muszę już iść. Ale, na miłość boską... - nachyliła się, ujęła Rose za ramiona i ścisnęła je mocno - ... dobrze ci radzę: uporządkuj jakoś sprawy z Johnem Flynnem. Przyznaj, że nadal go kochasz, albo zapomnij o nim raz na zawsze, a wtedy zapanuje tu wreszcie spokój.

- Dobrze, zrobię tak. Przynajmniej.

- W porządku. - Effie zdjęła dłonie z ramion Rose. - Może się jeszcze okazać, że ta historia z Dariną wyjdzie nam wszystkim na dobre. Byłaby to pozytywna strona całej sytuacji.

- Uśmiechnęła się i wzięła swoją torebkę. Przed wyjściem jeszcze raz się odwróciła, uśmiech zniknął z jej twarzy. - Nie lekceważę tej sprawy, nie próbuję pomniejszyć jej znaczenia, Rose,

naprawdę. Ale może dobrze się stało, że wszystko osiągnie wreszcie punkt kulminacyjny. Najwyższy czas. Pomyśl, ile już spędziłaś lat, nie wiedząc nawet, co naprawdę czujesz do tego człowieka!

Po wyjściu Effie z kuchni Rose wstała i zgasiła radio. Dokuczał jej ból głowy, nogi miała jak z ołowiu. Położyła się, odpocznę trochę, pomyślała. Może potem zobaczę wszystko w jaśniejszym świetle. Szła już na górę, kiedy zadzwonił telefon. Zawróciła i podniosła słuchawkę:

- Słucham?

- Dzień dobry, czy mógłbym mówić z Dariną? - Głos był młody, brzmiał w nim obcy akcent i Rose domyśliła się natychmiast, z kim rozmawia. - Kto mówi? - zapytała udając, że nie domyśla się niczego.

- Bruno Flynn.

- Rozumiem - odparła i nabrała tchu. Ale spokój nie nadchodził. Wszystkie rady Effie, a nawet jej własne mądre myśli uleciały gdzieś daleko, najeżyła się wewnątrz, poczuła nagle, że traci panowanie nad sobą. Wiedziała, że to bez sensu, ale nic nie mogła poradzić: nienawidziła tego chłopca całym sercem, ze wszystkich sił. - Dariną nie może teraz podejść do telefonu - oświadczyła. - I proszę nie dzwonić do niej więcej.

Cisnęła słuchawkę na widełki i w tej samej chwili usłyszała skrzypnięcie schodów. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała Dariną. Dziewczyna stała na górze, biała na twarzy jak śnieg.

- Darino, ja... - zaczęła Rose, ale Dariną nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Zbiegła po schodach na dół, otworzyła szafkę, gdzie leżała książka telefoniczna, a potem gorączkowo poczęła ją kartkować, drąc przy tym w pośpiechu niektóre strony.

- Darino, przepraszam... - szepnęła Rose. - Wybacz mi...

- Odejdź, zostaw mnie! - W spojrzeniu dziewczyny kryło się tyle nienawiści, że Rose zdrętwiała.

- Nie rozumiesz... - zaczęła.

- Rozumiem doskonale. A teraz odejdź!

Nic tu nie wskóram, pomyślała Rose. Była zbyt zaszokowana, nawet żeby zapłakać, kiedy weszła po schodach na górę i stanęła w progu sypialni; nie zamknęła za sobą drzwi, starając się dosłyszeć, o czym mówi Darina. To stało się jakoś tak nagle. Co w nią wstąpiło? Jak mogła się w ten sposób zachować?

Słyszała, z jaką niecierpliwością Darina wykręca numer, a potem prosi do telefonu Brunona Flynna.

Boże, spraw, żeby go nie zastała, modliła się w duchu Rose, chociaż już dawno temu

zapomniała o istnieniu Boga. Ale potem, dla dobra Dariny i ze względu na siebie samą, zmieniła słowa modlitwy: „Spraw, żeby on tam był... Spraw, żeby wszystko potoczyło się jak należy. I żeby ona mi wybaczyła!”

Po chwili usłyszała głos Dariny, która wypowiedziała parę słów, a potem trzask odkładanej słuchawki. Rose poczuła, że opuszczają ją resztki sił. Darina wbiegła hałaśliwie na górę, weszła do swojej sypialni, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz. Potem rozległ się odgłos przesuwanych mebli.

Resztkami sił Rose zdołała oderwać się od ściany, do której przywarła plecami, i wyszła na podest.

- Darino? - szepnęła i zapukała delikatnie do drzwi. - Darino, kochanie, błagam... Czy mogę wejść? Nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnęła klamkę, ale - tak jak się tego spodziewała - drzwi były zamknięte. - Proszę cię, Darino - błagała z głową opartą o framugę i z zamkniętymi oczyma. Dałaby wiele, aby jej pragnienie mogło przeniknąć przez drewno drzwi i skłonić córkę do ich otwarcia. - Darino, czy możemy porozmawiać? Czy pozwolisz mi wyjaśnić to wszystko?

Nasłuchiwała czujnie, usiłując sobie wyobrazić, co się teraz dzieje w pokoju. Darina najwyraźniej stała przy szafie, wysuwając i wsuwając z powrotem szuflady.

Pakowała się!

- Darino! - krzyknęła Rose. Przerażona zaczęła walić pięściami o drzwi. - Darino! Przestań w tej chwili! Musimy porozmawiać! Natychmiast wyjdź z pokoju!

Nie doczekała się odpowiedzi, a odgłosy za drzwiami nie ucichły.

- O Boże! - Rose wsparła się plecami o ścianę i, kryjąc twarz w dłoniach, osunęła się na podłogę.

Drzwi pokoju Effie i Williego otworzyły się, na schody wyszedł Willie, jego okrągła twarz wyrażała głęboką troskę.

- Co się dzieje, Rose? Nie chciałbym się wtrącać, ale czy mógłbym w czymś pomóc?

Rose podniosła na niego wzrok.

- Och, Willie! Sprawy wymknęły mi się spod kontroli! I nawet nie wiem, jak do tego doszło! Naprawdę nie wiem!

- Co się tam dzieje? - Wskazał ręką na pokój Dariny.

- Chyba się pakuje. Podejrzewam, że chce uciec z domu!

- Uspokój się, Rose. Gdyby Darina chciała uciec z domu, zrobiłaby to w środku nocy, a nie tak, żeby wszyscy wiedzieli. Co między wami zaszło?

Nie odpowiedziała od razu, przez chwilę nasłuchiwała; dotychczasowe odgłosy w

pokoju córki zastąpiła złowieszcza cisza. Lekkie skrzypnięcie podłogi zdradziło jej, że Darina stoi tuż za drzwiami, także nasłuchując. Dała znak Williemu, aby pomógł jej wstać z podłogi, a potem zeszli oboje na dół, do kuchni.

Dopiero tam opowiedziała mu całą historię, nie pomijając żadnego szczegółu, a skończyła na tym, jak Darina usłyszała przypadkiem jej rozmowę z Brunonem przez telefon.

- I co mam teraz zrobić, Willie?

- A jak myślisz, dokąd ona pójdzie?

- Może do którejś z przyjaciółek. Ma ich mnóstwo.

- Najlepiej uczynisz, jeśli nie będziesz próbowała jej zatrzymać. Jest teraz zdenerwowana... postaw się w jej sytuacji. Masz prawo ją zatrzymać, to oczywiste, ale jeśli to uczynisz, Darina znienawidzi cię na dobre. Uspokoi się natomiast, jeśli ją puścisz. Wtedy będziecie mogły sobie porozmawiać, wyjaśnić wiele spraw. Gdybyś uważała, że to coś da, ja i Effie możemy się z nią skontaktować za parę dni.

- Nie, dziękuję, Willie. To bardzo miłe z twojej strony, ale muszę sobie jakoś poradzić z tym zmartwieniem sama. Boże, ależ sobie nawarzyłam piwa! - Łzy ponownie napłynęły J^o3 do oczu; potrząsnęła gniewnie głową, aby je odegnać. - Ale muszę się z tym uporać sama, jak powiedziałam, bo sama sobie jestem winna. W każdym razie dziękuję, że chcesz mi pomóc, Willie. I że mnie wysłuchałeś. Myślę, że masz rację. Najlepiej będzie, jeśli pozwolę jej odejść.

- Jestem tego pewien - odparł Willie. - Powinnaś się tylko upewnić, czy będzie bezpieczna. Masz wszelkie prawo, również dla własnego spokoju, zapytać ją, u której koleżanki zamieszka.

- Jesteś wspaniałą. Jak to się dzieje, że o tym, jak postępować z Dariną, wiedzą wszyscy prócz mnie, jej matki? - zapytała ze smutkiem Rose.

- To nieprawda. Jesteś dobrą matką, bardzo dobrą. Niedawno rozmawialiśmy o tym z Effie. Po prostu nie jesteśmy w to zaangażowani emocjonalnie równie mocno jak ty. Dariną nie może nas zranić tak jak ciebie i *vice versa*. - Rose uwielbiała słuchać Williego, lubiła słowa, jakich używał. Nieco uspokojona, miała się już do niego uśmiechnąć, ale w tej samej chwili usłyszała, że Darina schodzi na dół, dźwigając coś ciężkiego, zapewne bagaż. Rose podeszła do drzwi kuchni, a Willie ostrzegawczym gestem położył jej dłoń na ramieniu. - Uważaj!

Stała w holu, zagrządzając drogę do wyjścia.

- Wybierasz się dokądś, Darino? - zapytała, siłąc się na spokojny ton.

Dziewczyna opuściła nisko głowę.

- Wyprowadzam się stąd - odparła. Spodziewając się sprzeciwu ze strony matki, zacisnęła mocno dłonie na uchwycie plecaka.

- Muszę wiedzieć dokąd - oświadczyła Rose. - Mam prawo o to zapytać - dodała, gdy Darina zdumiona podniosła na nią wzrok.

- Ja... zatrzymam się u Sharon - mruknęła dziewczyna. Natychmiast umknęła spojrzeniem w bok i Rose domyśliła się, że córka kłamie. Postanowiła jednak udać, że jej uwierzyła.

- Jak długo zamierzasz u niej zostać? - zapytała. - Wzięłaś ze sobą mundurek?

- Nie... tak! - poprawiła się natychmiast Darina. - Jest w plecaku - dodała, zerkając czujnie na matkę kątem oka. Najwyraźniej nie potrafiła sobie wytłumaczyć tej nieoczekiwanej ustepliwości.

Rose czuła, jak krwawi jej serce.

- Masz pieniądze? - upewniła się.

- Trochę.

- Pożyczę ci.

- To zbyteczne - mruknęła Darina, ale nie ruszała się z miejsca, lecz czekała na Rose, która weszła do kuchni, wyjęła z torebki portmonetkę i wysypała całą jej zawartość na dłoń córki. Dziewczyna przyjęła pieniądze bez komentarza i dopiero po chwili, patrząc na nie podejrzliwie, zapytała: - O co tu chodzi?

- Przydadzą ci się - odparła Rose. Jeśli ona nie wyjdzie stąd natychmiast, cały świat rozsypie się w kawałki, przemknie jej przez głowę. Wiedziała, że nie wytrzyma tego dłużej. - Bądźmy w kontakcie, Darino - poprosiła. Odwróciła się i poczęła wchodzić na górę, siłąc się na spokojny, pełen godności krok. Cały czas czuła na plecach intensywny wzrok córki, udało jej się jednak zwalczyć pokusę i nie spojrzała za siebie.

W pokoju odczekała chwilę; dopiero kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych, podbiegła do okna i stanęła za koronkową firanką, skąd mogła niepostrzeżenie obserwować furtkę. Po paru sekundach ujrzała córkę. Darina splotła włosy w gruby warkocz, który tworzył długą, jasną smugę na plecaku. Miała na sobie purpurową kurtkę, kwiecistą minispódniczkę i czarne rajstopy. W czerwonych sandałkach jej długie nogi sprawiały wrażenie szczególnie delikatnych i smukłych. Wyglądała bardzo, bardzo młodo.

Przez chwilę mocowała się z zasuwką furtki, a potem spojrzała za siebie, podnosząc wzrok na okno w górze. Rose cofnęła się o krok, ale Darina już uporała się z zasuwką i ruszyła w stronę przystanku autobusowego, odległego o jakieś trzydzieści jardów. Rose obserwowała jej szczupłą postać, którą skryła niebawem ścianka przystanku; obserwowała

go, dopóki nie nadjechał autobus; potem przeniosła spojrzenie na konduktora, który wysiadł, aby pomóc dziewczynie wnieść plecak. Patrzyła na drzwi autobusu, dopóki Darina, z jasnym warkoczem wyglądającym na tle szkarłatnej kurtki jak duży wykrzyknik, nie znalazła się w środku.

Ale nawet wtedy Rose nie odwróciła oczu. Długo odprowadzała wzrokiem autobus, a kiedy wreszcie zniknął z pola jej widzenia, padła na łóżko, zwinęła się jak gąsienica i zapłakała, dając ujście długo powstrzymany, piekącym łzom.

* * *

Dorothy Cranshaw podeszła do kontuaru.

- Czym mogę służyć? - Wprawnym okiem oceniła stojącą przed nią dziewczynę: nie wyglądała na kogoś, kto chciałby się zatrzymać w hotelu. Dziewczyna była wysoka i szczupła, o blond włosach splecionych w długi warkocz, miała ze sobą plecak. Czyżby Niemka?

- Szukam kogoś. Nazywa się Bruno Flynn - powiedziała dziewczyna. - O ile wiem, jego stryj pracuje tutaj.

Dorothy ogarnęła ją uważnym spojrzeniem. W twarzy dziewczyny, w szeroko rozstawionych, lekko skośnych oczach uderzyło ją coś znajomego.

- Nie jestem pewna, gdzie jest Bruno - odparła. - Jeśli chodzi o Johna, powinien właśnie teraz wracać z Dublina, ale spodziewamy się go tu nie wcześniej niż za godzinę. - Podniosła słuchawkę. - Zadzwoń tam, zapytam, gdzie Bruno może teraz być. Jakie mam podać nazwisko?

- Jestem Darina O'Beirne.

Dorothy omal nie upuściła słuchawki, opanowała się jednak i zdołała jakoś wykręcić numer.

- Znam twoją matkę - powiedziała spokojnym głosem. - Ale myślałam, że wróciłyście do Dublina.

- Wróciłyśmy - odparła Darina. - Teraz przyjechałam tu autostopem. - Umilkła, uznając widocznie, że dalsze wyjaśnienia nie są konieczne. Dorothy nie nalegała. Cały czas rozważała w myślach, dlaczego rysy tej dziewczyny wydają się jej znajome. Z pewnością nie przypominały twarzy Rose, a jednak mogłaby przysiąc, że zna tę karnację skóry, te oczy... - Witaj, Mono - powiedziała, kiedy na drugim końcu przewodu podniesiono słuchawkę. - Co u ciebie? - Wysłuchiwała odpowiedzi, nie starając się nawet zrozumieć jej sensu, a potem zapytała o Brunona. - Rozumiem - odparła, kiedy Mona poinformowała ją, że chłopca nie ma w domu.

- Mogłabyś przekazać mu wiadomość? Poszukuje go dziewczyna, nazywa się Darina.
- Uświadomiła sobie raptem, że nie wiadomo dlaczego przemilczała nazwisko. – Będzie u mnie w hotelu - powiedziała. Spojrzała na Darinę pytającym wzrokiem, a kiedy ta skinęła głową, dodała: - Przynajmniej jakiś czas. Dziękuję, Mono. - Odłożyła słuchawkę.

- Bruno telefonował do stryja jakąś godzinę temu - zwróciła się do Dariny. - Widocznie też wraca z Dublina autostopem. Dzwonił z Monaghan, a więc powinien być wkrótce w domu. - Nie przestawała wpatrywać się w dziewczynę; nadal nie wiedziała, kogo jej przypomina, i to było bardzo męczące. - Możesz też poczekać w domku rybackim - zaproponowała. - Wytłumaczę ci dokładnie, jak tam dojść. Ale jeśli wolisz, możesz zostać tutaj.

- Bardzo dziękuję - odparła Darina. - Jeśli można, zaczekam tu.

- Może napiłabyś się kawy albo herbaty?

- Dziękuję, chętnie - powiedziała Darina, a Dorothy pomyślała, że Rose starannie wychowała swoją córkę; dziewczyna ma dobre maniere i wygląda na opanowaną, co w jej wieku nie jest cechą często spotykaną.

- Tędy, proszę. - Dorothy wyszła zza kontuaru i zaprowadziła Darinę do saloniku. Zawsze cieszył ją zdumiony wzrok, jakim goście reagowali na widok tego pokoju, a Darina nie stanowiła pod tym względem wyjątku. - Trochę dziwnie tu wygląda - powiedziała, jakby chciała się wytłumaczyć - ale tak już jest od lat. I wszystkim się to podoba. Nazywamy ten salonik jaskinią Ali Baby.

- Jest śliczny - szepnęła Darina. - Wspaniały!

- Dziękuję - ucieszyła się Dorothy. - Obejrzyj sobie wszystko, czuj się jak u siebie w domu. Ja tymczasem przygotuję coś do picia. Na co masz chęć: kawę czy herbatę?

- Poproszę o herbatę.

Dopiero w drodze do kuchni Dorothy uświadomiła sobie nagle, dlaczego twarz dziewczyny wydaje jej się znajoma. Wstrząśnięta, stanęła jak wryta i oparła się dłonią o ścianę, jakby miała upaść.

John!

Ta śliczna młoda dziewczyna to wierne odbicie Johna! Dlaczego nie zauważyła tego od razu? John jest jej ojcem! Dorothy rozejrzała się dokoła, aby się upewnić, że nikt nie dojrzał jej dziwnego zachowania, a potem weszła do kuchni.

Rozmyślając gorączkowo, przygotowywała herbatę. Kto jeszcze zna tę zdumiewającą prawdę? Z pewnością nie zna jej ta dziewczyna, nie wie też o niczym John. Z sobie tylko znanego powodu Rose ukrywała ten fakt przez wiele lat. A jednak wczoraj zjawiała się w

hotelu, nie uprzedzając o tym nikogo. Czy możliwe, że spodziewała się spotkać tu Johna? Może doszła do wniosku, że najwyższa pora powiedzieć mu o wszystkim?

Ale co ona, Dorothy, ma teraz zrobić? Jest nieprawdopodobne, aby na przykład George, widząc ich oboje razem, nie domyślił się, że John i Darina to ojciec i córka. A John? Czy on także się zorientuje?

Dziewczyna poszukuje Brunona. Z pewnością nie ma pojęcia, że oboje są stryjecznym rodzeństwem. Ta cała historia to niesamowity galimatias! A teraz dotarła tu, do „Willow House”!

Szykując tacę z herbatą, Dorothy postanowiła skontaktować się z Rose. Jeśli ma być uczciwa i lojalna, nie może działać w tajemnicy przed Rose. Zatelefonuje do niej do Dublina, powie jej, że odkryła prawdę i że Darina szuka Brunona, a John zjawi się lada chwila.

Dalsze decyzje niech już podejmuje Rose.

- Proszę bardzo, kochanie - powiedziała, wchodząc do saloniku. Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał naturalnie.

Dziewczyna trzymała w ręku jedną z porcelanowych pasterek i oglądała figurkę z nie skrywanym zachwytem.

- Piękne rzeczy, prawdziwe skarby - szepnęła, odstawiając ostrożnie drobiazg na miejsce nad kominkiem. – Teraz już wiem, skąd ta nazwa: jaskinia Ali Baby.

- Ale trzeba nie lada wysiłku, aby to wszystko odkurzyć - odparła Dorothy, odstawiając tacę. - A teraz, kochanie, jeśli pozwolisz, zostawię cię samą. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać, dobrze?

- Dziękuję. Jest pani bardzo miła.

- Nie ma o czym mówić. Czuj się jak u siebie w domu. Zobaczymy się później.

Wyszła do holu, odetchnęła głęboko, po czym wykręciła numer do Sundarbans. Boże, spraw, aby odebrał pułkownik, a nie Daphne, modliła się w duchu, czekając.

- Dzień dobry, Gus! - zawołała po chwili; omal się nie uśmiechnęła, uradowana, że słuchawkę podniósł właśnie on. - Tu Dorothy. Posłuchaj, muszę się skontaktować z Rose, a nie znam jej numeru w Dublinie. Mógłbyś mi go podać?... Tak... tak... - zanotowała numer na kartce papieru. - Jestem ci bardzo wdzięczna. U was wszystko w porządku? - Przez chwilę słuchała odpowiedzi. - To nic, nie przejmuj się, Gus. Takie jest życie. Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy, prawda?

Patrzyła długo na kartkę, zastanawiając się, co powiedzieć Rose, wreszcie doszła do wniosku, że najlepiej nie bawić się w owijanie sprawy w bawełnę.

- Słucham?

- Dzień dobry, Rose, tu Dorothy Cranshaw.
- Witaj, Dorothy. - Rose sprawiała wrażenie zaskoczonej, jej głos był zmieniony.
- Jak się czujesz, moja droga? Masz dziwny głos, jakbyś była przeziębiona.
- Nie, nic mi nie jest, Dorothy. Po prostu przemęczenie, nic więcej.
- Dzwonię w ważnej sprawie, Rose. Nie wiem, jak ci to powiedzieć... - Umilkła na

chwilę, a potem wyrzuciła z siebie: - Darina jest u mnie.

- Co takiego?
- Zjawiła się parę minut temu. Rose... ona szuka Brunona Flynna!

W słuchawce zaległa cisza. Dorothy rozprostowała ramiona.

- Wybacz, moja droga, może pomyślisz, że wścibiam nos w nie swoje sprawy, ale... widzisz... lada chwila przyjedzie tu John. - Nasłuchiwała przez moment, ale nadal odpowiadały jej wyłącznie drobne zakłócenia na linii, charakterystyczne dla rozmów międzymiastowych. - Wydawało mi się, że powinnam cię o tym powiadomić - dodała. - O, twoim zdaniem, należy teraz zrobić?

- Ja... bardzo mi przykro.

- Rose, kochanie, nie chcę, aby ci było przykro. Nie masz powodu przepraszać, bo i za co? Po prostu nie jestem pewna, jak postąpić. Ona siedzi teraz w saloniku, czeka.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nikt. A ja nie powiem nikomu. Ale... - Dorothy zaczerpnęła głęboko tchu; wiedziała, że musi to wreszcie wykrztusić. - Kiedy John ją zobaczy - szepnęła - domyśli się od razu. Możliwe, że i ona zorientuje się, jak stój; sprawy. I pewnie George także. Darina i John są do siebie podobni jak dwie krople wody!

W słuchawce znowu zaległa cisza przerywana drobnymi trzaskami, aż wreszcie Rose odezwała się słabym głosem:

- Dorothy, ja naprawdę nie wiem, co robić. Jestem potwornie zmęczona... Wszystko potoczyło się tak szybko, tak nagle. Wczoraj...

- Wiem, kochanie, wiem - szepnęła Dorothy kojącym głosem. - Straszny mętlik. Musisz utrzymać wszystko w tajemnicy, dopóki będziesz uważała, że tak trzeba. Czy twoi rodzice znają prawdę?

- Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu, ale czuję, że tak.

- A więc jak, twoim zdaniem, powinnam się zachować wobec Dariny? - zapytała łagodnie Dorothy. - Nit chcę na ciebie naciskać, ale czas nie stoi w miejscu. Jeszcze trochę i znajdą się tu wszyscy razem. Dobrze przynajmniej, że Derek zjawi się dopiero za dwa dni. To już coś.

- Jadę do ciebie!

Jej nagła decyzja uradowała Dorothy.

- Myślę, że tak będzie najlepiej - odparła. - Możesz na nas liczyć, na mnie i George'a. Wszyscy możecie na nas liczyć - dodała; zdawała sobie sprawę, jaki to będzie szok nie tylko dla Dariny, ale także dla Johna.

- Przykro mi, że to wszystko spadło akurat na ciebie, Dorothy.

- Daj spokój! Jak szybko możesz tu przyjechać?

- Jest chyba za późno, aby wynająć samochód, ale zrobię, co się da.

- Szkoda, że John już jest w drodze - mruknęła Dorothy, która dostrzegła przewrotny komizm sytuacji. - Mógłby cię przywieźć.

Ale Rose była zbyt roztrzęsiona, aby zareagować na ten żart.

- Przyjadę tak szybko, jak tylko to możliwe - powtórzyła.

- Pamiętaj, że nie ty pierwsza znalazłaś się w takim położeniu. I Darina też nie jest wyjątkiem. To jeszcze nie koniec świata.

- Według mnie tak!

- Wcale nie. Przestań w ogóle rozumować w ten sposób. Niewykluczone, że właśnie rozpoczyna się dla ciebie nowe życie, bardziej uczciwe. A ze swojej córki możesz być naprawdę dumna. To wspaniała dziewczyna.

- Dorothy, nie wiem, jak ci się odwdzięczę!

- Bzdura! A teraz odłóż słuchawkę, zrób się na bóstwo i przyjeżdżaj jak najprędzej. Spróbuję czymś zająć Darinę, tak żeby nie zobaczyła się z Johnem, przynajmniej dopóki nie ustalisz planu działania. - Pewna myśl wpadła jej nagle do głowy. - Nie masz nic przeciw temu, żeby poszła na spacer z Brunonem, jeśli on pojawi się tu przed tobą?

- I tak byś jej nie powstrzymała. Jest bardzo rezolutna i zawsze stara się dopiąć celu.

- Zobaczymy, jak się wszystko potoczy. W każdym razie byłoby to chyba mniejsze zło. Nie denerwuj się, Rose, czekam na ciebie. Szerokiej drogi!

* * *

Rose patrzyła na profil Williego, niezbyt wyraźny w nikłym blasku światełek deski rozdzielczej. Kochany, niezastąpiony Willie, pomyślała. Kiedy powtórzyła mu treść rozmowy z Dorothy, zaproponował natychmiast, że zawiezie ją do Monaghan. Nie zważał przy tym na jej protesty. Poczekali na Effie, a kiedy wróciła z pracy do domu, wyruszyli w drogę. Effie chciała pojechać razem z nimi, ale w końcu zmieniła zdanie; musiała wstać nazajutrz skoro świt, gdyż w firmie trwał właśnie przegląd ksiąg.

Zorientowała się, że dojeżdżają już do Cootehill. Za dziesięć, piętnaście minut znajdują się w „Willow House”. Czowała ucisk w dołku. Co się tam teraz dzieje? Czy John czeka na nią? Oczyma wyobraźni widziała go, jak siedzi na jednej z tych wykwintnych kanap w baśniowym pokoju Dorothy, pełnym skarbów.

A gdzie są Bruno i Darina? Co teraz robią? Co się jeszcze wydarzy w ciągu najbliższej godziny?

- Denerwujesz się? - zapytał Willie, jakby czytał w jej myślach.

- Owszem. Nie uważasz, że powinniśmy zatelefonować, uprzedzić ich, że już dojeżdżamy?

- Po co? Przecież wiedzą, że jesteś w drodze, spodziewają się nas, czyż nie?

- W każdym razie spodziewa się nas Dorothy. I chyba George. Nie wiem, kto jeszcze. Jej głos załamał się podejrzenie. Willie pogłaskał ją kojącym gestem po kolanie.

- Uspokój się. To tylko ludzie, jak i my. Nikt nie chce wyrządzić ci krzywdy, nikt do ciebie nie strzeli.

- W pewnym sensie nawet bym chciała, aby tak się stało.

- Daj spokój, dziewczyno, weź się w garść. Może to istotnie będzie sensacja, ale krótkotrwała. Potem wszystko wróci do normy. Za rok o tej porze będziesz się dziwiła, dlaczego tak bardzo się przejmowałaś.

- Jak ja ci się odwdzięczę za twoją dobroć, Willie?

- Już mi się odwdzięczyłaś. - Zatrzymał samochód przed skrzyżowaniem dróg. - Którędy teraz?

- Na prawo - powiedziała. - Co miałaś na myśli, mówiąc, że już ci się odwdzięczyłam?

- Dzięki tobie jestem z Effie - odparł po prostu.

- Nie mam z tym nic wspólnego, Willie.

- Owszem, masz. Gdybyś przez te wszystkie lata nie była dla niej taka dobra, Effie już dawno temu wróciłaby do Offaly, a ja nie mógłbym jej poznać. Może nawet nie byłoby jej już wśród żywych - mruknął cicho, raczej do siebie samego niż do niej.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Rose czuła, jak narastają w niej emocje, ogarniał ją lęk i zarazem nerwowe podniecenie, aż wreszcie targnęły nią pierwsze mdłości.

- Willie, stań!... - jęknęła. - Tylko na chwilę, szybko!

Skręcił na pobocze i zatrzymał samochód, w samą porę, aby zdążyła otworzyć drzwiczki. Wymiotowała gwałtownie na trawę, dopóki nie opróżniła żołądka, a po twarzy nie spływały jej łzy ulgi. Potem oparła się o chłodną karoserię auta i wystawiła twarz na rześki

podmuchał wiatru. Willie stanął przy niej, objął ją ramieniem; nie przyszło mu to łatwo, gdyż był niższy od niej.

- I co, już lepiej? Teraz już dobrze? Kiwnęła głową.

- Dziękuję. I przepraszam - wyszeptwała.

- Rose O'Beirne, jeśli jeszcze raz powiesz „dziękuję” albo „przepraszam”, złoję ci skórę pasem - odparł. - Może chciałabyś zatrzymać się gdzieś, napić się, zanim staniemy oko w oko z nową sytuacją?

- Nie, już mi lepiej, naprawdę. Dużo lepiej.

Rzeczywiście, ku własnemu zaskoczeniu musiała przyznać w duchu, że czuje się dobrze. Kiedy zajmowała znowu swoje miejsce w aucie, czuła się wprawdzie osłabiona, ale zamęt w głowie ustąpił wreszcie. Chusteczką otarła pot z czoła, a potem skropiła perfumami szyję i płatki uszu oraz odświeżyła sobie oddech za pomocą flakonika Gold Spot, który jak zwykle nosiła w torebce. Spojrzała z uśmiechem na Williego.

- Jestem gotowa.

- Ja też, Rose.

Usiadła wygodniej, odchyliła głowę do tyłu. Co będzie, to będzie, pomyślała. Przywołała na pamięć słowa, którymi pożegnała ją Effie: „Najważniejsze, Rose, to być sobą. Jeśli o tym nie zapomnisz, wszystko się w końcu ułoży”.

Od tej pory musi postępować rozsądnie, dla swojego dobra.

* * *

Dorothy zachowuje się jakoś dziwnie, inaczej niż zwykle, pomyślał John. Zwrócił na to uwagę natychmiast po powrocie. George też jest jakby inny... Spojrzał na jego twarz, pochyloną nad dokumentami przywiezionymi z Dublina. George czytał je w głębokim skupieniu, zdawał się zaprzątnięty wyłącznie lekturą, ale John wyczuwał w nim z trudem tłumione zdenerwowanie.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

George miał teraz minę ucznia, który coś przeszkrobał.

- A dlaczego miałoby być nie w porządku?

- Nieważne - mruknął John. - Tak tylko zapytałem. Siedzieli w niewielkim pomieszczeniu na zapleczu, tuż za recepcją. John wstał, przeciągnął się, aby rozruszać zastygłe mięśnie. A jednak coś jest nie tak, pomyślał patrząc na pochyloną głowę przyjaciela. Zazwyczaj twarz George'a stanowiła otwartą księgę, z której można było wyczytać wszystkie jego myśli, dziś jednak zachowywał się osobliwie, niczym winowajca unikał jego wzroku.

- Jesteś pewien, że wszystko w porządku? - zapytał jeszcze raz.

George spojrział na niego z nieszczęśliwą miną. Wreszcie wstał i zakręcił pióro.

- Lepiej idź do Dorothy, porozmawiaj z nią - poradził. - Jest teraz chyba w kuchni.

- Dlaczego mam rozmawiać z Dorothy? - zaniepokoił się John.

Ale George już skierował się do drzwi i John zrozumiał, że nie pozostaje mu nic innego, jak pójść za nim.

W holu zatrzymali ich turyści z Walii - z samego rana wybierali się na polowanie i chcieli uzgodnić, jaki zabrać sprzęt - a potem para Francuzów, których interesowały warunki ubezpieczenia w wypadku przekroczenia samochodem granicy z Irlandią Północną.

Kiedy wreszcie weszli do kuchni, Dorothy przygotowywała śniadanie na następny dzień. W dużej misce piętrzyły się płatki owsiane, pośrodku stołu wznosiła się niewielka piramida z pomarańczy, gotowych już, aby wycisnąć z nich sok, a Dorothy drylowała suszone śliwki.

- Przyszliście mnie odwiedzić? - zapytała na ich widok. - Może się napijecie? - Otarła dłonie o fartuch i podeszła do pieca, który nadal spełniał w kuchni swoją rolę, mimo zainstalowanych tuż obok nowocześniejszych kuchenek, gazowej i elektrycznej.

- Dziękuję - odparł George. - Słuchaj, Dorothy... - mruknął. - Przyprowadziłem Johna na pogawędkę. John wodził po nich oczyma.

- O co chodzi? Przecież widzę, że coś tu nie gra.

- Siadaj, John - poprosiła Dorothy. - Będzie chyba lepiej, jeśli zrobię ci filiżankę herbaty.

- Nie chcę siadać i nie chcę herbaty! Powiedz mi wreszcie, Dorothy, o co chodzi! - Kiedy jednak ona i George usiedli przy stole, uczynił to samo. Poczuł, że narasta w nim lęk. - Czy z Brunonem wszystko w porządku? - zapytał.

- W jak najlepszym - odparła Dorothy. - Widzisz... - dodała po chwili. - Masz rację, wyłonił się pewien problem. Nie chciałam ci o tym mówić, bo to nie moja sprawa. Ale jest ktoś, kto właśnie w tej chwili jedzie tu na spotkanie z tobą. I może się zjawić w każdej chwili.

- Kto? Czy to ma coś wspólnego z Brunonem? - Znowu powiódł wzrokiem po nich obojgu, ale od George'a, który wpatrywał się w swoje dłonie, nie mógł teraz oczekiwać żadnej pomocy. Spojrzał ponownie na Dorothy. - Proszę cię, nie zniosę tego dłużej! Powiedz wreszcie!

- To Rose - wyjaśniła łagodnie. - Rose O'Beirne Moffat. Jedzie tu, bo chce się z tobą spotkać.

John patrzył oniemiały na zatroskaną, skupioną twarz Dorothy.

- Rose? Jedzie tutaj? Dziś?

Kiwnęła głową.

- Tak. Jak już mówiłam, może się zjawić w każdej chwili.

Sądząc po ich poważnych minach, Dorothy i George zdawali sobie sprawę, że ta niespodziewana wizyta ma duże znaczenie. Ale w jaki sposób dowiedzieli się o nim i o Rose, o tym, co działo się przed wieloma laty? Bał się nawet o to zapytać.

Czuł, jak odżywa w nim płomień dawnego podniecenia. Rose. Rose jedzie do niego. Chce się z nim zobaczyć. Spotkają się znowu po tak długim czasie!

Radość zgasła w jednej chwili, kiedy spojrzął na zatroskane twarze Dorothy i George'a. Rzadko puszczał wodze fantazji, teraz jednak zaczął przeczuwać jakieś nieszczęście. Może Rose znalazła się w tarapatkach? Może umiera, ma raka i postanowiła rozmówić się z nim przed śmiercią? Dlatego jedzie na spotkanie z nim.

- Czy powiedziała, dlaczego przyjeżdża? - odzyskał wreszcie głos. - To znaczy... dlaczego akurat teraz?

- Myślę, że ona sama powinna ci o tym powiedzieć. To sprawa między wami - odparła Dorothy.

W kuchni zapadła pełna napięcia cisza, przerywana jedynie sporadycznym syczeniem pieca i monotonnym odgłosem wody kapiącej ze starego miedzianego karu. John czuł na sobie uważne spojrzenie Dorothy; tak jakby spodziewała się, że mógłby uczynić coś zbyt pochopnie, w sposób nietypowy dla siebie.

- Od dawna wiesz? - zapytał cicho.

- O czym?

- Że Rose i ja... że my...

- Dowiedziałam się całkiem niedawno - powiedziała. - Właściwie dopiero dzisiaj. Do dziś nie miałam c tym zielonego pojęcia. Mogę ci teraz powiedzieć, że Rose była tutaj. Ona i... - Urwała nagle, po czym dodała pośpiesznie: - Odwiedziła swoich rodziców w Sundarbans.

- Czy pytała o mnie?

- Nie. Ale kiedy się nad tym zastanawiam, mam wrażenie, że przyjechała tu wtedy dla ciebie.

- Czy teraz jest w Sundarbans?

- Nie, jedzie z Dublina. Posłuchaj, John, wolałabym nie mówić nic więcej. Naprawdę, zrozum mnie... napijesz się sherry? Myślę, że kieliszek przyda się nam wszystkim. George? - Podeszła do barku i wyjęła trzy kieliszki.

Nie zdążyła ich jednak napełnić. Zaledwie otworzyła butelkę, kiedy okno kuchni

rozjaśniły światła reflektorów.

Przez chwilę nasłuchiwali w skupieniu. Statecznie mógł to być ktokolwiek... któryś z gości hotelowych, wracający z pubu, jakiś znajomy...

Drgnęli gwałtownie na dźwięk dzwonka w retencji.

* * *

Rose nakryła dzwonek dłonią, tłumiąc jego donośny dźwięk. Wydał się jej zbyt głośny i drażniący.

Willie uparł się, że wejdzie razem z nią, gdyż może się okazać potrzebny. I chociaż stał na uboczu, przy drzwiach, jakby w cieniu, żeby nie rzucać się w oczy, Rose żałowała teraz, że zgodziła się na jego obecność. Nie chciała go jednak zranić prosząc, aby wyszedł.

Ale kiedy trąciła dzwonek, wszyscy odplynęli nagle z jej umysłu, nie pozostawiając po sobie nawet śladu. Czas jakby utracił wszelkie znaczenie, kiedy tak stała i czekała; nie wiedziała nawet, czy upłynęło dopiero dziesięć sekund czy dziesięć godzin, wydawało jej się, że wspina się na palce, płonąc z niecierpliwości.

Gdzieś w głębi domu rozległ się trzask otwieranych drzwi.

Odgłos kroków.

Powolne kroki mężczyzny.

Spojrzała w stronę, z której je słyszała, a parę sekund później ujrzała go tam. Był starszy, nie tak szczupły jak dawniej, ale bez wątplenia to jego widziała przed sobą.

Zatrzymał się nagle i w tej samej chwili w głowie Rose zapanowała pustka. Kołatała się w niej tylko jedna myśl:

Oto on, John Flynn!

* * *

John patrzył oniemiały.

Rose O'Beirne Moffat była uosobieniem doskonałości.

Stała przed nim jak dawniej - i, jak dawniej - doskonała.

Nie był w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Nie pragnął nawet dotknąć jej ani wziąć w ramiona. Chciał po prostu nasycić nią wzrok. Jej lśniące włosy były teraz krótko ostrzyżone, ubierała się poważniej i bardziej elegancko niż dawniej, ale poza tym wyglądała dokładnie tak samo, jak to sobie wyobrażał przez długie lata.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z obecności kogoś trzeciego; niskiego, korpulentnego mężczyzny, który stał przy drzwiach. Czyżby był to przyjaciel Rose? Może nawet jej mąż? Ta myśl pomogła mu pokonać paraliż. Z wyciągniętą ręką postąpił do przodu.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparła. Zamiast ująć jego dłoń, nadal wpatrywała się w niego, jakby nie dowierzając własnym oczom. Poczuł jej wzrok na policzku, tam gdzie znajdowała się zagojona już od dawna, lecz nadal widoczna blizna. Instynktownie zakrył ją dłonią, a Rose drgnęła, wyrwana z transu. - Co ci się stało? Czy to?...

- Tak. Oparzyłem się wtedy, na statku. Chyba ci o tym pisałem. - Zmusił się do opuszczenia ręki.

W blasku małej lampy z zielonym abażurem, stojącej na kontuarze, jej twarz wydawała się nienaturalnie blada. Może jego przypuszczenia nie były wcale tak bardzo odległe od prawdy, może Rose jest chora? Ta myśl tylko pogłębiła jego niepokój. Stała tak blisko, że czuł intensywną woń perfum, ale także dobrze mu znany zapach jej ciała.

- Dawno się nie widzieliśmy - mruknął i natychmiast zganił siebie w duchu za tę mało odkrywczą uwagę.

- Tak.

Mężczyzna stojący w tyle, przy drzwiach, zakasłał taktownie i postąpił krok do przodu.

- Rose, jeśli będę ci potrzebny, czekam w samochodzie - powiedział.

Odwróciła się do niego.

- Och, Willie, pozwól, że was zapoznam. To John Flynn... A to mój przyjaciel, który przywiózł mnie tutaj, Willie Brehony. Nie mam samochodu - wyjaśniła.

- Witam, panie Brehony - powiedział John z zawodową uprzejmością. - Proszę nie wychodzić, nie ma potrzeby. Mógłbym panu zaproponować coś do picia? - Mówiąc, bacznie obserwował mężczyznę. Rose nazwała go przyjacielem, nie widać w nim było żadnej agresji, a nawet wprost przeciwnie: ten człowiek sprawiał wrażenie zażenowanego, tak jakby nie był pewien, czy w ogóle powinien tu teraz przebywać. - Na co miałby pan ochotę? - zapytał John, mimo woli zerkając raz po raz na Rose.

- Nie, nie, dziękuję! - zawołał Willie. - Pójdę już, posiedzę sobie w samochodzie. Tak będzie lepiej, naprawdę. Odetchnę trochę świeżym powietrzem i...

- Cóż, jeśli pan tak woli... - mruknął John.

- Willie, daj się namówić - poprosiła Rose. - Masz za sobą męczący dzień. Jeden drink dobrze ci zrobi.

- Właśnie, musi się pan napić - odezwał się znowu John. Uświadomił sobie, że w miarę jak Willie cofa się krok za krokiem w stronę wyjścia, on i Rose postępują za nim, jakby chcieli osaczyć tego biedaka. Sytuacja stawała się absurdalna: oto oni dwoje zdawali się robić

wszystko, aby odwlec moment, kiedy zostaną sami, bez świadka!

- Nie, dziękuję, naprawdę. - Willie stał już w drzwiach. - Wolałbym posiedzieć w samochodzie, proszę mi wierzyć.

- Jest pan pewien? - John nie dawał za wygraną. - Mamy dziś bardzo chłodny wieczór.

- Nie szkodzi. - Willie otworzył drzwi i wymknął się na zewnątrz, oni zaś zostali w dyskretnie oświetlonym holu, czując, jak narasta między nimi napięcie. W milczeniu wpatrywali się w szklane drzwi, za którymi zniknął Willie. Dopiero po chwili John, nie mogąc dłużej znieść tego milczenia i zwracając się do odbicia Rose w ciemnej szybie drzwi, zapytał ochrypłym głosem:

- Chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Tak - szepnęła. - Czy udałoby się znaleźć jakieś miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać?

- Tędy. - Odwrócił się i poprowadził ją do saloniku.

W ciepłym, czerwonym blasku dogasających w kominku płomieni pokój nie przypominał już mieniącego się różnorodnością bazaru, lecz raczej magazyn iluzjonisty, pełen połyskliwych, tajemniczych przedmiotów, które oświetlone przez niewielkie lampki lśnią i migoczą, lecz nie zdradzają swych kształtów.

John nie dostrzegał tego wszystkiego. Wskazał Rose miejsce na kanapie, sam zaś usiadł na krześle naprzeciw niej i chłonął ją wzrokiem, modląc się w duchu, aby nie musiał odezwać się natychmiast; był pewien, że w tej chwili nie zdołałby wykrztusić nawet jednego sensownego słowa.

Ona również milczała i ta przedłużająca się cisza potęgowała napięcie. Mimo to John zdołał zachować maskę spokoju; siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i czekał.

Idąc za jego przykładem, przybrała identyczną pozę, ale po chwili opuściła głowę i odezwała się cichym szeptem:

- Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego i trudnego zarazem, John. - Na ułamek sekundy podniosła wzrok, a on odczuł to przelotne spojrzenie jak smagnięcie biczem.

- Nie wiem... nie wiem, jak to zrobić - dodała. Znowu wpatrywała się w podłogę.

- Czy to ma jakiś związek z faktem, że przed laty przestałaś do mnie pisywać? - zapytał z trudem.

- W pewnym sensie... tak, Ale sprawa jest bardziej skomplikowana, niż przypuszczasz.

- Dlaczego to zrobiłaś, Rose? - Tłumione od dłuższego czasu pragnienie i lęk znalazły w nim wreszcie ujście w postaci wybuchu gniewu. - Dlaczego, Rose? Czy uczyniłem ci coś złego? Gdybyś mi chociaż powiedziała wtedy, o co chodzi! Może bym to zaakceptował,

może... Gdybyś mi powiedziała! - Nachylił się ku niej. - Dlaczego, na miłość boską? Kochałem cię, a i ty zachowywałaś się tak, jakbyś mnie kochała. Co więc stanęło na przeszkodzie? Nie przyszło ci na myśl, że zasługuję przynajmniej na jakieś wyjaśnienie?

Wpatrywała się w niego bez słowa, jakby zakłopotana, co tym bardziej spotęgowało jego gniew.

- Trudno to sobie wyobrazić! Tyle listów... i wszystkie zwróciłaś, nie czytając ich nawet! Czy wiesz, jak się czułem? Gdybym przynajmniej wiedział...

- John, pozwól mi wyjaśnić... Dostałam wtedy anoni...

- A ja sądziłem, że łączy nas miłość! - przerwał jej. Jego głos drżał z wściekłości. - Pisałem list za listem... a tu nic! Żadnej odpowiedzi! Jak mogłaś, Rose! Poniżyłem się nawet przed twoją babcią, oddając jej tamtą bransoletkę. Poprosiłem, aby ci ją odesłała jako znak. Pamiętasz chyba naszą umowę? Sama przecież opowiedziałaś mi tę historię o królowej Elżbiecie i Esseksie. I po co były te wielkie słowa?

Rose odzyskała wreszcie głos, przeszła do obrony.

- Nic nie wiedziałam! Dopiero niedawno, parę dni temu... naprawdę, John! Musisz mi uwierzyć! Babcia nie żyje i nigdy się już nie dowiem, dlaczego mi nie powiedziała...

- Niby dlaczego miałbym ci uwierzyć? Co za dureń ze mnie! Uwierzyłem ci przecież... wtedy ci wierzyłem! - Nie panując już nad tymi wszystkimi emocjami - gniewem, lękiem, miłością, nienawiścią i rozgoryczeniem - zerwał się na równe nogi.

Także Rose uniosła się, jakby postanowiła uciec, ale furia Johna opadła tak gwałtownie, jak dała o sobie znać.

- Przepraszam cię - powiedział i usiadł z powrotem. - Naprawdę bardzo mi przykro. Nie miałem prawa...

- Owszem, miałeś - zaproponowała. - Miałeś wszelkie prawo. Nawet nie wiesz, jak duże masz prawo...

- O czym ty mówisz?

Machinalnie zacisnęła dłonie na jedwabnych chwastach zdobiących kanapę, jakby chciała się obronić przed ciosem.

- Masz wszelkie prawo, John, bo... bo masz córkę.

Jej słowa nie trafiły do jego świadomości. Co ona mówi? Patrzył na nią zdezorientowany.

- Słucham?

- Masz... mamy córkę.

ROZDZIAŁ 15

- Wiedzieli o tym tylko moi rodzice... i moja przyjaciółka Effie, z którą mieszkam w Dublinie. Willie, który mnie tu przywiózł i czeka teraz w samochodzie, to jej mąż. On też oczywiście wiedział. A teraz jeszcze George i Dorothy - dodała szczerze Rose. - Domyślili się dzisiaj, kiedy zobaczyli Darinę.

- To znaczy, że wiedział o tym cały świat. Wiedzieli wszyscy prócz mnie! Jak mogłaś, Rose!

- Mówiłam ci już... a przynajmniej próbowałam powiedzieć, ale nie dałeś mi dojść do słowa. Dostałam anonimowy list... że poszedłeś do łóżka z inną dziewczyną. Z jakąś dziewczyną z Charlottetown.

- Co takiego?

- Z dziewczyną z Charlottetown - powtórzyła Rose. - Byłam wściekła. Potem znalazłam się w klasztorze...

- Ale ja nie miałem pojęcia, że jesteś w klasztorze. Nie napisałaś mi o tym. Kiedy dostałaś ten anonim? I z kim niby miałbym pójść do łóżka? Jak mogłaś w to uwierzyć? - Rozgoryczenie wywołane takim ogromem niesprawiedliwości sprawiło, że zaczął cały dygotać. Czym prędzej oparł się ręką o obramowanie kominka. - Nie dałaś mi nawet szansy, abym mógł się bronić!

- W takim razie powiedz teraz: poszedłeś wtedy do łóżka z tą dziewczyną?

- Byłaś jedyną dziewczyną, którą kochałem, Rose.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Daję ci najświętsze słowo honoru, że nie poszedłem z nikim do łóżka ani w Charlottetown, ani gdzie indziej.

- Ale ten list napisał Derek! - zawołała Rose.

- Powiedziałaś przecież, że to anonim... - zaczął John i nagle cała okropność jej słów dotarła do jego świadomości. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. - Derek tak napisał? - wyszeptał. - Skąd wiesz, że to on?

- List był wysłany z Irlandii, ale tu właśnie przebywał Derek w tym czasie. I tylko on mógł wiedzieć, co robiłeś w Charlottetown. To musiał być on.

- Mnóstwo ludzi z okolicy wiedziało, że byłem w Kanadzie.

Rose podniosła wyżej głowę ruchem, który dobrze pamiętał.

- Tak, ale nie widzieli cię tam. Po prostu czuję, że to Derek napisał ten list - odparła. -

Czułam to już wtedy i nadal jestem o tym przekonana.

Coś ścisnęło go w dołku, gniew wezbrał w nim gwałtowną falą, zacisnął pięści.

- Dowiem się jeszcze, jaka jest prawda o Dereku - szepnął. - Ale to wcale nie tłumaczy, dlaczego nie powiedziałaś mi o moim dziecku!

- Myślałam, że tak będzie najlepiej - odparła. - Błagam, John, musisz mi uwierzyć. - Bezradnie uniosła ręce i opuściła je z powrotem. - Przecież to było tak dawno temu... Naprawdę bardzo tego żałuję.

- A dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz? Czy wydarzyło się coś szczególnego?

Spojrzała na niego oczyma pełnymi bólu, który w innych okolicznościach mógłby uśmierzyć jego rozgoryczenie. Ale John nie otrząsnął się jeszcze z gniewu, jaki wzbudziła w nim wiadomość o bracie.

- No więc? - nalegał. - Dlaczego akurat teraz? I... czy dowiem się, gdzie ona jest?

- Poszła akurat na spacer - odparła cicho.

- Ale czy wydarzyło się coś szczególnego? Dlaczego wyznałaś mi prawdę właśnie dzisiaj?

Zamiast odpowiedzieć, Rose ukryła twarz w dłoniach i skuliła się na kanapie.

Patrzył na nią przez parę chwil i chociaż uważał, że jego gniew jest uzasadniony, czuł, jak uchodzi z niego z każdą sekundą. Rose sprawiała teraz wrażenie tak kruchej i bezradnej, że był gotów wybaczyć jej wszystko, puścić w niepamięć szesnaście ostatnich lat, usiąść przy niej i wziąć ją w ramiona.

I nagle przyszło olśnienie. To imię, które Rose wymieniła na początku rozmowy... Darina.

- O mój Boże! - wstrząśnięty opadł na krzesło stojące przy kominku.

Ciszę, jaka zapadła, przerywał jedynie tykający donośnie zegar z połączanego brązu, a potem warstwa węgla w kominku rozsypała się z trzaskiem. John odruchowo otworzył kratkę, aby dołożyć do ognia, ale zatrzymał się w pół ruchu, kiedy podniósł szufelkę i szczypce.

- Wyszła i jest teraz z Brunonem? - Jego słowa zabrzmiały nie jak pytanie, lecz stwierdzenie, a kiedy Rose przytaknęła ruchem głowy, wymowa tego faktu wstrząsnęła nim do głębi. - Co teraz zrobimy? - zapytał.

- Nie wiem - przyznała. - Effie, moja przyjaciółka, o której ci wspomniałam, uważa, że to nic strasznego. Że oboje z tego wyrosną.

- My nie wyrosliśmy. - Jego własny głos wydał mu się znużony i bardzo odległy. - Oczywiście mówię to w swoim imieniu, bo nie mogę w twoim. Ja z tego nie wyrosłem. - Nie przejmował się tym, że może robi z siebie durnia.

- Effie powiedziała też, że nawet jeśli to nie jest przelotne zauroczenie, to oni nie są krewnymi w pierwszej linii, lecz jedynie stryjecznym rodzeństwem. Dla Kościoła nie jest to jeszcze tragedia. Z pewnością udzieliliby im dyspensy na ślub, gdyby chcieli się pobrać. Tak twierdzi Effie.

- Doprawdy? Któż to jest ta Effie? Specjalistka od prawa kanonicznego? A może doktor psychologii?

- Nie mam ci za złe, że jesteś zdenerwowany, John, ale proszę, zostaw Effie w spokoju. Ona jest wspaniała, a Darina opiekuje się jak druga matka.

- Może dla Dariny byłoby lepiej, gdyby zamiast dwóch matek miała jedną matkę i jednego ojca.

- John, proszę cię!

- Czyżbym nie miał racji? Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś to mnie... i jej. Nawet jeśli pominiemy tu moją osobę... Czy Darinie nie przysługują żadne prawa? Czy wie w ogóle, że ma jakiegoś ojca? A może myśli, że jestem bezdusznym potworem, który porzucił i ją i jej matkę?

- Po prostu sądziłam, że tak będzie lepiej. Bałam się, nie wiedziałam, co robić - wyszeptała Rose.

- Zadałem ci pewne pytanie. Co moja córka wie na mój temat?

- Tylko tyle, że jesteś z Monaghan i że wyemigrowałeś do Kanady. - Jej ramiona zatrzęśły się nagle, z oczu trysnęły łzy, a John poczuł wyrzuty sumienia.

- Och, Rose, wybacz mi! - Zerwał się z krzesła, aby podbiec do niej, ale powstrzymał go tkwiący głęboko żal. - Zachowałem się okropnie, wiem o tym - wyznał cicho. - Zazwyczaj nie jestem tak sarkastyczny ani zgorzkniały.

- Nie masz za co przepraszać. To ja zachowałam się okropnie, bo zwątpiłam w ciebie. Powinam ci była powiedzieć o tamtym okropnym liście, a przede wszystkim - że jestem w ciąży...

- Ale miałaś wtedy zaledwie szesnaście lat. Nie obwiniaj się. Naprawdę żałuję, że powiedziałem ci te przykre słowa. Nie mogłaś przecież podejmować sama tak ważnych decyzji.

- Powinam była znać cię lepiej. Och, John, tak bardzo cię kochałam! Nie potrafię nawet wyrazić, jak straszliwie byłam przybita...

- A ile ja spędziłem bezsennych nocy! Leżałem i próbowałem dociec, co takiego zrobiłem, że wszystko potoczyło się w złym kierunku!

Oboje mówili szybko, nerwowo, wyrzucając z siebie to, co leżało im na sercu, a potem

umilkli.

- Tak bardzo mi przykro - szepnęła wreszcie Rose. - Czy możesz mi wybaczyć?

- Wybaczyć? - Zanim zdołał powiedzieć coś więcej, rozległo się ciche pukanie i w drzwiach stanęła Dorothy. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale oni już wrócili. Są teraz w kuchni i piją kakao, a ja postanowiłam, że zapytam cię teraz, co dalej. - Powiodła wzrokiem po nich obojgu. - Chyba mu powiedziałaś? - zwróciła się do Rose.

Rose kiwnęła głową.

- Gdzie ich znalazłaś, Dorothy?

- George pojechał samochodem i spotkał ich na drodze... szli właśnie do domku rybackiego.

John czuł, jak mocno bije mu serce. Jego córka! Jest teraz zaledwie o kilka metrów od niego i zaraz się spotkają! A jeśli ona go nienawidzi? Dorothy nadal stała na progu i patrzyła na nich wyczekująco.

- Więc co mam robić?

John spojrzał na Rose.

- Chciałbym spotkać się z nią bez świadków... To znaczy, oczywiście, z tobą, ale bez Brunona.

- Przysłać ją tu? - Dorothy zaczęła się już wycofywać z pokoju.

- Tak, proszę - odparła Rose. - A przy okazji... jak Darina zareagowała na wiadomość, że tu jestem? Dziś rano rozstałyśmy się w gniewie.

- Wyglądała na zaskoczoną, to wszystko. Przyślę ją tutaj. - Dorothy spojrzała na Johna. - Jesteś gotów na to spotkanie? Mogę je trochę odwlec, jeśli chcesz.

- Sam już nie wiem, czego chcę, Dorothy. Przykro mi, że wplątaliśmy cię w to wszystko, ciebie i George'a. To nie w porządku.

- Jeśli usłyszę te bzdury jeszcze raz, nie ręcę za siebie! Ostrzegam cię, Johnie Flynn!
- Wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

John i Rose nie patrzyli na siebie, całą swoją uwagę skierowali na wejście do saloniku. John, rozgorączkowany jak nigdy dotąd, usiłował sobie wyobrazić, jak ona wygląda, jak on ją powita i co ona odpowie.

Nie potrafił jeszcze w to uwierzyć: ma córkę! Powtarzał sobie w duchu raz po raz: Mam córkę!

Drzwi otworzyły się i oto ujrzał ją przed sobą.

Nie widział już ścian pokoju ani Rose, jedynie twarz córki. Wydawało mu się, jakby nagle odstąpiła przeszłość. Ujrzał w niej samego siebie i Rose, ale przede wszystkim Darinę.

Skończona piękność, pomyślał o dziewczynie.

Kilka razy zerknęła na niego, ale nie ruszała się od drzwi pokoju. Skierowała niepewny wzrok na matkę.

- Mam nadzieję, że nie przyjechałaś tu, aby zabrać mnie do domu, mamo?

- Nie, Darino. Chyba że ty tego chcesz.

Napięcie w jej głosie było tak wyraźne, że dziewczyna spojrzała na nią baczniej.

- Czy coś się stało? - zapytała. - Z Effie wszystko w porządku?

- Tak, w zupełnym porządku. Nie zauważyłaś Williego na parkingu? Przywiózł mnie tu.

- Willie jest tutaj? - zapytała Darina zdumiona. - Nie, ja... przyjechaliśmy boczną drogą. - Nie zdejmowała dłoni z klamki, czekała, co dalej.

John czuł się jak skamieniały. Nie był w stanie zrobić najmniejszego ruchu ani wypowiedzieć choćby słowa. Wpatrywał się w córkę, w jej śliczną twarzyczkę, w czerwone sandałki, we włosy połyskujące w świetle lampy. Usłyszał raczej, niż dostrzegł, że Rose wstaje i podchodzi do drzwi.

- Darino - powiedziała - wejdź tu na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

Dziewczyna zawahała się i przeniosła wzrok na Johna. Jej oczy rozszerzyły się nagle. Chyba odgadła prawdę, pomyślał.

Posłusznie podeszła do kanapy, z której przed chwilą wstała jej matka, a kiedy usiadła, Rose zajęła miejsce tuż obok niej i ujęła dłonie córki w swoje. Darina zerknęła na matkę, a potem utkwiała wzrok w Johnie. Jej spojrzenie oznaczało, że zaczęła się wszystkiego domyślać, był tego pewien.

- Darino - odezwała się Rose drżącym głosem. - Jest coś, o czym powinnam ci była powiedzieć dawno temu, ale sądziłam, że nie jesteś jeszcze na to gotowa. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Darina nadal wpatrywała się w Johna. Rose odetchnęła głęboko.

- Darino - szepnęła - oto twój ojciec. Ma na imię John.

Najwyraźniej chciała coś dodać, ale umilkła, a John zorientował się, że zrobiła to, gdyż nie chciała wymienić jego nazwiska. Obserwował twarz córki, na której odzwierciedlała się teraz cała gama uczuć.

Po krótkiej chwili milczenia Darina delikatnie uwolniła dłonie z uścisku matki i złożyła je na kolanach.

- Rozumiem - szepnęła bezbarwnym głosem.

Rose wyciągnęła do niej ręce, ale Darina czym prędzej cofnęła dłonie i znowu

spojrzała na Johna, który stał jak skamieniały pośrodku pokoju.

- Miło mi - powiedziała obojętnie. John zrobił parę kroków w jej stronę, ale dziewczyna przesunęła się dalej.

- Dla mnie to takie samo zaskoczenie jak dla ciebie - odezwał się ochryplym głosem. - Nie miałem pojęcia o twoim istnieniu i dopiero dziś, dziesięć minut temu...

- Rozumiem - powtórzyła. Zwróciła się do Rose. - Czy mogę już iść? - zapytała grzecznie. - Bruno czeka na mnie w kuchni.

Rose spojrzała na nią bezradnie.

- Nie chcesz zostać z nami parę minut, zapytać o... o cokolwiek?

- Nie, dziękuję, nie w tej chwili - odparła nadal tym swoim układnym tonem. - Może później. Mogę iść?

Rose kiwnęła głową, dziewczyna wstała z kanapy i wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Oboje odprowadzali ją wzrokiem. John zdawał sobie sprawę, że rozegrał to nie tak, jak należało, ale wszystko potoczyło się zbyt nagle... Może powinienem pobiec za nią, pomyślał, nakłonić ją do rozmowy? Spojrzał na Rose.

- To było okropne - szepnął. - Och, Rose, ona jest taka piękna, a ja nie wiem, co powiedzieć, jestem do głębi wstrząśnięty. Jak powinienem być postąpić? Czy nie byłoby lepiej przynajmniej poinformować ją dokładnie, kim jestem?

- Może... Ale widziałam przynajmniej, jak zareagowała na wiadomość o tobie, i sądzę, że powinnam oszczędzić jej na razie dalszych emocji. Dajmy Darinie trochę czasu. Jestem pewna, że niedługo zasypie nas pytaniami. W każdym razie... - oparła głowę na rękę - nie wątpię, że jeśli nawet sama się nie domyśli, Bruno otworzy jej oczy. - Podniosła wzrok. - John? - Zawahała się. - Błagam, musisz uwierzyć, że jest mi bardzo, ale to bardzo przykro. A najgorsza jest świadomość, że sprawy mogły ułożyć się inaczej. Może nie uwierzysz, ale przyjechałam tu w ostatnią sobotę, bo chciałam się z tobą zobaczyć... I nie zrobiłam tego dla Dariny, lecz dla siebie samej. Oczywiście, gdyby wszystko potoczyło się wtedy po mojej myśli, powiedziałabym ci o niej, możesz mi wierzyć.

Spojrzał na nią uważnie.

- Gdyby wszystko potoczyło się po twojej myśli? Co to znaczy?

- Chodziło mi o nas oboje, John. Musiałam wiedzieć, jak się mają sprawy między nami. Czułam, że i tak nie mam już nic do stracenia. W ostatnim czasie nie mogłam sobie znaleźć miejsca, na każdym kroku wpadało mi w uszy twoje imię. Tata mówił o tobie w związku z remontem Sundarbans, a w Dublinie spotkałam dawną przyjaciółkę, która zaczęła

o ciebie wypytywać i... - Jej głos załamał się nagle, zamilkła na chwilę, aby wziąć się w garść.
- W każdym razie - odezwała się znowu - byłam pod presją ostatnich wydarzeń. A teraz, z uwagi na Darinę, musimy się zastanowić, co robić dalej. Nawet gdyby...

- Nawet gdyby co? - John miał wrażenie, że od jej odpowiedzi będzie zależało teraz całe jego życie.

- Nawet gdybyśmy doszli do przekonania, że nic już nas nie łączy. - Przeszywała go wzrokiem. - Upłynęło tyle czasu, John. Byliśmy wtedy dziećmi. Mogłoby się okazać, że masz...

- O ile wiem, nadal jesteśmy dziećmi - przerwał jej. - Istnieje teraz, jak sądzę, wiele spraw dotyczących nas obojga. Powinienem może powiedzieć coś lub zrobić, żeby się wytłumaczyć. Jeszcze pół godziny temu nie wiedziałem, że znajdujesz się tak blisko mnie ani że mam córkę. Zbyt wiele tego wszystkiego jak na jeden raz. Ale myślę, że jest właśnie tak, jak mówisz: mamy... mam niewiele do stracenia, postępując uczciwie. Jednego możesz być pewna. Nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie., to znaczy... nie kochałem żadnej innej, bo kochałem ciebie... och, zaplątałem się... - Umilkł zakłopotany.

- Wcale nie, mówisz całkiem do rzeczy!

- A ty? Czy czujesz to samo? - Zdobył się z trudem na pytanie.

Z zapalem pokiwała głową.

- O, tak, John. Jak myślisz, dlaczego tu przyjechałam?

Chłonał wzrokiem jej piękną twarz, mokrą od łez. Wiedział, że powinien wziąć ją w ramiona, pocałować, przytulić, kochać się z nią, ale to, co się wydarzyło, było zbyt doniosłe, aby mógł uczynić coś tak pospolitego.

- I co teraz? - szepnął.

- Nie wiem. Ale na pewno musimy postępować ostrożnie i bez pośpiechu - odparła cicho.

Napięcie opadło całkiem nieoczekiwanie i John parsknął śmiechem.

- Może powinniśmy poradzić się tej Effie? - Jego śmiech okazał się zaraźliwy i po chwili Rose zachichotała.

- Myślę, że wypadałoby do niej zadzwonić.

- Och, Rose! - Dwoma krokami znalazł się przy niej, poderwał ją z kanapy i przygarnął do siebie. Rozplakała się znowu, a on również poczuł łzy spływające mu po twarzy. Nie płakał już od wielu lat, ale teraz nie czuł się wcale zawstydzony. Płakali razem. Były to łzy ulgi, radości i - po raz ostatni - smutku.

* * *

- W kuchni Dorothy usiłowała przekonać młodych, aby zostali jeszcze trochę.

- Poczekajcie chociaż parę minut - prosiła. - Zaraz przyjdzie tu twoja matka, Darino, jestem tego pewna. Zresztą na dworze jest już ciemno i zimno. George odwiezie was potem, dokąd tylko będziecie chcieli, prawda, George? - Zerknęła na męża, aby zobaczyć, jak przytakuje, a potem przeniosła wzrok z powrotem na dziewczynę. - Musisz poczekać, przynajmniej do czasu, aż załatwimy wam gdzieś nocleg. Nie możesz przecież włóczyć się po całej okolicy, nie mówiąc Rose, gdzie jesteś, chyba to rozumiesz? Zresztą niewykluczone, że matka będzie chciała zabrać cię z powrotem do Dublina.

- Dziękuję bardzo, pani Cranshaw - odparła Darina tak samo grzecznie jak poprzednio - ale to sprawa pomiędzy nią a mną. Zresztą ona wie, że jestem razem z Brunonem.

Dorothy patrzyła na nią badawczo, usiłując odczytać myśli skryte pod maską uprzejmości. Darina była bardzo blada i chociaż wyglądała na opanowaną, to jedna z jej po-wiek drgała nerwowo. Zaszła w niej pewna zmiana: do tej pory tolerowała wszystko, co dorośli z „Willow House” zaplanowali na jej użytek, teraz zaś było widoczne, że za wszelką cenę pragnie się stąd wydostać.

- Będę się nią opiekował, pani Cranshaw, przyrzekam - odezwał się Bruno.

Dorothy zauważyła już przedtem, że młodzieniec niemal nie odrywa oczu od Dariny. Westchnęła; oboje byli tak piękni i do tego stopnia nawzajem sobą oczarowani, że mogliby stanowić wzór ilustracji do jakiejś książki o romantycznej miłości.

- Co o tym sądzisz, George? - zapytała. - Czy mam iść po Rose i Johna? Ostatecznie - zwróciła się do Brunona - to twój stryj. Chwilowo znajdujesz się pod jego opieką i on też ma tu coś do powiedzenia. - Kątem oka dostrzegła, że Darina drgnęła na swoim krześle. Biedaczka, pomyślała, zbyt wiele nowin spadło na nią naraz.

- Pójdę po Rose i Johna - oświadczył George. Wstał i wyszedł z kuchni.

- Nie bój się - powiedziała Dorothy, kiedy jego kroki ucichły za drzwiami. - Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał, ale pamiętaj, że oboje jesteście niepełnoletni. Miałabym wyrzuty sumienia, gdybym wypuściła was stąd bez zgody rodziców. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie.

Nie odpowiedzieli. Bruno obserwował Darinę, ona zaś wpatrywała się w blat stołu, po którym machinalnie wodziła łyżeczką. Dorothy gorączkowo szukała tematu, by podtrzymać rozmowę, ale na próżno. Nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko siedzieć tak i patrzeć na młodych, dopóki nie zjawi się George razem z tamtymi.

- Twój tata wraca jutro? - zapytała Brunona.

Kiwnął głową.

- Tak. Jego samolot ląduje około drugiej. Ojciec powinien tu być późnym popołudniem.

Znowu zapadło milczenie. Reszta towarzystwa nie wracała i Dorothy uświadomiła sobie, że nie zniesie dłużej tego napięcia. Wstała.

- Muszę jeszcze zatelefonować - wyjaśniła. - To nie potrwa długo.

Telefon wisiał na ścianie spiżarni. Wykręcając numer swojej przyjaciółki w Londynie, Dorothy poczuła nagle na plecach powiew chłodnego powietrza. Spojrzała za siebie.

Tylne drzwi kuchni, wiodące na podwórze, były otwarte. Została sama.

* * *

Szron połyskiwał w blasku wiszącego wysoko na niebie księżycy, kiedy oboje mijali grządki z ziołami i późnymi warzywami w ogródku za domem, otworzyli furtkę i wyszli na pole, które rozpościerało się aż po odległy las. Po paru chwilach Darina uznała, że chociaż to ona zainicjowała ucieczkę z domu, z coraz większym trudem dotrzymuje Brunonowi kroku.

- Zwolnij trochę - poprosiła zadyszana. - Nie mam już siły!

Spełnił jej prośbę i ujął ją za rękę.

- Co się stało? - zapytał. - Dlaczego uciekamy? Poświata księżycy zabarwiła jego twarz na woskowy kolor. Musnęła ją dłonią.

- Powiem ci, kiedy znajdziemy jakieś miejsce, gdzie nikt nie będzie mógł nas znaleźć - odparła. Sandałki, które miała na nogach, nie nadawały się do tak forsownego marszu po bezdrożach. Kiedy doszli do połowy pola, przystanęła i zrzuciła je z nóg, nie przejmując się zamarznąłą ziemią, którą czuła przez cienkie rajstopy.

Zanim dotarli do lasu, rajstopy były już w strzępach, a Darina z trudem łąpała oddech. Bruno zaproponował, aby zatrzymali się na krótki odpoczynek, ona jednak sprzeciwiła się stanowczo.

- Jeszcze nie tu! Odpoczniemy tam, gdzie będziemy bezpieczni. Musi gdzieś być takie miejsce.

Zwolnili kroku. Nieco dalej Darina dostrzegła gąszcz wiecznie zielonych iglaków i z westchnieniem ulgi pociągnęła Brunona za sobą. Wytrwale przedzierała się w głąb zagajnika, rozchylając gałęzie i wiele z nich łamiąc z donośnym trzaskiem, który raz po raz rozrywał głuchą ciszę, aż wreszcie znaleźli się na małej polance, jakby właśnie dla nich stworzonej. Natychmiast, jakby się umówili, osunęli się na ziemię i objęli czule.

- Zostaniemy tu jakiś czas - powiedziała Darina. Usiadła wygodniej. - Niech to diabli - mruknęła. - Poraniłam sobie stopy!

- Może mi wreszcie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Bruno, nie wypuszczając jej z objęć.

- Myślę, że mi nie uwierzysz.

- Jasne, że uwierzę.

- Chodzi o twojego stryja.

- O stryja Johna? - Nie ukrywał zaskoczenia. - A co się stało? - Zaniepokojony usiadł, ale Darina znów przyciągnęła go do siebie.

- Wyjaśnię ci wszystko za chwilę, teraz nic nie mów. - Podała mu usta do pocałunku, a kiedy poczuła jego wargi, przywarła do niego zachłannie całym ciałem.

Jego również ogarnął płomień, ale w pewnej chwili oderwał się od niej zadyszany i odsunął na odległość ramienia.

- Powiedziałeś, że powinniśmy jeszcze z tym poczekać.

- To wcale nie znaczy, że nie możemy się całować.

- Jeśli będziesz mnie całować w taki sposób, nie ręczę za siebie. Nie wiem, czy będę mógł czekać.

- W takim razie obejmij mnie.

Przytulił ją do siebie, ale to jej nie wystarczyło.

- Mocniej, mocniej! - zawołała. - Proszę cię, Bruno, jeśli mnie kochasz, obejmij mnie mocniej!

- Kocham cię, Darino! - Przytulił ją tak mocno, że poczuła drżenie jego ramienia i mięśni nóg. Po chwili jednak wypuścił ją z objęć. - Proszę cię, Darino, powiedz wreszcie, o co chodzi?

- A nie przestaniesz mnie kochać - zapytała z naciskiem - jeśli powiem ci o sobie coś, co cię zaskoczy? Coś tak strasznego, że trudno ci będzie w to uwierzyć?

- Nie wyobrażam sobie, abyś mogła mi powiedzieć coś strasznego.

- A jednak jest coś, co nigdy nie przysłoby ci do głowy. Bo to przekracza wszelkie granice wyobraźni...

- Na Boga, Darino, nie dręcz mnie dłużej!

- Dobrze więc. Ale pamiętaj: sam mnie o to prosiłeś! - Darina usiadła, odsunęła się od niego, cofnęła w głąb zieleni. - Ty i ja - powiedziała drżącym z emocji głosem - jesteśmy stryjecznym rodzeństwem.

- Stryjcznym rodzeństwem?

- Tak. Twój stryj John jest moim ojcem. Dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj.

Wpatrywał się w nią oszołomiony, jego szybki oddech tworzył w zimnym powietrzu drobne białe obłoki.

- Jesteś pewna? - zapytał wreszcie.

- Najzupełniej.

- Przyznam się, że nie wiem, co powiedzieć.

- Ani ja.

Umilkli, ale nadal wpatrywali się w siebie intensywnie.

- Czy mogę cię objąć? - zapytał wreszcie.

- Pragnę, abyś mnie objął. Och, Bruno, nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnę! - Darina walczyła ze łzami, a kiedy znalazła się w jego ramionach, wtuliła twarz w ciepłą, grubą kurtkę. Jakaś gałąź pękła z głośnym trzaskiem i Darina drgnęła przestraszona.

- Nie bój się. - Delikatnie pogłaskał ją po twarzy. - Jestem przy tobie.

Przytuliła się do niego i przez chwilę trwali tak, oddychając razem równomiernie, jak we śnie.

- Jeśli mam być szczerą - odezwała się Darina po paru minutach - muszę przyznać, że chociaż w pierwszej chwili rzeczywiście przeżyłam duży szok, teraz wydaje mi się, że nie powinnam być zaskoczona.

- Jak to? Wyprostowała się.

- Jeśli ci wyjaśnię, wysłuchasz mnie?

- Oczywiście.

- Ale... mam na myśli, czy wysłuchasz mnie naprawdę... całą duszą? Bo to jest dość niezwykle.

- Wysłucham cię na pewno. - On również usiadł i otrzepał sobie rękawy.

- No więc tak... - zaczęła. Oparła mu dłonie na ramionach i zatopiła wzrok w jego oczach. - Kiedy cię poznałam, odniosłam od razu wrażenie, że jest nam przeznaczone kochać się wzajemnie. A ty? Nie czułeś nic takiego?

- Dostałem wtedy gęziej skórki - przyznał Bruno. - Ale...

- A widzisz! - Darina zacisnęła dłonie na jego kurtce. - O tym właśnie mówię. Wiesz, wydaje mi się, że jesteś moją bliźniaczą jaźnią - powiedziała powoli, z namysłem. - Rozumiesz, co mam na myśli?

- Niezupełnie.

- To nie jest takie proste. Ja sama nie w pełni jeszcze poznałam sens tej teorii... jest chyba związana ze starożytną Grecją. Ale w domu mam masę książek i na pewno natrafię w

nich na odpowiedni trop. Słyszałeś kiedyś o Edgarze Cayce?

- Coś mi się zdaje, że przy tobie będę musiał stale zadawać pytania w rodzaju: „Co to za jeden?” albo „Co to takiego?”

W innych okolicznościach zasmucony głos Brunona sprowokowałby dziewczynę do śmiechu, ale teraz pragnęła przede wszystkim przedstawić ową teorię i dlatego jedynie musnęła dłonią jego policzek.

- Jestem pewna, że ty z kolei wiesz dużo o sprawach, które dla mnie stanowią wielką niewiadomą - powiedziała. - A Edgar Cayce to słynny psycholog. Mam trzy książki o nim. Ale nie to jest najważniejsze. Na pewno słyszałeś o takich poetach jak Robert Browning i Elizabeth Barrett?

- Chyba tak, chociaż przyznaję, że nie jestem wielkim znawcą poezji.

- W każdym razie oboje tworzyli w Anglii, zakochali się w sobie i zyskali rozgłos zarówno jako poeci, jak i kochankowie. Ich związek można uznać za doskonały przykład bliźniaczych jaźni, o których mówiłam.

- Rozumiem - mruknął Bruno bez większego przekonania.

Darina skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Tę koncepcję głoszą od tysiący lat - powiedziała, niepewna teraz jego reakcji. - Warunkiem, aby ją zaakceptować, jest uznanie idei reinkarnacji. - Zerknęła na twarz chłopca i doszła do wniosku, że jej słowa jak dotąd nie odstraszyły Brunona. Zachęcona tym, że on słucha, mówiła dalej: - Ten, kto ją zaakceptuje, tak jak ja, bez większego trudu zrozumie wszystko, co się wiąże ze zjawiskiem bliźniaczych jaźni. Polega ono mniej więcej na tym: kiedyś, dawno, dawno temu, dwoje ludzi łączyła idealna więź duchowa, potem jednak wskutek jakiegoś wydarzenia zostali rozdzieleni, stracili siebie z oczu. Odtąd jednak oboje poszukują się wzajemnie we wszystkich swoich późniejszych wcieleniach, na przestrzeni wielu wieków. - Umilkła, zaczerpnęła głęboko tchu. - Myślę, że to odnosi się właśnie do nas obojga. Jesteśmy bliźniaczymi jaźniami, Bruno. Tyle że w końcu zdołaliśmy się odnaleźć.

Jego milczenie sprawiło, że po raz pierwszy poczuła się zażenowana.

- Przepraszam, jeśli to zabrzmiało zbyt dziwnie.

- Czy ta sprawa wiąże się w jakiś sposób z astrologią? Ostrożnie ujęła jego rękę.

- I tak, i nie. Astrologia jest dziedziną starą jak świat i, jak wiesz, nawet czymś w rodzaju wiary. Jedno z drugimi zazębia się trochę. Widać to w wielu religiach Wschodu. Czy nie dostrzegasz, zwłaszcza teraz, kiedy okazaliśmy się rodzeństwem, że w tym wszystkim istnieje jakiś sens? Takie było nasze przeznaczenie, los, obojętne, jak to nazwiesz.

- Czy ja wiem... - Jego głos wyrażał powątpiewanie. - A może chodzi tu o

uwarunkowania genetyczne? Bo skoro jesteśmy stryjecznym rodzeństwem...

- To prawda. Ale oboje wiemy, że w tym, co do siebie czujemy, jest coś więcej, nie tylko geny, prawda? Wydaje mi się, jakbym cię dobrze znała... jakbym znała cię już dawniej... prawie tak dobrze jak samą siebie. I mogę mówić z tobą o wszystkim, dosłownie o wszystkim.

Pocałował ją łagodnie w usta.

- Wierzę ci - szepnął.

Opadli na trawę, obejmując się wzajemnie ze wszystkich sił, nie tylko dla ochrony przed chłodem.

- Co sądzisz o stryju Johnie? - zapytał po chwili Bruno. - Bo ja uważam, że jest w porządku. Wspaniale nadaje się na ojca.

- Nie mówmy teraz o tym - odparła Darina.

Z oddali dobiegły ciche, przytłumione głosy wołające ich po imieniu. Parę minut później usłyszeli warkot odjeżdżających samochodów.

* * *

- Która godzina? - Rose czuła, jak mocno pieką jej oczy.

Dorothy spojrzała na zegarek.

- Minęła trzecia. Moja droga, dlaczego nie zdrzemniesz się chociaż na parę chwil? Przygotuję ci łóżko. Oboje powinniście odpocząć. - Spojrzała na Johna, siedzącego przy kuchennym stole.

- A co z tobą, Dorothy? - odparł. - To ty powinnaś się położyć. Od rana czeka cię praca w kuchni. Masz zaledwie trzy godziny na odpoczynek.

- O mnie nie musisz się martwić - odparła. - Jestem silna jak koń. Zresztą George wstaje skoro świt. - Zwróciła się do Rose. - Mam nadzieję, że twojemu przyjacielowi będzie wygodnie tam, gdzie go ulokowałam.

- Willie to wspaniały człowiek - powiedziała Rose. - W pewnym sensie przypomina mi George'a. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła, zwłaszcza w tym ostatnim okresie.

John wstał z krzesła i podszedł do okna.

- Wiesz, jaka jest dzisiejsza młodzież - odezwała się Dorothy. - Mogłabym się założyć, że Darina i Bruno śpią teraz smacznie w jakiejś szopie, nie zaprzatając sobie głowy tym, że ktoś może się martwić ich zniknięciem. Zobaczysz, że rano zjawią się jakby nigdy nic i jeszcze będą się dziwić, o co tyle szumu.

Rose milczała. Doceniała troskę Dorothy i chciała mieć nadzieję, że naprawdę jest tak,

jak ona mówi. Ale instynkt podpowiadał jej, że to przesadny optymizm. Dla niej kończyła się druga bezsenna noc, wydarzenia z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin pozbawiły ją resztek sił i coraz skuteczniej uniemożliwiały oddzielenie fantazji od rzeczywistości. W głębi duszy miała niejasne wrażenie, że cała ta sytuacja jest w pewnym sensie zawiniona przez nią. Brakowało jej jednak teraz energii, aby się nad tym głębiej zastanowić. Kiedy już Darina wróci zdrowa i cała do domu, przyjdzie czas, żeby poczynić jakieś ustalenia na przyszłość. Wtedy też ona sama pozwoli sobie na luksus samokrytyki.

A jednak musi się zmobilizować, postarać się wczuć w sposób myślenia córki. Gdyby miała teraz szesnaście lat i była w towarzystwie ukochanego chłopca po przeżyciu głębokiego szoku, jak Darina, co by zrobiła? Dokąd postanowiłaby uciec?

Usiłowała rozważyć wszelkie możliwości zgodnie z tego rodzaju logiką. Darina nie zna okolicy, jedynie bezpośrednie sąsiedztwo Sundarbans - a więc teren oddalony o ponad dziesięć mil stąd. Zresztą i tak by tam nie trafiła, nie znając drogi, jest natomiast mało prawdopodobne, aby zdecydowała się prosić o pomoc przypadkowo spotkane osoby, bo przecież nie chce zdradzić miejsca swego pobytu.

Kryjówka młodych musi się więc znajdować niedaleko stąd.

Ale w ciągu ostatnich godzin ona, John, Dorothy, George oraz Willie przeszukali wszystkie zabudowania okalające hotel, domek rybacki, nawet stajnie i szopy sąsiadów, przeczesał też las i zarośla nad jeziorem; zajrzeli nawet do nie wykończonego budynku klubowego, który miał w przyszłości służyć graczom w golfa.

Wszystko na próżno; Darina i Bruno zniknęli bez śladu, tak jakby rozpułynęli się w powietrzu.

- Jesteś pewien, że jeszcze za wcześnie na powiadomienie policji? - Rose zbliżyła się do Johna, który nie odchodził od okna; ciemna, oszroniona szyba ukazała ich odbicie.

John pokręcił głową.

- Zaczekajmy do rana. Jeśli nie wrócą do tej pory, poprosimy o pomoc policję.

- Napijcie się herbaty? A może macie ochotę na coś innego? - odezwała się Dorothy.

- Jeśli mam być szczery - odparł John, przecierając oczy - to w stanie, w jakim się znajduję, napiłbym się czegoś mocniejszego. Ale nie sherry, jeśli mogę wybierać.

Dorothy zajrzała do kredensu i po chwili wyjęła napoczętą butelkę whisky.

Usiedli przy stole. Rose opróżniła kieliszek jednym haustem; nienawykła do whisky, wstrząsnęła się gwałtownie; trunek okazał się dla niej zbyt mocny. Chciała już poprosić Dorothy o szklankę wody, kiedy w oknie dojrzała czyjeś oczy. Najwidoczniej jakiś człowiek stał na zewnątrz i zaglądał do kuchni.

- Dorothy, tam ktoś jest! - zawołała. Skoczyła na równe nogi i szarpnęła drzwi, otwierając je na oścież.

Z kuchennego okna zeskoczył kot. Z wysoko uniesionym ogonem przemknął między jej stopami, kierując się wprost do ciepłego pieca.

- Przepraszam - szepnęła Rose. - Myślałam...

- Zamknij drzwi - poradziła Dorothy. Ale Rose już wyteżyła wzrok, starając się dojrzeć coś w mroku i przełamać wreszcie nastrój bezradnego wyczekiwania.

Poczuła na ramieniu dłoń Dorothy, która wciągała ją z powrotem do kuchni.

- Rose, usłuchaj mnie, połóż się, odpocznij trochę. Naprawdę nie ma sensu, byśmy siedzieli tu we troje. Jeśli o mnie chodzi, nie warto, abym kładła się teraz spać, bo i tak za chwilę musiałabym się zrywać do pracy, ale ty to co innego. Przygotuję ci termofor i obiecuję, że obudzę cię, jak tylko się czegoś dowiem.

Rose wydawało się, że ma nogi z ołowiu, whisky podziałała na nią usypiająco. Mimo lęku o córkę sama myśl o ciepłym, wygodnym łóżku stanowiła nie lada pokusę. Widząc jej wahanie, Dorothy zwróciła się o pomoc do Johna:

- Czy nie mam racji? Chyba powinna się położyć choćby na trochę, prawda? Ty oczywiście też - dodała. - Ale wiem, że i tak cię nie przekonam.

- Ona ma rację, Rose - przyznał John. - Zostanę tu z Dorothy i obiecuję, że obudzimy cię natychmiast, jeśli wydarzy się coś nowego. W każdym razie nie później niż o dziewiątej. A o pierwszym brzasku wyruszymy na poszukiwania. - Podszedł do Rose. - No, zgódź się, nie daj się prosić. Jutro i w ciągu następnych dni musisz być w formie. My też.

Rose dała za wygraną. Przez chwilę przyglądała się, jak Dorothy przygotowuje termofor, a korzystając z tego, że jest do nich odwrócona plecami, objęła Johna i na krótką chwilę przytuliła się do niego.

Nachylił się, dotknął ust Rose wargami i jej ciało zareagowało natychmiast - mimo całego tego zamieszania i ciężaru trosk. Jednakże w obawie, że Dorothy mogłaby się odwrócić i spojrzeć na nich, Rose odsunęła się pośpiesznie i tylko ścisnęła mu dłoń.

- Proszę, to dla ciebie. - Dorothy podała jej termofor, a potem wyprowadziła ją z kuchni. - Twój pokój jest na górze, drugie drzwi po lewej stronie. Śpij dobrze, a przynajmniej postaraj się o to. Zobaczymy się za parę godzin.

W sypialni Rose zdjęła jedynie buty, rajstopy i suknię; w samej bieliźnie wsunęła się z westchnieniem ulgi w świeżą, chłodną pościel i przyciągnęła do siebie ciepły termofor. Była zbyt zmęczona, aby uporządkować kłębiące się w jej głowie myśli, ale w chwili gdy zasypiała, ujrzała jeszcze twarze Dariny i Johna, które zlewały się w jeden piękny, mistyczny

obraz.

* * *

John, w pełnej formie po porannym natrysku i dwóch filiżankach mocnej kawy przyrządzonej przez Dorothy, stał za domem i patrzył na pole.

Parę minut temu minęła ósma. Na wschodzie słońce rozświetlało już horyzont zasnuty złocistymi i łososiowymi smugami, dym z komina hotelu wznosił się wąskimi, równymi pasmami ku czystemu, błękitnemu niebu. Dziś jednak John nie dostrzegał piękna krajobrazu, nie widział żywopłotu ani sztywnej od przymrozku, oszronionej trawy. Całą uwagę skupił na wypatrywaniu jakiegokolwiek śladu, który mógł przeoczyć podczas wczorajszych poszukiwań.

Przywitał się uprzejmie z belgijskim małżeństwem w średnim wieku; odpowiednio wyekwipowani i ubrani Belgowie wybierali się na spacer po lesie na szczycie wzgórza. On wraz z Williem Brehony przetrząsnęli wprawdzie tamten gąszcz przed świtem, ale wtedy było jeszcze ciemno; teraz przyszło Johnowi na myśl, że może powinien udać się tam ponownie. Kiedy Belgowie ruszyli w drogę, odczekał parę minut, a potem pomaszerował za nimi. Niebawem doszedł do przekonania, że idzie we właściwym kierunku; widoczna przed nim gęstwina drzew idealnie nadawała się na kryjówkę.

Miał na sobie ciepły kożuszek, czapkę i rękawiczki, ale tu, na otwartej przestrzeni, poczuł niebawem na policzkach szczypiący mróz. Miał mokro w nosie, oczy łzawiły mu bezustannie i, aby ochronić je przed dokuczliwym wiatrem, patrzył już tylko w dół zamiast przed siebie.

Nie mógł - jak się okazało - uczynić nic lepszego: tylko dzięki temu dostrzegł w pewnym momencie pod zaroślami jakiś dziwny, bezkształtny przedmiot pokryty szronem, w odległości zaledwie dwóch metrów. Podeszedł bliżej i podniósł go; był to sandałek Dariny. Serce podskoczyło mu do gardła. A więc znalazł ślad! Rozejrzał się bacznie dokoła; nieco dalej zauważył drugi sandał.

Odszukał wzrokiem parę Belgów. Szli skrajem lasu na zachód, wzdłuż niewielkiego wzniesienia. Odczekał chwilę i dopiero gdy oboje zniknęli za zboczem, z sandałami w rękę ruszył szybkim krokiem w stronę drzew. Niebawem wszedł w głąb lasu, a pięćdziesiąt metrów dalej przystanął nasłuchując. Wokół panowała głucha cisza. Drzewa, pozbawione liści, pozwalały sięgnąć wzrokiem daleko przed siebie.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na lewo od leśnej ścieżki, John dostrzegł gęsty zagajnik iglaków. Jeśli Darina i Bruno skryli się w tym lesie, mogli być wyłącznie tutaj.

Podszedł bliżej. Ziemię pokrywały połamane gałęzie; nie wyglądało jednak na to, aby przedzierało się tędy jakieś zwierzę. Żałował teraz, że nie zauważył tego wszystkiego, gdy tu byli wcześniej, ale wtedy było za ciemno, a mrok rozświetlał jedynie blask księżyca.

Pytanie tylko, czy Darina i Bruno są tu nadal.

Nagle stanął jak wryty, zdjęty strachem. Noc była przecież wyjątkowo mroźna!

Rozgarnął gałęzie i wszedł głębiej w gąszcz drzew, gdzie nieoczekiwanie zetknął się ze spojrzeniem dwóch par zaspanych jeszcze oczu, tak spłoszonych, jak oczy młodych sarenek.

W chwilę później oboje, Bruno i Darina, wyskoczyli spod kurtki chłopca i zerwali się na równe nogi. John z trudem opanował strach pomieszany z gniewem i zdobył się na zwykłe słowa powitania:

- Dzień dobry. Cieszę się, że was znalazłem. Napędziliście nam niemało strachu! - Wyciągnął rękę, w której trzymał sandały. - To chyba twoje, Darino? Będą ci potrzebne w powrotnej drodze do domu.

Wzięła pantofle bez słowa, a potem wraz z Brunonem wyszła za ojcem spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń.

- Nie chcę wracać - mruknęła posępnie w pewnej chwili.

- Nie jesteście głodni? Trudno mi w to uwierzyć - odparł, starając się, aby ton jego głosu nie był zbyt agresywny.

- Ja jestem... nawet bardzo - przyznał Bruno.

- Więc chodźmy do hotelu coś zjeść. Nikt was tam nie odda pod sąd wojenny, przyrzekam. Zresztą... myślę, że dobrze by wam zrobiło, gdybyście posiedzieli choć trochę w ciepłym pomieszczeniu - dodał John, widząc, że Darina zaczyna szczerkać zębami.

Spojrzała na Brunona i oboje porozumieli się wzrokiem, po czym dziewczyna kiwnęła głową.

- Zgoda, idziemy.

Dopiero gdy znaleźli się na polu i ujrzeli przed sobą dom, John zdecydował się znowu podjąć rozmowę.

- Twoja matka będzie szczęśliwa, że jesteś cała i zdrowa, Darino - powiedział - i to oczywiście liczy się najbardziej. Ale musisz wiedzieć, że odchodziła już od zmysłów ze zmartwienia. Na twoim miejscu starałbym się ją teraz oszczędzać.

- Jak to?

- Mam wrażenie, że nie zniósłaby obecnie jakiegoś poważniejszego konfliktu.

- To ona... - zaczęła Darina i nagle umilkła.

- Co takiego?

- Nie, nic.

- Słuchaj, nie spodziewam się, że jesteś zachwycona tym, co cię spotkało...

- To bardzo szlachetnie z twojej strony!

John westchnął, ale powstrzymał się od komentarza. Osłonił dłonią oczy przed słońcem, dużym już i tworzącym pełną, pomarańczową tarczę nad horyzontem. Byli pośrodku pola, kiedy zwrócił się do Brunona.

- Musimy porozmawiać, zanim wróci twój ojciec, a powinien się tu zjawić jeszcze przed wieczorem.

- Oczywiście, stryжку - odparł Bruno. - Bardzo mi przykro, że sprawiliśmy wam tyle kłopotu... Nam obojgu jest bardzo przykro, prawda, Darino?

- Może.

- Naprawdę jest jej przykro - zapewnił Johna Bruno. - Po prostu wciąż jeszcze jest w szoku.

- Tak jak my wszyscy. - Adrenalina, która zmobilizowała siły organizmu Johna, umożliwiając mu poszukiwanie zaginionych, teraz przestała działać, pozbawiając go tym samym resztek energii. Kiedy jednak dostrzegł, że Darina przyśpiesza kroku, uczynił to samo, w obawie, że biedactwo znowu ucieknie. Jednocześnie ogarnęło go uczucie rozrzewnienia; wyglądała tak bezbronne, maszerując po zamarznętej trawie w tych swoich niedorzecznych sandałkach i podartych rajstopach!

Wchodząc przez furtkę, zaczepiła rękawem kurtki o haczyk i odwróciła się, aby uwolnić materiał. Gwałtowny ruch sprawił, że warkocz rozplótł się, a włosy spłynęły bezładną falą na twarz, ramiona i plecy, lśniąc w blasku słońca jak len. John, nadal o parę metrów w tyle, poczuł nagle dławienie w gardle; czyste, głębokie uczucie, jakie żywił do tej dziewczyny, poraziło go swą siłą. Z wrażenia aż przystanął. Derek trzymał w pogotowiu monety nad otworem wrzutowym czarnego, staroświeckiego automatu telefonicznego, czekając na połączenie z „Willow House”. Nie ma to jak nowoczesna technologia stosowana w Kanadzie, pomyślał. Wystarczyły dwa, trzy dni ciągłych zmagania z dziwacznym, opornym systemem telekomunikacji w Irlandii, aby wyleczyć go z sentymentalnych pragnień osiedlenia się w dawnej ojczyźnie.

W słuchawce rozległ się głos urzędniczki z centrali, informujący go o konieczności wrzucenia monety. W tej samej chwili kiedy przycisnął guzik A, aby uruchomić połączenie, głośna zapowiedź na lotnisku Tannoy zagłuszyła wszystko inne. Niecierpliwie bębnił palcami o aparat, czekając na koniec zapowiedzi.

- Halo? - krzyknął wreszcie. - Dorothy? Tu Derek. W domku rybackim nikt nie podnosi słuchawki. Mogłabyś przekazać im wiadomość?

- Oczywiście - odparła Dorothy. - Jesteś teraz na lotnisku?

- Tak. Chciałem tylko powiedzieć, że udało mi się trafić na wcześniejsze połączenie z Heathrow. Powinienem być w domu za parę godzin.

- Przekażę im to - obiecała Dorothy.

Dzień był piękny i rześki, a Derek mimo zmęczenia czuł się wspaniale. W radosnym nastroju jechał wynajętym samochodem, zważając pilnie na drogę, pokrytą tu i ówdzie zamarzniętym śniegiem.

Ustawicznie wracał myślami do intrygującego projektu przebudowy Wielkiego Domu; miał się tym zająć John ze swoimi współpracownikami. Może warto by przystąpić do tego interesu? John na pewno nie byłby zachwycony, ale to nie powinno być wielką przeszkodą. Pieniądze rozwiązują zazwyczaj wszelkie problemy.

Dom jest bardzo ładny, a po renowacji z pewnością przyciągnie nie tylko wielu turystów z Europy, ale również ich bogatych krewnych z Ameryki. Dodatkową atrakcją będzie stanowiła obecność jego właścicieli, zajmujących nadal część pomieszczeń. To wszystko plusy. Minusem natomiast jest położenie pałacu: jak wielu turystów zapuści się w tak zapomniane przez Boga odludzie jak Drumboola?

Postanowił porozmawiać z Johnem na ten temat jeszcze dziś. Wielka szkoda, że musi wyjechać z samego rana!

Z ulgą skręcił na wąską, krętą drogę wiodącą do domku rybackiego, John to naprawdę szczęściarz, pomyślał parkując na schludnym dziedzińcu. Ma tu wszelkie wygody prawdziwego domu, a jednocześnie spokój i ciszę. A Mona jest wspaniała. Karen mogłaby się od niej wiele nauczyć.

Na samą myśl o żonie poczuł, że dobry nastrój zaczyna go opuszczać. Przypomniał sobie, że powinien do niej zatelefonować. Pchnął frontowe drzwi, których nigdy nie zamknięto na klucz.

- Halo? - zawołał. - Jest tu kto? Z kuchni wyszła Mona.

- Derek? Witaj w domu.

- Dzięki. Mogę zadzwonić do Karen?

- Oczywiście - odparła i wróciła do kuchni.

Czekając na połączenie z Kanadą, przyrzekł sobie w duchu, że postara się być wobec Karen miły. Ostatnio wspominała kilkakrotnie, że powinni porozmawiać o swoim małżeństwie z psychologiem. Wtedy sprzeciwił się temu stanowczo, ale teraz, przebywając w

hamburskim hotelu, przemyślał całą sprawę i doszedł do wniosku, że może nie jest to zły pomysł. Powie jej o tym teraz...

- Słucham? - rozległ się w słuchawce jej pogodny, prawdziwie radosny głos i umilkł, telefonistka bowiem pytała, czy Karen chce rozmawiać na swój koszt. To świetnie, że jest w dobrym humorze, pomyślał Derek, przynajmniej będziemy mogli pogadać jak cywilizowani ludzie. Niestety, kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał znacznie chłodniej.

- Cześć, Derek.

- Witaj. Co u ciebie, Karen?

- Doskonale.

Jakość połączenia pozostawiała wiele do życzenia, ale nawet poprzez trzaski w eterze dosłyszał w głosie żony nutę szczególnej czujności.

- To chyba normalne pytanie, kiedy mąż telefonuje do żony. - Cios został zadany, zanim zdołał się zastanowić nad jego skutkiem.

Podjęła styl rozmowy.

- Owszem, jeśli mąż i żona tworzą normalny związek.

- Słuchaj... - Przypomniał sobie, że postanowił być cierpliwy. - Zadzwoń mi po prostu, żeby zapytać, jak się czujesz. Co porabiałaś, odkąd wyjechaliśmy z Brunonem?

- Och, nic takiego, to, co zwykle... - Coś w jej głosie przykuło jego uwagę, wzbudziło podejrzenia.

- A jak tam Bruno?

- Wszystko w porządku - odparł, zastanawiając się mimo woli, dlaczego zmieniła temat. - Dopiero co wpadłem do domu, jeszcze się z nim nie widziałem. A więc... - umilkł na chwilę. - Co robiłaś? Wychodziłaś trochę?

- Oczywiście. Chyba nie myślałaś, że będę siedziała cały czas w domu i czekała na powrót pana i władcy? - Mimo iż Derek zdążył się już przyzwyczaić do jej tonu, miał wrażenie, że Karen jest dziś szczególnie napastliwa.

- Ale gdzie byłaś? - nalegał.

- Czy muszę ci się spowiadać z tego, dokąd chodzę? Kiedy jesteś w domu, nie wydajesz się zainteresowany tym, jak spędzam czas...

- Karen! - Derek tracił już panowanie nad sobą. - O co ci chodzi? Do czego zmierzasz?

- Jak to?

- Dobrze wiesz, o co! Znam cię, robisz teraz uniki.

- To ty robisz uniki! Skąd mam wiedzieć, jak się zabawiasz podczas swoich podróży

służbowych?

Nagle olśnienie spłynęło na niego potężną, dławiącą falą: Karen ma romans! Zabrakło mu tchu, musiał przetrwać tę nowinę.

- Derek? Derek! - Nawet poprzez trzaski w jej głosie dał się teraz wyczuć lęk.

Powoli, z namysłem Derek odłożył słuchawkę. Za plecami usłyszał jakiś odgłos, a kiedy się odwrócił, ujrzał Brunona; chłopiec stał u podnóża schodów.

- Tato, wróciłeś! - zawołał, ale uśmiechał się przy tym jakoś niepewnie.

Derek, mając jeszcze w pamięci ich niedawną, niezbyt przyjemną rozmowę o Karen, zmusił się do ukrycia zdenerwowania.

- Chodź, ucałuj swojego staruszka! - powiedział, a potem dodał: - Przywiozłem ci prezent.

- Och, dzięki, tato!

Jego radość jest chyba zbyt ostentacyjna, pomyślał Derek.

- Chcesz go obejrzeć? - zapytał.

- Jasne!

Derek wyjął z walizki nóż używany przez szwajcarskich żołnierzy oraz nieprzemakalne rękawice narciarskie, po czym podał prezenty synowi.

- Bomba! - zawołał Bruno. - Dzięki, tato! Są wspaniałe, naprawdę!

Mówił z taką emfazą, że Derek był teraz pewien: Bruno coś przed nim ukrywa. Co się dzieje? Najpierw Karen, teraz Bruno! Derek, cierpiący na łagodną formę częstokurczu, poczuł nagle przyśpieszoną pracę serca.

- Jak sobie radziłeś w czasie mojej nieobecności? Wszystko w porządku? - zapytał, starając się, aby jego głos zabrzmiał normalnie.

Bruno nie odpowiedział wprost.

- Słucham?

- No dobrze - odparł natychmiast Derek. - Wyjaśnijmy sobie całą sprawę. O co chodzi?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- O nic wielkiego. Wiem, że to nie w porządku nie wracać na noc, ale w końcu nie stało się nic złego, naprawdę.

Nie wrócił na noc?

- Mam inne informacje - mruknął Derek, choć nie była to prawda; opierał się teraz wyłącznie na intuicji.

- A z kim rozmawiałeś? - Niepokój bijący ze słów Brunona świadczył jednoznacznie,

że głos instynktu okazał się trafny.

- To nieistotne - odparł Derek. - Chciałbym usłyszeć twoją wersję wydarzeń z ubiegłej nocy.

- Naprawdę nic się nie wydarzyło!

- To znaczy?

- Nie zrobiliśmy nic złego. Po prostu Darina dowiedziała się o czymś... no, wyjątkowo niezwykłym i to wytrąciło ją do tego stopnia z równowagi, że musiałem pobyć przy niej. Naprawdę, tato. Nie mogłem w tej sytuacji zostawić jej samej.

Derek starał się zachować spokojny ton głosu.

- Zostawić gdzie? I kim jest ta Darina? - Czekał na odpowiedź, słyszał niemal, jak intensywnie pracuje w tej chwili umysł syna. - Przejdźmy do salonu - zaproponował. W pokoju powrócił natychmiast do sprawy: - A więc gdzie spędziłeś całą noc? Co to za Darina i coście robili?

- W porządku, tato. Opowiem ci wszystko. Ale pamiętaj, że ty i mama powtarzaliście mi zawsze, iż bez względu na okoliczności powinienem mówić prawdę.

- Zgadza się. - Derek przysunął sobie krzesło i usiadł na wprost kominka.

- I że jeśli powiem prawdę, nie narażę się na żadne nieprzyjemności.

- Zgadza się - powtórzył Derek. - Mam nadzieję, że nie popełniliśmy pod tym względem żadnego błędu.

Bruno pominął tę zgryźliwą uwagę milczeniem.

- Tato - szepnął po chwili. - Kocham Darinę, ale na tym właśnie polega problem. Ona jest moją stryjeczną siostrą.

Derek patrzył na niego osłupiały, gorączkowo przebiegał myślą osoby, które ewentualnie mogły wchodzić w rachubę: o ile wiedział, wszystkie stryjeczne siostry Brunona przebywały teraz po drugiej stronie Atlantyku. Z pewnością żadna z nich nie udała się w ślad za nimi do Irlandii...

- Czy ty mnie słuchasz, tato? - Bruno patrzył na niego swoimi niebieskimi oczami, w których czaił się lęk. - Powiedziałem, że...

- Tak, słyszałem, co powiedziałaś. Kim są jej rodzice?

- W tym właśnie cały problem. Ona mieszka z matką w Dublinie, a wczoraj dowiedziała się, kto jest jej ojcem. Widzisz, tato, najbardziej niesamowite w tej sprawie jest to, że on nie wiedział do tej pory, iż ma córkę.

- Na miłość boską, Bruno, odpowiedz mi na pytanie! Kim są jej rodzice?

- Matką jest Rose O'Beirne... poznałem ją dziś rano, tato, ona jest wspaniała... a

ojcem... może w to nie uwierzysz... - Bruno, przejęty doniosłością swoich słów, zrobił wielkie oczy - ojcem Dariny jest stryj John!

Wstrząs był tak wielki, że Derek zastygł w bezruchu. Tylko serce tłukło się w jego piersi jak oszalałe i w tak samo szaleńczym tempie kołatały mu w głowie myśli i wspomnienia: oto wydarzenie sprzed siedemnastu lat, którego świadkiem był w gościnnej sypialni u Karen; oto wszystkie te mniej lub bardziej zawołowane upokorzenia i przykre aluzje, jakie musiał znosić ze strony Karen cały czas...

Ze wszystkich tych chaotycznych myśli wyłoniła się nagle przerażająca konkluzja. Ta Darina... ta dziewczyna... nie jest wcale stryjeczną siostrą Brunona. Jest jego siostrą przyrodnią!

- Dobrze się czujesz, tato? - W głosie chłopca zabrzmiał strach.

- Mógłbyś mi podać coś do picia?

- Jasne! - Bruno poderwał się z krzesła. - Co ci przynieść?

- Zapytaj Monę, czy ma trochę brandy.

- Już idę. Ale... - odwrócił się w progu. - Tato. uwierz mi, to naprawdę nic straszego.

Derek zacisnął dłonie na poręczy krzesła. Czuł się okropnie; do niespokojnego bicia serca doszły teraz mdłości. Opuścił głowę, wytrzymał wszystkie siły, aby oddychać równomiernie. To niemożliwe, myślał gorączkowo, to nie mogło się stać!

Bruno wrócił, nim upłynęła minuta.

- I jak się czujesz, tato? Mona powiedziała, że nie ma prawdziwej brandy, ale dała to, co pija Packy, zwłaszcza w święta.

Derek zmusił się, aby spojrzeć na wystraszoną twarz chłopca, który ścisnął w rękę nieco zakurzoną, opróżnioną do połowy butelkę wiśniówki.

- Może być - wyszeptał. - Nalej mi kieliszek, dobrze?

Mocny, słodkawy trunek wstrząsnął nim i chociaż nie uspokoił pracy serca, podziałał zbawiennie na żołądek, rozgrzewając go w jednej chwili. Bruno nie spuszczał z ojca wzroku, jego twarz nadal wyrażała głęboką troskę.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Jeszcze chwila... Zaraz wszystko wróci do normy. To szok, nic więcej.

- Spróbuj spojrzeć na to z innej strony - Bruno usiadł naprzeciw niego. - Właściwie nie ma znaczenia, co myślicie o tym wy, ty i mama, matka Dariny, stryj John lub ktokolwiek inny. Zapewniam cię, że kocham ją, naprawdę ją kocham. Ona też mnie kocha. Oczywiście sprawa nie jest prosta, ze względu na nasze pokrewieństwo i w ogóle, poza tym mieszkamy z dala od siebie... ale wiesz co? - Uśmiechnął się. - Jej mama jest stewardesą i przysługują jej

ulgowe bilety. Darina mogłaby więc przyjechać do nas z wizytą. Co ty na to? - Tak samo szybko, jak się pojawił, uśmiech zniknął z jego twarzy. - W każdym razie - dodał - ja i Darina myślimy o sobie poważnie. Nie gniewaj się, tato, ale tak właśnie sprawy wyglądają! - Zawahał się. - W pewnym sensie - szepnął - czuliśmy oboje, że zdarzy się coś takiego. Tak jakby to było nasze przeznaczenie, wiesz? W każdym razie czuła to Darina, a kiedy wyjaśniła mi wszystko, zrozumiałem, że ma rację.

- Co ci wyjaśniła? - Derek marzył, aby ta sytuacja okazała się koszmarnym snem, z którego można się obudzić.

- Słyszałeś kiedyś o bliźniaczych jaźniach? - zapytał chłopiec.

- O bliźniaczych jaźniach? Cóż to takiego? Ja jestem bliźniaczym bratem... John i ja...

- Nie, mylisz dwie różne rzeczy. To, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z naszymi ciałami. Trudno to zrozumieć tak od razu, ale istnieją ludzie, którzy stanowią dwie połówki jednej jaźni, stąd nazwa bliźniacze jaźnie. Darina wyjaśniła mi wszystko. I naprawdę - dodał z powagą - kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, dostałem od razu gęsiej skórki.

Derek patrzył na niego przerażony. To moja wina, myślał. Mieszkał z tym chłopcem szesnaście lat pod jednym dachem, pokochał go jak własnego syna, ale zaprzątnięty własnymi sprawami, interesami przynoszącymi pieniądze, tak naprawdę nie miał pojęcia, co właściwie chodzi Brunonowi po głowie. A teraz, właśnie dlatego, nie wie, jak sobie poradzić z tą niedorzeczną sytuacją.

- Gdzie poznałeś tę dziewczynę? - zapytał cicho.

- Nad jeziorem, tego samego dnia, kiedy przywiozłeś mnie do Sundarbans. Ona była właśnie z wizytą u swoich dziadków.

Derek podniósł kieliszek do ust, wypił go do dna i napełnił ponownie.

- Obawiam się, że nie wszystko tu rozumiem - mruknął, aby zyskać na czasie i uporządkować chaotyczne myśli.

- Ani ja - przyznał Bruno. - Ale Darina twierdzi, że oboje rozpoznaliśmy się wzajemnie.

- Cóż, można znaleźć też inne wyjaśnienie. Ostatecznie jesteście stryjecznym rodzeństwem. Czy ta dziewczyna jest podobna do ciebie?

- Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może jest trochę podobna - dodał bez przekonania. - Wysoka, blond włosy... Czy według ciebie to już świadczy o podobieństwie? I wystarczyłoby, żebyśmy rozpoznali się na pierwszy rzut oka? Po prostu podświadomie?

- Brzmi logicznie.

- Tak, ale... - głos Brunona opadł o parę tonów - ... jest jeszcze coś. Oboje mamy wrażenie, jakbyśmy znali się już dawniej.

- To znaczy kiedy?

Bruno zarumienił się.

- No... dawniej, dużo dawniej. W poprzednim życiu - mruknął w końcu, zakłopotany. Derek ponownie znieruchomiał z wrażenia, a potem machinalnie odstawił kieliszek.

- W poprzednim życiu? - powtórzył. - Masz na myśli reinkarnację? Wierzysz w te bzdury?

- To wcale nie są bzdury! - zaprotestował chłopiec. - Darina mówi...

- Nie obchodzi mnie, co mówi Darina! Posłuchaj, młody człowieku. Posłuchaj mnie bez względu na to, co ona mówi i co się tobie wydaje, że czujesz. Wszystko wymknęło się spod kontroli! A w ogóle... gdzie się spotkaliście? W Sundarbans?

Bruno spojrzał na niego urażony.

- Mówiłeś, że mnie słuchasz.

- Słuchałem. Tylko że to, co opowiadałeś, uważam za bzdury. Poprzednie wcielenie, gęsia skórka! Co robiliście oboje ostatniej nocy?

- Nic.

- Czy mam zatelefonować do „Willow House” i porozmawiać z Johnem?

- Dzwon tam, skoro chcesz, tato. Ale jego nie było z nami, a więc i tak nie mogłby o niczym wiedzieć, nawet gdyby do czegoś doszło...

Derek poczuł, że ogarnia go wściekłość; nigdy przedtem Bruno nie odzywał się do niego w ten sposób! Uderzył dłonią w poręcz krzesła.

- Wypraszam sobie ten ton, młody człowieku! Co się wydarzyło ostatniej nocy?

- Powiedziałem już, że nic! - Ale widać było, że Bruno jest przestraszony i znacznie mniej pewny siebie.

- Gdzie byliście? - zagrział Derek.

- W lesie - skapitulował chłopiec.

- W którym lesie?

- Na wzgórzu za hotelem.

- Spędziłeś z dziewczyną całą noc w lesie i chcesz, abym uwierzył, że nic się nie wydarzyło?

Twarz Brunona pobrała, tak jakby odpłynęła z niej cała krew.

- Możesz wierzyć lub nie, tato - szepnął. - Powiedziałem ci prawdę.

W pełnej napięcia ciszy Derek poczuł, że jest absolutnie bezsilny. Nie potrafił tego

określić, ale miał wrażenie, jakby przegrał właśnie walkę, której sensu nie rozumiał.

- Widzę, że w tej sprawie nie zajdziemy razem daleko - mruknął.

- Ani w tej, ani w innej, tato - odparł spokojnie Bruno. - Powiedziałem ci prawdę. I nie ma tu nic więcej do powiedzenia.

- Jestem odmiennego zdania. Na przykład: co z przyszłością? Chyba nie myślisz, że będziemy patrzeć beczynnie, jak rujnujesz sobie przyszłość?

- Niby dlaczego uważasz, że rujnuję sobie przyszłość? Prawda jest taka, że się kochamy, Darina i ja. Dlaczego to miałyby zrujnować mi przyszłość?

- A jeśli zajdzie w ciążę?

Bruno zastygł w bezruchu, patrzył na Dereka z szeroko otwartymi ustami. Dopiero po długiej chwili przyszedł do siebie.

- Nie rozumiem, dlaczego o tym mówisz - mruknął po namyśle. - W każdym razie mogę cię zapewnić, że takie niebezpieczeństwo nie istnieje.

- A skąd masz tę cholerną pewność? - Derek czuł, że coraz bardziej traci grunt pod nogami, ale nie dbał już o to. Kim, do diabła, jest ten szesnastolatek, że w tej tak niezwyklej chwili zachowuje się zupełnie spokojnie, jakby nigdy nic? On, Derek, zrobił przecież dla niego tak wiele!

- Masz dopiero szesnaście lat! - wykrzyknął. - Od kiedy to szesnastolatek decyduje o świecie, o moralności, o tak ważkich sprawach?

- Ja o niczym nie decyduję, tato, przesadzasz. - Bruno patrzył na niego z całkowitym spokojem. - Jeśli chcesz wiedzieć, Darina i ja nie spaliśmy ze sobą. Mówię o tym, chociaż nie powinno cię to interesować.

- Oczywiście, że mnie interesuje. Znajdujesz się pod moją opieką, dopóki nie osiągniesz pełnoletności; nie zapominaj o tym.

- Nie zapominam. - Bruno zainteresował się widokiem za oknem, tak jakby uznał rozmowę za skończoną.

Derek postanowił podjąć ostatnią próbę.

- Dobrze, że z samego rana wyjeżdżamy - powiedział, siląc się na stanowczy ton. - Będziemy mieli potem mnóstwo czasu, aby jeszcze o tym porozmawiać.

- Oczywiście, tato - odparł chłopiec, nie odrywając wzroku od okna. Jego głos był matowy i tak odległy, że Derek poczuł, jak przechodzi go dreszcz. - Czy mogę już iść?

- Dokąd się wybierasz?

- Na spacer.

- Niedługo się ściemni.

- To co? - Dopiero teraz Bruno odwrócił się do niego. - Mogę wziąć pochodnię, jeśli chcesz.

- Wróc na kolację - mruknął Derek i nalał sobie trzeci kieliszek.

Następną godzinę spędził jak we śnie. Z resztką wiśniówki wszedł do pokoju, który dzielił z Brunonem, i położył się, czekając na moment, kiedy uspokoi się trochę przyspieszona praca serca. Usiłował wziąć się w garść, rozumować logicznie, ale ilekroć przypominał sobie wyraz oczu Brunona, dochodził do wniosku, że chłopiec nie myśli teraz rozsądnie.

Najwidoczniej dostrzegł w tej dziewczynie coś niezwykłego - albo też znalazł się pod jej wpływem i dlatego sądzi, że w ich wzajemnym uczuciu kryje się coś wyjątkowego.

Ale czy rzeczywiście jest to powód do zmartwienia? Przecież chodzi o dwoje szesnastolatków, którzy zapewne wyleczą się ze swoich młodzieńczych fascynacji.

Tylko., czy aby na pewno? Jak dotąd, nie spali ze sobą. Przynajmniej jedna dobra wiadomość. Jednakże zakładając, że są normalni, można uznać, iż ich wstrzemięźliwość nie potrwa zbyt długo.

Frustrację Dereka pogłębiała świadomość własnej bezradności. Jest człowiekiem czynu. Ale co może zrobić w tej sytuacji? Kluczem do rozwiązania problemu byłaby rozłóżka, pomyślał. Rozdzielenie młodych może pomóc ugasić płomień, który ogarnął ich z taką mocą i tak nieoczekiwanie.

A może zatelefonować do Karen, przedyskutować z nią całą sytuację? Natychmiast jednak odrzucił ten pomysł; chwilowo brakowało mu energii na ewentualne dyskusje z żoną, która zapewne ujęłaby się za swoim dzieckiem. Zresztą na taką rozmowę przyjdzie pora, kiedy znajdzie się już w domu.

Przy okazji porozmawiamy o tym, co ją gryzie, postanowił w duchu.

Podróż, zaplanowana częściowo dla przyjemności, przemieniała się stopniowo w koszmar.

Z pustym kieliszkiem w dłoni Derek zapadł w niespokojny sen, zakłócany przez krótkotrwałe, nieprzyjemne sceny i postaci, które pojawiały się przed jego oczyma bez twarzy i kształtów, i znikwały natychmiast, kiedy otwierał oczy, a zostawiały po sobie jedynie lęk.

W pewnej chwili zerwał się gwałtownie, usiadł i spojrzał na zegarek. Na dole odezwał się telefon, ktoś podniósł słuchawkę. Niemal jednocześnie dotarł do niego smakowity i kuszący zapach gotowanego jedzenia. Uświadomił sobie, że prócz śniadania nie miał dziś nic w ustach.

Wziął krótki prysznic, po czym zszedł na dół do kuchni. Przy garnkach krzątała się

Mona.

- Och, to ty, Derek - powitała go. - Kolacja jest prawie gotowa, właśnie miałam cię zawołać. Czy Bruno już schodzi?

- Wybrał się na spacer. Nie wrócił jeszcze?

- Nie, jeszcze nie.

Derek uświadomił sobie, że nie potrafi teraz rozmawiać normalnie, tak jakby nic się nie stało.

- Pójdę rzucić okiem na wiadomości - powiedział i wyszedł z kuchni.

Ale w salonie nie włączył telewizora, lecz usiadł na kanapie. Gdzie, u diabła, podziewa się Bruno? Ta dziewczyna najwyraźniej go zaczarowała!

Usiłował odzyskać spokój, odprężyć się choć trochę, korzystając z panującej tu ciszy. Ściany domu, również te wewnętrzne, były masywne, miały około metra grubości i kiedy drzwi salonu były zamknięte, do pokoju nie przenikał żaden dźwięk z pozostałych pomieszczeń. Niedawna dyskusja z Brunonem oraz nadmiar wiśniówki robiły swoje; Derek poczuł dotkliwy ból głowy. Odchylił ją w tył, na oparcie kanapy, i zatopił wzrok w kominku, w syczących cicho płomieniach.

Zamknął oczy i spróbował postawić się na miejscu Johna. Jak on by się poczuł, gdyby dowiedział się nieoczekiwanie, że ma córkę?

I co by zrobił, gdyby się dowiedział, że ma również syna?

Ból głowy przybrał na sile. Trzeba postępować bardzo, bardzo ostrożnie, doszedł do przekonania Derek.

Ściany pokoju tłumiły tak skutecznie wszelkie odgłosy z zewnątrz, że drgnął zaskoczony, kiedy drzwi się otworzyły, a do salonu wszedł John, wnosząc ze sobą chłód wieczoru.

- Nie spotkałeś gdzieś po drodze Brunona? - zapytał Derek.

John pokręcił głową, a Derekowi wydało się, że brat unika jego wzroku i z trudem tłumi gniew. Zaniepokojony wyprostował się na kanapie.

- Co się stało? Chcesz ze mną o czymś porozmawiać? - Zdał sobie natychmiast sprawę, że jego słowa mogły zabrzmieć zbyt agresywnie i postanowił zatrzeć to wrażenie. - Siadaj, John. Przykro mi, że miałaś wczoraj tyle kłopotu z moim chłopakiem. - Nie o tym chciałem z tobą porozmawiać... no, może także i o tym, ale jest coś o wiele ważniejszego... przynajmniej dla mnie.

W skołatany umyśle Dereka odezwały się dzwonki alarmowe.

- O co ci chodzi? - zapytał ostrożnie.

John zacisnął pięści.

- O pewien list - odparł. - O to mi chodzi. O pewien anonimowy list.

Derek spodziewał się raczej pytań dotyczących swego ojcostwa i teraz poczuł olbrzymią ulgę.

- Jaki list? O czym ty mówisz? - zawołał, chociaż wiedział doskonale, co John ma na myśli. Nigdy nie przypuszczał, że konsekwencje tamtego na wpół już zapomnianego, niemądrego postępu wyłonią się po tylu latach. Zwłaszcza teraz, w świetle ostatnich wydarzeń, sprawa wydawała się stosunkowo mało istotna.

Ale wyglądało na to, że John nie traktuje jej lekko. Jego twarz pociemniała złowroźnie, kiedy postąpił krok naprzód.

- Wiesz doskonale, o jaki list mi chodzi. Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Derek!

- A więc dobrze, poddaję się. Jest mi bardzo przykro. Ale wtedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi. Naprawdę żałuję, że tak postąpiłem. Wybacz mi. Przyznaję, że to było głupie, ale minęło już tyle czasu i...

- I tyle jedynie masz do powiedzenia, łajdaku? - John zakołysał się na nogach, bezwiednie machnął pięściami.

- Uspokój się! - Derek przywarł plecami do oparcia kanapy. - Powiedziałem przecież, że jest mi bardzo przykro!

- Ty pieprzony łajdaku!

Pięść Johna nieoczekiwanie wyładowała na policzku Dereka i natychmiast męczące łupanie w głowie eksplodowało, rozrywając się na miliony drobnych, lecz jakże dotkliwych bólów. Derek usiłował wstać, jedną dłonią osłonił policzek, drugą wyrzucił przed siebie, jakby chciał oddać cios, ale John cofnął się już na środek pokoju. Jego mina wyrażała zdumienie, jakby to, co się stało, zaskoczyło także jego samego.

- Zapłacisz mi za to! - Derek zdołał wreszcie wstać i teraz ruszył ku niemu. - Jak śmiałeś mnie uderzyć! Ja... - Serce znów załomotało mu gwałtownie w piersi, musiał czym prędzej opaść na najbliższej stojące krzesło. - Zapłacisz mi za to! - powtórzył, choć zdawał sobie sprawę, jak mizernie zabrzmiała ta groźba.

- Doprawdy? - John otrząsnął się już z zaskoczenia, gniew znowu dał znać o sobie. - Szesnaście, nawet siedemnaście lat, Derek! Zrujnowałeś tym listem siedemnaście lat mojego życia! Mogłem... mogłem... - nie dokończył i tylko machnął ręką.

- Co mogłeś? - Piekący policzek podsycił złość w duszy Dereka. - Co mogłeś? Poślubić panienkę ze dworu? - zaśmiał się urągliwie. - To mało prawdopodobne, mój chłopcze. Wątpię, czy miałbyś jakieś szanse, nawet gdybym nie napisał tego listu.

- Jeśli się nie zamkniesz, nie ręczę za siebie, Derek! Tym razem cię zabiję! - John znowu postąpił krok w jego stronę i Dereka ogarnął strach.

- Przestań, przestań, na miłość boską! - zawołał. - Co by sobie pomyślała matka, gdyby widziała teraz, jak się zachowujemy!

Jego słowa odniosły zamierzony skutek. John zatrzymał się, a po chwili opuścił pięści. Odwrócił się, zatopił wzrok w kominku.

- Uderzyłeś mnie - mruknął z wyrzutem Derek, przekonany, że teraz nie grozi mu już nic złego. - Będę miał na pewno siniak!

- Zasłużyłeś na to, ty cholerny łajdaku!

- Piękny język, nie ma co!

- Im szybciej stąd się wyniesiesz, tym lepiej dla nas wszystkich!

- Przynajmniej pod tym względem jesteśmy zgodni, kochany braciszku! To znaczy, oczywiście, jeśli mój syn i twoja córka pojawią się tu na tyle wcześnie, abym mógł razem z nim wsiąść do samolotu. A skoro już o tym mowa... - dodał ostrożnie, patrząc na wyprostowane, sztywne plecy brata. - Jeśli, powtarzam, jeśli zdołasz opanować swoją histerię choćby na chwilę, to moglibyśmy przedyskutować całą tę sprawę, co, jak sądzę, byłoby bardzo wskazane.

- Jestem gotów rozmawiać o wszystkim, co dotyczy mojej córki. - John odwrócił się powoli i usiadł na krześle naprzeciw Dereka. - Ale przedtem - dodał ciszej - musiałbyś wyjaśnić mi jedną rzecz. Czy zrobiłem ci kiedykolwiek coś złego? Skrzywdziłem cię? Bo ty, odkąd pamiętam, starałeś się zawsze nadepnąć mi na odcisk, tak jakbyś mścił się za coś i nienawidził mnie. Nie wiem tylko za co.

- To nieprawda, nie czuję do ciebie nienawiści - odparł Derek.

- Nie wierzę ci. Jestem pewien, że mnie nienawidzisz. Masz do mnie o coś żal i zazdrościsz mi. Wyczuwałem to już dawniej, kiedy byliśmy jeszcze małymi dziećmi.

- To niedorzeczne, co mówisz.

- Naprawdę? Dobrze więc, zastanówmy się nad tym. Po mińmy różne drobne zgrzyty z czasów naszego dzieciństwa. Dlaczego jednak, skoro nie żywisz do mnie nienawiści, próbowałeś - i muszę przyznać: skutecznie - zniszczyć to, co liczyło się dla mnie najbardziej? Dlaczego wysłałeś ten list do Rose? Odpowiedz mi szczerze, bo naprawdę chciałbym wiedzieć... - Mówił cicho, z namysłem i chociaż twarz miał skrytą w cieniu, Derek dostrzegł w jego szeroko osadzonych oczach płomienne błyski, które rozbudziły w nim na nowo uczucie lęku. Nie, nie zniósłby teraz utraty Brunona. Nie teraz...

Nadrabiając miną, wpatrywał się w brata, a cisza przedłużała się nieznacznie.

John ostentacyjnym gestem splótł dłonie na plecach.

- Obiecuję, że nie uderzę cię już więcej... przynajmniej nie w tej chwili. Ale proszę cię, powiedz, co do mnie masz? Co cię gryzie?

Derek nie odrywał od niego wzroku.

- Kiedy wysyłałem ten list, nie wiedziałem, że ... jak to określiłeś... że niszczę to, co liczy się dla ciebie najbardziej.

- Owszem, wiedziałeś. Właśnie dlatego wysłałeś go do Rose.

- Nie miałem pojęcia, że Rose O'Beirne jest w ciąży. Skąd miałbym wiedzieć?

- To nie ma nic do rzeczy, dobrze o tym wiesz. A skoro już o tym mówimy... Jeszcze parę chwil wcześniej ani Rose, ani ja nie byliśmy do końca pewni, że właśnie ty wysłałeś ten list. Dziękuję za potwierdzenie naszych przypuszczeń.

Świadomość, że dał się wciągnąć w pułapkę, wzburzyła w Dereku krew, ale uczucie strachu było silniejsze niż gniew, więc zmusił się do zachowania spokoju.

- Proszę bardzo - mruknął.

Parę sekund mierzyli się wzrokiem i wreszcie John przerwał milczenie.

- W tym liście napisałeś, że w Charlottetown poszedłem do łóżka z jakąś dziewczyną. A więc przestań wreszcie udawać! Jakiej reakcji ze strony Rose się spodziewałeś? Jak według ciebie może zareagować na taką wiadomość jakakolwiek kobieta, obojętne, w ciąży czy też nie?

Derek miał już na końcu języka odpowiedź, że napisał prawdę i tylko prawdę, ale niepokój podyktował mu inne słowa.

- Mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro. Żałuję, iż wysłałem tamten list. Nie wiem, dlaczego to wtedy zrobiłem. I powtarzam, że nie żywię do ciebie nienawiści. Samo takie przypuszczenie jest śmieszne i bez sensu.

- Postawmy więc sprawę inaczej. Czy ty mnie kochasz, Derek?

- Ja... ja... - Pytanie zaskoczyło go całkowicie i tylko wzmogło ból głowy.

- Jeszcze inaczej: lubisz mnie? No jak, Derek, powiedz wreszcie! - Głos Johna był ostry, ciął jak rzemień bicia. - Kochasz mnie, lubisz czy tylko tolerujesz? Skoro nie czujesz do mnie nienawiści, to w takim razie co? Bo przecież coś musisz do mnie czuć!

- Nasza rozmowa staje się bezsensowna! Nie zamierzam odpowiadać na stawiane w taki sposób pytania!

- W porządku. - Głos Johna znowu zniżył się do półszeptu. - Ujmijmy to w inny sposób. Ty i ja byliśmy... jesteśmy nadal... bliźniakami. Nawet jeśli różnimy się trochę między sobą, to zazwyczaj bliźniaczych braci łączy szczególna więź, jakieś wyjątkowe

uczucie. Tymczasem my... Co nas rozdzieliło, Derek? Bo do pewnego czasu, kiedy jeszcze byliśmy chłopcami, kochałem cię naprawdę!

- Nie wiem... Po prostu nie wiem, John! - Słowa wymknęły mu się z ust, zanim sobie uświadomił, że odsłaniają jego wnętrze.

- No cóż... - John znów opadł na krzesło. - Przynajmniej jesteś teraz uczciwy. Może to nawet pierwsze uczciwe słowa, jakie do mnie wypowiedziałeś od wielu lat!

- Nie chciałem...

- Nie obrażaj mnie, Derek! - Do tej pory John trzymał obie dłonie za plecami; teraz oparł je na kolanach i zacisnął w pięści. Pochylił głowę niczym byk szykujący się do szarży. - Nie obrażaj mnie!

Derek siedział skulony na kanapie, w głowie coś łomotało boleśnie, tak samo gwałtownie tłukło się serce. John jeszcze przez parę długich chwil zachował pozę atakującego zwierzęcia, wreszcie odprężył się.

- Nie kończę na tym naszej sprawy, Derek - mruknął - ale nie mam teraz czasu. Wrócimy do tego w odpowiednim momencie. - Jego słowa oznaczały niewątpliwą obietnicę albo nawet ukrytą groźbę. - Wstał i podszedł do kominka. - A tymczasem - powiedział, nie odwracając się do brata - powinniśmy pogadać o Darinie i Brunonie, zastanowić się, co możemy zrobić w tej sytuacji. Darina i Rose spędzą tę noc w Sundarbans. Pojadę tam za godzinę. Myślę, że my, dorośli, musimy uzgodnić plan działania na przyszłość.

ROZDZIAŁ 16

- Och , John, na miłość boską, dlaczego nie postarasz się o jakieś lepsze auto? Co za okropny grat! - Resory starego hillmana jęczały rozpaczliwie, kiedy samochód trząsał się i podskakiwał na wyboistej drodze do Sundarbans. Aby utrzymać równowagę, Derek rozsunął szeroko nogi i trzymał się oburącz tablicy rozdzielczej. Jego utyskiwania były pierwszymi słowami, jakie padły, odkąd kwadrans temu bracia odjechali sprzed domku rybackiego.

- Ten samochód nie jest zły. - John nie odrywał oczu od drogi, wypatrując kolejnych dziur w jezdni, manewrował niezmiernie i omijał je z wprawą. W tej chwili walczyły w nim dwa uczucia: rozbudzona na nowo miłość do Rose oraz gniew na brata. Świadomość, że jazda nie sprawia Derekowi przyjemności, dawała mu jakąś przewrotną satysfakcję. Z drugiej strony wiedział, że dla dobra wszystkich zaangażowanych w tę sprawę powinien bardziej nad sobą panować. Zresztą Derek ma rację, pomyślał, pora kupić nowy samochód. Ale wszystko w swoim czasie. - Rozejrzę się niebawem za czymś porządniejszym - obiecał.

Przed wyjazdem przedyskutowali z Derekiem wszystkie możliwe aspekty sprawy i doszli do zgodnego przekonania, że w zaistniałej sytuacji należy stworzyć wobec Brunona i Dariny wspólny front dorosłych. Jednakże John miał poważne wątpliwości; nie wiedział, czy ma prawo ingerować w życie córki i - co gorsza - czy Darina zniesie taką ingerencję z jego strony.

W każdym razie rozstrzygnięcia należało oczekiwać w Sundarbans; kiedy wybiła ósma trzydzieści, a Brunona nadal nie było, wydawało się pewne, że wybrał się do Wielkiego Domu, aby jeszcze raz się zobaczyć z Dariną.

- Możemy tam zadzwonić - zaproponował Derek.

- I co jeszcze? Przecież w ten sposób tylko byśmy ich ostrzegli! Mogliby znowu uciec! - John pokręcił głową. Teraz, kiedy dojeżdżali do końca alejki, nadal udawał, że jest zupełnie spokojny. - Za chwilę będziemy na miejscu. - Skręcił gwałtownie, aby ominąć głęboką wyrwę w ziemi. - I pamiętaj, bez nerwów! - Zerknął na brata. - Musimy zachować spokój, nie pozwól się wyprowadzić z równowagi!

- I ty to mówisz? Mnie? - Ale nie mieli już czasu na dyskusję, gdyż znaleźli się właśnie przed drzwiami frontowymi. - A co z pułkownikiem i jego żoną? - zapytał Derek. - Jak na to zareagują, że ni stąd, ni zowąd zjawiamy się u nich obaj?

- Trudno, oni też tkwią w tym po uszy, czy tego chcą, czy nie - odparł John. - Ostatecznie Darina jest ich wnuczką!

- To prawda - mruknął Derek.

John zaparkował i obaj weszli na popękane schody wiodące do drzwi.

- Pierwsza praca, jaka czeka twoich ludzi, to remont tego wejścia - mruknął Derek i zapukał.

Ale John nie myślał ani o swoich wspólnikach, ani o bezpieczeństwie przyszłych turystów, lecz patrzył po prostu na Rose, która właśnie otworzyła drzwi. Była blada, ale opamnowana i naprawdę piękna. Zaprzagnął nagle wziąć ją w ramiona.

- To Derek - powiedział. - Pamiętasz go?

- Dzień dobry - odparła sucho, nie patrząc na jego brata. - Tak, pamiętam. Wejdźcie, proszę.

Stojąc w holu, John przypomniał sobie tamten dzień, kiedy przemoczony do suchej nitki, zrozpaczony, prosił o rozmowę z rodzicami Rose. Natychmiast przeszło go też kolejne wspomnienie: widok głowy tygrysa w gabinecie Gusa. W przeciwieństwie do innych przedmiotów z tego domu, to trofeum nie zostało jeszcze sprzedane.

- Czy jest tu Bruno? - zapytał, a kiedy Rose, zdumiona, pokręciła głową, zamienił szybkie spojrzenie z Derekiem. - Powiedział, że idzie na spacer, już ponad trzy godziny temu. Do tej pory nie wrócił. Byliśmy pewni, że przyszedł tutaj. Może Darina wie, gdzie on jest?

- Darina jest w sypialni. Zapytam ją.

John zawahał się.

- Chyba nie ma w tym nic złego, że tu przyjechaliśmy? Mam na myśli twoich rodziców...

- Są teraz w kuchni. Proszę, wejdźcie. - Rose wprowadziła ich do niewielkiego, schludnie umeblowanego saloniku, zaczekała, aż usiądą przy kominku, po czym wyszła.

- Niebrzydko tu, co? - Derek powiódł dokoła wzrokiem pełnym uznania i John uświadomił sobie, że jego brat po raz pierwszy znalazł się w Sundarbans.

- Jedyne zamieszkałe tu pomieszczenia to ten salonik, kuchnia i dwie sypialnie - odparł krótko. Nie zdradzając chęci do kontynuowania rozmowy, wyciągnął dłonie w stronę kominka.

* * *

Derek ukradkiem obserwował brata. Patrząc na Rose i prawdziwego ojca Brunona, pojął wreszcie, jak niepewna jest jego sytuacja: jedno niebaczne słowo, tylko jedno - i mógłby raz na zawsze utracić chłopca. Do tej pory nie brał takiej ewentualności pod uwagę; odległość, jaka dzieliła jego i Johna, wprawiała go w nastrój błogiego spokoju. Dopiero teraz,

w obliczu niebezpieczeństwa, uświadomił sobie z całą wyrazistością, jak drogi stał mu się Bruno.

Może miłość do Brunona była jedynym prawdziwym, bezinteresownym uczuciem w jego życiu? Ale jak dalece bezinteresownym? Czy Bruno nie zasłużył sobie na to, aby wiedzieć, kto jest jego ojcem? Serce znowu zabiło mocniej, przypominając o sobie straszliwym bum - bum - bum.

John odchrząknął, przechylił głowę na bok i Derek po raz pierwszy dostrzegł mocno podkrążone oczy brata. Również na nim napięcie pozostawiło swoje piętno.

Starał się postawić na miejscu Johna, ale na próżno. Rose O'Beirne jest piękną kobietą i nawet głupiec potrafiłby dostrzec, jak wielkie wrażenie wywiera na Johnie jej obecność. Ale dla Dereka była zbyt chłodna i niedostępna, dzieliło ich oboje zbyt wiele. Przypomniał sobie pocałunek, który skradł jej przed laty w stajni. Jak to możliwe, że był wtedy tak beznadziejnie głupi?

Odpowiedź była krótka: po prostu zapragnął tego, co uzyskał bez trudu John!

Przyszło mu do głowy, że ktoś obcy raczej nie wzięłby jego i Johna za bliźniaków. I nie chodziło tu jedynie o różnice w osobowości, ale również w wyglądzie. Przed laty byli do siebie podobni, zwłaszcza kiedy Derek nabrał trochę tężyzny dzięki pracy fizycznej w Kelly's Cross, ale John zachował młodzieńczą sylwetkę do dziś i z pewnością także dobre zdrowie.

Derek spojrział z niesmakiem na swój pokaźny brzuch i pulchne dłonie. Dlaczego do tego dopuścił?

Ale na kontynuację tej samoanalizy zabrakło mu czasu, gdyż do pokoju weszła Rose.

- Dariny nie ma w pokoju! - Jej blada twarz pokryła się wypiekami. - Mój ojciec widział ją jakieś dwie godziny temu. Powiedziała, że idzie na spacer.

Bracia spojrzeli po sobie.

- Bruno! - wykrzyknęli jednocześnie. Rose objęła oburącz głowę.

- I co teraz zrobimy?

- Równie dobrze moglibyśmy próbować dyrygować parą królików na otwartym polu. - John uśmiechnął się niewesoło. - Ale na szczęście Bruno wraca jutro do domu. To da nam chwilę wytchnienia.

Derek czuł niemal fizycznie więź łączącą jego brata z Rose; on sam natomiast wydawał się tu kimś zbędnym.

- Może powinniśmy ich poszukać? - powiedział, aby zaznaczyć swoją obecność.

- Co o tym myślisz, John? - Rose jeszcze raz zignorowała Dereka.

- Jestem ojcem Brunona! - powiedział urażony. - Z pewnością moje zdanie na...

- Och, zamknij się, Derek! Istotne jest to, co wszyscy myślimy na ten temat! Ta sprawa dotyczy nas wszystkich! - John podszedł do Rose i ujął ją pod ramię. - Nie denerwuj się! Wszystko się jakoś ułoży.

- Och, John! - Rose skrzyżowała ręce i zacisnęła je mocno na ramionach. - Boję się! Aż mi się zimno zrobiło!

Nachylił się nad nią.

- Gdziekolwiek są, dadzą sobie radę. Przecież wczoraj też spędzili całą noc poza domem, prawda? Są młodzi, zahartowani. A skoro już o nich mowa... czy oni znają całą naszą historię?

- Opowiedziałam Darinie to, co najważniejsze, ale nie wszystko! - Rzuciła szybkie spojrzenie na Dereka.

- I jak na to zareagowała? - John nie spuszczał z niej wzroku.

- Trudno to określić jednym słowem - odparła, siląc się na uśmiech.

- Słuchajcie... - wtrącił się Derek. - Jak widzę, moglibyście oboje rozmawiać tak całą noc. Tymczasem musimy omówić coś bardzo ważnego. - W duchu podjął istotną dla siebie decyzję: nie da się Rose zepchnąć na dalszy plan, postawi się, bez względu na to, kim ona jest i co jej uczynił w przeszłości. - A na razie powinniśmy coś zrobić zamiast gadać. Natychmiast! - dodał bardziej stanowczym tonem.

- Przestań, Derek - mruknął John.

- Nie przestanę! - Derek poderwał się na równe nogi. - Nie przestanę - powtórzył. - To mój syn! O nim właśnie mówimy! Ten chłopiec nigdy nie przysparzał żadnych kłopotów, dopóki nie poznał Dariny, a ona zawróciła mu w głowie swoimi szalonymi pomysłami i teoriami. Chcecie przykładu? Proszę bardzo. Czy wiecie, że przekonała go o istnieniu jakiegoś przeznaczenia, które połączyło ich oboje?

- Jak to? - zapytali zgodnie Rose i John.

- Bruno i Darina najwidoczniej wierzą teraz, że są parą astralnych kochanków, kolejnym ogniwem reinkarnacji czy czymś w tym rodzaju. Zdaje się, iż wspomnieli coś o bliźniaczych jaźniach...

- Darina dużo czyta - wyjaśniła Rose - i potem rozmyśla nad tym wszystkim. Jest bardzo wnikliwa.

- Wnikliwa czy nie, nie ulega wątpliwości, że pod wpływem wywodów twojej córki mój syn uwierzył, iż musiał się spotkać z Darina, gdyż znali się już w innym wcieleniu, a to wszystko, co teraz się z nimi dzieje, jest nieuniknione.

- Derek mówił to z przesadnym naciskiem, ale przynajmniej osiągnął wreszcie

zamierzony cel: ściągnął na siebie uwagę tych dwojga i podkreślił więź duchową łączącą go z Brunonem.

- I to wszystko wydarzyło się w ciągu ostatnich paru dni? - Rose po raz pierwszy na niego spojrzała.

- Chyba tak. Mnie tu nie było. Przebywałem za granicą - podkreślił z naciskiem.

- Ostatecznie nic się przecież nie stało. Wszyscy w ich wieku przechodzą przez coś takiego. - John ujął dłoń Rose.

- Jeśli o mnie chodzi - odparł Derek z taką stanowczością, na jaką mógł się zdobyć - nie życzę sobie, aby mój syn ulegał tego typu wpływom. - Podszedł do okna i odsunął na bok jedną z ciężkich kotar. Salon zajmował frontową część domu, przez szybę widać było zaniedbane podwórze, ale przykre wrażenie łagodził blask księżyca oraz patyna szronu, która okrywała krajobraz aż po mroczną linię drzew. Jednakże Derek wpatrywał się w piękno tego ciemnego i srebrzystego krajobrazu, nie widząc go. Przede wszystkim ważne było dla niego w tej chwili osobiste przetrwanie. Nie myślał nawet o uporczywych dolegliwościach, które odezwały się kolejny raz: bólu głowy i łomotaniu serca.

Usłyszał czyjeś kroki i odwrócił się w tej samej chwili, kiedy do pokoju weszli rodzice Rose. Derek nie widział ich od wielu lat i zmiany, jakie zaszły w ich wyglądzie, były dla niego nie lada wstrząsem. Wyobraźnia podsuwała mu dotąd wizerunek imponujących, wspaniałych właścicieli posiadłości, którzy w Boże Narodzenie rozdają szczerze prezenty swoim dzierżawcom, a na co dzień celebrują przywileje i władzę dane przez Boga. Teraz szybko obliczył w pamięci, ile mogą mieć lat, i zaskoczony uświadomił sobie, że prawdopodobnie oboje dźwigają szósty, a może i siódmy krzyżyk.

I pomyśleć tylko, że kiedyś odczuwał respekt, a nawet lęk przed tą parą starych emerytów! Daphne O'Beirne Moffat, zaledwie cień dawnej pani domu, była teraz niepozorną kobietą o przeredzonych włosach i zażawionych oczach. Pułkownik zachował więcej ze swego dawnego wyglądu; chodził wprawdzie o lasce, ale trzymał się względnie prosto. Stracił jednak sporo na wadze i skóra nad staroświeckim kołnierzykiem spiętym spinką marszczyła się, tworząc brzydkie fałdy.

- Myślę, że wszyscy się znają? - zapytała niepewnie Rosę i spojrzała na matkę.

Obojętna mina pani O'Beirne Moffat nie zmieniła się ani trochę, zamiast żony odpowiedział pułkownik:

- Owszem. Jak się masz, John? Co słyhać, Derek? - Po tych słowach uczynił gest, jakby chciał sięgnąć do kieszeni kamizelki po zegarek, rozmyślił się jednak i spojrzał na żonę:

- Usiądź, moja droga. Nie jest ci zimno?

Daphne wolnym krokiem przeszła przez pokój i usiadła na krześle tuż przy kominku. Nie zwracając na gości najmniejszej uwagi, wyjęła robótkę i zajęła się haftowaniem. Pułkownik odchrząknął.

- Jak sądzę, z naszą dwójką młodych gałganów są znowu kłopoty?

- Historia się powtarza. - Niezwykła pasja, jaka zabrzmiała w tych słowach, musiała stanowić dla innych zaskoczenie, zwłaszcza że wypowiedziała je kobieta, która wyglądała, jakby lada chwila miała rozpaść się na drobne kawałki.

- Przestań, mamó! - zawołała Rose.

- Wyrażam tylko swoją opinię. Wolno mi, prawda? To chyba nadal mój dom? A więc mogę mieć własne zdanie, tego nie możecie mi zabronić!

- Proszę cię, Daphne! - Gus bezradnym gestem rozłożył ręce.

- Przykro mi, że nadal odnosi się pani do mnie w ten sposób - odezwał się John. - Zaszły jednak pewne okoliczności, o których Rose może opowie któregoś dnia... i które mogą zmienić pani stosunek do mojej osoby.

Derek znowu poczuł wypieki na twarzy. Postanowił zmienić nieco temat rozmowy.

- Jeśli nikt nie ma nic przeciw temu, pójdę rozejrzeć się trochę za synem.

- Myślę, że na to jest już za późno. - Matka Rose nie dawała za wygraną.

- Przestań wreszcie! - Rose zakryła sobie uszy dłońmi. - Jeśli nie zamierzasz wnieść do rozmowy nic konkretnego, to nie odzywaj się w ogóle!

- Za późno na co, pani O'Beirne Moffat? - Napięcie, które gromadziło się w Dereku od dłuższego czasu, osiągało z wolna punkt kulminacyjny.

- Po prostu za późno - odparła Daphne, przeszywając go wzrokiem. - I wiesz dobrze, co mam na myśli, młody człowieku. Ty i twój brat sprowadziliście na ten dom same nieszczęścia!

Nastąpiła kłopotliwa cisza, którą przerwał pułkownik.

- Proszę cię, moja droga! - szepnął do żony. Jego twarz przybrała kolor koguciego grzebienia. - Bardzo mi przykro - zwrócił się do braci. - Ona wcale tak nie myśli, powiedziała to pod wpływem emocji. Ona wcale tak nie myśli... - Znowu odwrócił się do Daphne. - Jesteś trochę podenerwowana i...

- Z całą pewnością powiedziałam to, co myślę. Ten człowiek - wycelowała drżący palec w Johna - rozbił naszą rodzinę, a teraz najwidoczniej chce uczynić to znowu. Tym razem korzystając z pomocy swojego brata.

- Wystarczy, Daphne! - Pułkownik uderzył laską w dywan, jego poźółkłe policzki zatrzęsły się. - Zabraniam ci wygadywać takie rzeczy!

Derek, zażenowany nieco toczącą się na ich oczach sprzeczką, spojrzął na brata, jakby oczekiwał od niego jakiejś pomocy, ale John wpatrywał się teraz w pułkownika. Jego twarz wyrażała coś jakby podziw.

- Wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. - Daphne zacisnęła usta. - Moja rodzina nie dała nigdy najdrobniejszego choćby powodu do skandalu.

- Mówiłem już, że na tym koniec, moja droga. - Pułkownik złagodził nieco ton głosu. Podszedł do żony i niemal czułym gestem okrył jej nogi kocem. - Pójdę się przejść, rozejrzę się po stajniach. Dobrze mi zrobi łyk świeżego powietrza. - Wyprostował się i spojrzął na obu braci. - Nie zdziwiłbym się, gdyby była to burza w szklance wody. Młodym nie stanie się nic złego, odnajdą się cali i zdrowi. Po prostu stracili rachubę czasu.

- Idziesz, tato? - Rose wyprostowała się i Derek dostrzegł teraz, gdy wychodziła z pokoju, jak bardzo jest podobna do Gusa.

- Nie zapomnij ubrać się ciepło! - zawołała za nią Daphne, tak jakby tamta nieprzyjemna dyskusja w ogóle nie miała miejsca.

- Życzę miłego wieczoru, pani O'Beirne Moffat - pożegnał się John z zawodową uprzejmością doświadczonego hotelarza. - Przepraszam, jeśli zakłóciliśmy pani spokój. Idziesz, Derek?

Derek nie odrywał wzroku od matki Rose.

- Tak, już idę - odparł powoli. Gdyby sytuacja nie była taka poważna, można by ją uznać za śmieszna, pomyślał. Ta kobieta to żmija.

Wychodząc z Johnem, spojrzął za siebie: pułkownik stał obok żony i głaskał ją po ramieniu.

* * *

Przewidywania Gusa były trafne. Darina i Bruno ukryli się w kącie wozowni.

Ze stojących tu niegdyś powozów został jedynie dwukołowy wózek konny, do którego dawniej zaprzęgano Clickera, ostatniego trzymanego we dworze kuca. Pojazd, wepchnięty w najciemniejszy zakątek szopy, przedstawiał tak żałosny obraz zniszczenia, że nawet wędrowni handlarze starzyzną nie zdecydowali się go kupić. Brakowało w nim jednego dyszla, drugi natomiast sterczał pionowo do góry niczym oskarżycielski palec kaznodziei.

Oboje rozmawiali z ożywieniem, a przynajmniej mówiła Darina, podczas gdy Bruno słuchał pilnie jej wywodów na temat teorii spirytystycznych.

- Kiedy już sobie wszystko przemyślisz – powiedziała z powagą - odnajdziesz w tym głęboki sens. Każda dusza to jednostka stworzona przed trylionami lat. A jej celem jest

osiągnięcie doskonałości... raju, jeśli wolisz. Ale przedtem trzeba przejść przez wiele wcieleń, jakby testów. Za każdym razem, kiedy się rodzisz, otrzymujesz cały szereg zadań do wykonania, w zależności od tego, jakie życie akurat prowadzisz. Rozumiesz?

- Chyba tak. - Bruno w skupieniu potarł sobie czoło. - Możliwe, że tu właśnie leży punkt styczny wszystkich religii. Na przykład w rozumieniu nas, chrześcijan, ta doskonałość zostaje osiągnięta, gdy człowiek umiera i staje przed obliczem Boga.

- Tak, ale jest tu pewna różnica. Jeśli spojrzysz na to tak jak ja, stwierdzisz, że Bóg daje ci więcej niż jedną szansę. Czy według ciebie On byłby Bogiem, gdyby widząc, że popełniłeś błąd w jednym wcieleniu, skazał cię na wieczne potępienie i pobyt w piekle?

- No tak, to by nie miało sensu - przyznał Bruno.

- Myślę, że każdy człowiek czuje w głębi duszy, iż tak właśnie jest, bez względu na to, czego się nauczy w szkole lub kościele - kontynuowała Darina. - Tylko że wielu ludzi, zwłaszcza dorośli, zamyka się na te sprawy. Na przykład moja matka. To wspaniała kobieta, ale zaczyna patrzeć na wszystko w sposób bardzo stereotypowy. Musisz przyznać, że dorośli odcinają się od wszystkiego, co się wiąże ze światem nadprzyrodzonym, mistyką, magią. Kiedyś - usiadła, podciągnęła kolana pod brodę - wierzyłam w czarownice. I w pewnym sensie wierzę w nie nadal. Bo czy ktoś może udowodnić, że ich nie ma?

- Och, Darino, daj spokój! Jeśli chodzi o czarownice...

- Nie - pokręciła energicznie głowę. - Powiedz: czy ktoś może to udowodnić? Założę się, że i u was, na Wyspie, ludzie mówią dużo o duchach i w ogóle...

- No tak, ale to co innego!

- Wcale nie. Tak samo mówi się o tym w Irlandii, nawet w Dublinie, w centrum wielkiego miasta. Powiem ci, co o tym myślę. Myślę, że im ludzie są młodszy, tym łatwiej wierzą w takie rzeczy, gdyż czują je, a zarazem wierzą w to, co czują. Ale kiedy zaczynają się angażować w problemy dorosłych, na przykład w pracę i zarabianie pieniędzy, przestają się wsłuchiwać w samych siebie. - Oparła się o ramię Brunona. - Jak już mówiłam, moja matka jest wspaniałą i bardzo inteligentną kobietą, ale na pewno wpadłaby w szal, gdyby usłyszała teraz, co ci opowiadam. Ona pragnie tylko jednego: żeby się dobrze urządziła w życiu, była szczęśliwa i odniosła wiele sukcesów. Ale może, gdy była w moim wieku... może gdy twoi rodzice byli w naszym wieku... może oni wszyscy czuli to, co ja czuję teraz, tylko że zdążyli o tym zapomnieć. Rozumiesz? A ja nie chcę o tym zapomnieć. Zwłaszcza teraz, kiedy poznałam ciebie...

- Co to? - Bruno zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Przed drzwiami wozowni rozległy się czyjeś kroki; usłyszała je również Darina.

Oboje wstrzymali oddech.

Drzwi uchyliły się i Darina zbyt późno przypomniała sobie o latarce ustawionej tuż obok nich. Chciała ją zgasić, ale ten, kto wszedł do środka, zauważył już blask światła i ruszył w stronę powozu, gdzie siedzieli.

- To ja - usłyszeli głos Gusa. - Musi wam tu być bardzo niewygodnie.

- Dzień dobry, dziadku - odparła cicho Darina. - To jest Bruno.

* * *

W holu domku rybackiego zegar wybił północ. Derek spojrzął bezradnie na chłopca, którego traktował jak swojego syna. Do dzisiejszego wieczora nie przypuszczał nawet, że może się w nim kryć aż tak daleko posunięta determinacja. Po raz nie wiadomo już który zastanawiał się, jak to możliwe, że wychowywał chłopca tak długo, a nie poznał go od tej strony. Upór Brunona okazał się dużym problemem. Derek próbował już różnych metod: od pochlebstw, poprzez groźby, aż po wysuwanie rzeczowych argumentów. Wszystko na próżno. Bruno był teraz tak samo nieprzejednany, jak godzinę wcześniej, kiedy wszczęli dyskusję.

W pewnym sensie Derek podziwiał chłopca; ta nieugiętość zasługiwała na uznanie.

Po ostatecznym pożegnaniu z Darina, na które dostał piętnaście minut, Bruno bez sprzeciwu wyjechał z Sundarbans wraz z nim i Johnem, ale Derek cały czas czuł się niepewnie. Mimo iż w samochodzie rozmawiali spokojnie, a nawet przyjaźnie, nie potrafił się pozbyć wrażenia, że w umyśle Brunona otworzyła się nowa jakby przegródka, do której nikt prócz Dariny nie ma dostępu.

Siedzieli teraz przy dużym stole kuchennym, a chłopiec wyglądał na wypoczętego i świeżego. Tak jakby była dziewiąta rano, pomyślał Derek. Postanowił spróbować jeszcze raz i w tym celu przywołał na pomoc resztki sił.

- Jesteś jeszcze za młody, aby zrozumieć, o co chodzi - powiedział poważnym tonem.

- Tato, mógłbym się poczuć urażony tym, co mówisz - odparł Bruno.

- Nie chciałem cię urazić - zapewnił Derek - ale są rzeczy, które z pewnością wzięłybyś pod uwagę, gdybyś był starszy.

- Na przykład jakie?

Pamięć podsunęła mu słowo, które zasłyszał dawno temu, jeszcze w dzieciństwie.

- Czy wiesz, co to impedyment?

Bruno zmarszczył brwi.

- Chyba tak... to chyba coś w rodzaju przeszkody, zawady...

- Owszem, jesteś blisko. Ale chodzi mi o inny sens tego słowa. Na przykład prawny.

- Nie rozumiem.

- A więc, czy możesz uwierzyć mi na słowo? - Derek pochylił się do niego, aby nadać swoim słowom większe znaczenie. - Czy uwierzysz mi, że istnieje pewna poważna przeszkoda, która uniemożliwia ci utrzymywanie bliższych kontaktów z Dariną Flynn?

- Chodzi o to, że jesteśmy stryjecznym rodzeństwem? Wiem już o tym. Ale to żaden problem, naprawdę...

- Jest coś znacznie poważniejszego. Znacznie poważniejszego. - Derek wstał, podszedł do krzesła, na którym siedział Bruno. - Ufasz mi? Czy zawiodłem cię kiedykolwiek w przeszłości?

- Nie.

Po raz pierwszy Derek dostrzegł w jego błękitnych oczach cień niepewności.

- Czy zaufasz mi również tym razem?

- W jakim sensie?

- Czy uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że wiem o czymś, co obiecałem utrzymać w ścisłej tajemnicy i co ze względów etycznych uniemożliwiłoby ci kontynuowanie związku o takim charakterze jak obecnie z tą dziewczyną?

- Nie wierzę ci. - Bruno wstał. - Przykro mi, tato, nie chciałem być niegrzeczny. Oczywiście jestem przekonany, że ty wierzysz w to, co mówisz. Ale jak możesz przypuszczać, że uwierzę w coś, czego nie zamierzasz mi nawet wyjaśnić?

- Czasem tak właśnie bywa między przyjaciółmi lub między ojcem i synem.

- Zgadza się, ja ci już jednak powiedziałem, że Darina jest teraz dla mnie najważniejszą osobą w życiu. Bez obrazy, tato, ale nic nie może stanąć temu na przeszkodzie. Wiem, że istnieją problemy. Wiem, że jestem młody i ona jest młoda, i - naszym zdaniem - to właśnie niepokoi wszystkich dookoła. Ale my kochamy się naprawdę. Takie są fakty. Tak się po prostu złożyło. Nie chcemy sprawiać nikomu kłopotów, ani ona, ani ja. Nie da się jednak cofnąć tego, co się już stało, przynajmniej nie w tym życiu. Mógłbym powiedzieć, że wolałbym oszczędzić wszystkim tych problemów i dlatego żałuję, iż poznałem Darinę. Ale to byłoby kłamstwo, okropne kłamstwo. Jestem szczęśliwy, że spotkałem ją wtedy nad tym jeziorem, tak bardzo szczęśliwy, że nie potrafię tego wyrazić. Może moje słowa zabrzmiały staroświecko, ale swoje uczucie do Dariny mogę opisać tylko tak: mam wrażenie, że ona wypełnia powietrze wokół mnie i we mnie, cały czas.

- Znam to uczucie.

- Nie obraż się, tato, ale to już twoja sprawa. A jeśli naprawdę wiesz, jakie to uczucie,

jeśli wiesz to w głębi serca, z pewnością orientujesz się także, iż nic nas teraz nie jest w stanie rozdzielić. Nic i nikt.

- Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

- Bo nie mam w co wierzyć. Ale chciałbym, abyś ty mi uwierzył, że nawet gdybyś mi powiedział, o co chodzi, to i tak nie miałyby to dla mnie znaczenia.

Na jego ładnej twarzy Derek ujrzał uniesienie i pasję, jakich nie dostrzegał u chłopca nigdy przedtem. Przez jedną krótką straszliwą chwilę poczuł pragnienie, aby wyznać mu prawdę. Z trudem się opanował. Nawet gdyby się pogodził z ewentualną utratą Brunona, nie miał prawa wyjawiać mu całej prawdy. Mimo wszystkich niesnasek, jakie poróżniły go z Karen, pod tym względem zamierzał pozostać wobec niej lojalny.

Chwycił chłopca za ramiona.

- Popełniasz straszliwy błąd - powiedział. - Bardzo żałuję, że nie mogę przekonać cię o rozmiarach tego błędu. Spojrzał mu prosto w oczy, łudząc się nadzieją, że to zwiększy wagę jego słów. - Chciałbym bardzo wyznać ci, co mi leży na sercu. Ale tajemnica, o której ci wspomniałem, dotyczy dwojga innych ludzi, a ja obiecałem wiele lat temu, że nie zdradzę jej nikomu. Nie mam prawa mówić o tym. Powiedziałbym, gdybym mógł, chyba to rozumiesz?

Bruno wytrzymał jego spojrzenie.

- Tak, rozumiem, tato. Ale skoro ty kierujesz się zasadami honoru, musisz chyba uznać, że i ja mam swój honor. Ja także obiecałem coś Darinie.

- Co jej obiecałeś?

- Obiecaliśmy sobie coś, o czym nikt inny nie może się dowiedzieć - odparł Bruno, patrząc Derekowi w oczy, ten zaś zrozumiał, że nawet gdyby powiedział chłopcu teraz, iż Darina jest jego przyrodnią siostrą, ta wiadomość nie miałyby dla Brunona żadnego znaczenia, w tej chwili bowiem uważał, że znalazł miłość swojego życia. Istniało nawet potencjalne niebezpieczeństwo, że niezwykłość sytuacji stałaby się dodatkowym bodźcem zwiększającym jej urok.

Pozostała jedynie nadzieja, iż ta znajomość umrze śmiercią naturalną.

Derek odwrócił się od chłopca.

- Myślę, że na dziś wystarczy - powiedział i podszedł do drzwi kuchni. - Znasz moje stanowisko w tej sprawie. Jeszcze o niej porozmawiamy w dogodniejszej chwili, może w domu, gdy emocje już opadną. Nie wiem jak ty, ale ja jestem zupełnie wykończony.

- Ale Darina będzie mogła nas odwiedzić? - nalegał Bruno.

- To zależy od twojej matki. - Zmęczenie kładło się na Dereku ciężkim, dławiącym brzemieniem. W tej chwili marzyło mu się tylko wygodne łóżko. - Kładźmy się spać, Bruno.

Minęła już północ, a rano musimy wcześniej wstać.

- Dobrze, tato.

Weszli na piętro. Reszta domowników spała już, wszędzie panowała głucha, grobowa cisza. Derekowi nie starczyło nawet sił, aby umyć zęby. Zrzucił ubranie, włożył kurtkę od pidżamy i tak wśliznął się do łóżka. Resztki świadomości podpowiedziały mu, że Bruno gasi światło i kładzie się do łóżka w drugim końcu pokoju, a potem zapadł w głęboki, zbawienny sen.

* * *

Rose, siedząc na brzegu łóżka Dariny, wzięła córkę za rękę. - Boję się, że zmarzniesz. Zapowiada się bardzo zimna noc. - Dziewczyna miała na sobie tylko podkoszulek.

- Nie zmarznę, mamó. Wcale nie jest zimno, to tylko złudzenie. Przez ten szron na ziemi. Nic mi nie będzie, nie martw się.

Ma rację, pomyślała Rose, w pokoju jest chłodno, ale nie mroźno.

- Nie gniewasz się już na mnie? - zapytała, ściskając dłoń córki.

- Za co miałabym się gniewać? - Darina nie odwzajemniła uścisku; jej ręka wydawała się pozbawiona życia i bezwolna, oczy skierowały się gdzieś w kąt pokoju.

- Przecież wiesz... Wciąż mi się zdaje, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie odłożyła wtedy słuchawki...

- Proszę cię, mamó, daj spokój. Wcale się nie gniewam.

- Dobrze więc. Chciałabym tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro. Działalam wtedy pod wpływem chwili... A teraz powiedz, co będzie z tobą i Brunonem? Błagam, uwierz mi: chciałabym zrozumieć, co się dzieje.

- Mówiłam ci już wiele razy: Bruno i ja kochamy się. Przecież to proste.

- Ale Derek twierdzi, że czytujesz jakieś specjalne teksty. Że ty i Bruno wierzycie, iż wasz związek narodził się dlatego, że takie było przeznaczenie, los czy coś w tym rodzaju.

Darina spojrzała na nią ze zdumieniem.

- No to co? Mamy chyba do tego prawo.

- Weszliście na niebezpieczną ścieżkę, Darino.

- Wiem doskonale, co czuję ja i co czuje Bruno.

Rose znów się wydało, że znajduje się w składzie porcelany. Jeden nieostrożny krok - i potłucze wszystko na drobne kawałki.

- Przynajmniej nie śpieszczcie się tak bardzo, kochanie. Ty i Bruno jesteście jeszcze strasznie młodzi.

- Boisz się, że mogłabym zajść w ciążę?

Rose zdołała ukryć wstrząs.

- To też. Ale bardziej martwię się wpływem, jaki to mogłoby mieć na ciebie pod względem duchowym i emocjonalnym.

- A więc nie obchodzi cię, czy zajdę w ciążę...

- Oczywiście, że obchodzi. Byłabym tym bardzo zmartwiona.

- Nie obraż się, mamó, ale chyba ty nie powinnaś pouczać innych w tej sprawie, prawda?

Punkt dla niej, pomyślała Rose z wisielczym humorem. Ale sama się o to prosiłam.

- Masz rację, Darino - powiedziała. - Ja również popełniałam błędy. Ale właśnie dlatego chciałabym wierzyć, że ty wyciągniesz z tego odpowiednie wnioski.

- A więc żałujesz, że mnie urodziłaś? - Dziewczyna znów umknęła spojrzeniem w bok.

- Oczywiście, że nie. - Rose uświadomiła sobie, że Darina bardzo sprytnie zmienia kierunek rozmowy. - Po prostu chciałabym, żebyś zachowała ostrożność.

- Mówiłam już, że nie sypiamy ze sobą.

- Wiem i bardzo się cieszę. Seks tylko komplikuje takie związki w twoim wieku. A to nie...

- No cóż, jesteś w tych sprawach ekspertem...

- Przestań! - Rose puściła rękę córki, wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Pozwól, że powiem ci parę słów o sobie i... i o twoim ojcu - szepnęła. - Zasłużyłaś na to. - Zerknęła na łóżko; dobrze, że przynajmniej zdołała przyciągnąć uwagę Dariny.

- Mamó... - powiedziała dziewczyna bezbarwnym tonem - to nie moja sprawa, to już historia. Nie chcę nic wiedzieć na ten temat.

- A jednak ci opowiem. Muszę ci opowiedzieć. Zapewne powinnam była zrobić to dużo wcześniej, ale zabrakło mi odwagi. Musisz mi wybaczyć...

- Mamó, to krępujące...

- Mnie też nie jest przyjemnie. Ale proszę, posłuchaj mnie... Kochałam Johna Flynnę bardzo, bardzo mocno. Zapewne tak, jak ty Brunona. I również wtedy wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko nam, tym bardziej że on był synem ubogiego dzierżawcy w Sundarbans. Moja matka sprzeciwiała się jakimkolwiek kontaktom z nim. Nigdy z nią o tym nie rozmawiałam - przyznała szczerze - ale po prostu wiedziałam, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby nie dopuścić do naszych spotkań. Domyślałam się tego. - Umilkła i dodała po chwili: - Tak jak chyba ty spodziewasz się określonych reakcji z mojej strony.

- Niczego się nie spodziewam. W każdym razie myślisz chyba, że wiesz wszystko, co można wiedzieć na temat Brunona i mój...

- Nie wszystko, Darino! Właśnie o to chodzi. - Rose podeszła z powrotem do łóżka. - Nie wszystko - powtórzyła. - Wiem, co czujesz do tego chłopca, uwierz mi, proszę, że wiem naprawdę. Ale nie rozumiem... i tylko ty możesz mi to wyjaśnić... nie rozumiem tego, o czym Bruno wspomniał swojemu ojcu. Te bliźniacze dusze...

- Jażnie - sprostowała Darina. - Bliźniacze dusze to coś zupełnie innego.

- Chciałabym to zrozumieć, aby móc ci pomóc. - Rose wstrzymała na moment oddech. Może gdyby udało jej się zdobyć pełne zaufanie córki, problem zostałby rozwiązany. Darina poczęła skubać jakieś nitki na prześcieradle.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że kiedy jestem z Brunonem, czuję się tak, jakbym się przeglądała w lustrze. - Umilkła nagle, jakby przyszło jej do głowy, że nawet ten strzęp informacji odsonił ją w zbyt dużym stopniu, i spiesznie wsunęła się pod kołdrę. - Jestem bardzo zmęczona, mam. Czy nie możemy poczekać z tą sprawą do jutra?

- Wolalabym porozmawiać teraz...

Ale Darina odwróciła się już twarzą do ściany.

Rose, nie chcąc dać za wygraną, dotknęła ramienia córki, jednak ten gest okazał się błędem: dziewczyna wzdrygnęła się gwałtownie, jak oparzona.

Rose cofnęła się o krok.

- Już dobrze, kochanie, zostawmy to na razie. Ale wróćmy do naszej rozmowy, dobrze? Obiecuję, że nie będę ci miała niczego za złe, chcę po prostu zrozumieć, o co chodzi.

- Wiem, mam, ale teraz dajmy już temu spokój, proszę! - Darina zerknęła na nią przez ramię i znowu odwróciła wzrok. - Pogadamy o tym wkrótce, przyrzekam! - Westchnęła głęboko, przeciągle, jakby zapadała w sen.

Delikatnie i ostrożnie Rose nachyliła się i pocałowała ją w czubek głowy. Gęste włosy Dariny miały zapach mroźnego powietrza i Rose przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy dotknęła ustami niemowlęcych włosów córki.

- Dobranoc, kochanie - szepnęła. - Śpij dobrze.

* * *

Derek leżał bez ruchu, z trudem usiłując się uspokoić. Z głębokiego, mocnego snu wyrwał go jakiś dźwięk i Derek uświadomił sobie, że nie zaśnie ponownie, dopóki nie uda mu się go zidentyfikować. Wyteżył słuch, ale teraz wokół niego panowała głucha cisza.

No właśnie! Ta cisza była zbyt głęboka, aż podejrzana. Zaniepokojony usiadł na łóżku

i zapalił lampkę stojącą na szafce.

Łóżko Brunona było puste.

Zdezorientowany wpatrywał się w zmiętoszoną pościel, nie wierząc własnym oczom. Bruno jest z pewnością w łazience! Z łazienki jednak nie dochodził żaden dźwięk, ani odgłos kroków, ani szum wody. Derek spojrzął na zegarek. Dziesięć po trzeciej.

- O, mój Boże! - Wypowiedział te słowa na głos, a ponieważ zabrzmiały niesamowicie w tym nienaturalnie cichym pokoju, powtórzył je: - O mój Boże!

Wygramolił się z łóżka, wzdrygnął się, kiedy postawił stopy na podłodze wyłożonej zimnym linoleum i, narzucając na siebie pośpiesznie ubranie, w duchu pomstował na Brunona. Tym razem chłopak posunął się za daleko. Do diabła z wyrozumiałością! Derek nigdy jeszcze nie podniósł ręki na syna, ale teraz zaczynał dochodzić do przekonania, że należy mu się porządne lanie.

Nerwy sprawiły, że dyszał coraz gwałtowniej, a kiedy nachylił się, aby zasznurować buty, zakręciło mu się w głowie. Czym prędzej wyprostował się i odchylił do tyłu, czekając, aż poczuje się lepiej. Ależ ziółko z tego Brunona! John miał rację, kiedy powiedział, że z takim samym powodzeniem można by dyrygować parą królików na otwartym polu.

Tym razem, powtarzał sobie w duchu, tym razem Bruno posunął się za daleko. Stanowczo za daleko. Tym razem będzie musiał dostać nauczkę.

Ostrożnie, aby nie zbudzić nikogo, zszedł na dół i zdjął z wieszaka za drzwiami swoje palto. W holu stała nie rozpakowana jeszcze walizka, z którą wrócił poprzedniego dnia z Hamburga. Całe to zamieszanie sprawiło, że nie zdążył jej nawet otworzyć, a widok walizki przypomniał mu teraz, że za parę godzin obaj, on i Bruno, powinni być w drodze powrotnej do Kanady. Całe szczęście, że to już, pomyślał. Ta podróż do Irlandii okazała się prawdziwym koszmarem. Bał się nawet opowiedzieć o niej Karen.

Na samą myśl o żonie poczuł znowu nieznośne łomotanie serca, zrobiło mu się niedobrze. Będzie musiał zachować wyjątkową ostrożność, przekazując jej złe wieści. Mimo wszystko, niezależnie od kłótni i awantur, nadal łączy ich oboje żądza, która może trochę osłabła z upływem lat, ale nie wygasła. Ta żądza trzyma ich razem. Ale nie tylko to, pomyślał pośpiesznie. Spaja ich również Bruno, którego zarówno on, jak i Karen mogą użyć jako karty przetargowej w odpowiednim momencie, aby uciec się wobec siebie do emocjonalnego szantażu. Może gdyby mieli jeszcze inne dzieci, sprawy potoczyłyby się inaczej, ale tak się nie stało, oni zaś pogodzili się z tą sytuacją. Uznali, że wystarczy im Bruno.

A co teraz? Derek nie miał żadnego dowodu, że Karen nawiązała jakiś romans, ostatnio jednak zachowywała się bardzo dziwnie, dwukrotnie też zdarzyły się głuche telefony:

kiedy on podnosił słuchawkę, z drugiej strony nikt się nie odzywał. Jak to możliwe, że nie dostrzegł tego wszystkiego wcześniej?

Przeszyło go ostre żądło zazdrości, a gniew na Brunona pogłębił jeszcze ten nastrój. Do diabła, muszę rozmówić się z nią od razu po powrocie do domu, pomyślał. Gdzie są kluczyki do samochodu? Gorączkowo przejrzał garść kluczy leżących w holu, ale nie znalazł wśród nich tych od wynajętego auta.

Sprawdził jeszcze w kieszeniach płaszcz, a nawet na podłodze, ale bez rezultatu.

Może zostawiłem je w stacyjce, przyszło mu do głowy. Wyszedł przed dom i stanął jak wryty.

Gruchot Johna zajmował nadal swoje miejsce, ale po wynajętym samochodzie nie było nawet śladu.

Obok gniewu pojawił się nagle lęk. Bruno był doskonałym kierowcą, jak zresztą wszyscy na Wyspie Księcia Edwarda, bo do tego zmuszał tam brak komunikacji publicznej, nigdy jeszcze jednak nie prowadził samochodu przystosowanego do ruchu prawostronnego po drogach, gdzie obowiązywał ruch lewostronny. W dodatku o tej porze roku, kiedy szosy pokrywa zamarznięty śnieg. I o trzeciej nad ranem.

Na domiar złego w Irlandii nie wolno prowadzić wozu bez ubezpieczenia i w wieku zaledwie szesnastu lat.

- Lepiej, żebyś nie natknął się na policję - mruknął Derek. - Ależ z ciebie ziółko! - Nie było rady: wiedział, że musi się wybrać na poszukiwanie chłopca.

Wziął kluczyki od auta Johna. Szkoda czasu budzić teraz brata i pytać go o pozwolenie. Szedł szybkim krokiem, jego oddech tworzył mgliste obłoczki w powietrzu, które wcale nie było tak mroźne, jak przypuszczał, patrząc przez okno.

Zapuścił silnik i włączył ciepły nawiew powietrza na zaszronioną szybę. Czekając na skutek, raz po raz zerkał w stronę domu, skąd w każdej chwili mógł wyjść John, a jednocześnie zastanawiał się, co powinien powiedzieć tej parze młodych głupców, kiedy już stanie przed nimi. Nie wątpił, że i tym razem skryli się w Sundarbans, w starej wozowni.

O dziwo, czuł się teraz znacznie lepiej niż poprzednio, przestało mu też dokuczać serce. Miał za sobą jedynie trzy godziny snu, ale zimne, czyste powietrze orzeźwiło go skutecznie.

Włączył wycieraczki, aby przyspieszyć proces odszraniania, ale nagle przeszła go niepokojąca myśl: czy nie posunął się zbyt daleko, mówiąc o tamtej przeszkodzie? Miał nadzieję, że Bruno, chociaż jest bystrym chłopcem, nie zacznie kojarzyć pewnych faktów...

* * *

Derek popełnił co najmniej jeden błąd w rozumowaniu.

Darina i Bruno nie skryli się w wozowni, lecz na starej przystani nad jeziorem, zaledwie o dwieście jardów od miejsca, gdzie spotkali się po raz pierwszy.

Uprzątnęli kął szopy, wymościłi podłogę zbutwiałym już brezentem i innymi szmatami, które nadawały się, aby sklecić prowizoryczne posłanie, a potem położyli się w ubraniach, twarzami do siebie, i pocałowali się. Wargi Brunona wędrowały wszędzie tam, gdzie znalazły dla siebie miejsce, Darina odwzajemniała się tym samym. Najmniejszy ruch wzniecał kłęby kurzu, który podrażniał nosy. Bruno kichnął raz i drugi, a kiedy dziewczyna się zaśmiała, przygarnął ją zachłannie.

- Kocham cię, Darino.

- Ja też cię kocham.

- Już na zawsze?

- Tak - zapewniła go z głębokim przekonaniem.

- Nie chcę, żebyśmy się rozstali.

- Wiem. - Wsparła się na łokciu, spojrzała na niego czule i musnęła dłonią twarz, która to ginęła w cieniu, to znów wyłaniała się z niego; światło latarki, w której bateria wyczerpywała się stopniowo, było coraz słabsze i stanowiło tu jedyne oświetlenie. - Szkoda, że nie mogę cię zaprosić do jakiegoś pałacu - szepnęła.

- To miejsce podoba mi się, naprawdę.

Pocałowali się jeszcze raz.

- O czym rozmawiałeś z ojcem? - zapytała.

- Och, o tym, co zwykle - odparł. Kichnął ponownie.

- On nie chce, żebyśmy byli razem. - Darina patrzyła na słabnący, migotliwy blask latarki, w którym nad ich głowami połyskiwał splot pajęczych sieci. - Oni wszyscy są przeciw nam.

- Tak, wiem. Ale dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. Nie obchodzi mnie, co o nas myśli mój ojciec czy ktokolwiek inny.

- Nikt by nie zaakceptował naszego związku, wiesz? Coś w tonie jej głosu zaintrygowało go.

- Dlatego że jesteśmy stryjecznym rodzeństwem?

- Chyba tak. Ale czuję, że jest jeszcze coś. Coś, co ma związek z nimi, nie tylko z nami.

- Dziwne, że i ty to mówisz - szepnął z namysłem. Przytulił ją do siebie, tak aby mogła oprzeć głowę na jego ramieniu. - Mój tata też powiedział, że istnieje jakaś inna przeszkoda, ale nie może mi tego wyjaśnić, bo to tajemnica.

- Tajemnica? - Darina drgnęła. - Czy mówił coś jeszcze na ten temat?

Bruno zawahał się.

- Nie, raczej nie...

- Jesteś pewien?

- Raczej tak. Ale jeśli mam być szczery, nie słuchałem go zbyt uważnie. W każdym razie przyrzekł dwojgu innym ludziom, że dochowa tajemnicy... albo złożył przysięgę, że dochowa tajemnicy, która dotyczy dwóch innych osób... coś w tym rodzaju, nie pamiętam dokładnie. Mówił chyba jeszcze o jakiejś przeszkodzie... nazwał ją impedymentem.

Darina usiadła.

- Jesteś pewien, że tak się wyraził? Powiedział: impedyment?

- Tak. Czy to ważne?

- Nie jestem pewna - odparła powoli. - Muszę pomyśleć.

- Co to takiego ten impedyment?

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba ma jakiś związek z zawieraniem małżeństwa. Wspominali o tym na lekcjach religii, w każdym razie impedyment to jakaś ważna przeszkoda w tych sprawach. Nie wolno się żenić z kobietami, co do których istnieje zbyt bliski stopień pokrewieństwa.

- A więc ojciec miał chyba na myśli fakt, że jesteśmy stryjecznym rodzeństwem.

- Ależ Bruno, przecież nawet Kościół katolicki dopuszcza małżeństwa w przypadku pokrewieństwa drugiego stopnia. Twojemu ojcu chodziło chyba o coś innego. Poczekaj, niech pomyślę... - Po krótkiej chwili milczenia zapytała: - Powiedział, że obiecał dwóm osobom dochowanie tajemnicy?

- Mówił, iż ta sprawa dotyczy dwóch innych osób. Tak powiedział.

- Dwóch innych osób... - Wymowa tych słów uderzyła ich oboje w tym samym momencie. Darina zadrżała gwałtownie. - Czy wiesz, o czym myślę? - wyszeptwała.

- Powiedz... Powiedz, o czym... - poprosił cicho i instynktownie odsunęli się trochę od siebie.

- Myślę, że twoja mama i twój tata nie są wcale twoimi prawdziwymi rodzicami.

- Dlaczego... dlaczego tak myślisz?

- I jeszcze wydaje mi się, że wcale nie jesteś moim kuzynem, tylko bratem.

- To niemożliwe! - Ale Bruno wykrzyknął to bez przekonania. - Przecież jestem tylko

o pięć miesięcy młodszy od ciebie - dodał takim tonem, jakby ją prosił o zapewnienie, że to nie może być prawda.

- Czy widziałeś swoją metrykę urodzenia? - zapytała Darina.

- Oczywiście.

- I są tam wpisane imiona twoich rodziców?

- Tak.

- I na pewno urodziłeś się w Kanadzie?

- Mam kanadyjską metrykę urodzenia i kanadyjski paszport.

- W takim razie jedną sprawę przynajmniej mamy wyjaśnioną: moja matka nie może być twoją matką, bo wychowywała mnie w Dublinie w tym samym czasie, kiedy ty przyszedłeś na świat. Musimy zastanowić się nad twoim ojcem.

- Jak to? - W głosie Dereka zabrzmiał strach. - Darino, nie chcę więcej mówić o tych sprawach.

- Musimy. Chyba chcesz poznać prawdę, czyż nie?

- Właściwie... właściwie nie jestem tego pewien.

- Twój tata i twój stryj John są bliźniakami. Obaj wyemigrowali w tym samym czasie, czy tak?

- Tak. Tata często opowiadał mi o podróży statkiem i jak poznał moją mamę i jak stryj John... - Urwał nagle w pół zdania, a cisza, jaka zaległa między nimi, stała się po chwili przerażająca, głucha, aż dzwoniło w uszach.

Światło latarki zamigotało gwałtownie i zgasło. Darina słyszała, jak głośno wali jej serce.

- Twój stryj John... - szepnęła w ciemności. - On nie jest twoim stryjem. To twój ojciec! Na tym polega ta tajemnica.

Bruno nie odpowiadał.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. Po omacku odszukała jego rękę, zacisnęła na niej dłoń.

- Tak mi przykro... - powiedziała. Przysunęła się bliżej, objęła go czule. - Teraz wydaje mi się, że wiedzieliśmy o tym już wcześniej.

- Ja nie wiedziałem. - Jego głos drżał silnie. - Naprawdę nie wiedziałem. Kochałem tatę.

- Ale już wiesz, dlaczego rozumieliśmy się oboje tak dobrze.

- Tak.

- Tylko że tu chodzi o coś więcej niż o to, że jesteśmy bratem i siostrą, przyrodnim

rodzeństwem czy czymś w tym rodzaju. Ty i ja żyjemy teraz po to, aby pomóc sobie wzajemnie przed kolejnym wcieleniem. Pomóc w tym, aby pojawić się w następnym wcieleniu. - Mówiła z coraz większym ożywieniem.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Jestem pewna, że znaleźliśmy się tu dziś, żeby to sobie uświadomić. I osiągnęliśmy nasz cel. Ustaliliśmy, kim jesteśmy dla siebie.

- Kimś więcej niż bliźniaczymi jaźniami?

- W pewnym sensie. Bruno, jeśli nie załatwimy wszystkiego jak należy w tym życiu, będziemy spotykać się stale w kolejnych wcieleniach. I dopóki nie uporamy się z naszym problemem, będziemy nadal nieszczęśliwi.

- Darino, nic z tego nie rozumiem!

- Nie musisz rozumieć. Powinieneś to przede wszystkim czuć.

- Nie byłem nieszczęśliwy, naprawdę nie byłem. Ani trochę. - Nieznacznie odsunął się od dziewczyny.

- Może nie wiedziałeś, jak wygląda prawdziwe szczęście. Czy nie miałeś stale wrażenia, jakbyś czegoś szukał, choć nie wiedziałeś czego?

- Taak... Teraz, kiedy to powiedziałaś, wydaje mi się, że tak właśnie było. Jednak... dopóki nie zdawałem sobie z tego sprawy, nie czułem się nieszczęśliwy.

- Ale czy nie czujesz się szczęśliwy, odkąd spotkałeś mnie? Odkąd się poznaliśmy?

- O tak, Darino, tak! - Przytulił ją do siebie. - Powiedz, skąd tyle wiesz? Kto cię tego nauczył?

- Po prostu dużo czytałam, ale przede wszystkim wiem, co czuję. A to, co czuję, jest właściwe, jestem tego pewna. Jestem też pewna, że jeśli postąpimy teraz właściwie, zostaniemy przeobrażeni.

- Co?

- Postaraj się spojrzeć na to logicznie, Bruno. Oni nie dopuszczą do tego, abyśmy byli razem, chyba o tym wiesz? W każdym razie nie teraz. Wiedzą, jak wygląda prawda. Starali się nas rozdzielić, tak żebyśmy jej nie poznali, a sami tkwią dalej w tych brudach. We własnych brudach. Jeśli pozwolimy im postawić na swoim, to ta chwila, ta godzina, będzie ostatnią, jaką wspólnie spędzimy na tej ziemi, w obecnym życiu. Wiem tylko, że jeśli na to zezwolimy, będę się czuła bez ciebie bardzo nieszczęśliwa.

- A czy mamy jakiś wybór? - zapytał szeptem, z głową na jej piersi.

- Jasne, że mamy. Wiesz, czym dysponujemy? Dysponujemy za każdym razem naszymi duszami i ciałami, które otrzymujemy w aktualnym wcieleniu.

- Naprawdę wierzysz, że mamy więcej niż jedno życie?

- A sądzisz, że miliony wyznawców buddyzmu i hinduizmu mogłoby się mylić? Ale odpowiem ci: tak, wierzę, że mamy więcej niż jedno życie. Zwłaszcza teraz to nabiera sensu. Pomyśl tylko, Bruno. Czy wydałoby ci się właściwe, gdybyśmy mieli tylko jedną szansę na właściwe spędzenie życia, tylko jedną jedyną, i w zależności od wykorzystania tej jednej szansy bylibyśmy potępieni lub też nagrodzeni już na całą wieczność? Nie wierzę, aby Bóg mógł postępować w ten sposób! To po prostu niemożliwe! A przynajmniej ja w to nie wierzę.

- Rozumiem, co masz na myśli, ale...

- I to wcale nie jest zbyt skomplikowane, wprost przeciwnie! - Darina nie potrafiła już ukryć, jak bardzo jest rozgorączkowana. - Oni wszyscy wiedzą o tym, tak jak my, Bruno. Tylko że nie chcą tego zaakceptować. My, podobnie jak ludzie naszego pokroju, postępujemy inaczej, bo wsłuchujemy się w swoje uczucia. Również dlatego, że nie zadowolili nas odpowiedzi na nasze pytania, które zadawaliśmy w przeszłości.

- Mówisz o ludziach podobnych do nas oraz o samej sobie, Darino. Tymczasem ja nigdy nie zadawałem takich pytań.

- Ale teraz mi wierzysz? Albo przynajmniej czujesz, że mam rację?

Zastanawiał się długą chwilę.

- Tak - odparł w końcu. - To, co mówisz, ma sens.

- A widzisz! - zawołała z triumfem. - A widzisz! Dlatego właśnie się spotkaliśmy i dlatego tak szybko nawiązała się między nami więź duchowa. Nie chodzi tylko o to, że rozpoznaliśmy się wzajemnie jako bliźniacze jaźnie; nas wysłano ku sobie. Parę miesięcy temu znalazłam w bibliotece tę książkę... nie pamiętam jej tytułu, ale uderzyła mnie w niej jedna myśl, którą zapamiętałam. To było zdanie, które brzmiało mniej więcej tak: „Gdy uczeń będzie gotów, zjawi się nauczyciel”. My jesteśmy nauczycielami dla siebie. Zrozumiałam to natychmiast, kiedy cię poznałam. Jest wielka różnica między tym, czy ktoś wie, czy rozumie. Chodzi o akceptację.

- I jesteś przekonana, że spotkaliśmy się już wcześniej?

- Tak! - Z zapalem pokiwała głową. - I czuję w głębi duszy, że Bóg chce, abyśmy... nie, nie tylko my, ale wszyscy, a więc: aby wszyscy ludzie dostali się do raju, co oznaczałoby doskonałość. Pod tym względem Kościół katolicki ma rację. Ale nie mówi nam, że jeśli nie osiągniemy tego celu w ciągu jednego życia, mamy jeszcze szanse w kolejnych wcieleniach, aż do skutku. I w tym czasie spotykamy ludzi, którzy albo nam pomagają, albo przeszkadzają. Naszym obowiązkiem jest rozpoznać ich i ustalić sposób postępowania z nimi. Takie jest nasze zadanie.

- A co będzie, jeśli tego nie zrobimy?
- Będziemy ich stale spotykać, dopóki zadanie nie zostanie wykonane.
- Chcesz powiedzieć, że jeśli nie zobaczymy się nigdy więcej, zaczniemy się spotykać w którymś z innych wcieleń?

Zawahęła się.

- Tak. Ale prawdą jest też, że rozpoznaliśmy się już wzajemnie. Kochamy się, pomogliśmy sobie. Oboje czujemy to samo. Wywiązaliśmy się z naszego zadania w tym życiu.

Zastanawiał się, co odpowiedzieć, a ona w pewnej chwili położyła mu dłoń na ramieniu.

- Óóó! Słyszałeś?

Gdzieś w oddali rozległ się przytłumiony warkot samochodu.

- Jedzie naszą drogą - szepnęła Darina.

- Skąd wiesz?

- Bo tu w pobliżu nie ma innej.

Znowu zaczęli nasłuchiwać. Warkot narastał, tak jakby samochód zbliżał się z każdą chwilą.

- To oni - domyśliła się Darina. - Zauważyli, że nie ma nas w domu, a więc zaczęli poszukiwania.

- I co teraz zrobimy? - wyszeptał Bruno.

- Óóó, ani słowa!

Czekali w napięciu, dopóki odgłos nie ucichł.

- Och, Darino! - Przytulił się do niej. - Nie możemy czekać tak po prostu, aż nas znajdą. - Jego głos drżał z lęku.

- Już dobrze - powiedziała. - Nie przejmuj się tym, kochanie. - Otoczyła go ramionami i pocałowała delikatnie w usta. - Nie martw się, najdroższy, wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci, że wszystko się ułoży. Przekonasz się... - Nie wypuszczając chłopca z objęć, całowała go raz po raz. - Zaufaj mi, a wszystko będzie dobrze. Nikt już nas nie rozdzieli. Już zawsze będziemy razem, zawsze.

Parę sekund później wymknęli się z szopy i znaleźli schronienie w gęstwinie drzew, niecałe sto jardów dalej.

* * *

- Ach, to tak! - mruknął do siebie Derek, kiedy minął ostatni zakręt alejki w

Sundarbans. Wynajęty samochód stał zaparkowany tuż przed podjazdem wiodącym do drzwi frontowych domu. Derek zatoczył hillmanem koło na drodze i wyłączył silnik.

Postanowił przeprowadzić poszukiwania na własną rękę. Nie ma sensu budzić wszystkich domowników, pomyślał. Jeśli będzie potrzebna pomoc, można wstąpić po nich później.

Postawił kołnierz płaszcz a ruszył w stronę wozowni. Szedł, bez trudu odnajdując drogę dzięki poświacie księżyca. Noc była piękna i pogodna, choć nieco mroźna; na szczęście jednak był to suchy ziąb, nie taki, który przenika do kości.

Derek nie zachwycił się teraz nocnym krajobrazem, nie miał na to czasu. Jego zadaniem było odnalezienie tego młodego narwańca, odizolowanie go od dziewczyny i dostarczenie do domu w Charlottetown. Przytrzymał kołnierz dłonią, chroniąc się przed chłodem.

Kiedy pchnął zardzewiałą furtkę, coś... może szczur?... przemknęło przed nim po wybrukowanym podwórzu. Wrota wozowni były uchylone.

- Ach, to tak! - powtórzył Derek i cicho, niemal na palcach, wszedł do środka.

Wewnątrz panowały egipskie ciemności, a głucha cisza sprawiała, że słyszał wyraźnie własny oddech, nieco świszczący i chrapliwy po krótkim, lecz wyczerpującym marszu. Po młodych nie było jednak nawet śladu. Ganiąc siebie w duchu za brak przezorności - nie wziął bowiem ze sobą latarki - Derek obszedł po omacku wszystkie kąty, poczynając od miejsca, gdzie stał przewrócony powóz.

Na próżno.

Nie było ich tu.

- Niech to diabli! - wykrzyknął.

Wyszedł z wozowni i zajrzał do stajni, sprawdzając wszystkie boksy. Przy tych, które były zamknięte na kłódkę, zatrzymywał się nasłuchując.

Nic.

Na podwórzu dostrzegł wąskie, obudowane schody, wiodące do pomieszczeń mieszkalnych nad stajniami, i natychmiast przeszył go lęk. Z rozmów z Johnem wiedział, że to miejsce, przewidziane w planach renowacyjnych jako pomieszczenie rekreacyjne i sala bilardowa, znajduje się obecnie w bardzo złym stanie, a podłoga grozi w każdej chwili zawaleniem. Ale chyba nawet młodzi zakochani mają dość rozumu, aby nie ryzykować tak wiele, pocieszył się w duchu. Poprzestał na tym, że jedynie wsunął głowę w drzwi klatki schodowej, nasłuchiwał chwilę, po czym zawołał:

- Bruno!

Jego głos odbił się głuchym echem od ścian, po czym znowu nastała cisza.

Znowu nic.

Rozczarowany i zniecierpliwiony, doszedł do przekonania, że musieli i tym razem zaszyć się gdzieś w lesie. Nie tracąc czasu, skierował się w stronę gęstwiny drzew na skróty, przez zaniedbany ogród.

* * *

Darina i Bruno leżeli pośród drzew przytuleni do siebie, w odległości około stu metrów od przystani. Bruno płakał bezgłośnie, łzy płynęły mu strumieniem po twarzy. Darina zebrała je czubkiem palca, posmakowała ustami, a potem pocałowała Brunona, aby i on poznał ich smak.

W pewnym momencie usłyszeli czyjeś kroki; ten ktoś znajdował się o parę minut drogi od nich i szedł, nie usiłując zachowywać się cicho.

- Chodźmy - szepnęła Darina. Wstała i pociągnęła Brunona za rękę. - Pośpiesz się, nie mamy wiele czasu.

Przygarnął ją do siebie i pocałował. - O Boże...

- Kochasz mnie?

- Kocham. Kocham...

- Ja też cię kocham. Wszystko będzie dobrze, najdroższy. Zawsze już będziemy razem, zawsze.

- Nie wiem, czy się na to zdobędę.

- To jedyne wyjście. Dobrze o tym wiesz.

Odgłos kroków zbliżał się nieustannie. Bruno oderwał się od dziewczyny, w jego oczach widniał strach.

- Właśnie uświadomiłem sobie, co w twoich słowach wydało mi się niezrozumiałe... Wtedy kiedy mówiłaś o kolejnych spotkaniach w przyszłych wcieleniach.

- Co takiego? - Jej głos był spokojny i czuły.

- Powiedziałaś, że nasze zadanie zostanie spełnione w tym życiu.

- Prawie - wyszeptała.

- W takim razie... dlaczego musimy spotkać się znowu?

- Wcale nie musimy. Będziemy tego pragnęli. I to będzie nam dane. To jest właśnie doskonałość. Na tym polega raj.

- Pocałowała go jeszcze raz, zarzuciła mu ramiona na szyję i zatopiła wzrok w jego oczach, a potem pociągnęła za rękę.

- Chodźmy, najdroższy.

Zapłakany, z twarzą mokrą od łez, wpatrzony w Darinę jak w obraz, szedł za nią posłusznie w stronę połyskującego w blasku księżyca jeziora.

* * *

Derek wyszedł spomiędzy drzew tuż obok przystani. Z pewnością są tutaj, pomyślał. Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Czuł ogarniające go znużenie. Szybki marsz pozbawił go resztek sił i energii, która rozpierała go jeszcze przed godziną. Spojrzał na zegarek. Minęła czwarta. To już szczyt wszystkiego! Jeśli nie znajdzie ich na tej cholernej przystani, zapomni o wszelkich obiekcjach i podniesie alarm w Wielkim Domu!

Westchnął ciężko. W takim razie czekałby go jeszcze długi marsz z powrotem.

Drzwi szopy były otwarte. Wstrzymując oddech, aby nie nałykać się kurzu, Derek wszedł do środka. Blask księżyca zamigotał na czymś jasnym, leżącym przy oknie. Derek podszedł bliżej. Latarka. A więc byli tu!

Może usłyszeli jego kroki i uciekli? Jeśli tak, nie mogli teraz znajdować się daleko stąd.

Wyszedł i powiódł wzrokiem wzdłuż linii brzegu, w jedną i drugą stronę. Chciał już zawrócić, kiedy zauważył, że gładka toń jeziora marszczy się na krótkim odcinku. Dopiero po chwili zorientował się, że to, co maści wodę, oddala się z wolna od brzegu. Może to łabędzie? Ale te dwa kształty, jakby złączone ze sobą, nie przypominały łabędzi. Zaintrygowany, zapominając na moment o Brunonie i Darinie, ruszył w tamtą stronę. Nieoczekiwanie poczuł pod nogą coś miękkiego i przystanął, aby sprawdzić, co to takiego.

- Jezu! - Serce wykonało gwałtowny skok w jego piersi. To buty Brunona! A tam, w wodzie, są oni dwoje! Tak! Widział już ich głowy. Tak, to oni! Przekłęci głupcy! Zamarzną w tej zimnej wodzie! Puścił się biegiem. - Hej, hej! Wracajcie! - zawołał. - Wracajcie natychmiast! Głupi szczeniaku! Bruno! Masz natychmiast wyjść z wody!

Obydwe głowy oddalały się powoli, na przekór jego wołaniom.

Nie przestając krzyczeć, zrzucił buty i wbiegł do jeziora. Nie zwracał najmniejszej uwagi na łomoczące rozpaczliwie serce.

- Bruno! Darina! Wracajcie! Wracajcie natychmiast!

W pewnej chwili potknął się o kamień i runął na dno. Woda nie była tu głęboka - może trochę ponad pół metra - ale szok termiczny w jednej chwili napełnił pierś potwornym bólem, który eksplodował, paraliżując ramiona i ręce, porażając głowę, oslepiając oczy i wzniecając w płucach straszliwy ogień.

Łapczywie łowiąc ustami powietrze, łyknął kilkakrotnie lodowatą wodę, ale to nic nie pomogło. Ból stał się nie do zniesienia, rozrastał się, ogarniając już nie tylko ciało, ale także wodę wokół niego... i niebo... i cały wszechświat...

Wreszcie błoga ciemność ukoїła go skutecznie, uśmierzyła ból. Początkowo szara, cudownie szara i łagodna, przybrała niebawem barwę czerni, a kiedy ustąpiła, Dereka otoczyła upajająca, nieskończona biel.

ROZDZIAŁ 17

John obudził się, czując łzy, które spływały mu po twarzy. Takt, że płakał, zaskoczył go, gdyż sen sprzed paru chwil był przyjemny, pełen ciepła i miłości. On i Derek byli znowu małymi dziećmi, bawili się jak dawniej przed stróżówką; matka ustawiła na dworze prowizoryczny stół do ping - ponga, a nawet grała z nimi - ona po jednej stronie stołu, oni dwaj po drugiej. Śmiała się radośnie, jej włosy błyszcząły w promieniach słońca, śmiali się także on i Derek. Wszyscy troje byli szczęśliwi, weseli, przyjaźni wobec siebie.

Ale teraz, gdy tylko otworzył oczy, cały koszmar poprzedniego dnia zburzył ten obraz szczęśliwości. John przewrócił się na brzuch i ukrył twarz w poduszce.

Poszczególne wydarzenia przetoczyły się przed jego oczyma wyobraźni niczym klatki filmu odtwarzanego w zwolnionym tempie.

Z samego rana zapukał do pokoju gościnnego, aby zbudzić Brunona i Dereka na śniadanie, a ponieważ nie usłyszał żadnej odpowiedzi, wszedł do pokoju. Łóżka były puste. John wyjrzał przez okno i zauważył, że nie ma samochodu brata.

Zmęczony po ostatnich emocjach i nie przespanych nocach, poczuł, że jego irytacja przybiera na sile. Co ten Derek sobie myśli? Jeśli zaplanował tak wczesny wyjazd, mógł go chociaż uprzedzić!

Zszedł na dół, aby sprawdzić, czy brat nie zostawił dla niego jakiejś wiadomości. Ponieważ nie znalazł żadnej kartki, irytacja przekształciła się w prawdziwy gniew. Tego już za wiele! Oburzony wbiegł z powrotem na górę, aby się umyć i ogolić.

Dopiero pół godziny później, kiedy wyszedł przed dom, zorientował się, że brakuje także jego wozu.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się w przerażającym tempie: telefon do Sundarbans, aby przekonać się, czy nie ma tam przypadkiem Dereka i Brunona; wiadomość, że zniknęła również Darina... Zdenerwowanie Johna sięgnęło szczytu. Najwidoczniej młodzi uciekli znowu jednym samochodem, a Derek pojechał za nimi drugim. Ale gdzie są teraz?

Rose sugerowała, aby zawiadomić policję, ale John nalegał, aby odczekać jeszcze trochę. Zgodziła się.

Piętnaście minut później zatelefonowała do niego przerażona, z płaczem; oba samochody stały zaparkowane w pobliżu domu, kluczyki tkwiły w stacyjkach.

W tej sytuacji zdecydowali się jednak powiadomić policję.

Około dziesiątej na brzegu jeziora znaleziono buty obojga młodych.

Parę minut później zauważono ciało Dereka; leżał na brzuchu, twarzą w trzcinach.

W południe ekipa pletwonurków wyłowiła z wody dwa pozostałe ciała. Dłonie Dariny były nadal zaciśnięte na karku Brunona - tak mocno, że nie można było obojga rozdzielić.

Resztę dnia wypełniły rozmowy telefoniczne, kondolencje, karetki, ambulanse, sekcje zwłok, zeznania i rozmowy z policją, wypełnianie dokumentów, załatwianie formalności z przedsiębiorcą pogrzebowym oraz łyż, łyż i łyż.

Jedyną osobą, która nie płakała, była Rose. Wyglądała nie tyle na pogrążoną w rozpacz, co raczej na całkowicie oszołomioną, a John, jakkolwiek serce krajało mu się z żalu, gdy na nią patrzył, nie potrafił znaleźć słów, które by do niej trafiły. Wydawało się, że Rose patrzy na świat i tę potrójną tragedię zza grubej szyby. Nawet Effie i Willie, którzy przyjechali po południu, nie potrafili do niej dotrzeć. Była całkowicie apatyczna i bierna, a oni mogli jedynie siedzieć przy niej i trzymać ją za ręce. Co jakiś czas ciszę przerywało łkanie Effie, ale nawet to nie wytrącało Rose z jej straszliwego bezruchu.

W tej sytuacji prowadzenie rozmów z przedsiębiorcą pogrzebowym oraz z księdzem przypadło w udziale Johnowi; leżąc teraz na łóżku, wzdrygnął się na samo wspomnienie przykrych spotkań z księdzem i z policjantami. Ci, choć okazali wiele współczucia, nie zdołali się jednak wyzbyć zawodowej rutyny.

Duchowny natomiast sprawił miłą niespodziankę. Stosunkowo młody, pracował w tej parafii od niedawna. Na miejsce zdarzenia przybył niedługo po Effie i Williem, natychmiast zajął się uspokajaniem matki Rose, która dostała ataku hysterii, co więcej: z własnej inicjatywy zatelefonował do Charlottetown i poinformował Karen o całej tragedii. W swoich pytaniach nie był zbyt natrętny ani wścibski, nie potrafił jednak ukryć zaskoczenia, kiedy John wyjawiał mu niezwykle charakter zaistniałej w jego rodzinie sytuacji. John nie miał mu złe zaciśniętych ust; z punktu widzenia księdza cała ta drastyczna sprawa nadawałaby się raczej na temat utworu w stylu Tennessee Williamsa; zupełnie nie pasowała do obyczajów sielskiej, tradycyjnej Irlandii.

Ciszę przerwał dzwonek budzika. Szósta. Trzeba wstać, pojechać na lotnisko w Dublinie po Karen i jej rodziców. Jak poinformowali, przylecą o wpół do jedenastej, jeśli uda się skorzystać z najdogodniejszych połączeń. John najchętniej wykreśliłby się od tego obowiązku, nie mógł jednak wysłać do Dublina kogoś obcego. Na szczęście Mona zaproponowała, że pojedzie razem z nim, a George miał mu pożyczyć swojego rovera.

Z trudem wstał z łóżka i przeszedł do łazienki, ale kiedy spojrzął do lustra nad umywalką, dojrzał w nim zamiast własnej twarzy groteskowo splecione zwłoki obojga młodych: swojej córki i jej ukochanego. Uświadomił sobie, że już nigdy nie zdoła wymazać z

pamięci tego obrazu.

On i Rose stali na brzegu, kiedy ułożono na piachu oba ciała: proste, jasne włosy ociekały wodą, która sączyła się także z otwartych ust, nosów, uszu i otwartych, choć niewidzących oczu. Jej ręce były splecione na jego karku, jego natomiast zwisały bezsilnie; kiedy ciała wyniesiono z jeziora, głowy topielców zakołysały się bezwładnie jak u noworodków.

Rose jęknęła głucho na ten widok, ale kiedy John ruszył ku niej, powstrzymała go krótkim gestem dłoni. Gus podszedł bliżej i okrył kocem ciała złożone na mokrym, błotnistym teraz brzegu. Zmiana ładnej, choć mroźnej pogody nastąpiła jeszcze przed południem.

Deszcz gnany przez ostre porywy wiatru lunął ponownie, kiedy stali wokół tego okropnego wzniesienia. Na domiar złego koc okazał się za krótki, nie zakrywał więc dwóch par bosych stóp; Dariny szczupłych i delikatnych, jak u baletnicy, oraz Brunona, szerszych i masywniej szych. Ich widok był do tego stopnia przygnębiający, że John odwrócił się i zapłakał bezgłośnie.

Jego córka. Przez dwa dni, może nawet trochę krócej, miał córkę. Nie zdążył z nią nawet porozmawiać...

Co jakiś czas łapał się na tym, że analizuje własną reakcję na śmierć Dariny. Z jednej strony nie miał uczucia, że utracił kogoś z własnej krwi i kości, z drugiej jednak, gdy przestawał choćby na krótką chwilę zajmować się czymś konkretnym, przed jego oczyma pojawiał się natychmiast obraz jej bezwładnego ciała, przywartego do zwłok chłopca.

Wzdrygnął się jeszcze raz i odszedł od lustra. Zrezygnował z golenia. Zrobi to później. Mona stała już w kuchni, szykując śniadanie.

- Jak się czujesz, John? - zapytała. - Udało ci się pospać choć trochę?

Jej ciepłe słowa chwyciły go za serce. Zaprzagnął nagle przytulić się do niej i wypłakać na jej piersi. Odkąd się znali, Mona zawsze troszczyła się o niego, pytała o jego samopoczucie.

- Chcę cię zapewnić, Mono - powiedział - że jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko i doceniam...

Drgnęła gwałtownie.

- Och, John, daj spokój! - zawołała. Na jej twarz wystąpiły rumieńce. - Przez te wszystkie lata byłeś prawdziwym skarbem dla mnie i mojego ojca! - Podniosła z kuchenki patelnię i poruszyła ją kilkakrotnie, aby tłuszcz pokrył równomiernie dno. - Nie wiem, jak byśmy sobie dali radę, gdyby nie ty - dodała. John domyślił się, ile ją kosztowały te słowa; Mona nie należała do osób zbyt otwartych i wylewnych.

On jednak uznał, że powinien jej wreszcie powiedzieć, jak bardzo ją ceni. Podszedł bliżej, odebrał jej patelnię, którą odstawił na bok, oparł dłonie na jej ramionach, a kiedy spotkali się wzrokiem, szepnął:

- Mówisz, że nie poradzilibyście sobie bez mojej pomocy? Bzdura! To ja nie przetrwałbym bez ciebie!

W oczach Mony zalśniły łzy, jej ciało zeszywniało, a on pomyślał już, że posunął się za daleko. Po krótkiej chwili jednak Mona przełknęła ślinę i odparła:

- Dziękuję, John. Jeśli naprawdę tak myślisz, cieszę się.

* * *

- Zaraz powinniśmy ich zobaczyć, John.

Drgnął zaskoczony, kiedy Mona dotknęła delikatnie jego ramienia. Przylot samolotu zapowiedziano już co najmniej piętnaście minut temu, a on czekał w gorączkowym napięciu na chwilę, kiedy pasażerowie wreszcie znajdą się w hali.

Nigdy nie lubił lotniska w Dublinie, jego zorganizowanego chaosu, metalicznie brzmiących zapowiedzi, zaaferowanych twarzy pasażerów. Dziś cały ten zgiełk wydawał mu się szczególnie niestosowny i drażniący. Zapragnął stanąć pośrodku hali i krzyknąć na cały głos, aby wszyscy uciszyli się i uszanowali zmarłych. Wiedział, że to niedorzeczne, ale trudno mu było pogodzić się z faktem, iż nikt z tych ludzi nie przejmuje się tragedią, tak straszną dla niego i trzech osób, z którymi miał się zobaczyć już za chwilę.

Dostrzegł Karen i jej rodziców, zanim oni wypatrzyli go w tłumie oczekujących. Karen z matką szły nieco w tyle za Svenem, który pchał wózek z bagażem. Kroczyli powoli, rozglądając się na boki, jakby nie byli przekonani, czy znaleźli się na właściwym lotnisku. Karen zmieniła się niewiele; w ciemnych okularach i w swoich blond włosach upiętych w wysoki kok wyglądała atrakcyjnie jak zawsze i ściągała na siebie uwagę wielu mężczyzn. John wziął głęboki oddech i wyszedł im na spotkanie.

Również matka Karen nosiła ciemne okulary, ale żałobna czerń była jedynym widocznym świadectwem tego, co przeżywała; podobnie jak córka i mąż, ona także robiła wrażenie spokojnej i opanowanej.

- Witaj, Karen. Dzień dobry państwu. - John podał im rękę na powitanie. - Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

- Nam również, John. Dla ciebie musiał to być straszliwy wstrząs... - Ochrypli głos Svena zdradzał niezwykle napięcie. - Co za okropne zdarzenie!

- Karen, czy znasz Moneę? - John dokonał prezentacji. Z uznaniem patrzył na taktowną

postawę Mony; nadawała się idealnie na takie spotkanie.

Większa część jazdy samochodem do Monaghan przebiegła w posępnym milczeniu. Mona siedziała obok Johna, Karen zajęła miejsce na tylnym siedzeniu, pomiędzy rodzicami; co jakiś czas John słyszał, jak ona i jej matka pochlipują cicho i wycierają nosy, ale poza tym zachowywały się spokojnie; mimo woli pomyślał z uznaniem o ich opanowaniu.

Kiedy wjechali do Ardee, John dostrzegł kątem oka sklep z używanymi rzeczami, przed którym właściciel ustawił na chodniku kilka starych żelaznych łóżek, jakie widuje się w tradycyjnie umeblowanych irlandzkich domach. Ich widok spotęgował jeszcze uczucie przygnębienia, wywołał w Johnie nagły ból.

- Przepraszam - szepnął. - Muszę wstąpić tu na chwilę, kupić coś...

Pamięć podsunęła mu nieoczekiwanie obraz, o którym myślał, że od dawna już przestał istnieć w jego duszy: on i Derek, jako pięcioletni chłopcy, z niezwykłym zapałem skaczą po żelaznym łóżku w starej stróżówce, jeden z prętów ramy pęka nagle, oni zaś lądują na podłodze pośród chaosu sprężyn, pościeli i materaców. A nad tym wszystkim góruje dziecięca, rozradowana twarz Dereka...

John odskoczył przed przejeżdżającym samochodem i przebiegł na drugą stronę ulicy, do sklepu.

Na szczęście przy ladzie stało już dwóch klientów, a zanim przyszła kolej na niego, zdołał wziąć się w garść. Poprosił o batonik czekoladowy i zapłacił.

Jak na ironię, pierwszym pojazdem, jaki dojrzał po wyjściu ze sklepu, był karawan pogrzebowy jadący na czele dość długiego orszaku. Cały ruch uliczny został wstrzymany; w ciszy, która zapadła, słychać było jedynie miarowy, powolny warkot silnika, któremu wtórował dostojny dźwięk dzwonu kościelnego.

John odwrócił wzrok, z trudem zachował spokój. Kiedy orszak przeszedł dalej, wrócił do samochodu. Do końca podróży milczał uparcie, ale gdy zajechali wreszcie przed „Willow House”, panował już nad sobą. Zarezerwował dla Lindstromów dwa pokoje i teraz, widząc za ladą George'a i Dorothy, z ulgą zajął się obustronną prezentacją i formalnościami. Do jednego pokoju wstawił walizkę Svena i jego żony, a kiedy ruszył dalej z drugą, poczuł na ramieniu dłoń Karen.

- Czy masz chwilę czasu, John? Mógłbyś do mnie wejść?

Ciemne okulary nie pozwalały dojrzeć wyrazu jej twarzy, ale John wyczuł w niej niezwykle napięcie, nie związane z tragedią. Gdyby nie znał jej lepiej, mógłby pomyśleć, że jest na niego wściekła.

- Właściwie powinienem wracać natychmiast do Wielkiego Domu. Obiecałem, że

będę o pierwszej, a dochodzi już druga. - Łatwość, z jaką skłamał, zaskoczyła go całkowicie. Dlaczego zachował się w ten sposób?

Otworzył drzwi jej pokoju i wstawił do środka walizkę. Aby złagodzić wymowę swoich słów, delikatnie dotknął dłonią jej ramienia.

- George przywiezie was do Sundarbans, jak tylko będziecie gotowi. Na pewno zechcecie trochę wypocząć, przypuszczam, że podróż była męcząca. Porozmawiamy trochę później, dobrze? W ciągu najbliższych dni będziemy mieli do tego wiele okazji.

Stała na progu nieruchoma, milcząca, ale coś w jej twarzy sprawiło, że przeszedł go dreszcz.

- W porządku, John. A co do wypoczynku, nie będzie mi potrzebny, dziękuję. Chciałabym jak najszybciej zobaczyć Brunonami... naprawdę jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

* * *

Tak się jednak złożyło, że oboje nie mieli okazji znaleźć się sam na sam aż do uroczystości pogrzebowych.

Brak wolnego czasu John mógł zawdzięczać wyłącznie sobie. George i Dorothy nie chcieli nawet słyszeć o tym, żeby w tak szczególnych dniach miał pracować w hotelu. Na czas przejściowy zatrudnili kogoś do pomocy, tak aby John mógł się zająć załatwianiem formalności pogrzebowych, on jednak czuł, że tylko intensywna praca pomoże mu przetrwać ten koszmar i nie myśleć o tym, co się stało.

W miarę upływu czasu wyłaniały się kolejne obowiązki, które następowały po sobie z logiczną konsekwencją, a jednocześnie przerażały swą straszliwą wymową.

Najpierw koszmarne identyfikacje w szpitalnej kostnicy. John stał u boku Karen, kiedy identyfikowała ciała syna i męża, a potem przy Rose, której pokazano zwłoki Dariny.

Później musieli zaczekać na wyniki sekcji zwłok. Tak jakby się umówili, wszyscy spotkali się w Sundarbans. Przybyli tam także okoliczni sąsiedzi, wśród nich dawna gospodyni, niestrudzona pani McKenna, aby pomóc przy roznoszeniu napojów dla licznych gości, którzy pragnęli osobiście złożyć kondolencje. Nazwisko O'Beirne Moffat w dalszym ciągu znaczyło tu zbyt wiele, aby śmierć w tej rodzinie mogła nie stać się wydarzeniem numer jeden, a rozmiar tragedii przyciągnął wielu mieszkańców Ulsteru, Leinsteru i części Connacht. Przybyli nawet starzy przyjaciele z Londynu. Ludzi było tylu, że zajęli wszystkie wolne miejsca w „Willow House”, Sundarbans oraz w okolicznych hotelikach i gospodach.

Wyłoniła się drażliwa kwestia, gdzie pochować Dereka i jego syna, a John zapytał

Karen i jej rodziców, czy nie chcieliby przewieźć zwłok do Kanady, oni jednak odparli zgodnie, że Derek z pewnością wolałby zostać pochowany w dawnej ojczyźnie. Potem Karen dodała jeszcze:

- A Bruno, gdyby mógł teraz zabrać w tej sprawie głos, uznałby, że chce spocząć obok swojego ojca.

Powiedziała to jakoś szczególnie żarliwie i John spojrział na nią zaskoczony. Nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że Karen chce mu coś szepnąć między wierszami, coś czego on nie potrafił zgłębić. Ale może to tylko złudzenie?

Cały czas tylko pytania, pytania, pytania. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nawet ze strony prasy. Dziennikarze starali się wprawdzie zachowywać taktownie, ale wszędzie było ich pełno: zaczepiali Johna, prosząc o parę słów, robili zdjęcia, śledzili reakcje członków rodziny. Willie i Effie dobrowolnie wzięli na siebie niewdzięczne zadanie odbierania telefonów i przyjmowania gości, ale ich szorstkie odpowiedzi nie zdołały zniechęcić intruzów, wśród których nie brakowało przedstawicieli czołowych gazet z Dublina i Belfastu oraz Londynu.

Nie mogąc zdobyć żądanych informacji w Wielkim Domu, dziennikarze zdecydowali się na przeprowadzenie wywiadów z przygodnymi ludźmi w pubach i na ulicach Carrickmacross, a rezultaty tych rozmów, opatrzone szumnymi nagłówkami, ukazywały się potem w gazetach w formie sensacyjnych artykułów.

To spotęgowało jeszcze bardziej i tak już napiętą atmosferę. John zapytał księdza, czy jest władny nie dopuścić dziennikarzy do samych uroczystości pogrzebowych, okazało się jednak, że to niemożliwe.

Głównym jednak przedmiotem troski Johna była Rose; w dalszym ciągu poruszała się i mówiła pogrążona w nienaturalnej apatii, która ogarnęła ją w chwili, gdy wyłowiono ciała. Z samego rana, tuż przed mszą żałobną, John wezwał nawet lekarza, Rose jednak nie zgodziła się na wizytę.

- Proszę, nie przejmuj się mną, John, czuję się dobrze. Najważniejsze, że mam przy sobie Effie, Williego i ciebie. - Siedziała na brzegu łóżka w pokoju, który zajmowała przedtem razem z Dariną, sztywna, ubrana w nową czarną suknię i płaszcz, kupione dla niej przez Effie.

- Ależ Rose, doktor czeka na dole. Chce tylko zamienić z tobą parę słów... to zajmie krótką chwilę, naprawdę.

Nachylił się, chcąc ją objąć, ale Rose uniosła obie dłonie do góry.

- Nie, John. Nie obraż się, ale nie teraz, proszę.

Chcąc nie chcąc, musiał podziękować doktorowi za wizytę.

Reakcja Karen była według niego bardziej naturalna i zrozumiała. Chwilami płakała albo przemierzała pokój szybkimi, gniewnymi krokami, ale czasem czuł na sobie jej ukradkowe, dziwne spojrzenie, które wywoływało w nim dreszcz niepokoju. Cokolwiek miała mu do powiedzenia, nie było to z pewnością nic przyjemnego. Niekiedy odnosił wrażenie, że Karen pragnie zrzucić z siebie ciężar jakiegoś złego czynu Dereka.

Właśnie dlatego starał się unikać rozmów z nią. O tym, co chce mu powiedzieć, wołał się dowiedzieć jak najpóźniej.

Siedzieli właśnie w salonie, kiedy John dostrzegł dwie limuzyny pogrzebowe zajeżdżające przed dom.

- Już są - powiedział cicho. Rodzice Karen podeszli do córki, która siedziała w fotelu, wpatrzona w kominek. Wstała posłusznie i włożyła płaszcz. Willie i Effie mieli jechać z pułkownikiem i Daphne drugim autem. Daphne, wyjątkowo cicha tego ranka, spojrzała błagalnie na Johna.

- Panie Flynn, czy byłby pan łaskaw pójść po Rose? Myślę, że jest w swoim pokoju.

- Oczywiście, proszę pani - odparł zaskoczony; po raz pierwszy zwróciła się wprost do niego, w dodatku tonem nader uprzejmym.

Wychodził już z salonu, kiedy dogonił go jej głos:

- Chciałam panu powiedzieć, że jestem... że jesteśmy, mój mąż i ja, bardzo wdzięczni za to, co pan dla nas zrobił w tych trudnych chwilach.

John spojrzał na drobną, wątłą postać, która w czarnym, niemodnym płaszczu wydawała się jeszcze bardziej krucha. Po raz pierwszy dostrzegł w Daphne nie złośliwą, trudną w kontaktach matronę, lecz zboląłą, wylęknioną starą kobietę.

- Nie ma za co, proszę pani - mruknął. - Nie ma za co.

- Tak, John, ja też chciałbym panu podziękować. - Pułkownik gmerał teraz swoim zwyczajem przy zegarku. - Nie wiem, co byśmy bez pana poczęli...

- Ależ... pułkowniku, robiłem tylko to, co konieczne - wymamrotał John. - Przepraszam... Pójdę po Rose.

Zapukał do jej pokoju, nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, a potem uchylił drzwi. Nadal siedziała, tam gdzie przedtem, kiedy namawiał ją do spotkania z lekarzem, sztywna i nieruchoma niby manekin w witrynie sklepowej. Miała na sobie nowe ubranie, ale dostrzegł, że nie umyła włosów; przylegały płasko do głowy, jakby były mokre.

- Już czas, Rose - powiedział, stając w progu. - Samochody stoją przed domem, musimy iść.

Nawet nie drgnęła. Wyglądała, jakby była w transie.

- Chcesz, żebym poprosił Effie? - zapytał.

- Nie - odparła szeptem i pokręciła głową. - John, ja nie chcę tam iść.

Zareagował tak, jak podpowiedział mu instynkt.

- Moja droga - zaczął. Usiadł przy niej na łóżku. - Nie musisz jechać, skoro nie chcesz. Ale ja będę cały czas przy tobie. I myślę, że Darina chciałaby, żebyśmy byli tam razem.

- Darinie jest już teraz wszystko jedno - odparła.

- W pewnym sensie. A jednak wierzę, że właśnie ona pomoże nam przebrnąć przez to wszystko. Ufam, że jest teraz szczęśliwa i pragnie, abyśmy byli z nią.

Zaskoczona, podniosła na niego wzrok.

- Co takiego?

Ujął jej dłoń, ciesząc się, że nie napotkał oporu.

- Myślę, że ona troszczy się o nas w sposób, który pojmiemy dopiero za jakiś czas. To była... jest... wyjątkowa dziewczyna, Rose.

- Ona nie żyje, John.

- Wiem, kochanie. Ona nie żyje. To straszne. Darina nie żyje.

Tama, która tak długo powstrzymywała w niej wybuch rozpacz, pękła wreszcie; Rose odrzuciła głowę w tył i, otwierając szeroko usta, dała ujście fali żalu. Dźwięki, jakie wydobywały się z jej gardła, wysokie i prawie nieludzkie, przypominały wycie zranionego zwierzęcia i wyrażały przejmujący ból. John, przerażony w pierwszej chwili, objął ją i trzymał w ramionach, podczas gdy ona kołysała konwulsyjnie całym ciałem zgodnie z rytmem, który rozbrzmiewał wyłącznie w jej uszach.

Dopiero po paru minutach zaczęła się uspokajać, szloch wstrząsał nią coraz rzadziej, ale John nadal nie wypuszczał Rose z objęć. Mówił jej coś do ucha kojącym szeptem, uciszał, postępował tak jak przed laty, kiedy nauczony przez nią, uspokajał spłoszonego i wylęknionego konia.

* * *

Stypa odbyła się w „Willow House”, który - na szczęście! - okazał się za mały, aby pomieścić wszystkich gości. Ścisk i gwar w niewielkiej jadalni, gdzie zorganizowano bufet, świadczył aż nadto wyraźnie, że po uroczystościach w kościele i na cmentarzu ludzie otrząsnęli się już z napięcia i smutku, teraz zaś oddali się zaraźliwej, zrodzonej z ulgi wesołości, rozprzestrzeniającej się błyskawicznie jak pożar. Przyjaciele, którzy nie widzieli

się od lat, klepali się po plecach i odnawiali kontakty, przekazywali sobie wieści o wydarzeniach z ostatniego okresu, o zgonach i pogrzebach wspólnych znajomych.

John, wbrew sprzeciwom ze strony Cranshawów, zajął się obsługą baru. Obserwując doświadczonym okiem całą salę dostrzegł, że Effie i Willie zaopiekowali się Rose, Lindstromowie natomiast i rodzice Rose siedzą na uboczu, z dala od reszty, i ze zdumieniem patrzą na coraz bardziej rozochoconych gości.

Przekazał kolejne zamówienia jednemu z zatrudnionych dorywczo pomocników i podszedł do tamtych.

- Czy mógłbym państwu coś podać? - zapytał. - Coś do picia? A może zupę? Dzień jest dość chłodny.

- Tak, dziękuję, John - odparł Sven po krótkiej naradzie z żoną. - Jeśli można, poprosimy o kawę.

- A dla pani? - John spojrzał pytająco na matkę Rose. - Panie pułkowniku?

- Małe piwo. Ciemne, jeśli można. - Zwrócił się do żony: - Na co masz ochotę, moja droga?

- To nieludzkie! - zawołała. - Haniebne! Darina jeszcze nie ostygła w grobie, a tu, jak widzę, zabawa w pełni!

- Taki jest zwyczaj, proszę pani - odparł John. Obowiązki przy barze pozwoliły mu chwilowo odsunąć na bok uczucie przygnębienia, a teraz z żalem doszedł do wniosku, że uprzejme słowa, jakie usłyszał poprzednio od matki Rose, musiały wymknąć się jej przypadkowo, pod wpływem wyjątkowo silnych emocji. - Tego typu uroczystości organizujemy tu bardzo często - wyjaśnił. - Wydaje mi się, że ten nowy zwyczaj zastąpi tradycję.

- A ja uważam, że to niestosowne - zaproponowała Daphne. Woskowa skóra jej twarzy pokryła się różowymi wypiekami.

- Kochanie, przecież John nie zawinił tu ani trochę - wtrącił się do rozmowy pułkownik. - On po prostu zapytał, czy chcemy się czegoś napić.

- W takim razie poproszę o wytrawne sherry - odparła i spojrzała na Johna. - Proszę mi wybaczyć - dodała.

A więc cuda trwają nadal, pomyślał idąc do barku.

Czekając na zamówione napoje, rozejrzał się za Karen, ale nie dostrzegł jej nigdzie. Może przeszła do sąsiedniej sali, pomyślał.

Ostrożnie, balansując z wprawą w tłumie gości, powrócił z tacą do Lindstromów i rodziców Rose.

- Ciekawe, gdzie jest Karen - odezwała się pani Lindstrom.

Wyglądała na tak smutną i samotną, że poczuł natychmiast bolesne ukłucie w sercu. Dla niego i Rose sytuacja była nie mniej tragiczna, ale oni oboje - przynajmniej dzisiaj - mogli liczyć na oparcie w gronie przyjaciół. Dla Lindstromów była to pierwsza wizyta w Irlandii, tym bardziej więc - podobnie jak Daphne - czuli się nieswojo w tej dość beztroskiej atmosferze przyjęcia.

- Nie wiem, nie widzę jej od jakiegoś czasu - odparł, podnosząc nieco głos, aby przekrzyczeć gwar. - Muszę iść na chwilę do kuchni, ale potem poszukam jej. Na pewno nie podać państwu czegoś do jedzenia? - Ostatnie słowa skierował do całej czwórki. Pokręcili odmownie głowami.

W kuchni zastał Dorothy; razem z dwiema wynajętymi do pomocy kobietami szykowała kanapki. Odgarnęła z twarzy zabłąkany kosmyk włosów.

- A myślałam, że tamte wystarczą - powiedziała na jego widok. - Nowe będą gotowe za chwilę.

- Przydałoby się jeszcze trochę zupy - odparł i zajrzał do garnka, aby sprawdzić, ile zostało.

- Zajmiesz się tym, John? - zapytała odruchowo Dorothy i natychmiast się zreflektowała. - Co ja wygaduję! Dziś nie możesz tak ciężko pracować! Idź już. I nie gniewaj się na mnie. - Podeszła bliżej, ujęła go pod ramię. - Jak się czujesz? - szepnęła.

- Nieźle. Możesz mi wierzyć - odparł zgodnie z prawdą. - Ale nie wiem, jak długo uda mi się tak trzymać.

- Nie muszę cię chyba zapewniać, że George i ja zrobimy dla ciebie wszystko, co tylko możliwe. Wszystko.

- Tak, wiem o tym. Oboje jesteście wspaniali, ty i George.

- Powtarzam: możesz na nas liczyć w każdej chwili. To nie pora na dyskusję, więc posłuchaj, co postanowiliśmy. Mam nadzieję, że nie masz innych planów... Otóż uzgodniliśmy już z George'em, że w okresie świątecznym zamykamy hotel na dwa tygodnie i zabieramy cię ze sobą w podróż.

John spojrzał na nią niepewnie.

- W podróż? A co z gośćmi, którzy dokonali już rezerwacji?

- Nie ma nic takiego, czego nie można by odwołać. Możemy się wytłumaczyć remontem domu, powodzią, czym tylko chcesz. Zresztą do tej pory mamy tylko jedną rezerwację. Nie będzie z tym żadnego problemu. Pojedziemy do Szwajcarii, na Florydę, rozerwiemy się trochę. Chyba to nie koliduje z twoimi planami?

- To zależy... - Przyszła mu na myśl Rose i uświadomił sobie nagle, że podświadomie

układał już pewne plany. Ale jeszcze przed tą straszną tragedią. - Mówiąc prawdę - mruknął - nie zastanawiam się na razie nad przeszłością, żyję dniem dzisiejszym.

Najwyraźniej rozumiała sens jego słów.

- Oczywiście, oczywiście - szepnęła. - Ale kiedy się już zdecydujesz, daj nam znać. I jeszcze jedno: ustaliliśmy też z George'em, że my pokryjemy koszty podróży. Zasłużyłeś na to po tych wszystkich latach poświęcenia dla nas.

- Och, Dorothy, jesteś naprawdę bardzo miła! - Zakłopotany pomyślał, że w ostatnich dniach przyjmował wszelkie przysługi z ich strony jak coś zupełnie naturalnego. Nie wiedząc teraz, co powiedzieć, uściśnął jej pulchne ramię.

W tej samej chwili poczuł na sobie czyjś wzrok, a kiedy zerknął na drzwi, ujrzał Karen stojącą w progu.

- Ach, już jesteś! - zawołał. - Szukali cię twoi rodzice. Dobrze się czujesz?

- Czy teraz moglibyśmy porozmawiać? - odparła.

- Możesz już iść, John. - Dorothy wróciła do garnków. - Zajmę się tą zupą.

- Może przejdziemy do mojego pokoju? - zaproponowała Karen i znowu jakaś osobliwa nuta w jej głosie napełniła go lękiem. Wiedział jednak, że nie może dłużej uchylać się od rozmowy.

- A nie lepiej w salonie? - odparł. Poprowadził ją do holu. Sam nie wiedział dlaczego, ale jeśli już musiał znaleźć się z Karen sam na sam, wołał, aby się to odbyło na neutralnym gruncie. - Proszę bardzo - otworzył przed nią drzwi, a potem zamknął je za sobą. - Jak znosisz to wszystko? - zapytał po krótkiej chwili wahania.

- A jak ci się wydaje? - Zaczęła przemierzać pokój zamaszystym krokiem, jej czarna suknia tworzyła tak wyrazisty kontrast z jasnymi włosami i wielobarwnym wystrojem salonu, że w pewnej chwili Karen wydała mu się groźnym smokiem, który swoim palącym oddechem może obrócić wszystko w perzynę.

- Cieszę się, że możemy wreszcie porozmawiać - przerwał milczenie. - Derek...

- Nie chcę mówić o Dereku - przerwała mu bezceremonialnie. - Chociaż... może i tak - odwróciła się do niego. - Tak, teraz, kiedy o tym wspomniałeś... może tak będzie lepiej.

Zdjęła swoje ciemne okulary, które nosiła bez przerwy od rana, nawet w domu. Dopiero teraz zauważył, że nie jest umalowana. Czekał w napięciu.

- Teraz to już bez znaczenia - zaczęła, przeszywając go wzrokiem - ale zamierzałam się z nim rozwieść.

Spojrzał na nią zaskoczony. Nie miał pojęcia, że sprawy pomiędzy jego bratem a Karen wyglądały tak źle. Przyszło mu na myśl, iż Karen chyba potraktowała tę wiadomość ja-

ko sposób wymierzenia mu kary za coś, o czym nie miał pojęcia.

- Przykro mi... - zaczął.

- Przykro to za mało! - Skrzyżowała ręce na piersiach i podjęła swoją wędrówkę pomiędzy meblami.

Spoglądał na nią osłupiały. Czuł, jak narasta w nim lęk przed tym, co miała mu powiedzieć, a jednocześnie był zaintrygowany. Już pierwsza informacja okazała się szokująca. Następne mogły być tylko gorsze.

Karen chodziła coraz szybciej i gwałtowniej, w pewnym momencie uderzyła nogą o niski, okrągły metalowy stolik i przewróciła go, zrzucając z niego wszystko na dywan.

- Do diabła! - zawołała. Zaczęła rozcierać bolące miejsce. - Do diabła!

Podbiegł do niej.

- Nic ci się nie stało? Nie skaleczyłaś nogi? Może przynieść ci plaster?

- Nie chcę żadnego cholernego plastra! - Podniosła się i zmierzyła go tak płonącym wzrokiem, że odruchowo cofnął się o krok.

Ruszyła za nim z wyzywająco uniesionym podbródkiem, jakby szykowała się do ataku.

- Nie wiem, może nawet nie powinnam ci mówić tego wszystkiego, może nie powinienes o tym wiedzieć!

Cofał się w dalszym ciągu i był już niemal pod drzwiami, kiedy Karen, kryjąc twarz w dłoniach, zatrzymała się.

- Do diabła! - krzyknęła. - Mam już tego po dziurki w nosie! Nie wytrzymam dłużej!

Milczał. Bał się odezwać choćby jednym słowem.

- Czy rozumiesz? - krzyknęła jeszcze głośniej. - Mam tego po dziurki w nosie!

- Rozumiem - odparł cicho.

- Co, do diabła, rozumiesz? - nie ustępowała. - Przecież o niczym nie wiesz!

- Istotnie, nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Karen. I chociaż zdaję sobie sprawę, że jesteś zdenerwowana, muszę cię prosić, abyś przestała krzyczeć. Mamy tu gości.

- Guzik mnie oni obchodzą! - Z rozmachem opadła na krzesło, strącając kilka fotografii z pobliskiego stolika.

John stał nieruchomy jak posąg. O dziwo: w miarę jak jej furia rosła, jego ogarniał coraz większy spokój. Tak jakby był malarzem lub fotografem, dostrzegał dokładnie wszystko, co dotyczyło Karen: rejestrował sposób, w jaki siedziała i w jaki splotła ręce, widział zaczątek jej podwójnego podbródka.

Jeszcze chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Karen mruknęła zmienionym tonem:

- Już dobrze. Przepraszam za te krzyki. Ale zanim ci powiem, o co chodzi, chciałabym zapewnić, że to był mój pomysł, nie Dereka. On nie miał z tym nic wspólnego. Ja go namówiłam, mnie złożył przyrzeczenie i ja dopilnowałam, aby go nie złamał.

John patrzył na nią, czując zimne dreszcze.

- Czy pamiętasz tamto przyjęcie sylwestrowe w Charlottetown? - zapytała wreszcie, oglądając sobie paznokcie.

- Oczywiście - odparł. - Pamiętam je doskonale.

- Ale zapewne nie pamiętasz, że później, kiedy już spałeś, weszłam do twego łóżka. I kochaliśmy się. Jeśli tak to nazywasz - dodała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Co takiego? - Nie wierzył własnym uszom. - Kochaliśmy się? My? Wiem, że tańczyliśmy ze sobą...

- Możesz mi wierzyć, że tak było. - Znowu podniosła głos. - Tamtej nocy weszłam do twego cholernego łóżka i... - Roześmiała się chrapliwie, tak nieprzyjemnie, że znowu przeszył go lęk. - I wykorzystałam sytuację. Jeśli chodzi o ciebie, nie wiedziałeś nawet, z kim to robisz - dodała z nutą goryczy. - Mówiłeś do mnie: Rose.

- To niemożliwe - wyszeptał John. - Niemożliwe! - Przypomniał sobie nagle, że tamtego wieczoru wypił za dużo. Czyżby ona mówiła prawdę? - Dlaczego mi o tym powiedziałaś? - zapytał, chociaż lodowaty ucisk na karku podpowiadał mu wyraźnie, dlaczego Karen wybrała akurat ten moment.

Znowu spojrzała na swoje paznokcie.

- Po prostu pomyślałam sobie, że chciałbyś wiedzieć, iż Bruno jest... och, przepraszam... był twoim synem.

Przez chwilę John nie czuł zupełnie nic. Potem wszystko w głowie zawirowało mu szaleńczo, jakby jego mózg podłączono do kręcącego się koła. Cały świat zakółsał się przed oczyma, a on odruchowo wyciągnął ręce, aby utrzymać równowagę.

- Nie wierzę ci!

Spojrzała na niego z wyniosłą miną.

- A powinienesz. Jeśli jednak nie wierzysz, zapytaj Dereka!

Dopiero kiedy ujrzała w jego oczach szok, uświadomiła sobie, co powiedziała.

- O Boże! - jęknęła przerażona.

- Ty dziwko! - John rzadko używał takich słów, ale teraz nie zdołał się powstrzymać. Jego głos drżał z gniewu.

- Czekaaś tak długo, do chwili kiedy chłopiec zginął, aby powiedzieć mi, że był moim synem! Ty dziwko! - Z trudem się opanował, jeszcze chwila, a byłby ją uderzył.

Podszedł do oszklonych drzwi na taras, aby znaleźć się jak najdalej od Karen. Za szybą wichura gnała poprzez listopadowy zmierzch rześiste strugi deszczu, ale jego dręczył już znowu tamten okropny obraz: dwa ciała ociekające wodą.

Jego dzieci!

Córka i syn! Jego własne dzieci!

Już pierwsza wiadomość była dla niego wstrząsem: córka, o której istnieniu właśnie się dowiedział, oraz jej brat stryjeczny...

Teraz okazało się, że chodziło o dwoje jego dzieci, córkę i syna!

W tej chwili byłby w stanie zabić kogoś z zimną krwią. W jego sercu szalała tak gwałtowna furia, że najchętniej zamordowałby kogoś, aby poczuć ulgę.

Określił się na pięcie, a kiedy spojrzał na Karen, przezornie odskoczyła w tył. Znienawidził ją za ten strach, nie cierpiał też tego pokoju. To tu wydarzyło się wszystko, co w jego życiu było złe. Wiedział, że powinien jak najprędzej wynieść się z tego pokoju, z tego domu, w przeciwnym razie zwariuje.

- Idę stąd - oświadczył zduszonym, nienaturalnym głosem.

Bała się go teraz, widział to wyraźnie i ta świadomość dostarczała mu jakiejś dziwnej satysfakcji. Wychodząc z salonu, musiał przejść obok niej, a ona drgnęła, kiedy postąpił w jej stronę.

- John, bardzo mi przykro, nie wiedziałam, że przejmiesz się tym tak bardzo, nie sądziłam...

- Nie myślałaś, że się przejmę? A jak to sobie, do diabła, wyobrażałaś? Na jakim świecie żyjesz, co? – Zacisnął pięści, a ona skryła się natychmiast za krzesłem. Jej twarz poszarzała, wyrażała lęk tak paniczny, że John ochłonął trochę i po paru chwilach otworzył dłonie. - Powiedz: myślałaś, że jak zareaguję?

Zrozumiała, że nic już nie grozi jej z jego strony, i odzyskała nieco pewności siebie. Nie wychodziła jednak zza krzesła, obserwowała go bacznie.

- Chyba w ogóle nie zastanawiałam się nad tym. Jeśli tak wolisz, nie powiem nikomu o naszej rozmowie.

- Możesz mówić, komu chcesz. Możesz rozgadać to wszystkim na tym pieprzonym świecie! Jakie to ma teraz znaczenie, Karen? I po co, na Boga, powiedziałaś mi o tym, co?

Spoglądała na niego długo osobliwym wzrokiem. Wreszcie poderwała głowę do góry.

- Bo ktoś musiał zapłacić!

* * *

Rose znalazła Johna ponad godzinę później.

Napięcie tego wyjątkowo ciężkiego dnia - od samego rana, kiedy wypłakała się na jego ramieniu, aż do chwili obecnej - zniosła jakoś dzięki jego cichej, kojącej nerwy obecności, chociaż sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiele też zawdzięczała Effie, która przejęła bezpośrednią opiekę nad nią.

Zanim Rose weszła do pogrzebowej limuzyny, Kffie rzuciła okiem na jej twarz, a potem podała jej małą białą tabletkę i zmusiła, aby ją połknęła. W rezultacie, mimo iż wielokrotnie ogarniały ją nie kontrolowane dreszcze i zalewała się łzami, Rose przez większą część dnia widziała wszystko jakby przez zmiękczający filtr. Miała wrażenie, że te okropne wydarzenia wcale nie dotyczą jej osobiście, że zamiast niej uczestniczy w nich ktoś inny, tylko podobny do niej, ktoś, kto patrzy, szlocha, drży, dziękuje gościom za słowa współczucia, ale tak naprawdę nie przeżywa tego wszystkiego.

Działanie tabletki osłabło nagle, kiedy stłoczeni w pokoju stołowym goście zaczęli się przerzedzać. Rose siedziała w kącie pokoju, pomiędzy Effie i Williem, jej odrętwienie emocjonalne mijało z wolna, lecz nierównomiernie; raz po raz ogarniało ją uczucie lęku i samotności, ulatniało się jednak z powrotem, zanim zdołała na nie zareagować. Wtedy na scenę wkraczał ponownie jej sobowtór i wdawał się w ciche zdawkowe pogawędki ze znajomymi oraz koleżankami, z których wiele pracowało jak ona w Aer Lingus i przyjechało tu z Dublinu.

W pewnej chwili, kiedy po raz kolejny wróciła na krótko do rzeczywistości, zauważyła, że w pokoju nie ma Johna. Uświadomiła sobie, że potrzebuje go jak powietrza, że musi czym prędzej skorzystać z osłony jego ramion. Wstała gwałtownie, zbyt gwałtownie, gdyż świat począł wirować jej już przed oczyma.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Effie.

Rose, ta prawdziwa Rose, wiedziała teraz tylko jedno: miała już dość wszystkich ludzi, nawet troskliwej Effie.

- Tak, wszystko w porządku - odparła. - Muszę pójść do toalety.

Zanim doszła do drzwi, musiała jeszcze znieść wiele szczerych i miłych słów współczucia.

- Dziękuję... dziękuję... - powtarzała bezmyślnie, kiwała głową jak marionetka, ścisnęła wyciągane do niej dłonie i pozwalała obejmować się ludziom, których nigdy przedtem nie widziała na oczy.

Wreszcie znalazła się w holu i poczęła się rozglądać za Johnem. Może jest w kuchni, pomyślała.

Przy kuchennym stole siedziały dwie nie znane jej kobiety, jedna trzymała nogi na sąsiednim krześle.

- Szukam Johna Flynnna, zarządzającego - powiedziała Rose. - Może tu był?

- Nie, nie widziałyśmy go co najmniej od godziny - odparła jedna z nich.

Nie było go również w saloniku, w ciepłarni ani w żadnej z sypialni na piętrze. W pewnej chwili Rose dostrzegła Dorothy i George'a zatopionych w rozmowie, postanowiła jednak nie pytać ich o Johna; zapewne spróbowaliby zająć się nią, jej zaś był teraz potrzebny tylko on.

Ogarniała ją coraz większa panika. Mimo iż momenty, kiedy traciła kontrolę nad sobą, były na razie krótkotrwałe i sporadyczne, zaczęła przenikać do niej straszliwa świadomość tego, co się wydarzyło. Zastanawiała się już nawet, czy nie powinna poprosić Effie o jeszcze jedną tabletkę.

Gdybym odnalazła Johna, z pewnością by mi pomógł, myślała. Wiedziała, że odnalezienie go to teraz sprawa pierwszej wagi. Szukając, nie będzie przynajmniej myślała o niczym innym. Możliwe nawet, że samo poszukiwanie Johna ma dla niej większe znaczenie niż jego odnalezienie.

Schodząc na dół, musiała uchwycić się poręczy schodów, gdyż wszystko wokół niej zawirowało, ściany i sufit, a kolejny stopień wydał jej się zbyt odległy, aby mogła się zdobyć na odwagę i postawić na nim nogę. Resztkami sił zdołała jednak zejść na parter i wyszła bocznymi drzwiami na parking, pełen po brzegi.

Spod hotelu odjeżdżało na razie tylko parę aut, a wśród nich jakiś stary grat, który kopcąc obficie z rury wydechowej usiłował opuścić swoje miejsce; inne samochody zastawiły go tak skutecznie, że mógł jedynie poruszać się po kilka centymetrów raz do przodu, raz do tyłu. Z ulgą dostrzegła za jego kierownicą Johna.

- John, John! - zawołała i podbiegła do niego.

Zatrzymał się i spojrzał w jej stronę. Szyby były tak brudne, że nie zdołała dojrzeć wyrazu jego twarzy. Zanim się zorientowała, że coś z nim jest nie w porządku, otworzyła drzwiczki auta.

- John? - szepnęła zaskoczona. W jaskrawym blasku lamp parkingowych dostrzegła jego twarz; jakże inną niż ta, jaką się spodziewała ujrzeć i jaka była jej teraz potrzebna.

Twarz Johna była obrzmiała i czerwona, cała mokra od łez, przerażająca.

Rose poczuła się jak w potrzasku. Trzymając dłoń na klamce drzwiczek, zastanawiała się, co robić.

- Witaj, Rose - odezwał się John; również jego głos brzmiał inaczej niż zwykle, nie

był taki, jakiego oczekiwała.

- Mogę wsiąść? - zapytała.

- Wybacz - szepnął, kiedy zajęła miejsce obok niego. - Nie mogę zostać tu dłużej. Za wiele tego wszystkiego, za wiele!

Czuła - a może raczej czuła to ta druga, jej sobowtór - że powinna go objąć, pocieszyć, tak jak on ją pocieszał rano. Ale John siedział zbyt daleko od niej, wydawało się, że odsunął się pod przeciwległe drzwiczki.

- Wybacz - powtórzył. - W tej chwili nie będziesz miała pożytku z mego towarzystwa.

- Nie szkodzi, John - odparła. Zerknął na nią kątem oka.

- Bardzo cię kocham, Rose.

- Ja też cię kocham. - Jakże banalnie zabrzmiały te słowa! Czy powiedziała to poważnie?

A on?

Samochód, który zablokował mu wyjazd z parkingu, nowy opływowy mercedes, ruszył z miejsca. Przez chwilę obserwowali go.

- Ładny wóz - mruknął John.

- Rzeczywiście, bardzo ładny.

- Przyjemnie jest mieć dużo pieniędzy. - Usiłował się roześmiać z własnych słów, ale głos załamał mu się podejrzenie i ostatnie słowa zabrzmiały raczej jak szloch.

Znowu wydało jej się, że powinna przytulić go i jakoś pocieszyć, ale jej ręce nie posłuchały podszeptu instynktu.

- Dasz sobie radę? Kiedy wracasz do Dublina?

- Chyba jeszcze dziś. Razem z Effie i Williem.

- Oboje mogą tu zostać, jak długo zechcą. Chyba nie muszę ci tego mówić. Mamy mnóstwo pokoi.

- Ale oni muszą wracać do pracy.

- No tak, to prawda.

Umilkli i siedzieli bez ruchu. Z parkingu wyjechały dwa kolejne samochody. John wisiął nos.

- Przepraszam cię za mój smętny nastrój. Zazwyczaj nie ulegam takim stanom, ale widzisz, wydarzyło się tak wiele! Potrzebuję teraz trochę czasu.

Rose skupiła myśli. Czyżby mówił tak ze względu na nią?

- Ja też muszę mieć trochę czasu - odparła machinalnie.

- Będziemy w kontakcie?

- Przyjedziesz do Dublina?

- Tak.

- Dobrze.

- Nigdy nie wiadomo, co przyniesie człowiekowi los - powiedział John.

- To prawda - przytaknęła i znowu umilkła. Nie przychodziło jej teraz do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Przyglądali się następnym gościom, którzy odjeżdżali spod hotelu. Jedna z kobiet, jakaś nieznajoma, zawahała się na widok Rose siedzącej w aucie Johna i opuściła szybę w swoim samochodzie, kiedy jednak Rose odwróciła wzrok w inną stronę, przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła w drogę.

John spojrzął na Rose.

- Wiesz, jeszcze trzy dni temu, a może dwa lub cztery, nie pamiętam już dokładnie, pragnąłem tylko objąć cię, kochać się z tobą, ożenić. Znaczyłaś dla mnie wszystko. I nadal znaczysz. - Bezwiednie miał chustkę w ręku. - Ale teraz wyłoniły się pewne sprawy, z którymi muszę się uporać. Sam. W takiej chwili nie może przy mnie być nikogo. Nawet ciebie. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Nie rozumiała. Do jej świadomości docierał tylko jeden fakt: do tej pory mogła liczyć na obecność Johna. Teraz już nie. Słyszała jego głos, ale to, co mówił, nie docierało do niej. Pragnęła znaleźć się w innym miejscu niż to, w miejscu gdzie mogłaby przemyśleć wszystko w samotności. Albo gdzie w ogóle nie musiałyby myśleć. Sama nie wiedziała, co byłoby lepsze.

- Pójdę już, na mnie pora - mruknęła.

- Proszę, powiedz, że rozumiesz, Rose. Że będziesz na mnie czekała. To nie potrwa długo.

- Oczywiście że będę czekała, John. Przecież czekałam już tak długo!

Najwidoczniej oczekiwał takich właśnie słów, gdyż uśmiechnął się i ujął jej dłoń.

- Nigdy nie zdołamy zapomnieć tego strasznego dnia, to pewne, ale...

Nie wiedziała, jakimi słowami mogłaby mu pomóc. Czekala więc cierpliwie.

- Chciałbym powiedzieć ci teraz coś szczególnego - mruknął wreszcie. - Coś, co nie byłoby pospolite ani wyświechtane. Ale nie potrafię. Jestem prostym człowiekiem.

- Pójdę już chyba - powtórzyła. - Effie na pewno czeka...

Przez krótką chwilę pomyślała, że John chce ją pocałować. Ale on jedynie dotknął jej policzka.

- Do widzenia, kochanie. Zadzwoń do ciebie za parę dni, kiedy się już jakoś uporam z tym wszystkim.

- Masz mój numer?

- Tak.

- Uważaj na siebie.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. - Podobnie jak kilka minut wcześniej zdumiała ją łatwość, z jaką wypowiedziała te nic nie znaczące słowa.

W połowie drogi do Dublina, kiedy siedziała w samochodzie Williego, walcząc ze snem, zatęskniła nagle za Johnem, i to uczucie mieszało się z tęsknotą za Dariną. Nie potrafiła się uwolnić od koszmaru. Poprosiła Effie o jeszcze jedną tabletkę, ale przyjaciółka odmówiła. Bała się przedawkowania.

Lęk narastał w zastraszającym tempie, łączył się z rozpaczą, która rozrywała jej serce. Zaczęła szlochać, jęki przerodziły się w jakieś dzikie, nieartykułowane odgłosy.

Willie zatrzymał samochód i Effie przesiadła się do tyłu, aby być przy niej. Rose wiedziała, że robi z siebie widowisko, ale nic na to nie mogła poradzić; potrafiła teraz tylko płakać.

Z jej ust wysypał się potok słów, których sensu nawet nie rozumiała. Effie przytuliła ją do siebie, poczęła kołysać, jakby miała do czynienia z małym dzieckiem.

- Willie, co ona mówi? - zawołała do męża. - Zdaje się, że prosiła o coś.

A Rose nie miała już nawet siły, aby wyjaśnić jej, że nie chce nic wielkiego. Chciała jedynie Dariny, ale nikt nie potrafił spełnić tego życzenia. A słowa, które wykrzykiwała... Nic nie znaczyły. Po prostu nie mogła zapanować nad językiem, mówiła, aby mówić...

Widząc, że żadne starania nie odnoszą skutku, Effie zdecydowała się wreszcie dać przyjaciółce drugą tabletkę; położyła ją Rose na języku i zamknęła jej siłą usta, aż ta w końcu połknęła lek.

Czekali na poboczu drogi tonącej w mroku. Willie wysiadł z auta, ale Effie nie przestawała kołysać przyjaciółki, dopóki ta nie ucichła.

Potem ruszyli w dalszą drogę, a Rose oparła głowę na ramieniu Effie i zapadła wreszcie w tak upragniony sen.

* * *

Jeszcze przez parę dni po powrocie do Dublina Rose nie była w stanie znaleźć sobie miejsca w rzeczywistym świecie. Effie i Willie, którzy w połowie miesiąca mieli się przeprowadzić do nowego domu, usiłowali ją przekonać, aby na jakiś czas zamieszkała z nimi.

- To mieszkanie jest za duże dla ciebie jednej - mówiła łagodnie Effie. - I wiązą się z

nim zbyt bolesne wspomnienia. Będzie ci potrzebne towarzystwo, ktoś, kto zatroszczy się o ciebie.

Ale Rose czuła instynktownie, że powinna stawić czoło swojej tragedii i samotności, a jeśli tego nie uczyni, nie będzie miała już nigdy więcej szansy powrotu do normalnego życia. Podziękowała Effie i Williemu, lecz nie przyjęła ich propozycji.

Odrzuciła także ofertę linii lotniczych, które chciały wypłacić jej pewną sumę jako zasiłek okolicznościowy. Poprosiła jedynie - i ta prośba została spełniona - o przeniesienie na loty transatlantyckie. Oznaczało to postoje w Nowym Jorku i Bostonie oraz Chicago, a więc w miastach, które lubiła. Na lotach tych zależało jej jednak przede wszystkim dlatego, że wolała nie przebywać teraz w towarzystwie koleżanek z tras europejskich. Lubiła je, ale stewardesy z rejsów transatlantyckich były starsze i bardziej doświadczone życiowo, mogły więc mieć więcej zrozumienia dla jej ewentualnych złych nastrojów niż młodsze kobiety, które traktowały wszelkie znajomości płycej, mniej zobowiązujące.

Parę dni po pogrzebie Dariny Rose podjęła pracę i właśnie razem z trzema innymi stewardesami jadła obiad w nowojorskim hotelu w pobliżu Central Park, kiedy John zatelefonował do niej do Dublina.

* * *

John zaciskał dłonie na słuchawce, monotony, powtarzający się sygnał zdawał się szydzić z jego pragnień. Była czwarta po południu, a on od rana zbierał odwagę, aby zadzwonić do Rose. Nie mógł zrozumieć samego siebie. Kochał ją, nie wątpił w to ani przez chwilę. Dlaczego więc zwleka z tym telefonem i zachowuje się jak stremowany nastolatek?

Niepokoilo go jeszcze coś: przez siedemnaście lat zachowywał w pamięci każdy szczegół jej pięknej twarzy i ciała, teraz jednak, kiedy chciał ją sobie wyobrazić, widział zamiast twarzy Rose białą nieokreśloną plamę.

Odłożył słuchawkę. Na pewno wróci zaraz do domu, pomyślał. Spróbuję później.

Uparł się wrócić do pracy nazajutrz po pogrzebie. Dorothy i Willie protestowali, uważali, że to za wcześnie, że powinien odpocząć, ale on nie słuchał ich argumentów. Poprosił jedynie, aby nie on, lecz oni odwieźli Lindstromów razem z Karen na lotnisko.

Hotel miał akurat w tym czasie okres spokoju. Jedynymi gośćmi byli czterej wędkarze z Walii, którzy wstawali skoro świt i wracali o zmroku.

John rzucił się w wir pracy, zajął się zmianą urządzenia czterech pokoi i własnoręcznie położył wykładzinę na korytarzach, tam gdzie to było niezbędne.

Powrócił również do planów przebudowy Sundarbans, a czynił to z takim zapałem, że

George, który chcąc nie chcąc, musiał włączyć się do wielu rozmów i pertraktacji z kontrahentami, zauważył wreszcie:

- Zwolnij trochę! Jesteś pewien, że nie narzuciłeś sobie zbyt ostrego tempa? Dasz radę?

- Oczywiście! Już czas, aby przestano mnie niańczyć! - Uświadomił sobie, że posunął się za daleko. - Przepraszam, George - dodał - ale mam wrażenie, że gdybym nie pracował tak intensywnie, chyba bym oszalał!

- Musisz na siebie uważać. - George, który prowadził samochód, nie odrywał wzroku od drogi przed sobą. - Nikt nie chce, abyś opadł z sił. Nie wiem, co byśmy wtedy zrobili.

Po upływie dwóch tygodni pragnienie, aby porozmawiać z Rose, ogarnęło go z taką siłą, że nie potrafił dłużej zwlekać. A kiedy już raz podjął decyzję, nie dał za wygraną. Zaczął o czwartej, a potem dzwonił co pół godziny, dopóki nie uzyskał połączenia.

Ale to nie Rose podniosła słuchawkę. Kiedy usłyszał zadyszany głos Effie: „Słucham?” - rozczarowanie było tak duże, że omal nie zrezygnował z rozmowy. Dopiero po chwili zawołał:

- Tu John Flynn.

- Witaj, John... Przepraszam, ale muszę złapać oddech... Jeszcze przed domem usłyszałam, że dzwoni telefon... Wbiegłam na górę... To przypadek, że mnie zastałeś. Willie i ja dostaliśmy już klucz od naszego domu, wczoraj. Właśnie załatwiam ostatnie formalności. Za parę dni wyprowadzamy się stąd. Ale ty chciałeś chyba porozmawiać z Rose?

- Owszem, jeśli jest w domu.

- Niestety, znajduje się teraz w Nowym Jorku. Ma wrócić jutro, mniej więcej w porze lunchu. Zostawić jej wiadomość?

- Tak, bardzo proszę.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. John i Effie nie znali się jeszcze za dobrze.

- Jak sobie radzisz, wszystko w porządku? - zapytała w końcu Effie.

- Chyba tak. Dużo pracuję i to mi pomaga.

- Myślę, że tak samo podchodzi do tego Rose. Ale nie zamęczaj się, uważaj na siebie.

- Spróbuję. Dzięki, Effie.

- Nie ma za co. Zostawię wiadomość dla Rose... napiszę od razu, żeby nie zapomnieć.

Czy ma do ciebie zadzwonić?

Podał jej numer telefonu w „Willow House” oraz w domku rybackim, ale potem zmienił zdanie. Nie zniósłby teraz biernego wyczekiwania przy aparacie.

- Nie, napisz, że ja do niej zadzwonię - powiedział. - Jutro między drugą i czwartą.

- To dobra pora, na pewno ją zastaniesz - odparła. - Rose chce nas odwiedzić jutro i prosiła, żebym zatelefonowała do niej około trzeciej i umówiła ją z Williem, który po nią przyjedzie.

* * *

Kiedy nazajutrz Rose ujrzała przy telefonie kartkę z wiadomością, jej serce podskoczyło gwałtownie. Mimo iż Effie napisała, że John do niej zadzwoni, w pierwszym odruchu podniosła słuchawkę i wykręciła numer „Willow House”. Zanim uzyskała połączenie, natychmiast odłożyła słuchawkę z powrotem.

Jej jedna połowa aż się paliła, żeby porozmawiać z nim, popatrzeć na niego, być przy nim; druga natomiast lękała się wszelkich powikłań - i właśnie ta połowa zyskiwała najczęściej przewagę, powstrzymując ją przed określonym działaniem.

Nawet bezustanna troska Effie zaczynała jej ostatnio działać na nerwy, chociaż wiedziała, że bez tego wsparcia już dawno temu załamałaby się nerwowo.

Czasem ogarniało ją pragnienie, aby uciec jak najdalej stąd, znaleźć się w jakimś dużym mieście, o wiele większym niż Dublin, i wtopić się w bezimienny, anonimowy tłum jego mieszkańców. Albo schronić się na małej wysepce pośród bezkresnego oceanu, tak aby nie widzieć już współczucia i zakłopotania w oczach innych ludzi.

Schowała kartkę od Effie do torebki. Po nocnym locie czuła się zmęczona i postanowiła, że najpierw się wyśpi, a potem dopiero zatelefonuje do Johna.

W połowie schodów zawahała się i przystanęła. Potem wróciła na dół, podeszła do telefonu i zdjęła słuchawkę z widełek.

* * *

John krążył niecierpliwie tam i z powrotem, od ściany do ściany niewielkiego pomieszczenia za ladą recepcji, które służyło mu za biuro. Od dwóch godzin wydzwaniał mniej więcej co pięć minut do Rose, ale telefon był ustawicznie zajęty. Z kim ona rozmawia tak długo? Effie miała zadzwonić do niej około trzeciej.

Spojrzał na zegarek. Za pięć trzecia. Wykręcił numer jeszcze raz, ale ponieważ w słuchawce zabrzmiał ten sam sygnał co przedtem, zdecydował się połączyć z centralą.

Jego zgłoszenie przyjęto z zawodową uprzejmością, ale potem potwierdzono jedynie, że linia jest zajęta.

- Czy to znaczy, że ktoś rozmawia aż tak długo? – John czuł się tak, jakby rozdrapywał ranę. Musiał jednak znać prawdę.

Usłyszał cichy trzask w słuchawce, a potem ponownie głos z centrali:

- Nie, *sir*, nikt nie rozmawia. Może słuchawka nie została odłożona jak należy. Czy życzy pan sobie, aby zgłosić numer do biura napraw?

- Nie, dziękuję, to zbyteczne.

Trzęsącymi się rękoma odłożył słuchawkę na widełki. Nie wierzył, że Effie nie przekazała Rose wiadomości. A w takim razie Rose powinna się spodziewać, że on będzie próbował się z nią skontaktować. Skoro nie odłożyła słuchawki na widełki, to znaczy, że nie chce z nim rozmawiać.

Przynajmniej sprawa wreszcie się wyjaśniła.

* * *

Prawie sześć tygodni później, świadoma, iż to ostatnia pora na załatwienie korespondencji świątecznej, Rose wysłała do Johna kartkę z życzeniami. Wybrała dość prostą, bez ptaszków i choinek, bez tekstu o radosnych i wesołych świątach. Starannie dobrała słowa:

Wiem, że nie będzie to łatwe, ale życzę nam obojgu spokojnych świąt Bożego Narodzenia. Może spotkamy się w Nowym Roku w nieco przyjemniejszych okolicznościach? Myślę o Tobie. Całuję

Rose

PS. Boże Narodzenie spędzę u Effie i Williego Brehony.

Mimo iż Gus, wspierany dzielnie przez Cranshawów, nalegał ze wszystkich sił, Rose nie mogła się zdecydować, aby przyjechać na święta do Sundarbans. Do innych obiekcji dołączył się lęk przed widokiem domu: w rozmowie telefonicznej ojciec wspomniał, że dokonano już ostatecznych ustaleń w sprawie przebudowy, przystąpiono też do wznoszenia rusztowań. Rose tym bardziej zapragnęła zamknąć się w swoim mieszkaniu. Jednakże w końcu, po długich namowach, zgodziła się przyjąć zaproszenie Effie i Williego.

Kiedy zaklejała kopertę do Johna, przyszło jej do głowy, że podanie na karcie imienia Effie wraz z jej małżeńskim nazwiskiem może być odczytane jako zbyt natrętna aluzja. Czym prędzej jednak, aby się nie rozmyślić, wrzuciła kopertę do skrzynki pocztowej.

Odtąd codziennie wypatrywała jakiejś odpowiedzi od Johna. Wiedziała, że urwany kontakt między nimi to jej wina, a mimo to nie traciła nadziei.

Ale teraz, kiedy w samą Wigilię listonosz dostarczył najświeższą korespondencję, wśród której nie było nic od Johna, Rose uświadomiła sobie zaskoczona, jak bardzo jest rozczarowana. Pocieszała się tylko, że może wysłała do niego kartę za późno, aby otrzymać

już odpowiedź.

Pierwszy dzień świąt, smutny pomimo wszelkich starań ze strony Effie i Williego, minął wreszcie i Rose wróciła do domu wczesnym wieczorem. Pragnęła być sama, w głębi serca czuła też, że podświadomie ma nadzieję, iż John, nie znając numeru telefonu Williego, zechce może zadzwonić, do jej domu.

Wysłuchiwała programu radiowego z kolędami, potem włączyła telewizor i przejrzała pobieżnie poszczególne kanały, niestety jednak wszystko przypominało jej o własnej samotności. Otworzyła drzwi do holu, tak aby widzieć telefon, ale im częściej na niego spoglądała, tym bardziej męcząca stawała się cisza w mieszkaniu.

Nie, nie zniosę tego dłużej, pomyślała. Wyjęła z torebki kartkę od Effie, na której były wypisane numery telefonów do Johna. Najpierw zadzwoniła do domku rybackiego. Po trzecim sygnale odezwał się męski głos; zapewne ojca Mony.

- Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze - powiedziała w odpowiedzi na jego „słucham”. - Czy mogłabym mówić z Johnem Flynnem? Przy okazji... życzę wesołych świąt. Mówi Rose O'Beirne.

- Wesołych świąt, wesołych świąt! - zawołał ojciec Mony, który jak większość starszych ludzi nie dowierzał telefonom i wątpił, aby słowa wypowiedane normalnym głosem, nie krzykiem, mogły dotrzeć daleko. - Nie, Johna nie ma w domu. Jedną chwilę, poproszę córkę.

Po długiej chwili do telefonu podeszła Mona.

- Witaj, Rose, miałaś udane święta? To znaczy... tak udane, jak to możliwe w tych okolicznościach?

- Dziękuję, Mono, owszem. Było mi trochę smutno, ale robiliśmy wszystko, co w naszej mocy... Twój ojciec powiedział, że Johna nie ma w domu?

- Nie ma, niestety. Państwo Cranshaw zabrali go ze sobą na Florydę. Taki krótki urlop. Wyjechali na dwa tygodnie i wrócą na sylwestra. John był już, jak wiesz, bardzo przepracowany. Martwiliśmy się o niego i na szczęście udało się nam w końcu przekonać go, że w tej chwili potrzebny mu przede wszystkim prawdziwy wypoczynek. A jak tam u ciebie, Rose?

- Tak sobie - odparła zgodnie z prawdą. - Raz lepiej, raz gorzej, ale jakoś się trzymam.

- W jej sercu rozczarowanie walczyło z uczuciem ulgi. Wyjechał. Przynajmniej wiem, że nie ma go w domu... Nic dziwnego, że nie zadzwonił. Trudno wymagać, aby telefonował zza oceanu... Może nawet nie otrzymał mojej karty świątecznej. - I mówisz, że wraca na sylwestra?

- Tak.
- Mogłabyś mu przekazać, że dzwoniłam?
- Oczywiście. Uważaj na siebie, Rose.
- Postaram się.
- Oby rok 1971 był dla nas wszystkich pomyślniejszy niż ten, który się kończy.
- Tak, oby... - Czuła, że zaczyna się rozklejać. Musi się wziąć w garść, przecież trzymała się dzielnie cały dzień! - Do usłyszenia, Mono - powiedziała i czym prędzej odłożyła słuchawkę, aby nie rozplakać się przez telefon.

Ale łzy popłynęły, tak jak to zdarzało się ostatnio bardzo często, tyle tylko że dopiero godzinę później, kiedy już leżała w łóżku. Po raz pierwszy od śmierci Dariny nie były to jednak czarne łzy goryczy. Kryły w sobie najczystszy smutek, a potem, oczyszczona już i spokojna, Rose zapadła w głęboki sen.

* * *

Przeglądając pobieżnie ostatnią pocztę, John wyczuł w jednej z kopert kartę świąteczną. Ciekawe, kto mi ją wysłał wiedząc, że mam żalobę, pomyślał.

Odłożył kopertę na stos innych, których także nie otworzył, po czym rzucił okiem na przygotowaną przez Monę listę osób, które ostatnio do niego dzwoniły; głównie byli to ludzie zaangażowani w projekt przebudowy Sundarbans. Mona siedziała w pobliżu, szydełkując coś pracowicie.

- Nie wpisałam tam jednego nazwiska - powiedziała. - W pierwszy dzień świąt telefonowała Rose O'Beirne. Nie miałam pod ręką kartki, ale byłam pewna, że i tak zapamiętam.

Krew momentalnie zastygła w jego żyłach.

- Dziękuję. - Udał, że w tej chwili interesują go jedynie wypisane na kartce nazwiska.

Odczekał trochę, po czym wyszedł do holu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer Rose. Podobnie jak wtedy, nikt się nie odezwał, ale tym razem nie czuł rozczarowania. Był pewien, że teraz to już tylko kwestia czasu, kiedy się skontaktują. Może Rose ma znowu rejs. Zerknął na staroświecki zegar na ścianie. Wpół do dziesiątej! Nawet nie wiedział, że już tak późno. Dzień przeleciał nie wiadomo kiedy. Po powrocie z podróży John udał się z Cranshawami od razu do „Willow House” i tam wciągnęły go natychmiast w swoje tryby zaległe obowiązki; po dwutygodniowej przerwie należało przygotować hotel do ponownego otwarcia.

John wrócił do kuchni i na nowo zajął się przeglądaniem korespondencji, porządkując

ją tym razem, oddzielając rachunki od pism urzędowych. Jeden z rachunków przyciągnął jego uwagę: wysłał go miejscowy kamieniarz, a dotyczył wypisania imienia Dereka na nagrobku matki:

Za wyrycie złotymi literami napisu na nagrobku na cmentarzu kościelnym w Drumbooli, jak następuje:

ORAZ JEJ SYN, DEREK MATTHEWFLYNN, ur. 25.08.1938, zm. 3.11.1970.

Z góry dziękuję za łaskawe dokonanie wpłaty jedenastu funtów jako należności za usługę.

Nieodwracalność tego, co się stało i co wynikało ze słów wypisanych tu czarno na białym, wywarła na Johnie niezwykle wrażenie.

Floryda początkowo nawet przypadła mu do gustu, ale już wkrótce uznał, iż nie odpowiada mu tamtejsze wilgotne powietrze i już niebawem zatęsknił za irlandzkim, nawet za chłodem i deszczem. Upał otępił, czynił ospałym, sprawiał, że wydarzenia z początku listopada odplynęły gdzieś daleko, kryjąc się głębiej w podświadomości.

Teraz jednak, już pierwszego dnia po powrocie do domu, ból znowu przypomniał o sobie, ostry jak sztylet.

John odłożył rachunek na bok i otworzył kopertę z kartą świąteczną.

* * *

Decyzję, aby pojechać i spotkać się z Johnem, Rose podjęła całkiem nieoczekiwanie, w jednej chwili.

Cały pierwszy dzień z trzech dni wolnych od pracy spędziła, krążąc bezustannie po mieszkaniu, zerkając raz po raz na telefon i na zegarek; teraz John jest zapewne w domu - z pewnością jest w domu - na pewno wyszedł już z hotelu - a gdyby tak... czy nie mogłaby... ciekawe, jak by zareagował... co by sobie pomyślał?

Noworoczna przerwa w pracy jawiła się jej przed oczyma jako perspektywa czegoś nieskończonego, bezkresnego niczym pustynia. Nawet Effie i Willie wyjechali, aby odwiedzić swoich krewnych w Cork.

Około siódmej Rose spojrzała w lustro.

- A niech tam! - zawołała do swego odbicia.

Zadzwoiła do znajomego, który pracował przy wynajmie samochodów na lotnisku w Dublinie, on zaś obiecał, że po swoim dyżurze, a więc o ósmej, podstawí jej auto. Następnie zatelefonowała do Sundarbans i oświadczyła matce, zaskoczonej tą informacją, że przyjedzie z wizytą; będzie na miejscu między jedenastą a jedenastą trzydzieści.

Po raz trzeci położyła dłoń na tarczy telefonu, ale niemal natychmiast zmieniała zdanie. Nie, nie zadzwoni do niego. Po prostu przyjedzie i zrobi mu niespodziankę. Zanim jeszcze zjawi się u rodziców, odwiedzi go w domku rybackim.

A jeśli będzie już spał?

To nic, machnęła ręką. Wtedy go obudzę. Zresztą kto śpi o tej porze w noc sylwestrową? Jest kobietą trzydziesto - trzyletnią i jeśli ma taki kaprys, wolno jej wyrwać ze snu innego trzydziestotrzylatka!

A poza tym, uśmiechnęła się w duchu, on też nie miał żadnych obiekcji, kiedy siedemnaście lat temu wyciągnął mnie z łóżka!

Wrzuciła parę drobiazgów do torby podróżnej i niecierpliwie zaczęła wyglądać przez okno, czekając na samochód.

* * *

John położył się o wpół do jedenastej. Był wyczerpany; chyba nawet zbyt wyczerpany, doszedł do wniosku, gdyż kiedy znalazł się w łóżku, senność uleciała natychmiast gdzieś daleko. Coś go dręczyło, nie pozwalało zebrać myśli... Wyteżył umysł, aby przypomnieć sobie, co to takiego - i wreszcie jego wysiłek został nagrodzony. *Oraz jej syn, Derek Matthew Flynn, ur. 25.08.1938, zm. 3.11.1970...*

Poczuł znowu tak dobrze już sobie znaną falę gniewu, która poczęła go zalewać. Czym Derek Matthew Flynn zasłużył sobie na tak cywilizowany, normalny napis na nagrobku matki? Im dłużej John przekonywał siebie w duchu, że rozumuje irracjonalnie, tym boleśniej odczuwał szyderstwo, jakim był dla niego ów tekst.

Po pogrzebie starał się nie myśleć o Dereku; rozpamiętywanie wszystkich przejawów zdrady brata, minionych lat pełnych zawiści i podejrzeń oraz pozbawionych braterskiej miłości, było zbyt bolesne.

Teraz jednak te myśli stały się szczególnie natrętne, nie dały się odsunąć na plan dalszy, rozbrzmiewały w jego głowie niczym tykający głośno zegar. Po pierwsze, ten nikczemny anonimowy list, przez który utracił Rose i nie dowiedział się o istnieniu córki. Gdyby Derek nie napisał wtedy tego listu, on mógłby wieść teraz normalne życie rodzinne, mieć dzieci...

Po drugie: nie mniej podły podstęp, jakiego dopuścili się wspólnie Derek i Karen.

Przez ponad szesnaście lat John miał syna i córkę, a odebrał mu ich jego bliźniaczy brat. Odebrał mu także ukochaną kobietę!

Myśli powracały uparcie raz po raz, myśli pełne nienawiści, gniewu i udręki.

Usiłował rozpaczliwie znaleźć coś na usprawiedliwienie brata: Derek nie wiedział, że Rose jest w ciąży. Ale może tak się tylko tłumaczył?

Karen utrzymywała, że to ona nalegała, aby zataić przed całym światem, kto jest naprawdę ojcem Brunona. Ale czy na pewno nie był to także pomysł Dereka?

Im dłużej myślał o tym wszystkim, tym większy ogarniał go gniew i tym niecierpliwiej wiercił się na łóżku.

A potem ostatnia refleksja, która dopełniła miary: gdyby nie perfidia Dereka... czy jego dzieci żyłyby dalej? Czy gdyby wychowywały się jak należy, w jego domu, mogłyby zapalać do siebie tą osobliwą miłością?

Wiedział, że na to jedno pytanie nie będzie w sianie odpowiedzieć. W podnieceniu wyskoczył z łóżka, narzucił na siebie ubranie i zbiegł po schodach na dół.

Mona i jej ojciec siedzieli w saloniku, słuchając radia. Na odgłos kroków Mona podeszła do drzwi.

- Może za głośno nastawiliśmy radio? Ściszę trochę, jeśli chcesz.

- Nie, niech sobie gra. Coś mi się przypomniał*, muszę wyjść. Niedługo wrócę. - Nie patrzył na nią, udając, że szuka rękawiczek. - Będę na cmentarzu - dodał.

- Aha. - Kiwnęła głową, na znak, że rozumie.

Jadąc niebezpiecznie wąskimi drogami, John usiłował opanować jakoś nerwy. Nie potrafił nawet zebrać myśli, nie wiedział jeszcze dokładnie, co zamierza uczynić.

Ale coś musi zrobić, nie wątpił w to ani przez chwilę. Nie dopuści, aby tyle łądactw uszło Derekowi bezkarnie.

* * *

Rose jechała wynajętym samochodem tak szybko, jak pozwalała jej na to odwaga. Zwłaszcza pod koniec podróży, kiedy do celu pozostało zaledwie parę mil, dociskana pedał gazu do oporu. Na szczęście noc była pogodna, a drogi niemal puste; samochody widać było jedynie na parkingach przed pubami, które mijała.

Z ulgą wjechała na wyboistą dróżkę wiodącą do domku rybackiego. Światła na parterze były zapalone, a zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał jedenastą piętnaście, miała więc nadzieję, że nie zachowa się niestosownie, pukając do drzwi - zwłaszcza dziś, w wieczór sylwestrowy.

Drzwi otworzyła Mona. Zaskoczona podniosła dłoń do góry.

- Rose!

Niecierpliwłość nie pozwoliła Rose tracić czasu na zbyteczne wstępy.

- Czy jest John... czy mogę się z nim zobaczyć? - zapytała wprost.

- Rozminęliście się o jakieś piętnaście minut - odparła Mona. Widząc rozczarowaną minę Rose, dodała: - Nie wiem... nie wiem, czy powinnam ci mówić, czy nie, ale John powiedział, że jedzie na parę minut na cmentarz. - Odstąpiła od drzwi. - Z pewnością wróci niedługo... Może wejdiesz, zaczekasz w domu?

- Nie, dziękuję, pojadę do niego. Musimy omówić jedną czy dwie sprawy. To dotyczy Sundarbans - dodała spiesznie; uświadomiła sobie, że w oczach Mony zachowuje się jak szalona. - Myślę, że spotkam go po drodze.

Wskoczyła z powrotem do auta, pomachała Monie ręką na pożegnanie i sprawnie zawróciła na podjeździe. Cmentarz? Po co tam pojechał? W głębi duszy jednak czuła, że wie po co.

* * *

Dziesięć minut później zatrzymała się przed bramą cmentarza. Stał tam zaparkowany jego samochód, ale drzwiczki od strony kierowcy były szeroko otwarte, a wewnątrz paliła się lampka. Dostrzegła też uniesioną klapę bagażnika. Zawahała się. Myśl o Darinie, leżącej tak samotnie na tym zimnym pustkowiu, wyzwoliła w niej nutę głębokiego smutku, nutę tak czystą jak dźwięk kamertonu. Rose westchnęła cicho, wysiadła z auta i rozejrzała się dokoła, następnie postawiła kołnierz, aby osłonić sobie szyję i twarz aż po usta, zamknęła drzwiczki, tak żeby światło wewnątrz zgasło, i weszła przez półkolistą bramę na teren cmentarza. Tu przystanąła na chwilę, chcąc wziąć się w garść.

Cmentarz zajmował zbocza niewielkiego wzgórza, porośnięte krzewami jeżyny i splątanymi pnączami głogu. Na szczycie ogołocone z liści cierniste drzewo wznosiło się ku rozgwieżdżonemu niebu niczym zniekształcona ręka. W tym miejscu od stuleci grzebano zmarłych katolików z okolicy. Co krok widniały stare, przekrzywione już kamienne płyty i krzyże celtyckie, gdzieniegdzie okrywała je gęsta zasłona z bluszczu, pokrzyw i stwardniałego, drzewiastego podszycia. Rose powiodła dokoła wzrokiem, unikając miejsca, gdzie leżała Darina. Mimo iż większa część tarczy księżyca emanowała silny blask, nigdzie nie widać było najdrobniejszego ruchu. Wszędzie roznosił się ostry, słodkawy zapach cmentarny, w którym czuło się woń ziemi, przegniłych roślin - i jeszcze czegoś, o czym Rose wolą teraz nie myśleć. Wzdrygnęła się i ruszyła pod górę. Wysoka trawa tłumiała odgłos jej kroków.

Przed nią rozciągał się teren bardziej uporządkowany; groby były zadbane, marmurowe nagrobki połyskiwały w świetle księżyca. W miejscu gdzie kończyła się stara

część cmentarza, a zaczynała nowa, Rose potknęła się o omszałą figurkę Jezusa, która spadła z cokołu i leżała teraz na poduszce z pnączy jeżyny; jej kamienne, niewidzące oczy zdawały się wypatrywać momentu zmartwychwstania.

Blask księżycy zamigotał nagle, a Rose wydało się, że to Jezus przeszył ją byстрыm wzrokiem. Jednocześnie wszystko na cmentarzu stało się większe i bardziej złowieszcze. Jakaś figurka anioła z rozpostartymi skrzydłami, stojąca na nagrobku, zdawała się szybować w jej stronę; leżące na ziemi sztuczne kwiaty, sine w srebrzystej poświacie, wyciągały ku niej swe podobne do macek łodygi, jakby chciały opleść ją nimi i przyciągnąć do siebie; czarna ziemia i żwir na pobliskich grobach nie wyglądały już teraz tak solidnie, aby spoczywające pod nimi ciała mogły się czuć bezpieczne.

Nie mogła tego dłużej znieść. Nie, poczeka na niego na zewnątrz, obok auta. Jeżeli on tu jest, wyjdzie z cmentarza wcześniej lub później.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk, pojedynczy brzęk, tak jakby ktoś stuknął lekko łyżeczką o porcelanową filiżankę.

Mimo woli zatrzymała się i poczęła nasłuchiwać. Znowu to samo.

I znowu.

I jeszcze raz, i jeszcze - miarowy, jednostajny stukot, pochodzący z przeciwległego zbocza.

Ostrożnie, niepewnie, czując, jak mocno bije jej serce, Rose wspięła się na wzgórze i stanęła pod ciernistym krzewem, skąd mogła ogarnąć wzrokiem cały cmentarz. Natychmiast dostrzegła Johna; siedział w kucki przy grobie, jego jasne włosy odcinały się wyraźnie od ciemnego nagrobka. Chciała zawołać, ale krzyk uwiązł w zaschniętym gardle. Ruszyła w tamtą stronę, mając nadzieję, że John usłyszy ją i podniesie na nią wzrok.

- John? - wykrztusiła w końcu. - John?

Ale on był do tego stopnia zaabsorbowany swoją czynnością, że nawet jej nie usłyszał. Podeszła bliżej i wtedy zauważyła, że John, posługując się lewarkiem samochodowym i łyżką do opon niczym młotkiem i dłutem, przyciska łyżkę do płyty nagrobka i uderza w nią lewarkiem. Dopiero po chwili zorientowała się, co on robi.

Usiłował w ten sposób skuć z nagrobka część napisu!

Stała jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Działo się coś strasznego, czuła to przez skórę.

- John! - zawołała, głośniejszym głosem niż poprzednio.

Zerwał się na równe nogi i odwrócił do niej. Podczas gdy wpatrywał się w nią, jakby miał przed sobą kogoś obcego, dostrzegła na jego twarzy bruzdy i zmarszczki, których nie

zauważyła do tej pory.

- To ja - szepnęła wylęknięta. - To ja, Rose.

Wyglądał, jakby budził się z wolna z jakiegoś snu. Stopniowo jego rysy odprężyły się, twarz wyrażała teraz zdumienie, które niebawem przerodziło się, ku jej niezmiernej radości, w ulgę.

- Rose! - wyszeptał. W jego głosie zabrzmiał nagle niepokój. - Skąd się tu wzięłaś?

- Przyjechałam zobaczyć się z tobą. Mona powiedziała mi, gdzie jesteś. - Wskazała ręką na lewarek i łyżkę. - Co robisz?

Opuścił wzrok na narzędzia z taką miną, jakby widział je po raz pierwszy w życiu, a potem spojrzał na Rose.

- Gdybym ci to wyjaśnił, nie uwierzyłybyś... Zerknęła na nagrobek. Świeży napis wyryty złotymi literami błyszczał wyraźnie w poświęconym księżycu. Z imienia DEREK pozostała jedynie druga sylaba, w miejscu gdzie do tej pory widniały litery DE, marmur został skuty. Rose poczuła, jak przechodzi ją zimny dreszcz.

- Usuwasz z nagrobka imię Dereka? - Wstrząśnięta cofnęła się o krok. - To niedorzeczne!

Nie zareagował natychmiast. Dopiero po chwili on również cofnął się o krok i oparł się o nagrobek w kształcie celtyckiego krzyża.

- No cóż, mówiłem, że trudno ci będzie w to uwierzyć. - Wzruszył ramionami.

- Ale dlaczego? - nalegała. - Może chociaż spróbujesz mi wyjaśnić?

Znowu zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem pozbawionym wszelkiego wyrazu, ona zaś, nie wiadomo dlaczego, poczuła się nieswojo.

- W dużej mierze ma to związek z tobą, Rose - odparł w końcu.

- Ze mną? - Jego słowa były dla niej całkowitym zaskoczeniem.

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby to ona zachowywała się dziwnie, nie on.

- Tamten anonim... - zaczął wyjaśniać cichym głosem - Gdyby nie on, byłibyśmy teraz małżeństwem, mielibyśmy dzieci.

- Rozumiem. - Ale nie wszystko było dla niej jasne. Czuła się bezradna i dezorientowana. Jak głębokie muszą być emocje, żeby skłonić człowieka do tak drastycznego czynu jak usunięcie z nagrobka imienia brata bliźniaka?

- Przykro mi, że widziałas, co robię. - Jego twarz nadal wyrażała czujną uwagę, ale poza tym była nieprzenikniona.

- A mnie nie. - Swoim dawnym zwyczajem uniosła wyżej głowę. - Jeśli mamy być ze sobą razem, Johnie Flynn, nie możemy dopuścić do tego, aby istniały między nami

jakiegokolwiek sekrety. – Urwała. W tych okolicznościach i w tym miejscu taka śmiałość wydawała się czymś absurdalnym.

Ciszy na cmentarzu nie mącił najdrobniejszy dźwięk. Rose słyszała nawet oddech Johna. Gdzieś w oddali rozległ się warkot silnika samochodowego; odgłos umilkł już po chwili, a Rose zadrżała, chociaż nie było jej wcale zimno.

- A gdyby jednak istniały jakieś sekrety, których nie można wyjawić? - zapytał szeptem John.

Drżenie ciała ustało, teraz czuła jedynie lęk.

- Czy istnieją rzeczywiście?

W dalszym ciągu przeszywał ją tym dziwnym, baczny spojrzeniem. W pewnej chwili zbliżył się do niej o krok, jakby pragnął coś wyjaśnić, potem napięcie na jego twarzy zelżało. Cisnął narzędzia na ziemię, w sam środek kępy zwiędłych kwiatów i już bez wahania podszedł zupełnie blisko.

- Nie - odparł. - Nie istnieje między nami nic, o czym byś nie wiedziała.